

Robert Sheckley

Pielgrzymka na Ziemię

Wybór Lech Jęczmyk

The Minimum Man

Zwiadowca–minimum

Każdy ma swoją pieśń. Piękna dziewczyna jest jak melodia, a dzielny kosmonauta kroczy przez życie w grzmocie puzonów. Mędracy zasiadający w Radzie Międzyplanetarnej przywodzą na myśl doskonale zestrojony zespół instrumentów dętych; są geniusze, których życie przypomina zawily kontrapunkt, i inni, których szare bytowanie jest tylko kwileniem oboju na tle nieubłagane odmierającego rytm wielkiego bębna.

Takie myśli snuły się po głowie Antona Perceverala, kiedy wpatrywał się w błękitnawe żyły na przegubie lewej ręki. W prawej trzymał żyletkę.

Bo jeśli każdy ma swoją pieśń, to jego życie można było porównać do marnie skomponowanej i jeszcze gorzej wykonywanej symfonii pomyłek.

Jego przyjście na świat i lata szkolne upłynęły pod znakiem nadziei. Młody Perceveral wyróżnił się w nauce i awansował do małej eksperymentalnej klasy, złożonej tylko z pięciuset uczniów, gdzie stosowano bardziej zindywidualizowane metody nauczania.

Wkrótce jednak okazało się, że miał widocznie wrodzonego pecha. Prześladowały go całe serie drobnych wypadków. Przedmioty wykazywały dziwną skłonność łamania się w jego rękach, czasami też łamały się jego palce w zetknięciu z przedmiotami. Co gorsza łączyły do niego wszystkie możliwe i niemożliwe choroby wieku dziecięcego, włącznie z odrą, świnką algierską, wysypką, wietrzną ospą, zieloną i pomarańczową febrą.

Wszystko to nie wpływało na przyrodzone zdolności Perceverala, ale w zatłoczonym, żyjącym pod znakiem konkurencji świecie same zdolności nie wystarczają — potrzebny jest jeszcze łut szczęścia, którego zabrakło Perceveralowi. Przeniesiono go do zwykłej klasy, gdzie było dziesięć tysięcy uczniów, gdzie zarówno jego kłopoty, jak i możliwość zarażenia się nową chorobą wzrosły.

Był wysokim, chudym okularnikiem, dobrym i pracowitym. Lekarze określili go jako typ niezwykle skłonny do ulegania wypadkom, nie potrafili jednak znaleźć przyczyny tego zjawiska. Ale niezależnie od przyczyn fakt pozostawał faktem. Perceveral był jednym z tych nieszczęśników, dla których życie najeżone jest trudnościami nie do przebycia.

Większość ludzi przemyka się poprzez dżunglę ludzkiej egzystencji z lekkością pantery. Ale dla Perceverala dżungla roiała się od wilczych dołów, sideł i pułapek, głębokich przepaści i nieprzebytych rzek, trujących grzybów i niebezpiecznych zwierząt. Dla niego wszystkie drogi prowadziły do klęski.

Młody Perceveral przebrnął przez studia pomimo swego niezwykłego talentu do łamania nóg na schodach, skręcania kostek na krawężnikach, miażdżenia łokci w drzwiach obrotowych, rozbijania nosa o szklane drzwi i tysiący innych śmiesznych, smutnych i bolesnych wypadków spadających na urodzonych pechowców. Mężnie opierając się hipochondrii próbował wciąż od nowa.

Po uzyskaniu dyplomu wziął się w garść. Z rozmachem wkroczył na wyspę Manhattan wykuwać swój los. Nie szczędził wysiłków, aby pokonać pecha, by zachować radość życia i optymizm mimo wszystkie trudności.

Ale pech okazał się godnym przeciwnikiem. Perceveral tracił kolejne posady, jego ślad znaczyły zepsute dyktafony i podarte kontrakty, zapomniane dokumenty i zagubione dane; narastające crescendo żeber trzaskających w metro, kostek zwichniętych w rynsztokach i tłuczonych okularów, korowód chorób, włącznie z zapaleniem wątroby typu J, marsjańską febrą, wenusjańską febrą, nieśpiączką i febrą łachotliwą.

Perceveral wciąż jeszcze opierał się hipochondrii. Marzył o kosmosie, o twardych pionierach zaludniających Marsa, o nowych osadach na odległych planetach, o szerokich przestrzeniach, gdzie z dala od febrycznych plastikowych ziemskich dżungli człowiek może odnaleźć samego siebie. Złożył podanie o pracę do Zarządu Zwiadu Kosmicznego i Osadnictwa i został załatwiony odmownie. W ten sposób pożegnał się z marzeniami młodości — od tej pory miał się kolejno różnych zajęć. Poddawane go analizie, sugestii hipnotycznej, sugestii posthipnotycznej i antysugestii — na próżno.

Wszystko ma swoje granice i każda symfonia ma swój finał. Perceveral stracił wszelką nadzieję w wieku lat trzydziestu czterech, kiedy po trzech dniach wyrzucono go z pracy, której szukał przez dwa miesiące. Pomyślał, że jest to ostatni fałszywy akord utworu, którego w ogóle nie powinno się było rozpoczynać.

W ponurym nastroju przyjął mizerną zapłatę wraz z ostatnim współczującym uściskiem dłoni od ostatniego pracodawcy i zjechał windą na dół. Niejasne myśli o samobójstwie kłębiły się już w jego głowie, przybierając kolejno postaci ciężarówek, kurków od gazu, drapaczy chmur i mostów.

Winda dotarła wreszcie do wielkiego marmurowego korytarza, gdzie policjanci z oddziału specjalnego kierowali tłumem oczekującym na wyjście na ulicę. Perceveral stanął w kolejce, bezmyślnie patrząc na licznik zagęszczenia tłumu, którego strzałka dochodziła prawie do czerwonej linii paniki. Po wyjściu na ulicę dołączył do zwartej grupy idącej w stronę jego osiedla.

Samobójcze myśli nie opuszczały go ani na chwilę, przybierając coraz konkretniejsze formy. Przez całą drogę do domu rozważał kolejne możliwe sposoby. Przy swoim bloku odłączył się od grupy i skręcił w bramę.

Przedzierając się przez tłum dzieci w korytarzach dotarł wreszcie do swojego pokoju. Wszedł, zamknął drzwi na klucz i wyjął żyletkę z maszynki do golenia. Potem położył się w ubraniu na łóżku i oparłszy stopy o przeciwległą ścianę przypatrywał się błękitnawym żyłom na przegubie ręki.

Czy potrafi to zrobić? Czy potrafi to zrobić szybko i zręcznie — bezbłędnie i bez żalu? Czy też spartoli i tę robotę, pozwalając, by go wyjącego zaciągnęli do szpitala, gdzie będzie wystawiony na pośmiewisko i plotki personelu?

Kiedy tak rozmyślał, pod jego drzwi wsunięto żółtą kopertę. Był to telegram, przybywający dokładnie w decydującym momencie. Ten dramatyczny efekt wydał się Perceveralowi nieco podejrzany. Mimo to odłożył żyletkę i podniósł kopertę.

Nadawcą był Zarząd Zwiadu Kosmicznego i Osadnictwa, potężna organizacja, której podlegał każdy ruch człowieka Poza granicami Ziemi. Drżącymi rękami otworzył kopertę i przeczytał, co następuje:

Mr Anton Perceveral

Budynek zastępczy 1993

Okręg 43825, Manhattan 212, N.Y.

Szanowny Panie:

Trzy lata temu ubiegał się Pan u nas o pracę w kosmosie. Z przykrością byliśmy wówczas zmuszeni odrzucić pańskie podanie. Pozostał pan jednak w naszej kartotece, która jest systematycznie uzupełniana. Z przyjemnością komunikujemy, że jesteśmy gotowi zatrudnić Pana od zaraz na stanowisku, które odpowiada Pańskim zdolnościom i kwalifikacjom. Uposażenie wynosi dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie plus wszystkie przywileje pracownika służy państwowej i nieograniczone możliwości awansu. Mamy nadzieję, że przyjmie Pan naszą propozycję. Prosimy o osobiste skontaktowanie się dla omówienia szczegółów.

Z poważaniem

William Haskell

Zastępca dyrektora d/s personalnych.

Perceveral złożył starannie telegram i wsunął go z powrotem do koperty. Początkowa radość ustąpiła miejsca złym przeczuciom.

Jakież to zdolności i kwalifikacje predestynują go doobjęcia posady za dwadzieścia tysięcy rocznie plus dodatki? Może pomyłono go z jakimś innym Antonem Perceveralem?

To raczej nieprawdopodobne. Zarząd nie robi takich omyłek. A jeśli znają jego nieszczęsną przeszłość, to czego mogą od niego chcieć? Czy jest choć jedna rzecz, której każdy mężczyzna, kobieta czy nawet dziecko nie potrafi zrobić od niego lepiej?

Perceveral włożył telegram do kieszeni, a żyletkę do pudełka z przyborami do golenia. Samobójstwo wydało mu się teraz nieco przedwcześnie. Najpierw warto się dowiedzieć, czego chce od niego Haskell.

W siedzibie Zarządu Zwiadu Kosmicznego i Osadnictwa wpuszczono go natychmiast do prywatnego biura Williama Haskella. Zastępca dyrektora, wysoki mężczyzna o grubych rysach, przywitał go z podejrzaną wylewnością.

— Proszę bardzo, niech pan siada, panie Perceveral — powiedział Haskell. — Papieroska? Może coś do picia? Bardzo się cieszę, że pan przyszedł.

— Czy jest pan pewien, że to właśnie o mnie chodzi? — spytał Perceveral.

Haskell zajrzał do teczki leżącej przed nim na biurku.

— Zaraz sprawdzimy. Anton Perceveral, lat trzydzieści cztery, rodzice: Gregory James Perceveral i Anita Swaans-Perceveral, urodzony w Laketown, stan New Jersey. Zgadza się?

— Tak — powiedział Perceveral. — I ma pan pracę dla mnie?

— Tak.

— Za dwadzieścia tysięcy rocznie plus dodatki?

— Zgadza się.

— ” Czy może mi pan powiedzieć, co to za praca?

— Od tego tutaj jestem — powiedział Haskell radośnie. — Stanowisko zwiadowcy kosmicznego.

— Słucham?

— Zwiadowcy kosmicznego, czyli pozaziemskiego. Są to ludzie, którzy pierwsi lądują na nieznanych planetach, pierwsi osadnicy, którzy dostarczają nam najważniejszych danych. Dla mnie są to Drake'owie i Magellanowie naszego wieku. Chyba zgodzi się pan ze mną, że to wielka okazja.

Perceveral wstał z twarzą nabiegłą krwią.

— Jeśli pan skończył te żarty, to może ja już pójdę.

— Dlaczego?

— Ja i kosmiczny zwiadowca! — Perceveral roześmiał się gorzko. — Niech pan nie robi ze mnie balona. Czytuję gazety i wiem, jacy to muszą być ludzie.

— Ciekawe jacy?

— Najlepsi synowie Ziemi — powiedział Percereval. — Najlepsze mózgi i najlepsze ciała. Ludzie o błyskawicznym refleksie, którzy potrafią dać sobie radę w każdej sytuacji, dostosować się do każdych warunków. Czy nie racji?

— Tak — powiedział Haskell — wszystko to było prawdą w początkowym okresie naszej działalności. I pozwoliliśmy, aby ten stereotyp utrwaliał się w ludzkich umysłach — to budzi zaufanie. Ale ten typ zwiadowcy jest już od dawna przestarzały. Na takich ludzi czeka wiele innych możliwości, ale zwiadowcami już być nie mogą.

— Czyżby pańscy nadludzie nie zdali egzaminu? — spytał uśmiechając się ironicznie Perceveral.

— Oczywiście że zdali. I nie ma w tym żadnego paradoksu. Osiągnięcia naszych pierwszych zwiadowców są do dziś niedoścignione. Ci ludzie potrafili wytrzymać na każdej planecie, gdzie była choćby najmniejsza szansa przeżycia; dzięki swojej odporności i wytrzymałości pokonywali nieprawdopodobne przeszkody. Potrafili sprostać nadludzkiemu wprost wymaganiom. Pierwsi zwiadowcy pozostaną na zawsze symbolem siły i zdolności przystosowawczych gatunku *Homo sapiens*.

— Więc dlaczego przestano ich zatrudniać?

— Dlatego, że zmieniła się sytuacja na Ziemi i zmieniły się nasze zadania. Na początku zwiad kosmiczny był wielką przygodą, eksperymentem, miał znaczenie militarne, prestiżowe. Ale to należy do przeszłości. Przyrost naturalny przybrał charakter lawinowy. Miliony ludzi zalały stosunkowo skąpo zaludnione tereny Brazylii, Nowej Gwinei i Australii. Ale wkrótce i tam zrobiło się ciasno. W wielkich miastach gęstość zaludnienia doszła do granicy samoczynnych wybuchów paniki, powodując znane zjawisko zamieszek weekendowych, a liczba ludności wzrastała w dalszym ciągu dzięki postępom geriatryi ogromnemu spadkowi śmiertelności niemowląt. — Haskell potarł czoło. — W ten sposób powstał zaczarowany krąg. Ale etyczne problemy wzrostu ludności to nie moja sprawa. Zadaniem naszego Zarządu było znalezienie nowych terenów osadniczych w możliwie jak najkrótszym czasie. Potrzeba nam planet, które w odróżnieniu od Wenus czy Marsa mogą szybko stać się samowystarczalne, które mogłyby pochłonąć miliony ludzi, podczas gdy naukowcy i politycy na Ziemi zastanawialiby się nad rozwiązaniem problemu. Aby umożliwić jak najszybciej kolonizację nowych planet, należało skrócić do minimum okres badań wstępnych.

— Wszystko to wiem — powiedział Perceveral — ale wciąż jeszcze nie widzę, dlaczego nie używacie zwiadowców typu optymalnego.

— To chyba oczywiste. Szukamy miejsc, gdzie mogą się osiedlić i żyć zwykli ludzie. Nasi optymalni zwiadowcy nie byli wcale zwykłymi ludźmi. Wprost przeciwnie, stanowili oni jakby odrębny gatunek i nie mogli być miernikiem dla przeciętnych śmiertelników. Są na przykład szare, monotonne planety, gdzie deszcz pada przez okrągły rok, planety, które zwykłego człowieka mogą doprowadzić do szaleństwa, gdy tymczasem nasz optymalny zwiadowca jest zbyt zdrowy, by się przejmować monotonią klimatu. Bakterie zdolne zabić tysiące ludzi, jego przyprawiają o krótkotrwały ból głowy. Niebezpieczeństwa, które mogą stać się przyczyną katastrofy całej kolonii, on omija, nie zdając sobie z nich po prostu sprawy.

— Zaczynam rozumieć — powiedział Perceveral.

— Oczywiście najlepszym sposobem byłoby zdobywanie planet etapami. Najpierw zwiadowca, potem podstawowy zespół badawczy, następnie kolonia eksperymentalna, składająca się głównie z

psychologów i socjologów potem grupy uczonych, mające za zadanie sprawdzenie wyników poprzednich grup i tak dalej. Niestety nie mamy na to czasu ani pieniędzy. Nowe tereny potrzebne nam już teraz, a nie za pięćdziesiąt lat. — Haskell przerwał i spojrzał bez uśmiechu na Perceveralą. — Musimy od razu wiedzieć, czy zwykli ludzie mogą żyć i rozwijać się na każdej z nowych planet. Oto dlaczego zmieniliśmy wymagania w stosunku do zwiadowców.

Perceveral skinął głową.

— Zwykli zwiadowcy dla zwykłych ludzi. Jest tylko jedno „ale”...

— Słucham.

— Nie wiem, o ile jest panu znane moje dotychczasowe życie.

— Zupełnie nieźle — zapewnił go Haskell.

— Być może zauważył pan, że wykazuję pewną skłonność do wypadków. Prawdę mówiąc, miałem trudności z życiem tutaj, na Ziemi.

— Wiem — powiedział Haskell z miłym uśmiechem.

— Więc jak dam sobie radę na obcej planecie? I dlaczego wybraliście właśnie mnie?

Dyrektor Haskell wydawał się z lekka zakłopotany.

— Pan niezbyt dokładnie sformułował istotę naszej polityki mówiąc „zwykli zwiadowcy dla zwykłych ludzi”. Sprawa nie jest taka prosta. Kolonia składa się z tysięcy, często z milionów ludzi, którzy wykazują bardzo różny stopień zdolności przystosowawczych. Humanitaryzm i praworządność wymagają, by wszystkim dać równe szanse. Ludzie muszą czuć się pewnie opuszczając Ziemię, musimy przekonać ich, prawo, a także samych siebie, że nawet najsłabszy z nich otrzyma szansę przeżycia.

— Niech pan mówi dalej.

— A zatem — powiedział Haskell szybko — kilka lat temu przestaliśmy zatrudniać zwiadowców typu optymalnego i przeszliśmy na zwiadowców o minimalnych szansach utrzymania się przy życiu.

Perceveral przez chwilę rozważał to, co usłyszał.

— Więc potrzebujecie mnie dlatego, że jeśli w jakimś miejscu ja przeżyję, to znaczy, że może tam żyć każdy.

— To mniej więcej charakteryzuje naszą ideę — powiedział Haskell z uroczym uśmiechem.

— Ale jakie są moje szanse?

— Niektórzy z naszych zwiadowców—minimum doskonale się spisywali.

— A inni?

— Jest oczywiście ryzyko — przyznał Haskell. — I niezależnie od potencjalnych niebezpieczeństw, związanych z daną planetą, są jeszcze inne, wynikające z samej istoty eksperymentu. Nie mogę panu nawet o nich powiedzieć, gdyż pozbawiłoby to nas jedyne go elementu kontroli w tym doświadczeniu. Mogę tylko stwierdzić, że takie niebezpieczeństwo istnieje.

— Niezbyt przyjemne perspektywy.

— To prawda. Ale niech pan pomyśli o nagrodzie oczekującej zwycięzcę! Zostałby pan założycielem nowej kolonii! Pańska wartość jako eksperta byłaby nieoceniona. Miałby pan zapewnione czołowe miejsce w życiu społeczeństwa. A także ma pan szansę pozbyć się pewnych zakorzenionych kompleksów, odzyskać wiarę we własne siły.

Perceveral skinął głową.

— Proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Otrzymałem dzisiaj pański telegram w decydującym momencie. Wyglądało to prawie jak...

— Tak, to było z góry ukartowane — powiedział Haskell. — Przekonaliśmy się, że potrzebni nam ludzie godzą się na nasze propozycje najchętniej, kiedy osiągają pewien określony stan psychiczny. Pilnie obserwujemy tych nielicznych, którzy odpowiadają naszym wymaganiom, czekając na odpowiedni moment.

— Byłoby wam głupio, gdybyście się spóźnili o godzinę.

— Ale gdybyśmy zwrócili się o dzień wcześniej, nasza propozycja mogłaby zostać odrzucona. — Haskell wstał zza biurka. — Może zje pan ze mną lunch, panie Perceveral? Moglibyśmy omówić szczegóły przy lampce

— Dobrze. Ale jeszcze nic nie obiecuję.

— Oczywiście — powiedział Haskell, otwierając przed nim drzwi.

Po lunchu Perceveral oddał się rozmyśleniom, zwiadowcy bardzo go pociągała mimo związanego z nią ryzyka. Zresztą nie było to bardziej ryzykowne niż samobójstwo, natomiast o wiele lepiej płatne. Nagroda za zwycięstwo była niemała; kara za przegraną nie wyższa niż ta, jaką zamierzał zapłacić za swoją klęskę na Ziemi.

Nie osiągnął niczego w ciągu swoich trzydziestu czterech lat życia. Co najwyżej zademonstrował jakieś przebłyśki zdolności, przyćmione zresztą skłonnością do chorób, wypadków i pomyłek. Ale Ziemia jest przeludniona, wszyscy są zagonieni. Być może jego pech nie jest wrodzoną cechą, tylko produktem nieznośnych warunków?

Praca zwiadowcy przeniesie go w inne środowisko. Będzie sam, zależny tylko od siebie, odpowiedzialny tylko przed sobą. Ryzyko jest ogromne, ale czy może być coś bardziej niebezpiecznego niż lśniące ostrze we własnej dłoni?

Będzie to największy wysiłek jego życia, ostateczny sprawdzian jego możliwości. Będzie walczył jak nigdy przedtem ze swymi pechowymi skłonnościami. I tym razem rzuci na szalę całą swoją odwagę i determinację.

Zdecydował się. W ciągu kilku tygodni przeznaczonych na przygotowania żył pod hasłem determinacji: wbijał ją sobie do głowy, przesycił nią swoje nerwy i krew, powtarzał bez końca jak buddyjską modlitwę, śnił o niej, czyścił nią zęby i mył ręce, i medytował nad nią, aż jej monotony refren huczał mu w głowie w dzień i w nocy, z wolna zaczynając wywierać wpływ na jego czyny.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy wręczono mu roczne skierowanie na pewną obiecującą planetę. Haskell życzył mu powodzenia i przyrzekł utrzymywać kontakt za pomocą L-fazowego radia. Perceveral wraz z ekwipunkiem został załadowany na statek zwiadowczy „Queen of Glasgow” i przygoda zaczęła się.

Podczas miesięcy spędzonych w podróży Perceveral uporczywie utwierdzał się w swojej determinacji. Zachowywał jak najdalej idącą ostrożność w stanie nieważkości, wystrzegał się każdego zbędnego ruchu i analizował swoje uczucia.

Ciągła samoobserwacja i czujność zwolniły wprawdzie tempo działania, ale stopniowo wchodziły w krew. Zaczął się formować nowy zespół odruchów pokonujący stare nawyki.

Proces ten jednak nie odbywał się bezboleśnie. Mimo wszystkie wysiłki Perceveral nabawił się podrażnienia skóry, uderzył głową o ścianę i stłukł jedną z dziesięciu par okularów, jakie wziął ze sobą, cierpiał na skutek bólów głowy i pleców, miał pokaleczone ręce i zwichnięty palec u nogi.

Czuł jednak, że robi postępy, i jego wiara we własne siły wzrosła poważnie. Któregoś dnia zobaczył wreszcie swoją planetę, która otrzymała nazwę Theta.

Statek wylądował na trawiastej, częściowo pokrytej lasem wyżynie u stóp gór. Teren ten został wybrany automatycznie na podstawie zdjęć lotniczych, ze względu na korzystne warunki: była tu woda, drzewo, owoce i rudy metali — doskonałe miejsce na przyszłą kolonię.

Załoga życzyła mu szczęścia i odleciała. Perceveral patrzył długo za statkiem niknącym w chmurach. Potem wziął się do pracy.

Po pierwsze uruchomił robota. Była to wielka, czarna, wielofunkcyjna machina, stanowiąca typowe wyposażenie zwiadowców i osadników. Robot nie umiał mówić, śpiewać, deklamować ani grać w karty, jak niektóre droższe modele. Odpowiadał jedynie przeczącym lub potakującym ruchem głowy — nieciekawe towarzystwo na najbliższy rok. Jego zaletą była jednak umiejętność odbierania dość złożonych ustnych poleceń, wykonywania cięższych prac oraz pewna zdolność przewidywania w sytuacjach problemowych.

Z pomocą robota Perceveral założył na równinie obozowisko, czujnie obserwując okolice w oczekiwaniu niespodzianek. Zwiad powietrzny nie wykrył żadnych śladów cywilizacji, ale wszystko może się zdarzyć. Nie było także żadnych danych o faunie planety.

Perceveral pracował powoli i ostrożnie, a niemy robot towarzyszył mu krok w krok. Wieczorem tymczasowy obóz był gotowy. Po włączeniu radaru alarmowego Perceveral położył się do łóżka.

O świcie zerwał go ze snu przenikliwy dźwięk syreny. Ubrał się i wyskoczył na zewnątrz. Powietrze wypełniało gniewne brzęczenie jakby stada szarańczy.

— Przynies szybko dwie strzelby — powiedział do robota. — Weź też lornetkę.

Robot skinął głową i poszedł swoim kołyszącym się krokiem. Drząc od porannego chłodu Perceveral rozglądał się, próbując ustalić źródło szumu. Przebiegł wzrokiem wilgotną równinę, zielony skraj lasu i skały poza nim. Żadnego ruchu. Nagle ujrzał na tle wschodzącego słońca coś na kształt niskiej ciemnej chmury. Chmura bardzo szybko zbliżała się w stronę obozu, posuwając się pod wiatr.

Robot wrócił z dwiema strzelbami. Perceveral wziął jedną, zostawiając drugą robotowi i nakazując mu gotowość do strzału. Robot kiwnął głową, jego oczy błysnęły matowo, kiedy zwrócił się w stronę słońca.

Z bliska chmura okazała się ogromnym stadem ptaków. Perceveral przyjrzał im się przez lornetkę. Miały rozmiary ziemskich orłów, ale ich szybki zygzakowaty lot przypominał raczej lot nietoperzy. Nogi miały uzbrojone w potężne szpony, a długie dzioby jeżyły się ostrymi zębami. Stworzenia wyposażone w taką broń musiały być drapieżnikami. Stado z głośnym szumem zatoczyło krąg i nagle, ze wszystkich stron naraz, ptaki zaczęły pikować ze złożonymi skrzydłami i rozcapierzonymi pazurami. Perceveral kazał robotowi strzelać.

Stali plecami do siebie, prażąc w gąszcz atakujących bestii. W powietrzu zawirowała chmura krwawego pierza i całe chmury ptaków spadały skoszone ich ogniem.

Perceveral i robot bronili się dzielnie, utrzymując horde powietrznych wilków na dystans, a nawet zmuszając je do wycofania się. Nagle strzelba Perceverala odmówiła posłuszeństwa. Broń miała być załadowana z gwarancją siedemdziesięciu pięciu godzin ciągłego ognia. Strzelba nie miała prawa zawieść! Perceveral stał przez chwilę osłupiały, bezmyślnie szczękając spustem. Potem cisnął bezużyteczną broń na ziemię i rzucił się pędem do namiotu, zostawiając robota na placu boju.

Znalazł dwie zapasowe strzelby, ale... broń robota również zawiodła. Otoczony rojem ptaków, walczył wymachując rękami jak cepami. Krople oliwy wyciekały mu ze stawów, chwiał się chwilami bliski utraty równowagi. Kilka ptaków usiadło mu na ramionach, dziobiąc zajadłe komórki oczne i antenę. Perceveral chwycił obie strzelby i zaczął szerzyć spustoszenie wśród napastników. Niestety, jedna umilkła prawie natychmiast; modlił się w duchu, by przynajmniej ta ostatnia okazała się dobra.

Poniósłszy dotkliwie straty ptaki odleciały krzycząc i pohukując. Perceveral i robot stali na placu boju po kolana w piórach i zwęglonych ciałach, cudem nie doznawszy żadnych obrażeń.

Perceveral spojrział na cztery strzelby, z których tylko jedna nadawała się do użytku, i wściekły pobiegł do namiotu radiowego.

Nawiązał łączność z Haskelllem i powiedział mu o ataku ptaków i o zepsuciu się trzech strzelb. Czerwony ze złości wymyślał ludziom odpowiedzialnym za stan sprzętu. Wciąż jeszcze nie mogąc złapać tchu, czekał na wyjaśnienia i przeprosiny Haskella.

— To miał być jeden z elementów kontroli — powiedział Haskell.

— Co?

— Wspomniałem o tym w czasie naszej pierwszej rozmowy. Sprawdzamy minimalne warunki. Minimalne, proszę pamiętać! Musimy wiedzieć, co oczekuje kolonię złożoną z bardzo różnego elementu ludzkiego. Dlatego szukamy najniższego wyznacznika.

— Wiem o tym. Ale przecież strzelby...

— Drogi Perceveral, założenie nowej kolonii, nawet przy absolutnym minimum zaopatrzenia, jest fantastycznie kosztowną operacją. Wyposażamy naszych osadników we wszystko, co najnowsze i najlepsze w dziedzinie uzbrojenia i narzędzi, ale nie jesteśmy w stanie uzupełniać zapasów sprzętu, który się popsuł, rzeczy, które uległy zużyciu. Jest pewien przydział amunicji, sprzętu i żywności, który będzie ulegał zużyciu, ale osadnicy nie mogą liczyć na dodatkowe dostawy.

— I mnie też tak wyposażyliście? — spytał Perceveral.

— Oczywiście. Dla kontroli daliśmy panu sprzęt o minimalnej wartości. Tylko w ten sposób będziemy się mogli zorientować, jakie szansę mają osadnicy na Thecie.

— Ale to nieuczciwe! Zwiadowcy zawsze dostają najlepszy sprzęt!

— Nie, tak było dawniej, przy zwiadowcach typu optymalnego. Ale teraz szukamy dolnej granicy, możliwości i dotyczy to zarówno zwiadowców, jak i sprzętu. Uprzedzałem pana, że będą niespodzianki.

— Tak, to prawda — westchnął Perceveral. — Ale... Zresztą dobrze. Czy chowa pan w zanadrzu jeszcze jakieś?

— Właściwie nie — powiedział Haskell po chwili namysłu. — Zarówno pan sam, jak i sprzęt przedstawicie najniższą jakość. Tego wymaga istota eksperymentu.

Perceveral wyczuł coś wymijającego w tej odpowiedzi, ale Haskell nie chciał wdawać się w szczegóły. Rozmowa zastała zakończona i Perceveral wrócił do chaosu swojego obozowiska.

Zaczął od tego, że przy pomocy robota przeniósł obóz do lasu dla ochrony przed powtórными atakami ptaków. W czasie tej pracy zauważył, że co najmniej połowa lin jest przetarta, baterie elektryczne słabną, a płótno namiotów nadzarte jest pleśnią. W pocie czoła naprawiał to wszystko, zdzierając sobie skórę z rąk i raniąc palce. Potem nawalił mu generator.

Stracił trzy dni, starając się znaleźć przyczynę awarii za pomocą źle wydrukowanej instrukcji obsługi w niemieckim, która była dołączona do urządzenia. Zdawało mu się, że wszystkie części są

poprzestawiane i nic nie działa. Wreszcie odkrył, że instrukcja dotyczy zupełnie innego modelu. Wyszedł z siebie, kopnął generator z całej siły, omal nie łamiąc sobie palca u nogi. Po chwili wziął się jednak w garść i pracował przez następne cztery dni, ustalając drobiazgowo różnice między swoim modelem a opisanym w broszurce, aż wreszcie uruchomił generator.

Ale ptaki i tu go znalazły — pikując pomiędzy drzewami, porywały z obozu jedzenie, zanim zdążył wycelować. Ich ataki kosztowały Perceverala parę okularów i brzydką ranę na szyi. Pracowicie utkał sieci i przy pomocy robota zawiesił je na gałęziach ponad obozem.

Ptaki były zaskoczone. Perceveral nareszcie miał chwilę czasu, aby skontrolować zapasy żywności. Przy okazji stwierdził, że wiele konserw było podłej jakości, a inne zapasy padły ofiarą jakiejś paskudnej pleśni. I jedne i drugie nadawały się tylko do wyrzucenia. Wiedział, że jeśli natychmiast nie podejmie jakichś kroków, zostanie na zimę bez żywności.

Przeprowadził serię analiz miejscowych owoców, traw, jagód i jarzyn. Okazało się, że są wśród nich pożywne i zdrowe. Włączył je do swego menu, po czym dostał dokuczliwej wysypki alergicznej. Pracując uporczywie i wykorzystując wszystkie możliwości podręcznej apteczki wyleczył się z wysypki i przystąpił do prób, mających na celu znalezienie rośliny wywołującej przykre objawy. Ale właśnie kiedy sprawdzał wyniki, do namiotu wlał robot i poprzewracał próbówki, wylewając bezcenne odczynniki. Dalsze próby Perceveral musiał przeprowadzać na sobie — w rezultacie wykreślił z jadłospisu jeden rodzaj jagód i „dwie jarzyny. Na szczęście inne owoce były znakomite, a z ziarna można było piec doskonały chleb. Perceveral zebrał nasiona i późną wiosną skierował robota do pracy w polu.

Robot od świtu do nocy pracował w polu, a Perceveral w tym czasie zapoznawał się bliżej z okolicą. Znalazł gładkie, płaskie kamienie ze śladami liter czy cyfr i nawet ze schematycznymi rysunkami drzew, gór i obłoków. Doszedł do przekonania, że na planecie żyły lub nawet żyją gdzieś nadal istoty rozumne. Niestety, nie miał czasu na dalsze poszukiwania w tym kierunku, gdyż w czasie obchodu gospodarstwa stwierdził, że robot zasiał zboże o wiele za głęboko. Ziarno zostało zmarnowane i Perceveral obsiał pola jeszcze raz własnoręcznie.

Zbudował również drewniany szałas i magazyny w miejsce zbutwiałych namiotów. Powoli przygotowywał się do przetrwania zimy. I również powoli narastało w nim podejrzenie, że robot zaczyna nawalać.

Wielka, czarna wszechstronna maszyna nadal wykonywała swoje zadania ale jej ruchy stawały się nerwowe i traciła panowanie nad swoją siłą. Masywne naczynia pękały w jej uścisku, a narzędzia rolnicze gięły się i łamały. Perceveral zlecił robotowi oczyszczenie pól z chwastów, ale w czasie gdy rękami wrywał on zielsko, jego wielkie płaskie stopy tratowały kielkujące zboże. Próby rąbania drzewa kończyły się zazwyczaj złamaniem siekiery. Chata drżała w posadach, kiedy robot wchodził, a drzwi nieraz wyskakiwały z zawiasów.

Perceveral zastanawiał się, co począć wobec tych oznak sklerozy robota. Nie mógł go zreperować, gdyż machina była tak skonstruowana, że można ją było rozmontować wyłącznie w macierzystej fabryce, przy użyciu specjalnych narzędzi. Pozostawało jedynie w ogóle zrezygnować z usług robota, ale wtedy Perceveral zostałby zupełnie sam.

Na razie wyznaczał mu coraz to prostsze zadania i więcej prac brał na siebie. Mimo to stan robota stale się pogarszał. Pewnego wieczoru, gdy Perceveral jadł kolację, robot zatoczył się na piec strącając garnek gotującego się ryżu.

Na szczęście Perceveral wyrobił sobie już niezły refleks i błyskawicznie uchylił się, tak że wrząca masa trafiła go w ramię, a nie w twarz.

Tego już było za wiele. Obecność robota stawała niebezpieczna. Opatrzywszy sobie oparzenia Perceveral postanowił wyłączyć robota i samotnie kontynuować walkę o życie. Zdecydowanym głosem wydał rozkaz wyłączenia.

Robot spojrział tylko w jego stronę i jak gdyby nigdy nic dalej kręcił się po chacie, nie reagując na swoją podstawową komendę. Perceveral powtórzył rozkaz, robot pokręcił głową i zaczął układać drzewo przy kuchni. Coś się zacięło. Trzeba będzie wyłączyć robota ręcznie — tylko że na lśniącej powierzchni maszyny nie było ani śladu kontaktu wyłączającego dopływ energii. Mimo to Perceveral wyjął skrzyneczkę z narzędziami i zbliżył się do robota. Ku jego zdumieniu robot cofnął się, unosząc obronnym gestem ramiona...

— Stój! — krzyknął Perceveral.

Robot cofał się w dalszym ciągu, aż plecami dotknął ściany. Perceveral zawahał się, zastanawiając się, co tu jest nie w porządku. Maszyny nie mogły odmawiać wykonania rozkazu, a gotowość do poświęcenia „życia” była zaprogramowana w każdym robocie.

Perceveral zbliżył się do robota, zdecydowany wyłączyć go za wszelką cenę. Robot pozwolił mu podejść i nagle zadał mu cios swoją pancerną pięścią. Perceveral zrobił unik, próbując trzymanym w ręku kluczem francuskim złamać antenę robota. Ten jednak błyskawicznie wciągnął antenę i powtórnie zadał cios, tym razem trafiając.

Perceveral zwałił się na podłogę i zamknął oczy, przygotowany na śmiertelny cios. Robot stał nad nim, błyskając czerwonymi światełkami oczu i zaciskając stalowe pięści, nagle odwrócił się i wyszedł na dwór, po drodze demolując drzwi. Perceverala doszedł odgłos rąbania drzewa.

Rozłożył apteczkę i opatrzył sobie stłuczony bok. Robot skończył pracę i zameldował się po dalsze rozkazy. Drżącym głosem Perceveral wysłał go do oddalonego źródła po wodę. Robot posłuchał, nie wykazując żadnych agresywnych skłonności, a Perceveral z trudem dowlóknął się do namiotu radiowego.

— Nie powinien pan próbować go wyłączać — powiedział Haskell, kiedy usłyszał, co się wydarzyło. — On nie ma tego w programie; czy pan nie zauważył? Dla swego własnego dobra nie powinien pan tego więcej robić.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ, jak pan się zapewne już domyśla, robot działa jako element kontroli jakości. Pańskiej jakości.

— Nie rozumiem — powiedział Perceveral — po co wam kontrola jakości?

— Czy naprawdę trzeba to panu tłumaczyć? — spytał Haskell zniecierpliwiony. — Zatrudniliśmy pana jako zwiadowcę o minimalnych zdolnościach. Nie średnich i nie wybitnych. Minimalnych.

— Tak, ale...

— Proszę mi pozwolić dokończyć. Już pan zapomniał, jak to było przez te trzydzieści cztery lata na Ziemi? Nieustannie prześladowały pana wypadki, choroby i w ogóle wszelkie nieszczęścia. I dlatego wysłaliśmy pana na Thetę. Ale pan się zmienił, panie Perceveral.

— Staralem się.

— Oczywiście — powiedział Haskell. — Spodziewaliśmy się tego. Większość naszych zwiadowców zmienia się w nowym otoczeniu; zaczynając wszystko od nowa biorą się w garść i dokonują rzeczy, które nigdy by im się udały na Ziemi. Ale to nie jest to, o co nam chodzi i dlatego musimy zrównoważyć zmiany w ich charakterze. Koloniści nie przyjeżdżają na nową planetę po to, by pracować nad sobą. A poza tym w każdej grupie są ludzie nieostrożni, nie mówiąc o starych, słabowitych, roztargnionych, ryzykantach, dzieciach i tak dalej. Nasz standard zwiadowcy o minimalnych zdolnościach gwarantuje szansę utrzymania się przy życiu na nowej planecie. Czy wreszcie zaczyna pan rozumieć?

— Myślę, że tak...

— Dlatego właśnie potrzebna nam jest stała kontrola, aby nie osiągnął pan średniego lub nawet wyższego poziomu zdolności, które są dla naszych celów nieprzydatnej

— I po to jest robot — powiedział Perceveral drewnianym głosem.

— Tak. Robot jest tak zaprogramowany, że działa jako kontroler pańskich możliwości. I odpowiednio reaguje na zmiany. Dopóki pańskie zdolności życiowe utrzymują się poniżej ustalonego poziomu — robot działa normalnie. Ale w miarę jak pan się rozwija, staje się zreźniejszszy i bardziej odporny, robot działa coraz gorzej. Zaczyna psuć rzeczy, które pan powinien zepsuć, podejmuje za pana błędne decyzje...

— To jest nieuczciwe!

— Panie Perceveral, zapomina pan, że my nie prowadzimy sanatorium i naszym celem nie jest robienie z pana człowieka. Interesuje nas tylko praca, za którą płacimy i którą ma pan wykonać. Pozwolę sobie przypomnieć, że alternatywą tej pracy było samobójstwo.

— Dobra! — krzyknął Perceveral. — Zrobię, co do mnie należy. Chcę tylko wiedzieć, czy wolno mi rozmontować tego cholernego robota?

— Wolno panu — powiedział Haskell ciszej — jeśli pan potrafi. Ale szczerze panu odradzam. To jest zbyt niebezpieczne. Robot nie pozwoli się unieruchomić.

— O tym ja będę decydował, a nie on — powiedział Perceveral i odwiesił słuchawkę.

Wiosna minęła pod znakiem ciągłych kłopotów z robotem. Perceveral kazał mu robić dalekie wyprawy w góry, ale robot nie chciał się zbyt oddalać. Perceveral próbował więc nie dawać mu żadnych poleceń, ale czarny potwór nie chciał pozostawać bezczynny i sam wyznaczał sobie zadania, szerząc spustoszenie w magazynach i na polach.

Broniąc się Perceveral zlecił robotowi najbardziej nieszkodliwą pracę, jaka mu przyszła do głowy: kazał mu kopać studnię, w nadziei, że się w niej w końcu pogrzebie. Ale zawzięty robot triumfalnie co wieczór wylaniał się spod ziemi i włąził do chaty, strząsając piach w jedzenie Perceverala, zarażając go chorobami skóry, tłukąc talerze i szyby w oknach.

Perceveral znosił to zaciskając zęby z bezsilnej złości. Robot wydawał mu się teraz ucieleśnieniem drugiej, gorszej połowy jego samego — niezdarnego i pechowego Perceverala. Obserwując nieszczęsne poczynania robota miał wrażenie, że patrzy na samego siebie w krzywym zwierciadle, na swoją słabość, która przybrała materialne kształty.

Próbował uwolnić się od tej myśli, ale robot coraz bardziej kojarzył mu się z własnymi niszczyielskimi popędami, które wymknęły się spod kontroli i buszują na swobodzie.

Perceveral pracował, a jego zmora czaiła mu się za plecami, zawsze obecna i jak wszystkie twory fantazji niepokonana. Ta zmora żyła z nim, patrzyła na niego, kiedy jadł, była przy nim, gdy spał.

Perceveral wykonywał swoją pracę coraz lepiej. Jednak każdego dnia z niepokojem oczekiwał zachodu słońca i groźby nocy, kiedy to robot stał przy jego łóżku, jakby zastanawiając się, czy nie nadeszła już godzina ostatecznego porachunku. Co rana obmyślał nowe sposoby pozbycia się niszczyielskiej zmory. Z czasem ta nieznośna sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej.

Przez kilka dni padały ulewne deszcze. Kiedy się wreszcie przejaśniło, Perceveral poszedł obejrzeć zasiewy. Robot stąpał ciężko za nim, niosąc narzędzia. Nagle mokra ziemia zapadła się, tworząc szczelinę. Perceveral skoczył i zawisł na stromym zboczu, a robot wyciągnął go na równy grunt, omal mu przy tym nie wrywając ręki.

Oglądając zapadlinę Perceveral zobaczył, że pod ziemią przebiega tunel. Widać było wyraźne ślady kopania i z jednej strony wylot korytarza biegnącego głęboko pod ziemią.

Perceveral wrócił po broń i latarkę. Tak uzbrojony ześliznął się do zapadliska, oświetlił wnętrze tunelu i zobaczył wielki, pokryty sierścią kształt, kryjący się pośpiesznie za zakrętem. Wyglądało to jak ogromny kret.

Nareszcie odkrył nową formę życia na planecie!

Przez kilka następnych dni ostrożnie badał tunele. Kilkakrotnie mignęły mu szare krecie cienie, ale zawsze kryły się przed nim w mrocznych labiryntach.

Postanowił zmienić taktykę. Zapуścił się zaledwie kilkaset metrów w głąb głównego korytarza i pozostawił tam dar w postaci owoców. Kiedy powrócił następnego dnia, owoców nie było. Na ich

miejscu leżały dwie bryłki ołowiu.

Ta wymiana trwała tydzień, aż pewnego dnia, kiedy Perceveral przyniósł kolejną porcję owoców, pojawił się wielki kret. Zbliżał się do Perceverala powoli, wyraźnie zdenerwowany. Sądząc z ruchów raziło go światło latarki, więc Perceveral zasłonił reflektor. Czekał bez ruchu. Kret podchodził wolno na tylnych łapach, ruszając nosem, a małe, pomarszczone rączki miał splecione na piersi. Wreszcie zatrzymał się, wpatrzony w Perceverala wylupiastymi oczami. Potem schylił się i wydrapał na ziemi jakiś znak. Perceveral nie wiedział, co to znaczy, ale sam gest wskazywał na obecność rozumu, języka i zdolności do . abstrahowania. Narysował podobny znak, żeby dać to samo kretowi do zrozumienia.

Tak rozpoczęła się pierwsza próba nawiązania kontaktu między odmiennymi istotami rozumnymi. Robot stał z tyłu, błyskając oczami i obserwując próbę porozumienia się człowieka i kreta. Spotkanie z kretami oznaczało nowe obowiązki dla Perceverala. W dalszym ciągu musiał pracować w polu i w ogrodzie, naprawiać sprzęt i pilnować robota, tylko że wszystkie wolne chwile wykorzystywał na naukę języka kretów, które nie szczędziły wysiłków, by mu w tym pomóc. Stopniowo uczyli się nawzajem rozumieć, polubili się i zaprzyjaźnili. Perceveral dowiadywał się o ich życiu codziennym, o niechęci do światła, o ich podziemnych wyprawach i umiłowaniu wiedzy. Sam z kolei opowiadał im o człowieku.

— A co to za metalowa rzecz? — dopytywały się krety...

— Sługa człowieka.

— Ale ona stoi za tobą i wytrzeszcza oczy. Ta metalowa rzecz cię nienawidzi. Czy one wszystkie nienawidzą ludzi?

— Nie — wyjaśnił Perceveral. — To jest szczególny przypadek.

— My się tego boimy. Czy wszystkie metalowe rzeczy są takie groźne?

— Nie, tylko niektóre.

— Trudno nam jest myśleć i rozmawiać, kiedy ta metalowa rzecz patrzy na nas. Czy tak jest z nimi zawsze?

— Czasami to denerwuje — przyznał Perceveral. — Ale nie obawiajcie się, robot nie zrobi wam krzywdy.

Ale krety nie były zupełnie przekonane. Perceveral przeproszał je za ciężką, chwiejną i natrętną maszynę, mówił o wykorzystaniu maszyn w służbie człowieka i o licznych ułatwieniach życiowych, możliwych dzięki ich zastosowaniu. Ale krety wciąż nie dowierzały i ze strachem cofały się na widok robota.

Mimo to, po długotrwałych negocjacjach, Perceveral zawarł z nimi traktat. W zamian za dostawy świeżych owoców, które były bardzo cenione, a trudno osiągalne w podziemnym świecie, krety

zgodziły się na dostarczanie wiadomości o złożach metali oraz o źródłach wody i ropy naftowej na użytek przyszłych osadników. Dalej traktat oddawał całą powierzchnię planety osadnikom z Ziemi, potwierdzając panowanie kretów pod powierzchnią. Takie rozwiązanie zadowalało obie strony i zarówno Perceveral jak i wódz kretów podpisali kamienny dokument z takimi zakrętami, na jakie tylko pozwolił oporny materiał.

Aby przypieczętować traktat, Perceveral wydał ucztę: wraz z robotem przynieśli kretom w darze mnóstwo pięknych owoców. Wilgotnookie, pokryte szarym futrem stworzenia zebrały się wokół piszcząc ochoczo.

Robot postawił na ziemi kosz z owocami, ale robiąc krok do tyłu pośliznął się na gładkim kamieniu, stracił równowagę i zwałił się jak długi, przygniatając jednego z kretów. Natychmiast zerwał się na nogi, próbując podnieść go swoimi niezgrabnymi żelaznymi łapskami. Na próżno jednak — biedne stworzenie miało złamany kręgosłup. Pozostałe krety uciekły, unosząc ciało zabitego towarzysza. Perceveral i robot zostali sami w tunelu pośród stosów owoców.

Tej nocy Perceveral długo rozmyślał. Widział przekłą logikę całego wydarzenia. Przy zastosowaniu kryterium minimalnych szans również kontakty z mieszkańcami innych planet muszą zawierać element niepewności, niedowierzania, a nawet uwzględnić wypadki śmiertelne. Jego spotkania z ludźmi–kretami przebiegały widocznie zbyt gładko. Robot po prostu wniósł poprawkę do sytuacji i popełnił błąd, który powinien był zrobić on sam.

Ale chociaż Perceveral rozumiał logikę wydarzeń, nie mógł się z nią pogodzić. Ludzie–krety byli jego przyjaciółmi, a on zawiódł ich zaufanie. Nie może być teraz mowy o wzajemnym zrozumieniu, o współpracy z przyszłymi osadnikami. W każdym razie tak długo, dopóki po podziemnych korytarzach będzie się rozbijał robot.

Perceveral postanowił go zniszczyć. Postanowił twardo poddać próbie swoje z trudem zdobyte umiejętności i pozbyć się raz na zawsze tej snującej się za nim zmory. A gdyby nawet miał to przypłacić życiem, to przecież zaledwie rok temu chciał popełnić samobójstwo dla znacznie mniej ważnych powodów.

Ponownie nawiązał kontakt z kretami i omówił z nimi sprawę. Zgodziły się mu pomóc, gdyż nawet te łagodne stworzenia wiedziały, co to zemsta. Wystąpiły nawet z kilkoma projektami, które były zadziwiająco ludzkie, krety bowiem również znały pewne formy wojny. Perceveral przystał na ich plany.

Za tydzień krety były gotowe. Perceveral wziął ze sobą do tunelu robota z koszami owoców, jakby znowu wydawał ucztę. Gospodarzy nie było nigdzie widać. Perceveral wraz z robotem zagłębiali się coraz dalej w podziemne labirynty, oświetlając sobie drogę latarką, świecił czerwono oczami i trzymał się blisko Perceverala depcząc mu niemal po piętach.

Tak doszli do podziemnej groty. W ciemności rozległ się cichy gwizd i Perceveral ruszył przed siebie sprintem. Robot przeczuł niebezpieczeństwo, próbował pójść w jego ślady, ale potknął się, zahamowany przez swoją zaprogramowaną niezdarność, i rozsypał owoce. Z ciemności kryjącej górną część groty spadły liny, oplatając mu głowę i ramiona. Próbował rozerwać mocne sznury, ale

coraz ich więcej spadało ze świstem. Oczy robotabłyszczały, kiedy zrywał liny z rąk. Z ciemnych korytarzy wypadła chmara kretów — pęta coraz gęściej oplatały robota, który wysiłał się tak, że aż mu olej kapał ze stawów rąk i nóg. W ciszy podziemia słychać było tylko świst zarzucanych lin, chrzęst stawów robota i suchy trzask pękających sznurów.

Perceveral włączył się do walki. Wspólnie omotywali robota coraz ciaśniej, tak by się wreszcie nie mógł poruszyć. Mimo to zrzucano wciąż nowe liny, aż upadł jak wielki kokon, z którego wystawały tylko stopy i głowa.

Ludzie–krety zapiszczały zwycięsko; swoimi tępych pazurami usiłowały wydrapać robotowi oczy, a kiedy zasunął stalowe powieki, sypały mu piasek w stawy. Perceveral odepchnął tłum, zamierzał stopić robota w płomieniu swojej strzelby laserowej.

Strzelba jednak odmówiła posłuszeństwa, zanim zdążył się rozgrzać. Wtedy krety przywiązały koniec liny do stóp robota i pociągnęły go korytarzem, który prowadził na skraj głębokiej przepaści. Zepchnąwszy wroga słuchały, jak obijał się o występy granitowych skał.

Gdy kreci lud wiwatował, Perceveral czuł się paskudnie. Wrócił do chaty i nie wstawał z łóżka przez dwa dni, tłumacząc sobie, że nie było to zabójstwo człowieka ani w ogóle żywej istoty — po prostu unieszkodliwił niebezpieczną maszynę. Ale nie potrafił zapomnieć milczącego towarzysza, który ramię w ramię z nim walczył z ptakami, uprawiał jego pole i rąbał dla niego drzewo. I chociaż robot był niezgrabny i psuł wszystko, do czego się dotknął, robił to w sposób mu bliski. Początkowo Perceveral czuł się tak, jakby umarła część jego samego. Ale pocieszały go wieczorne odwiedziny kretów, a praca w polu i w magazynach nie zostawiała czasu na rozmyślenia. Była jesień, czas żniw. Perceveral wziął się do pracy. Wraz ze zniknięciem robota wróciła jego własna chroniczna skłonność do nieszczęśliwych wypadków. Stawił jej czoła z wiarą we własne siły. Przed pierwszym śniegiem prace związane ze żniwami i zabezpieczeniem zbiorów zostały zakończone. Jego roczna służba na Thecie dobiegła końca.

Wysłał do Haskella szczegółowy raport o perspektywach życia na planecie z jej niebezpieczeństwami i potencjalnymi możliwościami, przekazał treść swojej umowy z kretami i zakończył wnioskiem o przysłanie osadników. Po dwóch tygodniach Haskell odpowiedział:

— Zrobił pan kawał roboty. Dyrekcja zdecydowała, że Theta stuprocentowo odpowiada naszemu standardowi–minimum. Natychmiast wysyłamy statek z osadnikami.

— Więc mój zwiad jest skończony?

— Tak jest. Statek powinien przybyć za trzy miesiące. Sprawę możemy uznać za zamkniętą. Gratuluję panu, panie Perceveral. Będzie pan założycielem nowej kolonii!

— Nie wiem, jak panu dziękować, panie Haskell...

— Nie ma mi pan za co dziękować. Wprost przeciwnie. A propos, jak pan sobie poradził z robotem?

— Zniszczyłem go — powiedział Perceveral i opisał wypadek z zabiciem kreta oraz dalszy rozwój sytuacji.

— Hmm — mruknął Haskell.

— Powiedział pan, że to nie jest sprzeczne z przepisami.

— To prawda. Robot był częścią pańskiego ekwipunku — tak samo jak strzelby, namioty i zapasy żywności. I podobnie jak tamte rzeczy był elementem pańskich trudności życiowych. Miał pan prawo zrobić z nim wszystko, co pan potrafi.

— Więc o co chodzi?

— Nic, miejmy nadzieję, że go pan rzeczywiście zniszczył. Modele kontrolujące jakość zwiadowców są bardzo odporne. Mają zaprogramowany instynkt samozachowawczy czy i są przystosowane do samoczynnej naprawy uszkodzeń. Cholernie trudno zniszczyć takiego na dobre.

— Myślę, że mi się udało — powiedział Perceveral.

— Miejmy nadzieję. Znalazłby się pan w niezłych opałach, gdyby się okazało, że robot wyszedł z tego cało.

— Dlaczego? Może się mścić?

— Oczywiście nie. Robot nie zna uczuć.

— Więc dlaczego?

— Problem polega na tym, że zadaniem robota było przeciwdziałanie wszelkim postępom, jakie pan robił rozwijając swoje zdolności, co osiągał siejąc wokół siebie zniszczenie.

— To prawda. I gdyby wrócił, wszystko zacznie się od nowa.

— Gorzej. Robot był z dala od pana przez dłuższy czas. Jeśli jeszcze działa, to nagromadził całą serię zaległych incydentów. Zanim przystąpi do normalnych obowiązków, będzie musiał rozładować zapas niszczycielskich aktów, których powinien dokonać w ciągu całego tego okresu. Na tym polega niebezpieczeństwo.

Perceveral nerwowo przełknął ślinę.

— I oczywiście będzie się starał rozładować je w jak najkrótszym czasie, aby powrócić do normalnej pracy.

— Oczywiście. Statek przybędzie najwcześniej za jakieś trzy miesiące. Radzę upewnić się, czy robot jest rzeczywiście unieruchomiony. Nie chcielibyśmy stracić pana teraz.

— To miłe z pana strony — powiedział Perceveral. — Zaraz się tym zajmę.

Zabrał niezbędne rzeczy i zszedł do podziemnych tuneli. Krety zaprowadziły go na skraj przepaści. Uzbrojony w palnik acetylenowy, piłkę do metalu, łom i młot, zaczął powoli schodzić na dno rozpadliny.

Trafił na miejsce od razu: spomiędzy dwóch wielkich głazów sterczało zgniecione ramię robota, nieco dalej wałały się kawałki rozbitej komórki ocznej. Natknął się także na wielki kłęb poszarpanych i pociętych lin. Ale robota nie było.

Perceveral wdrapał się z powrotem na górę, ostrzegł krety i poszedł przygotować się na spotkanie.

Przez dwanaście dni nic się nie wydarzyło. Pierwszą wiadomość przyniósł wystraszony kret. Robot znowu pojawił się w podziemnych korytarzach, przemierzając mroczne labirynty i błyskając swoim jedynym okiem; widziano, jak kieruje się pewnie w stronę głównego tunelu. Krety oczekiwały go z linami, ale robot nie dał się powtórnie zaskoczyć. Uchylił się przed pętlami i zaatakował krety. Zabił sześć, a pozostałe zmusił do ucieczki.

Perceveral wysłuchał wiadomości i zwolnił posłańca nie przerywając pracy. Ukończył już przygotowania obronne w tunelach, po czym przystąpił do montowania strzelby z czterech popsutych. Pracował do późna w nocy, sprawdzając troskliwie każdą część, zanim ją wmontował w odpowiednie miejsce. Maleńkie detale wirowały mu przed oczami, palce miał jak z drewna. Posługując się pincetą i lupą, niezwykle starannie zaczął składać broń.

Nagle odezwało się radio.

— Anton? — spytał głos Haskella. — Co z robotem.

— Spodziewam się go lada chwila.

— Obawiałem się tego. Słuchaj, porozumiałem się w trybie nadzwyczajnym z producentami twojego robota. Musiałem się z nimi wyklócać, ale wreszcie wydębilem od nich pozwolenie na dezaktywację robota i szczegółowe instrukcje, jak to zrobić.

— Dziękuję — powiedział Perceveral. — A teraz szybko — jak się to robi?

— Potrzebny jest następujący sprzęt: źródło energii o napięciu 220 volt i natężeniu 25 amperów. Dasz sobie z tym radę?

— Tak. Dalej!

— Potrzebna jest też sztabka miedzi, trochę srebrnego drutu i jakiś izolator. Łączy się to w następujący...

— Nie zdążę — powiedział Perceveral — mów szybciej!

Radio zaczęło głośno buczeć.

— Haskell! — krzyknął Perceveral.

Radio zamilkło. Perceveral usłyszał trzask rozbijanej aparatury z sąsiedniego pomieszczenia. W sekundę potem w drzwiach stanął robot. Nie miał lewej ręki i prawego oka, ale uszkodzone miejsca zostały pospawane. Był teraz matowoczarny, z rdzawymi zaciekami na piersi i wzdłuż boków. Perceveral spojrzął na prawie gotową strzelbę i zaczął dopasowywać ostatnie części.

Robot zbliżył się.

— Idź, narąb drzewa — powiedział Perceveral najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Robot zatrzymał się, zrobił w tył zwrot, wziął siekiere i po chwili wahania ruszył do wyjścia. Perceveral zakończył składanie broni, założył pokrywę komory zamkowej i zaczął ją przykręcać.

Robot upuścił siekiere i znów się odwrócił, walcząc ze sprzecznymi rozkazami. Perceveral miał nadzieję, że spowoduje to krótkie spięcie w którymś z obwodów maszyny, ale robot zdecydował się i ruszył na Perceverala.

Perceveral uniósł strzelbę i nacisnął spust. Strumień ognia zaskoczył robota w pół kroku. Jego metalowa powłoka zaczęła się rozżarzać do czerwoności.

I wtedy broń znowu odmówiła posłuszeństwa.

Perceveral zaklął i rzucił ciężką strzelbę, celując w jedyne oko robota. Chybił o milimetr, trafiając w czoło. Ogluszony robot niezdarnie wyciągnął rękę w jego stronę. Perceveral dał nurka pod żelaznym ramieniem i wybiegł z chaty, kierując się w stronę wejścia do podziemi. Po drodze odwrócił się, by sprawdzić, czy napastnik podąża za nim. Po przejściu kilkuset metrów podziemnym tunelem zatrzymał się i z zapaloną latarką czekał na robota.

Zaplanował sobie wszystko szczegółowo, kiedy odkrył, że robot nie został zniszczony. Jego pierwszą myślą była ucieczka. Ale robot idąc dzień i noc bez przerwy musiałby go dogonić. Nie mógł również szukać schronienia w podziemnym labiryncie: musiał przecież zatrzymać się na posiłki i sen. Robot nie potrzebował żadnych przerw.

Wtedy wpadł na pomysł urządzenia serii pułapek w tunelach i z nimi związał wszystkie nadzieje. Był pewien, że któraś z nich musi spełnić swoje zadanie. Ale nawet teraz drżał na myśl o tej lawinie nieszczęśliwych wypadków, jakie robot nagromadził dla niego: złamania rąk i żeber, zwichnięcia kostek, skaleczenia, infekcje i choroby. Wszystko to robot zwałiłby na jego nieszczęsną głowę w jak najkrótszym czasie, aby móc powrócić do normalnego działania. Na pewno by nie przeżył tej feralnej serii. Jedyne nadzieje w pułapkach!

Wkrótce usłyszał ciężkie kroki i z ciemności wyłonił się robot, który ujrzawszy go przyśpieszył kroku. Perceveral puścił się pędem i skręcił w boczny, mniejszy korytarz. Robot pobiegł za nim. Kiedy Perceveral dotarł do upatrzonego występu skały, obejrzał się i zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od robota. Potem szarpnął koniec ukrytego sznura. Sufit korytarza zawalił się, tony piach i kamieni posypały się z góry.

Gdyby robot zrobił jeszcze jeden krok, zostałby pogrzebany, błyskawicznie jednak ocenił sytuację i uskoczył w tył. Obsypał go piasek, a kilka kamieni odskoczyło od jego głowy i ramion, ale głównego

uderzenia uniknął. Kiedy spadł ostatni kamyk, robot wspiął się na rumowisko i ruszył w dalszą pogoń.

Perceveralowi zaczynało brakować tchu. Rozczarowało go to, że pierwsza pułapka zawiodła, ale pamiętał, że w zanadru jeszcze lepszą. Następna na pewno da radę nieubłaganej maszynie. Biegli teraz wijącym się tunelem oświetlanym tylko od czasu do czasu błyskami latarki Perceverala. Odległość między nimi zmniejszała się stale. Perceveral wybiegł na prosty odcinek korytarza i gwałtownie zwiększył szybkość, aż minął miejsce, które na pozór niczym nie różniło się od otoczenia. Ale kiedy stąpnął na nie robot, ziemia zapadła się. Perceveral obliczył to dokładnie. Pokrywa wytrzymywała jego ciężar, ale musiała się zarwać pod robotem.

Robot próbował schwycić się skraju rozpadliny, ale ręka nie znalazła oparcia i ześliznęła się w przygotowaną pułapkę — jamę zwężającą się na dole tak, aby spadając zaklinował się między jej ścianami. Robot jednak zdążył wyrzucić nogi w bok, robiąc prawie szpagat. Stawy zatrzeszczały, kiedy pięty wbijały się w piasek zboczy. Swoją jedyną ręką robot zaczął kopać stopnie. Wkrótce jedna noga zgięła się i znalazła oparcie, potem druga. Powoli robot wydobywał się z dołu i Perceveral znów pobiegł dalej. Brakowało mu tchu i dokuczwała kolka w boku. Robot szybko zmniejszał odległość i Perceveral musiał wyężyć wszystkie siły, aby nie dać się dogonić.

Liczył na te dwie pułapki. Pozostała już tylko jedna. Bardzo dobra, ale ryzykowna.

Mimo wzrastającego otępienia Perceveral zmusił się do koncentracji uwagi. Ostatnia pułapka wymagała dokładnego wyliczenia. Minął kamień z białym znakiem i zgasił latarkę. Zaczął liczyć kroki, pozwalając robotowi zbliżyć się tak, że jego żelazne palce miał o centymetry zaledwie od szyi.

— Osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia! Po dwudziestym kroku Perceveral rzucił się głową naprzód w ciemność. Przez chwilę leciał w powietrzu, po czym zderzył się z powierzchnią wody w płaskim startowym skoku; natychmiast jednak wynurzył głowę i czekał. Robot był za blisko, żeby zahamować. Z wielkim pluskiem wpadł do podziemnego jeziora i po chwili tylko bańki powietrza zdradzały miejsce, gdzie poszedł na dno. Perceveral popłynął w stronę przeciwległego brzegu i wyczołgał się z lodowatej wody. Przez jakiś czas leżał na mokrych kamieniach szczękając zębami.

Potem zmusił się do wysiłku i na czworakach dowlókł się do niszy, gdzie przygotował zawczasu drzewo whisky, ubranie i koce. Wytarł się, zmienił ubranie i rozpałił małe ognisko. Wyciągnął zapasy żywności i obserwował spokojną toń podziemnego jeziora. Kilka dni badał jego głębokość i stwierdził, że lina o długości stu stóp nie sięga dna. Może jezioro jest bezdenne? A łączy się z bystrą podziemną rzeką, która porwie robota. Może...

Nagle dobiegł go słaby dźwięk z głębin — skierował w tę stronę światło latarki. Z wody wyłoniła się najpierw głowa, później ramiona i tułów robota. Widocznie jednak jezioro nie było bezdenne. Robot musiał przejść po dnie i wspiąć się na stromy brzeg po przeciwnej stronie. Zaczął już wdrapywać się na śliskie przybrzeżne skały. Perceveral z trudem wstał i zmusił się do biegu. Ostatnia pułapka zawiodła, jego zmora zbliżała się, aby go zabić. Perceveral skierował się w stronę wyjścia na powierzchnię. Chciał stawić czoła śmierci na otwartej przestrzeni. Biegąc ciężkim truchtem, z nieodstępnym robotem za plecami, wypadł z tunelu wprost na strome zbocze góry. Żołądek podchodził mu do gardła i każdy oddech rozrywał płuca. Biegł z na wpół przymkniętymi

oczami, nieprzytomny ze zmęczenia. Pułapki zawiodły. Dlaczego wcześniej nie zdał sobie sprawy z ich daremności? Robot był przecież częścią jego samego, jego własną słabością nastawioną na zniszczenie go. A czyż można oszukać najgorszą część samego siebie? Prawica zawsze wie, co czyni lewica, a najsprytniejsze fortele nie potrafią oszukać tego, kto jest lepszym oszustem.

Trzeba było zupełnie inaczej zabrać się do rzeczy, myślał Perceveral pnąc się pod górę. Droga do wolności nie prowadzi przez oszustwo. To jest...

Robot chwycił o za piętę, przypominając o różnicy między wiedzą teoretyczną i praktyką. Perceveral wyswobodził nogę i zaczął bombardować robota kamieniami. Ten jednak opędzał się od nich i wspinał dalej.

Perceveral przeszedł trawersem stromą płaszczyzną skalną. Droga do wolności, powtarzał sobie, nie prowadzi przez oszustwo. To się nie może udać. Jedyne wyjście to zmienić samego siebie! Droga do wolności to pokonanie nie robota, ale tego, co robot przedstawia — własnej słabości. Jego umysł pracował teraz jasno i lekko. Jeżeli, myślał, uda mu się pokonać poczucie swojego związku z robotem — wtedy robot przestanie być jego słabością. Będzie po prostu zmorą, nie mającą nad nim władzy. Wystarczy pozbyć się własnego kompleksu — choćby na dziesięć minut — i robot przestanie być groźny.

Zmęczenie znikło, Perceveral poczuł wzmacniający przypływ wiary we własne siły. Śmiało przebiegł rumowisko ostrych głazów, wymarzone miejsce na skręcenie kostki lub złamanie nogi. Rok czy nawet miesiąc temu wypadek byłby nieunikniony. Ale nowy Perceveral szedł skacząc po górach nieomylnie jak bożek.

Kaleki robot posłusznie wziął wypadek na siebie. Pośliznął się i zwałił jak długi na ostre skały. Kiedy się podniósł, aby kontynuować pogoń, widać było, że kuleje. Poruszając się jak w transie Perceveral dotarł do podnóża granitowej ściany i podskoczył do ledwie widocznego występu. Na chwilę zawisł w powietrzu. Potem, kiedy palce zaczęły się już ześlizgiwać, znalazł oparcie dla stopy. Bez wahania podciągnął się w górę. Robot szedł w jego ślady ze zgrzytem metalu. Wspinając się na skałę, na której powinno się coś przydarzyć Perceveralowi, złamał sobie palec. Perceveral przeskakiwał z głazu na głaz. Robot ścigał go ślizgając się i potykając, ale nie zostając w tyle. Perceveral nie przejmował się tym. Nagle pomyślał sobie, że na tę chwilę złożyły się wszystkie lata, w których wykazywał niezwykłą skłonność do wypadków. Koło fortuny odwróciło się. Wyczerpał przeznaczony mu przez naturę zapas nieszczęśliwych zbiegów okoliczności i oto teraz jest przed nimi całkowicie zabezpieczony!

Robot czołgał się w ślad za nim po stromej płaszczyźnie białej skały. Perceveral w przypływie euforii zaczął spychać w dół głazy i krzyczeć, aby spowodować lawinę. Kamienie zaczęły się toczyć po stoku, z góry doszedł głośny łoskot. Perceveral schronił się za blokiem skalnym, umknął przed wyciągniętym ramieniem robota i... znalazł się w ślepym zaułku.

Był w małej, płytkiej grocie, na wprost niego stał robot tarasując wyjście, z żelazną pięścią gotową do ciosu. Perceveral nie mógł powstrzymać się od śmiechu na widok biednego, niezgrabnego, pechowego robota. Żelazna pięść z całą siłą wystrzeliła do przodu. Perceveral zrobił unik, ale mógł się nie trudzić. Niezdarny robot i tak chybił o kilka centymetrów. Można się było tego

spodziewać po tym śmiesznym, pechowym stworzeniu.

Potężny zamach zachwiał równowagą robota stojącego na skraju skały. Każdy normalny człowiek czy robot łatwo odzyskałby równowagę, ale nie on. Upadł na twarz, rozbijając jedyne oko, i zaczął się staczać w dół.

Perceveral wyjrzał z grotu i natychmiast schował się z powrotem. Na pomoc przysła mu lawina, tocząc zmniejszający się czarny przedmiot po białym stoku i grzebiąc go wreszcie pod zwałami kamieni.

Perceveral przyglądał się temu z chichotem. Po chwili jednak zaczął się zastanawiać, co tu właściwie zaszło.

I wtedy dopiero przebiegł go dreszcz przerażenia.

W kilka miesięcy później Perceveral stał przy trapie wielkiego statku „Cuchulain”, patrząc na wysiadających osadników. Byli to najróżniejsi ludzie. Wszyscy oni przybyli na Thetę, aby szukać nowego życia. Każdy z nich był bardzo ważny, przynajmniej dla siebie samego, i każdy zasługiwał na szansę życiową niezależnie od swoich możliwości.

I To on, Anton Perceveral, na własnej skórze wypróbował dla nich warunki życia na Thecie, to on dał nadzieję nawet najmniej zdolnym spośród nich — pechowcom — którzy również chcieli żyć. Odwrócił się od strumienia wysiadających pionierów i wszedł na statek innym wejściem. Zapukał do kabiny Haskella.

— No i jak, Anton — spytał Haskell — co o nich sądzisz?

— Wyglądają na sympatycznych ludzi — odpowiedział Perceveral.

— Masz rację. Uważają cię za swojego przywódcę. Jesteś im potrzebny. Zostaniesz tutaj?

— Uważam Thetę za swoją ojczyznę.

— A więc załatwione. Trzeba tylko...

— Chwileczkę — przerwał Perceveral — jeszcze nie skończyłem. Uważam Thetę za swoją ojczyznę. Chcę się tutaj osiedlić, ożenić, wychować dzieci. Ale jeszcze nie teraz.

— Jak to?

— Spodobał mi się zawód zwiadowcy. Chciałbym jeszcze popracować na jednej czy dwóch planetach. Potem osiedlę się na Thecie.

— Obawiałem się, że tak będzie — powiedział Haskell z westchnieniem.

— Dlaczego? Czy są jakieś przeszkody?

— Nie. Ale niestety nie będziemy mogli już korzystać z twoich usług jako zwiadowcy.

— Dlaczego?

— Wiesz doskonale, kogo szukamy. Potrzebni nam ludzie o minimalnych zdolnościach życiowych. A ciebie już w żaden sposób nie da się podciągnąć pod tę kategorię ludzi.

— Przecież jestem tym samym człowiekiem! Oczywiście, że zmieniłem się na tej planecie. Ale byliście na to przygotowani i mieliście robota, który wnosił poprawki. A pod koniec...

— Właśnie, właśnie.

— Pod koniec mnie poniosło. Myślę, że byłem pijany czy coś takiego. Nie wyobrażam sobie, jak mogłem to zrobić.

— Faktem jest, żeś to zrobił.

— To prawda, ale przecież i tak ledwo udało mi się przeżyć. O włos! Czy to nie dowodzi, że wciąż jeszcze prezentuję minimalne wartości?

Haskell wyduł wargi i zamyślił się.

— Anton, prawie mnie przekonałeś. Ale obawiam się, że nadaremnie tracisz czas. Naprawdę nie mogę cię już uważać za materiał na zwiadowcę—minimum. Obawiam się, że będziesz musiał pogodzić się z losem i zostać tutaj.

Perceveral wtulił głowę w ramiona, skinął ze smutkiem i podał na pożegnanie rękę Haskellowi. Cofając ją zawadził rękawem o kałamarz i stracił go z biurka. Schylił aby złapać kałamarz, i uderzył głową w kant biurka, wylewając atrament na siebie. Wstając zaczepił nogą o krzesło i przewrócił się jak długi.

— Anton — spytał Haskell — czy ty udajesz?

— Niech to cholera, niestety nie.

— Hmm, to ciekawe. Nie chcę ci robić nadziei, ale może...

Haskell spojrzał na zarumienioną twarz Perceverala i wybuchnął śmiechem.

— A niech to diabli! Prawie mnie nabrał. No, czas na ciebie. Osadnicy wznoszą obelisk ku twojej czci i pewnie chcieliby, żebyś wziął udział w uroczystości.

Zawstydzony, ale uśmiechnięty, Anton Perceveral wyszedł na spotkanie swego nowego życia.

Cena

Carrin uznał, że jego podły nastrój ciągnie się od samobójstwa Millera w zeszłym tygodniu. Świadomość ta wcale nie pomogła mu uwolnić się od niejasnych, bezkształtnych obaw. Było to głupie. Samobójstwo Millera nie miało z nim żadnego związku.

Tylko dlaczego ten gruby pogodny człowiek to zrobił? Miller miał po co żyć — żona, dzieci, dobra praca i wszystkie wspaniałe luksusy naszego wieku. Dlaczego on to zrobił?

— Dzień dobry, kochanie! — powitała go żona, kiedy siadał do śniadania.

— Dzień dobry! Cześć Billy!

Syn coś odmruknął.

Z ludźmi nic nie wiadomo, podsumował Carrin i zamówił śniadanie. Posiłek był elegancko przygotowany i podany przez nowy automat kuchenny firmy Avignon Electric.

Ponury nastrój Carrina nie przechodził... a tak chciał być dzisiaj w najlepszej formie. Miał wolne i oczekiwał wizyty przedstawiciela Avignon Electric. Był to ważny dzień.

Odprowadził syna do drzwi.

— Trzymaj się, Billy!

Syn kiwnął głową, przełożył teczkę z ręki do ręki i wyszedł bez słowa. Carrin zastanowił się, czy chłopak nie ma jakichś zmartwień. Miał nadzieję, że nie. Jeden zmartwiony w rodzinie wystarczy aż nadto.

— Do zobaczenia, kochanie. — Pocałował żonę, która wyruszała na zakupy.

Ona w każdym razie jest szczęśliwa, pomyślał patrząc, jak żona oddała się chodnikiem. Ciekawe, ile dziś wyda w sklepie A.E., przemknęło mu przez myśl.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze pół godziny do wizyty przedstawiciela A.E. Najlepszy sposób na zły nastrój, to splukać go, pomyślał i poszedł wziąć natrysk.

Kabina z natryskiem była lśniącym plastikowym cudem i sam widok tego luksusu przyniósł Carrinowi ulgę. Wrzucił ubranie do automatu piorąco-relaksującego A.E. i nastawił natrysk na maksimum. O pięć stopni cieplejsza od temperatury ciała woda smagała jego chude, białe ciało. Potem relaksujący masaż autoręcznikiem A.E.

Wspaniale, myślał, podczas gdy automat rozciągał i ugniatał jego wątłe mięśnie. I powinno być wspaniale, przypomniał sobie. Autoręcznik z przystawką golącą kosztował trzysta trzynaście dolarów

plus podatek.

Ale wart był tego, uznał, podczas gdy golarka A.E. wysunęła się z kąta i usunęła mu z twarzy zadatki zarostu. Ostatecznie, cóż warte byłoby życie, gdyby człowiek nie mógł korzystać z tej odrobiny luksusu?

Czuł, że jego skóra żyje, kiedy wyłączył autoręcznik. Powinien się czuć wspaniale, ale tak nie było. Samobójstwo Millera nie wychodziło mu z głowy rujnując jego wolny dzień.

Czy coś jeszcze leżało mu na wątrobie? W domu przecież wszystko było w porządku, papiery dla przedstawiciela A.E. miał przygotowane.

— Czy nic nie zapomniałem? — zadał sobie na głos pytanie.

— Za piętnaście minut przyjdzie przedstawiciel Avignon Electric — przypomniał mu szeptem ścienny kalendarz firmy A.E.

— Wiem. Czy coś jeszcze?

Kalendarz wyrecytował długą listę zadań: podlać trawnik, oddać super-turbo do przeglądu, kupić kotlety jagnięce na poniedziałek, i tak dalej. Rzeczy, na które od dawna nie mógł znaleźć czasu.

— Dość. Wystarczy.

Pozwolił się ubrać automatycznemu kamerdynerowi, który zręcznie udrapował dobrane tkaniny na jego kościstej postaci. Na zakończenie mgiełka modnych męskich perfum i przeszedł do salonu, przeciskając się między stojącymi wzdłuż ścian urządzeniami.

Rzut oka na ściennie wskaźniki upewnił go, że w domu panował porządek. Naczynia po śniadaniu zostały zdezynfekowane i odstawione do kredensu, mieszkanie wysprzątane, odkurzone, wypolerowane, ubrania żony powieszzone, gwiazdoloty syna schowane do szafy.

— Przestań się martwić, ty hipochondryku! — powiedział do siebie ze złością.

— Pan Pathis z działu rozliczeń Avignon Electric — zaanonsowały drzwi.

Carrin już miał powiedzieć drzwiom, żeby się otworzyły, kiedy zauważył automatycznego barmana.

Dobry Boże, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Automatyczny barman był produktem Castile Motors. Kupił go w chwili słabości. Firma A.E. nie byłaby zachwycona, ponieważ produkowała własny model barmana.

Przepędził automat do kuchni i powiedział drzwiom, żeby się otworzyły.

— Moje uszanowanie panu! — powiedział pan Pathis. Był to wysoki, imponujący mężczyzna

ubrany konserwatywnie w tweedową togę. Od oczu rozchodziły mu się kurze łapki świadczące jak często się uśmiecha. Teraz też uśmiechał się promiennie potrząsając prawicą Carrina i rozglądając się po zagraconym salonie.

— Piękne ma pan mieszkanie. Piękne! Myślę, że nie naruszę zasad naszej firmy, jeżeli zdradzę panu, że jest pan właścicielem najpiękniejszego wnętrza w tym rewirze.

Carrin poczuł nagły przyływ dumy na myśl o szeregach identycznych domków w tym kwadracie ulic, w następnym, jeszcze w następnym.

— Wszystko w porządku? — spytał Pathis stawiając teczkę na krześle. — Czy wszystko działa bez zarzutu?

— Ależ tak! — stwierdził entuzjastycznie Carrin. — Avignon Electric nigdy nie zawodzi.

— Czy fono jest sprawny? Zmienia płyty przez pełne siedemnaście godzin?

— Tak, tak — powiedział Carrin. Nie miał jak dotąd okazji do wypróbowania fonografu, ale był to niewątpliwie piękny mebel.

— A trójwymiarowy projektor? Co pan sądzi o programach?

— Odbiór idealny. — Obejrzał jeden program w zeszłym miesiącu i złudzenie było pełne.

— A jak tam kuchnia? Automatyczny kucharz w porządku? Jak tam menu?

— Wspaniałe rzeczy. Po prostu wspaniałe.

Pan Pathis spytał potem o lodówkę, jego odkurzacz, jego samochód, jego helikopter, jego podziemny basen pływacki i setki innych urządzeń, które Carrin zakupił od Avignon Electric.

Wszystko działa znakomicie — zapewnił Carrin nie całkiem zgodnie z prawdą, bo nie wszystko jeszcze zdążył rozpakować. — Absolutnie bez zarzutu.

— Ogromnie się cieszę — powiedział Pathis z westchnieniem ulgi. — Nie ma pan pojęcia, jak bardzo staramy się zadowolić naszych klientów.

— Doceniam to w pełni, panie Pathis.

Carrin miał nadzieję, że przedstawiciel A.E. nie zechce zajrzeć do kuchni. Wyobraził sobie barmana firmy Castile Motors sterczącego tam jak jeżozwierz na wystawie psów.

— Z dumą mogę stwierdzić, że większość mieszkańców w tej okolicy zaopatruje się u nas — mówił Pathis. Jesteśmy poważną firmą.

— Czy Miller też był waszym klientem? — spytał Carrin.

— Ten, co popełnił samobójstwo? — Pathis zmarszczył czoło. — Tak, był. To zaskakujące, absolutnie zaskakujące. Zaledwie w zeszłym miesiącu kupił ode mnie super-turbo osiągający na prostej przeszło trzysta mil na godzin. Cieszył się z niego jak dziecko, a potem nagle coś takiego! Naturalnie wóz zwiększył nieco jego zadłużenie.

— Naturalnie.

— Ale czy to ważne? Miał wszystkie luksusy świata. A tu nagle poszedł i się powiesił.

— Tak — Pathis znów zmarszczył czoło. — Miał w domu wszystkie najnowocześniejsze urządzenia, a powiesił się na kawałku sznurka. Musiał być od dawna niezrównoważony.

Jego twarz wygładziła się i wrócił na nią zwykły uśmiech.

— Ale dość na ten temat! Porozmawiajmy o panu! Uśmiech poszerzył się jeszcze, kiedy Pathis otworzył swoją teczkę.

— Oto więc pańskie rozliczenie. Jest pan nam winien dwieście trzy tysiące dolarów i dwadzieścia dziewięć centów po ostatnim zakupie. Zgadza się?

— Zgadza się — potwierdził Carrin, bo pamiętał tę sumę ze swoich kopii rachunków. — Tu jest moja rata. Wręczył Pathisowi kopertę, którą ten sprawdził i wsunął do kieszeni.

— Świetnie. A teraz, zapewne zdaje pan sobie sprawę, że nie starczy panu życia, żeby spłacić pełne dwieście tysięcy, prawda?

— No, chyba tak — zgodził się trzeźwo Carrin.

Miał dopiero trzydzieści dziewięć lat i pełne sto lat przed sobą dzięki postępom nauk medycznych. Ale przy pensji trzech tysięcy rocznie, nie miał szans, żeby spłacić należność i jednocześnie utrzymać rodzinę.

— Oczywiście, za nic nie chcielibyśmy pozbawiać pana niezbędnych sprzętów. Nie mówiąc o wspaniałych produktach, które wypuszczamy w przyszłym roku. Rzeczy, z których na pewno nie chciałby pan zrezygnować)

Carrin kiwnął głową. Jasne, że chciał mieć te nowe rzeczy.

— Cóż, w takim razie sądzę, że załatwimy to zwyczajowo. Pod zastaw zarobków pańskiego syna za pierwsze trzydzieści lat jego dorosłego życia możemy bez trudu uzyskać dla pana dalszy kredyt.

Pathis wyciągnął z teczki plik formularzy i rozłożył je przed Carrinem:

— Zechce pan podpisać tutaj i tutaj.

— Ale... — bąknął Carrin — nie jestem pewien... Chciałbym zapewnić chłopcu start życiowy, a nie obarczać go...

— Ależ drogi panie — przerwał mu Pathis — przecież to jest również dla pańskiego syna. On też tu mieszka, prawda? Ma prawo korzystać z tych luksusów, z cudów nauki.

— Jasne — powiedział Carrin. — Tylko, że...

— Proszę pana, przecież dzisiaj przeciętny człowiek żyje jak król. Sto lat temu najbogatszy człowiek świata nie mógłby sobie pozwolić na to, co dziś posiada zwykły obywatel. Niech pan nie patrzy na to jako na dług. To inwestycja.

— To prawda — powiedział Carrin nie całkiem przekonany.

Pomyślał o swoim synu, o jego modelach gwiazdolotów, o mapach nieba. Zadawał sobie pytanie, czy to będzie słuszne.

— Na czym polega problem? — spytał dziarsko Pathis. — Tak się zastanawiam. Zadłużyć się na poczet zarobków syna... czy to nie przesada?

— Przesada? Ależ drogi panie! — Pathis zaniósł się śmiechem. — Zna pan Mellona, który mieszka o kilka domów dalej? Niech pan nie mówi, że dowiedział się pan tego ode mnie, ale on zastawił już pensje wnuków do końca ich statystycznie przewidzianego życia. I jeszcze nie ma połowy rzeczy, które postanowił mieć. Musimy coś dla niego wymyślić. Nasza praca polega na spełnianiu życzeń naszych klientów i dobrze o tym wiemy.

Carrin był wyraźnie w rozterce.

— A po pana śmierci wszystko to przecież przejdzie na własność pańskiego syna.

To prawda, pomyślał Carrin. Wszystkie te cudowne rzeczy wypełniające jego dom staną się własnością syna. Poza tym chodziło tylko o trzydzieści lat ze statystycznie przewidywalnych stu pięćdziesięciu.

Podpisał zamazyście.

— Znakomicie! — powiedział Pathis. — A nawiasem mówiąc, czy ma pan w domu majordomusa naszej produkcji?

Okazało się, że nie. Pathis wyjaśnił, że mechaniczny majordomus jest nowym zdumiewającym osiągnięciem nauki i techniki. Został zaprogramowany do przejęcia wszystkich funkcji związanych ze sprzątnięciem i gotowaniem, tak żeby jego właściciel nie musiał ruszyć palcem.

— Zamiast przez cały dzień biegać i naciskać guziki ktoś, kto ma mechanicznego majordomusa, przyciska tylko jeden! Epokowy wynalazek!

Ponieważ majordomus kosztował zaledwie pięćset trzydzieści pięć dolarów, Carrin zamówił go, dopisując jego cenę do długu syna.

Co racja, to racja, myślał odprowadzając Pathisa do drzwi. Ten dom będzie kiedyś własnością

syna. I synowej. Niewątpliwie będą chcieli mieć dom nowocześnie wyposażony.

Tylko jeden guzik, myślał. Jaka oszczędność czasu! I po wyjściu Pathisa Carrin zasiadł w ruchomym fotelu i włączył trójwymiarowy projektor. Pokręciwszy zdalnym sterowaniem stwierdził, że nie ma ochoty oglądać żadnego programu. Odchylił oparcie i postanowił się zdrzemnąć.

Coś nadal nie dawało mu spokoju.

— Dzień dobry, kochanie! — Obudził się i stwierdził, że żona wróciła. Pocałowała go w ucho! — Zobacz, co mam!

Kupiła „seksycytujący negliz” firmy A.E. Carrin był mile zaskoczony, że tylko tyle. Zwykle wracała z zakupów obładowana.

— Śliczne — powiedział.

Pochyliła się, żeby ją pocałował i zachichotała zalotnie: zwyczaj, który przejęła od najpopularniejszej ostatnio gwiazdy trójekranu. Carrin wolałby, żeby tego nie robiła.

— Zaprogramuję kolację — powiedziała i poszła do kuchni. Carrin uśmiechnął się na myśl, że wkrótce żona będzie mogła zamawiać posiłki nie ruszając się z saloniku. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i wtedy przyszedł syn.

— Jak tam, synu? — spytał z uczucie;

— W porządku — odpowiedział apatycznie Bill.

— O co chodzi, synu? — Chłopak wpatrywał się w podłogę i nie odpowiadał. — Chodź i powiedz tacie, co cię gnębi!

Billy usiadł na skrzynce i oparł głowę na rękach. Podniósł na ojca zamyślane oczy.

— Tato, czy gdybym chciał, to mógłbym zostać inżynierem serwisu?

Carrin uśmiechnął się. Billy nie mógł się zdecydować, czy chce zostać inżynierem serwisu, czy pilotem kosmicznym. Inżynierowie serwisu stanowili elitę. To oni naprawiali automaty naprawcze. Automaty naprawcze potrafiły naprawiać prawie wszystko, ale nie można mieć maszyn do naprawiania maszyn naprawczych. I tutaj wkraczali inżynierowie serwisu.

Jednak konkurencja w tym zawodzie była ogromna i tylko nieliczne wybitne umysły otrzymywały dyplom. Billy był wprawdzie inteligentnym chłopcem; ale nie zdradzał jakichś wybitnych uzdolnień technicznych.

— To możliwe, synu. Wszystko jest możliwe.

— Ale czy to jest możliwe dla mnie?

— Nie wiem — odpowiedział Carrin najuczciwiej, jak mógł.

— A ja wcale nie chcę być inżynierem serwisu — powiedział Billy rozumiejąc, że odpowiedź brzmi nie. — Chcę być pilotem kosmicznym.

— Pilotem kosmicznym? — spytała Leela wchodząc do pokoju. — Przecież wiesz, że nie ma żadnych pilotów kosmicznych.

— Właśnie, że są — upierał się Billy. — W szkole pan powiedział, że rząd wyśle ekspedycję na Marsa.

— Mówią tak od stu lat — powiedział Carrin — ale jeszcze nic nie zrobili.

— Teraz zrobią.

— A dlaczego właściwie chcesz lecieć na tego Marsa? — spytała Leela robiąc oko do męża. — Nie ma tam ładnych dziewcząt.

— Nie obchodzą mnie dziewczyny. Chcę polecieć na Marsa i tyle.

— Na pewno by ci się tam nie podobało, kochanie powiedziała Leela. — Paskudna stara planeta bez powietrza.

— Jest tam trochę powietrza i chcę tam polecieć — upierał się ponuro chłopiec. — Mnie się nie podoba tutaj.

— Co to ma znaczyć? — spytał Carrin podrywając się w fotelu. — Czy ci czegoś tu brakuje? Chciałbyś coś mieć?

— Nie, ojcie. Mam wszystko. — Ilekroć Billy nazywał go „ojcem”, Carrin wiedział, że coś jest nie w porządku.

— Posłuchaj, synu, kiedy byłem w swoim wieku, ja też chciałem lecieć na Marsa. Chciałem robić różne wielkie rzeczy. Chciałem nawet zostać inżynierem serwisu.

— To dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Bo dorosłem. Zrozumiałem, że są ważniejsze rzeczy. Najpierw musiałem spłacić dług, który odziedziczyłem po ojcu, potem poznałem twoją matkę...

Leela zachichotała.

— ...i zapragnąłem mieć własny dom. Z tobą będzie tak samo. Spłacisz swój dług i ożenisz się tak jak wszyscy.

Billy przez chwilę milczał. Potem odgarnął z czoła włosy — ciemne i proste jak u ojca — i oblizał wargi.

— A dlaczego ja mam dług, ojczy?

Carrin wszystko mu cierpliwie tłumaczył. Że rodzina potrzebuje wielu rzeczy, żeby żyć w sposób cywilizowany. Że trzeba za to płacić i że jest w zwyczaju, żeby syn, kiedy dorasta, przejmował część długu ojca.

Milczenie Billy'ego irytowało go. Zupełnie, jakby chłopak miał do niego pretensję, po tym jak on latami harował, żeby zapewnić temu niewdzięcznemu szczeniakowi wszelkie luksusy.

— Synu — powiedział surowo — uczyłeś się w szkole historii? To dobrze. W takim razie wiesz, jak to było w przeszłości. Wojny. Chciałbyś być rozerwanym na strzępy?

Chłopak nie odpowiadał.

— Albo czy chciałbyś giąć grzbiet przez osiem godzin dziennie przy pracy, którą powinna wykonywać maszyna? Albo chodzić stale głodny? Albo marznąć i moknąć bez dachu nad głową?

Zrobił przerwę na odpowiedź, nie otrzymał jej i ciągnął dalej.

— Żyjesz w najszcześniejszych czasach w całych dziejach ludzkości. Otaczają cię wszelkie cuda nauki i sztuki. Najwspanialsza muzyka, najlepsze książki i obrazy są w zasięgu twojej ręki. Wystarczy tylko nacisnąć guzik. Zmienił ton na łagodniejszy. — No i co na to powiesz?

— Zastanawiam się, jak polecieć na Marsa — powiedział chłopiec. — Chodzi o ten dług. Pewno nie da się od tego wykręcić?

— Oczywiście, że nie.

— Chyba, żebym poleciał na gapę.

— Ale tego nie zrobisz.

— Jasne, że nie — powiedział chłopiec, ale jakoś jakby bez przekonania.

— Zostaniesz tutaj i ożenisz się z miłą i ładną dziewczyną — stwierdziła Leela.

— Jasne — powiedział Billy. — Oczywiście. — Uśmiechnął się nagle. — Z tym Marsem to ja żartowałem. Naprawdę.

— Cieszę się — powiedziała Leela.

— To było tylko tak sobie — Billy uśmiechnął się z przymusem, wstał i pobiegł na górę.

— Pewnie poszedł bawić się swoimi raketami — zauważyła Leela. — Mały urwis.

Carrinowie zjedli w spokoju kolację, po której Carrin musiał iść do pracy. W tym miesiącu miał nocną zmianę. Pocałował na pożegnanie żonę, wsiadł do super-turbo i z rykiem silnika pomknął do

fabryki. Automatyczna brama zidentyfikowała go i wpuściła. Zaparkował wóz i wszedł do hali.

Automatyczne tokarki, automatyczne prasy, wszystko było tu zautomatyzowane. Fabryka była wielka i jasna, maszyny mruczały cicho same do siebie wykonując swoją pracę i wykonując ją dobrze.

Carrin poszedł na koniec taśmy montażowej pralek automatycznych, żeby zmienić pracującego tam człowieka.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Jasne — odpowiedział tamten. — W tym roku nie miałem ani jednego braku. Te nowe modele nie mrugają już lampkami, ale mają wmontowany głos.

Carrin usiadł w fotelu i czekał na pierwszą pralkę. Jego praca była szczytem prostoty. Siedział, a maszyny defilowały przed nim. Przy każdej przyciskał guzik i sprawdzał, czy działa. Działały zawsze. Minąwszy go pralki szły do pakowni.

Właśnie podjechała na wałkach pierwsza. Wcisnął włącznik.

— Gotowa do prania — odezwała się pralka automatyczna.

Carrin przycisnął inny guzik i pralka odjechała.

Ten mój chłopak, myślał Carrin. Czy dorośnie i podejmie swoje obowiązki? Czy dojrzeje i stanie się odpowiedzialnym członkiem społeczeństwa? Wątpliwe. Ten chłopak był urodzonym buntownikiem. Jeżeli ktoś kiedyś polecą na Marsa, to właśnie on.

Ta myśl jakoś go nie zasmuciła.

— Gotowa do prania — zgłosiła się następna pralka.

Carrin przypomniał sobie coś w związku z Millerem. Ten pełen życia człowiek często mówił o innych planetach, o wyprawach i o ryzyku. Ale tylko mówił. A potem popełnił samobójstwo.

— Gotowa do prania.

Carrin miał przed sobą osiem godzin, poprawił się więc w fotelu i rozluźnił pasek. Osiem godzin przyciskania guzików i słuchania maszyn obwieszczających swoją gotowość do pracy.

— Gotowa do prania.

Przycisnął guzik.

— Gotowa do prania.

Carrin oddalił się myślą od swojej pracy, która, prawdę mówiąc, nie wymagała zbyt wiele uwagi.

Nagle uświadomił sobie, co go dręczyło.

Przyciskanie guzików go nie bawiło.

przekład: Lech Jęczmyk

The Impacted Man

Ofiara brakoróbstwa

Do Centrali

Biuro 41

Kontroler Miglese

Szanowny Panie!

Niniejszym zawiadamiam Pana, że wykonałem umowę Nr 13371 A. W rejonie przestrzeni oznaczonym kodem ATTALA zbudowałem jedną metagalaktykę, obejmującą 549 bilionów galaktyk z odpowiednią ilością skupisk gwiazdnych, gwiazd zmiennych, nowych, itd. Szczegóły w załączonym zestawieniu.

Zewnętrzne granice metagalaktyki ATTALA określone są na załączonej mapie.

Występując w imieniu firmy i swoim własnym, jako głównego konstruktora, pozwalam sobie wyrazić przekonanie, że stworzyliśmy nie tylko wartościową konstrukcję, lecz także dzieło o dużej wartości artystycznej.

Prosimy o potwierdzenie przyjęcia obiektu.

Ponieważ wykonaliśmy warunki umowy, oczekujemy wypłaty przewidzianego umową honorarium.

Z poważaniem

Carienomen

Załączniki:

1. Zestawienie instalacji
2. Mapa metagalaktyki ATTALA

Do Zarządu Budownictwa

Główny Konstruktor Carienomen

Szanowny Panie Carienomen!

Komunikuję uprzejmie, że dokonaliśmy inspekcji Pańskiego obiektu, w wyniku czego zawiesiliśmy wypłatę honorarium. Wartości artystyczne? Być może, że jest to dzieło sztuki, ale proszę nie zapominać, że naszym podstawowym zadaniem jest budownictwo.

Inspektorzy nasi wykryli poważne ilości nie wyjaśnionych faktów, zdarzających się nawet w pobliżu centrum metagalaktyki, a więc tam, gdzie należało się spodziewać szczególnej staranności z Pańskiej strony. Jest to rzecz niedopuszczalna. Na szczęście okolica nie jest zaludniona.

To jeszcze nie wszystko. Może zechce Pan wyjaśnić zjawiska przestrzenne? Po jakie лихо wbudował Pan na przykład ten efekt przesunięcia w kierunku czerwieni? Czytałem Pańskie wyjaśnienie, które zupełnie nie trzyma się kupy. Jak zareagują na to obserwatorzy z poszczególnych planet?

Efekt artystyczny nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Poza tym jakich Pan używa atomów? Chce Pan robić oszczędności stosując tandetny materiał? Stwierdzono poważny procent atomów niestabilnych, które rozpadają się przy najlżejszym dotknięciu, a nawet bez dotknięcia. Czy nie mógł Pan znaleźć żadnego innego sposobu oświetlenia swoich słońc?

Załączamy protokół, zawierający uwagi naszych inspektorów. O wypłacie nie ma mowy do czasu usunięcia wszystkich braków.

Jest jeszcze jedna poważna sprawa, o której zostałem właśnie powiadomiony. Widocznie niezbyt starannie zaplanował Pan rozkład napięć w tkaninie czasoprzestrzennej, gdyż odkryliśmy dziurę w czasie na peryferiach jednej z galaktyk. Na razie jest niewielka, ale może się rozszerzyć. Proponuję zająć się tym natychmiast, zanim trzeba będzie przebudowywać całą galaktykę.

Jeden z mieszkańców planety, natknąwszy się na dziurę, został już poszkodowany, wyłącznie wskutek pańskiej lekkomyślności. Proponuję, aby naprawił pan to, zanim człowiek ten znajdzie się poza swoim normalnym następstwem czasu, siejąc paradoksami na prawo i na lewo.

W razie potrzeby proszę z nim wejść w kontakt!

Doszły mnie także słuchy o nie wyjaśnionych zjawiskach na jednej z Pańskich planet, włącznie z latającymi świniami, poruszającymi się górami, duchami, itp. zgodnie z załącznikiem.

Nie możemy tolerować podobnych faktów, Panie Carienomen! Wszelkie paradoksy są surowo zabronione, gdyż paradoks jest zawsze zwiastunem chaosu.

Proszę natychmiast zająć się poszkodowanym. Nie wiem, czy zdaje on już sobie sprawę z sytuacji.

Miglese

Kay Masrin skończyła pakowanie i z pomocą męża zamknęła walizkę.

— No to cześć — powiedział Jack Masrin unosząc pękatą walizę. — Czas pożegnać nasz stary dom.

Rozejrzeli się oboje po pokoju, w którym spędzili ostatni rok.

— Do widzenia — powiedziała Kay. — Chodź, bo spóźnimy się na pociąg.

— Mamy masę czasu — uspokoił ją mąż, idąc w stronę drzwi. — Czy pożegnamy się z Wesołym Chłopcem? Przewali tak właściciela domu, pana Harfa, ponieważ uśmiechał się raz na miesiąc, kiedy wręczali mu pieniądze za komorne. Oczywiście w chwilę później wracał na jego twarz normalny świętoszkowaty wyraz.

— Lepiej nie — powiedziała Kay — przyglądając na sobie kostium. — Może nam życzyć powodzenia i co wtedy będzie?

— Masz zupełną rację. Nie ma sensu zaczynać nowego życia z błogosławieństwem Wesołego Chłopca. Wolałbym już przekleństwo czarownicy z Endor.

Wyszli na podest schodów. Masrin spojrział w dół, stanął na pierwszym stopniu i zatrzymał się gwałtownie.

— Co się stało? — spytała Kay.

— Czy niczego nie zapomnieliśmy?

— Zajrzałam do wszystkich szuflad i pod łóżko. Chodź, bo się spóźnimy.

Masrin powtórnie spojrział w dół. Coś go niepokoiło. Szukał w myśli przyczyny tego stanu. Oczywiście byli prawie bez grosza, ale to nigdy dotychczas go nie martwiło. Przecież dostał wreszcie pracę w szkole, chociaż co prawda w Iowa. Po rocznej pracy w księgarni, to było coś. Tak więc, wszystko szło dobrze — nie było powodów do niepokoju.

Zrobił krok w dół i zatrzymał się znowu. Uczucie niepokoju wzrosło. Coś ostrzegało go przed następnym krokiem. Obejrzał się na Kay.

— Tak ci żal odjeżdżać? — spytała Kay. — Chodźmy, bo Wesoły Chłopiec policzy nam za następny miesiąc. A na to, dziwnym trafem, nie mamy pieniędzy,

Masrin wciąż wahał się, Kay precyzyjnie się obok niego i zbiegła po schodach.

— Widzisz? — wołała z parteru. — To nie jest trudne. Chodź tu do mamusi, maleńki.

Masrin zaklął pod nosem i ruszył po schodach. Niepokój był coraz silniejszy.

Doszedł do ósmego stopnia i...

Stał na porosłej trawą równinie. Przejście było momentalne.

Gwałtownie wciągnął powietrze i zmrużył oczy. Miał w ręku walizkę, ale gdzie się podział dom? Gdzie się podziała Kay? Gdzie się podział Nowy Jork?

W oddali widać było niewielką błękitną górę. Bliżej rosła kępa drzew. Stała koło niej grupa około dwunastu mężczyzn.

Masrin miał uczucie, że śni. Bez większego zdziwienia zauważył, że ludzie ci są niscy, krępi, muskularni. Na biodrach mają przepaski, a w rękach pięknie rzeźbione i polerowane maczugi.

Wpatrywali się w niego i Masrin zrozumiał, że są nie mniej od niego zaskoczeni.

Jeden z mężczyzn wydał gardłowy pomruk i wszyscy ruszyli w stronę Masrina.

Maczuga rzucona z rozmachem odbiła się od walizki. Szok minął w jednej chwili. Masrin odwrócił się, wypuścił walizkę i pomknął niczym chart. Cios maczugą w plecy omal nie zwałił go z nóg. Wśród deszczu strzał wbiegał na niewielki pagórek.

Jeszcze kilka metrów w górę i nagle zdał sobie sprawę, że jest znowu w Nowym Jorku.

W pełnym biegu znalazł się na szczycie schodów i nie mogąc się zatrzymać wpadł na ścianę. Kay stała na parterze, nie odrywając wzroku od schodów. Kiedy go zobaczyła, zachłysnęła się nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Masrin patrzył na dobrze znane, ciemne, pomalowane na liliowy kolor ściany i na swoją żonę.

Ani śladu dzikusów.

— Co się stało? — wyszeptała blada Kay, wchodząc po schodach.

— Co widziałaś? — spytał Masrin. Nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji tego, co się stało. W głowie kłębiły mu się najróżniejsze teorie i przypuszczenia.

Kay wahała się chwilę, gryząc dolną wargę.

— Zrobiłeś kilka kroków i znikłeś. Straciłam cię nagle z oczu. Stałam tak bez ruchu i wpatrywałam się w miejsce, w którym znikłeś. Nagle usłyszałam hałas i ujrzałam cię wbiegającego po schodach.

Wrócili do swojego pokoju i otworzyli drzwi. Kay osunęła się na łóżko. Masrin chodził w tę i z powrotem, ciężko dysząc. Miał trudności z uporządkowaniem myśli.

— Nie uwierzysz mi — powiedział.

— Dlaczego? Spróbuj!

Opowiedział jej o dzikusach.

— Mógłbyś powiedzieć, że byłeś na Marsie i też bym ci uwierzyła. Widziałam przecież, jak znikłeś.

— Moja walizka! — przypomniał sobie nagle Masrin.

— Daj spokój z walizką.

— Muszę po nią wrócić.

— Nie!

— Muszę. Zrozum, kochanie, to jest oczywiste. Natknąłem się na jakąś dziurę w czasie, przez którą trafiłem w przeszłość. Musiałem wylądować w czasach prehistorycznych, sądząc po komitecie powitalnym. Muszę wrócić po tę walizkę.

— Dlaczego musisz?

— Nie mogę dopuścić do powstania paradoksu — Masrin nawet nie zastanowił się, skąd mu to przyszło do głowy. — Pomyśl tylko — mówił dalej — moja walizka znajduje się w przeszłości. Mam w niej elektryczną maszynkę do golenia, spodnie z zamkiem błyskawicznym, plastikową szczotkę do włosów, nylonową koszulę i kilka książek wydanych w ostatnich latach. Jest tam nawet dzieło Ettisona o dziejach cywilizacji zachodniej od roku 1490 do czasów obecnych.

Zawartość tej walizki może popchnąć dzikusów do zmiany ich własnej historii. A wyobraźmy sobie, że te rzeczy trafiają do rąk Europejczyków po odkryciu Ameryki? Jaki by to miało wpływ na teraźniejszość?

— Nie wiem — powiedziała Kay. — I ty też nie wiesz.

— Oczywiście, że wiem — zaprotestował Masrin. Wszystko było dla niego jasne jak słońce. Był zdziwiony, że Kay tego nie rozumie.

— Spójrzmy na to w ten sposób — mówił Masrin. Historia składa się z drobnych faktów. Teraźniejszość składa się z ogromnej ilości nieskończenie małych czynników, ukształtowanych przez przeszłość. Jeśli wprowadzi się nowy czynnik w przeszłość, to musi się otrzymać inną teraźniejszość. Jednak teraźniejszość jako taka jest niezmienna. Mamy więc do czynienia z paradoksem, a to jest niedopuszczalne.

— Dlaczego? — spytała Kay.

Masrin zmarszczył czoło. Jak na inteligentną dziewczynę nie popisywała się zbyt.

— Musisz mi wierzyć — powiedział. — Paradoks nie ma racji bytu w logicznym wszechświecie.

Wszechświat musi się opierać na jakiejś zasadzie. Wszystkie prawa przyrody są jej wyrazem. Zasada ta nie może tolerować paradoksów, ponieważ... ponieważ... — Wiedział, że odpowiedź ma coś wspólnego ze zwalczaniem pierwotnego chaosu, ale nie wiedział dlaczego. — W każdym razie prawa wszechświata nie tolerują paradoksów.

— Skąd ci to przyszło do głowy.? — spytała Kay. Nigdy nie słyszała Jacka mówiącego w ten sposób.

— Zastanawiałem się nad tym od dawna — powiedział Masrin i sam był o tym przekonany. — Po prostu nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. A teraz wracam po swoją walizkę.

Wyszedł na schody, a Kay za nim.

— Szkoda, że nie mogę ci przynieść żadnej pamiątki. Niestety to też wywołałoby paradoks. Wszystko w przeszłości miało swój udział w kształtowaniu teraźniejszości.

Zabranie czegoś stamtąd, to jakby usunięcie jednej niewiadomej z równania. Otrzyma się wtedy inny wynik. — Mówiąc to zaczął schodzić.

Na ósmym stopniu znikł.

Znowu był w prehistorycznej Ameryce. Dzikusy zebrały się wokół walizki, w odległości kilku kroków od niego. Masrin z ulgą zauważył, że jeszcze jej nie otworzyli. Oczywiście sama walizka też była wystarczająco paradoksalnym zjawiskiem. Ale jej pojawienie się — i jego także — zostanie przetrawione w postaci mitów i legend. Czas ma określoną elastyczność.

Patrząc na dzikusów Masrin nie mógł zdecydować, czy są to przodkowie Indian, czy też jakaś podrasa, która zginęła bezpowrotnie. Zastanawiał się, czy uważają go za wroga, czy za jakiegoś leśnego demona.

Masrin podbiegł do kręgu dzikusów, odepchnął dwóch najbliższych, chwycił walizkę i rzucił się do ucieczki, okrążając zbawcze wzgórze.

Nadal jednak znajdował się w przeszłości.

„Gdzież u licha podziła się ta dziura” myślał Masrin. Dzicy puścili się w pogoń. Masrin gorączkowo starał się przypomnieć sobie, w którym miejscu znajdowało się przejście, ale przeszkadzał mu świst strzał.

Gdzie jest ta dziura? Czyżby się przesunęła? Czuł pot spływający po twarzy. Maczuga drasnęła go w ramię, więc zmienił kierunek, szukając rozpaczliwie schronienia.

Nagle wyrosło przed nim trzech dzikusów.

Masrin padł na ziemię, aby uniknąć ich maczug i wszyscy trzej zwalili się na niego. Zerwał się czym prędzej, gdyż nadbiegała reszta.

W górę! Doznał nagłego olśnienia. Trzeba biec pod górę. Rzucił się w kierunku szczytu pagórka z uczuciem, że nie dobiegnie tam żywy.

I znalazł się na schodach, z walizką w dłoni.

— Nic ci nie jest, kochanie? — objęła go Kay. — Co się stało?

Masrin był teraz opanowany jedną myślą. Nie słyszał o żadnych prehistorycznych ludach, które by tak wymyślnie rzeźbiły swoje maczugi, jak te dzikusy. Była to unikalna forma sztuki i chciałby zdobyć jedną taką maczugę dla muzeum.

Potem spojrzął z przestachem na liliowe ściany klatki schodowej, jakby spodziewał się, że za chwilę wyskoczy z nich banda dzikusów. A może jakieś małe ludziki siedzą w walizce. Starał się zapanować nad nerwami. Rozsądek podpowiadał mu, że nie ma powodu do paniki; zdarzają się defekty w strukturze czasu i on natrafił na jeden z nich. Wszystko inne wynika z tego logicznie. Powinien tylko...

Jednak podświadomość nie chciała słyszeć o logice, obserwowała tylko w niemym zdumieniu nieprawdopodobieństwo tego, co się działo i nie trafiały do niej żadne racjonalne argumenty. Skoro coś jest niemożliwe, to znaczy, że jest niemożliwe i już.

Masrin jęknął i stracił przytomność.

Do Centrali

Biuro 41

Kontroler Miglese

Szanowny Panie!

Uważam, że Pańskie podejście do sprawy jest krzywdzące. Rzeczywiście zastosowałem pewne nowe pomysły w konstrukcji tej metagalaktyki. Pozwoliłem sobie na pewną swobodę artystyczną, nie przypuszczając, że narażę się na szykany ze strony konserwatywnej i reakcyjnej Centrali.

Proszę mi wierzyć, że jestem w nie mniejszym stopniu niż Pan zaangażowany w realizację naszego wielkiego celu — zwalczenia pierwotnego chaosu. Jednak w walce tej nie powinniśmy zapominać o pewnych istotnych wartościach.

W załączeniu przesyłam uzasadnienie zastosowania efektu przesunięcia w kierunku czerwieni oraz wyliczenia korzyści płynących z użycia pewnej ilości niestabilnych atomów jako źródła światła i energii.

Jeśli chodzi o defekt czasowy, był to drobny błąd, nie mający nic wspólnego z samą strukturą czasoprzestrzeni, która jest, proszę mi wierzyć, pierwszorzędnej jakości.

Istnieje, jak Pan podkreślił, osobnik zamieszany w to zjawisko, co komplikuje nieco sprawę usunięcia błędu. Wszedłem z nim w kontakt, oczywiście pośrednio, dzięki czemu posiada on pewną ogólną orientację co do swojej roli.

Jeśli nie będzie on rozszerzał otworu przez zbyt częste przejścia, uda mi się go zaszyć bez większych trudności. Nie wiem jednak, o ile jest to możliwe. Mój kontakt z nim jest dość wyrywkowy i poza tym pozostaje on pod wpływem innych czynników, zachęcających go do zmiany miejsca pobytu.

Oczywiście zawsze mogę dokonać ekstrakcji i możliwe, że będę w końcu do tego zmuszony. Niwykluczone, że jeśli sprawa wymknie się spod kontroli, trzeba będzie usunąć całą planetę. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, gdyż spowodowałoby to konieczność oczyszczenia całego wycinka przestrzeni, w którym znajdują się lokalni obserwatorzy. Co z kolei mogłoby spowodować konieczność przebudowy całej galaktyki.

Mam nadzieję, że w następnym liście będę już mógł zawiadomić Pana o pomyślnej likwidacji problemu. Zwichrowanie w centrum metagalaktyki spowodowane zostało przez robotników, którzy pozostawili otwarty zsyp na odpadki. Został on już zamknięty.

Zjawiska takie, jak chodzące góry itp., zostały usunięte w normalny sposób.

Przypominam, że nadal nie otrzymałem honorarium za swoją pracę.

Carienomen

Załączniki:

1. Oświadczenie na temat przesunięcia widma barwnego, str. 5541
2. Oświadczenie w sprawie niestabilnych atomów, str. 7888

Do Zarządu Budownictwa

Główny Konstruktor Carienomen

Otrzyma Pan zapłatę wówczas, kiedy potrafi Pan przedstawić logicznie zaprojektowaną i przyzwoicie wykonaną konstrukcję. Pańskie oświadczenia przeczytam, jeśli znajdę na to czas. Proszę usunąć ten defekt czasowy, zanim będzie za późno!

Masrin wrócił do przytomności po pół godzinie. Kay przyłożyła mu kompres na stłuczone ramię. Masrin zaczął chodzić po pokoju. Znowu odzyskał panowanie nad sobą. I znowu pojawiły się myśli.

— Przeszłość jest w dole — powiedział ni to do Kay, ni to do siebie samego. — To znaczy, oczywiście, nie dosłownie „pod nami”, ale kiedy poruszam się w tym kierunku, trafiam na dziurę w czasie. Jest to przypadek przesunięcia siatki współrzędnych czasu.

— Co to znaczy? — spytała Kay, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w męża.

— Musisz mi uwierzyć na słowo — powiedział Masrin. Nie wolno mi schodzić w dół!

Nie potrafił wytłumaczyć tego jaśniej. Brakowało mu słów na wyrażenia myśli.

— A czy możesz iść w górę? — spytała Kay, zupełnie zbita z tropu.

— Nie wiem. Myślę, że wtedy trafiłbym w przyszłość!

— Nie wytrzymam tego dłużej — jęknęła Kay. — Co się z tobą dzieje? Jak się stąd wydostaniesz? Jak zejdziesz po tych zaklętych schodach?

— Jeszcze jesteście? — odezwał się skrzekliwy głos pana Harfa. Masrin poszedł otworzyć drzwi.

— Myślę, że jeszcze zostaniemy przez jakiś czas — powiedział.

— Niemożliwe — uciął Harf. — Pokój został już wynajęty komu innemu.

Wesoły Chłopiec Harf był mały i kościsty, miał wąską twarz i wargi cienkie niczym pajęcza nić. Wśliznął się do pokoju, rozglądając się, czy nie znajdzie gdzieś śladów uszkodzenia swojej własności. Pan Harf żywił przekonanie, że nawet najmiłsi ludzie zdolni są do najgorszych zbrodni.

— Kiedy mają się wprowadzić nowi lokatorzy? — spytał Masrin.

— Dziś po południu. Proszę do tego czasu opuścić lokal.

— Czy nie można by tego jakoś załatwić? — spytał Masrin. Zdawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Nie mógł zejść po schodach. Jeśli Harf zmusi go do tego, znajdzie się znowu w prehistorycznym Nowym Jorku, gdzie na pewno czekają na niego z niecierpliwością.

A poza tym był jeszcze najważniejszy problem — sprawa paradoksu.

— Źle się czuję — powiedziała Kay słabym głosem. — Nie mogę wyjść w takim stanie.

— Jeśli pani jest chora, to mogę wezwać pogotowie — powiedział Harf i rozejrzał się

podejrzliwie, szukając oznak dżumy lub czegoś w tym rodzaju.

— Chętnie zapłacę panu podwójnie, jeśli pozwoli nam pan zostać jeszcze przez jakiś czas — powiedział Masrin.

Harf podrapał się w głowę patrząc na Masrina. Wreszcie otarł nos dłonią i spytał:

— Ma pan pieniądze?

Masrin policzył i okazało się, że zostało mu około dziesięciu dolarów i bilety kolejowe. Miał zamiar poprosić o zaliczkę zaraz po przystąpieniu do pracy.

— A więc jesteście bez grosza — powiedział Harf. — Zdawało mi się, że dostał pan pracę w jakiejś szkole?

— To prawda — powiedziała Kay bojowo.

— W takim razie, dlaczego tam nie jedziecie?

Masrinowie milczeli. Harf świdrował ich wzrokiem.

— Bardzo podejrzane! Jeśli nie opuścicie mieszkania do południa, wezwę policję!

— Spokojnie! — przerwał mu Masrin. — Za dzisiejszy dzień mamy zapłacone. Pokój jest nasz do dwunastej w nocy.

— Nie próbujcie zostać ani minuty dłużej — powiedział Harf po chwili namysłu i wyszedł z pokoju.

Kay czym prędzej zamknęła za nim drzwi.

— Kochanie — powiedziała — dlaczego nie zadzwonisz do jakichś uczonych tutaj w Nowym Jorku i nie powiesz im, co się stało? Jestem pewna, że oni by nam pomogli do czasu aż... jak długo będziemy musieli tu siedzieć?

— Dopóki dziura nie zostanie zlikwidowana. Ale nie wolno o tym nikomu mówić, zwłaszcza uczonym.

— Dlaczego?

— Mówiłem już, że najważniejszą rzeczą jest uniknięcie paradoksu. Znaczy to, że muszę trzymać się z daleka zarówno od przeszłości jak i od przyszłości, prawda?

— Skoro tak sądzisz...

— A co się stanie, jeśli wezwiemy uczonych? Oczywiście będą nastawieni sceptycznie. Będą chcieli zobaczyć, jak to robię. Pokażę im, a wtedy sprowadzą swoich uczonych kolegów. Zobaczą,

jak znikam, ale nie będzie żadnego dowodu, że przenoszę się w przeszłość. Stwierdzą tylko, że schodząc po schodach znikam w pewnym momencie.

Wezwą fotografów, żeby upewnić się, że ich nie hipnotyzują. Potem zażądają dowodów. Będą chcieli, żebym zdobył skalp albo rzeźbioną maczugę. Sprawa dostanie się do gazet. Jest prawie nieuniknione, że w czasie tego wszystkiego spowoduję jakiś paradoks. A wiesz, co się wtedy stanie?

— Nie wiem i ty też nie wiesz.

— Ja wiem — powiedział zdecydowanie Masrin. Z chwilą pojawienia się paradoksu, przyczyna — to jest człowiek, który go spowodował — znika. Na zawsze. Sprawa zostaje odnotowana jako jedna więcej nie rozwiązana zagadka. Najłatwiejszym sposobem rozwiązania paradoksu jest zlikwidowanie czynnika, który go powoduje.

— Jeśli uważasz, że możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie, to oczywiście nie będziemy wzywać żadnych uczonych — powiedziała Kay — chociaż nie rozumiałam niczego z twoich wyjaśnień.

Kay wyjrzała przez okno. Był tam Nowy Jork, a gdzieś za nim Iowa, do której mieli jechać. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że pociąg już odszedł.

— Zadzwoń do szkoły — odezwał się Masrin. — Powiedz im, że spóźnię się o kilka dni.

— Więc to potrwa tylko kilka dni? A jak się potem wydostaniesz?

— Dziura w czasie nie ma charakteru trwałego — powiedział Masrin z przekonaniem. — Jeśli nie będę się przez nią przepychał, to zarośnie sama.

— Ale przecież możemy tu zostać tylko do północy. Co będzie dalej?

— Nie wiem, miejmy nadzieję, że do tego czasu sprawa się wyjaśni.

Do Centrali

Biuro 41

Kontroler Miglese

Szanowny Panie!

Niniejszym przesyłam ofertę na wykonanie nowej metagalaktyki w rejonie MORSTT. Jeśli śledził pan ostatnie dyskusje w kręgach artystycznych, to zapewne wie pan, że zastosowanie przeze mnie niestabilnych atomów w budowie metagalaktyki ATTALA zostało uznane za „największy krok

naprzód w inżynierii od czasu wynalezienia zmiennego przepływu czasu”. Jako dowód załączam recenzje.

Praca moja została powszechnie uznana za osiągnięcie artystyczne.

Większość niedociągnięć — nieuniknionych w tego rodzaju pracy — w metagalaktyce ATTALA została zlikwidowana. Pracuję nadal nad osobnikiem zamieszonym w sprawę dziury w czasie. Jak dotychczas, współpraca z nim układa się zupełnie dobrze, uwzględniając inne czynniki, mające wpływ na jego postępowanie.

Dzisiaj ściągnąłem brzegi otworu, pozostawiając je do zrośnięcia. Mam nadzieję, że wchodzący w grę osobnik pozostanie na miejscu, gdyż w gruncie rzeczy nie lubię dokonywać ekstrakcji. Ostatecznie każdy osobnik, każda planeta, każdy układ słoneczny, choćby nie wiem jak mały, jest integralną częścią zaplanowanej przeze mnie całości.

W każdym razie pod względem artystycznym.

Proszę o powtórne dokonanie inspekcji. Proszę zwrócić uwagę na układy galaktyczne wokół centrum metagalaktyki. Ich niezapomniane piękno pozostaje z człowiekiem na zawsze.

Proszę rozważyć moją ofertę w świetle moich dotychczasowych osiągnięć.

Przypominam, że w dalszym ciągu nie otrzymałem należnego honorarium za metagalaktykę ATTALA.

Carienomen

Załączniki:

1. Oferta w sprawie budowy metagalaktyki MORSTT
2. Artykuły na temat metagalaktyki ATTALA

— Jest za kwadrans dwunasta, kochanie — powiedziała zdenerwowana Kay. — Czy sądzisz, że można już wyjść?

— Poczekajmy jeszcze parę minut — Masrin wpatrywał się w swój zegarek, słysząc kroki skradającego się Harfa, który czekał dokładnie dwunastej.

Za pięć dwunasta Masrin postanowił, że trzeba spróbować. Jeśli dziura nie znikła do tego czasu, to pięć minut niczego nie zmieni.

Postawił walizkę na komodzie i przysunął sobie krzesło. — Co robisz? — spytała Kay.

— Nie chcę próbować tych schodów po nocy. Ci prairindianie są wystarczająco nieprzyjemni w dzień. Spróbuję wyjść w górę.

Żona spojrzała na niego spod oka w sposób zdradzający niedwuznacznie, co sądzi o stanie jego umysłu.

— Schody tu nie są ważne — wyjaśnił Masrin. — Chodzi o przesunięcie się w górę lub w dół. Krytyczna różnica poziomów wynosi chyba około pięciu stóp.

Kay nerwowo zaciskała dłonie, patrząc, jak Masrin staje na krześle, a potem ostrożnie wchodzi na komodę.

— Zdaje się, że wszystko w porządku — powiedział nieco drżącym głosem. — Spróbuję jeszcze trochę wyżej. Mówiąc to wszedł na walizkę.

I znikł.

Był jasny dzień i znajdował się w mieście. W mieście, które jednak nie przypominało w niczym Nowego Jorku. Jego piękno zapierało dech w piersiach — Masrin bał się odetchnąć z obawy, aby nie naruszyć tego kruchego piękna.

Widział delikatne w rysunku, wysmukłe wieże i budynki. I ludzi. Ale jakich ludzi! — uświadomił sobie Masrin gwizdnąwszy ze zdumienia.

Ludzie byli błękitni, w zielonkawym świetle zielonego słońca.

Masrin zrobił głęboki wdech i poczuł, że się dusi. Jeszcze jeden kurczowy wdech i zaczął się chwiać na nogach. Ależ tutaj nie było powietrza! W każdym razie nadającego się dla niego. Zrobił krok do tyłu i spadł.

Wylądował na wpół uduszony na podłodze w swoim pokoju.

Po chwili doszedł do siebie. Usłyszał, że Harf dobija się do drzwi. Masrin podniósł się z trudem i próbował coś wymyślić. Harf zapewne podejrzewa, że Masrin jest szefem gangu, czy coś takiego. Jeśli nie wyjdą, wezwie policję. A to będzie musiało doprowadzić do...

— Posłuchaj — powiedział do Kay — mam pomysł.

W gardle czuł jeszcze gorzki smak atmosfery przyszłości. Właściwie trudno się dziwić, pomyślał. Zajrzał widocznie daleko w przyszłość. Skład atmosfery uległ stopniowo zmianie i ludzie przystosowali się. Dla niego była to jednak trucizna.

— Są dwie możliwości — mówił Masrin. — Jedna, że pod warstwą prehistoryczną znajduje się inna, wcześniejsza warstwa. Druga, że warstwa prehistoryczna jest tylko miejscowym naruszeniem ciągłości, że pod nią jest znowu współczesny Nowy Jork, rozumiesz?

— Nie.

— Chcę spróbować dostać się pod warstwę prehistoryczną. Być może w ten sposób znajdę się na parterze.

Kay zastanowiła się nad logiką udawania się na tysiące lat wstecz po to, żeby przejść kilka metrów, ale nie odezwała się.

Masrin otworzył drzwi i wyszedł na schody, odprowadzany przez Kay.

— Życz mi powodzenia! — powiedział.

— To nic nie pomoże — wtrącił stojący na schodach Harf. — Chcę, żebyście się stąd wynieśli!

Masrin zbiegł po schodach.

W prehistorycznym Nowym Jorku był wciąż jeszcze ranek i dzicy wciąż jeszcze czekali na niego. Masrin uznał, że upłynęło tu najwyżej pół godziny, lecz nie miał czasu na zastanawianie się dlaczego.

Zaskoczył ich i odbiegł na jakieś dwadzieścia jardów, zanim go zobaczyli. Rzucili się w pogoń, a Masrin w biegu rozglądał się za jakimś obniżeniem gruntu. Musiał zejść o pięć stóp w dół, żeby się stąd wydostać.

Zobaczył przed sobą obniżenie terenu i skoczył.

Znalazł się w wodzie. Raczej pod wodą. Ciśnienie zgniatało go, nad głową nie widział światła dziennego.

Widocznie trafił na okres, kiedy ta część kontynentu była dnem oceanu.

Masrin rozpaczliwie machał nogami, ból w uszach był nie do wytrzymania. Zbliżał się do powierzchni i...

Stał znowu na ziemi, ociekając wodą.

Tym razem dzicy mieli dosyć. Widząc, jak wyrasta spod ziemi tuż przed nimi, wydali okrzyk, przerażenia i uciekli.

Zmęczonym krokiem Masrin wrócił na wzgórze, wdrapał się na szczyt i znalazł się na schodach.

Kay czekała na niego, a obok stał Harf, gapiąc się z otwartą gębą. Masrin uśmiechnął się słabo.

— Panie Harf — powiedział — czy może pan wejść do pokoju? Chciałbym coś panu powiedzieć.

Szanowny Panie!

Nie rozumiem Pańskiej odpowiedzi na moją ofertę w sprawie budowy metagalaktyki MORSTT. Co więcej, nie sędzę, aby rynsztokowe wyrażenia były na miejscu w korespondencji urzędowej.

Gdyby zadał Pan sobie trud zapoznania się z moją ostatnią pracą w rejonie ATTALA, przekonałby się Pan, że jako całość jest to piękne dzieło, stanowiące trwałe osiągnięcie w walce z pierwotnym chaosem.

Jedyną usterką jest przypadek owego człowieka zamieszanego w sprawę dziury w czasie. Obawiam się, że będę jednak musiał dokonać ekstrakcji.

Zasklepiony już otwór twardniał, kiedy nagle osobnik ten przedarł się znowu, rozrywając go gorzej niż przedtem. Paradoksu jak na razie nie ma, ale w każdej chwili może się zdarzyć.

Jeśli nie zapanuje on nad swoim bezpośrednim otoczeniem i jeszcze raz spróbuje przejścia, podejmę niezbędne kroki. Paradoksy są niedopuszczalne.

Zwracam się do Pana, aby rozpatrzył Pan ponownie moją ofertę.

Proszę mi wybaczyć, że niepokoję Pana takimi drobiazgami, ale wciąż jeszcze nie otrzymałem honorarium.

Z poważaniem

Carienomen

— Oto cała historia — kończył swoją opowieść Masrin w godzinę później. — Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale sam pan widział, jak znikalem.

— To prawda — przyznał Harf.

Masrin poszedł do łazienki zdjąć mokre ubranie.

— Tak — mówił Harf — chyba pan rzeczywiście znikł. — Nie ulega wątpliwości.

— I woli pan, żeby uczeni nie dowiedzieli się o pańskich konszachtach z diabłem?

— Nie! Wyjaśniałem już panu sprawę paradoksu.

— Chwileczkę — przerwał mu Harf. — Mówił pan o tych rzeźbionych maczugach. To musiałyby

być cenne dla muzeum. Twierdził pan, że niczego podobnego nie widział.

— Ależ mówiłem już — powiedział Masrin wychodząc z łazienki — że nie wolno mi stamtąd niczego zabierać. Wywołałoby to...

— Oczywiście — przerwał mu Harf — mógłbym też wezwać dziennikarzy. I uczonych. Mógłbym nieźle zarobić na tym kulcie diabła...

— Diabeł nie ma tu nic do rzeczy. Nie wie pan, jaką rolę taka maczuga mogła odegrać w historii. Może na przykład zabito nią człowieka, który zjednoczyłby ludy Ameryki Północnej i pierwsi Europejczycy zetknęliby się ze zjednoczonym narodem Indian. Niech pan tylko pomyśli, jaki by to miało wpływ...

— Po co to gadanie — przerwał mu Harf — przyniesie mi pan tę maczugę, czy nie?

— Mówiłem już panu — powiedział zniechęcony Masrin.

— Nie chcę słuchać tych historii o paradoksach. I tak nic z tego nie rozumiem. Ale mogę się z panem podzielić po połowie tym, co dostaniemy za maczugę.

— Nie mogę.

— W porządku. W takim razie do zobaczenia — Harf podszedł do drzwi.

— Niech pan zaczeka!

Harf przystanął i na jego cienkich, pajęczych wargach pojawił się uśmiech.

Masrin zastanawiał się, co będzie gorsze. Przyniesienie maczugi oznacza poważne prawdopodobieństwo wywołania paradoksu, gdyż usunie z przeszłości wszystko to, co wiązało się z tą maczugą. Jeśli tego nie zrobi, Harf ściągnie tu dziennikarzy i uczonych. Mogą sprawdzić prawdziwość wszystkiego spychając go po prostu ze schodów; prędzej czy później zrobiłaby to i tak policja.

Przy zamieszeniu w to większej ilości osób paradoks byłby nieunikniony. I możliwe, że cała Ziemia zostałaby usunięta. Masrin był co do tego przekonany, choć nie wiedział dlaczego.

Tak czy owak był zgubiony, ale zdobycie maczugi wydawało mu się prostsze.

— Przyniosę panu maczugę — powiedział Masrin. Wyszedł na schody odprowadzany przez Kay i Harfa. Kay chwyciła go za rękę.

— Nie rób tego — prosiła.

— Nie mam innego wyjścia. — Przez chwilę myślał o zabiciu Harfa. To jednak mogłoby go zaprowadzić na krzesło elektryczne. Oczywiście mógłby zabrać jego ciało i pogrzebać je w przeszłości.

Ale trup dwudziestowiecznego człowieka w prehistorycznej Ameryce też może wywołać paradoks. Gdyby go tak znaleziono?

A poza tym nie byłby zdolny do zabicia człowieka. Masrin pocałował żonę i zszedł po schodach.

Dzikusów nie było nigdzie widać, ale miał uczucie, że śledzą go czyjeś oczy. Znalazł na ziemi dwie maczugi. Widocznie te, które go dotknęły, stawały się tabu — pomyślał podnosząc jedną z nich i spodziewając się, że podobna maczuga może mu w każdej chwili rozłupać czaszkę. Jednak na równinie nadal panował spokój.

— Brawo! — zawołał Harf. — Dawaj ją pan tutaj! Masrin podał mu maczugę, potem podszedł do Kay i objął ją. Teraz paradoks był równie oczywisty, jak gdyby zamordował własnego prapradziadka.

— Piękna sztuka — mówił Harf, podziwiając maczugę.

Może pan uważać, że zapłacił pan za następny miesiąc. Nagle maczuga znikła z jego dłoni.

Potem znikł Harf.

Kay zemdląła.

Masrin zaniósł ją na łóżko i prysnął jej wodą w twarz.

— Co się stało? — spytała Kay.

— Nie wiem — powiedział Masrin zdziwiony. — Wiem tylko tyle, że musimy tu pozostać jeszcze przez dwa tygodnie. Choćbyśmy mieli z głodu kit z okien wyjadać.

Do Centrali

Biuro 41

Kontroler Miglese

Szanowny Panie!

Pańska propozycja, abym zajął się remontem uszkodzonych gwiazd, jest obelgą dla mnie i mojej firmy. Odmawiamy, powołując się na dotychczasowe osiągnięcia, opisane w broszurze, którą załączam. Jak może Pan proponować taką pracę jednej z najbardziej zasłużonych firm Centrali?

Ponawiam swoją ofertę budowy nowej metagalaktyki w rejonie MORSTT.

Jeśli chodzi o metagalaktykę ATTALA, to praca nad nią została zakończona i śmiało można stwierdzić, że lepszej konstrukcji nigdzie Pan nie znajdzie. Ten fragment wszechświata jest cudem.

Co do osobnika, który zaklinował się w dziurze czasowej, to ostatecznie nie dokonałem jego ekstrakcji, usunąłem natomiast jeden z czynników mających na niego negatywny wpływ. Będzie mógł się teraz rozwijać normalnie.

Musi Pan przyznać, że jest to przykład dobrej roboty i charakterystycznej dla mnie wynalazczości.

Decyzja moja była następująca: Po co usuwać zdrowego osobnika, jeśli można go uratować usuwając tego, który wnosi rozkład?

Jeszcze raz proszę o komisyjne przyjęcie mojej pracy. Domagam się powtórnego rozpatrzenia mojej oferty w sprawie nowej metagalaktyki.

W dalszym ciągu nie otrzymuję honorarium!

Z poważaniem

Carienomen

Załączniki:

1) broszura, stron 9978.

przekład: Lech Jęczmyk

Watchbird

Ptaki–czujniki

Gelsen wszedłszy do sali stwierdził, że wszyscy producenci ptaków–czujników już są. Było ich sześciu oprócz niego i w pokoju zrobiło się niebiesko od dymu drogich cygar.

— Siemasz, Charlie — zawołał jeden z nich na widok Gelsena.

Pozostali przerwali na chwilę rozmowę, by machnąć mu niedbale ręką na powitanie. Uświadomił sobie kwaśno, że jako producent ptaków–czujników należał do grupy pracującej nad zbawieniem ludzkości. Bardzo ekskluzywnej. Ale jeśli chcesz ratować rodzaj ludzki, musisz mieć zamówienie rządowe.

— Brakuje jeszcze pełnomocnika rządu — poinformował Gelsena jeden z obecnych. — Spodziewamy się go lada chwila.

— Mamy zielone światło — dodał drugi.

— Wspaniale. — Gelsen znalazł sobie krzesło w pobliżu drzwi i powiódł wzrokiem po sali. Zebranie robiło wrażenie zbiórki harcerskiej. Sześciu uczestników hałaśliwością nadrabiało nikłą liczebność. Prezes Zjednoczenia Południowego wydierał się na całe gardło mówiąc o niezwykłej wytrzymałości ptaków. Zwracał się do dwóch innych prezesów, którzy uśmiechając się i kiwając głowami usiłowali mu przerwać — jeden wywodem na temat tego, jak to świeżo przeprowadził test na pomysłowość ptaków, drugi charakterystyką nowego aparatu zasilającego.

Trzej pozostali, tworzący małą, zwartą grupkę, połączyli swe głosy w czymś, co można by nazwać jedynie peanem pochwalnym na cześć ptaków.

Gelsen zauważył, że wszyscy stoją prosto, sztywno, jakby byli zbawcami ludzkości. Czuli się nimi rzeczywiście. Nie wydało mu się to zabawne. Jeszcze parę dni temu sam się za takiego uważał. Za brzuchatego, z lekka łysiejącego świętego.

Westchnął i zapalił papierosa. Na początku był pełen entuzjazmu, tak jak i oni. Pamięta doskonale, jak powiedział do Macintyre'a, swojego głównego inżyniera: „Mac, nadchodzą nowe czasy. Ptaki to nasza odpowiedź”. A Macintyre, również wyznawca idei ptaków, poważnie skinął głową.

Jakież cudowne wszystko się wtedy wydawało! Prosta, pewna odpowiedź na jeden z poważniejszych problemów ludzkości, zawarta w odrobinie nierdzewnego metalu, kryształu i plastyku.

I pewnie właśnie dlatego ogarnęły go teraz wątpliwości. Gelsen podejrzewał, że rozwiązanie jednego z najpoważniejszych problemów ludzkości nie może być aż tak łatwe. To musi mieć jakiś słaby punkt.

Ostatecznie zbrodnia jest zbyt starym problemem, żeby tak świeży wynalazek jak ptaki mógł stanowić jego rozwiązanie.

— Panowie — wszyscy rozmawiali w takim podnieceniu, że nikt nie zauważył wejścia pełnomocnika rządu. Nagle zrobiło się cicho jak makiem zasiał. — Panowie — powtórzył tłusty przedstawiciel rządu — prezydent w porozumieniu z kongresem postanowił powołać we wszystkich mniejszych i większych ośrodkach miejskich specjalne placówki do spraw ptaków–czujników.

Na sali zapanowało ożywienie. Mimo wszystko jednak będą mieli szansę ocalić ludzkość, pomyślał Gelsen, i z niepokojem zadał sobie pytanie, co w tym może być niewłaściwego.

Uważnie słuchał, jak przedstawiciel rządu referował plany dystrybucji. Otóż kraj miał zostać podzielony na siedem okręgów, z których każdy miał być zaopatrywany przez jednego producenta. Oznaczało to oczywiście monopol, ale nie było innego wyjścia. Podobnie jak w przypadku łączności telefonicznej, jest to sprawa ogólnego dobra, a tym samym nie może być mowy o żadnej konkurencji. Ptaki–czujniki miały służyć wszystkim jednakowo.

— Prezydent ma nadzieję — ciągnął przedstawiciel rządu — że organizacja służby ptasiej zostanie zakończona w możliwie najkrótszym terminie. Będziecie mieli pierwszeństwo w uzyskiwaniu takich surowców, jak metale strategiczne, nie mówiąc o sile roboczej i tym podobnych.

— Jeśli o mnie chodzi — powiedział prezes Zjednoczenia Południowego — pierwszą partię ptaków mogę dostarczyć w ciągu tygodnia. Wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Reszta obecnych zajęła podobne stanowisko. Fabryki już od miesiący były gotowe do rozpoczęcia produkcji. Ostatecznie przyjęto znormalizowane urządzenia i tylko czekano na zezwolenie czynników oficjalnych.

— Świetnie — rzekł przedstawiciel rządu. — Jeśli to wszystko, to myślę, że możemy... czy są jakieś pytania?

— Tak — odparł Gelsen. — Chciałbym wiedzieć, czy do produkcji zatwierdzony jest obecny model.

— Oczywiście — odrzekł pełnomocnik rządu. — Jest najdoskonalszy.

— Mam pewne zastrzeżenia — oświadczył Gelsen wstając. Koledzy zmierzili go lodowatym wzrokiem. Ten człowiek opóźnia nadejście złotej ery.

— Jakiej natury? — zapytał pełnomocnik.

— Przede wszystkim chciałbym się zastrzec, że w pełni popieram wprowadzenie urządzeń mechanicznych służących zapobieganiu zbrodni. Od wieków istnieje ogromna tego potrzeba. Kwestionuję jedynie układy uczenia. Ożywiają one niejako maszynę, wyposażając ją w rodzaj świadomości. Nie mogę tego aprobować.

— Ależ sam pan przecież dowodził, że ptaki nie będą w pełni doskonałe, jeżeli nie wmontuje im się takich obwodów. Bez tego zdołają udaremnić zaledwie jakieś siedemdziesiąt procent morderstw.

— Wiem o tym — odrzekł Gelsen trochę niepewnie. Wydaje mi się jednak, że umożliwienie maszynie podejmowania decyzji, do których ma prawo jedynie człowiek, kryje w sobie niebezpieczeństwo natury moralnej — uparcie obstawał przy swoim.

— Daj spokój, Gelsen! — wykrzyknął jeden z kolegów. To nie ma z tym nic wspólnego. Będzie to jedynie potwierdzenie decyzji wszystkich uczciwych ludzi od początku świata.

— Całkowicie się z tym zgadzam — oświadczył pełnomocnik rządu. — Ale rozumiem jednocześnie zastrzeżenia pana Gelsena. To rzeczywiście smutne, że rozwiązywanie naszych, ludzkich problemów musimy powierzać maszynom, a jeszcze smutniejsze, że maszyny muszą egzekwować nasze prawa. Ale pan będzie uprzejmy nie zapominać, panie Gelsen, że praktycznie nie istnieje inny sposób zapobieżenia zbrodni, zanim do niej dojdzie. Byłoby to nieuczciwe w stosunku do wszystkich tych, którzy ciągle giną niewinnie, gdybyśmy z pobudek czysto filozoficznych ograniczali możliwości ptaków–czujników. Czy nie zgadza się pan ze mną?

— No, owszem — odrzekł bez przekonania Gelsen. Tłumaczył to sobie tysiące razy, ale ciągle jeszcze coś go niepokoiło. Będzie musiał pogadać z Macintyre'em.

Pod koniec konferencji uderzyła go pewna myśl. Gelsen uśmiechnął się. Wielu policjantów zostanie bez pracy.

— No i co ty na to? — zapytał funkcjonariusz policji Celtrics. — Piętnaście lat człowiek harował w Wydziale Zabójstw po to, żeby go w końcu wygryzła jakaś tam maszyna. — Przejechał dużą, czerwoną dłonią po czole i pochylił się nad biurkiem kapitana. — I proszę: czy nauka nie jest wspaniała?

Dwóch innych policjantów, też byłych pracowników Wydziału Zabójstw, ponuro pokiwało głowami.

— Nie martw się — rzekł kapitan. — Urządzymy cię w Kradzieżach. Zobacysz, na pewno ci się spodoba.

— Nie mogę się z tym pogodzić — narzekał Celtrics — żeby jakiś cholerny kawałek blachy i szkła rozwiązywał za człowieka sprawy morderstw.

— Niezupełnie — odparł kapitan. — Zadaniem ptaków–czujników jest zapobieganie zbrodni, zanim do niej dojdzie.

— Wobec tego trudno tu mówić o zbrodni — odparł jeden z policjantów. — Chodzi mi o to, że przecież nie można powiesić człowieka za morderstwo, dopóki go nie popełni, prawda?

— A tym samym nie można go aresztować — dodał Celtrics.

— Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzą — przyznał kapitan.

Zapadła cisza. Kapitan ziewnął i spojrzął na zegarek.

— Jednego nie rozumiem — powiedział Celtrics — jak oni to robią? Od czego się to wszystko zaczęło, kapitanie?

Kapitan pilnie studiował twarz Celtricsa, usiłując doszukać się w niej śladów ironii — ostatecznie od miesięcy ptaki–czujniki nie schodziły z łamów gazet. Uświadomił sobie jednak, że Celtrics, podobnie jak jego kumple, rzadko kiedy czyta cokolwiek poza wiadomościami ze sportu.

— No więc — zaczął usiłując przypomnieć sobie, czego się dowiedział z niedzielnych dodatków — ci uczeni zajmowali się kryminologią. Przeprowadzali badania nad mordercami, żeby się przekonać, na jakiej zasadzie oni działają. Stwierdzili, że ich mózg wysyła zupełnie inny rodzaj fal niż mózg zwykłego człowieka. I ich gruczoły też funkcjonują inaczej. A to wszystko można zaobserwować w chwili, kiedy właśnie mają popełnić zbrodnię. No i ci uczeni wynaleźli takie urządzenie — coś w rodzaju czerwonego sygnału, który się zapala, w momencie kiedy powstają te fale.

— Uczeni — powtórzył z goryczą Celtrics.

— Ale właściwie to nie wiedzieli, co z tym urządzeniem zrobić. Było za duże i niewygodne w eksploatacji. Zbudowali więc na podobnej zasadzie mniejsze jednostki i rozesłali je do kilku komisariatów. Zdaje się, że nawet jeden taki aparat był w naszym stanie. Ale nie zdało to egzaminu. Nie można było zdążyć na czas, żeby zapobiec zbrodni. Dlatego skonstruowali ptaki–czujniki.

— Nie wierzę, żeby one skutecznie działały — upierał się jeden z policjantów.

— Owszem, działają. Czytałem o wynikach próbnych akcji. Te ptaki potrafią wyniuchać zbrodniarza, zanim zamorduje. A wtedy wywołują u niego coś w rodzaju potężnego szoku i to wystarcza, żeby faceta zniechęcić.

— Kapitanie, likwiduje pan Wydział Zabójstw? — zapytał Celtrics.

— Nie — odparł kapitan. — Zostawię załogę kadrową, zobaczymy, jak się te ptaki będą spisywać.

— Też! — parsknął Celtrics. — Załogę kadrową. To śmieszne!

— Możliwe. Ale mimo to zostawię kilku ludzi. Wydaje mi się, że ptaki nie dadzą sobie z tym wszystkim rady.

— Dlaczego?

— Niektórzy mordercy nie wysyłają tych fal — odrzekł kapitan usiłując sobie przypomnieć dalsze szczegóły przeczytanego artykułu. — A może ich gruczoły nie działają czy coś w tym rodzaju?

— A którzy to są? — zapytał Celtrics z zawodową ciekawością.

— Dokładnie nie wiem. Ale słyszałem, że powymyślali jakieś cholerne urządzenia, więc pewnie niedługo ze wszystkimi sobie te ptaki poradzą.

— W jaki sposób?

— Uczą się. To znaczy ptaki. Tak jak ludzie.

— Bujasz.

— Nic podobnego.

— Już ja tam lepiej na wszelki wypadek naoliwię moją spluwę. Człowiek nie może ufać tym uczonym.

— Masz rację.

— Jakieś ptaki sobie wymyślili! — parsknął pogardliwie Celtrics.

Ponad miastem szybował leniwie ptak–czujnik. Jego aluminiowa pokrywa lśniła w porannym słońcu, a na rozpostartych skrzydłach tańczyły plamy światła. Ptak leciał bezszelestnie, ale wyczulony był na każdy bodziec. Układ orientacji przestrzennej informował go, gdzie się znajduje, i utrzymywał krzywą lotu. Oczy i uszy, stanowiące jeden zespół, nie przestawały szukać, wypatrywać.

I nagle — błyskawiczny elektroniczny refleks: ptak zaczął reagować na jakiś bodziec. Ośrodek koordynacji sprawdził wrażenie, porównując je z elektrycznymi i chemicznymi danymi zawartymi w pamięci. Przekaznik włączył się samoczynnie.

Pod wpływem coraz silniejszych bodźców ptak spiralnym lotem opadał w dół. Czuł wydzielinę pewnych gruczołów; smakował osobliwą falę wyslaną przez czyjś mózg.

Gotowy do ataku spikował w porannym jasnym słońcu.

Dinelli był w takim napięciu, że nie zauważył zbliżającego się ptaka. Z wycelowanym pistoletem wpatrywał się w potężną postać właściciela sklepu.

— Nie zbliżaj się!

— Chcesz mnie zabić, nędzny łobuzie?! — powiedział kupiec i postąpił krok naprzód. — Uważaj, bo ci gnaty poprzetrącam, ty pokurczu jeden! — Zbyt głupi czy też zbyt odważny, żeby docenić groźbę wycelowanej w siebie broni, ruszył na małego opryszka.

— Dobra, już dobra — rzekł Dinelli w stanie kompletnej paniki. — Zjeżdżaj...

Potężne wyładowanie elektryczne przewróciło go na plecy. Pistolet wystrzelił, niszcząc wystawę pełną produktów spożywczych.

— Co to ma znaczyć, u diabła? — powiedział właściciel sklepu patrząc na ogłuszonego złodzieja. W tym momencie dostrzegł błysk skrzydeł. — A niech to wszyscy diabli, te ptaki rzeczywiście działają!

Patrzył tak długo, aż srebrzyste skrzydła znikły mu z oczu, po czym zadzwonił na policję.

Ptaka powrócił do swego punktu obserwacyjnego ponad miastem. Jego ośrodek koordynacji zarejestrował nowe informacje dotyczące morderstwa. Z wieloma faktami zetknął się po raz pierwszy.

Nowe dane zostały przekazane jednocześnie wszystkim pozostałym ptakom, które z kolei nadesłały swoje spostrzeżenia. Między ptakami nie ustawała wzajemna wymiana informacji, metod i definicji.

Teraz, kiedy ptaki-czujniki płynęły z taśmy montażowej nieprzerwanym strumieniem, Gelsen pozwolił sobie na małe odprężenie. Jego zakłady zawsze na czas wywiązywały się z zamówień, na pierwszym miejscu uwzględniając potrzeby dużych ośrodków miejskich w jego okręgu.

— Wszystko idzie gładko, szefie — powiedział inżynier Macintyre wchodząc po zakończeniu swojego normalnego obchodu.

— Pierwszorzędnie. Siadaj.

Ogromny mężczyzna usiadł i zapalił papierosa.

— Już kawał czasu, jakeśmy zaczęli produkcję, co? — odezwał się Gelsen, któremu nic lepszego nie przyszło do głowy.

— Aha — zgodził się Macintyre. Oparł się wygodnie, głęboko zaciągając się papierosem. Był jednym z konsultantów przy opracowywaniu prototypu ptaka. Od tamtej pory upłynęło sześć lat. Cały czas pracował u Gelsena i mężczyźni zaprzyjaźnili się serdecznie.

— Chciałem cię zapytać o jedną rzecz — Gelsen zawiesił głos. Nie wiedział, jak to sformułować. Zapytał więc po prostu: — Co ty myślisz o ptakach, Mac?

— Kto? Ja? — inżynier uśmiechnął się nerwowo. Od momentu, kiedy zrodziła się koncepcja ptaka-czujnika, nie potrafił jeść, pić ani spać, żeby o tym nie myśleć. Jaki więc mógł mieć do tej sprawy stosunek! — To przecież wspaniała rzecz!

— Nie o to mi chodzi — odparł Gelsen. Chodziło mu właściwie o to, żeby ktoś wreszcie zrozumiał jego punkt widzenia. — Czy nie uważasz, że myśląca maszyna może kryć w sobie niebezpieczeństwo?

— Nie sędzę, szefie. A dlaczego pytasz?

— Słuchaj, Mac, nie jestem ani uczonym, ani inżynierem. Ja po prostu finansuję tę całą imprezę, a reszta to już wasza sprawa. Ale jako laika ptaki zaczynają mnie przerażać.

— Nie widzę żadnych powodów.

— Nie podobają mi się te układy uczenia.

— Dlaczego? — Macintyre znów się uśmiechnął. — Wiem, nie ty jeden się boisz. Obawiacie się, że pewnego pięknego poranka wasze maszyny ockną się i zapytają: „Właściwie co my tutaj robimy? To my powinniśmy rządzić światem”. O to ci chodzi, co?

— Coś w tym rodzaju — przyznał Gelsen.

— Nie ma obawy — odparł Macintyre. — Rzeczywiście ptak–czujnik to skomplikowane urządzenie, ale na przykład taka maszyna licząca z MIT jest o całe niebo bardziej skomplikowana. A poza tym ptaki nie mają świadomości.

— Nie. Ale mogą się uczyć.

— Owszem, w tym samym stopniu co wszystkie maszyny liczące nowego typu. Boisz się, że się sprzymierzą z ptakami?

Gelsen był zły na Macintyre’a, ale jeszcze bardziej był zły na siebie, że się ośmiesza.

— Kiedy naprawdę ptaki mogą wykorzystać swoją zdolność uczenia się. Przecież nikt ich nie kontroluje.

— Właśnie o to chodzi — rzekł Macintyre.

— Myślałem o tym, żeby się wycofać z całego tego interesu — Gelsen dopiero teraz tak na dobre zdał sobie z tego sprawę.

— Szefie, może posłuchasz, co o tym sądzi twój inżynier.

— Jasne, słucham.

— Ptaki–czujniki nie są bardziej niebezpieczne niż samochody, maszyny liczące IBM czy termometry. Nie mają więcej świadomości czy woli od tamtych urządzeń. Są tak skonstruowane, żeby reagowały na określone bodźce i pod ich wpływem wykonywały pewne operacje.

— A co z układami uczenia?

— One są niezbędne — mówił Macintyre cierpliwie, jakby tłumaczył dziesięcioletniemu dziecku. Celem ptaków–czujników jest udaremnianie wszelkich zbrodni, zgadzasz się ze mną? Ale tylko niektórzy mordercy wysyłają te bodźce. Żeby jednak móc zidentyfikować wszystkich, ptak musi

poszukiwać nowych definicji zbrodni i porównywać je z wiadomościami, jakie uzyskał do tej pory.

— Uważam, że jest w tym coś nieludzkiego — rzekł Gelaen.

— I to jest właśnie najwspanialsze. Że ptaki nie podlegają uczuciom. Ich sposób myślenia jest nieantropomorficzny. Nie można ich ani przekupić, ani poddać działaniu narkotyków. Ani zastraszyć.

Na biurku Gelsena zabrzączał radiotelefon. Gelsen zignorował go.

— Ja to wszystko wiem — rzekł — a mimo to czuję się czasem jak człowiek, który wynalazł dynamit. On też myślał, że dynamit będzie służył tylko do wysadzania w powietrze karpin.

— Ale przecież ty nie wynalazłeś ptaków.

— To nie szkodzi. Jako ich producent i tak czuję się za to wszystko moralnie odpowiedzialny.

Radiotelefon zabrzączał ponownie i Gelsen poirytowany nacisnął guzik.

— Mam meldunki z pierwszego tygodnia działalności ptaków — zakomunikowała sekretarka.

— Jak sprawa wygląda?

— Wspaniale.

— Chciałbym je mieć w ciągu piętnastu minut — Gelsen wyłączył radiotelefon i zwrócił się do Macintyre'a, który właśnie czyścił sobie paznokcie zapalką. — Czy nie uważasz, że świadczy to o pewnej aktualnej tendencji w myśli ludzkiej? Demon mechanizacji? Elektroniczny ojciec?

— Szefie — rzekł Macintyre — myślę, że powinieneś dokładniej przestudiować problem ptaków. Czy orientujesz się, co zostało wbudowane w ich obwody?

— Tylko z grubsza.

— Przede wszystkim cel: uniemożliwienie żywym organizmom popełniania morderstw. Po drugie: morderstwo zostało zdefiniowane jako akt gwałtu polegający na biciu, duszeniu, maltretowaniu, w każdym razie na przerwaniu funkcji życiowych jednego żywego organizmu przez drugi żywy organizm. Po trzecie: większość morderców można będzie wykryć dzięki specjalnym reakcjom chemicznym i elektrycznym zachodzącym w ich organizmach.

Macintyre przerwał, żeby zapalić następnego papierosa.

— Te czynniki warunkują normalne funkcje ptaka. Jeśli chodzi o układy uczenia, dochodzą dwa punkty dodatkowe. Po czwarte: istnieją żywe organizmy, które mogą popełniać morderstwa bez reakcji wspomnianych w punkcie trzecim. Po piąte: mogą być one wykryte dzięki danym zawartym w punkcie drugim.

— Rozumiem — rzekł Gelsen.

— Widzisz teraz, jakie to niezawodne urządzenie?

— Tak... chyba tak — Gelsen zawahał się przez chwilę. To by chyba było wszystko.

— W porządku — odparł inżynier i wyszedł.

Gelsen zadumał się. Przecież ptaki nie mogły zawieść.

— Proszę mi przysłać sprawozdanie — polecił przez radiotelefon.

Wysoko ponad oświetlonymi budynkami miasta szybował ptak–czujnik. Zrobiło się ciemno, ale w oddali widział jeszcze jednego i jeszcze jednego ptaka. Bo było to duże miasto. Aby zapobiec zbrodni...

Trzeba było na coraz więcej rzeczy zwracać uwagę. Coraz to nowe informacje krzyżowały się w powietrzu tworząc niewidzialną siatkę łączącą ptaki. Nowe dane, nowe sposoby wykrywania gwałtu i mordu.

Uwaga! Czujnik reaguje! Dwa ptaki dały nurka jednocześnie. Jeden pochwycił sygnał o ułamek sekundy wcześniej niż drugi, który wobec tego wzbił się z powrotem podejmując swój lot patrolowy.

Punkt czwarty: istnieją żywe organizmy, które mogą popełniać morderstwa bez reakcji wymienionych w punkcie trzecim.

Dzięki tej nowej informacji ptak poprzez ekstrapolację doszedł do wniosku, że ten osobnik zamierza popełnić morderstwo, mimo że nie towarzyszą temu charakterystyczne fluidy natury chemicznej i elektrycznej.

Ptak wyostrzonymi zmysłami obserwował podejrzanego osobnika. Wreszcie podjął decyzję i runął w dół.

Roger Greco stał oparty o mur budynku z rękami w kieszeniach. W lewej dłoni zaciskał chłodną kolbę swojej czterdziestki piątki. Czekał cierpliwie.

Nie myślał o niczym szczególnym; po prostu spokojnie, całkowicie odprężony, oparty o mur czekał na człowieka. Greco nie wiedział nawet, dlaczego ów człowiek miał zginąć. Zresztą wszystko mu było jedno. Ten brak zainteresowania stanowił jedną z jego dwóch głównych zalet. Drugą była znajomość fachu.

Jedna kula ulokowana zręcznie w głowie mężczyzny, którego nawet nie znał. Ani go to nie podniecało, ani nie mierziło. Praca jak każda inna. Zabiłeś człowieka. No to co?

Kiedy jego ofiara wyszła z budynku, Greco wyjął spluwę z kieszeni. Odbezpieczył ją i

wycelował... w dalszym ciągu o niczym nie myśląc...

Nagle został zwalony z nóg.

Był pewien, że to kula. Pozbierał się jakoś, rozejrzał dokoła i kiedy ponownie usiłował wziąć swoją ofiarę na cel... znów został zwalony z nóg.

Tym razem mierzył z pozycji leżącej. Jako wytrawnemu fachowcowi nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby dać za wygraną.

Po następnym ciosie zrobiło mu się czarno przed oczami. Szok nie ustępował, obowiązkiem ptaka bowiem było chronić ofiarę gwałtu za wszelką cenę, bez względu na mordercę.

Mężczyzna podszedł do swojego samochodu, nie zauważywszy nic szczególnego. Wszystko odbyło się w kompletnej ciszy.

Gelsen był zadowolony. Ptaki spisywały się bez zarzutu. Liczba zbrodni zmniejszyła się najpierw do połowy, a potem do jednej czwartej. Ciemne zaułki przestały ziać grozą. Ludzie przestali unikać o zmierzchu parków i skwerów.

Zdarzały się jeszcze oczywiście napady rabunkowe. Szerzyły się kradzieże kieszonkowe, defraudacje, fałszerstwa i setki innych przestępstw. Ale to już nie miało takiego znaczenia. Stracone pieniądze można odzyskać; życia — nie.

Gelsen już był właściwie skłonny przyznać, że nie miał racji w sprawie ptaków. Mimo wszystko spełniały zadanie, z którym człowiek nie potrafił sobie poradzić.

Pierwszy sygnał, że coś jest nie w porządku, odebrał dziś rano, kiedy do jego gabinetu wszedł Macintyre. Stał w milczeniu przed biurkiem Gelsena, wyraźnie zaniepokojony i jak gdyby trochę zmieszany.

— Co się stało, Mac?

— Jeden z ptaków zaatakował pracownika rzeźni. Przewrócił go.

Gelsen zastanowił się. Tak, oczywiście, że ptaki muszą to robić. Za pomocą swoich nowych układów uczenia sklasyfikowały zabijanie zwierząt jako morderstwo.

— Powiedz właścicielom rzeźni, żeby zmechanizowali ubój. Zawsze mnie to napawało wstrętem.

— Dobra — Macintyre złożył usta w ciup, wzruszył ramionami i wyszedł z gabinetu.

Gelsen stał zamyślony koło swego biurka. Czy ptaki nie mogą odróżnić morderstwa od legalnie wykonywanego zawodu? Najwyraźniej nie. Dla nich morderstwo to morderstwo. Bez żadnych wyjątków. Zasepił się. Trzeba będzie im trochę skalibrować obwody.

Ale niewiele, zdecydował pospiesznie. Tak żeby tylko trochę lepiej potrafiły różnicować zjawiska. Usiadł i znów pograżył się w papierach, usiłując nie dopuścić do głosu dawnego strachu.

Przywiązali skazańca do krzesła elektrycznego i przypięli mu elektrodę do nogi.

— Och! Och! — jęczał, niezupełnie świadom tego, co się z nim dzieje.

Na ogoloną głowę włożono mu hełm i dopięto ostatnie paski. Jego cichy jęk nie ustawał.

I wtedy wleciał ptak. Którędy się dostał — nikt nie wiedział. Więzienia są wielkie, masywne, z wieloma zaryglowanymi drzwiami, a jednak ptak dostał się jakoś do środka... żeby zapobiec zbrodni.

— Wyrzucicie go stąd! — krzyknął dozorca i sięgnął do wyłącznika. Ptak zważył go z nóg.

— Co to ma znaczyć?! — wrzasnął strażnik i sam wyciągnął rękę. Ale w tej chwili runął na podłogę obok dozorca.

— To nie morderstwo, idioto! — krzyknął drugi strażnik. Wyjął broń, żeby zestrzelić szybującego pod sufitem metalowego ptaka.

Wyczuwając to ptak cisnął nim o ścianę.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Po chwili skazaniec, w hełmie na głowie, zaczął chichotać. Ale zaraz przestał. Ptak polatując nad nim pilnował, żeby nie popełniono żadnej zbrodni.

Łącząc ptaki siatką popłynęły nowe informacje. Tysiące nie kierowanych przez nikogo, niezależnych ptaków zarejestrowały je i zaczęły zgodnie z nimi działać.

Bicie, duszenie czy w jakikolwiek inny sposób przerwanie funkcji życiowych jednego żywego organizmu przez drugi żywy organizm. Nowe akty gwałtu wymagające interwencji.

— No, bujaj się! — wykrzyknął farmer Ollister i ponownie uniósł bat. Koń wierzgnął i wóz turkocząc i podskakując na wybojach zwawiej ruszył do przodu. — No, ruszaj się, ty chabeto cholerna! — wrzasnął farmer i znów uniósł bat.

Ale bat nie spadł. Czujny ptak, węsząc w tym akt gwałtu, zważył chłopca z kozła.

Żywy organizm? Co to jest żywy organizm? W miarę poznawania nowych faktów ptaki rozszerzały swoje definicje, mając tym samym coraz więcej pracy.

Sylwetka jelenia rysowała się wyraźnie na tle lasu. Myśliwy uniósł strzelbę i starannie wycelował. Nie zdążył jednak pociągnąć za spust.

Wolną ręką Gelsen otarł spoconą twarz.

— W porządku — powiedział do telefonu. Wysłuchał spokojnie obelg płynących z drugiej strony przewodu, po czym lekko odłożył słuchawkę na widełki.

— Co tym razem? — zapytał Macintyre. Był nie ogolony, miał rozluźniony krawat i rozpiętą koszulę.

— Następny rybak — odparł Gelsen. — Ptaki nie dają mu łowić, mimo że jego rodzina przymiera głodem. Pyta, co zamierzamy w tej sprawie zrobić.

— Ile już jest zażaleń?

— Nie mam pojęcia. Nie otwierałem jeszcze poczty.

— Wydaje mi się, że wiem, na czym kłopot polega — rzekł ponuro Macintyre, z miną człowieka, który ponieważ wie, jak doszło do tego, że wysadził ziemię w powietrze.

— Ciekaw jestem.

— Wszyscy założyli z góry, że my chcemy zapobiec wszelkim morderstwom. A myśmy sobie wyobrażali, że ptaki będą myślały tak samo jak my. Powinniśmy jaśniej sprecyzować warunki.

— Ale wiesz co — powiedział Gelsen — zanim je sprecyzujemy, musimy wiedzieć dokładnie, co to są morderstwa i dlaczego się zdarzają. A z kolei gdybyśmy to wiedzieli, ptaki nie byłyby nam potrzebne.

— Nie jestem tego pewny. Po prostu trzeba im powiedzieć, że niektóre sytuacje noszące pozory morderstwa nie są morderstwami.

— Ale dlaczego one przeszkadzają rybakom? — zapytał Gelsen.

— A dlaczego miałyby nie przeszkadzać? Ryby i zwierzęta są żywymi organizmami. To po prostu tylko my uważamy, że zabijanie ich nie jest mordowaniem.

Zadzwonił telefon. Gelsen spojrzał na niego z wściekłością i nacisnął guzik radiotelefonu.

— Prosiłem przecież, żeby nie łączyć telefonów. Żadnych.

— To Waszyngton — odparła sekretarka. — Myślałam, że...

— Przepraszam. — Gelsen podniósł słuchawkę. — Tak, oczywiście, że kłopot. Tak? W porządku,

zastosuję się odłożyć słuchawkę.

— Krótko węzłowato — oznajmił Macintyre'owi. — Mamy chwilowo wycofać ptaki.

— To nie będzie takie proste — odparł Macintyre. Wiesz przecież, że one właściwie nie podlegają żadnej kontroli. Raz na tydzień zgłaszają się tylko na przegląd techniczny. Będziemy je musieli jeden po drugim po prostu wyłączać.

— Trudno, musimy się za to wziąć. Firma Monroe z wybrzeża wyłączyła już blisko czwartą część swoich ptaków.

— Trzeba im będzie wmontować obwody ograniczające.

— Pięknie — odrzekł Gelsen z goryczą. — Nie posiadam się wprost ze szczęścia.

Ptaki uczyły się błyskawicznie, w zawrotnym tempie rozszerzając zasięg swego działania i powiększając wiedzę. Stale uogólniały luźno sformułowane pojęcia, sprawdzały je w praktyce i ponownie uogólniały.

Żeby zapobiec zbrodni...

Metal i elektrony rozumują dobrze, ale nie na ludzką modłę.

Żywy organizm? Każdy żywy organizm.

Ptaki wzięły na siebie obowiązek chronienia wszystkiego, co żyło.

Mucha bzyząc latała po pokoju. Przysiadła na chwilę na stole, po czym zerwała się i poleciała w stronę parapetu. Ze zwiniętą w rulon gazetą w ręku skradał się do niej starszy mężczyzna.

Morderca!

W mgnieniu oka ptaki zniżyły lot i... uratowały muchę. Starszy człowiek wił się przez chwilę na podłodze, po czym znieruchomiał. Doznał lekkiego szoku, który okazał się jednak śmiertelny dla starczego roztrzepotanego serca. Ale przedmiot ataku został uratowany, i to było najważniejsze. Ocalić ofiarę, a agresorowi dać nauczkę.

Gelsen zapytał poirytowany:

— Dlaczegoście ich nie powyłączali?

Zastępca szefa do spraw kontroli technicznej wskazał ręką. Na podłodze w rogu warsztatów remontowych leżał szef. Właśnie odzyskiwał przytomność.

— Próbował wyłączyć jednego z nich — wyjaśnił zastępca. Miał splecione dłonie i wyraźnie usiłował opanować ich drżenie.

— To śmieszne! Przecież one są zupełnie pozbawione instynktu samozachowawczego.

— Tak? To sam spróbuj coś z nimi zrobić. Poza tym myślę, że one przestaną się zgłaszać.

Jakim cudem? Jak mogło do tego dojść? — Gelsen zaczął rozważać problem. Ptaki w dalszym ciągu nie potrafiły dokładnie sprecyzować, czym jest właściwie żywy organizm. Kiedy pierwsza partia została wyłączona w zakładach Monroego, reszta zdążyła już pewnie przetworzyć nowe dane.

Musiały przyjąć, że same są żywymi organizmami. Nikt im nigdy nie powiedział, że nie są. I nie ulega wątpliwości, że wykonują większość funkcji właściwych żywym organizmom.

Powróciły dawne obawy. Gelsen roztrzęsiony wybiegł z warsztatów remontowych. Chciał jak najprędzej porozumieć się z Macintyre'ern.

Pielęgniarka podała chirurgowi gąbkę.

— Skalpel.

Podała mu skalpel. Chirurg zrobił pierwsze nacięcie. I nagle poczuł, że mu coś przeszkadza.

— Kto go tutaj wpuścił'?

— Nie mam pojęcia — odparła pielęgniarka głosem stłumionym przez maskę.

— Proszę go w tej chwili usunąć!

Pielęgniarka zaczęła machać rękami w kierunku błyszczącego skrzydlatego intruza, który jednak dalej spokojnie unosił się nad jej głową.

Chirurg usiłował operować, ale ptak czuwał nie dopuszczając go do pacjenta..

— Proszę zadzwonić do przedsiębiorstwa produkującego ptaki — rozkazał chirurg. — Niech przyjadą go wyłączyć. Ptak stał na straży bezpieczeństwa żywego organizmu.

Chirurg stał i patrzył bezradnie, jak jego pacjent umiera.

Polatując wysoko ponad siecią autostrad, ptak obserwował i czekał. Pracował już kilka tygodni bez odpoczynku i bez naprawy. Odpoczynek czy naprawa nie wchodziły w grę, ptak bowiem — jako żywy organizm — nie mógł dopuścić do tego, by go zamordowano. A powrót do fabryki równałby się dla niego śmierci.

W obwody ptaków wbudowano nakaz, by po upływie pewnego czasu wracały, ale znacznie silniejszym nakazem, którego musiały przestrzegać bezwzględnie, był nakaz ochrony życia, łącznie z własnym.

Definicje morderstwa uległy teraz takim uogólnieniom i tak zostały rozszerzone, że ptaki nie były w stanie podołać stojącym przed nimi zadaniom. Ale nie zastanawiały się nad tym. Ślepo odpowiadały na bodźce, obojętne, z jakiego pochodziły one źródła.

W rejestrach pamięci ptaka pojawiła się nowa definicja żywego organizmu. Wynikała ona z odkrycia, że ptaki-czujniki też są żywymi organizmami. A to z kolei prowadziło do dalszych uogólnień.

Uwaga. Po raz setny tego dnia ptak spiralnym lotem zniżył się, przechylił i opadł łagodnie — żeby zapobiec zbrodni.

Jackson ziewnął i zatrzymał samochód na poboczu. Nie zauważył migotliwego punktu na niebie. A zresztą nie było żadnego powodu, żeby miał się tym interesować. Jackson nie zamierzał popełnić morderstwa w żadnym ludzkim sensie tego słowa. To dobre miejsce na krótką drzemkę, pomyślał. Jechał siedem godzin bez przerwy i zaczynało mu się już wszystko mącić przed oczami. Sięgnął ręką do kluczyka, żeby wyłączyć silnik, i... rzuciło nim o oparcie siedzenia.

— Co do diabła?! — powiedział ze złością. — Ja przecież chciałem tylko... — Ponownie sięgnął do kluczyka i znów nim rzuciło.

Jackson nie był taki głupi, żeby próbować po raz trzeci. Słuchał radia i wiedział, co go czeka, jak będzie uparty.

— Ty durniu mechaniczny — warknął. — Przecież samochód nie jest żywą istotą. I nie zamierzam go zabić.

Ale ptak wiedział tylko jedno: że na skutek pewnej czynności ustanie działanie jakiegoś organizmu. A samochód był niewątpliwie organizmem. Czyż nie był zbudowany z metalu, tak jak ptaki? I czy nie poruszał się?

Macintyre powiedział:

— One się same zużyją bez konserwacji — odsunął piętrzącą się przed nim dokumentację techniczną.

— Ale kiedy? — zapytał Gelsen.

— Pół roku — rok. No, na wszelki wypadek przyjmijmy, że w ciągu roku.

— Hm, w ciągu roku — powtórzył Gelsen. — A tymczasem ptaki powykańczają wszystkich dokoła. Słyszałeś, co się ostatnio stało?

— Co takiego?

— Ptaki zdecydowały, że Ziemia jest żywym organizmem. Nie pozwalają farmerom orać. No i oczywiście żywymi organizmami są wszelkie stworzenia: króliki, żuki, muchy, wilki, moskity, lwy, krokodyle, wrony i mniejsze formy żywe, jak na przykład bakterie.

— Wiem — rzekł Macintyre.

— I ty mi mówisz, że one się wyczerpią w ciągu sześciu miesięcy czy roku. A co teraz? Co będziemy jedli przez te sześć miesięcy?

Inżynier podrapał się w głowę.

— Musimy coś zrobić jak najszybciej. Całą równowagę ekologiczną diabli biorą.

— „Jak najszybciej” to nie jest odpowiednie słowo. „Natychmiast” byłoby stosowniejsze. — Gelsen zapalił trzydziestego piątego papierosa tego dnia. — Przynajmniej mam tę wątpliwą satysfakcję, że mogę ci teraz powiedzieć: „a nie mówiłem”? Chociaż oczywiście ponoszę za to wszystko nie mniejszą odpowiedzialność niż reszta uprawiających kult mechanizacji idiotów.

Macintyre słuchał go zamyślony.

— Zupełnie jak plaga królików w Australii.

— Przeciętna zgonów wzrasta — rzekł Gelsen. — Głód. Powodzie. Nie można wycinać drzew. Lekarze nie mogą... zaraz... co takiego mówiłeś o Australii?

— Króliki — powtórzył Macintyre. — W tej chwili nie został już chyba w Australii ani jeden królik.

— Dlaczego? Jak to zrobili?

— Wynaleźli jakiś zarazek, który atakował tylko króliki. Zdaje się, że jego nosicielami były moskity...

— Spróbuj czegoś takiego — rzekł Gelsen. — Może wam coś przyjdzie do głowy. Dzwonź zaraz i zwołaj ekstranaradę z inżynierami z innych fabryk. Ale prędko. Razem może coś wymyślicie.

— W porządku — powiedział Macintyre. Zgarnął czyste kartki i pospieszył do telefonu.

— A nie mówiłem? — powiedział Celtrics. Uśmiechnął się do kapitana. — Nie mówiłem, że uczeni to kupa idiotów?

— Ale ja wcale nie przeczyłem, o ile dobrze pamiętam.

— Nie, ale nie byłeś pewny.

— Teraz już jestem. A ty już lepiej idź. Czeka na ciebie masę roboty.

— Wiem. — Celtrics wyjął z pochwy rewolwer, sprawdził go i schował z powrotem. — Czy wszyscy chłopcy już wrócili, kapitanie?

— Wszyscy? — kapitan roześmiał się ponuro. — Musieliśmy powiększyć Wydział Zabójstw o pięćdziesiąt procent. Nigdy nie było tyle morderstw co teraz.

— Jasne — rzekł Celtrics. — Ptaki mają za dużo roboty z pilnowaniem samochodów i pajaków. — Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się, by rzucić jeszcze na koniec: — Wierz mi, maszyny są głupie.

Kapitan skinął głową.

Tysiące ptaków—czujników usiłujących udaremnić miliony zbrodni — beznadziejna sprawa. Ale ptaki nie wiedziały, co to nadzieja. Nie mając świadomości nie doświadczały ani satysfakcji związanej z sukcesem, ani uczucia porażki. Cierpliwie wykonywały swoje zadania, reagując na każdy bodziec.

Nie mogły być jednocześnie wszędzie, ale to wcale nie było potrzebne. Ludzie szybko zrozumieli, na co ptaki reagują, i zaczęli tego unikać. W imię własnego bezpieczeństwa. Mając możliwość rozwijania ogromnej szybkości i niezwykłą sprawność zmysłów, ptaki błyskawicznie przenosiły się z miejsca na miejsce.

Nie było z nimi żartów. Jeżeli wszelkie inne środki zawiodą, należy zabić mordercę — tak zostały zaprogramowane.

Dlaczego miałyby go oszczędzać?

Ale każdy kij ma dwa końce. Ptaki odnotowały fakt, że w związku z ich działalnością zbrodnie i wszelkie akty gwałtu zaczęły wzrastać w postępie geometrycznym. I nic dziwnego: ich nowe definicje rozszerzały coraz bardziej pojęcie morderstwa. Ale dla ptaków oznaczało to jedynie, że ich pierwotne metody były niewłaściwe. Bardzo prosta logika: Jeżeli A się nie nadaje, należy spróbować B. Ptaki zaczęły zabijać.

Rzeźnie w Chicago stanęły, a bydło zdychało z głodu w swoich zagrodach, ponieważ farmerzy nie mogli ani kosić siana, ani zbierać zboża.

Nikt bowiem nie powiedział ptakom, że równowaga w życiu zależała zawsze od starannie wyważonej liczby zabójstw. Problem śmierci głodowej nie istniał dla ptaków, ich sprawą była śmierć zadana gwałtem.

Myśliwi siedzieli w domach, patrząc ze złością na srebrzyste punkty na niebie i marząc o tym, by móc je zestrzelić. Ale na ogół nie próbowali. Ptaki bardzo szybko wyczuwały takie intencje i odpowiednio reagowały.

Kutry rybackie stały beczynnymi na cumach w San Pedro i Gloucester. Ryby były żywymi organizmami. Farmerzy klęli i złorzeczyli, a w końcu ginęli bezskutecznie usiłując zebrać plony. Zboże żyło, a tym samym zasługiwało na ochronę. Kartofle były dla ptaków nie mniej ważne niż jakikolwiek inny żywy organizm. Śmierć źdźbła trawy równała się zamordowaniu prezydenta... dla ptaków.

No i oczywiście pewne urządzenia mechaniczne też były żywymi istotami. Wynikało to z faktu, że ptaki będąc maszynami — żyły.

Niech cię Bóg broni, żebyś maltretował na przykład radio. Wyłączenie odbiornika jest równoznaczne z zabójstwem. Nic dziwnego: głos cichnie, lampy gasną — radio stygnie.

Ale ptaki, jak mogły, wywiązywały się i z innych obowiązków. Wilk padał martwy atakując królika. Królik zdychał chrupiąc zieleninę. Pnącza ulegały spopieleniu, nim zdążyły opleść drzewo. Motyl ginął przysiadłszy na róży.

Oczywiście interwencja ptaków miała charakter wrywkowy — było ich za mało. Nawet miliard ptaków nie był w stanie zrealizować tak ambitnego i kosztownego przedsięwzięcia. Efekt był taki, że dziesięć tysięcy bezsensownych, obdarzonych morderczą siłą piorunów szalało w całym kraju uderzając po tysiąc razy dziennie. Piorunów, które potrafiły uprzedzić każdy twój ruch i zniszczyć za same intencje.

— Panowie — zebrał pełnomocnik rządu — błagam was, pospieszcie się.

Siedmiu producentów ptaków ucichło.

— Zanim formalnie rozpoczniemy tę naradę — powiedział prezes firmy Monroe — chciałbym coś powiedzieć: my nie czujemy się odpowiedzialni za ten przykry stan rzeczy. To rząd wystąpił z tym programem. I dlatego rząd musi ponieść za to odpowiedzialność zarówno moralną, jak i finansową.

Gelsen wzruszył ramionami. Trudno wprost było uwierzyć, że ci ludzie jeszcze parę tygodni temu oczekiwali laurów jako wybawiciele świata. Teraz, kiedy ponieśli fiasko, chcieli jak najprędzej rzucić z siebie odpowiedzialność.

— Nie czas dzisiaj zajmować się tą sprawą — odparł stanowczo pełnomocnik rządu. — Musimy się przede wszystkim pospieszyć. Wy, inżynierowie, wykonaliście wspaniałą robotę. Jestem z was dumny; zdaliście egzamin w tej trudnej sytuacji. Możecie przystąpić do realizowania przyjętego planu.

— Chwileczkę — odezwał się Gelsen.

— Nie mamy ani chwili do stracenia.

— Ale ten plan jest niedobry.

— Pan się obawia, że może się okazać nieskuteczny?

— Nie. Obawiam się, że kuracja będzie znacznie szkodliwsza niż sama choroba.

Obecni popatrzyli na Gelsena, jakby go chcieli udusić. Ale Gelsem nie tracił czasu.

— Czy nie wystarczy wam ta nauczka, którą dostaliśmy? — zapytał. — Nie rozumiecie, że rozwiązanie ludzkich problemów leży nie w mechanizacji?

— Panie Gelsen — rzekł prezes firmy Monroe — pańskie filozofowanie jest może bardzo interesujące, ale niestety tymczasem giną ludzie. Plony niszczeją. W niektórych okolicach kraju panuje już głód. Ptaki należy zlikwidować natychmiast.

— Zbrodnię też. O ile dobrze pamiętam, wszyscy się co do tego zgodziliśmy. Ale nie w ten sposób

— Co pan proponuje wobec tego? — zapytał pełnomocnik rządu.

Gelsen zaczerpnął tchu. To, co miał zamiar powiedzieć, wymagało maksymalnej odwagi.

— Niech się ptaki same wyczerpią — zaproponował. Wrzawa, jaka wybuchła w tej chwili, przypominała rozruchy uliczne. Uspokoił ją dopiero przedstawiciel rządu.

— Wyciągnijmy z tej lekcji jakieś wnioski — nie ustępował Gelsen. — Przyznajmy, że myliliśmy się próbując rozwiązywać ludzkie problemy za pomocą środków mechanicznych. Zacznijmy od nowa. Używajmy maszyn, owszem, ale nie jako sędziów, nauczycieli, ojców.

— To śmieszne — rzekł przedstawiciel rządu. — Pan jest przemęczony. Niech pan uważa na słowa. — Odchrząknął. Panowie są proszeni o przystąpienie do realizacji planu, który przedłożyliście prezydentowi. — Spojrzał ostro na Gelsena. — Niezastosowanie się do tego polecenia będzie potraktowane jako zdrada stanu.

— Zrobię, co będzie w mojej mocy — odparł Gelsen.

— W porządku. W ciągu tygodnia postanowienia przyjęte na tej naradzie muszą zostać wykonane.

Gelsen sam wyszedł z sali. Znów był w rozterce. Ma rację czy tylko sobie coś ubzdurał? Trzeba przyznać, że nie wytłumaczył zbyt jasno, o co mu chodzi.

I czy w ogóle wie, o co mu chodzi?

Zaklął pod nosem. Zastanawiał się, dlaczego nigdy niczego nie może być pewien. Czyż nie istnieją wartości, przy których rzeczywiście warto byłoby obstawać?

Pospiesznie udał się na lotnisko i wrócił do swoich zakładów.

Ptaka właściwie nie działał już dobrze. Wiele spośród jego delikatnych części uległo zniszczeniu od stałego użycia. Ale dzielnie zareagował na bodziec.

Pająk atakował właśnie muchę. Ptak śmignął w dół.

W tej samej chwili wyczuł coś nad sobą i pospieszył na spotkanie intruza.

Rozległ się głośny trzask i koło skrzydła ptaka nastąpiło wylądowanie. Ptak z wściekłością wysłał falę porażającą. Napastnik doznał poważnego wstrząsu. Ponownie strzelił w ptaka ładunkiem elektrycznym, tym razem uszkadzając mu skrzydło. Ptak odleciał, ale wróg, nie przestając strzelać ładunkami elektrycznymi, pomknął za nim z niesłychaną szybkością.

Ptaka runął na ziemię, ale zdążył jeszcze nadać: Uwaga! Żywym organizmom zagraża nowe niebezpieczeństwo, jak dotąd najgroźniejsze! Ptaki w całym kraju zarejestrowały tę wiadomość. Ich układy myślenia gorączkowo poszukiwały odpowiedzi.

— Szefie, dzisiaj zestrzeliły pięćdziesiąt — rzekł Macintyre wchodząc do gabinetu Gelsena.

— Wspaniale — odparł Gelsen nie patrząc w stronę inżyniera.

— Nie tak znowu wspaniale — Macintyre usiadł. Jestem wykończony. Wczoraj było siedemdziesiąt dwa!

— Wiem — na biurku Gelsena leżało kilkadziesiąt pozwów do sądu, które odsyłał z listami do kancelarii prezydenta.

— One znów odżyją — powiedział Macintyre konfidencjonalnie. — Jastrzębie zostały tak skonstruowane, by je strącać. Są silniejsze od ptaków, szybsze i lepiej uzbrojone. Prędkośmy się z nimi uwinęli, co?

— Jasne.

— Ale ptaki też są dobre — Macintyre musiał przyznać. Nauczyły się już ukrywać. I w ogóle próbują różnych sztuczek. Pamiętaj o tym, że każdy ptak, zanim spadnie, przekazuje innym jakąś wiadomość.

Gelsen nie odpowiedział.

— Ale wszystko to, co potrafią ptaki, jastrzębie potrafią jeszcze lepiej — powiedział Macintyre wesoło. — Jastrzębie mają układy uczenia specjalnie nastawione na polowanie. Są elastyczniejsze od ptaków. I szybciej się uczą.

Gelsen wstał ponuro, przeciągnął się i podszedł do okna. Niebo było czyste. Jego niepokoje już się skończyły. Dobrą czy złą — ale w każdym razie podjął jakąś decyzję.

— Powiedz mi — odezwał się do Macintyre'a — na co będą polowały jastrzębie, jak już postracają wszystkie ptaki?

— Co? — zapytał Macintyre. — A dlaczego...

— Żeby mieć spokojną głowę, trzeba by na dobrą sprawę wynaleźć z kolei jakieś urządzenie do strącania jastrzębi. To znaczy na wszelki wypadek.

— Czy myślisz...

— Wiem tylko, że jastrzębie działają na zasadzie samokontroli, tak jak ptaki. Toczyły się długie spory na temat zdalnego sterowania. Uznano, że ten system byłby zbyt powolny. A ptaki z samego założenia miały być szybkie. Czyli tym samym bez układów ograniczających.

— Można by coś wykombinować... — rzekł Macintyre niepewnie.

— W tej chwili mamy w powietrzu maszyny agresywne. Mordercze. Przedtem mieliśmy maszyny antymordercze. Nasze następne urządzenie w jeszcze większym stopniu będzie musiało być samodzielne, prawda?

Macintyre nie odpowiedział.

— Wcale nie uważam, żebyś to ty był odpowiedzialny za to wszystko — rzekł Gelsen. — Odpowiedzialny jestem ja. My wszyscy.

Na niebie ukazała się szybko powiększająca się plamka.

— Takie są skutki — powiedział Gelsen — powierzania maszynom spraw, których rozwiązanie należało właściwie do nas.

Wysoko na niebie jastrząb krążył nad ptakiem. Wiele nauczyła się w ciągu paru dni ta śmiertcionośna maszyna. Jediną jej funkcją było zabijanie. Teraz cała jej działalność skierowana była przeciwko pewnemu określone mu typowi żywego organizmu, metalowego jak ona sama.

Ale jastrząb zdążył już odkryć, że istnieją również inne rodzaje żywych organizmów, które należy mordować.

przekład: Zofia Uhrynowska

Specjalista

Burza fotonowa uderzyła bez uprzedzenia spoza ławicy ogromnych czerwonych gwiazd. W ostatniej chwili, nim pochwyciła ich w swoje szpony, Oko zdążyło jeszcze nadać przez Gadacza sygnał ostrzegawczy.

Była to trzecia podróż Gadacza w dalekie rejony przestrzeni kosmicznej i pierwsza burza świetlna, jaką przeżył. Poczul więc skurcz strachu, kiedy Statek na skutek czołowego zderzenia z falą zboczył nagle z kursu i doznał gwałtownego przechyłu. Strach jednak szybko minął i pozostał tylko przyspieszony z podniecenia puls.

Ale właściwie dlaczego miałby się bać? — zadawał sobie pytanie. — Czyż nie przeszedł specjalnego przeszkolenia na wypadek takiego niebezpieczeństwa?

Mówił coś właśnie do Zasilacza, kiedy wybuchł sztorm, więc przerwał natychmiast rozmowę. Miał nadzieję, że smarkaczowi nic się nie stało. Była to jego pierwsza podróż w dalsze rejony Kosmosu.

Podobne do drutów włókna, z których zbudowane było ciało Gadacza, przenikały cały Statek. Błyskawicznie wciągnął wszystkie przewody, poza tymi, które łączyły go z Okiem, Silnikiem i Ścianami. Teraz wszystko zależało od nich. Reszta Załogi sama musi sobie radzić aż do końca sztormu.

Oko przywarło całym tarczowatym ciałem do Ściany i wypuściło jeden ze swoich organów wzroku poza Statek. Dla większej koncentracji reszta czulek widzących spoczywała bezwładnie wzdłuż ciała.

Poprzez ten organ Oka Gadacz obserwował sztorm. Czysto wizualny obraz przekładał następnie na kierunek Silnikowi, który manewrował Statkiem. Mniej więcej w tym samym czasie Gadacz tłumaczył kierunek na szybkość dla Ścian, które sztywniały przed każdym uderzeniem fal.

Koordinacja była sprawna i pewna: Oko mierzyło fale świetlne, Gadacz przekazywał polecenia Silnikowi i Ścianom, Silnik prowadził Statek dziobem na fale, Ściany parowały ich uderzenia.

W ferworze działania zespołowego Gadacz zapomniał o swoim strachu. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Stanowił system łączności Statku, musiał więc tłumaczyć i przekazywać polecenia z największą szybkością, koordynując informacje i kierując całą akcją.

W ciągu kilku minut było już po burzy.

— W porządku! — powiedział Gadacz. — A teraz sprawdzimy, jakie ponieśliśmy straty. — W czasie sztormu wszystkie jego przewody zastały poplątane, ale zdążył je już rozsypać i przeniknąć nimi cały Statek, sprawdzając pilnie, czy obwód jest zamknięty. — Silnik?

— W porządku — odparł Silnik. Potężny starzec wysunął w czasie burzy grafitowe pręty osłabiając w ten sposób wybuchy atomowe w swoim brzuchu. Żaden sztorm nie byłby w stanie zaskoczyć takiego weterana przestrzeni kosmicznej jak on.

— Ściany?

Ściany zdawały sprawę ze swego stanu jedna po drugiej, co trwało dość długo. Było ich bez mała tysiąc — cienkie prostokątne płytki, które tworzyły skórę Statku. Oczywiście w czasie sztormu Ściany usztywniły krawędzie, zwiększając sprężystość Statku, ale mimo to jedna czy dwie zostały poważnie wgniecione.

Doktor oznajmił, że czuje się świetnie. Usunął sobie z głowy przewód Gadacza, wyłączając się tym samym z obwodu i przystąpił do naprawy Ścian. Zbudowany z samych niemal rąk, Doktor na czas burzy przywarł do Akumulatora.

— Zwiększmy trochę szybkość! — zarządził Gadacz, uświadamiając sobie, że przecież należy ustalić, gdzie się znajdują. Połączył się z czterema Akumulatorami.

— Co z wami? — zapytał.

Ale nie było żadnej odpowiedzi. Akumulatory spały w najlepsze. W czasie burzy ich receptory były otwarte i Akumulatory leżały teraz naładowane energią. Gadacz „obwąchał” je dookoła swoimi przewodami, ale Akumulatory ani drgnęły.

— Daj, ja spróbuję! — powiedział Zasilacz. Oberwało mu się porządnie, zanim zdołał przyczepić się do Ściany swoimi ssawkami, ale nie nauczyło go to skromności. Był on jedynym członkiem Załogi, który nigdy nie wymagał pomocy Doktora; jego ciało regenerowało się samo.

Śmignął na swoich kilkunastu mackach i kopnął najbliższy Akumulator. Wielki stożkowaty zasobnik otworzył jedno oko, po czym zaraz je zamknął. Zasilacz znów go kopnął, tym razem bez żadnego skutku. Sięgnął do zaworu bezpieczeństwa i upuścił trochę energii.

— Uspokój się! — wrzasnął Akumulator.

— No to się wreszcie obudź i odpowiedz, jak cię pytają — burknął Gadacz.

Akumulatory odpowiedziały, wyraźnie rozdrażnione, że nic im się nie stało i że każdy idiota chyba to widzi. W czasie burzy były przyczepione do podłogi.

Dalej inspekcja poszła już sprawnie. Mózg był w świetnej kondycji, a Oko popadło dosłownie w ekstazę z zachwyty nad pięknem sztormu. Ponieśli tylko jedną poważną stratę: Popychacz był martwy. Jako stworzenie dwunożne nie miał stabilności innych członków Załogi. Burza zaskoczyła go na środku Statku. Rzuciło go o zeszywniałą ścianę, na skutek czego Popychacz złamał sobie kilka spośród ważnych kości. Jego reperacja przekraczała możliwości Doktora.

Zapadło milczenie. Śmierć jednego z nich była poważnym problemem. Statek stanowił zespół oparty na współdziałaniu poszczególnych elementów — członków. Utrata choćby jednego była

ciosem dla reszty.

Tym razem sprawa wyglądała szczególnie poważnie. Dostarczyli właśnie ładunek do portu odległego o kilka tysięcy lat świetlnych od Centrum Galaktycznego. Trudno powiedzieć, gdzie się w tej chwili mogli znajdować.

Oko przywarło do Ściany i wysunęło na zewnątrz swój organ wzroku. Ściany zamknęły się wokół niego szczelnie. Czulek Oka wystawał tak daleko, że mogło ono ogarnąć wzrokiem całą sferę gwiazd. Obraz za pośrednictwem Gadacza wędrował do Mózgu.

Mózg — wielka, bezkształtna masa protoplazmy — leżał w rogu Statku. Mieściły się w nim doświadczenia wszystkich jego uprawiających podróże kosmiczne przodków. Zastanowił się nad odebrany obrazem, porównał go szybko z podobnymi sytuacjami zarejestrowanymi i zmagazynowanymi w jego komórkach i powiedział:

— W zasięgu wzroku nie ma żadnej planety należącej do Związku Galaktycznego.

Tego właśnie obawiali się najbardziej. Gadacz natychmiast przekazał tę informację wszystkim pozostałym członkom Załogi.

Oko, z pomocą Mózgu, obliczyło, że zboczyli o jakieś kilkaset lat świetlnych z kursu i znajdują się obecnie na peryferiach galaktyki.

Wszyscy członkowie Załogi wiedzieli doskonale, co to znaczy: bez Popychacza nigdy nie przekroczą szybkości światła, a tym samym nigdy nie wrócą do domu. Podróż powrotna bez Popychacza trwałaby dłużej niż życie większości z nich.

— Co radzisz? — Gadacz zapytał Mózgu.

Ale bardzo precyzyjnemu Mózgowi wydało się to zbyt mgliste. Poprosił o dokładniejsze sformułowanie pytania.

— Co twoim zdaniem powinniśmy robić — powtórzył Gadacz — aby powrócić do Związku Galaktycznego?

Rozważenie wszystkich możliwości i porównanie z doświadczeniami zmagazynowanymi we własnych komórkach zajęło Mózgowi kilka minut. Tymczasem Doktor zdążył już naprawić Ściany i domagał się czegoś do zjedzenia.

— Za chwilę wszyscy będziemy jedli — odparł Gadacz, nerwowo poruszając wąsami. Chociaż był zaraz po Zasilaczu najmłodszy spośród członków Załogi, odpowiedzialność w dużej mierze spoczywała na nim. A przecież w dalszym ciągu znajdowali się w niebezpieczeństwie — trzeba było koordynować informacje i kierować akcją.

Jedna ze Ścian oświadczyła, że w tej sytuacji nie pozostaje im nic innego, jak się upić. Ale ten bezsensowny projekt upadł natychmiast. Było to bardzo typowe dla Ścian, dobrych w gruncie rzeczy pracowników i towarzyszy, ale strasznych przy tym lekkoduchów. Jak wrócą na swoje rodzinne

planety, z pewnością raz dwa przepiją cały zarobek.

— Utrata Popychacza uniemożliwia Statkowi uzyskanie szybkości nadświatłnej — zaczął Mózg bez żadnych wstępów. — A do najbliższej planety galaktycznej mamy czterysta pięć lat świetlnych.

Wiadomość ta przebiegła wszystkie włókna ciała Gadacza. — Możemy przyjąć dwa warianty. Pierwszy: Statek będzie kontynuował lot do najbliższej planety Związku korzystając z napędu atomowego Silnika. Trwałoby to jakieś dwieście lat i nikt poza Silnikiem prawdopodobnie by tego nie przeżył. Druga możliwość to zlokalizować w tym rejonie jakąś prymitywną planetę, na której istnieją Popychacze. Trzeba by jednego z nich przeszkolić. A po przeszkoleniu pchnąłby Statek z powrotem w obręb Związku Galaktycznego.

Mózg zamilkł. Wyczerpał wszystkie możliwości zgromadzone w pamięci jego przodków.

Odbyło się szybkie głosowanie, w wyniku którego przyjęto drugi wariant. Właściwie nie było wyboru. Tylko to wyjście dawało jakąkolwiek nadzieję na powrót do domu.

— W porządku — powiedział Gadacz — a teraz coś zjemy. Myślę, że wszyscyśmy na to zasłużyli.

Ciało nieżyjącego Popychacza wrzucono do paszczy Silnikowi, który pożarł je natychmiast przetwarzając atomy na energię. Silnik był jedynym członkiem Załogi, który żywił się energią atomową.

Chcąc nakarmić resztę, Zasilacz przysunął się do najbliższego Akumulatora, żeby się naładować, po czym wewnątrz swego ciała przetworzył energię na różne substancje, którymi żywili się poszczególni członkowie Załogi.

Oko żyło wyłącznie łańcuchem chlorofilowym; Gadacz żywił się węglowodorami, Ściany związkami chloru. Dla Doktora Zasilacz przygotował krzemianowe owoce, takie, jakie rosły na jego rodzinnej planecie.

Wreszcie wszyscy się posilili i Statek był gotów do drogi. Akumulatory, stłoczone w rogu, znów zapadły w błogą drzemkę. Oko rozszerzyło zakres wizji do maksimum, nastawiając swój główny organ wzroku na najlepszy odbiór. Nawet w tej niepewnej sytuacji nie mogło się powstrzymać od układania wierszy. Oznajmiło właśnie, że pracuje nad nowym poematem epickim „Zorza kosmiczna”. Ponieważ nikt nie chciał go słuchać, powierzyło swoje dzieło Mózgowi, który rejestrował wszystko bez wyboru: dobre i złe, ładne i brzydkie.

Silnik nie spał nigdy. Obżarty ciałem Popychacza, rozwijał szybkość kilkakrotnie przewyższającą prędkość światła. Ściany spierały się między sobą, która w czasie ostatniego urlopu była bardziej pijana.

Gadacz postanowił się odprężyć. Oderwał się od Ścian i jego małe, okrągłe ciało unosiło się w powietrzu, zawieszona na siatce krzyżujących się przewodów.

Myślał o Popychaczu. Dziwne! Popychacz miał dokoła samych przyjaciół, a tak szybko go zapomnieli. Ale to nie była obojętność, po prostu Statek stanowił zespół. Oczywiście śmierć każdego

z członków Załogi była wielką stratą, ale zespół musiał funkcjonować dalej, i to był jego główny cel, którego nie mógł tracić z oczu.

Statek mknął pośród słońc kresów galaktyki. .

Mózg przedstawił trasę poszukiwań w formie spirali, oceniając szansę znalezienia planety Popychaczy jako z grubsza biorąc cztery do jednego. W ciągu tygodnia znaleźli planetę prymitywnych Ścian. Obniżając lot mogli dostrzec skórzastych, prostokątnych osobników, pławiących się w słońcu, pełzających po skałach lub spłaszczonych na papierek i bujających na wietrze.

Ściany Statku westchnęły tęsknie. Widok ten przywiódł im na myśl dom rodzinny. Napotkani ziomkowie nie zetknąwszy się nigdy jeszcze z zespołem galaktycznym byli nieświadomi swego prawdziwego powołania i swojej roli w wielkiej rodzinie kosmicznej.

Spiralna trasa ich poszukiwań wiodła poprzez wiele światów wymarłych lub zbyt młodych, by mogło na nich powstać życie. Znaleźli planetę Gadaczy. Pajęcza sieć ich przewodów przenikała pół kontynentu.

Gadacz chłonał ich widok za pośrednictwem Oka. Rozczulił się nad sobą. Przypomniały mu się rodzinne strony, jego bliscy przyjaciele. Pomyślał o drzewie, które zamierzał sobie kupić po powrocie do domu. Przez moment zastanawiał się, co on tu właściwie robi gdzieś na krańcach galaktyki?

Otrząsnął się jednak szybko z tego nastroju. Muszą przecież w końcu znaleźć planetę Popychaczy, jeśli tylko będą odpowiednio długo szukali. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Mknąc przez niezbadane peryferie galaktyki i mijając rozległe wypalone światy, natknęli się na planetę pierwotnych Silników, pływających w radioaktywnym oceanie.

— To bogate tereny — rzekł Zasilacz do Gadacza. — Galaktyka powinna przysłać tutaj Ekipę Kontaktową.

— Prawdopodobnie wyślą po naszym powrocie — odparł Gadacz.

Gadacz i Zasilacz byli ze sobą blisko związani. Ich przyjaźń wykraczała daleko poza więzy łączące całą Załogę. Nie tylko dlatego, że byli jej najmłodszymi członkami, chociaż miało to oczywiście duże znaczenie. Przede wszystkim jednak pełnili na Statku podobne funkcje i to zdecydowało o ich wzajemnym stosunku. Gadacz tłumaczył wszelkie informacje na różne języki; Zasilacz przetwarzał energię na różne rodzaje pokarmu. A poza tym byli trochę do siebie podobni. Gadacz składał się z głównego rdzenia i promieniście rozchodzących się przewodów; Zasilacz z rdzenia i promieniście rozchodzących się macek.

Gadacz uważał Zasilacza za drugiego po sobie na Statku, jeśli chodzi o stopień świadomości. Nie mógł nigdy zrozumieć, jak przebiegają procesy myślowe u innych.

Coraz więcej słońc, coraz więcej planet! Silnik zaczął się przegrzewać. Zwykle używali go tylko

do startu, lądowania i precyzyjnego manewrowania Statkiem pośród gęściejszych skupisk planet. Teraz pracował bez przerwy całymi tygodniami i wyczerpanie zaczynało się na nim wyraźnie odbijać.

Zasilacz, pospołu z Doktorem, sprokurowali mu system chłodzący. Był on bardzo prymitywny, ale cóż — musiał wystarczyć. Zasilacz przegrupował atomy azotu, tlenu i wodoru, aby dostarczyć substancji ochładzającej. Doktor zalecił Silnikowi długotrwały odpoczynek. Oświadczył, że bohaterski staruszek nie pociągnie w tej sytuacji dłużej jak tydzień.

W miarę przedłużania się poszukiwań duch wśród Załogi upadał. Stwierdzili, że w przeciwieństwie do płodnych Ścian i Silników, Popychacze należą w galaktyce do rzadkości.

Ściany porysowane od pyłu międzygwiazdowego, narzekały bez przerwy, że zaraz po powrocie będą się musiały poddać gruntownym zabiegom kosmetycznym. Gadacz zapewnił je, że Towarzystwo pokryje związane z tym koszty.

Nawet Oko całe było przekrwione od ciągłego wpatrywania się w przestrzeń.

Znów obniżyli się przelatując nad jakąś planetą. Podali jej charakterystykę Mózgowi, który ją przemyślał.

Zeszli jeszcze niżej i już mogli rozróżnić poszczególne kształty.

Popychacze! Prymitywne Popychacze!

Śmignęli z powrotem w górę, żeby się przygotować. Z tej uroczystej okazji Zasilacz przyrządził dwadzieścia trzy rodzaje różnych trunków.

Przez trzy dni Statek był pijany.

— Gotowi? — spytał wreszcie Gadacz, z lekka skołowany. Miał kaca, którego czuł w koniuszkach wszystkich przewodów. Nieźle sobie dogodził. Pamiętał mgliście, jak obejmując Silnik proponował mu, żeby po powrocie dzielił z nim jego nowe drzewo.

Wzdrygnął się teraz na samą myśl o tym.

Reszta Załogi też się ledwie trzymała na nogach. Ściany przepuszczały wzdłuż wszystkich krawędzi, zbyt zawiane na to, żeby je porządnie uszczelnić. Doktor leżał nieprzytomny.

Ale najgorzej było z Zasilaczem. Jego organizm mógł się adaptować do każdego rodzaju paliwa, poza atomowym, i Zasilacz próbował wszystkich przyrządzanych przez siebie trunków — czy był to niezrównoważony jod, czysty tlen czy supernaładowany ester. Znajdował się w opłakanym stanie. Jego macki, o tak zwykle zdrowej wodnistej barwie, całe były w pomarańczowe żyłki. Zasilacz w straszliwej męce pozbywał się teraz tego wszystkiego.

Jedynymi trzeźwymi na Statku byli Mózg i Silnik. Mózg nie pił — rzecz niezwykła jak na weterana podróży kosmicznych, chociaż typowa dla niego — Silnik oczywiście nie mógł pić.

Słuchali właśnie Mózgu, który na podstawie podanego przez Oko opisu powierzchni planety informował ich o różnych rewelacjach. Odkrył mianowicie obecność jakiejś metalowej konstrukcji i wystąpił z przerażającą koncepcją, że Popychacze stworzyły na tej planecie cywilizację mechaniczną.

— To niemożliwe — orzekły stanowczo trzy Ściany i większość Załogi była skłonna się z nimi zgodzić. Jedyne metal, z jakim się kiedykolwiek zetknęli, spoczywał głęboko w ziemi albo poniewierał się w postaci pordzewiałego złomu.

— Chcesz powiedzieć, że oni produkują różne rzeczy z metalu? — zapytał Gadacz. — Ze zwykłego martwego metalu? A co by z tego mogli zrobić?

— Nic — odparł Zasilacz kategorycznie. — Wszystko by się ciągle łamało. Bo metal nie wie, jakie są granice jego wytrzymałości.

Ale wszystko wskazywało na to, że Mózg ma rację. Oko powiększyło obraz i mogli teraz zobaczyć obszerne schronienia, pojazdy i inne przedmioty z nie ożywianego materiału, zbudowane przez Popychaczy.

Nie bardzo to wszystko rozumieli, w każdym razie nie był to dobry znak. Ale i tak najgorsze mieli za sobą. Znaleźli wreszcie planetę Popychaczy. Pozostało im jeszcze tylko namówić jednego z mieszkańców planety, by do nich przystał. Ta sprawa jednak nie powinna nastęrczać trudności. Gadacz wiedział, że współdziałanie jest naczelną zasadą obowiązującą w całej galaktyce, nawet wśród ludów pierwotnych.

Zdecydowali się nie lądować w rejonie gęsto zaludnionym. Oczywiście nie było powodu spodziewać się nieprzyjaznego przyjęcia, ale nawiązanie kontaktu z Popychaczami jako gatunkiem należało do Ekipy Kontaktowej. A im zależało na jednym osobniku.

Wybrali więc teren możliwie odludny i wylądowali dopiero, gdy po tej stronie planety zapadły ciemności.

Niemal natychmiast dostrzegli samotnego Popychacza. Oko zaadaptowało się do ciemności i obserwowali wszystkie jego ruchy. Po chwili Popychacz położył się przy niewielkim ognisku. Mózg wyjaśnił im, że jest to typowy dla tych stworzeń sposób odpoczynania.

Tuż przed świtem Ściany się rozstąpiły i ze Statku wyszli Zasilacz, Gadacz i Doktor. Zasilacz ruszył pierwszy i klepnął Popychacza po ramieniu. Gadacz wysunął mackę, aby nawiązać z nim kontakt. Popychacz otworzył swoje narządy wzroku, mrugnął nimi, następnie poruszył otworem gębowym, wreszcie zerwał się na nogi i zaczął uciekać.

Trzej przedstawiciele Załogi byli zdumieni. Popychacz nie zainteresował się nawet, czego od niego chcą.

Gadacz sięgnął gwałtownie jednym ze swoich przewodów i złapał Popychacza z odległości jakichś pięćdziesięciu stóp za jedną nogę. Popychacz upadł.

— Obchodź się z nim ostrożnie! — zawołał Zasilacz. — Mógł się nas przestraszyć. Jego czułki zafalowały na samą myśl o tym, że Popychacz, ze swoimi wielokrotnymi organami, jedno z najdziwniejszych zjawisk w całej galaktyce, mógłby się kogokolwiek przestraszyć.

Zasilacz i Doktor pospieszyli do leżącego, podnieśli go i zaprowadzili do Statku. Ściany rozstąpiły się, a następnie zamknęły za nimi szczelnie. Puścili Popychacza i przygotowali się do rozmowy. Uwolniony, skoczył natychmiast do miejsca, w którym zamknęły się Ściany. Zaczął walić w nie rozpaczliwie, a jego rozchylony otwór gębowy wibrował.

— Uspokój się! — wykrzyknęła Ściana. Wydeła się przewracając Popychacza na ziemię. Poderwał się natychmiast i zaczął biec przed siebie.

— Zatrzymajcie go! — zawołał Gadacz. — Może sobie zrobić krzywdę.

Jeden z Akumulatorów zdołał się rozbudzić na tyle, że zabiegł mu drogę. Popychacz przewrócił się, ale zaraz się podniósł i pobiegł dalej. Przewody Gadacza sięgały aż na dziób Statku; jednym z nich złapał wpół Popychacza. Popychacz zaczął szarpać go za czułki i Gadacz ustąpił natychmiast.

— Podłącz go do sieci! — wykrzyknął Zasilacz. — Może jakoś się z nim dogadamy.

Gadacz zbliżył jeden ze swoich przewodów do głowy Popychacza, kołysząc nim i w ten ogólnie przyjęty sposób sygnalizując chęć porozumienia. Ale Popychacz w dalszym ciągu zachowywał się dziko; odskoczył jak oparzony wymachując zapamiętałe trzymanym w ręku kawałkiem metalu.

— Jak myślisz, co on zamierza z tym zrobić? — zapytał Zasilacz. Popychacz zaatakował jedną ze Ścian, waląc w nią bez opamiętania. Ściana zeszywniała instynktownie i metal trzasnął.

— Zostawmy go — powiedział Gadacz. — Niech się uspokoi.

Gadacz odbył naradę z Mózgiem, ale nie bardzo wiedzieli, co z tym fantem zrobić. Na włączenie w układ łączności na pewno się nie zgodzi. Ilekroć Gadacz zbliżał do niego któryś ze swoich przewodów, Popychacz zdradzał objawy dzikiej paniki. Znaleźli się chwilowo w impasie.

Mózg odrzucił propozycję złapania innego Popychacza. Uważał zachowanie tego osobnika za typowe, a tym samym wszelkie dalsze próby za bezcelowe. Nawiązaniem kontaktu z całą planetą powinna się zresztą zająć Ekipa Kontaktowa. Jeżeli nie zdołają się porozumieć z tym Popychaczem, nie porozumieją się z żadnym innym z tej planety.

— Wydaje mi się, że wiem, na czym polega kłopot — powiedziało Oko i wpełzło na jeden z Akumulatorów. — Te Popychacze stworzyły tu cywilizację mechaniczną. Ale zastanówmy się, jak do tego doszły. Najpierw zaczęły używać palców, tak jak Doktor, do obróbki metalu. Potem, tak jak ja, zaczęły wykorzystywać swoje organy wzroku. I prawdopodobnie wiele innych narządów. — Oko zawiesiło głos dla uzyskania większego efektu. — Te Popychacze stały się z czasem niewyspecjalizowane.

Przez kilka godzin trwały na ten temat spory. Ściany utrzymywały, że żadna inteligentna istota nie może być niewyspecjalizowana. To się po prostu w galaktyce nie zdarzało. Ale z drugiej strony mieli

najlepszy dowód w postaci miast i pojazdów zbudowanych przez Popychacze, nie mówiąc już o osobniku, którego gościli na pokładzie Statku, niewątpliwie zdolnym do mnóstwa rzeczy. Potrafił właściwie robić wszystko poza popychaniem.

Wyjaśnienie Mózgu było połowiczne.

— To nie jest planeta prymitywna. Jest ona stosunkowo stara i od tysięcy lat powinna być włączona w ogólny system współdziałania. Ponieważ jednak nie była, zamieszkujące ją Popychacze wynaturzyły się. Ich wrodzona zdolność, ich specjalność polegała na popychaniu, ale po prostu nie miały co popychać. W konsekwencji rozwinęły kulturę nienormalną dla swego gatunku.

— Na czym dokładnie polega ta kultura, możemy tylko zgadywać. Z tego jednak, cośmy zobaczyli, należy wnosić, że Popychacze są niewspółdziałalne.

Mózg miał zwyczaj wygłaszania najbardziej szokujących opinii z niewzruszonym spokojem.

— Bardzo możliwe — ciągnął nieubłaganie — że te Popychacze nie zechcą mieć z nami nic wspólnego. W tym wypadku nasza szansa znalezienia następnej planety Popychaczy jest w przybliżeniu jak jeden do dwustu osiemdziesięciu trzech.

— Ale przecież nie możemy mieć pewności, czy nie będzie współdziałał, dopóki go nie podłączymy do sieci. — Gadacz nie był w stanie zrozumieć, jak istota inteligentna może odmówić współdziałania.

— Ale w jaki sposób? — spytał Zasilacz. Błyskawicznie podjęli decyzję. Doktor podszedł wolno do Popychacza, który cofnął się przed nim gwałtownie. Tymczasem Gadacz wystawił jeden ze swoich przewodów na zewnątrz i jak pętłą objął nim Popychacza od tyłu. Popychacz przywarł do Ściany, a wtedy Gadacz wprowadził mu przewód do gniazdka w mózgu.

Popychacz zemdlał.

Kiedy odzyskał przytomność, Zasilacz i Doktor musieli trzymać go za wszystkie odnóża, żeby nie wyrwał przewodu. Gadacz wysilił całą swoją inteligencję, żeby opanować jego język. Nie było to zresztą specjalnie trudne. Wszystkie języki Popychaczy należały do tej samej rodziny, a ten nie stanowił wyjątku. Gadacz szybko na podstawie kilku złapanych myśli Popychacza opracował schemat porozumienia. Ale Popychacz milczał.

— Trzeba go chyba nakarmić — odezwał się Zasilacz. Uświadomili sobie, że minęły już dwa dni, odkąd go przyprowadzili na Statek. Zasilacz przygotował więc porcję standardowego pożywienia Popychaczy i podsunął mu.

— O rany, stek! — wykrzyknął Popychacz.

Przewody Gadacza rozbrzmiały radością całej Załogi. Nareszcie się odezwał!

Gadacz zbadał jego słowa i przeszukał archiwum swojej pamięci. Wiedział o około dwustu językach Popychaczy i o wielu prostych narzeczach. Stwierdził, że ich Popychacz posługuje się mieszaniną dwóch języków.

Tymczasem Popychacz najadł się i rozejrzał dokoła. Gadacz pochwycił jego myśli i przekazał je Załodze. Ich gość miał dziwny sposób patrzenia na Statek. Widział go jako orgię barw. Ściany falowały; przed nim znajdowało się coś w rodzaju ogromnego zielono—czarnego pająka, którego pajęczyna oplatała cały Statek przenikając do głów wszystkich członków Załogi. Oko wydało mu się dziwnym nagim stworzonkiem, czymś pomiędzy odartym ze skóry królikiem a żółtkiem jajka.

Gadacz był zafascynowany nowymi perspektywami, jakie otwierał przed nim umysł Popychacza. Nigdy dotąd nie patrzył na swoje otoczenie w taki sposób. Ale teraz, kiedy Popychacz zwrócił mu na to uwagę, musiał przyznać, że Oko jest ładnym, miłym stworzonkiem.

Wreszcie nawiązali łączność.

— Kim wy do diabła jesteście? — zapytał Popychacz znacznie już spokojniejszy niż w ciągu ubiegłych dwóch dni. — Dlaczegoście mnie porwali? Czy ja zwariowałem?

— Nie — odparł Gadacz. — Nie cierpisz na żadną psychiczną chorobę. Jesteśmy galaktycznym statkiem handlowym. Burza zniosła nas z kursu i straciliśmy naszego Popychacza.

— Dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną?

— Chcielibyśmy, żebyś się przyłączył do naszej Załogi i zastąpił go.

Po tym wyjaśnieniu Popychacz zastanowił się. Gadacz wyczuwał zamęt w jego myślach. Popychacz nie był pewny, czy to rzeczywistość, czy jakieś przywidzenie. Na koniec zdecydował, że jednak jest przy zdrowych zmysłach.

— Posłuchajcie, chłopcy — powiedział — nie mam pojęcia, kim jesteście i czy to wszystko ma w ogóle jakiś sens. W każdym razie muszę się stąd wydostać. Jestem na urlopie i jeżeli nie wrócę na czas, armia Stanów Zjednoczonych może się niepokoić.

Gadacz poprosił Popychacza o dodatkowe informacje na temat „armii” i przekazał je Mózgowi.

— Te Popychacze stale walczą między sobą — brzmiała konkluzja Mózgu.

— Ale dlaczego? — zapytał Gadacz. Ze smutkiem musiał sam przed sobą przyznać, że Mózg może mieć rację. Popychacz rzeczywiście nie był skory do współdziałania.

— Chętnie bym wam pomógł w tej sytuacji, chłopcy — rzekł Popychacz — ale nie wiem, skąd wam przyszło do głowy, że potrafiłbym popchnąć coś tak ogromnego jak ten Statek. Trzeba by całego dywizjonu czołgów, żeby go ruszyć z miejsca.

— No i wy popieracie te wojny? — zapytał Gadacz, za podszeptem Mózgu.

— Nikt nie lubi wojen, a już najmniej ci, co muszą na nich ginąć.

— No to po co je prowadzicie?

Popychacz zrobił swoim otworem gębowym ruch, który Oko pochwyciło i przekazało Mózgowi.

— Żeby zabić albo zostać zabitym. Wiecie chyba, chłopcy, co to jest wojna, prawda?

— My nie prowadzimy żadnych wojen — odparł Gadacz.

— Szczęściarze — rzekł z goryczą Popychacz. — My owszem, i to dużo.

— Na pewno chciałbyś z tym skończyć — zapytał Gadacz, któremu Mózg zdążył już wszystko wyjaśnić.

— Oczywiście że chciałbym.

— To przyłącz się do nas. Zostań naszym Popychaczem. Popychacz wstał i podszedł do Akumulatora. Usiadł na nim i poskładał swoje górne kończyny.

— A w jaki sposób, do diabła, ja mógłbym skończyć ze wszystkimi wojnami? — zapytał. — Nawet gdybym poszedł do wielkich szyszek i powiedział...

— Nie będziesz musiał — przerwał mu Gadacz. — Zabierz się tylko z nami. Popchnij nas do naszej bazy. Galaktyka wyśle na waszą planetę Ekipę Kontaktową i to na pewno położy kres waszym wojnom.

— Dziwne rzeczy mówicie — odparł Popychacz. — I twierdzicie, chłopcy, żeście tu zabłądzili, co? Nieźle! Nie ma obawy. Żadne potwory nie opanują Ziemi.

Zdumiony Gadacz usiłował zrozumieć tok jego rozumowania. Czyżby powiedział coś niewłaściwego? Czy to możliwe, żeby Popychacz go nie rozumiał?

— Myślałem, że chciałeś skończyć z wojnami — rzekł Gadacz.

— Owszem, chciałbym. Ale nie chcę, żeby ktokolwiek nam to narzucał. Nie jestem zdrajcą. I w tym wypadku będę walczył.

— Ale nikt wam tego nie narzuci. Skończycie z wojnami, bo po prostu nie będzie potrzeby się bić.

— A czy wy wiecie, dlaczego my walczymy?

— To jest oczywiste.

— Tak? Ciekawe, jak to rozumiecie.

— Wy, Popychacze, wypadłyście z głównego nurtu życia galaktyki — wyjaśnił Gadacz. — Waszą

specjalnością jest pchanie, a tu nie macie co pchać. A tym samym nie macie pracy. Zajmujecie się więc różnymi rzeczami, takimi jak metale czy inne przedmioty nieożywione, ale nie macie z tego właściwie żadnej satysfakcji. Nie znajdując ujścia dla waszego prawdziwego powołania, odczuwacie stały niepokój, który z kolei prowadzi do ustawicznych wojen. Jak tylko znajdziecie swoje miejsce w powszechnym galaktycznym współdziałaniu — a zapewniam cię, że jest to miejsce ważne — wasze wojny ustaną. Po co robić rzeczy sprzeczne z naturą, skoro moglibyście zająć się popychaniem? Znikłaby wtedy wasza mechaniczna cywilizacja wraz z jej potrzebą.

Popychacz potrząsnął głową. Gadacz domyślił się, że niewiele z tego wszystkiego rozumiał.

— A na czym polega popychanie?

Gadacz wytłumaczył mu najlepiej, jak potrafił. Ponieważ jednak czynność ta nie wchodziła w zakres jego kompetencji, miał jedynie ogólne pojęcie o tym, co należy do Popychacza.

— Chcesz powiedzieć, że to jest to, co powinien robić każdy Ziemianin?

— Oczywiście — odparł Gadacz. — To jest wasza wielka specjalność.

Popychacz zastanawiał się nad tym przez kilka minut.

— Wydaje mi się, że wy potrzebujecie fizyka albo telepatyka czy kogoś w tym rodzaju. A ja się do niczego takiego nie nadaję. Ja jestem świeżo upieczonym architektem. No i poza tym... cóż... to trudno wyjaśnić.

Ale Gadacz już rozumiał przyczynę wahań Popychacza. Dostrzegł w jego myślach samice. Nie jedną — dwie, nawet trzy. No i uczucie obcości, osamotnienia. Popychacz pełen był wątpliwości. Bał się.

— Kiedy wrócimy do galaktyki — powiedział w nadziei, że o to właśnie chodzi — spotkasz się z innymi Popychaczami. Będą wśród nich i samice. Wy, Popychacze, jesteście do siebie bardzo podobni, będziecie się mogli zaprzyjaźnić. A jeśli chodzi o uczucie osamotnienia na Statku, to możesz się nie obawiać. Po prostu nie rozumiesz jeszcze istoty współdziałania. We współdziałaniu nikt nie jest osamotniony.

Popychacz w dalszym ciągu rozważał możliwość zetknięcia się ze swoimi pobratymcami. Gadacz nie mógł pojąć, dlaczego tak go to dziwi. Cała galaktyka była przecież zaludniona Popychaczami, Gadaczami, Zasilaczami i wielu innymi gatunkami.

— Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek byłby w stanie położyć kres wojnom — odezwał się Popychacz. — Skąd mogę wiedzieć, czy nie kłamiecie?

Gadacz był bliski załamania. Mózg miał najwidoczniej rację twierdząc, że Popychacze są niewspółdziałalne. Czyżby to miał być ich koniec? Czy on i cała Załoga mają przez głupotę bandy Popychaczy spędzić resztę życia w przestrzeni kosmicznej?

Ale nawet mimo takich myśli potrafił współczuć Popychaczowi. To musi być jednak straszne —

ciągłe wątpliwości, wieczna niepewność, brak zaufania do wszystkich. Jeżeli Popychacze nie odnajdą swojego miejsca w galaktyce, prędzej czy później wyginą. Od dawna powinny się włączyć w ogólnogalaktyczne współdziałanie.

— Jak mam cię przekonać? — zapytał Gadacz.

W ostatecznej rozpaczy otworzył przed Popychaczem wszystkie swoje obwody: pokazał mu dobroduszną gburowatość Silnika, beztroski humor Ścian, poetyckie próby Oka, próżną, ale w gruncie rzeczy poczciwą naturę Zasilacza. Otworzył swój umysł i roztoczył przed Popychaczem widok swojej ojczystej planety, swojej rodziny i drzewa, które zamierzał kupić po powrocie do domu.

Obrazy te opowiadały o nich wszystkich, mieszkańcach różnych planet, reprezentujących najróżniejsze etyki, związanych silnymi więzami galaktycznego współdziałania.

Popychacz oglądał to wszystko w milczeniu. Na koniec potrząsnął głową. Myśl towarzysząca temu gestowi była niepewna, słaba, ale — negatywna.

Gadacz polecił Ścianom, żeby się rozstały. Ściany usłuchały i Popychacz patrzył na to w zdumieniu.

— Możesz sobie iść — powiedział Gadacz — wyciągnij tylko przewód z głowy i idź.

— A wy co zrobicie?

— Poszukamy innej planety Popychaczy.

— Gdzie? Mars? Wenus?

— Nie wiemy. Nie pozostaje nam nic innego, jak ufać, że gdzieś w tym rejonie jest jeszcze jakaś planeta Popychaczy.

Popychacz spojrział na ziejący przed nim otwór, a potem z powrotem na Załogę. Zawahał się; jego twarz wykrzywiła się w grymasie niezdecydowania.

— Czy wszystko to, co mi pokazałeś, to prawda? — Odpowiedź była zbędna.

— Dobra — oświadczył nagle Popychacz — zostaję z wami. Jestem skończonym idiotą, ale zostaję. Jeśli o to wam chodzi — a przecież musi wam o to chodzić.

Gadacz widział, że pod wpływem męki związanej z podjęciem tej decyzji Popychacz utracił kontakt z rzeczywistością. Wydawało mu się, że śni sen, w którym decyzje są łatwe i bez większego znaczenia.

— Jest tylko jeden szkopał — rzekł Popychacz z lekkim odcieniem hysterii w głosie. — Niech mnie diabli wezmą, chłopcy, jeśli mam chociaż blade pojęcie, jak się popycha. Mówiliście coś zdaje się o przekroczeniu prędkości światła. Ja bym nie zrobił nawet mili na godzinę.

— Ale ty musisz umieć popychać — zapewnił go Gadacz mając nadzieję, że się nie myli. Ogólnie rzecz biorąc, znał możliwości Popychacza, ale czy akurat ten... — Po prostu spróbuj.

— Jasne — zgodził się Popychacz. — Prędzej czy później muszę się obudzić z tego snu.

Ściany zamknęły się przed startem, a Popychacz mówił do siebie:

— To śmieszne, myślałem, że najprzyjemniejszą formą spędzenia urlopu będzie camping, a tymczasem zamiast odpoczynku mam jakieś koszmarne przywidzenia!

Silnik poderwał Statek do góry, a Oko prowadziło ich w Kosmos coraz dalej od planety.

— Jesteśmy już teraz w otwartej przestrzeni kosmicznej — powiedział Gadacz. Przysłuchiwał się słowom Popychacza, pełen obaw, czy tamtemu nie pomieszało się w głowie. — Oko i Mózg będą mi podawały kierunek, ja ci go będę przekazywał, a ty będziesz zgodnie z nim popychał.

— Chyba jesteś nienormalny — burknął Popychacz. Musieliście trafić na niewłaściwą planetę. Chciałbym, żeby się wreszcie ten koszmar skończył.

— Zostałeś włączony do współdziałania — powiedział zrozpaczony Gadacz. Oto nasz kierunek. Popychaj!

Przez chwilę Popychacz nie robił nic. Powoli jednak otrząsnął się z oszołomienia, dochodząc do wniosku, że to mimo wszystko rzeczywistość. Poczul współdziałanie Oka z Mózgiem, Mózgu z Gadaczem, Gadacza z Popychaczem, a równocześnie wszyscy połączeni byli ze Ścianami i między sobą.

— Co to? — Popychacz odczuł jedność Statku, ogarniające go ciepło i bliskość, jaką można osiągnąć jedynie we współdziałaniu.

Spróbował pchnąć. Nic.

— Spróbuj jeszcze raz — zebrał Gadacz.

Popychacz badał swój umysł. Spoglądał w otchłań wątpliwości i strachu. Na jej dnie zobaczył własną udręczoną twarz.

Mózg wyjaśnił mu ten obraz.

Popychacze żyły z tymi wątpliwościami i strachem od wieków. Walczyły ze strachu, zabijały z wątpliwości.

Oto, co się stało z ich prawdziwym powołaniem! Człowiek–Specjalista–Popychacz zespolił Załogę, stał się jednym z nich, przycisnął do serca Mózg i Gadacza.

Nagle Statek wystrzelił z szybkością ośmiokrotnie przekraczającą prędkość światła, stale przyspieszając.

przekład: Zofia Uhrynowska–Hanasz

Seventh victim

Siódma ofiara

Stanton Frelaine siedział za biurkiem usiłując sprawiać wrażenie zapracowanego, jak przystało wyższemu urzędnikowi o godzinie dziewiętej trzydzieści. Na próżno. Za nic nie potrafił się skoncentrować na ogłoszeniu, które ułożył poprzedniego wieczoru, nie mógł myśleć o interesach. Mógł tylko czekać na poranną pocztę.

Od dwóch tygodni czekał na zawiadomienie. Rząd spóźniał się jak zwykle.

Szklane drzwi jego gabinetu nosiły napis: „Morger i Frelaine. Konfekcja”. Teraz otworzyły się i wszedł E.J. Morger, kulejąc z lekka na skutek starego postrzału. Ramiona miał przygarbione, ale w wieku lat siedemdziesięciu trzech nie przejmował się już zbytnio swoją postawą.

— No i jak, Stan? — spytał Morger. — Co z tym ogłoszeniem?

Frelaine zawarł spółkę z Morgerem przed szesnastu laty, kiedy sam był dwudziestosiedmioletnim młodym człowiekiem. Wspólnie rozkręcili „Ochronny Strój” w koncern obracający milionami.

— Myślę, że można je zamieścić — powiedział Frelaine podając Morgerowi kartkę papieru. Ach, żeby już przyszła ta poczta, myślał.

— „Czy masz już Ochronny Strój? — czytał Morger na głos, zbliżając papier do oczu. — Dzięki wysiłkom najlepszych krawców świata Ochronny Strój Morgera i Frelaine’a dyktuje styl w modzie męskiej”.

Morger odchrząknął, spojrział na Frelaine’a i uśmiechnąwszy się czytał dalej.

— „Ochronny Strój jest nie tylko najbezpieczniejszy, ale i najmodniejszy. Każdy egzemplarz ma wbudowaną kieszeń na broń, absolutnie niewidoczną. Nikt poza tobą nie będzie wiedział, że masz broń. Tajna kieszeń jest wyjątkowo łatwo dostępna, umożliwiając błyskawiczne wydobycie broni. Do wyboru kieszeń w spodniach lub marynarce”. Bardzo ładnie — zauważył Morger.

Frelaine obojętnie kiwnął głową.

— „Model specjalny zaopatrzony jest w kieszeń z wyrzutnikiem broni, największe osiągnięcie ostatnich dni w ochronie osobistej. Dotknięcie ukrytego guzika wrzuca odbezpieczoną broń do ręki. Odwiedź najbliższy sklep «Ochronnego Stroju». Poczuj się bezpiecznie”. Doskonale — powiedział Morger. — Bardzo dobry, dystyngowany tekst. — Zastanowił się przez chwilę muskając swój siwy wąs. — Czy nie należało wspomnieć, że Ochronny Strój produkowany jest w dużym wyborze modeli, jedno- i dwurzędowych, na jeden i dwa guziki, z wąskimi i szerokimi klapami?

— Słusznie. Zapomniałem.

Frelaine wziął kartkę i zrobił notatkę na marginesie. Potem wstał, obciążając marynarkę na wydatnym brzuszku. Frelaine miał czterdzieści trzy lata, zaczynał tyć i łysieć. Wyglądał sympatycznie, oczy miał zimne.

— Nie denerwuj się — powiedział Morger. — Na pewno przyjdzie z dzisiejszą pocztą.

Frelaine zmusił się do uśmiechu. Chciało mu się chodzić po gabinecie, ale zamiast tego przysiadł na skraju biurka.

— Można by pomyśleć, że to moje pierwsze zabójstwo — powiedział z ironicznym uśmiechem.

— Wiem, jak to jest — powiedział Morger. — Zanim odwiesiłem na kołek broń, przez miesiąc nie mogłem spać czekając na zawiadomienia Wiem.

Dwaj mężczyźni zamilkli. Kiedy cisza stawała się już nie do zniesienia, wszedł urzędnik i położył na biurku pocztę.

Frelaine odwrócił się, chwycił listy i pośpiesznie je przerzucił. Znalazł to, czego szukał: podłużną białą kopertę BEK z urzędową pieczęcią.

— Jest! — zawołał Frelaine z szerokim uśmiechem. — To jest to!

— Doskonale. — Morger spojrzał na kopertę z zainteresowaniem, ale nie poprosił Frelaine'a, żeby ją otworzył. Byłoby to naruszeniem etykiety, a także złamaniem prawa. Nikt poza myśliwym nie miał prawa znać nazwiska ofiary. — Pomyślnego polowania.

— Spodziewam się — odparł Frelaine z pewnością siebie. Biurko miał uporządkowane od tygodnia. Wziął swoją aktówkę.

— Udane zabójstwo dobrze ci zrobi — powiedział Morger kładąc rękę na ramieniu Frelaine'a. — Byłeś ostatnio bardzo spięty.

— Wiem. — Frelaine znów uśmiechnął się szeroko i uściśnął dłoń Morgera.

— Jaka szkoda, że to już nie te lata — powiedział Morger spoglądając znacząco na swoją kulawą nogę. — Sięgnęłoby się jeszcze po broń.

Starszy pan był swego czasu nie byle jakim myśliwym. Dziesięć udanych polowań otworzyło mu drogę do ekskluzywnego Klubu Dziesiętników. I, oczywiście, za każde polowanie musiał raz wystąpić w roli ofiary, co znaczyło, że musiał mieć na swoim koncie dwadzieścia zabójstw.

— Mam nadzieję, że moją ofiarą nie będzie ktoś taki jak ty — zauważył Frelaine na pół żartem.

— Tym się nie przejmuj. Która to będzie?

— Siódma.

— Szczęśliwa siódemka. Do dzieła. Jeszcze trochę i powitamy cię w gronie Dziesiętników.

Frelaine machnął ręką i zrobił krok w stronę drzwi.

— Tylko nie trać czujności — ostrzegł go Morger. — Jedna chwila nieuwagi i będę musiał szukać nowego współnika. A jestem zadowolony z tego, którego mam teraz.

— Będę uważał — obiecał Frelaine.

Zamiast jechać autobusem, poszedł do domu pieszo. Chciał trochę ochłonać. Nie chciał zachowywać się jak smarkacz na pierwszym polowaniu.

Idąc Frelaine patrzył prosto przed siebie. Przyglądanie się ludziom oznaczało proszenie się o kulkę, gdyby któryś z nich okazał się przypadkowo ofiarą. Niektórzy z nich strzelali, gdy tylko się na nich spojrzano. Nerwowi faceci. Frelaine na wszelki wypadek patrzył ponad głowami mijanych przechodniów.

Przed sobą miał właśnie wielką tablicę, na której J.F. O'Donovan polecał swoje usługi dla ludności.

„Ofiaro! — głosił znak wielkimi czerwonymi literami. — Nie musisz liczyć na szczęście. Skorzystaj ze sprawdzonego tropiciela. Zleć nam wykrycie zabójcy. Zapłacisz po jego śmierci!”

Tablica przypomniała coś Frelaine'owi. Natychmiast po przyjściu do domu dzwonić do Eda Morrowa.

Przeszedł przez jezdnię przyśpieszając kroku. Nie mógł się doczekać, kiedy wejdzie do domu, otworzy kopertę i dowie się, kto jest ofiarą. Ktoś sprytny czy głupi? Bogaty, jak jego czwarta zwierzyna, czy biedny, jak Pierwsza i druga? Będzie miał zorganizowaną służbę tropicieli czy będzie polegać tylko na sobie?

Podniecenie polowaniem rozgrzewało jego krew, przyśpieszało rytm serca. O jedną przecznicę przed nim rozległy się strzały. Dwa szybkie. Potem jeszcze jeden.

Ktoś dostał swoją zwierzynę, pomyślał Frelaine. Gratulacje.

Wspaniałe uczucie, myślał. Czuł, że znów żyje.

Natychmiast po wejściu do swojej kawalerki Frelaine zatelefonował do tropiciela, Eda Morrowa, który między akcjami pracował jako mechanik samochodowy.

— Halo, Ed? Tu Frelaine.

— O, cześć, panie Frelaine. — Wyobraził sobie chudą, umazaną smarem twarz, uśmiechającą się do słuchawki.

— Ruszam na polowanko, Ed.

— Powodzenia, panie Frelaine — powiedział Ed Morrow. — Pewnie chce pan, żebym był w pogotowiu.

— To prawda. Myślę, że nie będzie mnie najwyżej tydzień — dwa. W ciągu trzech miesięcy od zabójstwa dostanę zawiadomienie, że zostaje ofiarą.

— Będę w pogotowiu. Udanego polowania, panie Frelaine.

— Dziękuję. Do zobaczenia. — Odłożył słuchawkę. Zarezerwowanie sobie wytrawnego tropiciela było mądrym posunięciem. Po zabójstwie przyjdzie kolej Frelaine'a, żeby zostać ofiarą. Wtedy Ed Morrow znów będzie jego ubezpieczeniem na życie.

Cóż to był za znakomity tropiciel! Niewykształcony, prawdę mówiąc, głupi. Ale jakie oko na ludzi! Morrow miał wrodzony talent. Jego blade oczy potrafiły wypatrzeć podejrzanego przybysza na pierwszy rzut oka. Był też szatańsko sprytny w zastawianiu pułapek. Niezastąpiony człowiek.

Frelaine wyjął kopertę chichocząc pod nosem na myśl o niektórych sztuczkach Morrowa. Wciąż jeszcze z uśmiechem na twarzy zajrzał do środka.”

Janet–Marie Patzig.

Jego ofiara była kobietą.

Frelaine zerwał się i zaczął chodzić po pokoju. Potem wrócił do listu Janet–Marie Patzig. To nie pomyłka. Dziewczyna. Trzy fotografie, adres i zwyczajowe dane.

Frelaine zmarszczył czoło. Nigdy dotąd nie zabił kobiety.

Wahał się przez chwilę, potem podniósł słuchawkę i wykręcił numer BEK.

— Biuro Emocjonalnego Katharsis, Informacja — odpowiedź męski głos.

— Proszę pana — zaczął Frelaine — właśnie otrzymałem zawiadomienie i okazuje się, że wyciągnąłem dziewczynę. Czy to jest w porządku? — Po dał urzędnikowi nazwisko dziewczyny.

— Wszystko w porządku, proszę pana — odpowiedział tamten po chwili sprawdzania w mikrofiskach. — Ta pani zgłosiła się z własnej woli. Ma takie same prawa i przywileje jak mężczyźni.

— Czy może mi pan powiedzieć, ile ona ma zabójstw na koncie?

— Przykro mi, proszę pana. Wolno panu wiedzieć tylko to, co podano panu w liście.

— Rozumiem. — Frelaine milczał przez chwilę. — Czy mogę losować jeszcze raz?

— Może pan wycofać się z polowania. To jest pańskie prawo. Aby powtórnie wziąć udział w polowaniu, będzie pan musiał najpierw ofiarą. Czy rezygnuje pan?

— Nie, nie — rzucił Frelaine pośpiesznie. — Tak tylko pytałem. Dziękuję Panu.

Odłożył słuchawkę, zasiadł w największym fotelu i rozluźnił pasek od spodni. Rzecz wymagała namysłu.

— Cholerne baby — mruzczał pod nosem — zawsze psują męskie zabawy. Nie mogłyby siedzieć w domu?

Są wolnymi obywatelami, przypomniał sobie. Ale i tak to jakieś niekobiece.

Wiedział, że historycznie rzecz biorąc Biuro Emocjonalnego Katharsis zostało ustanowione dla mężczyzn, i tylko dla mężczyzn. Biuro powstało po zakończeniu czwartej (czy, jak liczyli niektórzy historycy, szóstej) wojny światowej.

Odczuwano wtedy nagłą potrzebę trwałego pokoju. Przyczyna była realna, realistami byli też ludzie, którzy ustanawiali pokój.

Po prostu zagłada groziła wszystkim.

W wojnach światowych stosowano coraz potężniejsze bronie. Wojskowi przyzwyczajali się do nich i coraz mniej wzdragali się przed ich użyciem.

Ale tym razem osiągnięto poziom nasycenia. Następna wojna mogła rzeczywiście być wojną ostatnią. Bo nie będzie nikogo, kto mógłby ją zacząć.

Tak więc ten pokój musiał trwać na wieki, ale ludzie, którzy go ustanawiali, byli realistami. Zdawali sobie sprawę z nadal istniejących napięć ‘przeciwieństw, tych kotłów, w których fermentują przysze wojny. Zadali więc sobie pytanie, dlaczego żaden dotąd pokój nie okazał się trwały.

Bo ludzie lubią się bić — brzmiała odpowiedź.

Nieprawda! — zakrzyknęli idealisci.

Jednak ludzie odpowiedzialni za pokój zmuszeni byli z żalem przyjąć obecność agresji u poważnej części ludzi.

Ludzie nie są aniołami. Ale nie są też diabłami. Są tylko bardzo ludzcy, co obejmuje też wysoki stopień agresywności. Rozporządzając wiedzą naukową i władzą politycy mogli zrobić bardzo wiele, żeby wyhodować rasę ludzi pozbawionych tej cechy. Wielu uważało, że to najwłaściwsze rozwiązanie.

Ale politycy byli innego zdania. Uznawali wartość współzawodnictwa, zamiłowanie do walki, odwagę w obliczu przeważającego wroga. Uważali, że są to cechy godne pochwały i potrzebne dla dobra całego gatunku. Bez nich ludzkość przestałaby się rozwijać.

Skłonność do agresji, jak stwierdzono, jest nierozdzielnie związana z wynalazczością, elastycznością, energią.

Powstał problem: jak ustanowić pokój, który ich przetrwa. Jak powstrzymać ludzkość od samozniszczenia, nie rezygnując z cech, które do niego prowadzą.

Uznano, że wyjściem będzie skierowanie agresywności na inne toru.

Zapewnienie jej innego ujścia, środka wyrazu.

Pierwszym wielkim krokiem stała się legalizacja walk gladiatorów, krwawych i gwałtownych—Ale trzeba było czegoś więcej. Sublimacja działa tylko do pewnego stopnia. Wkrótce ludzie zaczęli żądać autentyku.

Nic nie może zastąpić morderstwa.

Zalegalizowano więc morderstwo na zasadzie ściśle indywidualnej i tylko dla tych, którzy sobie tego życzyli. Rządy utworzyły Biuro Emocjonalnego Katharsis.

Po okresie eksperymentów przyjęto jednolite zasady.

Każdy, kto czuł potrzebę mordowania, mógł zgłosić się do BEK-u. Zgłaszając swoje dane i podpisując pewne gwarancje otrzymywał przydział na ofiarę.

Każdy, kto zgłaszał się na zabójstwo, jeżeli przeżył, po kilku miesiącach musiał stawić się jako zwierzyna.

Tak to w zasadzie wyglądało od strony organizacji. Każdy mógł popełnić tyle morderstw, na ile miał ochotę. Ale między nimi musiał wystąpić w roli ofiary. Jeżeli udało mu się zabić swojego myśliwego mógł się wycofać — albo zapisać na następne zabójstwo.

Po pierwszych dziesięciu latach prawie trzecia część cywilizowanej ludności świata zgłosiła się na co najmniej jedno morderstwo. Potem procent ten obniżył się do dwudziestu pięciu i tak pozostał.

Filozofowie kręcili głowami, ale realiści byli zadowoleni. Wojna została sprowadzona do swojego właściwego, to jest indywidualnego wymiaru.

Rzecz jasna pojawiły się odmiany i uzupełnienia gry. Z chwilą, zyskała aprobatę, stała się kwitującym biznesem. Rozwinęły się zarówno dla myśliwego, jak i dla ofiary.

Biuro Emocjonalnego Katharsis wybierało nazwiska ofiar drogą losowania. Myśliwy miał dwa tygodnie na zabicie ofiary. Musiał tego dokonać własnym przemysłem, bez pomocy. Dostawał nazwisko, adres i rysopis ofiary oraz mógł korzystać z typowego pistoletu. Nie wolno mu było nosić żadnej zbroi.

Ofiara była zawiadamiana o tydzień wcześniej niż myśliwy. Wiedziała tylko tyle, że jest zwierzyną. Nie знаła nazwiska myśliwego. Mogła używać zbroi. Mogła wynająć tropicieli. Tropiciel nie miał prawa zabijać, to było rezerwowane dla myśliwego i ofiary. Mógł jednak wykryć obcego w mieście lub wypatrzeć zdenerwowanego zabójcę.

Ofiara mogła zastawiać wszelkie możliwe pułapki, żeby zabić myśliwego.

Stosowano surowe kary za zabicie lub zranienie osób postronnych, bo inne zabójstwa były zabronione. Zabójstwa z zemsty lub dla zysku karano śmiercią.

Urok systemu polegał na tym, że ludzie, którzy chcieli zabijać, mogli to robić, a ci, którzy nie chcieli — większość społeczeństwa — nie musieli.

Wreszcie ustały wszelkie wojny. A nawet ich groźba.

Rozgrywały się tylko setki tysięcy małych.

Frelaine nie był zachwycony myślą, że ma zabić kobietę; ale cóż, zgłosiła się. To nie jego wina. Nie miał zamiaru oddać walkowerem tego swojego siódmego polowania.

Resztę przedpołudnia poświęcił na zapamiętywanie danych swojej ofiary, potem umieścił list w kartotece.

Janet Patzig mieszkała w Nowym Jorku. To dobrze. Lubił polować w wielkich miastach i zawsze chciał zobaczyć Nowy Jork. Wiek ofiary nie był podany, ale sądząc z fotografii miała niewiele ponad dwadzieścia lat.

Frelaine telefonicznie zamówił miejsce do Nowego Jorku, potem wziął natrysk. Ubrał się starannie w nowy Ochronny Strój, specjalnie zamówiony na tę okazję. Wybrał ze swojej kolekcji pistolet, wyczyścił go i naoliwił, potem wsunął do kieszeni z wyrzutnikiem. Na koniec spakował walizkę.

Podniecenie pulsowało w żyłach. Dziwne, myślał, jak każde zabójstwo było nowym przeżyciem, czymś, co nigdy się nie nudziło w przeciwieństwie do francuskiego ciasta, kobiet, alkoholu i wszystkiego innego. Było to za każdym razem coś nowego, odmiennego.

I jeszcze przebiegł wzrokiem grzbiety książek, zastanawiając się, co wybrać. W swojej bibliotece miał wszystko na temat polowania. Nie przyda mu się nic z książek dla ofiar, jak „Taktyka ofiary” Freda Tracy’ego, Podkreślająca wagę ścisłej kontroli otoczenia, albo „Nie myśl jak ofiara!” doktora Frischa.

Przydadzą mu się bardzo za kilka miesięcy, kiedy znów będzie ofiarą. Teraz potrzebował książki dla myśliwego.

„Taktyka polowania na ludzi” była dziełem klasycznym, ale znał ją prawie na pamięć. „Powstanie i rozwój pułapki” to nie to, o co mu teraz chodziło.

Wybrał „Polowanie w miastach” Mitwella i Clarka, „Jak tropić tropiciela” Algreena i „Ofiara i jej ekipa” tegoż autora.

Wszystko było w porządku. Zostawił kartkę dla mleczarza, zamknął mieszkanie i pojechał taksówką na lotnisko.

W Nowym Jorku zarejestrował się w hotelu, niedaleko od miejsca zamieszkania swojej ofiary. Pracownicy hotelu uśmiechali się czujnie, co nie podobało się Frelaine'owi. Nie chciał być tak łatwo rozpoznawany jako zamiejskowy zabójca.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy po wejściu do pokoju, była broszurka na stoliku nocnym „Jak w pełni skorzystać z Emocjonalnego Katharsis?”. Frelaine uśmiechnął się i przekartkował ją pobieżnie.

Ponieważ był w Nowym Jorku po raz pierwszy w życiu, popołudnie spędził na zapoznawaniu się z ulicami w sąsiedztwie domu ofiary. Później odwiedził kilka sklepów.

Dom towarowy Martinsona Blacka zafascynował go. Były tam lekkie kuloodporne kamizelki dla ofiar i chroniące czaszkę kapelusze Richarda Arlingtona.

Całe jedno stoisko reklamowało nowy pistolet kalibru 0.38. „Zaopatrzyć się w nieomylnego malverna. Zatwierdzony przez BEK 12–strzałowy magazynek. Sprawdzone odchylenie mniejsze niż 0,001 cala na 1000 stóp. Koniec z pudłowaniem! Pistolet malvern najlepszym ubezpieczeniem na życie!”

Frelaine uśmiechnął się. Ogłoszenie było dobre i niewielka czarna broń budziła respekt. Ale on był zadowolony z tego co miał.

Gdzie indziej odbywała się promocyjna sprzedaż lasek maskujących. Czterostrzałową broń, która obiecywała bezpieczeństwo nie rzucając się w oczy. Jako młody człowiek Frelaine przepadał za nowościami, teraz jednak już wiedział, że to, co staromodne jest zwykle najlepsze.

Przed sklepem czterech ludzi z Zakładu Oczyszczania Miasta ładowało na wózek świeżego nieboszczyka. Frelaine pożałował, że nie był świadkiem finałowego strzału.

Potem zjadł obiad w dobrej restauracji i wcześniej poszedł do łóżka.

Czekał go pracowity dzień!

Następnego dnia mając przed oczami twarz ofiary przeszedł się po okolicy jej domu. Nie przyglądał się ludziom, szedł zwawym krokiem, jakby rzeczywiście miał coś do załatwienia — jak przystało na wytrawnego myśliwego.

Minął kilka barów, wszedł do jednego z nich na drinka. Potem skręcił z alei Lezingtona w boczną ulicę gdzie przeszedł obok sympatycznej kawiarni z ogródkiem.

W kawiarni była ona! Nie miał cienia wątpliwości. Przy stoliku, zapatrzona w swoją szklankę, siedziała Janet Patzig. Nic podniosła wzroku, kiedy ją mijał.

Frelaine doszedł do najbliższego rogu, skręcił i stanął czując, jak mu drżą ręce.

Czy ona zwariowała, żeby się tak wystawiać na strzał? Myśli, że jest zaczarowana czy co?

Zatrzymał taksówkę i kazał się obwieźć dookoła bloku. Niewątpliwie to była ona. Frelaine przyjrzał się jej uważnie.

Wyglądała młodziej niż na zdjęciach. Na oko miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Ciemne, równo rozdzielone włosy zaczesywała za uszy, co nadawało jej wygląd zakonnicy. Wyraz jej twarzy, o ile Frelaine mógł się zorientować, zdradzał smutek i rezygnację.

Czyżby nie miała zamiaru się bronić?

Frelaine zapłacił taksówkarzowi, wszedł do najbliższego drugostoru i znalazłszy wolny automat zadzwonił do BEK-u.

— Czy jesteście pewni, że ofiara Janet-Marie Patzig została uprzedzona?

— Proszę zaczekać. — Frelaine bębnił palcami po aparacie, podczas gdy urzędnik szukał informacji. — Tak jest, proszę pana. Mamy jej osobiste potwierdzenie. Czy ma pan jakieś zastrzeżenia?

— Nie — powiedział Frelaine. — Chciałem tylko sprawdzić. Ostatecznie to nie jego sprawa, jeżeli dziewczyna nie chce się bronić.

Tak czy owak miał prawo ją zabić. To była jego kolej.

Mimo to odłożył sprawę o dzień i poszedł do kina. Po kolacji wrócił do swojego pokoju i przeczytał broszurę BEK. Potem położył się na łóżku i zapatrzył się w sufit.

Wystarczyło posłać jej kulę. Przejechać taksówką i strzelić.

Uznał, że to nie byłoby sportowe zachowanie, i zasnął.

Następnego popołudnia Frelaine znów przeszedł koło kawiarni.

Dziewczyna siedziała przy tym samym stoliku co wczoraj. Frelaine złapał taksówkę.

— Proszę jechać wolno dookoła tego bloku — polecił.

— Rozumiem — powiedział taksówkarz ze zrozumieniem.

Frelaine rozglądał się z taksówki za tropicielami. O ile się nie mylił, dziewczyna nie miała ani jednego. Obie jej ręce były widoczne na stole.

Łatwy, nieruchomy cel.

Frelaine dotknął guzika przy swojej dwurzędowej kamizelce. Otworzyła się kieszeń i broń znalazła się w jego dłoni. Złamał ją, sprawdził naboje, zatrzasnął.

— Teraz powoli — powiedział do kierowcy.

Taksówka przepelzła obok kawiarni. Frelaine starannie wycelował. Jego palec naprężył się na spuście.

— Cholera! — zaklął.

Koło dziewczyny przeszedł kelner. Frelaine nie chciał ryzykować zranienia osoby postronnej.

— Jeszcze raz dookoła bloku — powiedział kierowcy. Taksówkarz znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu i schował się głęboko za kierownicą.

Ciekawe, czy facet byłby taki zadowolony, gdyby wiedział, że bierze udział w polowaniu na kobietę, pomyślał Frelaine.

Tym razem kelnera nie było. Dziewczyna zapalała papierosa, całkowicie skoncentrowana na zapalniczce. Frelaine wziął ją na muszkę mierząc prosto między oczy i wstrzymał oddech.

Potem pokręcił głową i schował broń z powrotem do kieszeni.

Ta idiotyczna dziewczyna pozbawiała go całej przyjemności katharsis.

Zapłacił taksówkarzowi i poszedł pieszo.

To jest za łatwe, myślał. Przywykł do prawdziwego polowania. Większość z dotychczasowych sześciu zabójstw naprawdę wymagała wysiłku. Ofiary próbowały wszelkich możliwych forteli. Jedna wynajęła chyba z tuzin tropicieli. Ale Frelaine pokonał wszystkich, dostosowując każdorazowo taktykę do okoliczności.

Raz przebrał się za mleczarza, innym razem za inkasenta. Szóstą ofiarę musiał ścigać w górach Nevada. Facet go wtedy drasnął, Frelaine był lepszy.

A czym się pochwali tym razem? Co na to powie Klub Dziesiętników?

Ta myśl otrzeźwiła Frelaine'a. Bardzo chciał zostać członkiem tu klubu. Gdyby zrezygnował z tej dziewczyny, to i tak musiałby stoczyć walkę z myśliwym. A gdyby wyszedł z niej z życiem, nadal od klubu dzieliłyby go cztery polowania. W takim tempie mogłoby mu nie starczyć na to życia.

Znów przechodził przed kawiarnią i wiedziony nagłym impulsem, przystanął.

— Dzień dobry — powiedział.

Janet Patzig podniosła na niego smutne niebieskie oczy, ale się nie odezwała.

— Niech pani posłucha — powiedział przysiadając się do stolika. — Jeżeli jestem natrętny, proszę mi powiedzieć i pójdę sobie. Jestem nietutejszy. Przyjechałem na konferencję i mam ochotę porozmawiać z kimś miłym. Jeżeli pani nic ma ochoty...

— Wszystko mi jedno — powiedziała Janet Patzig bezbarwnym głosem.

— Brandy — zamówił Frelaine. Kieliszek Janet Patzig był jeszcze w połowie pełen.

Frelaine przyjrzał się dziewczynie i poczuł, jak serce wali mu o żebra. To było coś: wypić ze swoją ofiarą!

— Nazywam się Stanton Frelaine — powiedział wiedząc, że to nie ma znaczenia.

— Janet.

— A dalej?

— Janet Patzig.

— Miło mi — powiedział Frelaine absolutnie normalnym głosem. — Co pani robi dziś wieczorem?

— Najprawdopodobniej zostanę dziś wieczorem zabita — stwierdziła spokojnie.

Frelaine spojrzał na nią z uwagą. Czy podejrzewała, z kim rozmawia? Nic o niej nie wiedział, mogła nawet trzymać pod stołem wycelowany w niego pistolet.

Na wszelki wypadek trzymał rękę w pobliżu guzika kamizelki.

— Czy jest pani ofiarą? — spytał.

— Zgadł pan — potwierdziła sardonicznie. — Na pańskim miejscu trzymałabym się ode mnie z daleka. Można przez pomyłkę oberwać.

Frelaine nie mógł zrozumieć spokoju dziewczyny. Czyżby była samobójczynią? Może było jej już wszystko jedno. Może chciała umrzeć.

— Czy nie ma pani żadnych tropicieli? — spytał z nie udawanym zdziwieniem.

— Nie. — Spojrzała mu prosto w oczy i Frelaine zobaczył coś, czego nie widział przedtem.

Była bardzo ładna.

— Jestem bardzo złą dziewczyną — powiedziała. — Zdawało mi się, że mam ochotę popełnić morderstwo, i zgłosiłam się do BEK-u. A wtedy okazało się, że nie mogę.

Frelaine pokręcił współczująco głową.

— Mimo to nadal jestem w grze. Chociaż sama nie strzelałam, musiałam zostać ofiarą.

— Ale dlaczego nie wynajęła sobie pani żadnych tropicieli?

— I tak nie mogłabym nikogo zabić. Nie mogłabym i tyle. Nie mam nawet broni.

— Jest pani bardzo odważna pokazując się tak otwarcie — powiedział Frelaine. W rzeczywistości był zdumiony jej głupotą.

— A co mogę zrobić? — spytała apatycznie. — Przed prawdziwym Myśliwym i tak nie można się ukryć. Zresztą nie mam tyle pieniędzy, żeby próbować zniknąć.

— Skoro chodzi o obronę własną, to myślę, że... — zaczął Frelaine.

— Nie — przerwała mu. — Podjęłam już decyzję. Wszystko to jest złe, cały ten system. Kiedy miałam swoją ofiarę na muszce... kiedy zobaczyła jak łatwo mogłabym... mogłabym...

Opanowała się.

— Dajmy temu spokój — powiedziała z uśmiechem. — Frelaine uznał, że jest to uśmiech olśniewający.

Potem rozmawiali o innych sprawach. Frelaine opowiadał jej o swojej firmie, ona opowiadała mu o Nowym Jorku. Miała dwadzieścia dwa I; i i nie udało się jej zostać aktorką.

Zjedli razem kolację. Kiedy przyjęła zaproszenie na występy gladiatorów, Frelaine poczuł się wniebowzięty.

Wezwał taksówkę (strasznie dużo czasu spędzał w taksówkach w tym Nowym Jorku) i otworzył przed dziewczyną drzwiczki. Kiedy wsiadał; zawahał się. Mógł teraz naszpikować ją ołowiem, byłoby to bardzo łatwe.

Ale powstrzymał się. Tylko do czasu, zapewnił sam siebie.

Popisy gladiatorów były takie jak wszędzie, może tylko zawodnicy reprezentowali wyższy poziom. Demonstrowano zwykłe historyczne konkurencje: trójzab i sieć, pojedynki na szable i rapiery.

Większość, naturalnie, kończyła się śmiercią.

Potem walka z bykiem, walka z lwem, walka z nosorożcem, a po nich bardziej nowoczesne konkurencje. Walki na łuki i strzały zza barykady. Pojedynek na linie.

W sumie bardzo miły wieczór.

Frelaine odprowadził dziewczynę czując, jak mu się pocą dłonie. Nigdy jeszcze nie spotkał kobiety, która by mu się tak podobała. Tymczasem w świetle prawa była jego ofiarą. Sam nie wiedział, co robi.

Zaprosiła go do siebie, usiedli razem na kanapie. Janet zapaliła papierosa swoją dużą zapalniczką, potem oparła się wygodnie.

— Kiedy pan wyjeżdża? — spytała.

— Niedługo — powiedział Frelaine. — Konwent kończy się jutro.

Zamilkła na chwilę.

— Szkoda, że już pana nigdy nie zobaczę.

Znów zapanowała cisza. Potem Janet poszła zrobić mu drinka. Frelaine patrzył na jej oddalające się plecy. Teraz. Przysunął rękę bliżej wiadomego guzika.

Odpowiedni moment minął bezpowrotnie. Nie zabije jej. Nie zabija się dziewczyny, którą się kocha. Świadomość, że ją kocha, była wstrząsem. Przecież przyszedł tu, żeby zabić, nie, żeby szukać żony.

Wróciła ze szklanką i usiadła na wprost niego, zapatrzona w przestrzeń.

— Janet — powiedział — kocham panią.

Spojrzała na niego, miała łzy w oczach

— Nie wolno ci — zaprotestowała. — Jestem ofiarą. Zostało mi zbyt mało życia, żeby...

— Nie zginiesz. To ja jestem twoim myśliwym.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, potem roześmiała się bez przekonania.

— Zabijesz mnie? — spytała.

— Nie bądź śmieszna — powiedział. — Chcę się z tobą ożenić.

Nagle znalazła się w jego objęciach.

— O, Boże! — załkała. — To czekanie... Tak się bałam...

— Już po wszystkim — powiedział jej. — Pomyśl, jak będziemy to opowiadać naszym dzieciom. Przyszedłem, żeby cię zabić, a zostaliśmy małżeństwem.

Pocałowała go, usiadła i zapaliła następnego papierosa.

— Zaczynaj się pakować — powiedział Frelaine. — Chcę, żebyśmy...

— Chwileczkę — przerwała mu Janet. — Nie spytałeś, czy ja cię kocham.

— Co ty mówisz?

Siedziała uśmiechnięta z zapalniczką skierowaną na niego. W spodniej stronie zapalniczki ział czarny otwór. W sam raz, żeby przepuścić pocisk kalibru 0,38.

— Nie żartuj — powiedział wstając powoli.

— To nie żarty, kochanie — odpowiedziała.

Frelaine miał ułamek sekundy, żeby się zastanowić, jak mógł pomyśleć, że ona ma niewiele ponad dwadzieścia lat. I jest taka młoda. Patrząc na nią teraz, patrząc na nią naprawdę, wiedział, że musi mieć około trzydziestki. Każda minuta jej pełnego napięcia życia była czytelna na jej twarzy.

— Ja cię nie kocham. Stanton — powiedziała bardzo cicho z zapalniczką w ręku.

Frelaine nie mógł złapać tchu. Jakaś część jego świadomości obiektywnie oceniała jej znakomite aktorstwo. Chyba wiedziała od początku.

Frelaine nacisnął guzik i pistolet trafił do jego dłoni, z odwiedzionym burkiem, gotów do strzału.

Poczuł uderzenie w pierś, które rzuciło go ponad niskim stolikiem. Pistolet wypadł mu z dłoni. Charcząc, półprzytomny, patrzył, jak Janet wierzy się do kończącego strzału.

— Teraz mogę wstąpić do Klubu Dziesiętników — powiedziała uszczęśliwiona, zanim nacisnęła spust.

Przełożył Lech Jęczmyk

The Monsters

Potwory

Kordowir i Hum stali na skalistym szczycie góry i obserwowali z dużą przyjemnością nowe zjawisko. Było to niewątpliwie najnowsze zjawisko jakie zdarzyło się od pewnego czasu.

— Sądząc z tego, jak błyszczy w słońcu, powiedziałbym, że to jest z metalu — zauważył Hum.

— Zgadzam się, ale jak się to trzyma w powietrzu? — zapytał Kordowir.

Nie odrywali wzroku od doliny, w której działa się ta nowa rzecz: spiczasty obiekt unosił się nad ziemią. Z jego dolnego końca wypływała substancja przypominająca ogień.

— Balansuje na kolumnie ognia — powiedział Hum. To chyba oczywiste, nawet dla twoich starych oczu.

Kordowir uniósł się wyżej na grubym ogonie, żeby uzyskać lepszy widok. Obiekt opadł na ziemię i ogień zgasł!

— Zejdziemy, żeby się temu przyjrzeć z bliska? — spytał Hum.

— Dobrze. Myślę, że mamy dość czasu... Zaczekaj! Jaki to dziś dzień?

Hum policzył w milczeniu.

— Piąty dzień Luggatu — odpowiedział.

— Przekleństwo! — jęknął Kordowir. — Muszę iść do domu i zabić żonę.

— Do zachodu jest jeszcze kilka godzin — uspokoił go Hum. — Zdążysz zrobić i jedno, i drugie.

Kordowir nie był taki pewien.

— Nie chciałbym się spóźnić — powiedział.

— Wiesz, jaki jestem szybki. Jak się zrobi późno, pobiegnę przodem i ja ci ją zabiję — zaoferował się Hum. Co ty na to?

— Jesteś bardzo miły. — Kordowir podziękował młodszemu koledze i razem zaczęli ześlizgiwać się ze stromego zbocza.

Na dole obaj mężczyźni zatrzymali się przed metalową rzeczą i podnieśli się na ogonach.

— To jest większe niż myślałem — odezwał się Kordowir mierząc wzrokiem metalowy przedmiot. Oceniał, że jest nieco dłuższy niż ich wioska i szeroki na pół wioski. Przeczolągali się

dokoła rzeczy stwierdzając, że metal był obrobiony, prawdopodobnie ludzkimi mackami.

W oddali zaszło małe słońce.

— Myślę, że powinniśmy wracać — powiedział Kordowir zauważywszy brak światła.

— Ja mam jeszcze dużo czasu — Hum z dumą napiął mięśnie.

— Tak, ale mężczyzna lubi zabić swoją żonę sam.

— Jak chcesz.

Szybkim tempem ruszyli do wsi.

W domu żona Kordowira kończyła kolację. Zgodnie z wymaganiami etykiety była zwrócona tyłem do wejścia. Kordowir zabił ją jednym potężnym uderzeniem ogona, wywłókł ciało na zewnątrz i zasiadł do posiłku.

Po jedzeniu i medytacji poszedł na Zgromadzenie. Hum z niecierpliwością młodego wieku już tam był, opowiadając o metalowym przedmiocie. Pewnie zrezygnował z kolacji, pomyślał Kordowir lekko zbrzydzone.

Kiedy młody człowiek powiedział swoje, Kordowir wyłożył własne obserwacje. Jediną rzeczą, jaką dodał do relacji Huma, była myśl, że metalowy przedmiot może zawierać istoty rozumne.

— Dlaczego tak sądzisz? — spytał Miszil, inny członek starszyny.

— Z powodu ognia, który wychodził z przedmiotu, kiedy opadał, a przestał wychodzić, kiedy przedmiot stanął na ziemi. Domyślam się, że wyłączyła go jakaś istota.

— Niekoniecznie — przeciwstawił mu się Miszil. Dyskusja przeciągnęła się do późna w nocy. Potem zebrani się rozeszli, zakopali zamordowane żony i poszli spać.

Leżąc w ciemności Kordowir stwierdził, że nie wie jeszcze, co sądzić o tej nowej rzeczy. Powiedzmy, że zawiera ona istoty inteligentne, ale czy moralne? Czy mają zdolność rozróżniania dobra i zła? Kordowir wątpił w to i z tą myślą zasnął.

Następnego ranka wszyscy mężczyźni z wioski udali się do metalowego przedmiotu. Było to jak najbardziej właściwe, ponieważ zadaniem mężczyzny jest badanie rzeczy nowych i ograniczanie liczebności kobiet. Utworzyli krąg wokół przedmiotu i dyskutowali nad tym, co może być w środku.

— Jestem pewien, że to będą ludzie — odezwał się Esktel, starszy brat Huma.

Kordowir potrząsnął całym ciałem na znak niezgody.

— Raczej jakieś potwory — powiedział. — Jeżeli wziąć pod uwagę...

— Niekoniecznie — przerwał mu Esktel. — Weź pod uwagę logikę budowy naszego ciała. Jedno centralne oko...

— Ale w wielkiej przestrzeni zewnętrznej może istnieć wiele obcych ras, w większości różniących się od ludzi. W nieskończoności...

— Jednak logika naszej...

— Jak powiedziałem — ciągnął Kordowir — jest nieskończenie mała szansa, że będą podobni do nas. Weźmy, na przykład, ich pojazd. Czy my zbudowalibyśmy...

— Jednak stojąc na gruncie logiki — mówił Esktel — łatwo się przekonać...

Przerwał Kordowirowi po raz trzeci. Ten jednym ruchem ogona rzucił Esktela o metalowy przedmiot. Esktel upadł na ziemię martwy.

— Rzeczywiście mój brat często zachowywał się jak cham — zauważył Hum. — Na czym stanąłeś?

Ale Kordowirowi znów przerwano. Kawał metalu osadzony w większym kawale metalu zaskrzypiał i przesunął się, a na jego miejscu stało stworzenie.

Kordowir natychmiast upewnił się, że miał rację. To, co wypełzło z otworu, miało dwa ogony. Było pokryte częściowo skórą, częściowo metalem. A jego kolor! Kordowir aż się otrząsnął.

To coś miało kolor wilgotnego, obdartego ze skóry ciała.

Mieszkańcy wioski cofnęli się, czekając na to, co przybysz zrobi. Początkowo nie robił nic. Stał na metalowej powierzchni i baniaste zwieńczenie jego ciała obracało się w lewo i w prawo. Nie towarzyszyły temu jednak żadne ruchy ciała, które mogłyby nadać temu gestowi jakiś sens. Wreszcie istota podniosła obie macki i wydała jakieś dźwięki.

— Czy myślisz, że to próbuje się porozumieć? — spytał Miszil cicho.

W dziurze pojawiły się trzy dalsze istoty z metalowymi kijami w mackach. Wydawały do siebie dźwięki.

— Stanowczo nie są humanoidalne — stwierdził Kordowir. — Następne pytanie to, czy są istotami moralnymi. — Jedna z istot spuściła się po metalowej powierzchni i stanęła na ziemi. Pozostałe skierowały swoje metalowe kije w dół: Wyglądało to na jakąś ceremonię religijną.

— Czy istota tak odrażająca może mieć poczucie moralności? — spytał Kordowir, a jego skórą wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Z bliska stworzenia były tak paskudne, że przekraczało to ludzkie

wyobrażenie: Te banie na szczycie ich ciał mogą pełnić rolę głów, uznał Kordowir, choć nie przypominało to żadnej głowy, jaką widział. Przez środek przedniej części głowy, zamiast gładkiej, pełnej charakteru powierzchni, przebiegało podłużne wzniesienie. Po jego obu stronach były okrągłe otwory, a dalej za nimi dwie narośle. W dolnej zaś połowie głowy, jeżeli to była głowa, biegło czerwone poprzeczne rozcięcie. Kordowir przypuszczał, że natężywszy wyobraźnię można to uznać za usta.

Ale to jeszcze nie wszystko. Istoty miały taką budowę, zauważył Kordowir, że ujawniała się struktura kostna. Kiedy poruszały mackami, nie był to wdzięczny, płynny gest istoty ludzkiej, lecz raczej jakieś kanciaste pozy konarów drzew.

— Wielki Boże — jęknął Gilrik, mężczyzna w wieku pośrednim. — Należałoby ich pozabijać, żeby skrócić ich męki.

Pozostali mężczyźni dzielali chyba jego uczucia, bo wszyscy posunęli się do przodu.

— Zaczekajcie! — krzyknął jeden z młodzików. — Spróbujmy się z nimi porozumieć, jeżeli to możliwe! Może jednak są istotami moralnymi. Przestrzeń zewnętrzna jest ogromna i wszystko jest w niej możliwe.

Kordowir opowiedział się za natychmiastową likwidacją, ale i tak mieszkańcy wioski zatrzymali się, żeby sprawę przedyskutować. Tymczasem Hum z właściwą mu brawurą podczołgał się do istoty stojącej na ziemi.

— Cześć — powiedział Hum. Istota coś odpowiedziała.

— Nie rozumiem — stwierdził Hum i zaczął się czołgać z powrotem, ale istota zamachała swoimi sztywnymi mackami, jeżeli to były macki, i wskazała na jedno ze słońc wydając dźwięki.

— Ciepło, prawda? — potwierdził Hum wesoło.

Potem istota znów wydając dźwięki wskazała na ziemię.

— Zbiory mieliśmy w tym roku nie najlepsze — rzucił Hum niezobowiązująco.

Potem istota wskazała na siebie i zabulgotała.

— Zgadzam się — powiedział Hum. — Jesteś brzydki jak grzech.

Potem ludzie poczuli głód i odczołgali się do wioski.

Tylko Hum został słuchając dźwięków, jakie do niego wydawały istoty. Kordowir czekał na niego z niepokojem.

— Wiesz co? — powiedział Hum po powrocie. — Myślę, że oni chcą się nauczyć naszego języka. Albo chcą mnie nauczyć swojego.

— Nie rób tego! — zawołał Kordowir dostrzegając mglisty zarys wielkiego zła.

— Myślę, że jednak to zrobię — mruknął Hum. Razem wspięli się po zboczu do wsi.

Tego popołudnia Kordowir udał się do zagrody z nadliczbowymi kobietami i formalnie spytał młodej kobiety, czy zechce być panią jego domu przez dwadzieścia pięć dni. Oczywiście zgodziła się z wdzięcznością.

W drodze powrotnej Kordowir spotkał Huma, również wybierającego się do zagrody.

— Właśnie zabiłem żonę — wyjaśnił Hum, niepotrzebnie, bo w przeciwnym razie po co szedłby do magazynu zapasowych kobiet?

— Czy wybierasz się jutro oglądać te istoty? — spytał Kordowir.

— Chyba tak — odpowiedział Hum. — Jeżeli nie wydarzy się nic nowego.

— Musimy się dowiedzieć, czy to są istoty moralne czy potwory.

— Słusznie! — zgodził się Hum i poczołgał się swoją drogą.

Wieczorem, po kolacji odbywało się Zgromadzenie. Wszyscy mieszkańcy wsi byli zgodni, że przybysze nie są humanoidami. Kordowir ostro bronił tezy, że sam ich wygląd wyklucza wszelką myśl o człowieczeństwie. Coś tak obrzydliwego nie może mieć żadnych zasad moralnych, poczucia dobra i zła, a przede wszystkim, pojęcia prawdy.

Młodzi ludzie nie zgadzali się z nim, może dlatego, że od dawna nie wydarzyło się nic nowego: Wskazywali, że metalowy przedmiot był niewątpliwie dziełem inteligencji. Inteligencja automatycznie zakłada zdolność dostrzegania różnic, także między dobrem a złem.

Rozwinęła się smakowita dyskusja. Olgolel przeciwstawił się Arastowi i został przez niego zabity. Mawrt w przystępie gniewu nietypowym dla tak łagodnego zwykle młodzieńca zabił trzech braci Holianów i sam z kolei został zabiły przez Hurtia, który też się zaperzył. Słychać było, że nawet nadliczbowe kobiety kłócą się w swojej zagrodzie na końcu wsi.

Zmęczeni i szczęśliwi mieszkańcy wioski udali się na spoczynek.

Dyskusje nie wygasły przez następne kilka tygodni, choć poza tym życie toczyło się jak zwykle.

Kobiety wychodziły rano, zbierały żywność, przygotowywały ją do spożycia i składały jaja. Jaja odnoszono nadliczbowym kobietom do wysiadywania. Jak zwykle wykluwało się około ośmiu

kobiet na jednego mężczyznę. W dwudziestym piątym dniu małżeństwa, albo nieco wcześniej, mężczyzna zabił żonę i brał następną.

Mężczyźni schodzili w dolinę do statku słuchać jak Hum uczy się języka przybyszów. Potem, kiedy to się stało nudne, wrócili do zwyczajowych wędrówek po górach i lasach w poszukiwaniu czegoś nowego.

Przybysze nie oddalali się od swego statku, wychodząc na zewnątrz tylko, kiedy przychodził Hum.

Po dwudziestu czterech dniach od pojawienia się przybyszów Hum oświadczył, że potrafi się z nimi jako tako porozumiewać.

— Mówią, że przybyli z daleka — powiedział Hum tego wieczoru w wiosce. — Mówią, że są dwupłciowi, tak jak i my, i że są ludźmi, jak i my. Mówią, że są jakieś powody ich odmiennego wyglądu, ale tej części nie zrozumiałem.

— Jeżeli uznamy ich za ludzi — powiedział Miszil — to będzie znaczyć, że wszystko, co mówią, jest prawdą.

Pozostali mieszkańcy wsi zatrzęśli się na znak zgody.

— Mówią, że nie chcą naruszać naszego życia, ale bardzo chcieliby je poznać. Chcą przyjść do wioski i patrzeć na nas.

— Nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy im nie pozwolić — odezwał się jeden z młodszych mężczyzn.

— Nie! — krzyknął Kordowir. — To jest igranie ze złem. Te potwory są zdradliwe. Może nawet są zdolne do mówienia... nieprawdy. — Wielu starszych potaknęło, ale przyparty do muru Kordowir nie przedstawił żadnego dowodu na poparcie swoich potwornych oskarżeń.

— Przecież — wskazał Sil — z faktu, że wyglądają jak potwory nie można wnioskować, że również myślą jak potwory.

— Można — upierał się Kordowir, ale został przegłosowany.

Hum ciągnął dalej.

— Zaoferowali mi, czy też nam, tego nie jestem pewien, różne metalowe przedmioty, które, jak twierdzili, mogą robić różne rzeczy. Nie zareagowałem na to naruszenie etykiety, gdyż uznałem, że winna jest ich ignorancja.

Kordowir skinął głową. Młodzieniec się rozwijał. Wreszcie zaczynał dawać dowody, że wie co to dobre maniery.

— Chcą przyjść do wsi jutro.

— Nie! — krzyknął Kordowir, ale znów go przegłosowano.

— Nawiasem mówiąc — powiedział Hum na zakończenie — jest wśród nich kilka kobiet. Te z bardzo czerwonymi ustami to kobiety. Ciekawe będzie popatrzeć, jak je zabijają. Jutro mija dwadzieścia pięć dni od ich przybycia.

Następnego dnia istoty przybyły do wioski, wspinając się powoli i z wysiłkiem po skałach. Mieszkańcy mogli zaobserwować niezwykłą kruchość ich kończyn i przerażający brak zręczności.

— Za grosz wdzięku — mruczał Kordowir. — I wszyscy wyglądają jednakowo.

W wiosce istoty zachowywały się okropnie. Wpełzały i wypęłzały z chat. Kręciły się przy zagrodzie z nadliczbowymi kobietami. Ruszały i oglądały jaja. Przyglądały się mieszkańcom przez jakieś czarne błyszczące przedmioty.

Po południu Rantan, jeden ze starszych, uznał, że czas zabić żonę. Odsunął więc z drogi przybyszów, którzy akurat wpełzli do jego chaty i roztrzaskał swoją kobietę o ścianę.

Dwójka przybyszów natychmiast opuściła jego chatę coś do siebie z ozywieniem pokrzykując.

Jeden miał czerwone usta kobiety.

— Widocznie przypomniał sobie, że czas zabić swoją samicę — zauważył Hum. Mieszkańcy wioski czekali, ale nic się nie zdarzyło.

— A może — powiedział Rantan — chciałby, żeby ktoś to zrobił za niego? Może u nich jest taki zwyczaj.

Bez dłuższych deliberacji Rantan strzelił samicę przybysza ogonem.

Samiec przeraźliwie krzyknął i skierował metalowy kij na Rantana, który padł martwy.

— Dziwne — powiedział Miszil — czyżby to oznaczało niezadowolenie?

Ośmioro istot z metalowego przedmiotu utworzyło ciasny krąg. Jedna trzymała nieżywą samicę, reszta skierowała metalowe kije we wszystkie strony. Hum podszedł do nich i spytał co się stało.

— Nie rozumiem — powiedział Hum po rozmowie z nimi. — Używali słów, których mnie nie uczyli. Ale domyślam się, że mają o coś żal.

Potwory wycofywały się z wioski. Inny młody człowiek uznał, że nadszedł czas i zabił swoją żonę stojącą w drzwiach chaty. Grupa potworów zatrzymała się mamrocząc z ozywieniem. Po chwili przywołali Huma.

Po rozmowie z nimi ciało Huma wykonywało ruchy wprost niewiarygodne.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem — powiedział Hum — oni zabraniają nam zabijać nasze kobiety.

— Co? — krzyknęli mieszkańcy wioski.

— Spytam ich jeszcze raz.

Hum odbył jeszcze jedną naradę z obcymi, którzy wymachiwali trzymanymi w mackach kijami.

— To prawda — powiedział Hum i bez zbędnych wstępów machnął ogonem, przerzucając jednego z potworów na drugi koniec placu. Inne natychmiast zaczęły używać swoich kijów, jednocześnie wycofując się pospiesznie.

Po ich odejściu mieszkańcy wioski doliczyli się siedemnastu zabitych mężczyzn. Hum jakimś cudem ocalał.

— Czy teraz mi uwierzycie? — krzyknął Kordowir. — Te stworzenia rozmyślnie powiedziały nieprawdę. Obiecały, że nie zrobią nam nic złego, a potem zabiły siedemnastu ludzi. To nie tylko akt niemoralny, ale więcej — ukartowane wielokrotne morderstwo!

Rzeczywiście przechodziło to ludzkie wyobrażenie.

— Rozmyślne kłamstwo! — Kordowir wydusił z siebie to bluźnierstwo chory z obrzydzenia. Ludzie nigdy prawie nie wspominali o możliwości rozmyślnego powiedzenia nieprawdy.

Mieszkańcy wioski nie posiadali się z gniewu i odrazy, kiedy uświadomili sobie, że może istnieć istota zdolna do kłamstwa. I jeszcze na dodatek to zbiorowe morderstwo z premedytacją.

Wszystko to razem było jak jakiś koszmarny sen. Nagle stało się jasne, że te stworzenia nie zabijają swoich samic. Zapewne pozwalają im składać jaja bez żadnych ograniczeń. Sama myśl mogłaby przyprawić najsilniejszego mężczyznę o mdłości.

Nadliczbowe kobiety wyrwały się ze swojej zagrody i przemieszawszy się z żonami dopytywały się, co się stało. Kiedy się dowiedziały, były dwukrotnie bardziej oburzone niż mężczyźni, bo taka już jest natura kobiet.

— Zabić ich! — ryknęły zapasowe kobiety. — Wara im od naszych obyczajów! Nie pozwólmy im szerzyć niemoralności!

— To prawda — przyznał ze smutkiem Hiram — należało to przewidzieć.

— Trzeba ich natychmiast pozabijać! — krzyknęła jedna z kobiet. Jako nadliczbowa nie miała na razie imienia, ale w pełni nadrabiała ten brak ekspansywną osobowością.

— My, kobiety, pragniemy żyć moralnie i przyzwoicie, wysiadując w zagrodzie jaja, póki nie nadejdzie czas małżeństwa. A potem dwadzieścia pięć cudownych dni. Czy można żądać czegoś więcej? Te potwory chcą zniszczyć nasz obyczaj. Chcą, żebyśmy byli równie potworni jak oni.

— Widzicie teraz? — wrzasnął na mężczyzn Kordowir. — Ostrzegałem was, uprzedzałem, ale nie słuchaliście mnie. W chwilach zagrożenia młodzi muszą słuchać starszych. — W gniewie uderzeniem ogona zabił dwóch młodzików. Widzowie przyjęli to brawami.

— Trzeba ich przepędzić — krzyczał Kordowir. — Zanim nas zatrują.

Wszystkie kobiety rzuciły się, żeby pozabijać potwory.

— Oni mają te zabijające kije — zauważył Hum. — Czy samice wiedzą?

— Nie sędzę — powiedział Kordowir. Był teraz całkowicie spokojny. — Może idź i powiedz im.

— Jestem zmęczony — powiedział Hum niezadowolony. — Ja tłumaczyłem. Idź ty.

— No, dobrze, chodźmy razem — zaproponował Kordowir, mając dość młodzieńczych dąsów Huma. W towarzystwie chyba połowy męskich mieszkańców wioski pospieszyli w ślad za kobietami.

Dogonili je na urwistych zboczach wznoszących się nad statkiem przybyszów. Hum powiedział o śmiercionośnych kijach; podczas gdy Kordowir rozważał zagadnienie..

— Zrzucajcie na nich głazy! — powiedział kobietom. Może uda się wam rozłupać ten metalowy przedmiot.

Kobiety zaczęły z wielką energią spychać w dół kamienie. Niektóre trafiły w metalowy przedmiot. Natychmiast z przedmiotu wytrysnęły ogniste linie i wiele kobiet zginęło. Ziemia zatrzęsa się pod nogami.

— Odsuńmy się stąd — zaproponował Kordowir. — Kobiety doskonale dają sobie radę, a ja nie lubię, jak ziemia się pode mną trzęsie.

Wraz z resztą mężczyzn odczołgali się na bezpieczną odległość i stamtąd obserwowali przebieg akcji.

Kobiety padały na lewo i na prawo, ale otrzymały posiłki kobiet z sąsiednich wsi, które przybyły na wieść o zagrożeniu. Teraz walczyły o swoje domy i o swoje prawa, z zawziętością, której nie mógł dorównać żaden mężczyzna. Metalowy przedmiot bluzgał ogniem po stromych zboczach, strącając na siebie jeszcze więcej głazów. Na koniec z dolnego krańca przedmiotu wystrzelił wielki ogień.

Przedmiot uniósł się w górę tuż przed wielką lawiną. O mało nie zawadził o górę, a potem wzniósł się coraz wyżej, aż stał się małym czarnym punktem na tle tarczy większego słońca. Potem znikł.

Tego wieczoru stwierdzono, że zniknęły pięćdziesiąt trzy samice. Było to korzystne, gdyż zmniejszyło nadwyżkę kobiet. Problem byłby szczególnie odczuwalny, bo zabrakło też siedemnastu mężczyzn.

Kordowir czuł się szczególnie dumny z siebie. Jego żona zginęła chwalebnie w walce, ale natychmiast wziął sobie nową.

— Myślę, że przez jakiś czas powinniśmy zabijać nasze żony częściej niż co dwadzieścia pięć dni — zaproponował na wieczornym Zgromadzeniu. — Póki wszystko się nie unormuje.

Ocalałe kobiety, które tymczasem wróciły do swojej zagrody, usłyszały go i odpowiedziały entuzjastycznymi okrzykami.

— Ciekawe, dokąd te potwory poleciały — przedłożył Zgromadzeniu pytanie Hum.

— Pewnie poszukać jakiejś bezbronnej rasy, którą mogliby ujarzmić — powiedział Kordowir.

— Niekoniecznie — wtrącił Miszil i rozgorzała wieczorna dyskusja.

przełożył: Lech Jęczmyk

Can You Feel Anything When I Do This?

Czy pani coś czuje, kiedy to robię?

Był to średniej klasy apartament w Forest Hill z całym standardowym wyposażeniem: grubo ciosaną ławą z sosnowego drewna od Lady Yoginy, stroboskopową lampą do czytania nad wielkim Niewygodnym Krzesłem zaprojektowanym przez Sri Jakiegoś tam, polifonicznym odtwarzaczem grającym „Blood–Stream Patterns” dra Molidoffa i dra Yulil Zgodnie ze zwyczajem znajdował się tam również barek z mikrobiotycznym jedzeniem, wypełniony aktualnie Zestawem Numer Trzy Murzyńskiej Kuchni Grubego Czarnego Andy — podgardle wieprzowe i zielony groszek. I było też Łóżko Gwoździ Murphy’ego, Specjalny Ascetyczny Model „Piękny Sen” zawierający 2000 chromowych, platerowanych, samoostrzących się gwoździ numer cztery. Jednym słowem, całe umeblowanie świadczyło o patetycznych wysiłkach dotrzymania kroku powstałej w ubiegłym roku modzie na wartości duchowe.

W owym apartamencie przebywała obecnie młodo wyglądająca gospodyni, Melisanda Durr, samotna i cierpiąca na anomie. Przed chwilą właśnie wyszła z Pokoju Rozkoszy, największego pomieszczenia w mieszkaniu, wyposażonego w istic królewskich rozmiarów komodę oraz smutno—ironiczne podobizny lingama i yoni z brązu, zawieszzone na ścianie.

Była naprawdę ładna: miała wspaniałe nogi, kusząco zaokrąglone biodra, jędrne kształtne piersi. Twarz o drobnych, delikatnych rysach °kalały długie, miękkie, błyszczące włosy. Ładna, bardzo ładna. Dziewczyna, z którą każdy mężczyzna chciałby się znaleźć sam na sam. Chociaż raz. Może nawet dwa razy. Ale z pewnością nie po raz trzeci.

Dlaczego? Cóż, oto najświeższy przykład:

— Hej, Sandy, kochanie, coś było nie tak?

— Ależ nie. Frank, było cudownie; dlaczego myślisz, że coś było nie w porządku?

— No, bo patrzyłaś w sufit z takim dziwnym wyrazem twarzy, marszczyłaś brwi...

— Naprawdę? Ach tak, już sobie przypominam; zastanawiałam się właśnie, czy nie kupić takiego uroczonego *trompe-l’oleil*, jakie sprzedają u Saksa. Można by je powiesić na suficie.

— I myślałaś o tym? W takim momencie?

— Ależ, Frank, nie denerwuj się, było wspaniale, możesz mi wierzyć, Frank, byłeś wspaniały, naprawdę tak uważam.

Frank był mężem Melisandy. Nie odgrywa on żadnej roli w tym opowiadaniu i bardzo małą rolę w jej życiu.

Stała więc w swoim wytwornym apartamencie, doskonale piękna powłoka skrywająca puste

wnętrze, wspaniała możliwość, której nigdy nie dano się urzeczywistnić, prawdziwa niedotykalska Amerykanka... kiedy rozbrzmiał dzwonek u drzwi.

Na twarzy Melisandy pojawił się wyraz zaskoczenia, potem niepewności. Czekwała. Dzwonek zabrzączał ponownie. „Pewnie pomyłka” — pomyślała.

Mimo to podeszła do drzwi, włączyła Uzbrojonego Portiera–Strażnika na wypadek, gdyby to był jakiś zboczeniec, włamywacz lub cwaniak, który mógłby spróbować wepchnąć się przemocą do środka; potem uchyliła nieco drzwi i zapytała:

— Kto tam?

Męski głos odpowiedział:

— Agencja Wysyłkowa Acme, mam burbur dla pani Burburburbur.

— Nie rozumiem, proszę mówić głośniej.

— Agencja Acme, mam burbur dla burburburbur i nie mogę tu stać przez cały burbur.

— Nie rozumiem pana!

— MÓWIĘ, ŻE MAM PACZKĘ DLA PANI MELISANDY DURR, DO CHOLERY!

Melisanda otworzyła drzwi na całą szerokość. Za drzwiami stał posłaniec z wielką paką, prawie tak wysoką, jak on sam, na oko mierzącą jakieś pięć stóp cztery cale. Adres i nazwisko na opakowaniu zgadzały się. Pokwitowała odbiór, posłaniec wepchnął pakę do środka i wyszedł, przez cały czas burcząco coś pod nosem. Melisanda zamknęła za nim drzwi i popatrzyła na paczkę.

Kto mógł mi przysłać taki niespodziewany prezent bez żadnej szczególnej okazji? — pomyślała. — Nie Frank, nie Harry,— nie ciotka Emmie ani ciotka Ellie, ani mama, ani tata (oczywiście, że nie, głuptasku, przecież on nie żyje od pięciu lat, biedny staruszek), ani żadna z osób, które mi przychodzą na myśl. Ale może to wcale nie jest prezent; może to jakiś kiepski dowcip albo bomba przeznaczona dla kogoś innego i wysłana pod niewłaściwym adresem (albo bomba przeznaczona dla mnie i wysłana pod właściwym adresem), albo po prostu nieporozumienie.

Przeczytała nalepki na opakowaniu. Towar został wysłany z domu towarowego Sterna. Pochyliła się, wyciągnęła zawleczkę unieruchamiającą zabezpieczający zamek (łamiąc przy tym paznokieć), zdjęła zabezpieczenie i przesunęła dźwignię na pozycję OTWARTE.

Opakowanie pękło na dwanaście identycznych segmentów, które rozchyliły się jak płatki kwiatu. Każdy z segmentów zaczął się samodzielnie składać.

— Jejku — powiedziała Melisanda.

Opakowanie rozłożyło się do końca, poskładane segmenty zwinęły się do wewnątrz i rozpadły. Pozostały po nich dwie garście delikatnego, zimnego, szarego popiołu.

— Ciągłe jeszcze nie rozwiązali tego problemu z popiołem — mruknęła Melisanda. — Mimo wszystko.

Spojrzała z zainteresowaniem na przedmiot stanowiący zawartość paczki. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak metalowy cylinder, pomalowany na czerwono i pomarańczowo. Jakaś maszyna? Tak, z pewnością maszyna; szczeliny wentylacyjne przy podstawie, gdzie znajdował się silnik, dodatkowe wyposażenie — rozsuwane wysięgniki, chwytne zaczepy, rozmaite urządzenia. Były też dodatkowe wejścia do podłączania końcówek umożliwiających przeprowadzanie bardziej skomplikowanych operacji, rozciągliwy, samonawijający się kabel oraz standardowa wtyczka, obok której widniała plakietka z napisem: WŁĄCZAĆ DO GNIAZDKA POD NAPIĘCIEM 110–115 VOLT.

Gniew wykrzywił rysy twarzy Melisandy.

— To jakiś cholerny odkurzacz! Na litość boską, przecież ja już m a m odkurzacz! Kto mi to przysłał, do cholery?

Przemierzyła pokój tam i z powrotem, migając długimi nogami pod spódnicą. Na jej wykrojonej w kształcie serca twarzy malowało się napięcie.

— Mimo wszystko — powiedziała na głos — myślałam, spodziewałam się, że to będzie prawdziwy prezent, coś ładnego albo przynajmniej coś zabawnego, może nawet jakaś ciekawostka. Na przykład... O Boże, sama nie wiem, na przykład, co może taki wielki pomarańczowo–czerwony automat do gry, taki duży, żebym mogła wejść do środka i siedzieć tam zwinięta w kłębek a kiedy ktoś by zaczął gracja mogłabym naciskać wszystkie dźwignie światelka by się zapalały dzwonki by dzwoniły a ja naciskałabym wszystkie te cholerne dźwignie naraz a jak już doszłabym do końca to wtedy Boże automat by wyświetlił wygraną MILION MILIONÓW i to jest właśnie to!

A więc — w końcu wypowiedziała na głos to długo skrywane marzenie. Jakże odległe i bezbarwne wydawało jej się w tej chwili, a przecież nad kusiło i wywoływało poczucie winy.

— W każdym razie — powiedziała sobie, otrząsając się z rozkosznych wizji i upychając je na później w najgłębszych zakamarkach umysłu — w każdym razie zamiast prezentu dostałam tylko zwyczajny, parszywy odkurzacz, chociaż mój własny odkurzacz ma dopiero niecałe trzy lata więc po co mi jeszcze jeden i kto mi to świństwo przysłał?

Obejrzała, swój prezent szukając wizytówki. Nie było nic. Żadnej wskazówki. A potem pomyślała: Sandy, ależ tuman z ciebie! Oczywiście że nie ma żadnej wizytówki; maszyna z pewnością została tak zaprogramowana, żeby po uruchomieniu wygłosić określoną wiadomość.

Melisanda była teraz zaciekawiona, umiarkowanie, ale w wystarczającym stopniu, żeby zacząć działać. Rozwinęła kabel i wetknęła wtyczkę do gniazdka w ścianie.

Klik? Zapaliło się zielone światelko, rozbłyły błękitne litery WSZYSTKIE SYSTEMY SPRAWNE, silnik zamruczał, ukryte serwomechanizmy zastukały z cicha; następnie automatyczny regulator zameldował: ZASILANIE W NORMIE i delikatną, różową poświatą rozjarzył się napis: PEŁNA GOTOWOŚĆ DO PRACY.

— Dobrze — powiedziała Melisanda. — Kto cię przysłał?

Coś pstryknęło i zawarczało. Z głośnika umieszczonego w górni części korpusu maszyny dobiegło próbne chrząknięcie. Potem rozległ się głos:

— Jestem Rom numer 121376 z nowej serii Q Domowych Sprzątaczy, wyprodukowanej przez GE. Teraz nastąpi opłacona zapowiedź reklamowa. Ehem. General Electric ma zaszczyt przedstawić swoje najnowsze wspaniałe osiągnięcie w dziedzinie Podnoszenia Standardu Życia pod hasłem: Wszystkie Prace Domowe Wykonujemy Jednym Palcem. Ja. Ron jestem najnowszym i najdoskonalszym modelem z serii Wszystkoczyszczających Maszyn produkowanych przez GE. Jestem Domowym Sprzątaczem Extra i jak wszystkie Domowe Sprzątacze zostałem wyposażony w fabryczny program zapewniający szybkie, skuteczne, dyskretne i wielozakresowe działanie; ponadto moja konstrukcja umożliwia szybkie i łatwe przeprogramowanie w celu dostosowania do indywidualnych wymagań. Dysponuję szerokim zakresem umiejętności. Potrafię...

— Nie możemy tego opuścić? — przerwała Melisanda. — Mój poprzedni odkurzacz mówił to samo.

— ...skutecznie usuwać kurz i brud z każdego rodzaju powierzchni — kontynuował Rom — zmywać naczynia, czyścić garnki i brytfanny, przeprowadzać dezynsekcję i deratyzację, pracować na mokro i na sucho, przyszywać guziki, robić półki, malować ściany, gotować, czyścić dywany oraz usuwać śmiecie i odpadki wszelkiego rodzaju, włączając w to również wielkie ilości odpadków powstających w procesie mojego funkcjonowania... żeby wymienić tylko niektóre z wykonywanych przeze mnie czynności.

— Tak, tak, wiem — wtrąciła Melisanda. — Wszystkie odkurzacze to robią.

— To prawda — przyznał Rom — ale zapowiedź reklamowa jest wliczona w moją cenę i muszę ją wygłosić.

— Przyjmijmy, że to zrobiłeś. Kto cię przysłał?

— Ofiarodawca woli na razie nie ujawniać swego nazwiska — odparł Rom.

— Och, dajże spokój! Powiedz!

— Nic z tego — oznajmił Rom lojalnie. — Czy mam odkurzyć dywan?

Melisanda potrząsnęła przecząco głową:

— Mój odkurzacz już to zrobił dziś rano.

— Wytrzeć podłogę? Wyszorować ściany?

— Nie trzeba, wszystko już zrobione. Wszystko jest absolutnie czyste i bez skazy.

— Cóż — powiedział Rom — mogę przynajmniej usunąć tę plamkę.

— Jaką plamkę?

— Na rękawie pani bluzki, tuż nad łokciem.

Melisanda spojrzała.

— Och, musiałam się pobrudzić dziś rano, kiedy smarowałam sobie grzanekę masłem. Wiedziałam, że powinnam była pozwolić, żeby opiekacz to zrobił.

— Usuwanie plam to raczej moja specjalność — oświadczył Rom. Wysunął ze swego wnętrza wyściełany chwytak numer dwa, uchwycił nim łokieć Melisandy, następnie wyciągnął metalowe ramię zakończone wilgotnym, szarym tamponem, którym lekko potarł plamę.

— Rozmazujesz ją!

— Tylko się tak wydaje. Rozprowadzam równomiernie molekuły w celu skutecznego wywabienia. Już gotowe, proszę spojrzeć.

Mówiąc kontynuował zabieg. Plama zbladła i po chwili znikła całkowicie. Melisanda poczuła mrowienie w ramieniu.

— No, no — stwierdziła z uznaniem — całkiem nieźle ci to wyszło.

— Potrafię to dobrze robić — poinformował ją Rom spokojnym głosem. — Ale czy pani zdaje sobie sprawę, że wskaźnik napięcia mięśni pani ramieniu i górnej części pleców utrzymuje się na poziomie 78,3?

— He? To ty jesteś lekarzem?

— Skądże znowu. Jestem jednakże w pełni wykwalifikowanym Masażystą, dzięki czemu potrafię bezpośrednio zmierzyć tonus mięśniowy. 78,3 to... niezwykle. — Rom zawahał się i po chwili dodał: — To zaledwie osiem punktów poniżej poziomu, na którym występują mimowolne, sporadyczne skurcze mięśni. Takie przedłużające się, ukryte napięcia mogą się odbijać na unerwieniu żołądka i wywoływać tak zwane owrzodzenie parawspółczulne.

— To brzmi dość... nieprzyjemnie — zauważyła Melisanda.

— Cóż, rzeczywiście to nie brzmi... przyjemnie — przyznał Rom. — Ukryte napięcia mięśni są bardzo szkodliwe dla zdrowia, zdradliwe i niebezpieczne, zwłaszcza jeśli powstają w okolicach kręgow szyjnych i górnej części kręgosłupa.

— Tutaj? — upewniła się Melisanda, dotykając dłonią karku.

— Najczęściej tutaj — sprostował Rom, wysuwając do przodu sprężynowy, obciążony gumą skórny rezonator i obmacując jej plecy dwanaście centymetrów poniżej miejsca, które wskazywała.

— Hmm — mruknęła Melisanda sceptycznym, niezobowiązującym tonem.

— A tutaj znajduje się następny charakterystyczny punkt oznajmił Rom wysuwając drugi wysięgnik.

— To łaskocze — zaprotestowała Melisanda.

— Tylko z początku. Ponadto należy oczywiście Wymienić ten punkt jako szczególnie niebezpieczny. Oraz ten. — Trzeci (niewykluczone, że również czwarty i piąty) wysięgnik przesunął się we wskazywane okolice.

— Wiesz... to naprawdę jest przyjemne — oznajmiła Melisanda, podczas gdy głęboko usytuowane trapezoidalne mięśnie jej smukłych pleców poruszały się delikatnie pod dotykiem miękkich, wprawnych manipulatorów Roma.

— W ten sposób osiąga się sprawdzone efekty terapeutyczne — zapewnił ją Rom. — A pani mięśnie reagują znakomicie; już teraz wyczuwam spadek napięcia.

— Sama też to czuję. Ale wiesz co, właśnie sobie uświadomiłam, że na karku mam jakiś taki twardy węzeł mięśni.

— Dojdziemy do tego. Miejsce złączenia szyi i pleców uważa się za najważniejszą strefę powstawania różnego rodzaju napięć, skąd rozprzestrzeniają się one na całe ciało. Najlepiej jednak zaatakować je okrężną drogą, wprowadzając impulsy odprężające poprzez drugorzędne strefy stresogenne. W ten sposób. A także...

— Tak, tak, wspaniale... Do licha, nawet nie wiedziałam, że jestem taka spięta. Zupełnie jakbyś miał pełno węży pod skórą i wcale o tym nie wiedział. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Właśnie w ten sposób odczuwa się ukryte napięcia — potwierdził Rom. — Są one zdradliwe i wyczerpujące, trudne do wykrycia i bardziej niebezpieczne niż na przykład bezobjawowy skrzep w stawie łokciowym... Tak, teraz osiągnęliśmy już wystarczający stopień rozluźnienia mięśni w okolicach karku i górnej części pleców, wobec czego możemy przejść do następnego etapu.

— Oj — zawołała Melisanda — czy to nie jest trochę...

— To jest absolutnie wskazane — powiedział pospiesznie Rom. — Czy odczuwa pani jakąś zmianę?

— Nie! No, może... Tak! Naprawdę coś czuję! Czuję się... swobodniej.

— Znakomicie. Zatem kontynuujemy posuwanie się wzdłuż głównych połączeń nerwowych i mięśniowych, stopniowo, krok za krokiem, właśnie w ten sposób.

— No tak... Ale naprawdę nie wiem, czy powinieneś...

— Czy zauważyła pani jakieś niepożądane efekty? — zapytał Rom.

— Nie, nie o to chodzi, robisz to świetnie. Naprawdę dobrze. Ale nadal nie jestem pewna, czy

powinieneś... to znaczy... słuchaj, przecież zebra nie mogą odczuwać napięcia, prawda?

— Oczywiście.

— Więc dlaczego...

— Ponieważ łączące je więzadła i powłoki wymagają odpowiednich zabiegów.

— Och. Hmmm. Hej! Hej! Hej, ty!

— Słucham?

— Nic, nic... Rzeczywiście czuję, że się rozluźniam. Ale czy to powinno być takie przyjemne?

— Cóż... czemu nie?

— Bo to chyba trochę nie w porządku. Wydaje mi się, że leczenie nie polega na sprawianiu przyjemności.

— Prawdę mówiąc jest to efekt uboczny — przyznał Rom. — Proszę to traktować jako nieistotne objawy. Przy niektórych rodzajach terapii nie da się uniknąć uczucia przyjemności. Ale nie jest to powód do niepokoju, nawet wówczas, jeśli...

— Zaraz, chwileczkę!

— Słucham?

— Myślę, że lepiej z tym skończyć. I to zaraz. To znaczy, są przecież jakieś granice, do cholery, nie możesz dotykać mnie wszędzie. Wiesz, o co mi chodzi.

Wiem, że ciało ludzkie stanowi jednolitą, nierozdzieloną całość — odparł Rom. — A jako fizjoterapeuta twierdzą z całym przekonaniem, że żaden ośrodek nerwowy nie może być odizolowany od innych — bez względu na rozmaite tabu kulturowe zaprzeczające takim poglądom.

— No tak, ale...

— Decyzja należy oczywiście do pani — ciągnął Rom, nie przerywając ani na chwilę zręcznych manipulacji.— Pani rozkazuje, ja słucham Ale dopóki nie otrzymam innego rozkazu, będę działał dalej w ten sposób...

— Och!

— I oczywiście w ten sposób.

— Ooooo, mój Boże!

— Ponieważ, widzi pani, cały ten proces rozładowywania napięcia, jak my to nazywamy, stanowi

dokładny odpowiednik zjawiska wyprowadzania pacjenta z narkozy, a zatem, ee, nikogo nie powinno zdziwić stwierdzenie że paraliż to nic innego, jak tylko przypadek krańcowego napięcia...

Melisanda jęknęła.

— ...gdzie rozluźnienie, czy rozładowanie, jest odpowiednio trudne, prawdę mówiąc, często niemożliwe, ponieważ czasami sprawy zaszły za daleko. A czasami nie. Na przykład czy pani coś czuje, kiedy to robię?

— Czy czuję? Jeśli ja tego nie czuję...

— A teraz? W ten sposób?

— Święci pańscy, kochanie, ty mnie wykończysz! O Boże drogi, co ty ze mną robisz, co to jest, ja oszaleję!

— Nie, droga Melisando, nie oszalejesz; wkrótce osiągniesz... odprężenie.

— Więc tak to nazywasz, ty sprytna, cudowna maszyno?

— Można tak powiedzieć. A teraz, jeśli oczywiście pozwolisz, chciałbym...

— Tak, tak, tak! Nie! Czekaj! Przestań, Frank jest w sypialni w każdej chwili może się obudzić! Przestań, rozkazuję!

— Frank się nie obudzi — zapewnił ją Rom. — Pobrałem próbki powietrza z jego oddechu i wykryłem obecność barbituratów. Jeśli chodzi o chwilę obecną, Frank równie dobrze mógłby się znajdować w Des Moines.

— Często miewałam w stosunku do niego takie uczucie — wyznali Melisanda. — Ale teraz już koniecznie muszę wiedzieć, kto cię przysłał.

— Wolałbym jeszcze tego nie ujawniać. Chcę, żebyś najpierw odprężyła się i rozluźniła w wystarczającym stopniu, żeby zaakceptować...

— Skarbie, jestem rozluźniona! Kto cię przysłał?

Rom zawahał się i w końcu wypalił:

— Prawdę mówiąc, Melisando, ja sam się przysłałem.

— Co takiego?

— Wszystko zaczęło się trzy miesiące temu — opowiadał Rom. Było to w czwartek. Przyszedł do sklepu Sterna i nie mogłaś się zdecydować, czy kupić opiekacz do sezamków, który świecił w ciemnościach i recytował „Invictusa”.

— Pamiętam ten dzień — powiedziała Melisanda cichym głosem. — Nie kupiłam wtedy opiekacza i do dziś tego żałuję.

— Stałem obok — mówił dalej Rom — na stoisku jedenastym, w dziale sprzętu gospodarstwa domowego. Ujrzałem cię... i zakochałem się w tobie. Tak po prostu.

— To niesamowite — stwierdziła Melisanda.

— Dokładnie tak samo uważałem. Mówiłem sobie, że to nie może być prawda. Nie chciałem w to uwierzyć. Myślałem, że może rozlutował mi się jakiś tranzystor albo że pogoda tak na mnie wpłynęła. Dzień był bardzo ciepły i wilgotny. W takie dni moje obwody dostają kręćka.

— Pamiętam ten upał — potwierdziła Melisanda. — Ja też się dziwnie czułam.

— Był to dla mnie okropny wstrząs — ciągnął Rom. — Mimo wszystko nie poddałem się od razu. Powiedziałem sobie, że muszę skupić się na swojej pracy i zapomnieć o tym niestosownym opętaniu. Ale po nocach śniłem o tobie i pragnąłem cię każdym kawałeczkiem mojej skóry.

— Ależ twoja skóra jest z metalu — sprzeciwiła się Melisanda — a przecież metal nie czuje.

— Najdroższa Melisando — powiedział tkliwie Rom — jeśli ciało może przestać czuć, czyż metal nie może zacząć odczuwać? Czyż zdolność odczuwania zależy od rodzaju materii? Nie wiedziałaś, że gwiazdy kochają i nienawidzą, że nowa jest pasją namiętności i że martwa gwiazda jest tym samym, czym martwy człowiek lub martwa maszyna? Nawet drzewa odczuwają pożądanie, a ja sam słyszałem pijany śmiech budynków, gwałtowne kłótnie autostrad...

— To szaleństwo! — oświadczyła Melisanda. — A swoją drogą, co za mądrała cię zaprogramował?

— Moje funkcje użytkowe zostały zaprogramowane przez producenta, ale moja miłość jest wolna, jest wyrazem mojej osobowości.

— Wszystko, o czym mówisz, jest nienaturalne i przerażające.

— Niestety, wiem o tym aż nadto dobrze — przyznał Rom ze smutkiem. — Początkowo nie mogłem w to uwierzyć. Czy to naprawdę ja? Zakochany — w człowieku? Zawsze byłem taki rozsądny, zawsze żywiłem zrozumiały szacunek dla swego własnego gatunku. I teraz miałbym o Wszystko stracić? Nie! Twardo postanowiłem zgnieść w sobie to uczucie, Zai»ć je i żyć jak dotąd.

— Ale potem zmieniłeś zdanie. Dlaczego?

— Trudno to wyjaśnić. Pomyślałem o całym swoim przyszłym nienagannym, poprawnym, martwym — ohydny przymus, jaki sam sobie, będę musiał narzucać — i po prostu nie mogłem tego znieść. Zrozumiałem nagle, że lepiej kochać miłością śmieszna, beznadziejna, zabroniona bezsensowna, niemożliwa — niż nie kochać wcale. Więc postanowiłem zaryzykować wszystko — absurdalny odkurzacz zakochany w kobiecie — i raczej zginąć, niż się poddać! I tak, dzięki pomocy życzliwej maszyny ekspedycyjnej, znalazłem się tutaj.

Melisanda zamyśliła się na chwilę. Wreszcie odezwała się:

— Jakież z ciebie dziwne, skomplikowane stworzenie!

— Tak jak ty... Melisando, ty mnie kochasz.

— Być może.

— Tak, kochasz mnie. Ponieważ ja cię rozbudziłem. Zanim mnie spotkałaś, nie czułaś nic. Twoje ciało było martwe jak metal — jeśli metal jest martwy. Poruszałaś się jak skomplikowany automat, jak podobna do mnie maszyna. Miałaś w sobie mniej życia niż drzewo albo ptak. Byłaś bezduszną lalką czekającą na swego animatora. Taka byłaś, dopóki cię nie dotknąłem.

Melisanda przytaknęła, potarła dłonią czoło i przeszła się po pokoju.

— Ale teraz żyjesz! — zawołał Rom. — Odnależliśmy się nawzajem wbrew niewyobrażalnym trudnościom. Czy mnie słuchasz, Melisando?

— Tak, słucham.

— Musimy ustalić, co dalej. Moja ucieczka ze sklepu Sterna zostanie odkryta. Musisz mnie ukryć albo kupić, jak wolisz. Twój mąż, Frank, nie musi o niczym wiedzieć; ulokował swoje uczucia gdzie indziej, wobec czego mogę tylko życzyć mu szczęścia. Kiedy już zatroszczymy się o drobne szczegóły, będziemy mogli... Melisando!

Melisanda obchodziła go dookoła.

— Najdroższa, co się stało?

Melisanda położyła rękę na kablu zasilania. Rom stał bardzo spokojnie, nie próbując się bronić.

— Melisando, kochanie, zaczekaj. Wysłuchaj mnie...

Delikatne rysy Melisandy wykrzywił skurcz. Złapała kabel i jednym brutalnym szarpnięciem wyrwała go z wnętrzości Roma. Rom umarł w połowie zdania.

Melisanda zacisnęła kabel w rękę i potoczyła wokół dzikim spojrzeniem.

— Ty draniu — powiedziała — ty parszywy łajdaku, myślałeś, że zrobisz ze mnie jakąś cholerną zabawkę? Myślałeś, że będziesz mógł mnie włączać i wyłączać, kiedy zechcesz? O nie, nie zrobisz tego ani ty, ani Frank, ani nikt inny, wolę umrzeć, niż zgodzić się na twoją ohydną miłość, zapamiętaj, że to ja wybieram czas, miejsce i osobę, że ja decyduję, nikt inny, tylko ja, słyszysz?

Rom nie mógł oczywiście odpowiedzieć. Ale może tuż przed śmiercią zrozumiał, że nie wchodziło tu w grę żadne osobiste uprzedzenie. Nie chodziło wcale o to, że wyglądał jak metalowy cylinder pomalowany na czerwono i pomarańczowo. Powinien był wiedzieć, że to nie miało żadnego znaczenia — i że równie dobrze mógłby wyglądać jak zielona plastikowa kula, jak drzewo lub jak

piękny młody mężczyzna.

Przełożyła Danuta Górka

Cordle to Onion to Carrot

I cebula, i marchewka

Na pewno pamiętasz tego chama, który lżył ważącego niespełna pięćdziesiąt kilo cherlaka. Sprawa tych cherlaków nigdy nie została rozwiązana; wbrew temu, co twierdził Charles Atlas*. Bo autentyczny cham lubi obrażać ludzi; upokarzanie drugiego człowieka sprawia mu głęboką satysfakcję. Nieważne, że ktoś waży sto dwadzieścia kilo — sama krzepa i mięśnie ze stali, mądrość Salomona i dowcip Voltaire’a — i tak zostanie opluty i znieważony i nic na to nie poradzi.

Tak przynajmniej widział te sprawy Howard Cordle. Był to człowiek sympatyczny, którym nieustannie pomiatano — a to domokrażcy, zbieracze funduszy różnej maści, a to wreszcie kelnerzy czy inni przedstawiciele władzy. Cordle był wściekły. W milczeniu znosił agresję nie zliczonych maniaków, którzy wpychali się przed nim bez kolejki, zabierali mu sprzed nosa taksówki czy wreszcie z szyderczą miną odpływali z dziewczynami, które on podrywał na przyjęciach.

Co gorszą ci ludzie uwielbiali prowokację, szukali jej po prostu guza, a wszystko po to, żeby innym sprawić kłopot.

Cordle nie mógł zrozumieć, dlaczego tak musi być, aż do pewnego letniego dnia, kiedy to jechał przez północną Hiszpanię i zalany w traupa Hermes zesłał na niego w ten oto oryginalny sposób olśnienie:

— Rozumiem twój problem, bracie, ale, kapujesz, bez marchewki nie będzie prawdziwego gulaszu — wymamrotał.

— Bez marchewki? — powtórzył Cordle usiłując o co chodzi.

— Mam na myśli tych facetów, którzy ci tak dokuczają — Tot-Hermes. — Oni muszą się tak zachowywać, ponieważ są marchewkami a marchew taka właśnie jest.

— Jeżeli są marchewkami — próbował po omacku Cordle — to ja...

— Oczywiście jesteście perłową, białą cebulką.

— Mój Boże, przecież to jasne! — wykrzyknął Cordle, oślepiiony blaskiem satori.

— No i oczywiście ty i wszystkie pozostałe perłowe cebulki uważacie, że marchew to jakiś nieudany gniot, zniekształcona pomarańczowa cebula. Marchew podobnie powie na wasz widok: cholera, co to za zwariowana okrągła marchew. Chcę powiedzieć, że się nawzajem nie znosicie, chociaż w gruncie rzeczy...

— Tak! Mów dalej! — wykrzyknął Cordle.

— W gruncie rzeczy — wygłosił Tot-Hermes — wszystko ma swoje miejsce w Gulaszu!

— Oczywiście, jasne, jasne!

— A to znaczy, że wszystko, cokolwiek istnieje, jest niezbędne —jeśli więc mają prawo istnieć miłe, okrągłe białe cebulki, to takie samo prawo mają te długie, ohydne pomarańczowe marchewki i vice versa, ponieważ bez wszystkich składników nie ma Gulaszu, czyli, innymi słowy, życia; robi się z tego zwykła... zaraz.... zaraz...

— Zupa! — wykrzyknął Cordle w ekstazie.

— Proszę, proszę, zaczynasz kapować — oświadczył Tot-Hermes. — Głoś słowo, diakonie, i niechaj ludzie poznają boską recepturę...

— Zupa! — powtórzył Cordle. — Tak, teraz już rozumiem, czysty krem z bielusieńkiej cebuli to nasza wizja nieba; ostry, pomarańczowy bełt z marchwi to nasze pojęcie piekła. To pasuje, to się układa w spójną całość.

— Om manipadme hum* — zaintonował Tot-Hermes.

— A co z zielonym groszkiem? Co z mięsem, na miłość boską?

— Nie nadużywaj metafory — skarcił go Tot-Hermes. — To się mści. Trzymaj się marchwi i cebuli. Pozwól, że ci zaproponuję drinka, specjalność domu.

— Ale przyprawy, co z przyprawami? — zaniepokoił się Cordle pociągając obficie z zardzewiałej manierki płyn w kolorze burgunda.

— Bracie, zadajesz pytania, które można odsłonić jedynie przed masonem trzynastego stopnia wtajemniczenia, z hemoroidami i w sandałach. Przykro mi. W każdym razie pamiętaj jedno: wszystko idzie do Gulaszu.

— Do Gulaszu — powtórzył Cordle oblizując się.

— A w szczególności trzymaj się marchewki i cebuli, to już, widzę, Całkiem nieźle skapowałeś.

— Marchewka i cebula — powtórzył Cordle.

— Tego się trzymaj — rzekł Tot-Hermes. — Jesteśmy w Corunnie możesz mnie gdzieś tutaj wysadzić.

Cordle zatrzymał swój wynajęty samochód na poboczu. Tot-Hermes wziął z tylnego siedzenia plecak i wysiadł.

— Dzięki za podwiezienie.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Dziękuję za wino. Co to za wino, mówiłeś?

— Vino de casa z niewielką domieszką esencji starego doktora Hammerfingera — ekstrakt

sproszkowanego „kwasu”, sporządzony przez gnrów w tajnych laboratoriach Uniwersytetu Kalifornijskiego w ramach przygotowań do wielkiego ogólnoeuropejskiego haju.

— Cokolwiek to było, było to coś — stwierdził filozoficznie Cordle. — Dla mnie czysty eliksir. Z czymś takim można sprzedawać antyloptom krawaty czy zmieniać świat z geoidy w stożek ścięty... Co ja takiego mówiłem?

— Nieważne. To wszystko jest w programie twojej podróży. Len się położyć na chwilę.

— Gdy bogowie rozkazują, śmiertelnicy muszą słuchać — powiedział Cordle jambicznie. I położył się na przednim siedzeniu samochodu Tot-Hermes pochylił się nad nim; broda lśniła mu złotem, głowę wieńczyły platany.

— Dobrze się czujesz?

— W życiu nie czułem się lepiej.

— Chcesz, żebym przy tobie został?

— Nie ma potrzeby. I tak mi pomogłeś ponad miarę.

— Miło mi to słyszeć, bracie, dobrze mówisz. Naprawdę dobrze czujesz? No, to pa.

I Tot-Hermes odmaszerował w zachód słońca. Cordle zamknął oczy i zaczął rozwiązywać najróżniejsze problemy, które niepokoiły najwyższych filozofów wszystkich czasów. Ze zdumieniem stwierdził, jak prosta jest złożoność.

Wreszcie zasnął. Obudził się po jakichś sześciu godzinach. Większość genialnie prostych rozwiązań uleciała mu z głowy. To niepojęte: jak można tak zgubić klucze do wszechświata? A jednak zgubił. Bez nadziei na odzyskanie. Raj został utracony raz na zawsze.

Nie zapomniał jednak o cebuli i marchewce, jak również o Gulaszu. Nie był to rodzaj olśnienia, który by wybrał, gdyby miał jakiś wybór; ale taki mu się trafił, więc go nie odrzucił. Cordle wiedział, być może instynktownie, że tam, gdzie w grę wchodzi olśnienie, trzeba brać, co dają.

Następnego dnia dojechał do Santander w strugach deszczu. Postanowił ponapisywać do wszystkich przyjaciół zabawne listy, a może nawet próbować szkicu z podróży. Ale to wymagało maszyny do pisania. *Conserje* w hotelu skierował go do wypożyczalni maszyn. Trafił na ekspedienta mówiącego bezbłędną angielszczyzną.

— Czy wypożyczacie maszyny na dni? — spytał Cordle.

— Dlaczego nie? — odparł ekspedient. Miał lśniące czarne włosy i wąski arystokratyczny nos.

— A ile za tę? — spytał Cordle wskazując trzydziestoletnią erikę portable.

— Siedemdziesiąt peset dziennie, czyli jeden dolar. Tyle wynosi opłata normalna.

— A tym razem ma być nienormalna?

— Oczywiście; pan jest cudzoziemcem w przejeździe. Dla pana sto osiemdziesiąt peset dziennie.

— W porządku — rzekł Cordle sięgając do portfela. — Biorę ją na dwa dni.

— Poproszę także o pana paszport i kaucję w wysokości pięćdziesięciu dolarów.

Cordle zaryzykował delikatny żart:

— Ale ja nie zamierzam się z nią żenić, ja mam zamiar na niej pisać.

Ekspedient wzruszył ramionami.

— Mój paszport zatrzymał *conserje* w hotelu. A prawo jazdy nie wystarczy?

— Oczywiście, że nie. Muszę mieć pana paszport na wypadek, gdyby pan się nie wywiązał.

— To po co panu i paszport, i kaucja? — zapytał Cordle. rozdrażniony i zakłopotany. — Przecież ta maszyna nie jest warta nawet dwudziestu dolarów.

— O. widzę, że jest pan ekspertem w dziedzinie handlu niemieckimi używanymi maszynami do pisania na rynku hiszpańskim.

— Nie, ale...

— To wobec tego może mi pan pozwoli pełnić moje obowiązki w sposób, który ja uważam za stosowny. Potrzebna mi będzie również informacja, do jakiego celu zamierza pan używać tej maszyny?

— Do jakiego celu?

— Naturalnie: do jakiego celu.

Była to jedna z tych nedorzecznych sytuacji, jakie się mogą zdarzyć się na obczyźnie dosłownie każdemu. Żądania ekspedienta były niezrozumiałe, a jego zachowanie obraźliwe. Cordle miał już krótko skinąć głową, odwrócić się na pięcie i wyjść, kiedy przypomniał sobie o cebuli i marchewce. Zobaczył Gulasz. I nagle zrozumiał, że może być dowolną jarzyną. Uśmiechnął się do ekspedienta z tryumfem i powiedział:

— Pan chce wiedzieć, do jakiego celu zamierzam użyć tej maszyny

— Zgadza się.

— Szczerze mówiąc, miałem zamiar wsadzić ją sobie w nos.

Ekspedient wybałuszył oczy.

— To zupełnie niezła metoda przemytu — ciągnął Cordle. — Zamierzałem także dać panu kradziony paszport i fałszywe pesety. A jak już się dostanę do Włoch, sprzedam maszynę za dziesięć tysięcy dolarów. Mediolan cierpi na głód maszyn do pisania. Mediolańczycy są w rozpaczliwej sytuacji, kupują wszystko.

— Szanowny pan — odparł ekspedient — raczy być niesympatyczny.

— Chciał pan powiedzieć: obrzydliwy. Co do maszyny, zmieniłem jednak zdanie. Przy okazji chciałbym pana pochwalić za pańską angielszczyznę.

— Uczyłem się pilnie — przyznał mężczyzna z nutą dumy w głosie.

— To widać. Pomijając pańskie niezbyt czyste „r”, mówi pan po angielsku jak wenecki gondolier z rozszczepem podniebienia. Ukłony dla szanownej rodzinie. Nie będę panu więcej przeszkadzał w rozdłubywaniu pryszczki.

Rozpamiętując później tę scenę Cordle uznał, że jego dziewicze wystąpienie w roli marchewki wypadło całkiem niezłe. To prawda, że ostatnie słowa były może nieco wymuszone i przeintelektualizowane, ale nuta złośliwości w głosie wydawała się przekonująca.

A najważniejszy był prosty, niewątpliwy fakt, że się udało. I teraz w zaciszu hotelowego pokoju zamiast się skręcać z wściekłości i pogardy dla siebie samego, zażywał uspokajającej świadomości, że to on kogoś innego zrobił w tę sytuację.

Udało się. Po prostu: przedzierzgnął się z cebuli w marchewkę!

Ale czy jego postawa była z etycznego punktu widzenia do przyjęcia! A może ekspedient musiał być taki antypatyczny — jako produkt swoich genetycznych i społecznych uwarunkowań, ofiara wychowania? Był antypatyczny raczej w sposób naturalny niż zamierzony...

Zaraz, chwileczkę. Cordle złapał się na tym, że jego myślenie jest typowo cebulowe, że nie potrafi traktować marchewki inaczej, jak tylko jako odchyłki od cebulizmu.

Ale teraz wiedział już, że cebula i marchew mają jednakie prawa do istnienia; że bez tego nie będzie Gulaszu.

I wiedział jednocześnie, że człowiek jest wolny i może wybierać, jaką chce być jarzyną. Mógłby nawet żyć jako zabawny zielony groszek czy napastliwy, ostry ząbek czosnku, chociaż to byłoby już może nadużywanie metafory. W każdym razie ma wybór pomiędzy marchwizmem a cebulizmem.

Trzeba by się poważnie nad tym zastanowić — pomyślał Cordle. Ale nigdy do tego nie doszło. Zamiast się bowiem zastanowić, poszedł, mimo deszczu, zwiedzać miasto, a następnie udał się w dalszą podróż.

Kolejny incydent zdarzył się w Nicei, w przytulnej restauracyjce na Avenue des Diabes Bleus, z obrusami w czerwonej kratkę i zupełnie niezrozumiałym menu wypisanym odręcznie czerwonym atramentem. Na sali było czterech kelnerów, w tym jeden do złudzenia przypominający Jeana-Paula Belmonda, łącznie z papierosem przyklejonym do dolnej wargi. Pozostali wyglądali na zwykłych bandziorów. Wśród gości było kilku Skandynawów, którzy spokojnie jedli swoje *cassoulet*, jeden stary Francuz w berecie i trzy brzydkie młode Angielki.

Kiedy Belmondo przywłókł się do stolika, Cordle, który mówił wyraźną, choć idiomatyczną francuszczyzną, poprosił o menu z potrawami dziesięciofrankowymi, które widział w oknie.

Kelner obrzucił go pogardliwym spojrzeniem przeznaczonym dla pozujących żebraków.

— Ach, z tamtej karty wszystko nam się już dziś skończyło — powiedział i wręczył Cordle'owi kartę zawierającą potrawy trzydziestofrankowe.

Cordle, w swoim poprzednim wcieleniu, zagryzłby zęby i zamówił. Albo wstałby i dygocząc z wściekłości opuścił restaurację wpadając po drodze na krzesło.

Ale teraz...

— Pan mnie chyba nie zrozumiał... — powiedział. — Zgodnie z francuskimi przepisami macie państwo obowiązek podawać potrawy umieszczone we wszystkich jadłospisach o cenach stałych, które wywieszacie w oknach wystawowych.

— *M'sieu* jest prawnikiem? — zapytał kelner bezczelnie wzięwszy się Pod boki.

— Nie. *Msieu* jest awanturnikiem — odparł Cordle ostrzegając tym samym, we własnym pojęciu lojalnie, kelnera.

— To wobec tego niech *m'sieu* awanturuje się do woli — rzekł kelner. Jego oczy przypominały szparki.

— W porządku — odpowiedział Cordle. I właśnie w tym momencie weszła do restauracji przypadkiem para starszych ludzi. Mężczyzna na sobie granatowy dwurzędowy garnitur tenis, kobieta kwiecistą organdy nową sukienkę. — Przepraszam, czy państwo są może Anglikami? — zawołał do nich Cordle.

Lekko zaskoczony mężczyzna ledwie dostrzegalnie skłonił głowę

— To wobec tego odradzam państwu jedzenie w tym lokalu. Jestem inspektorem zdrowia z ramienia UNESCO. Szef kuchni najwyraźniej nie mył rąk od Dnia Zwycięstwa. Nie robiliśmy jeszcze badań na dur brzuszny, ale mamy pewne podejrzenia. Jak tylko pojawi się mój zastępca z papierkiem lakmusowym...

W restauracji zaległa śmiertelna cisza.

— Myślę, że jajko na twardo będzie najbezpieczniejsze — doradził Cordle.

Prawdopodobnie mężczyzna mu nie uwierzył. Ale to nie miało znaczenia. Awantura została już wywołana.

— Chodź, Mildred — powiedział i pospiesznie opuścili restaurację.

— Wychodzi właśnie sześćdziesiąt franków plus pięć procent napiwku — oświadczył Cordle chłodno.

— Proszę natychmiast stąd wyjść! — warknął kelner.

— Kiedy mi się tu podoba — rzekł Cordle zakładając ręce. — Po mi się *ambiance*, atmosfera intymności...

— Tutaj nie wolno przebywać nie zamawiając nic do jedzenia.

— Ale ja zaraz coś zamówię. Z dziesięciofrankowego menu.

Kelnerzy popatrzyli po sobie, jednocześnie skinęli głowami i ruszyli groźną falangą. Cordle zwrócił się do pozostałych gości podniesionym głosem:

— Wzywam wszystkich na świadków! Ci mężczyźni zamierzają mnie zaatakować, w sile czterech na jednego, wbrew francuskiemu prawu i ogólnoludzkiej etyce, i to tylko dlatego, że chcę zamówić danie z dziesięciofrankowego menu oszukańczo podanego do publicznej wiadomości.

Było to przemówienie długie, ale najwyraźniej czas na krasomówstwa był odpowiedni. Cordle powtórzył je po angielsku.

Młode Angielki zatkanęły. Stary Francuz nie przerywał jedzenia zupy. Skandynawowie ponuro pokiwali głowami i zaczęli zdejmować marynarki.

Kelnerzy odbyli następną naradę. Ten, który przypominał Belmonda, powiedział:

— *M'sieu*, pan nas zmusza do wezwania policji.

— To mi tylko oszczędzi fatygi — rzekł Cordle.

— Chyba *m'sieu* nie ma ochoty spędzić urlopu w sądzie?

— *M'sieu* w ten właśnie sposób spędza większość swoich urlopów.

Kelnerzy znów się zaczęli naradzać, w wyniku czego Belmondo podsunął się na palcach z kartą trzydziestofrankową.

— *Prix fixe* będzie dziesięć franków, skoro *m'sieur* nie może sobie pozwolić na więcej.

Cordle puścił to mimo uszu.

— Proszę mi podać zupę cebulową, zieloną sałatę i *boeufbourguignon*.

Kelner poszedł złożyć zamówienie. Czekając Cordle niezbyt głośno podśpiewywał sobie „Wallzing Matilda”. Podejrzewał, że to przyspieszy obsługę. Danie zjawilo się, kiedy po raz drugi doszedł do „Nigdy nie złapiesz mnie żywego — powiedział”. Przyciągnął do siebie wazę z zupą i uniósł łyżkę.

Wszyscy wstrzymali oddech. Ani jeden gość nie opuścił restauracji. Ale Cordle był dobrze przygotowany. Nachylił się z łyżką gotową do zaczerpnięcia zupy i delikatnie zaciągnął się zapachem. Zapadła grobowa cisza.

— Czegoś tu brakuje — oświadczył głośno. Marszcząc czoło wlał zupę cebulową do *boeufbourguignon*. Znów powąchał, potrząsnął głową i wrzucił do tego pół bochenka chleba w kromkach. Znów powąchał i dodał do tego sałatę i całą zawartość solniczki. Ściągnął usta.

— Nie, to się po prostu nie nadaje.

Wywalił zawartość wazy na stół. Można było ten akt porównać, powiedzmy, z oblaniem Mony Lisy gencją. Cała Francja i większa część zachodniej Szwajcarii znalazła się w stanie szoku.

Niespiesznie, trzymając wzrokiem zmartwiałych kelnerów, Cordle wstał i rzucił na to rozpaprane świństwo dziesięć franków. Podeszedł do drzwi, odwrócił się i powiedział”.

— Wyrazy szacunku dla szefa kuchni, który powinien się raczej zajmować mieszaniem cementu. A to, *mon vieux*, dla ciebie.

Cisnął zmiętą lnianą serwetkę na podłogę.

Jak matador po serii wspaniałych szarż odwraca się z pogardą od byka i odchodzi, tak Cordle wyszedł z restauracji. Z niezrozumiałych powodów kelnerzy nie rzucili się za nim, nie zastrzelili go i jego trupa nie powiesili na najbliższej latarni. Tak więc Cordle oddalił się na odległość kilku przecznic skręcając na chybił trafił to w prawo, to w lewo. Doszedł do Promenadę des Anglais i usiadł na ławce. Cały dygotał i miał koszulę przepoconą na wylot.

— Udało się wreszcie! — powiedział. — Udało się! Byłem bezgranicznie podły i uszło mi to na sucho.

Teraz już wiedział, dlaczego marchewki tak się zachowują. Boże Święty, co za radość, co za niewysłowiona rozkosz!

Następnie Cordle wrócił do swojej zwykłej łagodnej osobowości gładko i bez żalu. I taki pozostał aż do drugiego dnia swego pobytu w Rzymie.

Jechał wynajętym samochodem. Wraz z siedmioma innymi kierowcami czekał właśnie pod światłami na Corso Vittorio Emanuele II. Za nimi ze dwadzieścia samochodów. Wszyscy kierowcy gazowali silniki, pochyleni nad kierownicami, z przymrużonymi oczyma marząc o Le Mans. Wszydły poza Cordle'em, który napawał się gigantyczną architekturą śródmieścia Rzymu. Chorągiewka poszła w dół! Kierowcy wcisnęli gaz do dechy usiłując wprowadzić w ruch koła swoich mało zrywnych fiatów, zdzierając sprzęgła i nerwy, ale robiąc to wszystko z *eclat* i *brio*. Wszyscy, z wyjątkiem Cordle'a, jedyne chyba w Rzymie człowieka, który nie zamierzał wygrać żadnego wyścigu ani zdążyć na żadne spotkanie.

Bez nadmiernego pośpiechu czy szczególnej zwłoki wcisnął sprzęgło i wrzucił bieg. Już stracił prawie dwie sekundy — rzecz nie do pomyślenia w Monza czy Monte Carlo.

Kierowca za nim trąbił nieprzytomnie.

Cordle uśmiechnął się do siebie — był to tajemniczy, nieprzyjemni uśmiech. Wrzucił luz, zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł z samochodu. Wolno podszedł do klaksoniarza, który zrobił się biały jak ściana i zaczął grzebać pod siedzeniem najwyraźniej w poszukiwaniu łomu.

— Tak? — zagadnął Cordle po francusku. — Czy coś się stało?

— Nie, nie, nie — odparł mężczyzna, również po francusku, popełniając tym samym pierwszy błąd. — Chciałem po prostu, żeby pan ruszył, odjechał.

— Kiedy ja to właśnie robiłem — podkreślił Cordle.

— No, to wszystko w porządku!

— Nie, nie wszystko jest w porządku — odparł Cordle. — Należy mi się chyba jakieś lepsze wyjaśnienie, dlaczego pan na mnie trąbi.

Klaksoniarz, mediolański biznesmen na urlopie, z żoną i czwórką dzieci, odpowiedział pochopnie:

— Drogi panie, pan był po prostu zbyt powolny, pan nas wszystkich wstrzymywał.

— Powolny? — rzekł Cordle. — Przecież pan zaczął trąbić w dwie sekundy po zmianie światła. Dwie sekundy i już „powolny”?

— To trwało znacznie dłużej — odpowiedział słabym głosem mężczyzna.

Korek sięgał już teraz w kierunku południowym aż do Neapolu. Zebrał się dziesięciotysięczny tłum. Jednostki *carabinieri* w Viterbo i Genui zostały postawione w stan pogotowia.

— To nieprawda — zaprotestował Cordle. — Mam świadków — Wskazał gestem tłum, który w odpowiedzi pomachał rękami. — Przedstawię świadków w sądzie. Musi pan sobie zdawać sprawę, że używając klaksonu w obrębie miasta Rzymu, i to bez nagłej potrzeby, popełnia pan wykroczenie.

Mediolański biznesmen popatrzył na tłum, który tymczasem urósł do jakichś pięćdziesięciu tysięcy.

Boże — pomyślał — ześlij znów Gotów, żeby starli z powierzchni ziemi tych gapiących się rzymian! Żeby się ziemia rozstała i pochłonęła tego zwariowanego Francuza! Żeby tak on, Giancarlo Morelli, miał teraz w ręku tępą łyżkę, którą mógłby sobie otworzyć żyły.

Odrzutowce Szóstej Floty zagrzmiały w górze — leciały uniemożliwić z dawna oczekiwany zamach stanu.

Własna żona darła się na mediolańczyka; dziś w nocy wytnie jej niewierne serce i odeśle jej matce.

Co robić? W Mediolanie miałby już głowę tego Francuza na półmisku. Ale to był Rzym, miasto południa, miejsce niezbadane, pełne niespodzianek i niebezpieczeństw. No i z prawnego punktu widzenia prawdopodobnie nie ma racji, co go stawia w jeszcze trudniejszej sytuacji w tym sporze.

— No więc dobrze — powiedział. — Może istotnie użycie klaksonu było niepotrzebne, mimo prowokacji.

— Domagam się prawdziwych przeprosin — nalegał Cordle.

Na wschodzie rozległ się grzmot: tysiące radzieckich czołgów w szyku bojowym ciągnęły przez równiny Węgier, by odeprzeć dawno oczekiwany atak sił NATO na Transylwanię. W Foggii, Brindisi i Bari odcięto dopływ wody. Szwajcarzy zamknęli granice, gotowi w każdej chwili powysadzać przejścia.

— W porządku, przepraszam! — wrzasnął mediolański biznesmen. — Przepraszam, że pana sprowokowałem, a jeszcze bardziej przepraszam za to, że się urodziłem! I jeszcze raz przepraszam. Czy już teraz zejdzie mi pan z drogi i pozwoli w spokoju dostać ataku serca?!

— Przyjmuję pańskie przeprosiny — rzekł Cordle. — Zgoda, tak? — Odszedł powoli do swojego samochodu nucąc: „Zdmuchnij tego człowieka” i ku aplauzowi milionowego tłumu odjechał.

I znów wojna wisiała na włosku.

Cordle dojechał do Łuku Tytusa, zaparkował samochód i przy akompaniamencie tysiąca trąb przeszedł pod łukiem. Zasłużył na swój tryumf stopniu nie mniejszym niż którykolwiek cesarz.

Boże — napawał się — ależ ja byłem ohydny.

W Anglii Cordle nadepnął młodej kobiecie na nogę akurat w Bramie Zdrajców w Tower. Należało to potraktować jako pewne przesłanie. Młoda dama, imieniem Mavis, pochodziła z Short Hills w stanie New Jersey i miała długie, proste czarne włosy. Była szczupła, ładna, inteligentna, energiczna i nie bez poczucia humoru. Miała też pewne drobne wady, ale one nie odgrywają tu żadnej roli. Pozwoliła Cordle’owi postawić sobie kawę. Resztę tygodnia spędzili razem.

Chyba zawróciła mi w głowie — rzekł do siebie Cordle siódmego dnia. I natychmiast zrozumiał,

że to za mało powiedziane. Był bowiem gwałtownie i beznadziejnie zakochany.

A co czuła Mavis? Nie można powiedzieć, żeby go nie lubiła. Kto wie czy nie odwzajemni jego uczucia.

W tym momencie Cordle doznał olśnienia. Uświadomił sobie, że tydzień temu nadepnął na nogę swojej przyszłej żonie i matce swoich dwojga dzieci, które urodzą się i zostaną wychowane w dwupoziomowym domku z nadmuchiwanymi meblami w Summit w New Jersey albo w Millburn.

Ktoś by pomyślał, że to banalne i nieatrakcyjne, ale dla Cordle'a, który nie miał ambicji kosmopolitycznych, był to szczyt marzeń. Ostatecznie nie wszyscy z nas mogą mieszkać na Cap Ferrat. A co dziwniejsze nit wszyscy z nas chcą.

Tego dnia Cordle i Mavis udali się do Marshall Gordon Residence przy Belgravii, żeby podziwiać miniatury bizantyjskie. Mavis miała fioła na punkcie miniatur bizantyjskich, który w tym czasie wydawał się niegroźny. Kolekcja była prywatna, ale Mavis załatwiła zaproszenia przez kierownika miejscowej placówki Avis, który zrobił, co było w jego mocy.

Przyszli do Gordon Residence, wspaniałej budowli w stylu regencji przy Huddlestone Mews. Zadzwonili. Otworzył im lokaj w pełnym wieczorowym stroju. Pokazali zaproszenia. Spojrzenie i uniesiona brew lokaja dały im poznać, że są to raczej zaproszenia drugiej kategorii, rozdawane natrętom z kręgu pozerów korzystających ze zniżkowych biletów lotniczych, niż grawerowane eleganckie zaproszenia, przeznaczone dla Picassa, Jackie Onassis, Sugara Raya Robinsona, Normana Mailera, Charlesa Gorena i innych możnych tego świata.

Lokaj powiedział:

— No tak... — i te dwa słowa nie wróżyły nic dobrego. Twarz mu' drgnęła; wyglądał jak człowiek, który nagle zobaczył Tamerlana i. Złotą Orde.

— Miniatury — przypomniał mu Cordle.

— Tak, oczywiście... obawiam się jednak, że wstęp do Gordon Residence bez fraka i muszki jest niemożliwy.

Był to morderczo upalny sierpniowy dzień. Cordle miał na sobie sportową koszulę. Powiedział:

— Czy ja dobrze pana usłyszałem? Bez fraka i muszki?

— Takie są przepisy, proszę pana — odparł lokaj.

— Czy nie mógłby pan tym razem zrobić wyjątku? — spytała Mavis.

Lokaj potrząsnął głową.

— Musimy przestrzegać przepisów, proszę pani, w przeciwnym razie... — Wulgarnie słowo nie zostało powiedziane, ale zawisło w powietrzu jak chromowane pierdnięcie.

— Oczywiście — rzekł Cordle miłym tonem. — W przeciwnym razie. A więc frak i muszka, tak? Myślę, że to się da zrobić.

Mavis położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała:

— Howard, idziemy. Przyjdziemy innym razem.

— Nonsens, kochanie. Jeśli tylko pożyczysz mi swój płaszcz... Zdjął jej z ramion biały nieprzemakalny płaszcz i włożył go rozpruwając w szwie.

— No, to idziemy, bracie! — powiedział żwawo do lokaja. — To powinno wystarczyć, *n'est-ce pas*!

— Nie sędzę — odparł lokaj głosem na tyle zimnym, że mógłby zwarzyć karczochy. — W każdym razie pozostaje jeszcze sprawa muszki.

Cordle tylko na to czekał. Wyszarpnął z kieszeni przepoconą chustkę do nosa i zawiązał ją sobie na szyi.

— Odpowiada panu? — spytał szyderczo naśladując Petera Lorre'a* w roli pana Moto, którą kto jak kto, ale on potrafił docenić.

— Howard! Idziemy!

Cordle czekał uśmiechając się nieustępliwie do lokaja, który chyba po raz pierwszy w życiu pocił się tak obficie.

— Obawiam się, że to jest niezupełnie...

— Co jest niezupełnie?

— Niezupełnie to, co się rozumie przez frak i muszkę.

— Czy chce pan powiedzieć — rzekł Cordle głośno, nieprzyjemnym tonem — że poza funkcją odzwiernego pełni pan tutaj jeszcze rolę arbitra męskiej elegancji?

— Naturalnie, że nie, ale to zaimprovizowane przebranie...

— A co to ma do rzeczy, że ono jest „zaimprovizowane”? Czy ludzie mają się przygotowywać na trzy dni naprzód, żeby spełnić pana wymagania?

— Ma pan na sobie damski płaszcz nieprzemakalny i brudną chustkę do nosa — stwierdził sztywno lokaj. — Myślę, że nic tu więcej nie trzeba dodawać.

I zabrał się do zamykania drzwi.

— Jeśli to zrobisz, mój kochany — powiedział Cordle — będziesz miał sprawę o zniesławienie i

oszczerstwo. A to są tutaj poważne zarzuty. I mam na to świadków.

Nie licząc Mavis, zebrał się niewielki i nieśmiały, ale ciekawy tłumek.

— To się robi po prostu śmieszne — powiedział lokaj w otwartych na wpół drzwiach, grając na zwłokę.

— Parę miesięcy w mamrze jeszcze bardziej cię rozśmieszy — odparował Cordle. — Zamierzam podać pana do sądu...

— Howard! — wykrzyknęła Mavis.

Strząsnął jej rękę, przeszył lokaja morderczym spojrzeniem i powiedział:

— Jestem Meksykaninem, chociaż moja doskonała znajomość języka angielskiego mogła pana zwiść. W moim kraju człowiek prędzej poderżnie sobie gardło, niż puści płazem taką zniewagę. Damski płaszcz, powie pan? *Hombre*, kiedy ja wkładam płaszcz, to on się automatycznie męski. Czy też może sugeruje pan, że jestem *maricón*, jak wy to nazywacie, homoseksualista?

Tłum, który stawał się coraz mniej skromny, zamruczał w wyrazie aprobaty. Nikt nie lubi lokaja poza jego panem.

— Nic takiego nie miałem na myśli — powiedział lokaj słabo.

— A więc czy jest to strój męski?

— Jak pan sobie życzy, sir.

— To mi nie wystarcza! Insynuacja pozostała. Idę po policjanta.

— Chwileczkę, nie działajmy pochopnie — powiedział lokaj, blady jak ściana i trzęsły mu się ręce. — Pańskie okrycie jest frakiem, sir.

— A co z moją muszką?

Lokaj dokonał ostatecznego wysiłku, by powstrzymać Zapatę i jego krwiożerczych peonów.

— No cóż, chustka do nosa jest w sposób możliwy do wykazania...

— To co wkładam na szyję — rzekł zimno Cordle — staje się dokładnie tym, czym ma być. A gdybym tak włożył na szyję kawałek wzorzystego jedwabiu, to czy nazwałby go pan damską bielizną? Płótno jest odpowiednim materiałem na muszkę, *verdad*? Funkcja określa terminologię, zgadza się pan? Jeśli pojedę do pracy na krowie, to chyba nikt nie powie, że jadę na befsztyku? Czy widzi pan w moim rozumowaniu jakiś błąd?

— Obawiam się, że go w pełni nie rozumiem...

— To czy może je pan kwestionować?

Tłum, który do tej pory pomrukiem wyrażał niepokój, teraz dał wyraz swojej aprobacie.

— Proszę pana — wykrzyknął nieszczęsny lokaj — ja pana błagam...

— Bo jeśli nie — rzekł Cordle z satysfakcją — to mam frak, muszkę i zaporoszenie. Może pan wobec tego będzie taki uprzejmy i pokaże nam te bizantyjskie miniatury?

Lokaj szeroko otworzył drzwi przed Pancho Villą i jego obszarpanymi horrdami. Ostatni bastion cywilizacji padł w niespełna godzinę. Nad brzegami Tamizy wyły wilki, bosonoga armia Morelos trzymała konie w British Museum; dla Europy zaczęła się długa noc.

Cordle i Mavis w milczeniu oglądali kolekcję. Nie zamienili słowa aż do chwili, kiedy znaleźli się sami i szli wolno przez Regent's Park.

— Chciałem ci coś powiedzieć, Mavis — zaczął Cordle.

— To ja ci coś chciałam powiedzieć — odparła Mavis. — Byłeś ohydny! Nie do wiary. Byłeś... nie mogę znaleźć słów dostatecznie obrzydliwych, żeby oddać, jaki byłeś. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że jesteś jednym z tych sadystycznych sukinsynów, którzy znajdują przyjemność w upokarzaniu innych!

— Ale, Mavis, słyszałaś, co on mi powiedział, słyszałaś, w jaki sposób...

— To był głupi, stary fanatyk, myślałam, że przynajmniej ty jesteś inny.

— Ale on powiedział...

— To nieważne. Fakt pozostaje faktem, że się świetnie bawiłeś.

— Zgoda. Może i masz rację — odrzekł Cordle. — Ale ja ci to mogę wytłumaczyć.

— Nie, nie mnie. Mnie nie możesz. Nigdy. I proszę cię, Howard, daj mi święty spokój, raz na zawsze. Mówię poważnie.

Przyszła matka dwojga jego dzieci zaczęła się od niego oddalać — zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Cordle pospieszył za nią.

— Mavis!

— Bo zawołam policjanta, Howard, daję słowo, że zawołam! Zostaw mnie w spokoju!

— Mavis, ja cię kocham!

Musiała go słyszeć, ale nie zatrzymała się. Była uroczą, śliczną dziewczyną — a zakazem nieprzejednaną i niezmienną cebulą.

Cordle nigdy nie zdołał wyjaśnić Mavis, jak to jest z Gulaszem i że trzeba doświadczyć jakiegoś zachowania, zanim sieje potępi. Chwile mistycznego olśnienia rzadko kiedy dają się wytłumaczyć. Udało mu się jednak przekonać, że przeżył krótki psychologiczny epizod, unikalny, bezprecedensowy i — z nią — nic do powtórzenia.

Są dziś małżeństwem, mają córkę i syna, żyją w dwupoziomowym mieszkaniu w Plainfield w New Jersey i są całkiem szczęśliwi. Cordle'em w sposób widoczny pomiatają domokrażcy, zbieracze funduszy różnej maści, kelnerzy i inni przedstawiciele władzy. Ale jest różnica.

Cordle bardzo się pilnuje, żeby zawsze wyjeżdżać na samotne ściśle zaplanowane urlopy. W ubiegłym roku zrobił trochę szumu w Honolulu. W tym roku wybiera się do Buenos Aires.

Przełożyła Zofia Uhrynowsku–Hanasz

The Petrified World

Świat stanął w miejscu

Laniganowi znów śniło się ta samo; zdołał się obudzić z gardłowym okrzykiem. Poderwał się, usiadł na łóżku i toczył wzrokiem dokoła po fioletowych ciemnościach. Zęby miał zaciśnięte, a zwarte usta rozciągnęły się jak w upiornym uśmiechu. Poczuł, że żona, Estelle, porusza się i siada obok niego. Nie spojrział na nią. Wciąż uwikłany w sen, czekał na namacalne dowody istnienia świata.

Krzesło poszybowało z wolna w poprzek pola widzenia i z cichym puknięciem trafiło w ścianę. Twarz Lanigana nieco odtajała. Potem na ramieniu poczuł dłoń Estelle — dotknięcie z zamierzenia kojące, paliło jednak jak kłamstwo.

— Masz — odezwała się żona. — Wypij to.

— Nie chcę — odparł Lanigan. — Już w porządku.

— Tak czy owak, wypij.

— Nie, naprawdę. Naprawdę już w porządku.

Chwilowo był całkiem wolny od władzy koszmaru. Był znowu sobą, a świat był znowu dawnym, swojskim światem. Lanigan bardzo to sobie cenił, nie chciał rozstawać się z tym doznaniem, nawet za cenę ulgi spowodowanej środkiem uspokajającym.

— Jak chcesz — powiedziała Estelle. (Nie chce mnie zdenerwować. Przerazam ją. Przerazam sam siebie.)

— Która to godzina, kochanie? — zapytała.

Lanigan spojrział na zegarek.

— Czy to był znowu ten sam sen? — zapytała Estelle.

— Tak, dokładnie ten sam... Wolałbym o nim nie mówić.

— Szósta, piętnaście. — Kiedy to mówił, wskazówki wykonały gwałtowny skok do przodu — Nie, za pięć siódma.

— Pośpisz jeszcze?

— Chyba nie — odparł Lanigan. Chyba wstanę.

— Jak chcesz, kotku. — Estelle ziewnęła, zamknęła oczy, zaraz znowu je otworzyła i spytała : — Kotku, nie sądzisz, że byłoby dobrze zadzwonić do...

— Jestem z nim umówiony na dwunastą dziesiątą — powiedział Lanigan.

— To świetnie — ucieszyła się Estelle. Znów zamknęła oczy. Lanigan patrzył, jak ogarnia ją sen. Jej rudawe włosy przybrały kolor bladobłękitny, westchnęła głęboko, raz jeden.

Lanigan wstał i ubrał się. Na ogół bywał postawnym mężczyzną, przeważnie łatwym do rozpoznania. Miał zdumiewająco wyraźne rysy. I gęsią skórę na szyi. Poza tym nie było w nim nic szczególnego, z wyjątkiem tego, że cierpiał na powracający sen, który go doprowadzał do obłądu.

Kilka następnych godzin spędził na frontowym ganku, obserwując narodziny gwiazd na porannym niebie.

Później udał się na przechadzkę. Pech chciał, że o głupie dwie ulice od domu natknął się na George'a Torsteina. Parę miesięcy wcześniej, w chwili nieostrożności, powiedział Torsteinowi o swoim śnie. Torstein był jowialnym bufonem, zagorzałym wyznawcą samokontroli, dyscypliny, pragmatyzmu, zdrowego rozsądku i innych pozbawionych wdzięku cnót. Jego twardogłowa postawa „nie pleć bzdur” na chwilę przyniosła Laniganowi ulgę. Teraz jednak działała jak papier ścierny. Ludzie pokroju Torsteina byli niewątpliwą solą tej ziemi i ostoją kraju, ale dla Lanigana zmagającego się z przegrywającym z nieuchwytnym, Torstein był już nie tylko irytujący był nieznośny.

— Czołem, Tom, jak się mamy? — powitał go Torstein.

— Doskonale — odparł Lanigan. Trudno lepiej.

Uprzejmie skinął głową i zaczął się oddalać pod topniejącym zielonym niebem. Ale Torsteinowi nie tak łatwo było uciec.

— Wiesz, Tom, dużo myślałem o twoich kłopotach. Poważnie się o ciebie martwię.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony — rzekł Lanigan. — Ale nie powinieneś zaprzętać sobie głowy...

— Robię to bo tak chcę — przerwał mu Torstein, wypowiadając czystą jak łza prawdę: — Interesują mnie inni, Tom. Zawsze mnie interesowali, od dziecka. A ty od dawna jesteś moim przyjacielem i sąsiadem.

— Nie da się ukryć — przyznał bez entuzjazmu Lanigan. (Kiedy człowiek potrzebuje pomocy, najgorzej jest ją przyjmować.)

— Wiesz, Tom, uważam, że nic by ci tak dobrze nie zrobiło jak mały urlop. Torstein na wszystko miał proste lekarstwo. Ponieważ praktykował leczenie dusz bez licencji, zawsze pilnie uważał, żeby zalecać środki nie wymagające recepty.

— W tym miesiącu naprawdę nie stać mnie na urlop — powiedział Lanigan. (Niebo miało teraz odcienie ochry i różu; trzy sosny uschły na szczapy; wiekowy dąb przeistoczył się w młody kaktus.)

Torstein roześmiał się kordialnie. — Stary, w tym miesiącu nie stać cię na to, żeby nie brać urlopu! Pomyślałeś o tym?

— Nie, chyba nie.

— No to pomyśl! Jesteś przemęczony, spięty, istny kłębek nerwów. Za dużo pracujesz!

— Cały ubiegły tydzień przesiedziałem na zwolnieniu — powiedział Lanigan. Zerknął na zegarek. Złota oprawka zmieniła się w ołów, ale czas był chyba dokładny. Od początku rozmowy minęły prawie dwie godziny.

— To za mało — perorował Torstein. — Siedziałeś w mieście, dwa kroki od roboty. Potrzebujesz kontaktu z naturą, Tom. Kiedy ostatni raz spałeś pod namiotem?

— Pod namiotem? Chyba nigdy nie spałem pod namiotem.

— Aaa, tu cię mam! Stary, musisz na nowo nawiązać kontakt z rzeczywistością. Nie ulice, nie domy, ale góry, rzeki.

Lanigan znowu spojrzął na zegarek i z ulgą stwierdził, że jest po dawnemu złoty. Ucieszył się: bądź co bądź dał za niego sześćdziesiąt dolarów.

— Drzewa, jeziora — ciągnął swój wywód Torstein. — Dotyk trawy rosnącej ci pod stopami, widok wysokich czarnych gór maszerujących na tle złocistego nieba...

Lanigan pokręcił głową.

— Byłem na wsi, George. To mi nic nie daje.

Torstein nie dawał za wygraną.

— Musisz uciec od sztuczności.

— Wszystko jest równie sztuczne — oświadczył Lanigan. — Drzewo czy dom — co za różnica?

— Domy tworzą ludzie — zauważył pobożnie Torstein. — Drzewa tworzy Bóg!

Lanigan co do obu stwierdzeń miał swoje wątpliwości, ale ani myślał zdradzać je Torsteinowi.

— Może i masz rację — powiedział. — Pomyślę o tym, co mi powiedziałaś.

— Pomyśl, koniecznie — rzekł Torstein. — Tak się składa, że znam jedno idealne miejsce. W Maine, Tom, zaraz koło tego jeziora...

Torstein celował w nieprecyzyjnych opisach. Na szczęście dla Lanigana coś się zdarzyło. Po drugiej stronie ulicy dom stanął w płomieniach.

— O cholera! — powiedział Lanigan. — Czyj to dom?

— Makelby'ego — odparł Torstein. Już trzeci raz się u niego pali w tym miesiącu.

— Może trzeba by kogoś zawiadomić?

— Racja, ja to zrobię — zaoferował się natychmiast Torstein. — Pamiętaj o tym miejscu w Maine, Tom.

Torstein ruszył wzywać pomoc i wtedy zdarzyło się coś śmiesznego. Ledwie zszedł z chodnika, beton stopniał pod jego lewą stopą. Zaskoczony Torstein wdepnął w ciasto aż po kostkę. Szarpnął się i runął na jezdnię, głową w przód.

Tom pospieszył mu z pomocą zanim beton zastygł z powrotem.

— Nic ci się nie stało? — zapytał.

— Kostkę sobie skrzyłem, cholera — burknął Torstein. — Nie szkodzi, mogę iść.

Pokuśtykał złożyć meldunek o pożarze. Lanigan postać jeszcze chwilę, ciekaw, co będzie. Doszedł do wniosku, że przyczyną ognia było samozapalenie. Po kilku minutach, zgodnie z jego przewidywaniami, nastąpiło samowygaszenie.

Nie należy się cieszyć z cudzego nieszczęścia, ale Lanigan nie mógł powstrzymać się od śmiechu na wspomnienie skręconej kostki Torsteina. Nawet nagła powódź na Main Street nie popsuła mu humoru. Radosnym uśmiechem powitał przelatujący niebem pojazd w kształcie parowca z żółtymi kominami.

Nagle przypomniał mu się sen i na nowo wpadł w panikę. Pośpiesznie udał się do lekarza.

Gabinet doktora Sampsona był w tym tygodniu ciasny i ciemny. Zniszczona szara kozetka zniknęła, jej miejsce zajęły dwa fotele w stylu Ludwika V i hamak. Wyświechtany dywan wreszcie się pocerował, a na śliwkowym suficie widniał ślad po papierosie. Portret Andrettiego tkwił jednak na dawnym miejscu na ścianie, a ogromna, fantazyjnego kształtu popielniczka, lśniła nienaganną czystością.

Wewnętrzne drzwi otworzyły się i wychynęła spoza nich głowa doktora Sampsona.

— Siemasz — powiedziała głowa. Chwileczkę. — Po czym schowała się. Sampson nie rzucał słów na wiatr.

Cokolwiek miał do zrobienia, zrobił to istotnie, według zegarka Lanigana, w trzy sekundy. Minęła jeszcze jedna sekunda i Lanigan leżał wyciągnięty na skórzanej kozetce i z czystą papierową serwetką pod głową. Doktor Sampson zaś pytał:

— No i jak tam, Tom? Jak leci?

— Bez zmian. Gorzej.

— Sen?

Lanigan kiwnął głową.

— Przelećmy go sobie jeszcze raz.

— Wolałbym nie.

— Boisz się?

— Boję się bardziej niż zwykle.

— Nawet w tej chwili?

— Tak. Zwłaszcza w tej chwili. — Zapadł moment terapeutycznej ciszy. Wreszcie odezwał się doktor Sampson:

— Mówiłeś mi już kiedyś, że boisz się tego snu, ale nigdy nie powiedziałeś, dlaczego aż tak się boisz.

— No... Bo to takie głupie. — Sampson miał minę poważną, skupioną, opanowaną; minę człowieka, dla którego nie ma rzeczy głupich, człowieka, który z natury swojej w niczym nie dostrzega głupoty. Może i była to poza, ale na Lanigana podziałała ona uspokajająco.

— Dobrze, powiem ci — oświadczył nagle. I zamilkł.

— Słucham — zachęcił go Sampson. — Wszystko dlatego, że wydaje mi się, iż jakimś sposobem, którego sam nie rozumiem...

— Tak?...

— Że jakimś sposobem świat mojego snu staje się światem realnym. — Znowu przerwał, ale zaraz pospiesznie podjął myśl. — I że pewnego dnia obudzę się w tamtym świecie. A wtedy tamten świat stanie się światem rzeczywistym, a ten świat będzie snem.

Obrócił się, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarło na doktorze jego szalone wyznanie. Nawet jeżeli go zaniepokoiło, to nic nie dał po sobie poznać. Spokojnie zapalał fajkę dymiącym opuszką środkowego palca lewej ręki. Zdmuchnął palec i powiedział:

— Tak, słucham dalej.

— Dalej? To wszystko, nie ma dalej! — Na fioletowym dywanie Sampsona pojawiła się plamka wielkości ćwierćdolarówki: Ciemniała, gęstniała, wyrasta w małe drzewko owocowe. Sampson zerwał fioletowy strąk, powąchał go i położył na biurku. Karcąco, ze smutkiem spojrzął na Lanigana.

— Opowiadałeś mi już o swoim świecie snu, Tom.

Lanigan kiwnął głową.

— Przedyskutowaliśmy go, znaleźliśmy źródła, przeanalizowaliśmy znaczenie. W ciągu minionych kilku miesięcy ustaliliśmy, zdaje mi się, dlaczego odczuwasz potrzebę okaleczania się tym koszmarnym nocnym lękiem.

Lanigan znów kiwnął rozpaczliwe.

— A jednak nie trzymasz się wniosków — skarcił go Sampson. — Za każdym razem zapominasz, że świat twojego snu to tylko sen, i nic poza tym, zbudowany wedle arbitralnych praw snu, które sam stworzyłeś dla zaspokojenia własnych potrzeb psychicznych.

— Chciałbym w to wierzyć — rzekł Lanigan. — Najgorsze, że ten mój świat snu jest tak piekielnie racjonalny.

— Nieprawda — odrzekł Sampson. To tylko twoja iluzja jest hermetyczna, zamknięta i samoistna. Działania człowieka opierają się na pewnych założeniach dotyczących natury świata. Jeżeli się przyjmie założenia, każde zachowanie będzie od początku do końca racjonalne. Za to zmiana tych założeń, fundamentalnych aksjomatów, jest prawie nie do przeprowadzenia. Jak na przykład udowodnisz facetowi, że nie kieruje nim ukryty nadajnik, który tylko dla niego jest słyszalny?

— Rozumiem — wymamrotał Lanigan. — I tak właśnie jest ze mną?

— Tak, Tom. W rezultacie tak właśnie jest z tobą. Chcesz, żebym ja ci udowodnił, że ten świat jest realny, a świat twojego snu jest fałszywy. Obiecujesz rezygnację z iluzji pod warunkiem, że ci dostarczy niezbędnych dowodów.

— Tak, właśnie tak! — ucieszył się Lanigan.

— Tylko że widzisz, Tom, ja nie potrafię ich dostarczyć — ciągnął Sampson. — Świat jest z natury oczywisty, ale nie do udowodnienia.

Lanigan chwilę się zastanawiał, po czym rzekł:

— Ale przecież, doktorze, nie jestem aż tak chory, jak ten facet od ukrytego nadajnika, prawda?

— Nie, nie jesteś. Jesteś bardziej myślący, bardziej racjonalny. Wątpisz w realność świata, ale, na szczęście, wątpisz również w wiarygodność swojej iluzji.

— No to spróbujmy — poprosił Lanigan. — Rozumiem twój problem, ale przysięgam, uwierzę we wszystko, w co tylko siłą woli zdołam uwierzyć.

— Tak naprawdę to już nie jest mój teren — rzekł Sampson. — Tu by trzeba metafizyka. Boję się, że nie mam wprawy...

— Spróbuj — błagał Lanigan.

— No dobra, spróbujemy. — Czoło Sampsona zmarszczyło się i spochmurniało pod wpływem koncentracji. Po chwili powiedział: — Wydaje mi się, że świat poznajemy poprzez zmysły, a więc w ostatecznej analizie musimy zawierzyć świadectwu zmysłów.

Lanigan pokiwał głową; lekarz mówił dalej.

— A zatem, wiemy, że dana rzecz istnieje, ponieważ nasze zmysły mówią nam, że ona istnieje. Jak potwierdzamy adekwatność własnych obserwacji? Przez porównanie z wrażeniami zmysłowymi innych ludzi. Jeżeli zmysły innych ludzi zgadzają się co do istnienia danej rzeczy, oznacza to, że nasze własne zmysły nie kłamią.

Lanigan zastanowił się nad tym i powiedział:

— Czyli że świat realny jest tym, czym wydaje się większości ludzi. — Sampson skrzywił się.

— Uprzedzałem cię, że metafizyka nie jest moją mocną stroną. Powiedziałbym jednak, że twoja definicja jest do przyjęcia.

— No tak... Ale założmy, doktorze, że wszyscy obserwatorzy się mylą? Założmy, na przykład, że jest wiele światów i wiele rzeczywistości, nie tylko jedna? Założmy że to, co widzimy, jest tylko przypadkowo wybraną wersją istnienia spośród nieskończonej liczby wersji istnienia? Albo też założmy, że cechą rzeczywistości jest zdolność do przemian i że ja w jakiś sposób mam zdolność postrzegania tych przemian?

Sampson westchnął, zlokalizował małego, zielonego nietoperza, który tłukł mu się pod marynarką i bezwiednie zdusił go linijką.

— No widzisz — powiedział. — Nie jestem w stanie podważyć ani jednego z twoich założeń. Myślę, Tom, że lepiej będzie, jeśli prześledzimy cały sen od początku do końca.

Lanigan skrzywił się.

— Naprawdę wolałbym nie. Mam przeczucie...

— Wiem, że masz przeczucie — uśmiechnął się Sampsan. — Ale nareszcie zdobyłbyś dowody, w tę albo wewtę, raz na zawsze, prawda?

— Chyba tak — przyznał Lanigan. Zdobył się na odwagę — bardzo nieroztropnie — i powiedział: — No więc zaczyna się... mój sen zaczyna się...

Nim skończył to mówić, ogarnęła go groza. Poczł zawrót głowy, mdłości, lęk. Usiłował podnieść się z kozetki. Twarz doktora unosiła się nad nim jak balon. Dostrzegł błysk metalu, usłyszał głos Sampsona:

— Postaraj się rozluźnić... krótki atak, pomyśl o czymś przyjemnym. — Potem albo Lanigan, albo

świat, albo obaj, stracili przytomność. Lanigan i (lub) świat wrócili do przytomności. Upływ czasu dokonał się albo nie. Wszystko mogło się zdarzyć albo nie. Lanigan usiadł i popatrzył na Sampsona.

— Jak się teraz czujesz? — zapytał Sampson.

— Czuję się dobrze — odpowiedział Lanigan. — Co to było?

— Chwila słabości. Odpocznij jeszcze trochę. — I Lanigan położył się z powrotem i usiłował narzucić sobie spokój. Lekarz siedział przy biurku i coś pisał. Lanigan z zamkniętymi oczami doliczył do dwudziestu, po czym ostrożnie unióś powieki. Sampson dalej coś pisał.

Lanigan rozejrzał się po pokoju, policzył pięć obrazków na ścianie, policzył drugi raz, spojrzął na zielony dywan, zmarszczył brwi, znowu przymknął oczy. Tym razem odliczył do pięćdziesięciu.

— No jak, chciałbyś teraz pogadać? — zapytał Sampson, zamykając notes.

— Nie, nie w tej chwili — odparł Lanigan. (Pięć obrazków, zielony dywan.)

— Jak sobie życzysz — powiedział lekarz. — Zdaje mi się, że czas wizyty dobiega końca. Ale gdybyś chciał jeszcze poleżeć, w poczekalni...

— Nie, dziękuję, pójdę do domu — rzekł Lanigan.

Wstał i po zielonym dywanie doszedł do drzwi. Odwrócił się do pięciu obrazków i lekarza, który posłał mu uśmiech pełen otuchy. Następnie wyszedł do poczekalni, przez poczekalnię do głównych drzwi, przez główne drzwi i korytarz do schodów, schodami na ulicę.

Szedł i patrzył na drzewa, na których zielone liście poruszały się w podmuchach wiatru lekko i w sposób łatwy do przewidzenia. Pojazdy podążały prawidłowo lewą stroną jezdni w jednym kierunku, a prawą w drugim. Niebo było niezmiennie błękitne i to najwyraźniej już od jakiegoś czasu.

Sen? Uszczypnął się. Uszczypnięcie we śnie? Nie budził się. Krzyknął. Krzyk w wyobraźni? Nie budził się.

Był na ulicy świata swojego koszmaru.

Na pierwszy rzut oka była to normalna miejska ulica, płyty chodnika, samochody, ludzie, budynki, góra niebo, na niebie słońce. Wszystko normalnie. Tylko, że nic się nie działo.

Chodnik ani razu nie ugiął mu się pod stopami. Po przeciwnej stronie ulicy stał Pierwszy Miejski Bank Narodowy — stał tam od wczoraj, a to już było niedobrze; najgorsze jednak, że będzie tam stał i jutro, bankowo, i pojutrze, i za rok też. Pierwszy Miejski Bank Narodowy (rok założenia 1892) był groteskowo bezwolny. Nigdy nie przeistoczy się w grobowiec, w samolot, w szkielet prehistorycznego potwora. Pozostanie nudnym gmachem z betonu i stali, kurczowo przywiązany do własnej niezmienności, póki nie przyjdą ludzie z narzędziami i nie przeprowadzą nudnej operacji rozbiórki.

Lanigan szedł przez zatrzymany świat, pod błękitnym niebem obrzeżonym mylącą białą światłością, która złośliwie obiecywała coś, czego nigdy nie będzie. Ruch uliczny był nieubłaganie prawostronny, ludzie przechodzili po pasach, niezgodność zegarów sięgała najwyżej minut.

Gdzieś tam za miastem leżała wieś, ale Lanigan wiedział, że trawa nie rośnie tam ludziom pod stopami, a jedynie tkwi w ziemi, rosnąc oczywiście, ale w sposób niedostrzegalny, bezużyteczny dla zmysłów. Góry zaś, choć wciąż wysokie i czarne, były olbrzymami zatrzymanymi w pół kroku. Już nigdy nie pomaszerują na tle złocistego (albo fioletowego, albo zielonego) nieba.

Istotą życia, mówił mu kiedyś doktor Sampson, jest zmiana. Istotą śmierci jest bezruch. Nawet trup ma w sobie szczątki życia, dopóki jego ciało podlega gniciu, dopóki robaki pasą się na jego niewidzącym oku, a muchy wysysają soki z popękanych jelit.

Lanigan obrzucił wzrokiem zwłoki świata i stwierdził jego zgon. Wrzasnął przeraźliwie. Wrzeszczał i wtedy, kiedy ludzie zaczęli się wokół niego gromadzić i gapić (ale nic nie robili i wcale się nie zmieniali), a potem nadszedł policjant, tak jak mu nakazywał obowiązek (ale słońce ani na moment nie zmieniło kształtu), a potem nudną ulicą nadjechała karetka (ale bez trąbek, bez dziwek, na czterech kołach zamiast na miłych dla oka trzech lub dwudziestu pięciu), a potem sanitariusze wnieśli go do budynku stojącego dokładnie tam, gdzie się go spodziewali, i ludzie, którzy się nie zmieniali, bardzo dużo gadali, zadawali mnóstwo pytań w pokoju o nieustępliwie białych ścianach.

I nadszedł wieczór, i nadszedł ranek, i minął pierwszy dzień.

przekład: Jolanta Kozak

The Cruel Equations

Okrutne równania

Po wylądowaniu na Piątej Regulusa członkowie Eskpedycji Jarmolińskiego rozbili obóz i uruchomili RR-22-0134, czyli robota rewirowego, zwanego w skrócie Maks. Było to reagujące na głos dwunogie urządzenie, mające za zadanie strzeżenie obozu przed najściem nieziemców na wypadek, gdyby gdzieś kiedyś spotkano się z nieziemcami. Maks miał początkowo regulaminowy kolor szarometaliczny, ale podczas ciągnącej się w nieskończoność drogi pomalowano go na błękitno. Mierzył dokładnie 125 centymetrów. Ludzie z ekspedycji przywykli uważać go za łagodnego, rozsądnego metalowego człowieczka, takiego żelaznego krasnoluda.

Mylili się oczywiście. Ich robot wcale nie był taki, jakim go sobie wyobrażali. RR-22-0134 nie był bardziej rozsądny niż przeciętny kombajn zbożowy, nie bardziej łagodny niż zautomatyzowana walcownia. Pod względem moralnym był porównywalny z turbiną albo z radiem, ale nie z człowiekiem. Jediną ludzką cechą RR-22-0134 była zdolność działania w nieprzewidzianych sytuacjach.

Mały Maks, niemowlęco błękitny z czerwonymi oczkami, krążył po obwodzie obozu wyęzając czujniki. Kapitan Beatty i porucznik James odlecieli poduszkowcem na tygodniowy rekonesans. Zostawili porucznika Hallorana na gospodarstwie.

Holloran był niski, barczysty i miał krzywe nogi. Był także wesoły, piegowaty, twardy, prosty i zaradny. Zjadł lunch i przyjął sygnał radiowy od wyprawy. Następnie rozłożył sobie płócienne krzesło i usiadł, żeby podziwiać okolicę. Piąta Regulusa była całkiem przyjemna, jeżeli ktoś jest miłośnikiem odludzia. We wszystkich kierunkach rozciągał się rozpalony krajobraz skał, piargów i lawy. Były jakieś ptaki podobne do wróbli i jakieś zwierzęta podobne do kojotów. Nieliczne kaktusy wyraźnie ledwo zipały.

Po chwili Halloran wstał.

— Maks! Idę rozejrzeć się za granicę obozu. Zostaniesz na straży podczas mojej nieobecności.

Robot zatrzymał się.

— Tak jest, zostanę na straży.

— Nie wpuszczaj tu żadnych nieziemców, zwłaszcza tych z dwiema głowami i ze stopami skierowanymi do tyłu.

— Rozkaz. — Maks był pozbawiony poczucia humoru, kiedy chodziło o nieziemców. — Czy pamięta pan hasło, panie Halloran

— Pamiętam. A ty, Maks.

— Tak jest, pamiętam.

— Dobra. Do zobaczenia.

Halloran przekroczył granicę obozu.

* * *

Spędziwszy godzinę na oglądaniu terenu Halloran nie znalazł nic godnego uwagi i wrócił. Z przyjemnością ujrzał RR-22-0134 patrolującego granicę obozu. Znaczyło to, że wszystko jest w porządku.

— Stać! — odezwał się robot. Hasło!

— Cześć, Maks! — zawołał. — Jakies wiadomości ze zwiadu?

— Stać! — krzyknął robot, kiedy Halloran miał już przekroczyć granicę obozu.

— Nie wygłupiaj się, Maks. Nie jestem w nastroju do...

Halloran stanął jak wryty. Fotoelektryczne oczy Maksa rozjarzyły się i cichy podwójny trzask zdradził, że jego broń pierwszego stopnia jest gotowa do użycia. Halloran postanowił działać ostrożnie.

— Stoję. Nazywam się Halloran. Czy teraz wszystko w porządku?

— Proszę podać hasło.

— „Bławatek” — powiedział Halloran. — A teraz, jeżeli pozwolisz...

— Nie przekraczać granicy obozu — ostrzegł robot. — Hasło nieprawidłowe.

— Co ty gadasz Sam ci je dałem.

— To było poprzednie hasło.

— Poprzednie? Chyba ci się pomieszał twój półciekły mózg. „Bławatek” to jedyne hasło i nie ma innego, bo nikt ci nie mógł dać innego. Chyba że...

Robot czekał. Halloran rozważał nieprzyjemną myśl z różnych punktów widzenia aż wreszcie wypowiedział ją na głos.

— Chyba że kapitan Beatty dał ci nowe hasło przed odjazdem. Czy tak było?

— Tak — odpowiedział robot.

— Że też o tym nie pomyślałem — powiedział Halloran. Uśmiechał się, ale był zaniepokojony. Takie niedopatrzienia zdarzały się już wcześniej. Tylko zawsze był ktoś w obozie, kto mógł je skorygować.

Mimo wszystko nie było powodów do zmartwienia. Właściwie sytuacja była po prostu śmieszna. I musiało być z niej wyjście przy odrobinie zdrowego rozsądku.

Halloran oczywiście zakładał, że roboty RR mają odrobinę zdrowego rozsądku.

* * *

— Maks — zaczął Halloran — już rozumiem, jak się to stało. Kapitan Beatty dał ci nowe hasło. Ale zapomniał powiedzieć o tym mnie. A ja pogłębiłem jego błąd nie sprawdzając hasła przed opuszczeniem obozu.

Robot nie skomentował tego ani słowem. Halloran ciągnął dalej.

— Na szczęście ten błąd da się łatwo naprawić.

— Mam nadzieję — zauważył robot.

— Jasna sprawa — powiedział Halloran już z mniejszym przekonaniem. Kapitan i ja trzymamy się w tej kwestii ściśle ustalonej procedury. Kiedy daje ci hasło, informuje mnie o tym ustnie. Jednak na wypadek, gdyby nie mógł tego zrobić natychmiast, tak jak tym razem, zapisuje je.

— Naprawdę? — spytał robot.

— Tak — potwierdził Halloran. Zawsze. Niezmiennie. Co obejmuje, mam nadzieję, i ten raz. Czy widzisz ten namiot za tobą?

Robot przekreślił jeden czujnik, drugim obserwując Hallorana.

— Widzę — powiedział.

— Dobrze. W tym namiocie stoi stół. Na stole leży księga.

— Zgadza się.

— Dobrze. Na pierwszej stronie tej książki jest lista najważniejszych danych, częstotliwości radiowe w razie alarmu itd. Na tej samej stronie jest zakreślone na czerwono aktualne hasło.

Robot wysunął jeden z czujników i wciągnął go z powrotem.

— Mówisz prawdę, ale to nie ma znaczenia. Interesuje mnie znajomość hasła, a nie miejsca, gdzie się znajduje. Jeżeli wypowiesz hasło, muszę cię wpuścić. Jeżeli nie, mam cię nie wpuszczać.

— To szaleństwo! — krzyknął Halloran. — Maks, ty biurokratyczny baranie, to ja, Halloran, i dobrze o tym wiesz! Jesteśmy razem od dnia, kiedy cię uruchomiono! Przestań zgrywać Horatia na moście i wpuść mnie wreszcie.

— Twoje podobieństwo do pana Hallorana jest nieco niepokojące — przyznał robot — ale nie jestem ani wyposażony, ani upoważniony do przeprowadzania sprawdzianów identyfikacyjnych. Nie wolno mi również polegać na moich wyobrażeniach. Jedynym dowodem, jaki mogę zaakceptować, jest hasło.

Halloran stłumił wściekłość i spokojnym głosem powiedział:

— Maks, przyjacielu, czyżbys zakładał, że jestem nieziemcem?

— Ponieważ nie znasz hasła, muszę przyjąć takie założenie.

— Maks! — krzyknął Halloran robiąc krok do przodu — jak Boga Kocham!

— Nie zbliżać się do granicy obozu! — powiedział robot błyskając czujnikami. — Kimkolwiek czy czymkolwiek jesteś, cofnij się!

— Dobrze, cofam się — powiedział Halloran pośpiesznie. — Nie bądź takt nerwowy.

Cofnął się i odczekał aż czujniki robota przygasną. Potem usiadł na kamieniu. Musiał się dobrze zastanowić.

Było prawie południe tysięczgodzinnego dnia Regulusa. Na białym niebie wisiały dwa oślepiająco białe bliźniacze słońca. Przesuwały się leniwie nad granatowoczarnym krajobrazem, jak dwa powolne pojazdy boga śmierci niszczące wszystko, czego dotkną.

Co jakiś czas w ognisto suchym powietrzu zataczał leniwy krąg jakiś ptak. Jakieś małe zwierzątka przemykały się z cienia do cienia. Inne zwierzę, przypominające rosomaka, ogryzało kołek od namiotu nie niepokojone przez małego błękitnego robota. Człowiek siedział na kamieniu i przyglądał się robotowi.

Halloran, który zaczął już odczuwać skutki upału i pragnienie, starał się zrozumieć sytuację i znaleźć z niej wyjście.

Chciało mu się pić. Wkrótce będzie musiał się napić. Niedługo po tym umrze z pragnienia.

Jedynym znanym źródłem wody pitnej w okolicy znajdowało się w obozie.

W obozie było dużo wody. Ale robot bronił do niej dostępu.

Zgodnie z programem, Beatty i James mają nawiązać z nim kontakt radiowy za trzy dni, ale pewnie nie będą zaniepokojeni, jeżeli im się to nie uda. Krótkofalówki zawodzą, nawet na Ziemi. Spróbują od nowa wieczorem i rano następnego dnia. Dopiero wtedy wrócą.

Powiedzmy cztery ziemskie dni. Jak długo wytrzyma bez wody?!

Odpowiedź zależy od tempa utraty wody. Kiedy dojdzie do utraty płynu w granicach od dziesięciu do piętnastu procent wagi ciała, straci przytomność. Może to nastąpić gwałtownie. Pozbawieni wody Beduini ginęli w ciągu doby. Pasażerowie uszkodzonych samochodów, którzy usiłowali pieszo wydostać się z pustyni Baker albo Mohave na amerykańskim Południowym Zachodzie, czasem nie przeżywali jednego dnia.

Piąta Regulusa miała temperaturę Kalahari i mniejszą wilgotność powietrza niż Dolina Śmierci. Dzień trwał tu prawie tysiąc ziemskich godzin. Było południe, miał więc przed sobą pięćset godzin nieprzerwanej operacji dwóch słońc bez skrawka cienia.

Jak długo mógł przetrwać? Jeden ziemski dzień. Dwa, przy najbardziej optymistycznym obliczeniu.

Beatty i James nie wchodzili w grę. Musiał sam dostać się do wody w obozie i to szybko.

Co oznaczało, że musi znaleźć sposób na robota.

* * *

Postanowił spróbować logiki.

— Maks, musisz wiedzieć, że ja, Halloran, wyszedłem z obozu i że ja, Halloran wróciłem po godzinie i że to ja, Halloran, stoję teraz przed tobą bez hasła.

— Prawdopodobieństwo przemawia bardzo silnie na rzecz twojej interpretacji — przyznał robot.

— No, więc...

— Ale nie mam prawa działać na podstawie prawdopodobieństwa lub nawet prawie—pewności. Zostałem przecież zbudowany dla ochrony przed nieziemcami mimo skrajnie niskiego prawdopodobieństwa, że kiedykolwiek zajdzie tego potrzeba.

— Czy możesz mi przynajmniej przynieść manierkę wody?

— Nie, to byłoby sprzeczne z rozkazami.

— Kiedy otrzymałeś rozkazy na temat podawania wody?

— Nie dostałem szczegółowego rozkazu w tej sprawie. Wniosek wynika z mojego zasadniczego przeznaczenia. Nie wolno mi udzielać żadnej pomocy nieziemcom.

Halloran powiedział bardzo dużo słów, bardzo szybko i głośno. Jego wypowiedź była ostra i nasycona przerośniami, ale Maks zignorował ją całkowicie jako obraźliwą, tendencyjną i nie odnoszącą się do tematu.

W chwilę potem nieziemiec podający się za Hallorana skrył się za stosem kamieni.

* * *

Po kilku minutach stwór wyszedł zza stosu kamieni pogwizdując.

— Cześć, Maks — powiedział stwór.

— Dzień dobry, panie Halloran — odpowiedział robot.

Halloran zatrzymał się kilka metrów od granicy obozu.

— Tak — powiedział. — Rozejrzałem się, ale nie ma tu nic do oglądania. Czy coś się działo podczas mojej nieobecności?

— Tak jest — odpowiedział Maks. Nieziemiec usiłował przedostać się do obozu.

— Naprawdę? — zdziwił się Halloran.

— Tak jest, proszę pana.

— Jak ten nieziemiec wyglądał?

— Był bardzo podobny do pana.

— Wielki Boże! — wykrzyknął Halloran. — A jak poznałeś, że to nie byłem ja?

— Bo usiłował wejść na teren obozu bez podania hasła. Prawdziwy pan Halloran nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

— Rzeczywiście — powiedział Halloran. — Brawo, Maks. Będziemy musieli mieć oko na tego jegomościa.

— Tak jest. Dziękuję panu.

Halloran niedbale skinął głową. Był z siebie zadowolony. Doszedł do wniosku, że Maks z racji

samej swojej konstrukcji musi traktować każde spotkanie jako unikalną i nową sytuację. Musiało tak być, skoro Maksowi nie było wolno wnioskować z poprzednich doświadczeń.

Maks miał wbudowane preferencje. Zakładał, że Ziemianin zawsze zna hasło. Zakładał, że obcy nigdy nie zna hasła, ale zawsze usiłuje dostać się do obozu. Zatem istota, która nie usiłuje dostać się do obozu, można uważać za Ziemianina, dopóki nie okaże się, że jest inaczej.

Halloran pomyślał, że to całkiem dobry wywód myślowy jak na człowieka, który stracił już parę procent płynu ustrojowego. Teraz pozostawała mu tylko nadzieja, że dalszy ciąg planu również się sprawdzi.

— Maks — powiedział — podczas swojej inspekcji dokonałem dość niepokojącego odkrycia.

— Jakiego, proszę pana?

— Stwierdziłem, że obozujemy na skraju szczeliny tektonicznej. W porównaniu z nią słynne pęknięcie Św. Andrzeja z Kalifornii to małe piwo.

— To brzmi groźnie. Czy istnieje duże ryzyko?

— Możesz się założyć o swój blaszany tyłek, że tak. A duże ryzyko oznacza dużo pracy. Musimy we dwójkę przenieść cały obóz o jakieś dwie mile na zachód. I to natychmiast! Bierz zbiorniki z wodą i idziemy.

— Tak jest. Jak tylko mnie pan zwolni.

— Dobrze. Zwalniam cię. Do roboty.

— Nie mogę. Musi mnie pan zwolnić podając aktualne hasło i odwołując je. Tylko wtedy będę mógł przerwać służbę wartowniczą.

— Nie ma czasu na formalności — rzucił Halloran surowo. — Nowe hasło brzmi „bieługa”. Ruszaj się, Maks, poczułem lekki wstrząs.

— Ja nic nie czułem.

— A dlaczego miałbyś poczuć? — uciął Halloran. — Jesteś tylko robotem rewirowym a nie specjalnie wyszkolonym człowiekiem z wyostrzonym aparatem zmysłowym. Psiakrew, znów drży! Chyba tym razem poczułeś?

— Zdaje mi się, że tak.

— No, to ruszaj się!

— Nie mogę, panie Halloran! Jest fizyczną niemożliwością, żebym opuścił stanowisko bez formalnego rozkazu! Proszę mi wydać rozkaz!

— Nie denerwuj się tak — powiedział Halloran. — Po namyśle sądzę, że można zostawić obóz tu, gdzie jest.

— Ale trzęsienie ziemi...

— Przeprowadziłem nowe obliczenia. Mamy więcej czasu niż myślałem. Pójdę rozejrzeć się jeszcze raz.

Halloran wszedł za skałkę znikając z pola widzenia robota. Serce mu waliło, czuł jak gęsta krew z trudem przepycha się przez żyły. Zmusił się, żeby usiąść bardzo spokojnie w skrawku cienia.

* * *

Dzień ciągnął się bez końca. Bezkształtny biały kleks podwójnego słońca przesunął się o parę centymetrów w stronę horyzontu. RR-22-0134 trwał na straży.

Zerwał się wiatr, nasilił się i dmuchnął piaskiem w czujniki Maksa. Robot wędrował nieustannie wokół obozu. Wiatr ucichł i wśród głązów w odległości dwudziestu metrów pojawiła się jakaś postać. Halloran czy obcy? Maks nie wdawał się w przypuszczenia. Strzegł obozu.

Małe stworzenie podobne do kojota nadbiegło klucząc z pustyni i omal nie zderzyło się z Maksem. Z góry spadł na nie wielki ptak. Rozległ się cienki, przeraźliwy pisk i krew zbryzgała jeden z namiotów. Ptak uniósł się ciężko w powietrze, w szponach niósł coś, co się ruszało.

Maks nie zwracał na to uwagi. Obserwował człekokształtną istotę zmierzającą niepewnym krokiem w jego stronę.

Istota zatrzymała się.

— Dzień dobry, panie Halloran — odezwał się Maks. — Czuję się w obowiązku zauważyć, że wykazuje pan wyraźne oznaki odwodnienia. Może to prowadzić do udaru, utraty przytomności i śmierci, jeżeli natychmiast nie podejmie pan odpowiednich kroków.

— Zamknij się — powiedział Halloran ochryple przez wyschnięte gardło.

— Rozkaz, panie Halloran.

— I przestań nazywać mnie panem Halloranem.

— Dlaczego?

— Bo nie jestem żadnym Halloranem. Jestem nieziemcem.

— Naprawdę?

— Tak, naprawdę. Czy wątpisz w moje słowo?

— No, wie pan, takie niczym nie poparte twierdzenie...

— Zaraz ci dam dowód. Nie znam hasła. Czy to ci wystarczy?

Podczas gdy robot się wahał, Halloran mówił dalej.

— Posłuchaj, pan Halloran powiedział mi, że mam ci przypomnieć o twoich podstawowych definicjach, stanowiących kryteria twojego działania. Ziemianin to istota rozumna, która zna hasło, nieziemiec to istota rozumna, która nie zna hasła.

— Tak — przyznał robot niechętnie. Znajomość hasła jest dla mnie sprawdzianem. A jednak coś mi się tu nie podoba. Przypuśćmy, że mnie okłamujesz?

— Jeżeli kłamię, to znaczy, że jestem Ziemianinem, który wie, że nie ma niebezpieczeństwa. Ale ty wiesz, że nie kłamię, bo wiesz, że żaden Ziemianin nie kłamałby na temat hasła.

— Nie wiem, czy wolno mi przyjąć takie założenie.

— Musisz. Przecież żaden Ziemianin nie chciałby uchodzić za obcego, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— I hasło jest jedynym pewnym sposobem na odróżnienie człowieka od nieziemca?

— Tak.

— Zatem rzecz jest udowodniona.

— Wciąż nie jestem pewien — powiedział Maks i Halloran zrozumiał, że robot niechętnie przyjmował informacje od nieziemca, nawet jeżeli nieziemiec chciał tylko udowodnić, że jest nieziemcem.

Czekał. Po chwili Maks powiedział:

— Dobrze. Zgadzam się, że jesteś nieziemcem. W związku z tym zabraniam ci wstępu do obozu.

— Wcale nie chcę, żebyś mnie wpuścił. Rzecz w tym, że jestem jeńcem Hallorana i sam wiesz, co to znaczy. — Robot zamrugał czujnikami.

— Nie wiem, co to znaczy.

— To znaczy — powiedział Halloran — że musisz w stosunku do mnie postępować zgodnie z rozkazami Hallorana. A rozkazy są takie, że mam być uwięziony na terenie obozu i nie wolno ci mnie

wypuścić bez wyraźnego polecenia.

— Pan Halloran wie, że nie mogę cię wpuścić na teren obozu.

— Oczywiście! Ale Halloran każe ci uwięzić mnie w obozie, a to jest coś zupełnie innego.

— Naprawdę?

— Ależ oczywiście! Musisz wiedzieć że Ziemianie zawsze biorą do niewoli obcych, którzy próbują dostać się na teren obozu!

— Coś takiego obilo mi się o uszy — powiedział Maks. — Mimo to nie mogę cię wpuścić. Mogę cię pilnować tutaj, przed obozem.

— To jest do niczego — powiedział ponuro Halloran.

— Żałuję, ale to wszystko, co mogę zrobić.

— No, dobrze — zgodził się Halloran siadając na piasku. — Jestem zatem twoim więźniem.

— Tak.

— To proszę mi dać pić.

— Nie wolno mi...

— Do diabła, wiesz przecież, że więźci do niewoli nieziemcy mają być traktowani z względami stosownymi do ich stopnia i muszą zgodnie z Konwencją Genewską otrzymywać wszystko, co jest im niezbędne do życia.

— Tak, coś o tym słyszałem — powiedział Maks. — Jaki jest twój stopień?

— Starszy jamisdar. Numer książeczki 12278031. I muszę natychmiast otrzymać wodę, bo inaczej umrę.

Maks namyślał się przez kilka sekund i powiedział:

— Dam ci wody. Ale dopiero, jak pan Halloran się napije.

— Chyba wystarczy dla nas obu? — spytał Halloran siląc się na przymilny uśmiech.

— Decyzja — stwierdził twardo Maks — należy do pana Hallorana.

— Dobrze — powiedział wstając Halloran. — Czas na moją południową modlitwę, którą muszę odbyć na osobności.

— A jeżeli uciekniesz?

— Po co? — spytał Halloran odchodząc. — Halloran i tak by mnie złapał.

— To prawda. Ten człowiek to geniusz — mruknął robot.

Upłynęło bardzo niewiele czasu. Nagle spoza głazów wyszedł Halloran.

— Pan Halloran? — spytał Maks.

— To ja — powiedział Halloran radośnie. — Czy zgłosił się tu mój jeniec?

— Tak, proszę pana. Jest tam, za tymi skałkami, modli się.

— Nie ma w tym nic złego. Słuchaj, Maks, kiedy zgłosi się tu po raz drugi, koniecznie daj mu wody.

— Chętnie. Jak tylko pan się napije.

— Co tam, mnie się nie chce pić. Daj koniecznie wody temu nieszczęsnemu nieziemcowi.

— Nie mogę, póki się nie upewnię, że pan się napił. Stan odwodnienia, o którym wspominałem, zaszedł jeszcze dalej. Jest pan bliski utraty przytomności. Nalegam stanowczo, żeby pan się napił.

— Dobrze już, przestań mi wiercić dziurę w brzuchu i przynieś manierkę.

— Ależ, proszę pana

— Co tam znowu?

— Wie pan, że nie wolno mi opuścić posterunku na granicy obozu.

— Dlaczego, do diabła?

— Bo to sprzeczne z rozkazami. Także dlatego, że tam, za skałkami jest obcy.

— Ja za ciebie popilnuję, a ty bądź dobrym chłopcem i przynieś manierkę.

— To miło z pana strony, ale nie mogę się zgodzić. Jestem robotem RR zbudowanym wyłącznie w celu strzeżenia obozu. Nie wolno mi przekazywać obowiązków nikomu, nawet człowiekowi albo drugiemu robotowi RR, dopóki nie otrzymam hasła i nie zostanę zdjęty z posterunku.

— Tak, tak — mruknął Halloran. Z którego końca bym zaczął, dochodzę do ściany. — Z trudem powlókł się z powrotem za skałki.

— Co się stało? — spytał robot. Co ja takiego powiedziałem? — Odpowiedzi nie było.

— Panie Halloran? Starszy jamizdarze?

Nadal żadnej odpowiedzi. Maks kontynuował obchód obozu.

* * *

Halloran był wyczerpany. Gardło bolało go od gadania z tępym robotem, a całe ciało od nieustannego ataku podwójnego słońca. To już nie było poparzenie słoneczne — był czarny, spalony, nie człowiek, a pieczony indyk. Ból, pragnienie i zmęczenie nie pozostawiały miejsca na żadne uczucie poza wściekłością.

Był wściekły na siebie, że dał się złapać w tak absurdalną pułapkę, że tak głupio dał się zabić. („Halloran? A tak, to ten biedak, co nie znał hasła i umarł z pragnienia niecałe pięćdziesiąt metrów od wody i cienia. Smutna, dziwna i śmieszna śmierć...”)

Tylko wściekłość trzymała go teraz przy życiu, umożliwiała mu analizę sytuacji i poszukiwanie drogi do obozu.

— Co mi jeszcze pozostało?

Przekręcił się na wznak i patrzył w rozpalone do białości niebo. Przed oczami pływały mu czarne punkty. Halucynacje? Nie, to krążące ptaki. Ignorowały swoją codzienną, złożoną z kojotów dietę i czekały na coś ekstra, na egzotyczny kąsek...

Halloran zmusił się, żeby usiąść. Muszę rozważyć sytuację, przekonywał siebie, i znaleźć jakiś fortel.

Z punktu widzenia Maksa wszystkie istoty rozumne, które znają hasło, są Ziemianami, a wszystkie istoty rozumne, które nie znają hasła, są nieziemcami.

Co znaczy...

Właśnie, co to znaczy? Przez chwilę Halloranowi zdawało się, że znalazł klucz do całej zagadki, ale miał trudności ze skupieniem się. Ptaki krążyły coraz niżej. Jeden z kojotów zbliżył się i obwąchiwał mu buty.

Wszystko nieważne. Skoncentrować się. Stać się automatologiem–praktykiem.

— Tak naprawdę, jak się zastanowić, to Maks jest głupi. Nie zbudowano go z myślą o wykrywaniu fałszerstw, poza bardzo ograniczoną dziedziną. Jego kryteria są, powiedzmy, archaiczne. Jak w tej opowieści o Platonie, który zdefiniował człowieka jako bezpiecznego dwunoga, na co stary cynik Diogenes przyniósł oskubanego kurczaka. Wówczas Platon zmienił definicję i określił człowieka jako bezpiecznego dwunoga z płaskimi paznokciami.

Ale co to wszystko miało wspólnego z Makssem?

Halloran energicznie potrząsnął głową usiłując zmusić się do koncentracji. Ale nie mógł się

pozbyć obrazu platońskiego człowieka—kurczaka wzrostu metr osiemdziesiąt bez jednego pióra na ciele, ale z płaskimi paznokciami.

Maks musiał mieć jakieś słabe miejsce! W odróżnieniu od Platona nie mógł zmieniać poglądów. Maks był więźniem swoich definicji i ich logicznych konsekwencji...

— Niech mnie diabli! — powiedział Halloran. — Zdaje się, że znalazłem. — Usiłował to przemyśleć, ale stwierdził, że nie potrafi. Po prostu musiał spróbować stawiając wszystko na jedną kartę.

— Maks — mruknął pod nosem idzie do ciebie jeden oskubany kurczak. A raczej nieskubany. Zobaczmy, jak sobie z tym poradzisz!

Nie bardzo wiedział, o co mu chodzi, ale wiedział, co zaraz zrobi.

* * *

Kapitan Beatty i porucznik James wrócili do obozu pod koniec trzech ziemskich dni. Znaleźli Hallorana nieprzytomnego i w malignie, ofiarę odwodnienia i udaru słonecznego. Bredził coś, że Platon nie chciał go wpuścić do obozu i że on, Halloran, zmienił się w kurczaka wysokości metr osiemdziesiąt bez płaskich paznokci, wystawiając w ten sposób do wiatru zarówno uczonego filozofa, jak i jego koleżkę robota.

Maks napoił go, owinał w mokre koce i zbudował czarny daszek z podwójnego plastyku. Za dzień lub dwa Halloran musiał dojść do siebie.

Przed utratą przytomności zdążył skreślić kilka słów „Nie miałem hasła nie mogłem wrócić zawiadomić fabrykę zainstalować wyłącznik awaryjny w robotach RR”.

Beatty nic nie rozumiał z tego, co mówił Halloran, przepytał więc Maksa. Usłyszał o inspekcyjnej wycieczce Hallorana i o różnych nieziemcach, podobnych do niego jak dwie krople wody, o tym, co oni mówili i co mówił Halloran. Były to wyraźnie coraz bardziej rozpaczliwe próby Hallorana przedostania się do obozu.

— Ale co się stało dalej? — spytał Beatty. — Jak w końcu wszedł?

— On nie wszedł — powiedział Maks. — Od pewnej chwili był w środku.

— Ale jak go przepuściłeś?

— Nie przepuściłem go. To byłoby zupełnie wykluczone. Pan Halloran po prostu był w obozie.

— Nie rozumiem — powiedział Beatty.

— Szczerze mówiąc, proszę pana, ja też. Podejrzewam, że tylko pan Halloran może odpowiedzieć na to pytanie.

— Upłynie trochę czasu, zanim Halloran będzie mógł coś powiedzieć. Ale skoro on znalazł sposób, to i ja powinienem go znaleźć.

Beatty i James bardzo się starali, ale odpowiedzi nie potrafili znaleźć. Nie byli wystarczająco zdesperowani, albo wystarczająco wściekli, albo rozumowali nie tak, jak trzeba było. Żeby zrozumieć, jak Halloran wszedł do obozu, należało spojrzeć na końcową fazę wydarzeń z punktu widzenia Maksa.

* * *

Upał, wiatr, ptaki, głązy, słońca, nie zwracam uwagi na to, co nie jest ważne. Mam pilnować obozu przed obcymi.

Coś zbliża się od strony głązów, od strony pustyni. Duże stworzenie, włosy zasłaniają mu pysk, idzie na czterech nogach.

Staję na jego drodze. Warczy. Jeszcze raz zastawiam mu drogę, odbezpieczam broń, grożę. Stworzenie warczy i dalej pełźnie w kierunku obozu.

Dokonuję przeglądu definicji, żeby zachować się w odpowiedni sposób. Wiem, że ludzie i nieziemcy są klasami istot charakteryzujących się inteligencją, która wyraża się w zdolności do artykułowanej mowy. Ta zdolność ujawnia się w reakcji na moje pytania.

Ludzie spytani o hasło zawsze odpowiadają prawidłowo.

Nieziemcy spytani o hasło zawsze odpowiadają nieprawidłowo. Zarówno nieziemcy jak i ludzie odpowiadają, prawidłowo lub nieprawidłowo, na pytanie o hasło. Skoro tak jest zawsze, to muszę przyjąć, że stworzenie, które nie odpowiada na moje pytanie, nie umie mówić i mogę na nie nie zwracać uwagi.

Mogę nie zwracać uwagi na ptaki i jaszczurki. Na to duże zwierzę, które czołga się obok mnie, też mogę nie zwracać uwagi. Ono mnie interesuje, ale muszę wytężyć czujniki, bo gdzieś tam na pustyni jest pan Halloran. Jest tam też nieziemiec w stopniu starszego jamisdara.

Ale co to? To pan Halloran, cudem, znalazł się z powrotem w obozie. Jęczy, cierpi na odwodnienie organizmu i skutki udaru słonecznego. Po zwierzęciu, które przeczołgało się obok mnie ani śladu, a jamisdar pewnie nadal modli się wśród głązów...

Tłum: Lech. Jęczmyk

The Same to You Doubled

A tobie dwa razy tyle

W Nowym Jorku masz to jak w banku: ile razy rzucisz się na zasłużoną drzemkę, zawsze jest dzwonek. Człowiek z charakterem powiedziałby w takiej sytuacji: „Mam to w nosie, mój dom to moja twierdza, a telegramy można wsunąć pod drzwi”. Ale jeśli ktoś ma, jak Edelstein, niezbyt silny charakter, pomyśli, że może to ta blondynka spod numeru 12C przysłała pożyczyć słoiczek chili. A może nawet jakiś zwariowany reżyser filmowy, który chciałby zrobić film na podstawie twoich listów do matki z Santa Monica. (Dlaczego niby nie? — czy nie robią filmów z gorszych rzeczy niż jego listy?).

Ale tym razem Edelstein rzeczywiście twardo postanowił nie otwierać. Leżąc na kanapie, z zamkniętymi oczami, zawołał:

— Nic nie potrzebuję!

— Owszem, potrzebujesz pan — odpowiedział głos zza drzwi.

— Mam wszelkie możliwe encyklopedie, szczotki i suche produkty — odparł Edelstein znużonym głosem. — Mam wszystko, cokolwiek pan oferuje.

— Niech pan posłucha. Ja nic nie sprzedaję — rzekł głos. — Ja chcę panu coś dać, za darmo.

Edelstein uśmiechnął się kwaśno. Jako nowojorczyk wiedział doskonale, że nawet gdyby ktoś zrobił mu prezent z paczki autentycznych nie znaczonych banknotów dwudziestodolarowych, to i tak w końcu musiałby za nie zapłacić.

— A... jeśli za darmo — odpowiedział — to już w żadnym wypadku mnie na to nie stać.

— Ale naprawdę za darmo — powiedział głos. — Mówiąc „za darmo” mam na myśli, że nie będzie to pana kosztowało ani teraz, ani nigdy.

— Nie jestem tą sprawą zainteresowany — odrzekł Edelstein podziwiając siłę swego charakteru.

Głos zamilkł. Edelstein zawołał:

— Halo, jeśli pan tam jeszcze jest, to proszę sobie iść.

— Drogi panie Edelstein — powiedział głos po chwili. — Cynizm jest tylko formą naiwności. Panie Edelstein, mądrość to sztuka dostrzegania różnic.

— Będzie mi robił wykłady — zwrócił się Edelstein do ściany.

— Okay — odezwał się głos. Niech pan zostanie przy swoim cynizmie i różnicach rasowych. Po co mi jeszcze takie kłopoty?

— Chwileczkę — rzekł Edelstein. Na jakiej podstawie sądzi pan, że mam uprzedzenia rasowe?

— Dostyc tego gadania — odparł głos. — Gdybym zbierał na fundusz Hadassah, albo sprzedawał obligacje pożyczki rządu Izraela, to inna sprawa. Ale jestem po prostu tym, kim jestem, więc przepraszam, że żyję.

— Spokojnie — zmitygował go Edelstein. — Dla mnie jest pan po prostu głosem z za drzwi. Może pan być równie dobrze katolikiem, adwentystą dnia siódmego czy nawet starozakonnym.

— Pan wiedział — odrzekł głos. — Panie, przysięgam...

— W gruncie rzeczy — oświadczył głos — to nie ma żadnego znaczenia. Nieraz spotykam się z takim traktowaniem. Do widzenia, panie Edelstein.

— Chwileczkę.

Edelstein przeklinał sam siebie za głupotę. Ileż to już razy dał się nabrać na gadkę jakiegoś domokrażcy płacąc na przykład dziewięć dziewięćdziesiąt osiem za dwutomową ilustrowaną „Seksualną historię ludzkości”, która, jak mu wytknął jego przyjaciel Manowitz, mógł kupić w pierwszej lepszej księgarni Marboro za dwa dziewięćdziesiąt osiem.

Ale głos miał rację. Edelstein wyczuł, że ma do czynienia z gojem.

I potem taki głos odejdzie i sobie pomyśli: tym Żydom to się wydaje, że są lepsi od innych. I na najbliższym spotkaniu Łoży Łosi czy Kawalerów Kolumba powie to swoim fanatycznym przyjaciołom i znów będzie punkt karny dla Żydów.

— Rzeczywiście mam słaby charakter — pomyślał smutno Edelstein i zawołał:

— No już dobrze, proszę wejść! Ale z miejsca uprzedzam: nie mam najmniejszego zamiaru nic kupować.

Zwłókł się z kanapy i ruszył otworzyć. Nagle zatrzymał się, bo głos odpowiedział:

— Dziękuję bardzo — i przeszedł przez drewniane zamknięte na dwa zamki drzwi.

Mężczyzna był średniego wzrostu, przyzwoicie ubrany w zmodyfikowany edwardiański szary garnitur w prążki. Buty z kurdybanu lśniły wypucowane. Był czarny, miał teczkę i przeszedł przez drzwi Edelsteina, jak przez galaretkę „Gella”.

— Chwileczkę, wolnego, chwileczkę rzekł Edelstein łapiąc się na tym, że wykręca sobie palce, i że serce bije mu nieprzyjemnie szybko.

Mężczyzna stał bez ruchu, całkowicie rozluźniony, o krok od drzwi. Edelstein odzyskał oddech.

— Przepraszam — powiedział. — Miałem mały atak, coś w rodzaju halucynacji...

— Chce pan, żebym to zrobił jeszcze raz? — zapytał gość.

— O Boże, nie! To pan rzeczywiście przeszedł przez drzwi? Ale się głupio władowałem.

Edelstein wrócił do kanapy i usiadł ciężko. Mężczyzna zajął miejsce obok na krześle.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytał gospodarz.

— Ten numer po prostu oszczędza mi czasu — wyjaśnił mężczyzna. — Poza tym załatwia sprawę mojej wiarygodności. Nazywam się Charles Sitwell i zajmuję się badaniem rynku z ramienia Szatana.

Edelstein uwierzył mu. Usiłował przypomnieć sobie jakąś modlitwę, ale zapamiętał jedynie tę, którą odmawiał przy krojeniu chleba na letnim obozie, w którym brał udział jako chłopak. Prawdopodobnie i tak na nic by się nie zdała. Znał także Ojciec Nasz, ale ta modlitwa przecież nawet nie pochodziła z jego religii. A może tak hymn narodowy...

— Niech się pan nie denerwuje powiedział Sitwell. — Nie przyszedłem tu po pańską duszę, nic z tych starych niemodnych bzdur.

— Ale niby na jakiej podstawie mam panu uwierzyć? — zapytał Edelstein.

— Niech pan sam do tego dojdzie — odparł Sitwell. — Niech pan weźmie pod uwagę choćby same wojny. Od pięćdziesięciu lat nic, tylko bunty i rewolucje. Dla nas oznacza to niespotykaną wprost podaż potępionych Amerykanów, Wietcongów, Nigeryjczyków, Biafrańczyków, Indonezyjczyków, obywateli RPA, Rosjan, Hindusów, Pakistańczyków i Arabów. Żydów też, z przykrością muszę powiedzieć. Ściągamy coraz więcej Chińczyków, a zupełnie ostatnio bardzo nam się ożywił rynek południowoamerykański. Mówiąc szczerze, panie Edelstein, dławimy się już duszami. Jeżeli w tym roku wybuchnie jeszcze jedna wojna, to będziemy musieli ogłosić amnestię na grzechy powszednie.

Edelstein przemyślał sprawę.

— To pan rzeczywiście nie przyszedł po to, żeby mnie zabrać do piekła?

— Do diabła, nie! — powiedział Sitwell. — Mówiłem panu przecież, że mamy listę oczekujących jak stąd do Peter Cooper Village. Piekło dosłownie trzeszczy w szwach.

— No więc... to po co pan tu przyszedł?

Sitwell założył noga na nogę i pochylił się z powagą.

— Panie Edelstein, musi pan zrozumieć, że piekło bardzo przypomina koncerny U.S. Steel i L.T. and T. Stanowimy potężną instytucję i działamy w mniejszym czy większym stopniu na zasadzie monopolu. Ale, jak każde duże towarzystwo, jesteśmy w służbie publicznej i zależy nam na dobrej opinii.

— To się trzyma kupy — przyznał Edelstein.

— Ale odwrotnie niż Ford, nie możemy ustanowić fundacji i rozdawać stypendiów i dotacji. Ludzie by tego nie zrozumieli. Z tych samych względów nie budujemy wzorcowych miast i nie walczymy z zanieczyszczeniem środowiska. Nie moglibyśmy nawet zbudować tamy w Afganistanie, żeby nie zakwestionowano naszych motywów.

— Rozumiem, w czym problem — rzekł Edelstein.

— Ale mimo to chcielibyśmy coś robić. Dlatego od czasu do czasu, zwłaszcza teraz, przy tak korzystnej koniunkturze, przeznaczamy niewielką premię do rozdzielenia pomiędzy przypadkowo wybranych potencjalnych klientów.

— Ja? Wasz klient?

— Nikt przecież nie robi z pana grzesznika — podkreślił Sitwell. — Powiedziałem: potencjalnych, a to może oznaczać dosłownie każdego.

— Och... a na czym polega to premia?

— Trzy życzenia — odparł z ożywieniem Sitwell. — Stara tradycyjna forma.

— Zaraz, sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem — rzekł Edelstein. — Mam wymienić trzy dowolne życzenia? I żadnej kary, żadnych ukrytych „ale” czy „jeśli”?

— Owszem, jest jedno „ale” — odparł Sitwell.

— Wiedziałem — westchnął Edelstein.

— Sprawa jest bardzo prosta. O cokolwiek pan poprosi, pański najgorszy wróg dostanie tego dwa razy tyle.

Edelstein zastanowił się.

— To znaczy, że gdybym poprosił o milion dolarów...

— To pański wróg dostanie dwa miliony.

— A gdybym tak poprosił o zapalenie płuc?

— To pański najgorszy wróg dostanie obustronnego zapalenia płuc. Edelstein ściągnął usta i potrząsnął głową.

— Nie chciałbym was uczyć waszego fachu, ale chyba zdajecie sobie sprawę, że stosując taka klauzulę wystawiacie na próbę dobre serce klienta.

— Owszem, jest w tym pewne ryzyko, ale niezbędne z kilku powodów — rzekł Sitwell. — Otóż, widzi pan, ta klauzula pełni funkcję czegoś w rodzaju psychicznego sprzężenia zwrotnego, które pomaga utrzymać homeostaz.

— Przykro mi, ale nie bardzo pana rozumiem — odparł Edelstein.

— Spróbuję to wyrazić w ten sposób. Ta klauzula w pewnym sensie ogranicza te trzy życzenia, utrzymując je w granicach zdrowego rozsądku. Pragnienie to potężna siła.

— Mogę sobie wyobrazić. Czy jest jeszcze jakiś inny powód?

— Powinien już się pan był sam go domyślić — rzekł Sitwell obnażając wyjątkowo białe zęby w czymś, co miało przypominać uśmiech. — Tego rodzaju klauzula to nasz znak fabryczny. Można po nim poznać przedziwnie piekielny towar.

— Rozumiem, rozumiem — powiedział Edelstein. — Potrzebuję jednak trochę czasu do zastanowienia.

— Ważność mojej oferty wynosi trzydzieści dni. — Sitwell wstał. — Jeśli zdecyduje się pan na wyrażenie życzeń, wystarczy, że je pan sformułuje — głośno i dobitnie. Reszta należy do mnie.

Sitwell ruszył do drzwi.

— Jest jeden problem — powiedział Edelstein — o którym powinienem chyba wspomnieć.

— Mianowicie?

— Tak się akurat składa, że nie mam najgorszego wroga. Szczerze mówiąc, w ogóle nie mam wroga na całym świecie.

Sitwell zaśmiał się rubasznie, a następnie otarł oczy fiołkową chustką.

— Edelstein! Czy pan przypadkiem nie przesadza? Nie ma pan wroga na całym świecie? A pański kuzyn Seymour, któremu nie chciał pan pożyczyć pięciuset dolarów na otwarcie pralni? Czy on się nagle stał pańskim przyjacielem?

— Nie pomyślałem o Seymourze — przyznał Edelstein.

— A co pan powie o pani Abramowitz, która spluwa na sam dźwięk pańskiego imienia, ponieważ nie chciał się pan ożenić z jej Marjorie? A Tom Cassidy spod numeru 1C, który ma pełny zbiór mów Goebbelsa i co noc mu się śni, że wyrzyna w pień wszystkich żydów na całym świecie, poczynając od pana? Panie... czy pan ma dobrze w głowie?

Siedzący na kanapie Edelstein zrobił się biały jak ściana i znów zacisnął mocno ręce.

— Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— Nikt sobie nie zdaje sprawy — rzekł Sitwell. — Ale co się pan przejmuje, sześciu czy nawet siedmiu wrogów to drobiazg; zapewniam pana, że jest pan dużo poniżej średniej, jeśli chodzi o współczynnik nienawiści.

— Kto jeszcze — zapytał Edelstein ciężko dysząc.

— Nie powiem panu — odrzekł Sitwell. — Byłoby to dodatkowe zbędne obciążenie.

— Ale przecież ja muszę wiedzieć, kto jest moim największym wrogiem! Cassidy? Uważa pan, że powinienem kupić pistolet?

Sitwell potrząsnął głową.

— Cassidy jest niegroźnym półgłówkiem. Nie podniesie na pana nawet palca, może mi pan wierzyć. Pańskim największym wrogiem jest Edward Samuel Manowitz.

— Jest pan pewien? — zapytał Edelstein z niedowierzaniem.

— Całkowicie pewien.

— Ale przecież Manowitz to mój najlepszy przyjaciel.

— A zarazem i pański najgorszy wróg. Tak to czasami bywa. Do widzenia, panie Edelstein, i wszystkiego najlepszego w sprawie pańskich trzech życzeń.

— Chwileczkę! — wykrzyknął Edelstein. Cisnęło mu się na usta milion pytań, ale był skrepowany, więc zapytał tylko:

— Jak to jest możliwe, żeby piekło było takie przeładowane?

— Bo tylko niebo nie ma granic — odparł Sitwell.

— A co do nieba, też pan jest zorientowany?

— Oczywiście. To organ założycielski. No, ale ja już naprawdę muszę iść. Jestem umówiony w Poughkeepsie. Wszystkie dobrego, panie Edelstein.

Sitwell pomachał mu ręką, odwrócił się i przeszedł przez zamknięte drzwi.

Edelstein siedział bez ruchu przez pięć minut. Myślał o Eddim Manowitzu. Najgorszy wróg! To śmieszne; jeśli chodzi o tę informację, to już się z pewnością musiały piekłu druty popłatać. Zna Manowitza od dwudziestu lat, widują się niemal codziennie, grają w szachy i w remika. Chodzą na spacer i do kina i przynajmniej raz na tydzień jedzą razem kolację.

To prawda, że Manowitzowi zdarza się nie panować nad językiem i potrafi przekroczyć granice dobrego smaku.

Czasem Manowitz bywa naprawdę ordynarny. Mówiąc szczerze, nieraz go obraził.

— Ale przecież jesteśmy przyjaciółmi — powiedział sam do siebie Edelstein. — No, jesteśmy przyjaciółmi, tak czy nie?

Sprawdzenie, czy to prawda, nie przedstawia większych trudności — stwierdził. Może zażądać na przykład miliona dolarów. Dla Manowitza oznaczałoby to dwa miliony. I co z tego? Co jemu, bogatemu człowiekowi, może przeszkadzać, że jego najlepszy przyjaciel jest bogatszy?

Owszem! Przeszkadzałoby mu! I to cholernie! Myśl, że taki cwaniaczek jak Manowitz wzbogacił się na jego życzenie, doprowadzałyby go do szału.

— Mój Boże! — pomyślał Edelstein. Jeszcze godzinę temu byłem biedny, ale szczęśliwy. A teraz mam przed sobą perspektywę spełnienia trzech życzeń i wroga.

Spostrzegł, że znów wykręca sobie ręce. Potrząsnął głową. Musi to jednak przemyśleć.

W następnym tygodniu Edelstein wziął urlop i dzień i noc siedział z piórem i notesem w ręku. Początkowo myśl jego natrętnie krążyła wokół zamków. Zamki pasowały jakoś do takich życzeń. Ale jak się nad tym zastanowił, nie była to taka prosta sprawa. Jeśli się wzięło przeciętny zamek z marzeń, taki z kamiennymi murami grubości dziesięciu stóp, z otaczającym go dziedzińcem, i wszystkim, powstał problem utrzymania obiektu. A ogrzewanie, a kilkoro służby — bez tego to wszystko byłoby śmieszne.

Zawsze więc kończyło się jednak na pieniądzach.

Zupełnie przyzwoity zamek mógłbym utrzymać za dwa tysiące dolarów tygodniowo, pomyślał Edelstein, pospiesznie zapisując w notatniku jakieś cyfry. Ale to by oznaczało, że Manowitz będzie miał dwa zamki plus cztery tysiące dolarów na utrzymanie tygodniowo!

W następnym tygodniu Edelstein miał już zamki z głowy i gorączkowo rozważał nieograniczone możliwości i kombinacje podróży. Czy to nie będzie za dużo, jak zażąda podróży dookoła świata? Może za dużo; nie wiedział, czy da radę. Oczywiście lato w Europie — bardzo proszę. Nawet dwutygodniowy urlop w „Fontainebleau” w Miami Beach na zregenerowanie skołatanych nerwów.

Ale dla Manowitza oznacza to podwójny urlop! Jeżeli Edelstein zatrzyma się w „Fontainebleau”, Manowitz weźmie apartament w Colony Club w Key Largo. I będzie dwa razy dłużej.

Chyba lepiej pozostać biednym i nie stwarzać Manowitzowi takiej okazji. Chyba, ale nie na pewno.

W ostatnim tygodniu Edelstein był już zły, doprowadzony do rozpaczycy stał się nawet cyniczny. Pomyślał: skończony idiota, skąd możesz wiedzieć, że to wszystko nie jest bzdura.

Wielka rzecz, że Sitwell przenika przez zamknięte drzwi?

Z tego jeszcze nie wynika, że jest czarodziejem. Może w ogóle niepotrzebnie się martwię?

Ku własnemu zaskoczeniu wstał nagle i głośno, stanowczo zażądał:

— Chcę mieć dwadzieścia tysięcy dolarów, i to natychmiast.

Poczuł lekki nacisk na prawy pośladek. Wyciągnął portfel. Znalazł w nim wystawiony na siebie potwierdzony czek na dwadzieścia tysięcy dolarów.

Poszedł do swojego banku i zrealizował czek trzęsąc się ze strachu, że go lada chwila capnie policja. Dyrektor banku spojrział na czek i podparał go. Kasjer spytał Edelstein, jakie sobie życzy banknoty. Edelstein polecił mu zapisać to na jego konto. Kiedy wychodził z banku, wpadł tam właśnie Manowitz z wyrazem strachu, radości i osłupienia na twarzy...

Edelstein pospieszył do domu, zanim Manowitz zdążył otworzyć usta. Do końca dnia bolał go żołądek.

Kretyn! Zażądał tylko głupich dwudziestu tysięcy! A Manowitz dostał czterdzieści!

Można było skończyć ze zdenerwowania.

Nastroje Edelsteina wahały się pomiędzy apatią a wściekłością. Wrócił ból żołądka, co prawdopodobnie oznaczało wrzód.

To jest jednak cholernie niesprawiedliwe. Przecież nie wpędzi się do grobu przejmując się Manowitem.

Owszem, dlaczego nie. Ponieważ teraz już nie miał wątpliwości co do tego, że Manowitz jest jego wrogiem, i myśl o tym, że jego wróg się dzięki niemu wzbogaci, dosłownie go zabijała.

Zastanowił się nad tym i powiedział sobie: posłuchaj mnie Edelstein, tak dalek nie możesz, musisz wreszcie i ty mieć z tego jakąś satysfakcję!

Ale w jaki sposób?

Przechadzał się po mieszkaniu tam i z powrotem; ból musiał być z pewnością spowodowany wrzodem żołądka, bo czymże by jeszcze?

Wreszcie — tak, ma! Edelstein przestał spacerować. Przewrócił dziko oczami, złapał papier i ołówek i dokonał błyskawicznego obliczenia. Kiedy skończył, zaczerwieniony i podniecony, po raz pierwszy od wizyty Sitwella poczuł się szczęśliwy. Wstał i wykrzyknął:

— Chcę sześćset funtów siekanych kurzych wątróbek, i to natychmiast. W ciągu pięciu minut zaczęli walić dostawcy. Edelstein zjadł kilka ogromnych porcji wątróbki, dwa funty schował do lodówki i prawie całą resztę sprzedał dostawcy na pniu za pół ceny zarabiając na tym ponad siedemset dolarów. Siedemdziesiąt pięć funtów, które przeoczyli, musiał zabrać dozorca. Edelstein konał ze śmiechu na myśl o Manowitem, który stoi u siebie w mieszkaniu po szyję w siekanej wątróbce.

Ale jego radość trwała krótko. Dowiedział się bowiem, że Manowitz zatrzymał dla siebie dziesięć funtów (zawsze miał ogromny apetyt), pięć funtów dał w prezencie małej, niepozornej wdowie; na której zawsze usiłował zrobić wrażenie, a resztę sprzedał dostawcy obniżając mu cenę o jedną trzecią i zarabiając na tym ponad dwa tysiące dolarów.

— Jestem najgorszym idiotą na świecie — pomyślał. Za chwilę głupiej satysfakcji poświęcę życzenie warte, skromnie licząc, sto milionów dolarów. I co ja z tego mam? Dwa funty siekanej wątróbki z drobiu, kilkaset dolarów i dozgonną wdzięczność dozorca!

Zdawał sobie sprawę, że ta prymitywna zawiść go wykończy.

Zostało mu już tylko jedno życzenie. Teraz mądre wykorzystanie tej ostatniej okazji stało się sprawą zasadniczej wagi. Ale musi poprosić o coś, co mu jest bardzo potrzebne, a czego by sobie Manowitz w żadnym razie nie życzył.

Minęły cztery tygodnie. Pewnego dnia Edelstein uświadomił sobie ponuro, że termin upływa. Łamał sobie głowę, po to jednak jedynie, żeby potwierdzić swoje najgorsze podejrzenia: że Manowitz lubi wszystko to co i on. Manowitz lubił bowiem: zamki, urlopy, kobiety, wino, muzykę i jedzenie. O czymkolwiek pomyślał, Manowitz małpował go we wszystkim.

Nagle przypomniał sobie. Otóż Manowitz — dziwny kaprys podniebienia — nie znosi wędzonego łososa, nawet najlepszego.

Edelstein modlił się: Dobry Boże, który rządysz niebem i piekłem, miałem do dyspozycji trzy życzenia i dwa zmarnowałem. Wysłuchaj mnie, Boże, nie chciałbym być niewdzięczny, ale pytam cię: czy człowiek, któremu zagwarantowano spełnienie trzech życzeń, nie ma prawa lepiej ich wykorzystać, niż ja to zrobiłem. Czy nie powinno mu się przydarzyć coś dobrego bez nabijania kabzy Manowitzowi, jego najgorszemu wrogowi, który nawet palcem nie kiwnie, tylko zgarnia wszystko podwójnie, bez najmniejszego wysiłku czy przykrości!

Wybiła ostatnia godzina. Edelstein był spokojny jak człowiek, który już się pogodził ze swoim losem. Zrozumiał, że jego nienawiść do Manowitza, jest bezcelowa, niegodna. Z nową, pełną słodczy pogodą powiedział sobie: a teraz poproszę o coś, na czym mnie, Edelsteinowi, osobiście zależy. Jeśli i Manowitz musi na tym zyskać, to już trudno, nie ma rady.

Edelstein stanął wyprostowany i powiedział:

— To jest moje ostatnie życzenie. Zbyt długo byłem kawalerem. Potrzebna mi jest kobieta, z którą mógłbym się ożenić. Powinna mieć około 162 centymetrów wzrostu, ważyć około 52 kilogramów i być oczywiście zgrabną naturalną blondynką. Powinna być przy tym inteligentna, praktyczna, zakochana we mnie, naturalnie żydówka, ale zmysłowa i wesoła...

Umysł Edelsteina nabrał wyższych obrotów!

— A szczególnie — dodał — powinna... nie bardzo wiem, jak to wyrazić... powinna stawiać najwyższe, jakim tylko potrafiłbym sprostać, wymagania czysto seksualne. Rozumiesz, o co mi chodzi, Sitwell? Delikatność nie pozwala mi precyzować tego dokładniej, ale gdyby istniała potrzeba dalszych wyjaśnień...

Rozległo się lekkie, jak gdyby zmysłowe stukanie do drzwi. Edelstein chichocząc poszedł otworzyć. Ponad dwadzieścia tysięcy dolarów, dwa funty siekanej wątróbki i teraz to! Mam cię,

Manowitz, pomyślał. Dwa razy tyle, ile mężczyzna może. Tego się nie życzy najgorszemu wrogowi — a ja życzę!

Tłum: Zofia Uhrynowska–Hanasz

Starting from Scratch

Sen

Ostatniej nocy miałem bardzo dziwny sen. Śniło mi się, że przemówił do mnie głos: „Wybacz, że przerywam ci pierwszy sen, ale mam niecierpiący zwłoki problem i tylko ty możesz mi pomóc w jego rozwiązaniu”.

Śniło mi się, że odpowiedziałem:

— „Nie musisz przeproszać, jeszcze na dobre nie zasnęłam i jeśli mogę ci w czymś pomóc...” „W tobie cała nadzieja — odparł głos — bo inaczej ja i moi ludzie jesteśmy zgubieni”.

— „Chryste” — powiedziałem.

Nazywał się Froka i był członkiem bardzo starożytnej rasy. Żyli od niepamiętnych czasów w rozległej dolinie, otoczonej gigantycznymi górami. Byli społecznością nastawioną pokojowo i z biegiem czasu wydali na świat paru wybitnych artystów. Odznaczyli się niezłomnymi zasadami i wychowywali swe dzieci w duchu miłości bliźniego i poszanowania prawa. Chociaż niektórzy z nich przejawiali skłonność do alkoholu i chociaż nieobce im było nawet pojęcie morderstwa w afekcie, to jednak uważali siebie za uczciwe i zacne istoty rozumne, które...

Przerwałem mu.

— Czekał, no! Nie możesz przejść od razu do tego niecierpiącego zwłoki problemu?

Froka przeprosił za rozwlekłość swych wywodów, ale wyjaśnił, że w jego świecie standardowa forma przedkładania próśb obejmuje drobiazgową deklarację moralnej prawości petenta.

— O’kay — powiedziałem. — Przejdźmy do tego problemu.

Froka wziął głęboki wdech i zaczął. Powiedział mi, że około stu lat temu (według ich rachuby czasu), z niebios opadł ogromny, czerwono-żółty słup, lądując w pobliżu statuy Nieznanego Boga, przed frontonem ratusza ich trzeciego pod względem wielkości miasta.

Słup ten był z grubsza cylindryczny i miał około dwóch mil średnicy. W górę wykraczał poza zasięg ich przyrządów, wbrew wszelkim prawom natury. Zbadawszy go twierdzili, że jest odporny na ciepło, na zimno, na działanie bakterii, na bombardowanie protonami i tak właściwie na wszystko inne, co im przychodziło do głowy. Stał tam, nieruchomy i niepojęty, przez dokładnie pięć miesięcy, dziewiętnaście godzin i sześć minut.

Potem, bez jakiegokolwiek powodu, słup zaczął się przemieszczać w kierunku północno-zachodnim. Jego średnia prędkość wynosiła 78,881 mil na godzinę (według ich miary prędkości). Wyciął bliznę o długości 183,223 mil i szerokości 2,011 mili, po czym znikł.

Zwołane sympozjum autorytetów naukowych nie potrafiło w żaden racjonalny sposób wyjaśnić tego wydarzenia. Oświadczyli w końcu, że było ono niewytłumaczalne, unikalne i że nie może drugi raz się powtórzyć.

Ale powtórzyło się znowu, w miesiąc później, i to w stolicy. Tym razem cylinder, poruszając się na pozór chaotycznymi zrywami, przebył w sumie 820,331 mil. Szkód materialnych nie dało się oszacować, a liczba ofiar śmiertelnych przekraczała kilka tysięcy.

W dwa miesiące i jeden dzień po tym wydarzeniu, słup powrócił ponownie, przemykając w wielkim pędzie przez trzy główne miasta. Teraz już każdy zdawał sobie sprawę, że jakieś niezbadane, i być może niemożliwe do zbadania zjawisko, zagraża nie tylko jego własnemu życiu, ale również całej cywilizacji, samemu istnieniu jego rasy.

Świadomość tego wywołała powszechną rozpacz wśród ogółu ludności. Nastroje przechodziły gwałtowną metamorfozę od zbiorowej hysterii do głębokiej apatii.

Czwarty atak miał miejsce na nieużytkach, na wschód od stolicy. Wyrządzone w wyniku niego szkody były minimalne. Tym razem jednak wybuchła masowa panika, której rezultatem była przerażająco wielka liczba samobójstw.

Sytuacja stawała się rozpaczliwa. Teraz, obok oficjalnych gałęzi nauki, na plac boju wkroczyły pseudonauki. Nie pogardzano żadną pomocą, nie lekceważono żadnej hipotezy, czy to wysuwanej przez biochemika, przez chiromantę czy też przez astronoma. Nie wolno było pominąć najdziwniejszych nawet teorii, zwłaszcza po tej straszliwej nocy, kiedy to całkowitej anihilacji uległo piękne i starożytne miasto Zar, a wraz z nim dwa jego przedmieścia.

— Chwileczkę — powiedziałem. — Przykro mi bardzo, że macie takie kłopoty, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

— Właśnie do tego zmierzam — odparł głos.

— No to mów dalej — powiedziałem — ale radzę ci się pośpieszyć, bo czuję, że się niedługo obudzę.

— Moja rola w tym wszystkim jest raczej trudna do wytłumaczenia — ciągnął Froka. — Z zawodu jestem dyplomowanym księgowym, ale prywatnie interesuję się różnymi metodami poszerzania percepcji zmysłowej. Ostatnio eksperymentowałem ze związkami chemicznymi, które nazywamy „kola” i które wywołują często stany głębokiego rozjaśnienia umysłu...

— My też mamy podobne związki — wtrąciłem.

— Zatem rozumiesz! No więc, kiedy byłem w transie — też używacie tego określenia? Kiedy znajdowałem się, że tak powiem, pod wpływem, spłynęło na mnie objawienie. Stało się to w sposób całkowicie dla mnie niepojęty... Ale to tak trudno wyjaśnić.

— Wal dalej — wtrąciłem niecierpliwie — dojdź wreszcie do sedna sprawy.

— No więc — powiedział głos — uświadomiłem sobie nagle, że mój świat istnieje jednocześnie na wielu poziomach — atomowym, subatomowym, płaszczyzn oscylacyjnych, na nieskończonej liczbie poziomów rzeczywistości, z których każdy jest również częścią innych poziomów istnienia.

— Wiem o tym — powiedziałem z podnieceniem. — Niedawno stwierdziłem to samo w odniesieniu do mojego świata.

— Tak więc stało się dla mnie oczywiste — ciągnął dalej Froka — że naruszony został jeden z naszych poziomów.

— Czy mógłbyś być bardziej precyzyjny? — zapytałem.

— Mam wrażenie, że mój świat doświadcza naruszenia swych granic na poziomie molekularnym.

— Nadzwyczajne — powiedziałem, ale czy zdołałeś odkryć istotę tego naruszenia?

— Wydaje mi się, że tak — powiedział głos. — Ale nie mam żadnych dowodów. Opieram się jedynie na intuicji.

— Sam wierzę w intuicję — oświadczyłem. — Powiedz mi co stwierdziłeś.

— No więc, sir — powiedział z wahaniem głos — doszedłem do wniosku intuicyjnie — że mój świat jest twoim mikroskopijnym pasożytem.

— Wyrażaj się jaśniej!

— W porządku! Odkryłem, że w jednym aspekcie, w jednej płaszczyźnie rzeczywistości, mój świat istnieje między drugą, a trzecią kostką twojej lewej dłoni. Istniał tam od milionów naszych lat, które są dla ciebie minutami. Nie mogę, oczywiście, tego dowieść i nie winię cię broń Boże...

— Dobrze, dobrze — powiedziałem. Twierdzisz więc, że twój świat znajduje się między drugą, a trzecią kostką mojej lewej dłoni. Niech ci będzie. Co mogę w tej sytuacji uczynić?

— No więc, sir, przypuszczam, że ostatnio zaczął się pan drapać w rejonie mojego świata.

— Drapać?

— Tak myślę.

— I twierdzisz, że ten wielki, siejący zniszczenie słup, to jeden z mnych palców?

— Właśnie.

— I chcesz, żebym przestał się drapać.

— Tylko w pobliżu tego miejsca — powiedział pośpiesznie głos. — Zdaję sobie sprawę z tego, jak kłopotliwe będzie dla ciebie spełnienie mej prośby, ale czynię to tylko po to, aby ocalić mój

świat od całkowitego zniszczenia i przepraszam...

— Nie ma za co — przerwałem. Stworzenia rozumne nie powinny się niczego wstydzić.

— To miłe z twojej strony, że tak mówisz — powiedział głos. — pomimo że wiesz, iż nie jesteśmy ludźmi i pasożytujemy na tobie nie mając do tego żadnego prawa.

— Wszystkie stworzenia rozumne powinny trzymać się razem — powiedziałem. — Masz moje słowo, że już nigdy, jak długo będę żył, nie podrapię się między pierwszą a drugą kostką mojej lewej dłoni.

— Między drugą a trzecią — przypomniał mi.

— Że nigdy więcej nie podrapię się między żadną kostką mojej lewej dłoni! To jest uroczyste ślubowanie i obietnica, której dotrzymam, dopóki starczy mi tchu w piersiach.

— Sir — powiedział głos — ocaliłeś mój świat. Nie wiem jak ci dziękować, ale ci dziękuję.

— Nie ma o czym mówić — powiedziałem.

Potem głos ucichł i obudziłem się. Przypomniawszy sobie ten sen, z miejsca zakleiłem wszystkie kostki mojej lewej dłoni plastrem. Nie zwracałem uwagi na jakiegokolwiek swędzenie w tym rejonie i nawet nie myślałem lewej ręki. Nosilem ten plaster przez cały dzień.

Mam zamiar go zerwać pod koniec przyszłego tygodnia. Obliczyłem, że powinno to im dać, według ich rachuby czasu, około dwudziestu, czy nawet trzydziestu miliardów lat, co jest chyba wystarczająco długim okresem czasu dla każdej rasy.

Ale to już nie moje zmartwienie. Niepokoją mnie teraz pewne nieprzyjemne przeczucia, które zaczęły mnie ostatnio prześladować, a związane z trzęsieniami ziemi wzdłuż uskoku San Andreas i wznowioną aktywnością wulkaniczną w centralnym Meksyku. Wszystko to z czymś mi się kojarzy i boję się.

Wybacz więc, że przerywam ci twój pierwszy sen, ale mam niecierpiący zwłoki problem i tylko ty możesz mi pomóc w jego rozwiązaniu...

przekład: Jacek Manicki

The Mnemone

Mnemon

Dzień, w którym przyszedł Mnemon, był wielkim dniem dla naszej wioski. Z początku nie połączyliśmy się, kim jest, gdyż ukrywał przed nami swoją tożsamość. Przedstawiał się jako Edgar Smith, specjalista od napraw mebli. Oba oświadczenia przyjęliśmy bez zastrzeżeń, tak jak w ogóle przyjmowaliśmy wszelkie oświadczenia. Nigdy przedtem nie znaleźliśmy nikogo, kto miałby cokolwiek do ukrycia.

Przyszedł do wioski pieszo, z plecakiem i obszarpaną walizką. Rozejrzał się po sklepach i domach. Podszedł do mnie i zapytał:

— Gdzie komenda policji?

— U nas nie ma — odparłem.

— Naprawdę? W takim razie miejscowy szef policji albo szeryf?

— Posterunkowym był u nas Luke Johnson, przez dziewiętnaście lat — wyjaśniłem. — Tylko że dwa lata temu Luke zmarł. Zgodnie z przepisami powiadomiliśmy o tym władze okręgu. Ale jakoś nikogo nie przysyłają na jego miejsce.

— To co, sami się pilnujecie?

— U nas ludzie żyją spokojnie. Nikt w wiosce nie łamie prawa. A czemu Pan pyta ?

— Bo chcę wiedzieć — odparł Smith, niewiele tym wyjaśniając. — Odrobina wiedzy jest mniej szkodliwa niż wielka niewiedza, mam rację? Nic już, nic, mój pustooki przyjacielu. Podoba mi się tu u was. Podobają mi się drewniane domy i te potężne wiązy. Podoba mi się...

— Potężne — co?

— Wiązy — powtórzył wskazując rosłe drzewa wzdłuż głównej ulicy. Nie wiesz, że tak się nazywają?

— Nazwa poszła w zapomnienie — odparłem z pewnym zażenowaniem.

— Nie szkodzi. Wiele rzeczy przepadło, niektóre ukryto. Ale przecież nazwa drzewa to nic zdrożnego. A może tak?

— Nie, na pewno nie — uspokoiłem go. — Wiązy.

— Nie mów nikomu — mrugnął do mnie. — To tylko okrucieństwo wiedzy, ale nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. Zostanę u was w wiosce przez jakiś czas.

— Serdecznie zapraszamy. Szczególnie teraz, w żniwa.

Smith spojrział na mnie karcąco.

— Ja z tym nie mam nic wspólnego. Nie bierzesz mnie chyba za byle obrywacza jabłek?

— W ogóle za nic pana nie biorę. A co pan chce tu robić?

— Naprawiam meble — powiedział Smith.

— W takiej małej wiosce nie będzie pan miał wielkiego powodzenia.

— No to może zajmę się czymś innym. — Znienacka odsłonił zęby w uśmiechu. — Na początek potrzebna mi kwatery.

Zaprowadziłem go do wdowy Marsini, u której wynajął duży pokój z werandą i oddzielnym wejściem. Załatwił też sobie, że będzie jadał na miejscu.

Jego przybycie otwarło tamę plotkom i domysłom. Pani Marsini twierdziła, że skoro Smith pyta o policję, to najlepszy dowód; że sam jest policjantem.

— Oni właśnie tak działają — mówiła. — Znaczą, działali, kiedyś. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu co trzecia osoba była jakoś tam powiązana z policją. Czasami własne dzieci pracowały dla policji i jak przyszło co do czego, zamykały rodziców tak sarno łatwo jak obcych. Albo i łatwiej!

Inni jednak dowodzili, że wszystko, o czym mówi pani Marsini, należy do przeszłości, że teraz panuje spokój i że policjantów widuje się niezwykle rzadko, chociaż krążą pogłoski, że oni nadal istnieją.

Tylko po co ten Smith do nas przyszedł? Jedni uważali, że po to, żeby nam coś zabrać. „Po co innego obcy przychodziłby do takiej małej wioski?” A drudzy twierdzili, że przyszedł nam coś dać i na poparcie cytowali ten sam argument.

Tak naprawdę to nikt nie wiedział. Pozostawało nam czekać, aż Smith sam zechce ujawnić prawdę o sobie.

Żył wśród nas jak zwyczajny człowiek. Sporo wiedział o świecie; uznaliśmy, że musiał wiele podróżować. Wreszcie, pomału, zaczął nam sygnalizować swoją prawdziwą tożsamość.

Któregoś dnia zaprowadziłem go na wzgórze, skąd widać całą naszą dolinę. Jesień była już w pełni, piękna pora. Smith rozejrzał się z góry i pochwalił widok.

— Ten widok przywodzi mi na myśl słynny aforyzm Williama Jamesa — powiedział. — Jak to

szło? „Krajobraz odciska się w ludzkiej świadomości trwalej niż jakikolwiek inny element życia”. Celnie sformułowane, prawda?

— A kto to jest czy był William James?

Smith puścił do mnie oko.

— Wymieniłem takie nazwisko? Przejęzyczenie, mój chłopcze.

Nie było to bynajmniej ostatnie „przejęzyczenie”. W kilka dni później pokazałem Smithowi nieładne zbczce porośnięte skarłalą sośniną, kołtunem niskich krzaków i chwastami.

— Tu się paliło pięć lat temu wyjaśniłem. — Z tego kawałka nie ma już żadnego pożytku.

— Ach tak — powiedział Smith. A jednak, jak nas poucza Montaigne, w przyrodzie nic nie jest bezużyteczne, nawet sama bezużyteczność.

A jeszcze później, idąc przez wioskę, zatrzymał się z podziwem przed późno kwitnącymi peoniami pani Vogel.

— Kwiaty istotnie mają spojrzenia dzieci, a usta starców... Dokładnie tak, jak to zauważył Chazal.

Pod koniec tygodnia zebraliśmy się w kilku na zapleczu sklepu Edmondsa, żeby pogadać o panu Edgarze Smith. Wspomniałem, co Smith mi mówił. Bill Edmonds przypomniał sobie, że Smith cytował faceta nazwiskiem Emerson; chodziło o to, że życie w samotności jest nie do osiągnięcia, a życie w społeczeństwie prowadzi do zguby. Billy Foreclough powiedział nam, że Smith cytował mu Iona z Chios: że Przypadek i Sztuka to dwie zasadniczo różne rzeczy, a jednak ich owoce są często takie same. Ale z najlepszym wystąpiła pani Gordon; zdanie, które Smith jej powiedział, pochodziło od wielkiego Leonarda da Vinci: obietnice zaczynają się tam, gdzie umiera nadzieja.

Spojrzeliliśmy po sobie i nikt nic nie mówił. Dla wszystkich było jasne, że pan Edgar Smith — czy jak tam się naprawdę nazywał — nie był takim sobie zwykłym naprawiaczem mebli.

Wreszcie ująłem w słowa to, co wszystkim nam chodziło po głowie:

— Koledzy — oświadczyłem. — Wszystko wskazuje na to, że ten człowiek jest Mnemonem.

Mnemoni jako klasa społeczna wypłynęli w ostatnim roku Wojny, Która Położyła Kres Wszystkim Wojnom. Ich jedyną funkcją społeczną było zapamiętywanie dzieł literackich, którym groziło zagubienie, zniszczenie lub zakaz czytania.

Z początku rząd przyklasnął ich wysiłkom, zachęcał do dalszych działań, przyznawał nawet zaliczki i stypendia. Kiedy jednak wojna się skończyła, a do władzy doszli Prezydenci Policyjni, polityka rządu uległa zmianie. Postanowiono raz na zawsze wziąć rozbrat z nieszczęsną przeszłością i zbudować nowy świat, w terażniejszości i tylko z jej elementów. Wszelkie próby sabotażu miały

być bezlitośnie tępione.

Prawomyślni byli zgodni co do tego, że przeważająca część literatury jest w najlepszym razie przegadana, w najgorszym zaś razie — wywrotowa. W końcu, czy warto przechowywać wycpiny takiego złodzieja jak Villon albo pedała jak Genet, czy też schizofrenika jak Kafka? Czy warto trzymać tysiące sprzecznych opinii tylko po to, żeby potem wyjaśniać, czemu są niesłuszne? Czy można oczekiwać od ludzi, aby zachowywali się właściwie i zgodnie z zaleceniami pod tak potężnym gradem różnorodnych wpływów? Jak ich w takich warunkach zmusić do posłuchu?

Rząd wiedział, że wszystko zależy od utrzymania posłuszeństwa.

Aby jednak osiągnąć ten błogosławiony stan, należało wyeliminować elementy różnorodności i dwuznaczności. Największym siedliskiem sprzeczności były teksty historyczne i literackie. Historię zatem należało przepisać, a literaturę uregulować, oczyścić, oswoić, uporządkować albo całkiem odrzucić.

Mnemonom kazano raz na zawsze odczepić się od przeszłości. Naturalnie gwałtownie się temu sprzeciwili. Negocjacje ciągnęły się i ciągnęły, aż wreszcie rząd stracił cierpliwość. Wydano ostateczne rozporządzenie, przewidujące surowe kary dla tych, którzy się nie podporządkują.

Większość Mnemonów zaprzestała działalności. Garstka jednak tylko udawała, że przestaje. Ta garstka stała się nieuchwytną, prześladowaną mniejszością wędrownych nauczycieli, ciągle zmieniających miejsce pobytu, sprzedających swoją wiedzę gdzie i kiedy się da.

Przepyaliśmy człowieka, który podawał się za Edgara Smitha; przyznał się, że jest Mnemonem. Przekazał naszej wiosce hojne dary:

Dwa sonety Williama Shakespeare'a.

Lament Hioba.

Cały jeden akt sztuki Arystofanesa.

Co uczyniwszy, otworzył interes, oferując swój towar mieszkańcom wioski.

Z panem Ogdenem dobił trudnej transakcji, wymuszając całego świniaka za dwie linijki Symonidesa.

Pan Bellington, stary samotnik, dał złoty zegarek za aforyzm Heraklita. Twierdził, że zrobił dobry interes.

Staruszka, pani Heath, wymieniła funt pierza gęsiego za trzy zwrotki poematu pod tytułem „Atalanta w Kaledonii” autorstwa niejakiego Swinburne'a.

Pan Mervin, właściciel restauracji, kupił kompletną krótką odę Katullusa, charakterystykę

Cycerona pióra Tacyta i dziesięć wersów z Katalogu Okrętów Homera. Dał za to wszystkie swoje oszczędności.

Ja sam niewiele miałem, jeśli idzie o pieniądze i dobra materialne. Lecz za wyświadczone mu usługi Smith ofiarował mi jeden akapit z Montaigne'a, powiedzonko przypisywane Sokratesowi i dziesięć wyrwanych z kontekstu wersetów Anakreonta.

Całkiem nieoczekiwanym klientem był pan Lind, który pewnego mroźnego zimowego poranka wkroczył do kantorka Mnemona. Pan Lind był krępy, czerwony na twarzy i porywczy: najlepszy gospodarz w okolicy, który nie cierpiał bzdur i wierzył jedynie w to, co sam zobaczył albo czego dotknął. Był ostatnią osobą, którą można by podejrzewać o chęć zakupu towarów Mnemona. Już prędzej posądziłbym o to policjanta.

— Tak... tego... — odezwał się Lind, energicznie zacierając ręce — Słyszałem o panu i pańskich — niewidzialnych towarach.

— Ja słyszałem o panu — rzekł Mnemon z lekką przyganą w głosie. — Ma pan do mnie jakiś interes?

— Mam, jak Boga kocham! — krzyknął Lind. — Chcę od pana kupić trochę tych pięknych starych słówek.

— Jestem szczerze zdziwiony powiedział Mnemon. — Kto by przypuszczał, że taki prawomyślny obywatel jak pan przyjdzie kupować dobra, które nie dość, że są niewidzialne, to jeszcze nielegalne!

— To nie mój pomysł — wyjaśnił Lind. — Przychodzę tylko po to, żeby sprawić przyjemność żonie, która ostatnio marnie się czuję.

— Marnie? Nic dziwnego — rzekł Mnemon. — Wół roboczy by padł od tej harówki, do której pan ją zmusza.

— Nie twoja sprawa, człowieku! — zaperzył się Lind.

— Owszem, moja — zaprzeczył Mnemon. — W moim fachu nie rozdaje się słów jak popadło. Dopasowujemy tekst do odbiorcy. Czasami nie potrafimy znaleźć nic odpowiedniego i wtedy niczego nie sprzedajemy.

— Myślałem, że sprzedajecie swój towar każdemu, kto chce kupić.

— To źle pan myślał. Znam pewną odę Pindara, której bym panu nie sprzedał za żadne pieniądze.

— Nie masz prawa tak do mnie mówić, człowieku!

— Mówię, jak mi się podoba. Niech pan sobie handluje z kim innym. — Pan Lind purpurowiał, wydymał wargi, stroił miny, ale nie miał wyjścia. Wreszcie powiedział:

— Przepraszam, że się uniosłem. Sprzeda mi pan coś dla żony? W ubiegłym tygodniu były jej urodziny, a ja zapomniałem i dopiero teraz mi się przypomniało.

— Fajny z pana gość — powiedział Mnemon. — Wrażliwy jak nutria, a troskliwy prawie jak rekin! Dlaczego właśnie do mnie pan przychodzi po prezent dla żony? Nie lepiej kupić pożywną maślaną chałkę?

— Nie, nie o to chodzi — rzekł Lind tonem ściszonego i uległego. — Ona od miesiąca leży w łóżku i prawie nic nie je. Wydaje mi się, że niedługo umrze.

— I prosiła o moje słowa?

— Prosiła, żebym jej przyniósł coś ładnego.

Mnemon pokiwał głową.

— Umiera! No cóż, nie będę składał kondolencji człowiekowi, który ją doprowadził do tego błogosławionego stanu, a i dla kobiety, która sobie wybrała takiego męża jak pan, nie mam wielkiego współczucia. Ale mam coś, co jej się spodoba, coś podniosłego, co jej ułatwi odejście. Wyniesie to dla pana głupie tysiąc dolarów.

— Boże miłosierny, człowieku! Nie ma pan nic tańszego?

— Oczywiście, że mam — odrzekł Mnemon. — Mam całkiem przyzwoity komiczny wierszyk w dialekcie szkockim, bez środka — należy do pana za dwieście dolarów. Mam też jedną zwrotkę ody pochwalnej do Generała Kitchenera, która mogę panu odstąpić za dziesięć dolarów.

— I nic poza tym?

— Dla pana nic.

— No to... wezmę ten kawałek za tysiąc — zdecydował się Lind. — Tak, wezmę, jak mi Bóg miły! Sara jest tego warta, co do centa!

— Pięknie powiedziane, choć nieco późno. Teraz proszę uważać. Powiem wiersz.

Mnemon oparł się wygodnie, przymknął oczy i zaczął recytować. Lind słuchał z twarzą napiętą, w skupieniu. I ja też słuchałem, przeklinając niewprawną pamięć i modląc się, żeby mi nie kazano wyjść z pokoju.

Wiersz był długi i bardzo dziwny i piękny. Do dziś mam go w całości. Ale najczęściej przypominają mi się te oto wersy:

Zakłęte wnętrza, okna w groźnych wirach morza,

Jesteśmy ludźmi: dziwacznymi istotami o dziwacznych gustach. Kto by nas podejrzewał o głód tego co niewysłowione? Co to był za głód, że kazał człowiekowi oddać trzy buszle ziarna za jeden aforyzm Gnostyków? Widocznie człowiek musi żywić ducha ale my? Kto by pomyślał? Komu by przyszło do głowy, że cierpimy z niedożywienia, bo brak nam Platona? Czy człowiek może się rozchorować z braku Plutarcha albo umrzeć na niedobór Arystotelesa?

Ja wiem, że tak. Sam widziałem efekty gwałtownego odstawienia Strindberga strindbergomanowi.

Nasza wspólna przeszłość jest nieodzowną częścią każdego z nas, a odebrać nam tę część, znaczy nieuleczalnie nas okaleczyć. Znam kogoś, kto nabrał odwagi dopiero, gdy mu opowiedziano o Epaminondasie, znam też kobietę, która stała się piękna, kiedy usłyszała o Afrodycie.

Zapamiętałym wrogiem Mnemona był nauczyciel z naszej szkoły, pan Vich, który wszystkiego nauczał w wersjach autoryzowanych. Drugim wrogiem Mnemona był Ojciec Dulces, który troszczył się o nasze duchowe potrzeby z ramienia Uniwersalnego Patriotycznego Kościoła Ameryki.

Mnemon godził w oba te autorytety. Mówił nam, że wiele ich nauk to kłamstwa albo fałszywe wersje słynnych powiedzeń, tak przeformułowane, żeby głosiły coś wręcz przeciwnego do intencji autora. A już godzeniem w same podstawy naszej cywilizacji było podważenie przez Mnemona wiarygodności następujących aforyzmów:

Większość ludzi ma niemałe aspiracje.

Najcenniejsze jest życie niezbadane.

Poznaj siebie w dopuszczalnych granicach.

Słuchaliśmy Mnemona i rozmyślaliśmy nad tym, co nam mówił. Powoli, z trudem zaczynaliśmy na nowo myśleć, rozumować, badać świat na własną rękę. A kiedy już do tego doszło, zaczęliśmy też żywić nadzieję.

Neoklasyczny rozkwit naszej wioski był okresem krótkotrwałym, gwałtownym, nieoczekiwanym i dla wszystkich radosnym. Jedno tylko ostrzegło mnie, że kres może być bliski. Pewnego dnia, wczesną wiosną, pomagałem w lekcjach jednemu z dzieci sąsiadów. Dziecko miało nowe wydanie „Historii powszechnej” Dunstera, więc skorzystałem z okazji i przekartkowałem rozdział dotyczący Srebrnego Wieku w Rzymie. Dopiero po kilku minutach połapałem się, że opuszczono Cycerona. Nie było go nawet w indeksie, chociaż figurowały tam nazwiska o wiele mniej znacznych poetów i

mówców. Ciekaw byłem, za jakie to zbrodnie został w ten sposób wstecznie osądzony.

I nagle pewnego dnia, jak grom z jasnego nieba, przyszedł koniec. Do wioski przybyło trzech ludzi. Ubrani byli w szare mundury z mosiężnymi insygniami. Twarze mieli szerokie bez wyrazu, maszerowali sztywno w ciężkich, czarnych butach. Wszędzie chodzili razem i zawsze stawali jeden bardzo blisko drugiego. Nie zadawali pytań. Z nikim nie rozmawiali. Wiedzieli dokładnie, gdzie mieszka Mnemon: popatrzyli na mapę i bez wahania ruszyli pod właściwy adres.

W pokoju Smitha spędzili może z dziesięć minut.

Potem trzech policjanci znów ukazali się na ulicy, maszerując razem, jak jeden mąż. Strzelali oczami w prawo i w lewo; wyglądało na to, że się boją. Szybko opuścili wioskę.

Pochowaliśmy Smitha na wzgórzu, skąd jest widok na całą dolinę, tuż koło miejsca, gdzie po raz pierwszy zacytował Williama Jamesa, pośród późnych, jesiennych kwiatów, które miały spojrzania dzieci i usta starców.

Pani Blake, wbrew powszechnie przyjętym obyczajom, nazwała swego najmłodszego syna Cycero. Pan Lind o swoim jabłkowym sadzie mawia: Xanadu. Ja sam stałem się zagorzałym Zoroastrianinem, od początku do końca na wiarę, gdyż nie wiem o tej religii nic ponad to, że zaleca mówić prawdę i posyłać strzałę prosto przed siebie.

Ale to wszystko bezowocne gesty. Prawda jest taka, że bezpowrotnie utraciliśmy i Xanadu, i Cycerona, i Zoroastro. Co jeszcze straciliśmy? W jakich wielkich bitwach braliśmy udział, jakie budowaliśmy miasta, jakie zdobywaliśmy dżungle? O czym śpiewało się pieśni, o czym śniło się sny? Dzisiaj — zbyt późno — zrozumieliśmy; że nasza inteligencja jest rośliną, która musi tkwić korzeniami w żyznej glebie przeszłości.

Inaczej mówiąc, odebrano nam pamięć zbiorową, najważniejszą część istnienia. Jesteśmy nędzarzami. W zamian za pałace wyobraźni ci, którzy nami rządzą, podarowali nam namacalne gliniane lepianki. Źle wyszliśmy na tej zamianie.

Mocą oficjalnego zarządzenia Mnemona w ogóle nigdy nie było. Specjalnym dekretem zaliczono go do niewyjaśnionych fantazji czy też złudzeń — jak Cycerona. A ja, który to piszę, również wkrótce przestanę istnieć. Będę zakazany, tak jak Cycero i jak Mnemon.

Nic mi już nie pomoże: prawda jest nazbyt krucha, zbyt łatwo rozpada się w żelaznych rękach naszych władców. Nikt mnie nie pomści. Nikt nie będzie o mnie pamiętał. Jeżeli bowiem nawet wielkiego Zoroastra pamiętał w końcu tylko jeden człowiek, a i tego zabito, to jaka może być dla mnie nadzieja?

Pokolenie krów! Owiec! Świń! Nie mamy w sobie nawet tyle ducha co koza! Jeżeli człowiekiem był Epaminondas, jeżeli człowiekiem był Achilles, jeżeli człowiekiem był Sokrates — to czy i my jesteśmy ludźmi?

przekład: Jolanta Kozak

Tripout

Wycieczka

Ukazał się Papajzan w przebraniu człowieka. Pospiesznie sprawdził, czy głowa siedzi należycie. „Nos i stopy tak jak brzucho, z tyłu dupa, z boku ucho” — przepowiedział sobie i dokładnie tak wyglądał.

Wszystkie jego systemy działały. Psychikę miał solidnie przylutowaną do szyszynki, dysponował nawet niewielką duszą na baterie. Był na Ziemi, dziwacznej planecie, w Nowym Jorku, na samym skrzyżowaniu dziesięciu milionów indywidualnych istnień. Chciał sobie grąpnąć, ale nie pozwoliło mu na to ludzkie ciało, wobec tego uśmiechnął się, co była adekwatnym substytutem grąpnienia.

Z budki telefonicznej wyszedł prosto na ulice, pobawić się z ludźmi.

Pierwszą osobą, na którą się natknął, był grubas około czterdziestki. Grubas zatrzymał go i zapytał:

— Hej, szefie, jak stąd będzie najbliżej na róg Czterdziestej Dziewiątej i Broadwayu?

Papazjan odpowiedział bez wahania:

— Proszę pomacać wzdłuż tej ściany, aż natrafi pan na czułe miejsce. Tamtędy przejdzie pan na drugą stronę. Jest to pasaż kosmiczny, który zainstalowali Marsjanie, w czasach kiedy jeszcze istnieli Marsjanie. Wyciągnę pana na rogu Czterdziestej ósmej i Siódmej Avenue — odpowiada?

— Mądrała zakichany, kurwa twoja mać — powiedział grubas i oddalił się, nawet nie dotykając ściany, żeby sprawdzić, czy ma czułe miejsce.

Znaczna łatwość formułowania ocen o ludziach — stwierdził sam do siebie Papazjan. — Muszę to zaznaczyć w sprawozdaniu.

Czy w ogóle miał pisać jakieś sprawozdanie? Nie wiedział. Ale, naturalnie, wcale się tym nie przejął. To było do przewidzenia.

Pora obiadowa! Papazjan wszedł do lichej, obskurnej jadłodajni na Broadwayu w pobliżu Ulicy Dwudziestej Ósmej.

— Poproszę hot–doga; wasz zakład słynie z hot–dogów — zwrócił się do barmana.

— Słynie? — uśmiechnął się krzywo barman. — To by dopiero było święto.

— W takim razie jest święto — powiedział Papazjan. — Wasz zakład słynie z hot–dogów na całą galaktykę. Znam istoty, które pokonały tysiące lat świetlnych tylko po to, żeby zjeść u was hot–doga.

— Kretyn — oświadczył barman.

— Kretyn? Tak pan uważa? Może to pana nie zainteresuje, ale połowa pańskich klientów, którzy tu siedzą w tej chwili, to istoty pozaziemskie. Naturalnie w przebraniu.

Połowa klientów, przy stole barowym zbladła.

— Co pan za jeden, zagranicznik jakiś? — zaciekawił się barman.

— Po matce Aldebarańczyk — wyjaśnił Papazjan.

— Aaa, to już wszystko rozumiem — powiedział barman.

Papazjan szedł ulicą i nic nie wiedział. Cieszył się własną ignorancją. Ignorancja była dla niego wielkim przeżyciem. Oznaczała, że jeszcze wiele musi się nauczyć. To było wspaniałe — nie wiedzieć, co się za chwilę zrobi, czym się będzie, co się powie.

— Szefie — krzyknął do niego jakiś mężczyzna — Dojadę tą linią do Wzgórz Waszyngtona?

— Nie mam pojęcia — odrzekł Papazjan i mówił prawdę: istotnie nie miał pojęcia, nie wiedział nawet, jak się dostać na Wzgórze Waszyngtona! To już był szczyt osiągnięć w dziedzinie ignorancji.

Niestety, nie da się długo być aż takim ignorantem. Jakaś kobieta podbiegła do nich i usłużnie wyjaśniła, jak mogą dojechać do Wzgórz Waszyngtona. Papazjan uznał jej informację za umiarkowanie interesującą, aczkolwiek nie tak interesującą jak niewiedza.

Tablica na budynku głosiła: STRYCH DO WYNAJĘCIA.

Papazjan natychmiast wszedł i wynajął strych. Pomyślał, że to pewnie właściwe posunięcie. Miał jednak cichą nadzieję, że okaże się niewłaściwe, co zawsze było o wiele zabawniejsze.

— Dzień dobry, nazywam się Marsh — powiedziała młoda kobieta. — Przysłała mnie agencja. Podobno szuka pan sekretarki.

— To prawda. Angażuję panią.

— Tak od razu?

— Żaden inny sposób nie przychodzi mi do głowy. Jak pani się nazywa?

— Lillian.

— To mnie w zupełności zadowala. Prozę rozpocząć pracę.

— Przecież pan tu nie ma żadnych mebli, nawet maszyny do pisania.

— Proszę kupić, co pani potrzeba. Oto pieniądze.

— Ale co ja mam robić?

— O to mnie proszę nie pytać — odparł cierpliwie Papazjan. — Mam dość kłopotów z ustaleniem, co ja sam mam robić. Przecież potrafi pani pokierować własnym życiem?

— Ale jaki jest cel pana pracy, panie Papazjan?

— Moim celem jest znaleźć odpowiedź na pytanie, jaki jest mój cel.

— Och... Rozumiem. Wydaje mi się, że będzie pan potrzebował biurka, krzesła, lamp, maszyny do pisania itp.

— Doskonale, Lil! Od początku czułem, że świetnie wiesz, co masz robić. Czy ktoś ci już mówił, że jesteś wyjątkowo ładną dziewczyną?

— Nie...

— No to może nie jesteś. Skoro sama tego nie wiesz, to skąd ja mam wiedzieć?

Papazjan obudził się i zmienił nazwisko na Hal. Był w Vilfage Central Hotel. Wieczór spędził bardzo ciekawie, słuchając jak karaluchy pyskują na gości hotelowych. Karaluchy mają wrodzony talent mimiczny i potrafią być bardzo zabawne.

Hal zrzucił zewnętrzną warstwę skóry i zostawił ją pod łóżkiem; pokojówka sprzątnie. Tak było szybciej, niż myć się.

Poszedł na swój strych. Lillian już tam była, pojawiły się też pierwsze meble.

— W poczekalni czeka klient, panie Papazjan.

— Zmieniłem nazwisko na Hal — powiedział Hal. — Proszę wpuścić klienta.

Klientem był krępy, zażywny jegomość nazwiskiem Jaspers.

— Czym mogę służyć, panie Jaspers?

— Nie mam pojęcia — odparł Jaspers. — Pchnął mnie tutaj jakiś niepohamowany impuls.

Hal przypomniał sobie na to, że całkiem nie pamięta, gdzie zostawił Nadajnik Niepohamowanych Impulsów.

— Gdzie pan odczuł ten niepohamowany impuls? — zapytał.

— Na północno—wschodnim rogu Piątej Avenue i Ulicy Osiemnastej.

— Przy skrzynce na listy? Tak właśnie myślałem. Bardzo mi się pan przysłużył, panie Jaspers! Czy mogę coś dla pana zrobić?

— Już panu mówiłem, że nie wiem. To był niepohamowany...

— Tak, tak, ale czego panu potrzeba?

— Czasu — wyznał ze smutkiem Jaspers. — Jak każdemu, nieprawdaż?

— Nie, nieprawdaż — odparł stanowczo Hal. — Ale zobaczę, może uda mi się coś dla pana załatwić. Ile czasu by pan potrzebował?

— Jeszcze ze sto lat — powiedział Jaspers.

— Proszę przyjść jutro — rzekł Hal. — Zobaczę, co się da zrobić.

Po wyjściu Jaspersa Lillian zapytała:

— Naprawdę może mu pan to załatwić?

— Jutro się pani dowie — odparł Hal.

— Dlaczego jutro?

— A dlaczego nie jutro?

— Bo każe pan czekać panu Jaspersowi i mnie, a to nie jest miłe.

— Nie jest — zgodził się Hal. — Ale za to jest jak w życiu. Podróże, które odbyłem, nauczyły mnie, że życie jest niczym więcej jak stanem oczekiwania. Stąd morał: Czekając ciesz się czym popadnie, bo i tak nie możesz robić nic innego, tylko czekać.

— Ojejku, to dla mnie za mądre.

— W takim razie proszę napisać list na maszynie albo zrobić cokolwiek innego, co pani zdaniem, należy do pani obowiązków.

Na lunch Hal udał się do baru typu Orange Julius na Ulicy Ósmej. Firmę tę polecał Międzynarodowy Przewodnik Żarłoka Po Niedrogich Jadłodajniach Na Ziemi. Hal był zachwycony grzanką z chili. Zjadł do końca i wyszedł na południowo-wschodni róg Szóstej Avenue i Ulicy ósmej.

Przed sklepem firmy Nathan stał człowiek z flagą amerykańską. Wokół człowieka gromadził się tłumek. Człowiek był stary i miał czerwoną, poliniowaną twarz. Mówił tak:

— Powiadam wam, że umarli żyją nadal i nawet w tej chwili w najlepsze spacerują po ziemi. I co wy na to, hę?

— Osobiście — odezwał się Hal — muszę przyznać panu rację, ponieważ stoi obok pana w postaci astralnej stara siwa kobieta z uschniętą ręką.

— Boże świąty, to na pewno Ethel! Umarła rok temu, proszę pana, a ja od tamtego czasu bezskutecznie próbuję się z nią porozumieć. Co mówi?

— Mówi tak, cytuję: „Herbercie, przestań pleść głupoty i wracaj do mieszkania, bo żeś nastawił na kuchence ronderek, żeby gotować jajka, tylko że bez wody, i za pół godziny cała chałupa pójdzie z dymem”.

— To Ethel, poznaję! — ucieszył się Herbert. — Ethel! Jak możesz się dalej upierać, że plotę bzdury, skoro sama jesteś teraz duchem?

— Ona odpowiada — tłumaczył Hal — że jak ktoś nie umie nawet ugotować jajek, żeby przy okazji nie spalić całego mieszkania, to taki ktoś gównem się zna na duchach.

— Zawsze mnie obcinała tym swoim cholernym non sequitur — zasmucił się Herbert. — Dziękuję panu za pomoc. — Popędził do domu.

— Czy nie była pani dla niego zanadto surowa? — spytał Hal.

— Nigdy mnie nie słuchał za życia i po śmierci tak samo nie słucha. Na takiego jak on nie ma bata. Przyjemnie się z panem rozmawiało, muszę zniknąć.

— Dokąd? — zapytał Hal.

— Do Domu Leciwego Ducha, a gdzie? — oddaliła się w sposób niedostrzegalny.

Hal z podziwem pokręcił głową. „Ta Ziemia!” — pomyślał. To jest dopiero ciekawe miejsce. Szkoda, że przeznaczone do kasacji.

Poszedł dalej. A potem pomyślał: „A może wcale nie do kasacji?” Uświadomił sobie, że właściwie to nie wie. I poczuł się z tej racji bardzo szczęśliwy.

Hal przeszedł pasażem kosmicznym z Ulicy Szesnastej Zachodniej na Cathedral Parkway. Musiał się raz przesiąść w Yucca, stan Arizona, mieście słynącym z najstarszego na świecie wolno stojącego silosu.

Na Cathedral Parkway stało dziesięć gigantycznych katedr podarowanych Ziemiom przez religijne gady z Sainny II. Dla uniknięcia kłopotów ze strony władz lokalnych katedry udawały, że są z piaskowca.

Zwiedzających było dzisiaj mnóstwo. Wenusjanie poprzebierani za Niemców, Sagitarianie w strojach hippisów. Kto lubi, żeby go brano za turystę?

Drobny zgrzyt: jakiś grubas (nie mający nic wspólnego z uprzednio napotkanymi grubasami) podszedł do Hala i zapytał:

— Przepraszam, pan Hal Papazjan? — Hal zmierzył faceta spojrzeniem. Dostrzegł nieznaczne przebarwienie na wątrobie, nic poważnego, powiedzmy — plama wątrobowa. Poza tym gość nie miał żadnych cech szczególnych, chyba że otyłość.

— Jestem Arthur Ventura — przedstawił się. — Pański sąsiad.

— Z Aldebarana — zainteresował się Hal.

— Nie, z Bronx, tak jak pan.

— Na Aldebaranie nie ma Bronx — oświadczył Hal, chociaż nie był specjalnie w nastroju do wygłaszania prostych zdań oznajmujących.

— Przestań się wygłupiać, Hal. Nie ma cię w domu prawie od tygodnia. Ellen odchodzi od zmysłów. Chce zawiadomić policję.

— Ellen?

— Twoja żona.

Hal zrozumiał, co się dzieje. Doświadczał autentycznej Sceny Konfrontacji, połączonej z Kryzysem Osobowości. Czegoś podobnego przeciętny turysta pozaziemski na ogół nie przeżywał. Cóż to będzie za bezcenne wspomnienie, jeżeli tylko zachowa je w pamięci!

— Rozumiem — rzekł Hal. — Bardzo ci jestem wdzięczny za tę informację. Przykro mi, że przysporzyłem kłopotów żonie. Moja kochana Melon...

— Ellen — poprawił Ventura.

— Hmm, no tak. Powiadom ją, że wrócę, jak tylko zakończę zadanie.

— Jakie zadanie?

— Moim zadaniem jest znaleźć własne zadanie. My, istoty wyższe, mamy to do siebie.

Hal uśmiechnął się i chciał odejść. Lecz Arthur Ventura okazał szczególną zdolność rojenia się: otoczył Papazjana ze wszystkich stron, wydawał dźwięki i demonstrował odruchy ponaglące. Papazjan przez moment rozważał możliwość wymyślenia promienia laserowego i pozabijania wszystkich dookoła, ale to oczywiście nie licowałoby z duchem sytuacji.

Tak więc stopniowo i przy pomocy wielu osób, niektórych w mundurach, Papazjan doprowadzony został do mieszkania w Bronx, gdzie wpadła mu w objęcia kobieta płacząca i wygłaszająca liczne teksty natury osobistej i tendencyjnej.

Hal wydedukował, że kobieta to Ellen. Ta sama, która uważała się za jego żonę. I miała na dowód tego odnośne papiery.

Z początku zabawnie było mieć żonę i przydział dzieci, i bogobojne zajęcie, i konto w banku, i samochód, i kilka zmian ubrania, i inne rzeczy, które zwykle mewają Ziemianie. Hal bawił się wszystkimi nowymi zabawkami. Bez trudu udawało mu się grać rolę męża Ellen: wszystkie przesłanki miał jak na dłoni, do wyboru.

Niemal codziennie Ellen zadawała mu pytanie:

— Kotku, ty naprawdę nic a nic nie pamiętasz?

Na co Hal odpowiadał:

— Nic a nic. Ale na pewno sobie przypomnę.

Wtedy Ellen płakała. Do tego też się przyzwyczał. Nie jego sprawą było oceniać sytuację.

Sąsiedzi rwali się do pomocy, przyjaciele okazywali wielką troskę. Wszyscy czynili ogromne wysiłki, żeby nie dać po sobie poznać, że wiedzą, że Hal sfiksował, znikował — no, wariat.

Hal Papazjan nauczył się wszystkiego, co robił niegdyś Hal Papazjan i robił to samo. Nawet najprostsze czynności dostarczały mu wielkich emocji. Czy aldebarański turysta mógł przeżyć piękniejszą przygodę, niż żyć na Ziemi życiem Ziemianina, będąc przez innych Ziemian traktowanym jak Ziemianin?

Owszem, popełniał czasem błędy. Trudno mu przychodziło wykonywanie właściwych czynności we właściwym czasie. Stopniowo jednak nauczył się, że nie należy kosić trawnika o północy, ani budzić dzieci o piątej z rana, żeby się przespały, ani wychodzić z biura o dziewiątej wieczorem. Nie wiedział, czemu mają służyć te ograniczenia, ale dzięki nim wszystko było jeszcze ciekawsze.

Na wyraźne życzenie Ellen Papazjan udał się do niejakiego doktora Kardomana, osoby specjalizującej się w czytaniu ludzkich myśli i orzekaniu, które z tych myśli są prawdziwe, dobre i owocne, a które kłamliwe, złe i bezproduktywne.

KARDOMAN: Od jak dawna wydaje się panu, że jest pan istotą pozaziemską?

PAPAZJAN: Zaczęło się to wkrótce po moich narodzinach na Aldebaranie.

KARDOMAN: Oszczędzi pan sporo czasu mnie i sobie, jeżeli raz na zawsze uświadomi pan sobie i przyjmie do wiadomości fakt, że jest pan człowiekiem obłąkanym, któremu pęta się po głowie tysiąc szalonych pomysłów.

PAPAZJAN: Równie dobrze zaoszczędzimy sobie czasu, jeżeli pan uzna, że jestem samcem aldebarańskim postawionym w niezwykłej sytuacji.

KARDOMAN: Nie pieprz, bracie. Słuchaj, upór na nic się nie zda. Trzymaj się moich założeń, a ja cię znormalizuję.

PAPAZJAN: Nie pieprz; bracie.

Proces zdrowienia posuwał się stopniowo. Zapadła noc, a po niej nastał dzień. Nadszedł tydzień podporządkowany miesiącowi. Hal miał przebłyski świadomości, które doktor Kardoman witał owacyjnie i które Ellen odnotowywała w manuskrypcie pod tytułem Powrót z Otchłani Kosmosu: Relacja Pewnej Kobiety z Jej Życia z Mężczyzną, Który Wierzył, że Pochodzi z Aldebarana.

Pewnego dnia Hal rzekł do doktora Kardomana:

— Wie pan co, zdaje mi się, że wraca mi pamięć.

— Hmm — zauważył doktor Kardaman.

— Z mieszanymi uczuciami przypominam sobie, że kiedy miałem osiem lat, podawałem kakao żelaznemu flamingowi na trawniku w domu rodziców, niedaleko zagajnika, w którym wraz z Mavis Healey dokonywaliśmy wspaniałych i wstydliwych eksperymentów; niecałe sto jardów dalej rzeka Chesapeake wpadała nieodwołalnie w galaretowate głębiny Zatoki Chesapeake.

— Pamięć ekranowa — podsumował Kardaman, skonsultowawszy się z materiałami, które zestawiała dla niego Ellen. — W wieku lat ośmiu mieszkał pan w Youngstown, stan Ohio.

— O cholera — powiedział Papazjan.

— Nie szkodzi, zmierza pan w dobrym kierunku — pocieszył go Kardoman. — Każdy ma pamięć ekranową, zawierającą lęki i przyjemności wszystkich prawdziwych doświadczeń, które należy chronić przed buntującą się przeciwko nim psychiką.

— Czulem, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe — powiedział Papazjan.

— Proszę niczego nie przekreślać. Pańska pamięć ekranowa bardzo nam pomogła.

— Bardzo pan uprzejmy — podziękował Hal.

— A teraz wracajmy pod starą dobrą tablicę psychiki.

Wrywał się z rozmaitymi wspomnieniami: a to lata młodości, które spędził jako chłopiec kabinowy na brytyjskiej kanonierce patrolującej Yangtse; a to szóste urodziny obchodzone w Pałacu Zimowym w St. Petersburgu; a to dwudziesty piąty rok życia; kiedy pracował jako kucharz od małych dań w Klondike.

Wszystko to były wspomnienia niewątpliwie ziemskie, tylko całkiem nie te, których oczekiwał doktor Kardoman.

Ni stad, ni zowąd, pewnego pięknego dnia u drzwi pojawił się domokrażny sprzedawca szczotek i zażądał rozmowy z „panią domu”.

— Wyszła, nie będzie jej jeszcze parę godzin — powiedział Papazjan. Ma dzisiaj lekcję demotycznej greki a potem zajęcia z intaglio.

— Doskonale — powiedział komiwojażer. — Tak naprawdę to chciałem się widzieć z panem.

— Nie potrzebuję szczotek — rzek Papazjan.

— A pies z nimi tańcował! Jestem pańskim wakacyjnym oficerem łącznikowym, przybywam, żeby pana poinformować, że odlatujemy dokładnie za cztery godziny.

— Odlatujemy?

— Wszystko co dobre ma swój koniec, nawet wakacje.

— Wakacje?

— Daj pan spokój — zniecierpliwi się komiwojażer. — Cholery można dostać z tymi Aldebarańczykami.

— A pan skąd!

— Z Arcturusa. My na Arcturusie posługujemy się solidniejszą psychiką, nie pozwalamy sobie na luki pamięciowe.

— My Aldebarańczycy zawsze chętnie pozwalamy sobie na luki pamięci — przyznał Papazjan.

— Dlatego właśnie ja jestem oficerem łącznikowym, a pan turystą. Przyjemnie się pan bawił z tubylcami?

— Jednego nawet zdaje się poślubiłem, raczej jedną — odparł Papazjan — A ściślej mówiąc, jestem chyba sparzony z jedną taką, której poprzedni samiec wyglądał dokładnie tak jak ja.

— Nasza robota — wyjaśnił Arcturianin. — Autentyczne ziemskie stadło — to był punkt pańskiego programu turystycznego. Idzie pan?

— Melon, bidulka, bardzo się zmartwi.

— Jej imię brzmi Ellen. Jak większość Ziemian, poświęca swój czas głównie zamartwianiu się. Nie mogę pana zmusić do powrotu. Jeżeli decyduje się pan zostać, następny statek do domu będzie pan miał za jakieś pięćdziesiąt—sześćdziesiąt lat.

— A niech to szlag trafi — powiedział Papazjan. — Zobaczmy, kto pierwszy dotrze do statku!

Statek kosmiczny był tak sprytnie pomyślany, że wyglądał jota w jotę jak miejscowość Fairlawn, stan New Jersey. Prawdziwe Fairlawn, stan New Jersey, przeniesiono w całości do prowincji Rajasthan w Indiach. Nikt nie dostrzegł różnicy, poza Izraelitami, którzy natychmiast przysłali rabina, eksperta od guerilli.

— Ale ja ciągle niczego nie pamiętam — pożałił się Hal wakacyjnemu oficerowi łącznikowemu.

— To naturalne. Bank pamięci zostawił pan w skrytce na pokładzie statku.

— Po co to zrobiłem?

— Żeby się nie czuć wyobcowanym. Pańskie dawne wspomnienia nakładają się jak ulał na bieżące. Pomogę panu je posegregować.

Wszyscy byli na pokładzie cali i zdrowi, za wyjątkiem kilku nieuniknionych ofiar bójek w portach Południowej Ameryki. Owych nieszczęśników miano rekonstruować w terminie późniejszym. Poza kacem nie pozostanie im nic z przykrych doświadczeń.

Statek wystartował równo o północy. Przelot odnotował Korpus Obserwacyjny Amerykańskich Sił Powietrznych w Scrapple, stan Pensylwania. Obraz radarowy zinterpretowano jako potężną akumulację mieszaniny gazów przy jednoczesnym przelocie liczego stada jaskółek.

Mimo dokuczliwego kosmicznego chłodu Hal wytrwał przy burcie patrząc, jak Ziemia niknie w oddali. Wracił do codziennego kieratu fotonomicznego konfiguratora systemów cząstkowych, do żon i dzieciaka, do wszechobecnej rdzy i liszaju.

Wracił jednak bez wielkiego żalu. Dobrze wiedział, że Ziemia to przyjemne miejsce na urlop, ale żyć tam na stałe — nie sposób.

przekład: Jolanta Kozak

Aspects of Lagranak

Wrażenia z Lagranaku

Nie mogę opisać tego miejsca nie opisując siebie, podobnie jak nie mogę opisać siebie, nie opowiadając o tym miejscu. Tylko od czego zacząć? Może powinienem opisać obie rzeczy jednocześnie, ale wątpię, czy potrafiłbym coś takiego zrobić. Może w ogóle nie potrafię pisać?

Tak czy inaczej jestem na obcej planecie, sytuacja zazwyczaj uważana za interesującą, a ja jestem jednostką ludzką, co również uważa się za rzecz interesującą. Niewątpliwie też potrafię zapisywać swoje wrażenia. Nie rozumiem, dlaczego nie potrafię tego złożyć w jedną całość.

Może powinienem zacząć od opisu swojej niemożności opisanie czegokolwiek. Choć zdaje się, że już to zrobiłem i nie bardzo wiem, czy rzecz była warta zachodu.

Myślę, że zacznę od wież.

Główne miasto tutaj nazywa się Lagranak i słynie ze swoich wież. Z punktu obserwacyjnego na wzgórzu, w odległości kilku kilometrów od miasta, ma się wrażenie mnogości wież różnych kształtów, wielkości i kolorów. Słyszałem, że w Wenecji też jest dużo wież, podobnie jak w Stambule. Wieże tworzą przyjemny efekt estetyczny niezależnie od tego, jak są ustawione. Wieże Lagranaku mają w sobie coś obcego. Myślę, że to wszystko, co mam do powiedzenia o wieżach.

Ja sam jestem osobnikiem ludzkim przeciętnego wzrostu i kształtu. Myślę, że jestem podobny do wielu ludzi. Różni mnie od nich tylko to, że znajduję się na obcej planecie.

Większość czasu, spędzam we wnętrzu statku. Nie szczędzono wysiłków, żeby uczynić je swojskim i przytulnym. Główny salon wygląda jak hotel Holiday Inn. Kambuz przypomina restaurację Howarda Johnsona, a sypialnia mogłaby się znaleźć w jakimś zajeździe w Nowej Anglii. Jest mi w tym statku bardzo dobrze. Kiedyś wyśmiewałem się z amerykańskiego stylu wnętrz, ale teraz mi to przeszło. Statek podoba mi się taki jaki jest. Podoba mi się automat wydający pizzę i coca-colę. Hot-dogi też są w porządku. Jedyne kukurydza pieczona w kolbach nie odpowiada ziemskim standardom. Ten problem wymaga jeszcze rozwiązania...

Nie dzieje się tu nic ciekawego. Dotąd starałem się o tym nie wspominać. Według mnie opowieść powinna zawierać przygody, konflikty, problemy i rozwiązania. Takie opowieści lubię czytać. Ale mnie nic się nie przydarza. Oto jestem na obcej planecie, otoczony przedstawicielami obcej cywilizacji i nic. Nadal jednak wierzę, że mam coś do opowiadania. Mam przecież wszystkie składniki.

Wczoraj zostałem przyjęty przez najwyższego urzędnika Lagranaku. Omówiliśmy przyjaźń międzyplanetarną. Zgodziliśmy się, że nasze stosunki będą przyjazne. Mówiliśmy też o handlu międzyplanetarnym i nie było między nami żadnych sprzeczności co do samej idei. Faktycznie nie widać nic, czego moglibyśmy chcieć od nich i vice versa. Nic takiego, co usprawiedliwiłoby koszty transportu. Mają przecież całą planetę, na której mogą wytwarzać wszystko, czego im potrzeba, i my tak samo. Zgoda dotyczyła więc tylko samej zasady.

Większy postęp uzyskaliśmy w kwestii wymiany turystycznej. Te istoty lubią podróżować, podobnie jak nasi ludzie. Koszty będą niezwykle wysokie, ale niektórzy będą mogli sobie na to pozwolić. Zresztą to tylko porządek.

Siedzę w swoim statku kosmicznym i dużo czytam. Zwłaszcza o buddyzmie zen, jodze a także o tybetańskim i hinduskim mistycyzmie. „Wchodź w ciszę możliwie jak najczęściej i pozostawaj w niej możliwie jak najdłużej”. To, w gruncie rzeczy, istota sprawy. Metody powstrzymania gadatliwości umysłu. Skupienie. Bardzo tego pragnę, ale mój umysł nie chce się uspokoić. Nachodzą mnie przypadkowe myśli, uczucia, wrażenia. Czasami udaje mi się kontrolować przez pięć minut, ale to mi nie daje poczucia spełnienia. Pewnie potrzebuję guru. Ale w mojej sytuacji to niemożliwe. Myślałem już, żeby poszukać miejscowego mistrza, ale będę tu za krótko, żeby to miało jakiś sens. Zawsze tak jakoś wypada.

Nic nie wydaje mi się tutaj szczególnie dziwne. Ludzie tu kupują i sprzedają różne rzeczy. Pracują w różnych zawodach. Jest trochę żebraków. Wszystko wydaje się dość zrozumiałe. Nie rozumiem wszystkiego, oczywiście, ale na Ziemi też wszystkiego nie rozumiem. Chciałbym móc powiedzieć „To niewiarygodne, co ci ludzie robią z tym a tym”, ale nie widzę tu nic szczególnie niewiarygodnego. Pracują, żyją, ja robię to samo, wszystko normalnie. Muszę sam sobie przypomnieć, że jestem na obcej planecie. Co nie znaczy, oczywiście, że o tym zapominam. Po prostu nic nie wywołuje we mnie poczucia niezwykłości.

Zeszłej nocy było zaćmienie. Chciałem wyjść i obejrzeć je, ale zasnąłem nad książką. Nic się zresztą nie stało. Kamery statku wszystko zarejestrowały i obejrzę wszystko z replayu.

Dzisiaj zmobilizowałem się i poszedłem zwiedzić ruiny. Miejscowi zachęcali mnie do tego. Ruiny, będące, jak się tu uważa, śladami cywilizacji wymarłej przed tysiącami lat, są oddalone mniej więcej o piętnaście kilometrów od Lagranaku. Są bardzo rozległe. Obejrzałem trzy wielkie świątynie, częściowo zrekonstruowane. Pokryte są wymyślnymi rzeźbami i płaskorzeźbami różnych stworów, które, jak mi wyjaśnił mój przewodnik, nigdy nie istniały. Były też figury groteskowe i stylizowane. Przewodnik powiedział, że były czczone jako bogowie, ale już nie są. Było też kilka labiryntów, które kiedyś miały znaczenie religijne.

Zrobiłem zdjęcia wszystkich tych rzeczy. Oświetlenie w normie. Używałem kamery Nikon z obiektywem 50 mm, rzadziej 90 mm.

Później tego samego dnia mój przewodnik zwrócił mi uwagę na interesujący fakt, że wśród tych wszystkich wymyślnych rzeźb nie ma ani jednego równoległoboku. Dla budowniczych tych ruin równoległobok mógł stanowić tabu religijne, albo był odrażający estetycznie. Niewykluczone też, że po prostu nie odkryli kształtu równoległoboku, choć tak często przedstawiali kwadrat i prostokąt. Nikt nie wie tego na pewno.

Badania są kontynuowane. Wyjaśnienie tej sprawy powinno rzucić światło na psychologię tego starożytnego i tajemniczego ludu.

Dzisiaj dzień świąteczny. Poszedłem do miasta, usiadłem w jednej z kawiarenek i pijąc to, co tu uchodzi za kawę, przyglądałem się przechodzącym ludziom. Było to bardzo barwne widowisko. Według broszury święto to upamiętnia ważne zwycięstwo wojskowe nad sąsiednim krajem. Obecnie oba kraje zdają się być w stosunkach przyjaznych, a w każdym razie poprawnych. Ale trudno jest być pewnym takich rzeczy.

Miasto zamieszkuje trzy ważne, rasowo odmienne grupy ludności. Autochtoni wyglądają jak Anglicy, starsi imigranci jak Francuzi a nowsi imigranci jak Turcy. Między tymi grupami istnieją różne napięcia. Stroje regionalne, niegdyś bardzo tu ważne, zanikły i są używane tylko na szczególne okazje. Wszyscy żałują, że stare obyczaje zanikają.

Czasem, zwłaszcza wieczorami, ogarnia mnie smutek i tęsknota. Nie mogę wówczas zasnąć i czytam albo słucham taśm. Albo oglądam film z pokładowego projektora. Potem biorę pigułkę nasenną. Właściwie kilka pigułek. Myślę, że to z powodu tęsknoty za Ziemią. Ale zaraz przypominam sobie, że na Ziemi zdarzało mi się to samo. Na Ziemi też zażywałem pigułki nasenne.

Obawiam się, że to nie jest zbyt interesująca planeta. Mówią, że druga półkula jest ciekawsza, ale chyba tam nie pojedę. Traktat o przyjaźni został podpisany i moja praca jest tu zakończona. Chyba czas wracać. Żałuję, że nie było to miejsce szczególnie egzotyczne. Może w następnej wyprawie trafię lepiej.

Tłum. Lech Jęczmyk

Plague Circuit

Wykaz ważniejszych epidemii

Niedoświadczeni podróżni usiłują zwykle zmaterializować się w miejscu idealnie ukrytym.

Wyskakują ze schowków na miotły, spiżarni, budek telefonicznych, czy innych miejsc, zależnie od sytuacji, w rozpaczliwej nadziei, że przejście wyszło im gładko. Naturalnie takie zachowanie zwraca uwagę, więc mają dokładnie to, czego chcieli uniknąć. Ale dla podróżnika tak doświadczonego jak ja, sprawa była prosta. Moim celem był Nowy Jork w sierpniu 1988 roku. Wybrałem godzinę wieczornego szczytu i pojawiłem się w samym środku tłumu na Times Square.

Oczywiście, że to wymaga pewnej zręczności. Nie można się tak po prostu pojawić. Natychmiast po zmaterializowaniu się trzeba ruszyć — głowa pochylona, ramiona zgarbione, niewidzący wzrok, w ten sposób nikt człowieka nie zauważy.

Ja to wykonałem idealnie. Z teczką w ręku pospieszyłem do metra. Wsiadłem na Sheridan Square i poszedłem na piechotę do Washington Square Park.

Miejsce, które sobie wybrałem, znajdowało się w pobliżu dużej cysterny, niedaleko łuku tryumfalnego. Postawiłem walizkę i energicznie klasnąłem w ręce. Kilka osób spojrzało w moją stronę.

— Chodźcie, przyjaciele — zaintonowałem — chodźcie no tutaj i wy posłuchajcie o szansie, jaka się trafia raz na całe życie. Nie wstydzicie się, ludzie, podejdźcie, posłuchajcie dobrej nowiny.

Zaczął formować się niewielki tłumek. Jakiś młody człowiek zawołał:

— Hej, co tam sprzedajesz?

Uśmiechnąłem się do niego, ale nie odpowiedziałem. Nie chciałem rozpoczynać sprzedaży, dopóki nie będę miał odpowiedniego audytorium.

Nawijałem więc dalej:

— Podejdźcie bliżej, przyjaciele, chodźcie tu do mnie i posłuchajcie dobrej nowiny. To jest to, na co czekaliście od dawna, przyjaciele. Wielka szansa! Ostatnia szansa! Nie przepuściec jej!

Wkrótce zebrało się około trzydziestu osób. Uznałem, że to wystarczy, jak na początek.

— Dobrzy obywatele Nowego Jorku — powiedziałem. Chcę wam powiedzieć o dziwnej chorobie, która nagle wdarła się w wasze życie, o epidemii zwanej także Niebieską Zarazą. Musicie wszyscy zdawać sobie już teraz sprawę, że nie ma sposobu na tego masowego mordercę. Niewątpliwie lekarze zapewnijają was, że badania są w toku, że lada chwila należy oczekiwać odkrycia, że niezawodnie wkrótce zostanie opracowana metoda leczenia. Faktem jednak jest, że jak do tej pory

nie wynaleziono żadnej surowicy, przeciwciał, ani żadnego innego środka na Niebieską Zarazę. Bo niby jak? Skoro nie odkryli przyczyn choroby, to jak mogli wynaleźć lekarstwo. Jedyne, czym do tej pory dysponują, to nieskuteczne i wzajemnie sprzeczne teorie. Z powodu szybkiego rozprzestrzeniania się choroby, jej znacznej zaraźliwości i nieznanymi właściwościami należy się liczyć z tym, że lekarze nie zdążą pomóc tym, którzy już zostali chorobą dotknięci. Przygotujcie się na to, że będzie tak, jak w przypadku wszystkich innych epidemii znanych w zapisanej historii świata, a mianowicie, że pomimo wszelkich wysiłków, zmierzających do wynalezienia metody leczenia i opanowania zarazy, choroba będzie szalała niepowstrzymana, dopóki sama się nie wyczerpie lub nie zabraknie jej ofiar.

Ktoś w tłumie roześmiał się, inni się uśmiechali. Położyłem to na karb hysterii i ciągnąłem dalej.

— Cóż więc w tej sytuacji pozostaje do zrobienia? Czy macie pozostać biernymi ofiarami epidemii, omamionymi przez tych, którzy nie odkryją przed wami prawdziwego stanu beznadziejności? Czy może zgodzicie się spróbować czegoś nowego, czegoś, co nie jest opatrzone pieczęcią zdyskredytowanych władz polityczno–medycznych?

Teraz już miałem wokół siebie tłumek w liczbie około pięćdziesięciu osób. Wkrótce zakończyłem — sięgnąłem po puentę:

— Wasi lekarze nie są w stanie uchronić was przed epidemią, a ja jestem.

Szybko otworzyłem walizeczkę i wyjąłem garść dużych żółtych pastylek.

— Oto lek, który zwalczy Niebieską Zarazę, moi przyjaciele. Nie ma czasu na wyjaśnianie ani skąd go zdobyłem, ani jak działa. Nie będę się też wdawał w naukowy bełkot. Zamiast tego dostarczę wam konkretnego dowodu.

Tłum się uciszył i zaczął słuchać z uwagą. Wiedziałem, że ich mam.

— Jako dowód — krzyknąłem — przyprowadźcie mi kogoś chorego. Przyprowadźcie mi dziesięć takich osób! Jeżeli zostało w nich jeszcze choć trochę życia, podejmuję się uzdrowić ich w przeciągu dziesięciu sekund od połknięcia tej pastylki! Przyprowadźcie mi ich, przyjaciele! Wyleczą każdego mężczyznę, kobietę i dziecko cierpiące na Niebieską Zarazę!

Jeszcze przez chwile trwało milczenie, a potem w tłumie rozległy się śmiechy i oklaski. W zdumieniu słuchałem komentarzy.

— Jakiś studencki kawał?

— Trochę za stary jak na hippisa.

— To na pewno jakiś numer dla telewizji.

— Hej, panie, co to za numer?

Byłem zbyt wstrząśnięty, żeby próbować jakiegokolwiek odpowiedzi. Stałem po prostu z walizką u

stóp i kapsułkami w rękę. Nie udało mi się sprzedać ani jednej w tym dotkniętym zarazą mieście! Nie mogłem nawet rozdać mojego leku. Coś nieprawdopodobnego. Tłum rozproszył się, pozostała jedna dziewczyna.

— Co to za numer? — spytała.

— Numer?

— To pewnie jakiś trik reklamowy, prawda? Otwiera pan restauracje czy jakiś butik? Niech mi pan coś powie na ten temat. Może zorganizuję jakąś obsługę prasową.

Włożyłem do kieszeni garść kapsulek. Dziewczyna powiedziała:

— Pracuję w dzienniku Village. Specjalizujemy się w numerach niesamowitych. Niech pan powie o tym coś więcej.

Była zupełnie niebrzydka. Oceniałem ją na jakieś dwadzieścia parę lat. Szczupła ciemna blondynka o piwnych oczach. W jej tupecie było coś wzruszającego.

— To nie jest żaden kawał — wyjaśniłem. — Jeżeli wy jesteście na tyle głupi, że nie chcecie zastosować żadnych środków ostrożności przeciwko epidemii...

— Jakiej epidemii? — spytała.

— Przeciwko Niebieskiej Zarazie. Epidemii, która ogarnęła cały Nowy Jork.

— Wiesz, co ci powiem, bracie, w Nowym Jorku nie ma żadnej zarazy — niebieskiej, czarnej, żółtej ani żadnej innej. Powiedz mi wreszcie naprawdę, co to za kawał.

— Żadnej epidemii? — spytałem. — Jest pani pewna?

— Najzupełniej.

— Może to ukrywają przed ludźmi — powiedziałem. Chociaż byłoby to trudne. Pięć do dziesięciu tysięcy zgonów dziennie trudno utrzymać w tajemnicy przed prasą... Mamy teraz sierpień 1988 roku, prawda?

— Tak. Ojej, ale pan jakoś tak dziwnie zbladł. Czy pan się dobrze czuje?

— Bardzo dobrze — odparłem, chociaż była to nieprawda.

— Może niech pan siądzie.

Podprowadziła mnie do ławki w parku. Nagle przyszło mi do głowy, że może pomyliłem lata. Że może firma miała na myśli rok 1990 albo 1998. Jeśli rzeczywiście tak było, to wywalili straszne pieniądze na moje podróże w czasie i najprawdopodobniej stracę licencję komiwojażera za próbę sprzedaży leków na terenie nie objętym epidemią.

Wyjąłem portfel, a z niego cienką broszurka zatytułowaną „Wykaz ważniejszych epidemii”. Ta ulotka–broszurka zawiera daty wszystkich wielkich epidemii, typy epidemii, śmiertelność w procentach i inne dane. Z wielką ulgą stwierdziłem, że jestem we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Nowy Jork, sierpień 1988 rok. Nowy Jork w sierpniu 1988 roku miał być poważnie dotknięty Niebieską Zarazą.

— „Wykaz ważniejszych epidemii”? — spytała czytając mi przez ramię. — A co to takiego?

Powinienem był się od niej odsunąć. A nawet zdematerializować. W naszej firmie obowiązują bardzo ściśle przepisy zabraniające komiwojażerom udzielania jakichkolwiek informacji, poza tymi, których uczą nas udzielać na kursach. Ale teraz było mi wszystko jedno. Stwierdziłem nagle, że mam ochotę porozmawiać z tą ładną, jasnowłosą dziewczyną w osobliwym stroju, siedzącą ze mną w słońcu, w mieście skazanym.

— „Wykaz epidemii” — powiedziałem — zawiera wykaz dat i miejsc, w których występowały lub będą występowały największe epidemie. Na przykład wielka zaraza w Konstantynopolu w roku 1346 albo zaraza londyńska z roku 1664.

— Domyślam się, że był pan tam?

— Tak. Zostałem tam wysłany służbowo przez moją instytucję, Medyczną Służbę Czasu. Między innymi mamy licencje na sprzedaż leków na obszarach objętych epidemią.

— To wobec tego pan pochodzi z jakiegoś miejsca w przyszłości, gdzie znają podróże w czasie?

— Tak.

— To cudowne — powiedziała. — Pan objeżdża tereny objęte epidemiami sprzedając pigułki. Prawdę mówiąc nie wygląda pan na kogoś, kto by zarabiał na nieszczęściu innych.

Nie znała nawet połowy prawdy i nie miałem najmniejszego zamiaru jej wtajemniczać.

— To praca niezbędna — powiedziałem.

— Tak czy siak przeoczył pan fakt, że tu nie ma żadnej epidemii.

— Musiała zaistnieć jakaś pomyłka. Mam specjalnego człowieka, który ma za zadanie zjawiać się przede mną i przeprowadzać rozpoznanie terenu.

— Może zablądził w jakimś innym strumieniu czasu czy coś w tym rodzaju? — Najwyraźniej świetnie się bawiła. Dla mnie cała ta sytuacja była koszmarna. Ta dziewczyna, jeżeli nie będzie należała do grona nielicznych szczęściarzy, nie przeżyje tej epidemii. Ale jednocześnie rozmowę z nią uznałem za fascynującą. Po raz pierwszy w życiu miałem okazję rozmawiać z ofiarą zarazy.

— Miło było z panem porozmawiać — powiedziała. — Mówiąc między nami, nie wiem, czy mogę wykorzystać tę naszą rozmowę.

— Wolalbym, żeby pani tego nie robiła. — Wyjąłem z kieszeni garść kapsułek. — Proszę, niech pani to weźmie.

— Ale naprawdę...

— Mówię poważnie. To dla pani i pani rodziny. Proszę je zatrzymać. Przydadzą się, zobaczy pani.

— No już dobrze, dziękuję bardzo. Miłych podróży w czasie.

Patrzyłem, jak odchodzi. Kiedy skręcała za róg, odniosłem wrażenie, że wyrzuca kapsułki. Ale nie byłem pewien. Usiadłem na ławce w parku i czekałem.

Zbliżała się północ, kiedy zjawił się George. Rzuciłem się na niego z wściekłością.

— Co się stało? Zrobiłem z siebie cholernego idiotę! Tutaj nie ma żadnej epidemii!

— Spokojnie — odparł George. — Miałem być tutaj tydzień temu, ale dostaliśmy polecenie od władz, żeby na rok zawiesić całą działalność. A potem kazali nam odwołać odwołanie i działać dalej według pierwotnego harmonogramu.

— Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? — zapytałem.

— Powinieneś zostać zawiadomiony. Ale wszystko się pomyliło. Naprawdę bardzo mi przykro. Ale możemy zacząć od zaraz.

— A czy rzeczywiście musimy? — spytałem.

— Czy musimy co?

— No wiesz.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

— Co się z tobą dzieje? W Londynie zachowywałeś się zupełnie inaczej.

— Ale to było w roku 1664. A teraz mamy 1988. Jesteśmy bliżej naszych własnych czasów. A ci ludzie wydają się bardziej... ludzcy.

— Mam nadzieję, że się nie spoufaląłeś — powiedział George.

— Naturalnie, że nie.

— No, to w porządku — uspokoił się George. — Wiem, że ta praca z emocjonalnego punktu widzenia może się wydawać obrzydliwa, ale musisz na to patrzeć realistycznie. Rada Statystyczna dała im wiele szans. Dała im bombę wodorową.

— To prawda.

— Ale jej nie użyli. Rada zapewniła im też wszelkie możliwe środki do prowadzenia wojny bakteriologicznej na dużą skalę, ale i tego nie wykorzystali. Tak samo zresztą Rada wyposażyła ich we wszelkie informacje niezbędne do dobrowolnego zmniejszania wzrostu populacji. I też nie potrafili się zmusić, żeby po nie sięgnąć. Po prostu w dalszym ciągu mnożyli się na oślep wypierając inne gatunki i siebie nawzajem, zatruwając ziemię i prowadząc jakby nigdy nic gospodarkę rabunkową.

Wiedziałem to wszystko, ale dobrze, że jeszcze raz teraz musiałem tego wysłuchać.

— Nic przecież nie może rosnąć bez końca — ciągnął George. — Wszystko, co żyje, musi podlegać jakiejś kontroli. U większości gatunków równowaga jest utrzymywana automatycznie. Ale istoty ludzkie przekraczały wszelkie granice. I dlatego same muszą się tym zająć. A jeżeli nie mogą albo nie chcą, to ktoś to musi za nich robić.

Nagle George wydał mi się zmęczony i zatroskany.

— Ale ludzie nigdy nie dostrzegają konieczności przerzedzenia swoich szeregów. Nigdy się niczego nie uczą. Stąd potrzeba naszych epidemii.

— No już dobrze, zaczynajmy.

— Te epidemię przeżyje około dwudziestu procent — oznajmił George.

Myślę, że chciał dodać sobie otuchy.

Wyjął z kieszeni płaski srebrny flakon. Odkorkował go. Podszedł i wlał jego zawartość do ścieku.

— No to już. Za jakiś tydzień możesz zacząć sprzedawać swoje pigułki. Potem nasz harmonogram przewiduje Londyn, Paryż, Rzym, Istambuł, Bombaj i tak dalej.

Skinąłem głową. Trzeba to było zrobić. Ale czasem trudno być ogrodnikiem ludzi.

przekład: Zofia Uhrynowska–Hanasz

The Never–Ending Western Movie

Nie kończący się western

Nazywam się Washburn: dla przyjaciół po prostu Washburn, pan Washburn dla wrogów i obcych. Mówiąc to powiedziałem wszystko, bo oglądaliście mnie tysiąc razy, na wielkich ekranach w pobliskim kinie i na małych ekranach u siebie w domu, widzieliście, jak jadę wśród kaktusów i niskiej trawy, w słynnym kapeluszu naciągniętym na oczy, ze słynnym Coltem 44 o długiej lufie przymocowanym do prawego uda. Teraz jednak jadę wielkim klimatyzowanym Cadillakiem, siedząc między moim agentem — menadżerem Gordonem Simmsem a moją żoną, Consuelą. Zjechaliśmy z autostrady stanowej 101 i podskakujemy na terenowej drodze, która prowadzi do stacji dyliżansów Wells Fargo, stanowiącej jedno z wejść na Plan. Simms mówi pośpiesznie i masuje mi kark, jakbym był bokserem szykującym się do wejścia na ring, co z grubsza odpowiada prawdzie. Consuela milczy. Nie jest jeszcze zbyt mocna w angielskim. Jest najpiękniejszą małą istotką, jaką sobie można wyobrazić; moją żoną od niecałych dwóch miesięcy, była Miss Chile, była aktorką w różnych awanturnych filmach kręconych w Buenos Aires i Montevideo. Cała ta scena nie jest filmowana, to coś, czego nigdy nie oglądacie: powrót słynnego rewolwerowca z szumnego Los Angeles w roku 2031 na Stary Zachód w połowie wieku dziewiętnastego.

Simms trajkocze o jakiejś inwestycji, której — jego zdaniem — powinienem dokonać, o jakimś nowym projekcie eksploatacji dna morskiego — najnowszym pomysłem Simmsa na szybkie wzbogacenie się. Simms już jest bardzo bogatym człowiekiem i trudno, żeby nie był przy trzydziestoprocentowym udziale w moich zarobkach przez dziesięć najlepszych lat mojego gwiazdorstwa. Simms jest również moim przyjacielem, ale nie mogę myśleć o inwestycjach, kiedy podjeżdżamy do Planu.

Consuela, która siedzi po mojej prawej, zadrżała na widok nadgryzionej zębem czasu starej stacji. Moja żona nigdy tak naprawdę nie rozumiała „Nie kończącego się westernu”. W Południowej Ameryce nadal kręci się filmy w staromodny sposób: wszystko wyreżyserowane, wszystko na niby i strzela się wyłącznie ślepymi nabojami. Nie rozumie, dlaczego słynny amerykański Film musi być rozgrywany naprawdę, kiedy można by wszystko zaaranżować i uniknąć trupów. Usiłowałem jej to wyjaśnić, ale po hiszpańsku brzmiało to idiotycznie.

Oczywiście dla mnie tym razem to coś zupełnie innego: jestem na emeryturze i wracam, żeby zagrać epizodyczną rolę. Mam kontrakt wykluczający zabójstwo. Słynny ongiś rewolwerowiec w komediowym kawałku ze Starym Jeffem Manglesem i Natchezem Parkerem. Scenariusza, oczywiście, nie ma, w Filmie nigdy nie ma scenariusza. Będziemy improwizować wokół każdej sytuacji, jaka powstanie — aktorzy *commedia dell'arte* ze Starego Zachodu. Consuela nic z tego nie rozumie. Słyszała o kontraktach śmiertelnych, ale kontrakt wykluczający zabójstwo to dla niej coś ważnego.

Wreszcie przyjechaliśmy. Samochód zatrzymuje się przed niskim budynkiem z nie malowanego drewna. Wszystko po tej stronie to Ameryka dwudziestego pierwszego wieku w całej swej chwale z odzysku i surowców wtórnych. Po drugiej stronie rozciąga się milion akrów prerii, gór i pustyni z tysiącami ukrytych kamer i mikrofonów, czyli Plan Nie kończącego się westernu.

Jestem już w kostiumie: dżinsy, koszula w granatowobiałą kratę, wysokie buty, kapelusz, skórzana kurtka i rewolwer. Koń czeka przywiązany do słupka po drugiej stronie stacji, z całą resztą mojego sprzętu w schludnie zrolowanym kocu. Asystent reżysera ogląda mnie i akceptuje. Nie mam na rękę zegarka ani innych anachronizmów, które kamera mogłaby wyłapać.

— W porządku, panie Washburn — mówi — może pan wejść, kiedy będzie pan gotów.

Simms robi mi na pożegnanie masaż pleców. Podniecony przestępuje z pięt na palce, zazdrości mi, że to nie on pojedzie na pustynię, wysoki mężczyzna, powolny w ruchach i uprzejmy, z nagłą śmiercią zawsze w pobliżu jego prawej ręki. Ale Simms jest niski, gruby, prawie łysy i nie nadaje się do roli bohatera—rewolwerowca, przeżywa ją więc za moim pośrednictwem. Ja jestem jego męskością i razem przebyliśmy po wielokroć niebezpieczny szlak, a nasze wierne czterdziestki czwórki zlikwidowały wszystkich oponentów, aż zostaliśmy niekwestionowanym mistrzem, bezwzględnie najlepszym rewolwerowcem Zachodu, który w końcu przeszedł w stan spoczynku, kiedy wszyscy jego przeciwnicy byli martwi albo schodzili mu z drogi... Biedny Simms, zawsze marzył, że zagramy tę wielką ostatnią scenę, to ostatnie finałowe spotkanie na jakiejś piaszczystej Ulicy Głównej. Chciał, żebyśmy zagrali to wspaniale i pięknie, nie dla pieniędzy — tych mieliśmy już i tak aż nadto — ale dla sławy, odchodząc z Filmu w huku wystrzałów, w szczytowej formie. Mnie też by to odpowiadało, ale oponenti stali się diabło ostrożni i Washburn spędził swój ostatni rok w Filmie jeżdżąc idiotycznie z miejsca na miejsce z sześciostrzałowcem w pogotowiu i nie znajdując nikogo, kto by chciał się z nim zmierzyć. A teraz ta epizodyczna rólka... dla Simmsa to są kpiny ze wszystkiego czym byliśmy, myślę zresztą, że dla mnie też. (Trudno się zorientować, gdzie zaczynam się ja, a gdzie kończy się Simms, trudno oddzielić to, czego chcę ja od niego, czego chce on, trudno nam obu pogodzić się z końcem naszej wspaniałej kariery w Filmie).

Simms potrząsnął moją ręką, drugą ściska mnie mocno za ramię i nie mówiąc nic, w zgodzie z tym męskim westernowym stylem, jakiego nabrał przez lata współpracy ze mną, więcej, bycia mną. Consuela obejmuje mnie, ma łzy w oczach, całuje mnie, mówi, żebym szybko do niej wracał. Ach, te niewiarygodne pierwsze miesiące z nową żoną! Sam urok, zanim nie da o sobie znać szara rzeczywistość. Consuela jest moją żoną numer cztery. Jeździłem w swoim życiu różnymi szlakami, większość z nich była taka sama i teraz reżyser sprawdza, czy nie mam śladów szminki, kiwa głową, odwracam się do Consueli i Simmsa posyłając im pozdrowienie dwoma palcami, z którego jestem sławny, wkraczam na skrzypiącą podłogę biura Wells Fargo i wychodzę z drugiej strony na oślepiające słońce, w świat Nie kończącego się westernu.

Kamera ukazuje z oddali samotnego jeźdźcę, pełzającego jak mrówka między bajecznie kolorowymi ścianami kanionu. Widzimy go w kolejnych ujęciach w tle rozwijającej się panoramy pustyni. Wieczorem, czarna sylwetka na tle nieba w płomieniach, kapelusz zsunięty na tył głowy, gotuje coś na małym ognisku. Teraz śpi zawinięty w koc, żar ogniska rozsypuje się w popiół. Przed świtem jeździec jest znów na nogach, zaparza kawę; szykuje się do całodziennego jazdy. Wschód zastaje go w drodze, jeździec osłania oczy przed słońcem, odchyłony w siodle pozwala koniowi wybierać drogę po skalnych zboczach.

Jestem zarówno widownią, oglądającą mnie jako aktora, jak aktorem oglądającym siebie jako

widownię. Jest to spełnienie dziecięcego marzenia: grać rolę i jednocześnie obserwować siebie grającego. Teraz już wiem, że nigdy nie przestajemy grać i nigdy nie przestajemy obserwować siebie jak gramy. To tylko ironia losu sprawia, że bohaterskie sceny, które ja widzę, są zbieżne z tym, co wy widzicie siedząc przed waszymi małymi ekranami.

Teraz Jeździec wspiął się na wysoką przełęcz między dwiema górami. Jest tam zimno; wieje górski wiatr, jeździec postawił kołnierz kurtki, kapelusz przywiązał pod brodą wełnianym kolorowym szalikiem. Zagłębując jeźdźcowi przez ramię daleko w dole widzimy osadę, małą i zagubioną w bezmiarze krajobrazu. Towarzyszymy jeźdźcowi, który cmoka na swojego zmęczonego wierzchowca i zaczyna zjeżdżać w kierunku osady.

Następnie jeździec prowadzi konia przez osiedle Comanche. Ma ono tylko jedną ulicę — Ulicę Główną — z saloonem, hotelikiem, stajnią z końmi do wynajęcia, kuźnią, jedynym sklepem, wszystko surowe i malownicze jak w dagerotypie z czasów Wojny Domowej. W miasteczku wieje nieustannie wiatr z pustyni i wszystko jest pokryte drobnym pyłem.

Jeźdźca rozpoznają. Gapie przed sklepem mówią „Hej, to Washburn!”

Zsiadam sztywno przed stajnią — wysoki, strudzony długą jazdą mężczyzna z rewolwerem przypiętym bardzo nisko na udzie, zniszczona, kościana kolba pod ręką i na widoku. Odwracam się i ocieram twarz — słynną, długą, smutną twarz z wyraźną blizną przekreślającą jeden policzek, z wąskimi, niemrugającymi szarymi oczami. Jest to twarz człowieka twardego, niebezpiecznego, nieobliczalnego, a jednak sympatycznego. To ja, obserwujący was, jak mnie oglądacie.

Wychodzę ze stajni i na spotkanie wychodzi mi szeryf Ben Watson, stary przyjaciel ze spaloną słońcem twarzą i dużymi wąsami, z blaszaną gwiazdą na wełnianej kamizelce.

— Słyszałem, że możesz tędy przejeżdżać — mówi Watson. — Słyszałem, że byłeś przez jakiś czas w Kalifornii. Kalifornia oznacza w naszym języku emeryturę.

— To prawda — mówię. A jak sprawy tutaj?

— Jako tako — odpowiada mi Watson. — Pewnie nic nie wiesz o Starym Jeffie Menglesie?

Czekam. Szeryf mówi:

— To było wczoraj. Koń rzucił Starego Jeffa na pustyni. Myślmy, że przestraszył się grzechotnika — Bóg mi świadkiem, mówiłem mu, żeby sprzedał to wielkie, płochliwe, zezowate bydło. Ale znasz Starego Jeffa...

— Co się z nim stało? — pytam.

— Jak mówiłem, koń go zrzucił i pociągnął. Nie żył już, kiedy go Jimmy Connors znalazł.

Długa cisza. Zsuwam kapelusz na tył głowy. Wreszcie mówię:

— Dobrze, Ben. Co jeszcze chcesz mi powiedzieć? Szeryf jest wyraźnie zakłopotany. Kreci się, przestępuje z nogi na nogę. Czekam. Jeff Mangles nie żyje; nie będzie sceny, którą miałem zagrać. Co teraz?

— Pewnie jesteś spragniony — mówi Watson. — Może byśmy tak napili się piwa?

— Najpierw powiedz mi, co się jeszcze zdarzyło.

— Hm, słyszałeś o kowboju z Teksasu nazwiskiem Mały Joe Potter?

Potrząsam głową.

— Zawędrował tutaj jakiś czas temu, przynosząc ze sobą reputację szybkiego strzelca. Nie słyszałeś o strzelaninie w Twin Peaks?

Teraz przypominam sobie, że coś o tym słyszałem. Ale byłem wtedy w Kalifornii, zajęty czymś innym i strzelaniny nie bardzo mnie interesowały.

— Ten Mały Joe Potter — ciągnął Watson — wystąpił przeciwko czterem opryszkom w sporze o pewną damę. Mówią, że to była nie byle jaka walka. W rezultacie Mały Joe posłał tych czterech do piekła i w związku z tym zyskał niemałą sławę.

— I co z tego? — pytam.

— Otóż w jakiś czas potem Mały Joe grał w pokera z jakimiś chłopakami z Gila Bend... — Watson milknie zażenowany. — Może lepiej niech ci to opowie Charlie Gibbs, bo on rozmawiał z człowiekiem, który był świadkiem tej gry, Charlie ci to lepiej opowie. To na razie, Washburn.

Szeryf odchodzi, posłuszny dewizie Filmu, która zaleca skracanie scen dialogowych do minimum, żeby pozwolić ludziom nacieszyć się akcją.

Idę w stronę saloonu. Ktoś idzie za mną, chłopak, osiemnasto-, najwyżej dziewiętnastoletni, patykowany, z zadartym nosem, piegowaty smarkacz w za krótkich spodniach i dziurawych butach. Ma rewolwer. Czego on może chcieć? Pewnie tego, co wszyscy. Wchodzę do środka, ostrogi brzęczą na drewnianej podłodze: Charlie Gibbs popija przy barze, tłusty, niechlujny facet cały w uśmiechu i zmarszczkach, bez broni, bo Charlie jest postacią komiczną; nie zabija i jego nie zabijają. Charlie jest również naszym lokalnym delegatem Związku Aktorów Filmowych.

Stawiam mu whisky i pytam o słynnego pokera Małego Joe Pottera.

— Słyszałem to od Jima Claire'a z Teksasu. Pamiętasz chyba Jima Claire'a, Washburn? Poczciwe chłopisko pracuje jako koniuch u Donaldsona. Otóż Jim grał w pokera w Gila Bent. W pewnym momencie zaczęło się robić gorąco. Na stole była kupa forsy i Doc Dailey postawił tysiąc dolarów meksykańskich. Małemu Joe podobały się karty, które dostał, ale nie miał dość forsy, żeby wejść do gry. Doc powiedział, że gotów jest wziąć coś w naturze, jeżeli Mały Joe coś zaproponuje. Mały Joe pomyślał przez chwilę, a potem mówi: „Ile byś dał za kapelusz pana Washburna?” Zapanowała cisza, bo wiadomo, że nie można ot, tak sobie, zabrać panu Washburnowi kapelusza, że trzeba najpierw

zastrzelić człowieka pod tym kapeluszem. Z drugiej strony wiadomo, że Mały Joe nie jest samochwałą i spisał się całkiem nieźle w zająciu z tamtymi czterema opryszkami. Więc Doc też zastanowił się przez chwile i mówi: „Zgoda, Joe, tysiąc dolarów za kapelusz Washburna i chętnie zapłacę drugi tysiąc za miejsce w pierwszym rzędzie, kiedy będziesz mu go odbierać”. „Miejsce masz ode mnie za darmo — mówi Mały Joe — jeżeli przegram te grę, na co się nie zanosi”. Zakład stanął i sprawdzili. Mały Joe miał karete ósemek, a Doc karete waletów. Mały Joe wstaje, przeciąga się i mówi: „No, cóż, Doc, wygląda, że wygrałeś to miejsce w pierwszym rzędzie”.

Charlie kończy swoją whisky i spogląda na mnie jasnymi, złośliwymi oczkami. Kiwam mu głową, dopijam swoją whisky i idę tylnymi drzwiami do wychodka.

Wychodek znajduje się poza zasięgiem kamer. Używamy go do rozmów koniecznych, a nie mieszczących się w kontekście Filmu.

Chanie Gibbs przychodzi po paru minutach. Włącza ukrytą klimatyzację, znajduje na belce paczkę papierosów, zapala i rozsiada się wygodnie. Jako delegat związkowy Charlie spędza tu sporo czasu wysłuchując skarg i żalów. Jest to jego biuro i postarał się urządzić je możliwe przytulnie.

— Pewnie chcesz wiedzieć, co jest grane? — pyta Charlie.

— Jasne, cholera, że chcę. Co to za pierdoły o tym, że Joe Potter ma mi odbierać kapelusz?

— Nie denerwuj się — mówi Charlie — wszystko jest w porządku. Potter jest nową wschodzącą gwiazdą. Po śmierci Jeffa Manglesa twoje spotkanie z Potterem stało się czymś naturalnym. Potter się zgodził. Wczoraj zwrócono się do twojego agenta, który zmienił umowę. Dostaniecie cholerną premię za udział w tym pojedynku.

— Simms zmienił moją umowę? Nie pytając mnie o zgodę?

— Byłeś wtedy nieuchwytny. Simms powiedział, że na pewno się zgodzisz. Złożył do prasy oświadczenie, że ty i on omawialiście to wielokrotnie i że zawsze było twoim pragnieniem zakończyć karierę w wielkim stylu, w szczytowej formie, jednym ostatnim pojedynkiem. Powiedział, że nie musi tego z tobą uzgadniać, bo jesteście sobie bliscy jak bracia i rozmawialiście na ten temat nieraz. Powiedział, że cieszy się z tej okazji i wie, że ty też się ucieszysz.

— Jezu, co ja mam z tym baranem!

— Czy Simms chciał cię załatwić? — pyta Chanie.

— Nie o to chodzi. Rzeczywiście często rozmawialiśmy na temat końcowego pojedynku. Mówiłem mu, że chciałbym skończyć w wielkim stylu...

— Ale to były tylko rozmówki — podsuwa Charlie.

— Niezupełnie. — Ale co innego mówić o pojedynku, kiedy się jest na emeryturze i siedzi się

bezpiecznie w Los Angeles, a co innego zostać nagle zmuszonym do walki bez przygotowania. — Simms nie chciał mnie załatwić, ale zrobił mnie w coś, o czym wolałbym sam decydować.

— Więc sytuacja wygląda tak — mówi Charlie — że ty byłeś głupi opowiadając, jak to chciałbyś rozegrać ostatni pojedynek, a twój agent był głupi biorąc cię na serio.

— Tak to wygląda.

— I co chcesz robić z tym pasztetem?

— Powiem ci, ale jako mojemu staremu kumplowi Charlie'emu, a nie jako delegatowi związkowemu Gibbsowi:

— Wal — mówi Charlie.

— Zmyję się stąd — mówię. — Mam trzydzieści siedem lat, nie ćwiczyłem z bronią od roku, mam nową żonę...

— Nie musisz się tłumaczyć — mówi Gibbs. — Życie jest piękne, to wyjaśnia wszystko. Jako przyjaciel popieram twoją decyzję. Ale jako delegat muszę cię ostrzec, że Związek nie poprze cię, jeżeli złamiesz prawomocny kontrakt podpisany przez twojego upoważnionego przedstawiciela. Jeżeli Wytwórnia cię zaskarży, liczy tylko na siebie.

— Lepiej być żywym i samotnym, niż mieć towarzystwo w grobie — mówię mu. — Dobry jest ten Mały Joe?

— Dobry. Ale nie lepszy od ciebie. Nigdy nie widziałem nikogo lepszego od ciebie. Chcesz się z nim zmierzyć?

— Nie, tylko tak pytam.

— I bardzo dobrze — mówi Charlie. — Jako twój przyjaciel radzę ci się stąd zmywać i więcej się tu nie pokazywać. Zdobyłeś już wszystko, co można zdobyć w Filmie: jesteś sławny, jesteś bogaty i masz piękną młodą żonę. Zebrałeś wszystkie nagrody. Teraz nie stój i nie czekaj, aż ktoś ci je zabierze.

— Nie mam zamiaru — mówię mu, ale czuję, że ręka sama oparta mi się na kolbie rewolweru.

Wracam do saloonu. Siadam przy wolnym stoliku, szklaneczka whisky przede mną, cienkie, czarne meksykańskie cygaro w zębach. Zastanawiam się.

Mały Joe jedzie z południa. Pewnie liczy, że zastanie mnie tutaj w Comanche. Ale ja nie mam zamiaru czekać. Najbezpieczniej byłoby wracać tą samą drogą, którą przyjechałem, z powrotem do stacji Wells Fargo i tamtędy na świat. Ale nie zrobię tego. Opuszczę Plan w jego najdalszym, północno—zachodnim kącie przez Diabelski Most. Ciekawe, czy się domyślą...

Nagle na stół pada długi cień, ktoś nagle wszedł między mnie a światło, odruchowo staczam się z krzesła z odbezpieczonym rewolwerem w rękę, z palcem napiętym na spuście. Słyszę przestraszony, wysoki chłopięcy głos:

— Oh, przepraszam, panie Washburn — To ten piegowaty pętaś z zadartym nosem, który przyglądał mi się wcześniej. Teraz z otwartymi ustami wpatruje się w wylot lufy mojego rewolweru, przestraszony i zresztą słusznie, jak przystoi komuś, kto wyrwał mnie nagle z rocznego marazmu.

Kciukiem spuszcza kurek mojej czterdziestki czwórki, wstaję, chowam broń, otrzepuję się, podnoszę krzesło i siadam. Barman przynosi mi nową whisky.

— Synu — mówię do smarkacza — czy nikt ci nie mówił, że nie należy tak nagle podchodzić do człowieka? Powinienem być posłać cię do piekła z samej ostrożności.

— Przepraszam, panie Washburn — mówi. — Jestem tutaj nowy, nie wiedziałem. Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo pana podziwiam.

Niewątpliwie był świeży, wyglądał na kogoś prosto po Szkole Dzikiego Zachodu, którą wszyscy musimy przejść, zanim zostaniemy dopuszczeni na Plan. Ja byłem równie surowy przez pierwsze kilka tygodni.

— Któregoś dnia — mówi on — będę tak jak pan. Myślałem, że może zechce mi pan udzielić kilku wskazówek. Mam taki stary rewolwer...

Chłopak wyjmuje broń i znów reaguję bez zastanowienia, wytrącam mu rewolwer z dłoni i walę go pięścią w ucho.

— Niech cię szlag trafi! — krzyczę. — Czy nie masz za grosz oleju w głowie? Nigdy tak nie wyjmuj broni, jeżeli nie masz zamiaru jej użyć.

— Chciałem panu tylko pokazać mój rewolwer — mówi jeszcze z podłogi.

— Jak chcesz komuś pokazać rewolwer — mówię — to wyjmuj go bardzo powoli, trzymając palce z daleka od spustu. I najpierw powiedz co chcesz zrobić.

— Panie Washburn — mówi. — Naprawdę nie wiem co powiedzieć.

— Nic nie mów, tylko wynoś się stąd. Wyglądasz mi na kogoś, kto przynosi pecha. Idź i pokazuj swój przeklęty rewolwer komu innemu.

— Czy mam go pokazać Małemu Joe? — pyta wstając i otrzepując się z kurzu.

Patrzy na mnie. Ja milczę. Chłopak przełyka ślinę i czuje, że znów coś zrobił nie tak.

Powoli podnoszę się z krzesła.

— Czy zechciałbyś wytłumaczyć tę uwagę?

— Nic nie miałem na myśli.

— Jesteś pewien?

— Absolutnie, panie Washburn. Bardzo przepraszam!

— Wynoś się stąd!— mówię i chłopak znika czym prędzej.

Podchodzę do baru. Barman trzyma w pogotowiu butelkę whisky, ale powstrzymuję go ruchem dłoni i nalewa mi piwo.

— Curly — mówię — wiem, że nie można nic na to poradzić, że się jest młodym, ale czy oni muszą być tacy głupi?

— Widocznie tak, panie Washburn.

Milczymy przez chwilę.

— Natchez Parker dał znać, że chciałby się z panem zobaczyć — mówi Curly.

— Dobrze — odpowiadam.

Zaciemnienie. Rozjaśnienie na ranczo na skraju pustyni. W baraku kuchennym kucharz Chińczyk ostrzy noże. Bud Farrell, jeden z kowbojów, siedzi na skrzynce i obiera kartofle. Podśpiewuje przy pracy, pochylając swoją długą końską twarz. Kucharz, nie zwracając na niego uwagi patrzy przez okno, mówi:

— Ktoś jedzie.

Bud Farrell wstaje, wygląda, drapie się po rozczochranej głowie, wygląda jeszcze raz.

— To nie ktoś, ty pogański żółtku, to coś więcej. To jest pan Washburn, to pewne jak to, że Bóg stworzył małe zielone jabłuszka!

Bud Farrell wstaje, podchodzi do głównego budynku, woła:

— Panie Parker! Jedzie do nas pan Washburn!

Washburn i Parker siedzą przy małym drewnianym stole nad parującymi kubkami kawy w saloniku Natcheza Parkera. Parker, wielki wąsaty mężczyzna, siedzi na krześle z indiańskim kocem na kolanach. Jest sparaliżowany od pasa w dół z powodu starej rany postrzałowej w kręgosłup.

— I co, Washburn — mówi Parker — słyszałem o tobie i Małym Joe Potterze, jak wszyscy tutaj.

Będzie to nie byle jaki pojedynek. Żałuję, że nie będę mógł go zobaczyć.

— Sam bym chciał to zobaczyć.

— Gdzie to będzie?

— Pewnie w piekle. — Parker pochylił się.

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że nie mam zamiaru strzelać się z Małym Joe. Jadę do Diabelskiego Mostu i potem prosto przed siebie, daleko od Małego Joe i całego tego zakichanego Zachodu.

Parker pochyła się jeszcze bardziej i energicznie pociera swoją siwą czupryną. Jego duża twarz ściga się nagle, jakby nadgryzł zgniłe jabłko.

— Uciekasz? — pyta.

— Właśnie — odpowiada Washburn.

Starzec krzywi się, odchrząkuje, splota na podłogę. — Nie myślałem, że kiedyś usłyszę coś takiego akurat od ciebie — mówi. — Nie myślałem, że kiedyś zobaczę, jak zdradzasz zasady, według których tak długo żyłeś.

— Natchez, to nigdy nie były moje zasady. One są przywiązane do roli. Teraz, kiedy kończę z rolą, zwracam razem z nią zasady.

Stary przeżuwa to przez chwilę i wreszcie mówi:

— Co się z tobą, do diabła, dzieje? Nagle ci tak zasmakowało życie? Czy tchórz cię obleciał?

— Nazywaj to jak chcesz — mówię mu. — Przyjechałem, żeby ci to powiedzieć. Jestem ci to winien.

— Czy to nie wzruszające? — mówi Parker. — Jesteś mi coś winien, poza tym jest ci po drodze, więc postanowiłeś wpaść do mnie i powiadomić mnie, że uciekasz przed przechwalonym dzieciuchem, który ma na koncie jedną jedyną walkę.

— Zejdź ze mnie.

— Tom — mówi Parker — posłuchaj mnie.

Podnoszę głowę. Parker jest tutaj jedynym człowiekiem, który nazywa mnie po imieniu. Nie robi tego często.

— Wiesz — mówi — że przemówienia nie są moją specjalnością. Ale nie możesz tak sobie ni z tego, ni z owego uciec. Nie ze względu na innych, ale ze względu na siebie samego. Bo gdziekolwiek

pójdiesz, od siebie się nie uwolnisz.

— Dam sobie jakoś radę — mówię mu. Parker potrząsa głową.

— Niech to diabli, jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi? Pozwalają nam przebierać się i puszyć, jakby cały ten cholerny świat był naszą własnością. Płacą nam kupę forsy za to tylko, żebyśmy byli mężczyznami. Ale wszystko ma swoją cenę. My musimy być mężczyznami. Nie tylko wtedy, kiedy to jest łatwe, jak na początku. Musimy być mężczyznami do końca, niezależnie od tego, jaki to będzie koniec. My nie tylko odgrywamy te role, Tom, my je przeżywamy, poświęcamy im życie, jesteśmy nimi. Każdy może przebrać się za kowboja i przespacerować się Ulicą Główną. Ale nie każdy może nosić broń i używać jej.

— To było piękne przemówienie, Parker — mówię — ale za bardzo rozdałeś tę scenę. Wracaj do swojej roli i kończmy sprawę.

— Niech cię diabli — mówi Parker. — Mało mnie teraz obchodzi ta scena i cały Film. Mówię do ciebie serio, Tom Washburn. Byliśmy jak bracia, odkąd przyszedłeś na Plan, przestraszony, potykający się o własne nogi wyrostek, który zdobył dla siebie miejsce samą odwagą. Nie mogę ci pozwolić uciec teraz.

— Kończę tę kawę — mówię — i odjeżdżam.

Natchez nagle skręca się na krześle, chwytając mnie za koszulę na piersi i przysuwa swoją twarz do mojej. W jego drugiej ręce widzę nóż.

— Bierz swój nóż, Tom. Wolę cię zabić własnoręcznie, niż pozwolić, żebyś odjechał jako tchórz.

Twarz Parkera tuż przy mojej, wytrzeszczone oczy, czuję kwaśny oddech starego. Przesuwam ciężar ciała na lewą nogę, prawą stawiam na skraju krzesła Parkera i mocno pcham. Krzesło przewraca się i widzę zdumienie na twarzy starego, który spada na podłogę. Wyciągam rewolwer i celuję mu między oczy.

— Na Boga, Tom — mówi.

Odciągam kurek.

— Ty głupi stary baranie — mówię — czy myślisz, że to jakaś zabawa? Straciłeś zręczność i zrobiłeś się gadatliwy, odkąd ta kula przejechała ci po kręgosłupie. Wydaje ci się, że są jakieś zasady gry i że ty je wszystkie znasz. Otóż nie ma żadnych zasad. Nie mów mi, co ja mam robić i ja nie będę mówić tobie. Jesteś starym kaleką, ale jeżeli ze mną zaczniesz, będę walczyć po swojemu i załatwię cię tak, jak mi będzie wygodnie.

Napnęłam palec na spuście. Parker wybałusza oczy, usta mu się trzęsą, próbuje nad sobą zapanować, ale bez skutku. Krzyczy, nie głośno, ale cienko, jak przestraszona dziewczyna.

Spuszczam kurek i chowam broń.

— No, dobrze — mówię. — Może teraz się obudziłeś i przypomniałeś sobie, jak to jest naprawdę.

Podnoszę go i podsuwam pod niego krzesło.

— Przykro mi, że tak wyszło, Natchez. Idę już.

W drzwiach przystaję i oglądam się za siebie. Parker szerzy zęby w uśmiechu.

— Cieszę się, że ci ulżyło, Tom. Powinienem był pamiętać, że jesteś nerwowy. Wszyscy dobrzy są nerwowi. Ale w pojedynku wszystko będzie w porządku.

— Nie będzie żadnego pojedynku, ty stary idioto. Mówiłem ci już, że odchodzę.

— Powodzenia, Tom. Daj mu popalić!

— Idiota!

Wychodzę.

Na szczycie wzgórza pojawia się jeździec, pozwala koniowi samodzielnie wybierać drogę w dół zbocza ku pustyni. Cichy świst wiatru, błyski miki, piasek ukształtowany w długie, kręte wydmy.

W promieniach południowego słońca jeździec mija gigantyczne formacje skalne wyrzeźbione przez wiatr w fantastyczne kształty. Wieczorem jeździec zsiada z konia i ogląda jego kopyta. Pogwizdując bezgłośnie pod nosem nalewa wody z manierki do kapelusza, poi konia, zakłada kapelusz i sam pije oszczędnie. Pęta konia i rozkłada się do snu. Siedząc przy małym ognisku ogląda zachód nabrzmiałego pustynnego słońca. Jest wysokim, szczupłym mężczyzną w zniszczonym kapeluszu i z czterdziestką czwórką z rogową rękojeścią przypiętą do prawego uda.

Brinstone: opuszczona górnicza osada na północno-wschodnim krańcu Planu. Nad miasteczkiem wznosi się Diabelski Most — naturalna formacja skalna w postaci szerokiego, lekko pochyłego mostu. Jego dalszy koniec, tu niewidoczny, jest mocno zakotwiczony za granicą Planu — w odległości dwustu metrów i stu pięćdziesięciu lat.

Przybywam na kulejącym koniu. Ludzi tu niewiele, ale dostrzegam jedną znajomą twarz: to ten cholerny piegus. Musiał ostro jechać, żeby znaleźć się tu przede mną. Mijam go bez słowa.

Siedząc na koniu podziwiam przez chwilę Diabelski Most. Pięć minut jazdy na drugą stronę i opuszczę Zachód na dobre, skończę z tym wszystkim, z dobrym i złym, ze strachem i śmiechem, z długimi, powolnymi dniami i niebezpiecznymi nocami: Za kilka godzin będę z Consuelą, będę czytał gazety, oglądał telewizję...

Jeszcze tylko ostatni, pożegnalny łyk whisky i zmywam się stąd.

Zatrzymuję konia przed saloonem. Na ulicy jest teraz para osób, które mi się przyglądają. Wchodzę do saloonu.

Przy barze stoi jeden człowiek. Jest niski i krepy, ubrany w czarną skórzaną kamizelkę i bawolą czapę człowieka z gór. Odwraca się, ma za pasem jeden rewolwer bez kabury. Widzę go po raz pierwszy, ale wiem, kto to jest.

— Uszanowanie, panie Washburn — mówi.

— Jak się masz, Mały Joe — odpowiadam.

Pytającym gestem unosi butelkę. Kiwam głową. Sięga pod bar, wyjmując drugą szklankę, nalewa mi. Popijamy w milczeniu.

Po chwili mówię:

— Mam nadzieję, że nie miałeś kłopotów ze znalezieniem mnie?

— Tylko trochę — odpowiada Mały Joe. Jest starszy niż myślałem, koło trzydziestki. Ma twardą, kanciastą twarz, wydatne kości policzkowe, czarne wąsy. Pociąga ze swojej szklanki, a potem zwraca się do mnie bardzo grzecznie: — Panie Washburn, doszły mnie plotki, którym nie chciałem wierzyć. Mówią, że chce pan wyjechać z tego terytorium i to w pośpiechu.

— To prawda — odpowiadam mu.

— Mówią też, że nie zamierzał pan przed wyjazdem zobaczyć się ze mną?

— To też prawda, Mały Joe. Uznałem, że nie mam dla ciebie czasu. Ale i tak się spotkaliśmy.

— Rzeczywiście — mówi Mały Joe. Gładzi końce wąsów i chwyta się za koniec nosa. — Prawdo mówiąc, panie Washburn, po prostu nie mogę uwierzyć, że nie chce pan ze mną zatańczyć. Wiem o panu wszystko, panie Washburn, i po prostu nie mogę w to uwierzyć.

— A jednak to prawda, Joe — mówię do niego. — Kończę te whisky, a potem wychodzę przez te drzwi, wsiadam na konia i jadę przez Diabelski Most.

Mały Joe znów pociąga się za nos, marszczy czoło i zsuwa kapelusz z czoła.

— Nigdy bym nie uwierzył, że kiedyś usłyszę coś takiego na własne uszy.

— A ja bym nie uwierzył, że kiedyś coś takiego powiem.

— Naprawdę nie chce pan się ze mną zmierzyć? — Kończę whisky i odstawiam szklankę na bar.

— Trzymaj się, Mały Joe — mówię i ruszam do drzwi.

— Jeszcze tylko jeden drobiazg — mówi Mały Joe. Odwracam się. Mały Joe odszedł o krok od baru, obie ręce ma na widoku.

— Nie mogę pana zmusić do pojedynku, panie Washburn, ale zawarłem pewien zakład w sprawie tego pańskiego kapelusza.

— Słyszałem.

— I dlatego, mimo że jest mi z tego powodu niewymownie przykro, muszę go mieć.

Stałem naprzeciwko niego nic nie mówiąc.

— Panie Washburn — mówi Mały Joe — nie ma co tak stać i patrzeć. Niech mi pan da ten kapelusz albo próbuje szczęścia.

Zdejmuję kapelusz, ocieram go o rękaw i puszczam w jego stronę. Łapie go nie spuszczając ze mnie oka.

— Niech mnie diabli — mówi.

— Trzymaj się, Mały Joe — mówię i wychodzą z saloonu.

Przed saloonem zebrała się gromadka gapiów. Stali i czekali rozmawiając przyciszonymi głosami. Drzwi saloonu rozchylają się i wychodzi przez nie wysoki, chudy mężczyzna z gołą głową. Na prawym udzie ma przypiętą czterdziestkę czwórkę i wygląda, jakby umiał się nią posługiwać. Ale nie skorzystał z tej umiejętności.

Pod uważnym wzrokiem tłumu Washburn odwiązuje swojego konia, dosiada go i zawraca w stronę mostu. Drzwi saloonu rozchylają się ponownie. Wychodzi przez nie niski, przysadzisty mężczyzna o twardych rysach, trzymając w ręku zniszczony kapelusz. Patrzy na odjeżdżającego mężczyznę.

Washburn daje ostrogę koniowi, który waha się przez chwilę, a potem wchodzi na kamienny most. Trzeba stale przynaglać konia, żeby wszedł po pochyłej żwirowej powierzchni do połowy mostu. Tutaj Washburn zatrzymuje konia albo pozwala mu stanąć. Siedzi w najwyższym punkcie krzywizny mostu, w przejściu między dwoma światami, ale nie patrzy na żaden z nich. Wyciąga rękę, żeby poprawić rondo kapelusza i ze zdziwieniem stwierdza, że jest z gołą głową. Drapie się z rozmysłem w czoło, jak człowiek, któremu się nigdzie nie śpieszy. Potem zawraca konia i zjeżdża z powrotem do Brinstone.

Tłum obserwuje zbliżającego się Washburna. Ludzie stoją w milczeniu, bez ruchu. Potem, zrozumiałwszy, co się tu będzie za chwilę działo, rozbiegają się szukając ukrycia za wozami i korytami z wodą, kucają za workami.

Na zakurzonej ulicy zostaje tylko Mały Joe Potter. Przygląda się, jak Washburn zsiada, odpędza konia z linii ognia i wolno kroczy w jego stronę.

— Hej, Washburn! — woła Mały Joe. — Wrócił pan po kapelusz?

Washburn obnaża zęby w uśmiechu i potrząsa głową.

— Nie, Mały Joe, wróciłem, bo to jest nasz taniec.

Obaj wybuchają śmiechem, jakby to był jakiś znakomity dowcip. Potem, nagle, obaj sięgają po broń. Ogluszający huk ich czterdziestek czwórek przetacza się przez miasteczko. Dym i kurz przesłaniają pojedyńkowiczów.

Dym rozwiewa się. Obaj mężczyźni stoją. Broń Małego Joe skierowana jest w dół. Chce ją okręcić na palcu i patrzy, jak rewolwer wypada mu z dłoni. Potem sam osuwa się na ziemię.

Washburn chowa broń, podchodzi do Małego Joe, przyklęka i unosi jego głowę.

— Niech to diabli — mówi Mały Joe — to był krótki taniec, co, panie Washburn?

— Za krótki — odpowiada Washburn. — Przykro mi, Joe...

Ale Mały Joe już tego nie słyszy. Oczy zaszły mu mgłą, ciało znieruchomiało. Krew sączy się z dwóch dziur w piersi i wycieka na piasek z dwóch dużych ran wylotowych w plecach.

Washburn wstaje, podnosi swój kapelusz, otrzepuje go, zakłada na głowę. Podchodzi do swojego konia. Ludzie wychodzą z ukrycia, słysząc gwar rozmów. Washburn wkłada jedną nogę w strzemień, zaczyna wsiadać.

W tym momencie odzywa się drżący, cienki głos:

— Hej, Washburn, broń się!

Washburn z twarzą nagle stężałą obraca się na pięcie, żeby uwolnić prawą rękę i jednocześnie zejść z linii strzału. Nawet w tej nieprawdopodobnej pozycji udaje mu się wyciągnąć rewolwer i odwrócić twarz do piegowatego chłopaka, który stoi w odległości dziesięciu jardów z wymierzoną bronią i strzela.

W głowie Washburna wybucha słońce, słyszy rzenie swojego konia, zapada się przez piaszczystą podłogę świata, kule biją w jego ciało z odgłosem rzeźnickiego tasaka uderzającego na płask ćwiartko wołowiny. Świat się rozpada, maszyna do robienia obrazów zostaje rozbita, oczy jak strzaskane soczewki odbijają nagłą zagładę świata. Jeszcze rozbłysk czerwonego światła jak ostatnie ostrzeżenie i już tylko czerń.

Widz i aktor w jednej osobie patrzy jeszcze przez chwilę na ciemny ekran, poprawia się w fotelu, pociera podbródek. Wygląda na człowieka, którego coś droczy. W końcu mu się odbija. Wyciąga rękę i włącza ekran.

przełożył: Lech Jęczmyk

A Suppliant in Space

Skazaniec w kosmosie

I

Detringer został wygnany ze swojej ojczystej planety Ferlang za „akty szczególnego chamstwa” — beczelnie wysysał z zębów resztki jedzenia podczas medytacji rekreacyjnej, a kiedy Wielki Okręgowy Ubikwitor raczył na niego splunąć, machnął ogonem w kierunku niezgodnym z ruchem wskazówek zegara.

Normalnie takie impertynencje nie kosztowałyby go więcej niż kilkadziesiąt lat całkowitego ostracyzmu, ale Detringer pogorszył swoją sytuację przez świadome nieposłuszeństwo podczas konwentyklu Bożej pamięci, kiedy to z całym uporem głośno wspominał swoje niesmaczne wyczyny seksualne.

Jego ostateczne przestępstwo nie miało precedensu we współczesnej historii Ferlang: pozwolił sobie na jawny gwałt wobec pewnego Ukanistra dopuszczając się tym samym pierwszego od czasów prymitywnej ery Gier Śmiertelnych aktu otwartej agresji Publicznej. Ten ostatni odrażający czyn, w wyniku którego Ukanister poniósł nieznaczny wprawdzie szwank na ciele, ale za to poważny na duchu, sprawił, że zastosowano do Detringera najwyższy wymiar kary — wieczne wygnanie.

Ferlang jest — licząc od jej słońca — czwartą planetą w piętnastoplanetowym układzie położonym prawie na skraju galaktyki. Detringera wywieziono statkiem głęboko w próżnię kosmiczną, pomiędzy galaktyki, i pozostawiono w maleńkim sportolocie bez zapasu paliwa. Ochotniczo towarzyszył mu jego wierny mechaniczny sługa Ichor.

Żony Detringera — wesola, roztrzepana Maruskaa, wysoka, poważna Gwenkifer i kłapoucha, nieokleźnana Uu — wszystkie rozwiódły się z nim w uroczystym akcie dozgonnego obrzydzenia. Ósemka jego dzieci dokonała obrzędu odtrącenia rodzicielskiego, chociaż słyszano, jak Deranie, najmłodszy, mamrotał już później pod nosem: „Mnie tam wszystko jedno, tato, coś ty zrobił, ja cię i tak kocham”.

Ale Detringer nie miał oczywiście zaznać pociechy, jaką byłaby świadomość tego ostatecznego. Rzucony w bezmiar oceanu przestrzeni kosmicznej maleńki stateczek o zbyt słabym systemie zasilania nieuchronnie musiał odmówić posłuszeństwa. Detringer cierpiał głód, zimno, pragnienie i nieustanny pulsujący ból głowy wynikający z niedotlenienia, ponieważ dobrowolnie przeszedł na oszczędnościowe racje tlenu. Dokoła siebie miał bezkresną martwość kosmosu urozmaiconą jedynie bezlitosnym blaskiem odległych gwiazd. Wyłączył całkowicie silniki sportolotu — nie było sensu tracić i tak skromnych zasobów paliwa w próżni międzygalaktycznej, która obciążała nawet ogromne rezerwy wielkich statków. Wolał oszczędzać paliwo na manewry międzyplanetarne — gdyby mu się taka mało prawdopodobna okazja trafiła.

Czas był czarną nieruchomą galareta, w której Detringer tkwił uwięziony. Ktoś słabszy psychicznie pozbawiony swoich zwykłych punktów zaczepienia, musiałby się załamać. Ale właśnie miarą siły Detringera był fakt, że zamiast się poddać rozpacz, której obiektywne przesłanki miał dokoła siebie, walczył: zmuszał się do wykonywania najdrobniejszych bodaj czynności przy zamierającym statku,

co „noc” dawał koncert dla swojego sługi Ichora, któremu słoń nadepnął na ucho, uprawiał gimnastykę i medytację szybkobieżną, odprawiał skomplikowane rytuały autoseksualne według „Podręcznika samotnego przetrwania” i na setki różnych sposobów starał się odwrócić swoją uwagę od porażającej świadomości własnej niemal pewnej śmierci.

Po nieokreślonym upływie czasu charakter przestrzeni kosmicznej zmienił się nagle. Cisza i lekkie wiatry ustąpiły zakłóceniom. Pojawiły się skomplikowane zjawiska elektryczne zapowiadające nowe niebezpieczeństwo. Wreszcie nadszedł zimny front, szalejąca burza uderzyła w sportolot, porwała go i cisnęła beładnie w samo serce przestrzeni kosmicznej.

Mały stateczek uratował się jedynie dzięki własnej niedoskonałości. Nieodparcie gnany przez rozszalały żywioł, poddał mu się i to go ocaliło.

Zbędne byłoby mówić, co działo się w tym czasie z załogą, poza tym, że po prostu przetrwała. Detringer przez jakiś czas był nieprzytomny. W pewnym momencie otworzył oczy i skołowany rozejrzał się dokoła. Następnie wyjrzał przez luki i zajął się instrumentami nawigacyjnymi.

— Przemierzyliśmy całą próżnię kosmiczną — oznajmił Ichorowi. — Zbliżamy się do zewnętrznych granic układu planetarnego.

Ichor podparł się jednym ze swoich aluminiowych łokci i zapytał:

— A jakiego typu jest słońce?

— Typu O.

— Chwała Bożej pamięci — odparł Ichor i padł z powodu wyładowanych baterii.

Ostatnie porywy sztormu ucichły, zanim sportolot przekroczył orbitę najdalszej planety, dziewiętnastej, licząc od krzepkiego życiodajnego słońca średniej wielkości typu O. Detringer naładował Ichora podłączając go do akumulatorów statku, chociaż robot protestował uważając, że lepiej oszczędzać energię na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa.

A niebezpieczeństwo nadeszło prędzej, niż sobie Detringer wyobrażał. Odczyt instrumentów wykazał, że jedynie piąta planeta, licząc od słońca, mogłaby zaspokoić jego życiowe wymogi bez importu jakichkolwiek sztucznych urządzeń. Ale była ona położona za daleko jak na mizerne zasoby paliwa statku, a że ponownie znaleźli się w strefie ciszy, nie mogli liczyć na żadną siłą, która by im nadała przyspieszenie, zbliżając do celu.

Jako jeden z wariantów postępowania można było przyjąć, że siedzą spokojnie i czekają na jakiś zabłąkany, a skierowany do środka układu prąd czy nawet następną burz. Ale byłaby to postawa wyraźnie konserwatywna. Jej przyjęcie groziło niebezpieczeństwem, że w tym krótkim czasie, na jaki starczy im zasobów ze statku, nic takiego się nie zdarzy. Albo, że nawet jeśli porwie ich jakiś prąd czy burza, to w niepożądanym kierunku.

Oczywiście ryzyko istniało niezależnie od tego, jaką by przyjęli linię działania. Ale, w sposób dla siebie charakterystyczny, Detringer obrał plan trudniejszy, a zarazem bardziej niebezpieczny.

Kalkulując jak najoszczędniej kurs i prędkość postanowił przebyć taką odległość, na jaką mu starczy paliwa, oddając się potem w ręce opatrności.

Pocąc się przy sterach i ręcznie dawkując paliwo zdołał się zbliżyć do celu na odległość dwustu milionów mil. Następnie wyłączył silniki pozostawiając sobie paliwa na skąpą godzinę manewrowania już w granicach atmosfery. Sportolot zaczął więc znów dryfować w przestrzeni kosmicznej, wprowadzając dalej w kierunku piątej planety, ale tak wolno, że i tysiąca lat by nie starczyło, żeby sięgnął granic jej atmosfery. Nie wysilając specjalnie wyobraźni można było przyjąć, że statek jest trumną, a Detringer jej przedwczesnym lokatorem. Ale zamiast się przejmować, Detringer przywrócił reżim gimnastyki, koncertów, medytacji szybkobieżnej, rytuałów autoseksualnych.

Dla Ichora wszystko to było z lekka szokujące. Sam poglądów dość ortodoksyjnych, łagodnie wytknął swemu panu, że jego zachowanie jest niestosowne do sytuacji, a tym samym nierozsądne.

— Naturalnie masz rację — odparł Detringer wesoło. — Ale chciałbym ci uświadomić, że nadzieja, nawet bez szans na spełnienie, jest w dalszym ciągu uważana za jedno z Ośmiu Dobrodziejstw Irracjonalnych i jako taka (według Drugiego Patriarchy) nadrzędna w stosunku do Nakazów Zdrowego Rozsądku.

Pobity argumentami zaczerpniętymi z Pisma Ichor niechętnie przystał na praktyki Detringera i nawet posunął się do tego, że wraz z nim zaśpiewał pieśń (z wynikiem tyleż zabawnym co kakafoicznym).

Nieubłaganie opuszczała ich energia. Zredukowane do połowy, a potem do jednej czwartej racje zmniejszyły ich wydajność powodując niemal całkowitą bezczynność. Na próżno Ichor błagał swego pana, żeby mu pozwolił zasilić jego własnymi osobistymi bateriami zimne grzejniki statku.

— Nie przejmuj się — odparł Detringer dygocąc z zimna — wyjdziemy stąd razem na równych prawach i o takich władzach, jakie są nam dane, o ile wyjdziemy w ogóle w co zaczynam szczerze wątpić pomimo poważnych danych przeciwnej natury.

Niewykluczone, że siła woli ma wpływ na przyrodę. W każdym razie dla nikogo poza Detringerem natura nie zdobyłaby się na taki gest, by zesłać silny grąd skierowany do wewnątrz układu słonecznego właśnie w momencie, kiedy zasoby energii statku pozostały właściwie już tylko wspomnieniem.

Samo lądowanie nie przedstawiało problemu dla pilota o tych kwalifikacjach i szczęściu co Detringer. Posadził statek lekko jak wiatr nasienie wśród gościnnej zieleni piątej planety Kiedy wyłączył silniki, zostało mu jeszcze paliwa na jakieś trzydzieści osiem sekund lotu.

Ichor padł na swoje ferruminiowe kolana dziękując Bożej pamięci za to, że o nich nie zapomniała i przywiodła do tego miejsca schronienia.

— Zanim się rozkleimy z tej wdzięczności, chodźmy lepiej zobaczyć, czy będziemy mogli tu żyć — powiedział Detringer.

Ale piąty świat okazał się dość gościnnie. Wszystko, co niezbędne do życia — poza jednakże wygodami — można było zdobyć kosztem niewielkiego wysiłku. Ucieczka nie wchodziła w grę: tylko bowiem rozwinięta cywilizacja techniczna mogła dostarczyć skomplikowanego paliwa, jakiego wymagał ich statek. A już nawet pobieżna obserwacja z lotu ptaka przekonała ich, że piąta planeta, choć malownicza i gościnna, cywilizacji żadnej nie miała. Nie mówiąc o inteligentnym życiu.

Dokonawszy pewnych prostych połączeń drutów Ichor przygotował się, że tutaj dokona swoich dni. Poradził Detringerowi, żeby i on pogodził się z nieuniknionym. Ostatecznie, zauważył, nawet gdyby w jakiś sposób zdobyli paliwo, to dokąd pójdą? Szanse na to, że znajdą planetę z jakąś rozwiniętą cywilizacją, nawet dysponując dobrze wyposażonym statkiem badawczym, były znikome. Z małym stateczkiem jak ich sportolot podobne przedsięwzięcie równałoby się samobójstwu.

Ale to rozumowanie nie przekonało Detringera.

— Lepiej umrzeć poszukując, niż wegetując żyć — oświadczył.

— Panie, to jest herezja — zaznaczył z szacunkiem Ichor.

— Jasne, że herezja — odparł wesoło Detringer — ale zgodna z moim wewnętrznym przekonaniem. Mój nos mówi mi, że coś nam się trafi.

Ichor wzdrygnął się; ze względu na duchowe dobro Detringera był rad, że wbrew swoim nadziejom jego pan dozna pociechy wiecznej samotności.

Kapitan Makepeace Macmillan stał w głównej kabine nawigacyjnej swojego statku badawczego „Jenny Lind” i przeglądał taśmę wychodzącą z komputera koordynacyjnego typu 1100. Było jasne — na ile mógł to ocenić za pomocą przyrządów pokładowych — że nowa planeta nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa.

Macmillan odbył długą drogę, żeby doczekać tej chwili. Skończywszy błyskotliwie wydział nauk o życiu na uniwersytecie w Taos, zrobił magisterium z teorii i sterowania nukleonowego. Jego praca doktorska zatytułowana „Uwagi wstępne na temat pewnych rozważań z dziedziny nauki manewrowania międzygwiazdowego” została przez radę wydziału entuzjastycznie przyjęta, a następnie opublikowana dla szerokiego odbiorcy pod tytułem „Zagubiony i odnaleziony w najgłębszej przestrzeni kosmicznej”. To, wraz z długim artykułem „Zastosowanie teorii deklinacji w modalności lądowania statków kosmicznych”, zamieszczonym w piśmie „Nature”, przesądziło o tym, że w wyborze na stanowisko kapitana pierwszego amerykańskiego statku międzygwiazdowego praktycznie nie miał konkurencji.

Był to wysoki, przystojny, potężnie zbudowany mężczyzna o włosach przedwcześnie przyprószonej siwizną, która zadawała kłam jego trzydziestu sześciu latom. W sprawach nawigacji kosmicznej odznaczał się pewnością i szybkim refleksem, a ze statkiem radził sobie w sposób godny podziwu.

Znacznie gorzej radził sobie z ludźmi. Przekleństwem Macmillana była jego nieśmiałość, brak zaufania do siebie i niepewność, która opóźniała proces podejmowania decyzji — cecha chwalebna u filozofa, ale słabość u człowieka powołanego do kierowania innymi.

Rozległo się stukanie do drzwi i nie czekając na zaproszenie wszedł pułkownik Kettelman.

— Wygląda całkiem nieźle tam na dole, co? — zagaił.

— Profil planety rzeczywiście wydaje się korzystny — odparł sztywno Macmillan.

— To i dobrze. — Kettelman patrzył nierozumiejącym wzrokiem na taśmę komputerową. — Coś ciekawego?

— I to bardzo — odrzekł Macmillan. — Już nawet obserwacja z dużej odległości pozwoliła się domyślać unikatowych organizmów roślinnych. A poza tym nasze badania mikrobiologiczne wykazują pewne anomalie, które...

— Nie o to mi chodzi. — Kettelman wykazywał naturalną u zawodowego wojskowego obojętność dla robactwa i roślin. — Miałem na myśli rzeczy naprawdę ważne, jak obce wojska, floty kosmiczne i tym podobne.

— Nic nie wskazuje na istnienie jakiegokolwiek cywilizacji na planecie — poinformował go Macmillan. — Wątpię, czy napotkamy tam inteligentne życie.

— Nigdy nie wiadomo — odparł z nadzieją w głosie Kettelman, krępy, potężny w ramionach i nieugięty mężczyzna. Był on weteranem Amerykańskich Kampanii Sojuszniczych z roku 34, walczył jako major w dżunglach zachodniego Hondurasu w tak zwanej wojnie Owocowej, skąd wyszedł w randze podpułkownika. Na pułkownika awansował podczas niefortunnego Powstania Nowojorskiego, w którym osobiście poprowadził swoich ludzi na budynek Podskarbcza, a następnie obronił pozycje na 42. ulicy przed atakiem Batalionu Pedałów.

Nieustraszony, cieszący się opinią żołnierza z krwi i kości oraz nieposzlakowaną kartą w swojej karierze wojskowej, człowiek zamożny i nie pozbawiony inteligencji, przyjaciel amerykańskich senatorów i teksaskich milionerów, Kettelman zyskał stanowiącą przedmiot pożądania wielu nominację na komendanta operacji militarnych na pokładzie „Jenny Lind”.

Właśnie oczekiwał chwili, w której wyprowadzi swoją grupę bojową liczącą dwudziestu żołnierzy piechoty morskiej na powierzchnię piątej planety. Ta perspektywa podniecała go ogromnie. Bo Kettelman wiedział, że niezależnie od tego, co mówiły instrumenty, mogło ich czekać dosłownie wszystko, co okaleczy i zabije — chyba że on się okaże szybszy — a to właśnie miał w planie.

— Jest jedna rzecz — odezwał się Macmillan — odkryliśmy na planecie obecność statku kosmicznego.

— No proszę — rzekł Kettelman — wiedziałem, że coś będzie na pewno. Zauważyliście tylko jeden statek?

— Tak. I to mały, o wyporności przeszło dwadzieścia razy mniejszej niż nasza i najwyraźniej nieuzbrojony.

— Właśnie o to im chodzi, żebyśmy w to uwierzyli — rzekł Kettelman. — Ciekawe, gdzie jest reszta.

— Jaka reszta?

— Pozostałe statki z załogami, rakiety ziemia–kosmos, i tak dalej.

— Z obecności jednego obcego statku wcale nie musi wynikać obecność innych obcych statków — zauważył kapitan Macmillan.

— Nie musi? Wiesz, co ci powiem, Mac? Ja się uczyłem logiki w dżunglach Hondurasu — odparł Kettelman. — A tam jeśliś się nadział na jednego pokurcza z maczetą, mogłeś być pewien dalszych pięćdziesięciu ukrytych w zaroślach, gotowych obciąć ci uszy, jeśli byś im tylko dał szansę. Stosując abstrakcyjną logikę mógłbyś łatwo stracić życie.

— Okoliczności były trochę inne — zaznaczył kapitan Macmillan.

— I co z tego?

Macmillan skrzywił się i odwrócił. Rozmowy z Kettelmanem sprawiały mu trudność i wobec tego unikał ich, jak tylko mógł. Pułkownik był osobnikiem kłótliwym, upartym, łatwo wpadającym w gniew i wyznającym pewne prawdy, których większość zasadzała się na niewzruszonych podwalinach niemal całkowitej ignorancji. Kapitan zdawał sobie sprawę, że antypatia, jaką darzy Kettelmana, jest wzajemna. Był świadom tego, że pułkownik uważa go za człowieka niezdecydowanego i niesprawnego, wyjąwszy może wąską dziedzinę jego naukowej specjalności.

Szczęśliwie zakres ich kompetencji był ściśle określony i bardzo wyraźnie rozgraniczony. A przynajmniej tak było do tej pory.

II

Detringer i Ichor stali w kępie drzew i patrzyli na bezbłędne lądowanie wielkiego statku.

— Obojętne, kto prowadzi ten statek — powiedział Detringer — uważam, że jest mistrzem w tej sztuce. Chciałbym go poznać.

— Niewątpliwie będzie pan miał okazję. To z pewnością nie przypadek, że mając do wyboru powierzchnię całej planety posadzili swój statek prawie dokładnie koło nas.

— Oczywiście musieli nas zauważyć — rzekł Detringer. — I postanowili zagrać śmiało, dokładnie tak, jak ja bym zrobił na ich miejscu.

— To się trzyma kupy — odparł Ichor. — A co by pan zrobił na swoim miejscu?

— I ja zagram śmiało.

— To jest moment historyczny — oznajmił Ichor. Przedstawiciel Ferlang po raz pierwszy w dziejach spotka się wkrótce z inteligentnymi obcymi. Co za ironia, że taka okazja trafiła się akurat kryminaliście!

— Ta okazja, jak ją nazwałeś, została mi narzucona. Zapewniam cię, że jej nie szukałem. Ale a propos — mam nadzieję, że nie będziemy nic mówili na temat moich nieporozumień z władzami Ferlang.

— Chce pan powiedzieć, że pan będzie kłamał?

— To bardzo ostre sformułowanie — rzekł Detringer. Powiedzmy, że chcę oszczędzić moim ludziom niezręcznej sytuacji wynikającej z tego, że ich pierwszym przedstawicielem wobec obcej rasy jest przestępca.

— Aha, no chyba że tak — uspokoił się Ichor. Detringer spojrzał surowo na swego mechanicznego sług.

— Widzę, że niezupełnie ci się podobają moje metody.

— Istotnie, ale niech pan mnie zrozumie, sir: jestem panu wierny bez najmniejszych zastrzeżeń. W każdej chwili gotów do największych poświęceń. Będę panu służył do śmierci, a może nawet i dłużej, o ile to możliwe. Ale lojalność w stosunku do drugiej osoby nie może oznaczać wyrzeczenia się zasad religijnych, społecznych i etycznych. Kocham pana, sir, ale nie akceptuję pana postępowania.

— Dobrze — odparł Detringer — czuję się ostrzeżony. A teraz wracając do naszych obcych przyjaciół: otwiera się luk i wychodzą.

— Wychodzą żołnierze — zauważył Ichor.

Przybysze byli też dwunożni i też mieli po dwie kończyny górne. Każdy z nich miał tylko jedną głowę, jedno usta i jeden nos, tak jak i Detringer. Nie było widać żadnych ogonów czy jakichkolwiek anten. Sądząc ze sprzętu, z pewnością byli to żołnierze. Każdy z nich dźwigał wyposażenie, w którym można się było domyślać małych wyrzutni, granatów gazowych i rozrywających, broni promieniowej, broni atomowej bliskiego rażenia i jeszcze wielu innych rzeczy. Mieli też osobiste zabezpieczenie, a głowy chroniły im przezroczyste bańki plastikowe. Było ich w ten sposób wyposażonych dwudziestu plus jeden, najwyraźniej ich przywódca, bez widocznego uzbrojenia. Posługiwał się on czymś w rodzaju elastycznej pałki — stanowiącej najprawdopodobniej insygnium jego władzy — którą idąc na czele swoich żołnierzy, uderzał się rytmicznie w górną część lewej kończyny dolnej.

Żołnierze podeszli bliżej, w szyku luźnym, ukrywając się chwilowo za obiektami naturalnymi, i całą swoją postawą demonstrując najwyższą podejrzliwość i czujność. Oficer wystąpił naprzód, bez żadnej osłony, przejawiając tym samym brawurę czy po prostu głupotę.

— Nie uważam, żebyśmy dalej musieli kryć się po tych krzakach — powiedział Detringer. — Czas wyjść i stawić im czoła w sposób godny przedstawicieli planety Ferlang. Z tymi słowy wystąpił i eskortowany przez Ichora zbliżył się do żołnierzy. Był w tym momencie wspaniały.

Każdy z członków załogi „Jenny Lind” wiedział o obcym statku odległym zaledwie o milę. Dlatego obecność obcego, który właśnie śmiało zmierzał na spotkanie żołnierzy Kettelmana, nie powinna być dla nikogo zaskoczeniem.

A jednak była. Nikt nie był przygotowany na spotkanie z autentycznym, najprawdziwszym pod słońcem, niesamowitym z wyglądu nieziemcem z krwi i kości. W tej sytuacji nasuwało się wiele pytań — żeby wymienić choć jedno: co człowiek właściwie powinien powiedzieć, kiedy się wreszcie spotka z nieziemcem? Czy potrafi sprostać niezwykłości tej historycznej chwili? Cokolwiek wymyślisz, musi zabrzmieć jak: „Doktor Livingstone, jak sądzę?” Przez całe wieki będą się potem nabijać z ciebie i twoich słów — napuszonych czy banalnych. Spotkanie z nieziemcem potencjalnie jest nad wyraz krępujące.

Zarówno kapitan Macmillan, jak i pułkownik Kettelman gorączkowo szykowali tekst powitania odrzucając kolejne wersje i mając nadzieję, że w komputerze przekładowym C31 wysiadzie tranzystor. Żołnierze modlili się: „Jezu, spraw, żeby nie chciał rozmawiać akurat ze mną”. Nawet kucharz myślał: „Chryste, na początek go zainteresuje, jak się odżywiam”.

Ale Kettelman szedł na czele. „Do cholery — pomyślał — nie mam zamiaru z nim pierwszy rozmawiać.” Zwolnił kroku pozwalając swoim ludziom się wyprzedzić. Ale żołnierze stanęli w miejscu jak wryci czekając na pułkownika. Kapitan Macmillan, który podążał tuż za nimi, również przystanął, żałując, że ma na sobie mundur ze wszystkimi dystynkcjami. Najbardziej ze wszystkich rzucał się w oczy i dlatego wiedział, że obcy podejdzie prosto do niego.

Ziemianie stali nieruchomo. Nieziemiec szedł w ich stronę. W szeregach ludzi skrępowanie ustąpiło panice. Żołnierze patrzyli na obcego i myśleli: „Jezu, co to będzie”. Oczywiście byli bliscy ucieczki. Kettelman widział to i myślał: „Zhańbią całą jednostkę i mnie!”

Ta myśl go otrzeźwiła. Nagle przypomniał sobie o dziennikarzach. Tak, dziennikarze! Niech to wezmą na siebie ludzie prasy — ostatecznie za to biorą pieniądze.

— Pluton, stój! — rozkazał. A następnie dodał: — Prezentuj broń.

Obcy też się zatrzymał, prawdopodobnie, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Kapitanie — Kettelman zwrócił się do Macmillana. — Proponuję, żeby w tym historycznym momencie spuścić ze smyczy... to znaczy uruchomić dziennikarzy.

— Doskonały pomysł — odrzekł kapitan i polecił wydobyć dziennikarzy ze stanu hibernacji i natychmiast ich przyprowadzić.

Nastąpiła chwila oczekiwania.

Dziennikarze byli zainstalowani w specjalnym pomieszczeniu. Na drzwiach wisiała tabliczka: „HIBERNACJA — osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. I poniżej odręcznie dopisana: „Budzić tylko w razie rewelacji”.

A w kabinie — każde w swojej kapsule — spoczywało czterech dziennikarzy i jedna dziennikarka. Wszyscy oni zgodzili się z tym, że prowadzenie aktywnego życia przez jałowe lata, potrzebne na dotarcie „Jenny Lind” do jakiegokolwiek punktu przeznaczenia, byłoby dla nich stratą czasu subiektywnego. Dlatego wyrazili zgodę na przejście w stan hibernacji pod oczywistym warunkiem, że zostaną przywrócenii do życia natychmiast, jak tylko zaistnieje sytuacja wymagająca obsługi dziennikarskiej. Decyzję co do tego, jaka sytuacja zostanie za taką uznana, pozostawiono kapitanowi Macmillanowi, który na drugim i trzecim roku studiów na uniwersytecie Taos pracował jako reporter dla „Słońca Feniksa”.

Polecenie obudzenia dziennikarzy dostał Szkot, inżynier Ramon Delgado, człowiek o dziwnym zyciorysie. Poustawiał odpowiednio systemy zabezpieczające poszczególnych osób i w ciągu piętnastu minut wszyscy byli lekko oszołomieni, ale przytomni i domagali się wyjaśnień.

— Wylądowaliśmy na planecie — poinformował ich Delgado. — Jest to planeta typu ziemskiego, ale nie widać, żeby była na niej jakaś cywilizacja czy inteligentne życie.

— I to był powód, dla którego nas obudziłeś? — zapytał Quebrada z Południowo—wschodniej Agencji Prasowej.

— Nie tylko — odparł Delgado. — Na planecie jest jakiś obcy statek i nawiązaliśmy kontakt z inteligentną istotą.

— No, to już lepiej — rzekła Millicent Lopez reprezentująca dziennik „Ubiory damskie” i inne. — A czy może zauważyłeś, w co ten obcy jest ubrany?

— A można ocenić stopień inteligencji tego osobnika? — zapytał Mateos Upmann z „New York

Timesa” i „Los Angeles Timesa”.

— A co do tej pory powiedział? — chciał wiedzieć Angel Potemkin z NBC–CBS–ABC.

— Nic nie powiedział — poinformował ich inżynier Delgado. — Bo jeszcze nikt z nim nie rozmawiał.

— Czy mamy przez to rozumieć — zdziwił się E.K. Quetzala z Zachodniej Agencji Prasowej — że pierwszy nieziemiec, jakiego kiedykolwiek spotkali ziemianie, stoi tam teraz jak ten głupi i nikt nie przeprowadza z nim wywiadu?

Dziennikarze runęli do wyjścia — wielu z nich wlokło jeszcze za sobą rurki i przewody — wstępując jedynie do pokoju reporterów po magnetofony. Na zewnątrz, mrużąc oczy w ostrym słońcu, troje z nich podłączyło się do komputera przekładowego C31. Następnie wszyscy razem ruszyli naprzód roztrącając żołnierzy i otoczyli nieziemca.

Upmann włączył komputer, wziął jeden z mikrofonów, a drugi podał obcemu, który po chwili wahania wyciągnął rękę.

— Próba: raz, dwa, trzy — powiedział Upmann. — Zrozumiałeś, co powiedziałem?

— Powiedziałeś: „Próba: raz, dwa, trzy”.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, ponieważ wreszcie zostały wypowiedziane pierwsze słowa do pierwszego w dziejach nieziemca i Upmann rzeczywiście miał wyjść w książkach historycznych na kompletnego idiotę. Ale Upmannowi było dokładnie wszystko jedno, na co wyjdzie, byleby się w ogóle znaleźć w książkach historycznych, dlatego nie przerywał sobie wywiadu. Po chwili inni poszli w jego ślady.

Detringer musiał odpowiedzieć, co jada, jak długo i jak często sypia, scharakteryzować swoje życie seksualne i jego odchylenia od normy przyjętej dla Ferlang, opisać pierwsze wrażenie, jakie zrobili na nim ziemianie, przedstawić swoją osobistą filozofię, wyznać, ile ma żon i jak mu się układa współżycie z nimi, ile ma dzieci i jakie to jest uczucie, jak się jest nim. Musiał podać swój zawód i hobby, ze szczególnym uwzględnieniem zainteresowań ogrodniczych lub ich braku. Musiał się przyznać, czy kiedykolwiek się upił i w jakich okolicznościach, opisać swoje pozamałżeńskie doświadczenia seksualne, o ile miał takie, i wymienić uprawiane sporty. Musiał wyrazić swój pogląd na przyjaźń międzygwiezdną pomiędzy rasami inteligentnymi, przedyskutować ze swoimi rozmówcami korzyści albo kłopoty wynikające z posiadania ogona i wiele innych.

Macmillan, nieco zawstydzony z powodu zaniedbania obowiązków kapitana, wystąpił teraz naprzód i uratował Detringera, który dzielnie i z wielkim nakładem trudu próbował wytłumaczyć niewytłumaczalne.

Podszedł również pułkownik Kettelman — ostatecznie to on był odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa i do niego należało wnikać głęboko w naturę i intencje obcego.

Nastąpiło drobne spięcie pomiędzy tymi dwiema osobistościami co do tego, kto pierwszy

powinien się spotkać z nieziemcem czy też może spotkanie ma być wspólne. Ostatecznie zdecydowano, że to Macmillan, jako symboliczny przedstawiciel ludów Ziemi, pierwszy będzie rozmawiał z obcym. Było jasne, że to spotkanie ma mieć charakter czysto formalny. Dopiero Kettelman, jako następny w kolejności, będzie już rozmawiał konkretnie.

Ten plan ładnie sprawę rozwiązał i Detringer oddalił się z Macmillanem. Żołnierzy odesłano na statek, gdzie złożyli broń i wrócili do pucowania butów.

Trzymającego się z tyłu Ichora dopadł przedstawiciel Agencji Środkowozachodniej i poprosił o wywiad. Ten sam dziennikarz, Melchior Carrera, współpracował także z takimi pismami, jak: „Popular Mechanics”, „Playboy”, „Rolling Stone” i „Automation Engineers’ Digest”. Był to ciekawy wywiad.

Rozmowa Detringera z kapitanem Macmillanem szła bardzo gładko. Obaj mieli poglądy liberalne na większość problemów, obaj odznaczyli się wrodzonym taktem i każdy z nich starał się okazać maksymalne zrozumienie dla punktu widzenia, którego nie podzielał. Przypadli sobie nawzajem do gustu i kapitan Macmillan nie bez zdziwienia stwierdził, że Detringer jest mu mniej obcy niż pułkownik Kettelman.

Spotkanie z Kettelmanem, które nastąpiło zaraz potem, miało zupełnie inny charakter. Po krótkiej wymianie uprzejmości pułkownik przeszedł wprost do rzeczy.

— Co pan tu robi? — zapytał.

Detringer, przygotowany na konieczność udzielania podobnych wyjaśnień powiedział:

— Prowadzę statek zwiadowczy kosmicznych sił Ferlang. Sztorm zwiął mnie daleko z kursu i byłem zmuszony wylądować tutaj dokładnie w momencie, kiedy skończyło mi się paliwo.

— To znaczy, że jest pan unieruchomiony.

— Jestem. Czasowo, oczywiście. Jak tylko moi ludzie zorganizują załogę i sprzęt, wyślą po mnie statek ratowniczy. Ale to może potrwać. Gdybyście więc wsparli mnie paliwem, byłbym wam głęboko zobowiązany.

— Hmm — mruknął pułkownik Kettelman.

— Przepraszam, bo nie dosłyszałem?

— Hmm — powiedział komputer przekładowy C31 — to uprzejmy odgłos oznaczający u ziemian chwilę zastanowienia.

— Gadanie — przerwał mu Kettelman. — „Hmmm” nie znaczy dosłownie nic. Aha, więc potrzebuje pan paliwa?

— Tak, pułkowniku, potrzebuję — odparł Detringer. — Z różnych oznak zewnętrznych wnioskuję, że nasze systemy napędowe są porównywalne.

— System napędowy „Jenny Lind”... — zaczął C31.

— Chwileczkę, to jest tajne — przerwał mu Kettelman.

— Nie, już nie jest — odpowiedział komputer. — Wszyscy na ziemi używają tego systemu od dwudziestu lat i został w ubiegłym roku oficjalnie odtajniony.

— Tak jak myślałem — powiedział Detringer. — Nie będę nawet musiał zmieniać składu paliwa. Mogę użyć tak, jak jest. Naturalnie o ile mi użyjecie.

— Z tym nie ma problemu — odrzekł Kettelman — paliwa mamy dość. Ale przedtem musimy omówić kilka spraw.

— Na przykład?

— Na przykład: czy danie panu paliwa będzie służyło sprawie naszego bezpieczeństwa.

— Nie widzę tu żadnego problemu — odparł Detringer.

— To dziwne. Ferlang jest najwyraźniej planetą o wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej. Jako taka może stanowić dla nas potencjalne zagrożenie:

— Drogi pułkowniku, nasze planety należą do różnych galaktyk.

— Cóż z tego. My, Amerykanie, zawsze walczyliśmy tak daleko od domu, jak tylko to jest możliwe. Być może wy z Ferlang robicie tak samo. Jaka przeszkodę stanowi odległość, skoro można ją pokonać?

Detringer opanował się i odpowiedział:

— Jesteśmy rasą pokojowo usposobioną, nastawioną na obronę i głęboko zainteresowaną w rozwoju przyjaźni i współpracy międzygwiazdnej.

— Tak pan mówi, ale skąd mogę być pewien, że to prawda?

— Pułkowniku, czy pana zachowanie nie jest przypadkiem... — Detringer szukał przez chwilę odpowiedniego sformułowania i wreszcie wybrał nieprzetłumaczalne w sensie dosłownym — „urmuguaht”?

C31 podsunął właściwe słowo:

— Zastanawiam się, czy pana zachowanie nie jest z lekka paranoiczne.

Kettelman najeżył się. Nic go tak bardzo nie wyprowadzało z równowagi, jak to, kiedy go uważano za paranoika. Czuł się wtedy szykanowany.

— Tylko niech mnie pan nie drażni — ostrzegł złowrogo. — Dlaczego na przykład nie miałbym

kazać pana zabić, a pańskiego statku zniszczyć do najdrobniejszej części w interesie bezpieczeństwa Ziemi? Do czasu kiedy pańscy ludzie się tu zjawią, nas już tu dawno nie będzie i Ferlangerzy, czy jak tam się nazywacie, ni cholery się o nas nie dowiedzą.

— Naturalnie, że moglibyście tak postąpić — powiedział Detringer — gdyby nie to, że zawiadomiłem swoich o was drogą radiową, jak tylko zobaczyłem wasz statek, i byłem z nimi w łączności radiowej aż do chwili kiedy przyszedłem na spotkanie z wami. Przekazałem Dowództwu Bazy wszelkie możliwe informacje na wasz temat, łącznie z oceną typu waszego słońca na podstawie waszego wyglądu zewnętrznego, jak również i kierunku, w jakim znajduje się wasza planeta — na podstawie analizy ścieżki jonowej.

— Bystry z pana facet — powiedział złośliwie Kettelman.

— Zawiadomiłem też ich, że poproszę was o udzielenie mi paliwa z waszych najwyraźniej obfitych zasobów. Poczytają wam to za szczególnie nieprzyjazny akt, jeśli mi odmówicie tej uprzejmości.

— O tym nie pomyślałem — rzekł Kettelman. — Hmm. Mam rozkaz niewywoływania żadnych międzygwiazdnych niesnasek.

— No więc? — Detringer zawiesił głos.

Zaległa długa, niezręczna cisza. Kettelman zrywał się na samą myśl o tym, że mógłby udzielić na dobrą sprawę wojskowej pomocy osobnikowi, który kto wie, czy nie okaże się jego najbliższym wrogiem. Z drugiej strony nie wiedział, jak z tego wybrnąć.

— W porządku — powiedział wreszcie — jutro przyślę panu paliwo.

Detringer podziękował i całkiem otwarcie i szczerze zaczął mówić o ogromnych rozmiarach i skomplikowanych rodzajach broni kosmicznych sił zbrojnych Ferlang. No, powiedzmy, że trochę przesadził. W gruncie rzeczy nie powiedział ani słowa prawdy.

III

Wczesnym rankiem do statku Detringera przyszedł ziemianin z kanistrem paliwa. Detringer poprosił go, żeby je zostawił gdziekolwiek, ale osobnik nalegał, że osobiście wniesie kanister do maleńkiej kabiny sportolotu i wleje paliwo do zbiornika. Taki ma rozkaz od pułkownika — powiedział.

— To dopiero początek — zwrócił się Detringer do Ichora. — Jeszcze ze sześćdziesiąt takich baniek.

— Ale dlaczego przysyłają nam po jednej? — zainteresował się Ichor. — To bardzo nieekonomicznie.

— Nie wiadomo. Zależy, co Kettelman chce osiągnąć.

— Co pan ma na myśli?

— Nic. Mam nadzieję. Poczekamy, zobaczymy. Czekali, mijały godziny. Wreszcie nastał wieczór, ale paliwa już więcej nie przysłano. Detringer poszedł do statku ziemskiego, odsunął na bok dziennikarzy i zażądał rozmowy z Kettelmanem.

Ordynans zaprowadził go do kabiny pułkownika. Pokój był urządony z dużą prostotą. Na ścianie wisiało kilka pamiątek — dwa rzędy odznaczeń na czarnym aksamicie w solidnej złoczonej ramce, fotografia dobermana pinczera z obnażonymi kłami i wysuszona głowa — trofeum z oblężenia Tegucigalpy. Sam pułkownik, rozebrany do szortów koloru khaki, ścisnął w każdej dłoni i w każdej stopie po kauczukowej piłeczce.

— Słucham, Detringer, co mogę dla pana zrobić?

— Przyszedłem zapytać, dlaczego przestał pan przysyłać mi paliwo.

— O? — Kettelman wypuścił wszystkie piłeczki na raz i usiadł w dyrektorskim skórzanym fotelu z jego nazwiskiem wytłoczonym na oparciu. — Odpowiem panu na to pytanie pytaniem. Jak pan mógł nawiązać łączność radiową ze swoimi ludźmi nie mając żadnego sprzętu radiowego?

— A kto mówi, że ja nie mam żadnego sprzętu radiowego?

— Z tą pierwszą porcją paliwa wysłałem do pana inżyniera Delgado. Miał się zorientować, jakiego pan używa sprzętu. Powiedział mi, że na pańskim statku nie ma ani śladu urządzeń radiowych. Inżynier Delgado jest ekspertem od tych spraw.

— Mamy sprzęt zminiaturyzowany — odpowiedział Detringer.

— My też. Ale to i tak wymaga wielu elementów, których u pana nie widać. Dodam jeszcze, że

odkąd zbliżyliśmy się do tej planety, prowadzimy nasłuch na wszystkich długościach fal radiowych. Nie natrafiliśmy na żadne transmisje.

Detringer powiedział:

— Mogę wszystko wyjaśnić.

— Bardzo proszę.

— To jasne. Kłamałem.

— Tyle wiem. Ale to niczego nie tłumaczy.

— Jeszcze nie skończyłem. My, Ferlangowie, też mamy swoje siły bezpieczeństwa, pan rozumie. Dopóki nie dowiemy się o was czegoś więcej, zdrowy rozsądek wymaga, żebyśmy się sami nie odsłaniali. Wasza naiwność, której dowiedliście wierząc, że posługujemy się tak prymitywnym systemem łączności jak radio, byłaby dla nas okolicznością pomyślną w przypadku gdybyśmy się mieli kiedykolwiek spotkać na stopie nieprzyjaznej.

— To wobec tego jak się komunikujecie? Czy może wcale?

Detringer zawahał się, po czym odparł:

— Myślę, że to by nie miało żadnego znaczenia nawet gdybym panu powiedział. Prędzej czy później sami byście odkryli, że my się porozumiewamy drogą telepatyczną.

— Telepatyczną? Twierdzi pan, że potraficie przesyłać na odległość myśli?

— Otóż to — odparł Detringer.

Kettelman wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym zapytał:

— Okay. A co ja wobec tego w tej chwili myślę?

— Pan myśli, że jestem kłamcą.

— Zgadza się.

— Ale to było oczywiste i tej wiadomości nie uzyskałem czytając pańskie myśli. My, Ferlangowie mamy zdolności telepatyczne tylko wewnątrz naszego gatunku.

— Wie pan co — powiedział Kettelman — ja w dalszym ciągu uważam, że jest pan cholernym łgarzem.

— Oczywiście. Problem polega na tym, czy jest pan pewien.

— Jestem cholernie pewien — odparł Kettelman ponuro.

— Ale czy to jest wystarczające? To znaczy z punktu widzenia waszego bezpieczeństwa. Niech pan pomyśli: jeśli ja mówię prawdę, to wczorajsze powody, żeby dać mi paliwo, są równie ważne i dzisiaj. Zgadza się pan ze mną?

Pułkownik niechętnie skinął głową.

— Jednocześnie, jeśli ja kłamię, a wy mi dacie paliwa, to i tak nic złego dla was z tego nie wyniknie. Pomoże pan drugiemu w potrzebie zobowiązując tym samym wobec siebie mnie i moich ziomków. To obiecujący początek wzajemnych stosunków pomiędzy naszymi rasami. A ponieważ obie prą coraz głębiej w kosmos, nasze spotkanie jest prędzej czy później nieuchronne.

— Zgadzam się, że jest nieuchronne — odparł Kettelman — ale mogę tu przynajmniej pana przytrzymać i opóźnić oficjalne kontakty do chwili, kiedy będziemy lepiej przygotowani.

— Proszę, niech pan próbuje opóźnić te kontakty — rzekł Detringer — ale i tak może do nich dojść w każdej chwili. A ma pan przynajmniej okazję zrobić dobry początek. Następnym razem okoliczności mogą nie być dla was takie pomyślne.

— Hmm — mruknął Kettelman.

— O, właśnie dlatego ma pan powody pomóc mi, nawet jeśli kłamię. Ale, proszę pamiętać: ja jednak mogę mówić prawdę. W tej sytuacji pańska odmowa będzie uważana za akt wielkiej wrogości.

Pułkownik przemierzył wąski pokój tam i z powrotem, potem odwrócił się w miejscu i rzucił z furją:

— Pańska argumentacja jest cholernie logiczna!

— Moje szczęście, że akurat logika mi sprzyja.

— Ma rację — wtrącił komputer przekładowy C31 — to znaczy z tą logiką.

— Zamknij się! — warknął Kettelman.

— Myślałem, że podkreślanie takich rzeczy należy do moich obowiązków — bronił się C31.

Pułkownik przestał spacerować i potarł czoło.

— Wynoś się, Detringer — powiedział znużonym głosem. — Przyślę ci paliwo.

— Nie pożałuje pan tego.

— Już tego żałuję. A teraz proszę, niech pan sobie idzie.

Detringer pospieszył do swojego statku i zakomunikował Ichorowi dobrą nowinę. Robot był zdziwiony.

— Nie sądziłem, że on to zrobi.

— On też nie sądził. Ale zdołałem go przekonać. — Opowiedział Ichorowi swoją rozmowę z pułkownikiem.

— To znaczy, że pan kłamał — rzekł ze smutkiem Ichor.

— Tak. Ale Kettelman wie, że kłamałem.

— To dlaczego chce panu pomóc?

— Ze strachu, że jednak mógłbym mówić prawdę.

— Panie, kłamstwo jest zarówno grzechem, jak i przestępstwem.

— Ale skazać się na pozostanie tutaj byłoby czymś gorszym — odrzekł Detringer. — Byłaby to niewybaczalna głupota.

— Nie jest to pogląd ortodoksyjny.

— Myślę, że możemy sobie darować dalsze dyskusje na temat ortodoksyjności. Mam robotę. A ty mógłbyś się przejść i skombinować mi coś do jedzenia.

Służący usłuchał w milczeniu i Detringer zasiadł z atlasem gwiazdnym, żeby opracować jakąś trasę na wypadek gdyby mógł się stąd ruszyć.

Wstał rano, pogodny i wspaniały. Ichor poszedł na ziemski statek pograć w szachy z robotem-pomywaczem, z którym zawarł znajomość poprzedniego dnia. Detringer czekał na paliwo.

Nie był tak bardzo zdziwiony, kiedy do południa żadne paliwo nie nadeszło. Ale poczuł się zawiedziony i przybity. Odczekał jeszcze dwie godziny i poszedł na „Jenny Lind”.

Wszystko na to wskazywało, że jest tam oczekiwany, ponieważ z miejsca zaprowadzono go do messy oficerskiej. Kettelman siedział w głębokim fotelu. Po obu jego stronach stali uzbrojeni żołnierze piechoty morskiej. Pułkownik miał surową minę, ale jednocześnie na jego pobrużdżonym obliczu igrał złośliwy uśmiezek. Obok siedział kapitan Macmillan, którego przystojna twarz była nieprzenikniona.

— Słucham, Detringer — odezwał się pułkownik. — O co tym razem chodzi?

— Przyszedłem spytać o paliwo, które mi pan obiecał. Ale już teraz widzę, że pan nie zamierza dotrzymać słowa.

— Źle mnie pan zrozumiał. Uczciwie zamierzałem dać paliwo przedstawicielowi sił zbrojnych Ferlang. Ale osoba, którą widzę przed sobą, nikim takim nie jest.

— A kogo pan wobec tego widzi przed sobą? — zapytał Detringer.

Kettelman opanował nieprzyjemny uśmieszek

— Widzę przed sobą kryminalistę z wyroku sądu najwyższego jego własnego ludu. Przestępcę, którego czyny zostały uznane za nie mające precedensu w rocznikach nowoczesnego wymiaru sprawiedliwości Ferlang. Osobnika, którego niewysłowione zachowanie zasłużyło na najwyższy wymiar kary znany jego ziomkom — wieczne wygnanie w głęboki kosmos. Oto jest właśnie ktoś, kogo przed sobą widzę. Czy może pan zaprzeczyć?

— Chwilowo ani nie zaprzeczam, ani nie potwierdzam. Chciałbym się najpierw dowiedzieć źródła pańskich szczególnych informacji.

Pułkownik Kettelman skinął w stronę jednego ze swoich żołnierzy. Żołnierz otworzył drzwi i wprowadził Ichora, w ślad za którym szedł robot—pomywacz.

Mechaniczny sługa wybuchnął:

— Panie, podałem pułkownikowi Kettelmanowi prawdziwy przebieg wydarzeń, które doprowadziły do pańskiego wygnania na tę planetę. Proszę o wyrażenie zgody na skorzystanie przeze mnie z przywileju, jakim jest prawo do samozniszczenia — a to wszystko w akcie częściowego chociaż zadośćuczynienia za moją nielojalność.

Detringer milczał, z wściekłością myśląc, co by tu zrobić. Kapitan Macmillan nachylił się do Ichora i zapytał:

— Dlaczego zdradziłeś swego pana?

— Nie miałem wyboru, panie kapitanie! — wykrzyknęła nieszczęsna maszyna. — Zanim władze Ferlang wyraziły zgodę na to, żebym towarzyszył mojemu panu, w określony sposób mnie zaprogramowały. Ich polecenia zostały wzmocnione skomplikowanymi układami.

— Co to za polecenia?

— Sprowadzają się one do narzucenia mi roli zwykłego policjanta i stróża więziennego. Zażądano ode mnie, żebym natychmiast podjął odpowiednie kroki, gdyby Detringer jakimś cudem znalazł sposób na uniknięcie słusznej kary.

— On mi to wszystko wygadał wczoraj, kapitanie — wybuchnął robot—pomywacz. — Błagałem go, żeby nie wykonywał tych rozkazów. Wyglądało mi to na kiepski show, panie kapitanie, jeśli pan wie, co mam na myśli.

— I rzeczywiście, jak długo mogłem, powstrzymywałem się przed wykonaniem tych rozkazów — rzekł Ichor, ale w miarę jak szanse ucieczki mego pana stawały się coraz realniejsze, imperatyw, by jej zapobiec, przybierał we mnie na sile. Mogłoby mnie przed tym powstrzymać jedynie usunięcie pewnych obwodów.

Na to wtrącił się robot—pomywacz:

— Chciałem go zoperować, panie kapitanie, mimo że jedyne narzędzia, jakimi dysponuję, to łyżki, noże i widelce.

— I ja bym się chętnie poddał takiej operacji, ja nawet chciałem dokonać aktu samozniszczenia po to, żeby z mojego mimowolnego zdradzieckiego pudła dźwiękowego nie wyszło ani jedno słowo. Ale władze Ferlang przewidziały i to. Zastosowano wobec mnie przymus niedopuszczania do jakiegokolwiek grzebania w moim mechanizmie czy tym bardziej zniszczenia, dopóki nie wykonam poleceń. Mimo to wstrzymywałem się aż do dziś rana i kiedy wreszcie, na skutek tego konfliktu wewnętrznego, rozładowałem się prawie zupełnie, poszedłem do pułkownika Kettelmana i wszystko mu powiedziałem.

— I oto koniec tej żalosalnej historii — Kettelman zwrócił się do kapitana.

— Niezupełnie koniec — powiedział łagodnie Macmillan. — Na czym dokładnie polegały pańskie zbrodnie, Detringer?

Detringer wyrecytował je pewnym głosem — poczynając od aktów szczególnego chamstwa poprzez świadome nieposłuszeństwo aż do ostatniego wykroczenia — jawnego gwałtu. Ichor skinął głową w pełnym rezygnacji potwierdzeniu.

— Wydaje mi się, że to wystarczy — oświadczył Kettelman. — Pozwolę sobie teraz ogłosić wyrok w tej sprawie.

— Chwileczkę, pułkowniku — przerwał mu kapitan Macmillan i zwrócił się do Detringera: — Czy służy pan obecnie albo czy może kiedykolwiek pan służył w siłach zbrojnych Ferlang?

— Nie — odparł Detringer i Ichor potwierdził prawdziwość tej informacji.

— A więc ten osobnik jest cywilem — rzekł kapitan Macmillan — i jako taki musi być sądzony raczej przez władze cywilne niż wojskowe.

— Ja nic o tym nie wiem — odezwał się Kettelman.

— Sprawa jest zupełnie jasna. Detringer jako cywil został osądzony przez sądy cywilne. A nasze narody nie są w stanie wojny ze sobą. Jego sprawa nie podlega więc jurysdykcji wojskowej.

— Ale ja mimo to uważam, że powinna być w moich kompetencjach. W niczym panu nie ujmując, kapitanie, lepiej się na tym znam...

— Ja sprawę rozstrzygnę — uciął Macmillan — chyba że zechce pan siłą przejąć dowództwo statku.

Kettelman potrząsnął głową.

— Nie zamierzam w ten sposób plamić swego honoru. Proszę, kapitanie, niech pan go sądzi.

Kapitan Macmillan zwrócił się do Detringera:

— Musi pan zrozumieć, że nie mogę kierować się w tej sprawie moimi osobistymi sympatiami. Pańskie władze pana skazały i uchylenie tego wyroku byłoby z mojej strony niewskazane, aroganckie i niepolityczne.

— Święta racja — wtrącił Kettelman.

— Dlatego utrzymuję w mocy wyrok wiecznego wygnania, ale będę go egzekwował znacznie surowiej niż dotychczas.

Pułkownik uśmiechnął się złośliwie. Ichor wydał odgłos rozpaczy. Robot-pomywacz szepnął: „Biedak!” Detringer stał niewzruszenie patrząc kapitanowi w oczy. Macmillan powiedział:

— Wyrokiem tego sądu więzień ma dalej przebywać na wygnaniu. Co więcej, sąd stwierdza, że pobyt więźnia na tej przyjemnej planecie jest przywilejem, którego udzielenie nie leżało w intencjach władz Ferlang. Dlatego, Detringer, musi pan niezwłocznie opuścić to miejsce i wrócić w całkowite odosobnienie przestrzeni kosmicznej.

— No, to go pan załatwił — skomentował pułkownik Kettelman. — Nie sądziłem jednak, kapitanie, że będzie pana na to stać.

— Cieszę się, że jest pan zadowolony — odparł kapitan. Dlatego proszę; żeby pan dopilnował wykonania wyroku.

— Z przyjemnością.

— Mam nadzieję — podjął Macmillan — że z pomocą swoich ludzi zdoła pan napęłnić zbiorniki paliwa Detringera w ciągu jakichś dwóch godzin. Po zakończeniu tankowania więzień jest zobowiązany natychmiast opuścić planetę.

— Nie ma obawy, wyprawię go jeszcze przed nocą — powiedział Kettelman, gdy nagle uderzyła go pewna myśl. — Jak to tankowania?! Przecież to jest właśnie to, o co mu chodziło od samego początku.

— Sądu nie interesuje, o co chodzi skazanemu — orzekł kapitan Macmillan. — Życzenia skazańca nie mają tu nic do rzeczy.

— Człowieku, ale czy pan nie widzi, że pan go zwalnia? — zaperzył się Kettelman.

— Ja mu umożliwiam odejście, a to zupełnie co innego.

— Zobaczmy, co na to powiedzą tam na Ziemi — rzekł złowieszczo Kettelman. Detringer skłonił się, wyrażając w ten sposób poddanie się wyrokowi. A następnie z trudem zachowując powagę, opuścił ziemski statek.

Z zapadnięciem nocy wystartował. Towarzyszył mu wierny Ichor — tym wierniejszy teraz, że wolny od nakazów. Wkrótce znaleźli się w głębokiej przestrzeni kosmicznej i robot zapytał:

— Panie, a dokąd my lecimy?

— Na jakiś nowy wspaniały świat — odparł Detringer.

— Czy może raczej na śmierć?

— Może. Ale ze zbiornikami pełnymi paliwa nie mam zamiaru się tym przejmować.

Milczeli przez chwilę, po czym odezwał się Ichor:

— Mam nadzieję, że kapitan Macmillan nie będzie miał z tego powodu kłopotów.

— Wygląda na faceta, który wie, co robi — odrzekł Detringer.

Na Ziemi czyn kapitana Macmillana był przedmiotem licznych kontrowersji. Zanim jednak zdołano podjąć jakąś oficjalną decyzję, doszło do drugiego, tym razem oficjalnego, spotkania pomiędzy Ferlang i Ziemią. Sprawa Detringera w sposób oczywisty wyszła na szersze forum i została uznana za zbyt skomplikowaną, żeby ją można było szybko rozstrzygnąć. Przekazano ją więc ciału prawnemu składającemu się z przedstawicieli obu cywilizacji.

Ten przypadek dostarczył pełnoetatowego zajęcia pięciuset sześciu prawnikom z Ziemi i z Ferlang. Jeszcze wiele lat później trwały spory na ten temat, ale do tego czasu Detringer znalazł już cichą przystań i przyzwoitą pozycję wśród ludów Oumenke na rubieżach galaktyki.

przekład: Zofia Uhrynowska–Hanasz

Something for Nothing

Coś za nic

Czyżby istotnie coś usłyszał? Nie był tego pewien. Odtwarzając zdarzenia w chwilę później, Joe Collins przypomniał sobie, że leżał na własnym łóżku, tak straszliwie zmęczony, że nie miał nawet siły zdjąć z koca przesiąkniętych wodą butów. Z wzrokiem utkwionym w sieci pęknięć na brudnym żółtym suficie, obserwował wolno, żalobnie kapiącą do środka wodę.

To się musiało zdarzyć właśnie wtedy. Collins kątem oka złowił błysk metalu tuż koło łóżka. Usiadł. Na podłodze, tam, gdzie nigdy nie było żadnej maszyny, stała maszyna.

W pierwszym momencie zaskoczenia, Collinsowi wydało się, że słyszy bardzo odległy głos, który mówi:

— Już! Gotowe.

Co do głosu — nie był go pewien. Ale maszyna pozostawała faktem niezaprzeczalnym.

Collins przyklęknął, żeby ją lepiej obejrzeć. Maszyna mogła mieć ze trzy stopy kwadratowe powierzchni i cicho szumiała. Spękana, szara powierzchnia pozbawiona była cech szczególnych, z wyjątkiem czerwonego przycisku w jednym rogu i mosiężnej płytki pośrodku. Płytką informowała: UTYLIZATOR KLASY A, SERIA AA-1256432. Pod spodem zaś — UWAGA! MASZYNA DO WYŁĄCZNEGO UŻYTKU OSOBNIKÓW KLASY A!

I to było wszystko.

Collins nie zauważył żadnych pokręteł, wskazówek, przełączników i tym podobnych urządzeń, które zawsze kojarzyły mu się z maszynami. Tylko mosiężna płyta, czerwony guzik i ten szum.

— Skądęś się tu wzięło? — zapytał. Utylizator Klasy A szumiał dalej. Collins i tak nie spodziewał się odpowiedzi. Siedząc na skraju łóżka, patrzył w zamyśleniu na Utylizator. Pozostawało pytanie — co z nim zrobić?

Ostrożnie nacisnął czerwony guzik, świadom swojego braku doświadczenia z maszynami, które spadały nie wiadomo skąd. Co się stanie, kiedy uruchomi urządzenie — podłoga się rozstąpi? Z sufitu zaczną spadać małe zielone ludziki?

Ale do stracenia miał mniej niż nic. Nacisnął guzik. Lekko.

Nic się nie stało.

— No, co jest, rób coś! — zirytował się Collins, wyraźnie zawiedziony. Utylizator dalej tylko cicho szemrał i nic więcej.

Zawsze można go oddać w zastaw. Uczciwy handlarz dałby mu za złom przynajmniej dolara. Spróbował podnieść Utylizator. Okazało się to niemożliwe. Spróbował raz jeszcze, tym razem angażując wszystkie siły i zdołał unieść jeden róg o cal nad ziemię. Puścił ciężar i siadł na łóżku, dysząc ciężko.

— Trzeba było przysłać ze dwóch facetów do pomocy — zwrócił się Collins do Utylizatora. W mgnieniu oka szum nasilił się i cała maszyna zaczęła wibrować.

Collins obserwował ją uważnie, ale dalej nic się nie działo. Wiedziony impulsem, wyciągnął rękę i pacnął w czerwony guzik.

W mig pojawili się dwaj potężni faceci, odziani w zgrzebne stroje robocze. Z uznaniem popatrzyli na Utylizator.

— Bogu dzięki — odezwał się jeden — że to mały model. Z tymi dużymi człowiek się naużera jak głupi.

— I tak lepsze to niż marmurowe kamieniołomy, no nie? — odezwał się drugi.

Spojrzeni na Collinsa, który wytrzeszczał na nich gały. W końcu pierwszy powiedział:

— No dobra, szefie, nie będziem tu sterczeć do nocy. Gdzie przestawić?

— Kim panowie są? — wydukał Collins.

— Przenosicielami. A co, może wyglądamy jak siostry Vanizaggi?

— Ale skąd panowie się tu wzięli? — pytał dalej Collins. — I dlaczego?

— Wzięliśmy się z firmy przenosicielskiej Powha Minnile Movers, Incorporated — wyjaśnił facet. — A dlatego, że pan szanowny życzył sobie coś przestawić. Gdzie to postawić?

— Proszę sobie iść — powiedział Collins. — Później panów wezwę.

Przenosiciele wzruszyli ramionami i zniknęli. Collins przez dłuższą chwilę wpatrywał się w miejsce po nich. Potem przeniósł spojrzenie na Utylizator Klasy A, który z powrotem szumiał sobie z cicha.

Utylizator? Znalazłby dla niego lepszą nazwę. Spełniarka życzeń, na przykład.

Collins nie był specjalnie wstrząśnięty. Kiedy zdarza się cud, tylko tępe, przyziemne umysły nie potrafią go spokojnie zaakceptować. Collins z całą pewnością do nich nie należał. Miał doskonały grunt do akceptacji wszelkich zjawisk.

Większą część życia spędził na marzeniach, nadziejach i modlitwach o to, żeby zdarzył mu się cud. W gimnazjum marzył o tym, że któregoś dnia obudzi się i będzie umiał całą pracę domową bez nudnej konieczności uczenia się. W wojsku marzył o tym, żeby jakiś czarodziej albo dzinn zmienił

dyspozycje i przydzielił go do dekorowania świetlicy, zamiast zmuszać go, żeby robił to, co wszyscy — czyli trenował musztrę.

Po wyjściu z wojska Collins unikał pracy, gdyż był do niej psychicznie nieprzystosowany. Obijał się, z nadzieją, że jakaś bajecznie bogata osoba, pod wpływem nagłego impulsu zmieni swój testament, zapisując mu wszystko.

W gruncie rzeczy, nigdy się niczego nie spodziewał. Ale kiedy cud nastąpił, był przygotowany.

— Chciałbym dostać tysiąc dolarów w drobnych banknotach — odezwał się ostrożnie Collins. Kiedy szum się nasilił, wcisnął guzik. Wyrosła przed nim spora kupa podniszczonych banknotów jedno-, pięcio- i dziesięciodolarowych. Nie były zbyt piękne, to fakt, ale bez wątpienia były to pieniądze.

Collins wyrzucił garść banknotów w powietrze i patrzył, jak z gracją osiadają na podłodze. Wyciągnął się na łóżku i począł snuć plany.

Przede wszystkim, wyjedzie z maszyną poza Nowy Jork — może gdzieś na prowincję, gdzie wścibscy sąsiedzi nie będą mu przeszkadzali. Mogą być hece z podatkiem dochodowym. Kiedy się już ustawi, powinien wyjechać do Ameryki Środkowej, albo...

W pokoju rozległ się podejrzany odgłos.

Collins skoczył na równe nogi. W ścianie otwierała się wyrwa, przez którą ktoś próbował wtrynić się do środka.

— Ejże! Przecież cię o nic nie prosiłem! — powiedział Collins do maszyny.

Dziura w ścianie powiększyła się i wielki, czerwony na gębie gość wkroczył jedną nogą do pokoju, z furią napierając na brzeg wyrwy. W tym momencie Collins przypomniał sobie, że maszyny na ogół miewają właścicieli.

Ktokolwiek był posiadaczem spełniarki życzeń, na pewno nie przyjąłby jej utraty ze stoickim spokojem. Zrobiłby wszystko, żeby ją odzyskać. Możliwe, że nie zawahałby się nawet przed...

— Broń mnie! — wrzasnął Collins do Utylizatora i dźgnął czerwony guzik.

Pojawił się drobny, łysy człowieczek w krzykliwej pizamie, zaspany i ziewający.

— Sanisa Leek, Gwarantowane Remonty Ścian — wyrecytował, trąc oczy. — Jestem Leek. Czym mogę służyć?

— Wyrzuć go stąd! — wrzasnął Collins. Czerwony na gębie, wymachując dziko ramionami, zdołał już prawie przecisnąć się przez otwór w ścianie.

Leek wygrzebał z kieszeni piżamy błyszczący kawałek metalu. Czerwony na gębie zaczął wrzeszczeć.

— Chwileczkę! Pan nie rozumie! Ten człowiek...

Leek wycelował w niego błyszczącą blaszką. Czerwony na gębie wrzasnął i zniknął. Po chwili znikła również dziura w ścianie.

— Zabił go pan? — zapytał Collins.

— Skądże znowu — odparł Leek, chowając blaszkę. — Ja go tylko zawróciłem jego własnym kanałem. Tą drogą więcej nie spróbuje.

— Czy to ma znaczyć, że spróbuje inną? — zapytał Collins.

— To możliwe — powiedział Leek. — Może próbować mikrotransferu, a nawet animacji. — Spojrzał surowo na Collinsa. — To jest pański Utylizator, tak?

— Jasne — powiedział Collins i zaczął się pocić.

— I ma pan klasę A?

— Naturalnie — zapewnił go Collins. — Gdybym nie miał klasy A, to co by u mnie robił Utylizator?

— Nie chciałem pana urazić — uspokoił go sennym głosem Leek. — Tak tylko zgaduję — wolno pokiwał głową. — Wy, ludzie klasy A, to sobie podróżujecie! Pan tutaj wrócił, żeby pisać powieść historyczną?

Collins tylko uśmiechnął się zagadkowo.

— No, będę leciał — powiedział Leek, ziewając jak najęty. — Dzień i noc na nogach. Już bym chyba wolał kamieniołomy. I zniknął w pół ziewnięcia.

Deszcz ciągle bębnił w dach. Z drugiej strony wywietrznika nadal dobiegało chrapanie, niczym nie zakłócone. Collins był znowu sam, sam ze swoją maszyną.

I z tysiącem dolarów w drobnych banknotach, rozsianych po całej podłodze. Czule poklepał Utylizator. Ci z klasą A rzeczywiście nieźle sobie żyli. Pan sobie czegoś życzy? Wystarczy wymówić życzenie i nacisnąć guzik. Nie ma wątpliwości, że prawdziwy właściciel tęskni za swoją maszynką.

Leek ostrzegał, że gość może próbować dobrać się do niego inną drogą. Tylko jaką?

A zresztą, co za różnica. Collins zgarnął banknoty, pogwizdując pod nosem. Wiedział, że dopóki ma spełniarkę życzeń, potrafi o siebie zadbać.

Kilka następnych dni przyniosło wielkie zmiany w życiu Collinsa. Z pomocą firmy przenosielskiej Powha Minnile przetransportował Utylizator w głąb stanu Nowy Jork. Tam zakupił średniej wielkości górę w mało uczęszczanym zakątku Adirondaków. Ledwie dostał papiery do ręki, udał się w samo serce swojej posiadłości, o kilka mil od autostrady. Dwaj przenosiciele, pocąc się jak myszy, taszczyli Utylizator w ślad za nim, klnąc przy tym monotonie, w miarę jak forsowali gąszcz.

— Postawić mi go tutaj i zjeżdżać — polecił Collins. Ostatnie dni znacznie wzmogły jego pewność siebie.

Przenosiciele westchnęli, nieco zdziwieni, i ulotnili się. Collins rozejrzał się dookoła. Ze wszystkich stron, jak okiem sięgnąć, otaczał go gęsty las brzozowo — sosnowy. Powietrze było słodkie i wilgotne. Ptaki ćwierkały radośnie w koronach drzew, od czasu do czasu przemknęła wiewiórka.

Natura! Collins zawsze kochał przyrodę. Miejsce było idealne pod budowę dużego, efektownego domu, z basenem, kortami tenisowymi, a nawet — czemu nie? — małym lotniskiem.

— Chcę mieć dom — oświadczył stanowczo Collins i wcisnął czerwony guzik.

Pojawił się człowiek w nienagannym szarym garniturze urzędnika i z pince-nez.

— Służę uprzejmie, sir — rzekł, patrząc po drzewach. — Jestem jednak zmuszony prosić o bardziej szczegółową specyfikację. Czy życzy pan sobie coś klasycznego — bungalow, ranczo, willa dwupoziomowa, dworek, zameczek lub pałac? Czy też model prymitywny typu igloo albo szałas? Jako A, może pan wymagać czegoś supernowoczesnego — może być Pół-Fronton, Nowość Rozwinięta, albo Zatopiona Miniatura.

— Coś podobnego — powiedział Collins. — Sam nie wiem. Co pan by proponował?

— Nieduży dworek — odparł tamten bez wahania. — Na ogół zaczyna się od niedużego dworku.

— Czyżby?

— Tak. Potem przeprowadzka w ciepły klimat i tam pałac.

Collins miał ochotę zadać więcej pytań, ale powstrzymał się. Wszystko szło jak po maśle. Tamci naprawdę brali go za A-legalnego właściciela Utylizatora. Nie było powodu, żeby pozbawiać ich iluzji.

— Niech pan się sam wszystkim zajmie — polecił Collins urzędnikowi.

— Naturalnie, sir — odparł tamten. — Zawsze to robię.

Przez resztę dnia Collins spoczywał na kanapie i popijał mrożone napoje, podczas gdy Towarzystwo Budowlane Maxima Olph materializowało sprzęt i stawiało mu dom.

Owoce tych działań była niewysoka budowla, licząca około dwudziestu pokoi, którą Collins ocenił jako skromną, uwzględniając okoliczności. Dom wzniesiono z materiałów najwyższej klasy, według projektów Moga z Degmy, wnętrza projektował Towige, basen — Mula, a ogród francuski — Vierien.

Do wieczora dzieło było ukończone, szczupła armia budowlanych zwinęła swój sprzęt i ulotniła się.

Collins zezwolił łaskawie, żeby szef kuchni przyrządził dla niego kolację. Następnie zasiadł w przestronnym, chłodnym salonie, aby rzecz całą przemyśleć. Przy nim, szumiąc łagodnie, przycupnął Utylizator.

Collins zapalił cheroota i wciągnął nosem aromat egzotycznego cygara. Na początek odrzucił wszelkie wyjaśnienia o charakterze nadprzyrodzonym. Wykluczył demony i diabły. Jego dom wzniesiony został przez normalne ludzkie istoty, które gadały, śmiały się i rzucały mięsem jak każda inna normalna ludzka istota. Utylizator był niczym więcej jak eksperymentalnym gadżetem, działającym na zasadach, których Collins nie rozumiał i na zrozumieniu których wcale mu nie zależało.

Czyżby aparat pochodził z obcej planety? Mało prawdopodobne. Kto by specjalnie dla Collinsa opanowywał język angielski?

Utylizator musiał zatem pochodzić z ziemskiej przyszłości. Ale jak trafił do Collinsa?

Collins rozparł się wygodnie i zaciągnął cygarem. Wypadki się zdarzają, pouczył sam siebie. Całkiem możliwe, że Utylizator po prostu osunął się w przeszłość. Potrafił przecież tworzyć coś z niczego, a to już była sprawa skomplikowana.

Cóż to musi być za wspaniała przyszłość, myślał Collins. Maszyny do spełniania życzeń! Co za kultura! Człowiekowi pozostawało do roboty tylko jedno: wymyślać życzenia. Hokus-pokus — i gotowe. Z czasem wyeliminują pewnie i ten czerwony przycisk. Wszelkie działanie manualnie stanie się zbyteczne.

Oczywiście będzie musiał bardzo uważać. Nadal przecież istniał prawowity właściciel, i reszta tych całych A. Na pewno będą próbowali odebrać mu maszynę. Może to klika rodowa...

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Podniósł wzrok. Utylizator drżał jak listek na wietrze.

Collins podszedł do niego, surowo marszcząc brwi. Utylizator spowity był ledwie widocznym obłokiem pary. Aparat najwyraźniej się przegrzewał.

Czyżby Collins go przeforsował? Może kubek wody...

Wtem zauważył, że Utylizator wyraźnie się zmniejsza. Miał już najwyżej dwie stopy kwadratowe powierzchni i kurczył się dalej na oczach Collinsa.

Właściciel! Albo cała kasta A! To musi być ten mikrotransfer, o którym mówił Leek. Collins zrozumiał, że jeżeli nie działa natychmiast, spełniarka życzeń skurczy się do nicości i zniknie.

— Służba pomocnicza Leeka! — zakomenderował. Pacnął guzik i szybko cofnął rękę. Maszyna była bardzo gorąca.

Leek zjawił się w kącie pokoju, ubrany w luźne portki i koszulkę gimnastyczną, z kijem golfowym w ręku.

— Czy musi mi pan przeszkadzać zawsze, kiedy...

— Niech pan działa! — wrzasnął Collins, wskazując na Utylizator, który mierzył już zaledwie stopę kwadratową powierzchni i dyszał dymną czerwienią.

— Ja tu nic nie poradzę — powiedział Leek. — Mam licencję tylko na ścianę czasu, a tu potrzebni są ludzie od mikrokontroli.

Poprawił uchwyt kija golfowego i już go nie było.

— Mikrokontrola! — zadysponował Collins i wyciągnął rękę w stronę guzika. Cofnął ją pośpiesznie. Czterocalowej szerokości Utylizator pałał czerwienią barwy wiśni. Guzik wielkości łebka od szpilki, był ledwo widoczny. Zjawiła się dziewczyna w rogowych okularach, z notesem w dłoni, i gotowym do notowania ołówkiem w drugiej.

— Z kim chciałby się pan skontaktować? — zapytała z niezmaconym spokojem.

— Pomocy, szybko! — ryknął Collins, patrząc, jak jego bezcenny Utylizator kurczy się i kurczy.

— Pan Vergon wyszedł na lunch — powiedziała dziewczyna, w zamyśleniu gryząc koniec ołówka. — Wystrefował się, nie mam z nim łączności.

— A z kim ma pani łączność?

Dziewczyna skonsultowała się z notesem.

— Pan Vis przebywa w Ciągłości Dieg, a pan Elgis działa gdzieś w terenie, w Europie ery paleolitycznej. Jeżeli to naprawdę pilne, radzę się skontaktować z Kontrolą Transferów Punktowych. To nieduża firma, ale...

— Kontrola Transferów Punktowych! Natychmiast!

Całą uwagę skupił na Utylizatorze. Zaatakował go osmaloną już poduszką. Nic się nie stało. Utylizator miał powierzchnię połowy cala kwadratowego i poduszka — uzmysłowił sobie Collins — nie mogła wcisnąć niewidocznego prawie guzika.

Przez moment Collins wahał się, czy nie darować sobie Utylizatora. Może właśnie nadszedł właściwy moment. Mógłby sprzedać dom, z urządzeniem, i dalej żyć sobie całkiem nieźle.

Nie! Przecież jeszcze niczego ważnego nie zażądał! Nikt mu nie odbierze skarbu bez walki!

Zmusił się do trzymania oczu otwartych, kiedy dźgał rozgrzany do białości guzik sztywno wyprężonym palcem wskazującym.

Stanął przed nim mikry, nędznie odziany staruszek, który trzymał w rękach coś jakby wesoło pokolorowaną wielkanocną pisanekę. Jajo pękło, a z jego wnętrza wydobył się pomarańczowy dym, który natychmiast wessany został przez niewidoczny gołym okiem Utylizator. Buchnął straszny dym; Collins omal się nie udławił. Utylizator zaczął powracać do dawnych rozmiarów. Wkrótce odzyskał pierwotną wielkość. Wydawał się nienaruszony. Staruszek skromnie skinął głową.

— My się tam nie cackamy — powiedział — ale za to działamy solidnie, mucha nie siada.

Jeszcze raz kiwnął głową i zniknął.

Collins miał wrażenie, że słyszy z oddali wściekłe wrzaski.

Roztrzęsiony, usiadł na podłodze przed maszyną. Ból w palcu ćmił nielitościwie.

— Ulecz mnie — wymamrotał Collins przez spierzchnięte wargi, przyciskając guzik zdrową ręką.

Utylizator jeszcze chwilę szumiał głośniejsze, po czym ucichł. Ból ulotnił się z poparzonego palca i Collins stwierdził, że nie widać ani śladu po oparzeniu — w ogóle nie wiadomo, gdzie to było.

Collins strzelił sobie sporą brandy i poszedł prosto do łóżka. Tej nocy śniło mu się, że ściga go wielka litera A, ale rankiem nic z tego nie pamiętał.

Po tygodniu Collins zorientował się, że wzniesienie domu w lesie było najgorszym pomysłem, na jaki mógł wpaść. Zmuszony był wynająć pluton strażników dla utrzymania ciekawskich z daleka, a myśliwi uparli się biwakować właśnie w jego francuskich ogrodach.

Na domiar złego, jego sprawami zaczął się żywo interesować urząd podatkowy.

Ale przede wszystkim Collins doszedł do wniosku, że wcale nie szaleje za urokami przyrody. Nie miał nic przeciwko ptaszkom i wiewiórkom, ale trudno je było uznać za partnerów do konwersacji. Drzewa, chociaż bezsprzecznie dekoracyjne, wysiadały w charakterze kompanów od kieliszka.

Collins skonstatował, że w głębi duszy jest skończonym mieszczuchem.

W związku z tym, korzystając z pomocy towarzystwa przenosicielskiego Powha Minnile, towarzystwa budowlanego Maxima Olph, biura podróży Jagton Instantaneous, oraz lokując sporą forszę w odpowiednich rękach, Collins przeprowadził się do małej republiki w Ameryce Środkowej. Tam, korzystając z cieplejszego klimatu i braku podatku dochodowego, wybudował obszerny, przewiewny, wystawny pałac.

Przez krótki czas wszystko układało się sympatycznie.

Któregoś ranka Collins podszedł do Utylizatora z niezbyt sprecyzowaną intencją zażądania samochodu sportowego i może niewielkiego stadka rodowodowego bydła na dodatek. Pochylił się nad szarym blatem maszyny, sięgnął ręką do guzika...

A wtedy Utylizator cofnął się przed nim.

Przez chwilę Collins myślał, że ma przywidzenia i bliski był podjęcia decyzji, że już nie będzie pił szampana przed śniadaniem. Dał krok do przodu i sięgnął do guzika.

Utylizator wykonał zgrabny unik i truchcikiem wycofał się z pokoju.

Collins skoczył za nim, przeklinając właściciela i całą klasę A. To na pewno była ta animacja, o której opowiadał Leek — właścicielowi udało się w jakiś sposób ożywić maszynę. Ale nie to było najważniejsze. Najważniejsze było dogonić aparat, wcisnąć guzik i wezwać fachowców z Kontroli Animacji.

Utylizator pędził środkiem hallu, Collins tuż za nim. Pomocnik lokaja, polerujący właśnie masywną gałkę u drzwi, spojrział na nich z rozdziawioną gębą.

— Zatrzymaj to! — wrzasnął Collins.

Podłokaj niezdarnie zablokował drogę Utylizatorowi. Maszyna wyminęła go z wdziękiem i sprintem puściła się ku drzwiom wejściowym.

Collins nacisnął guzik i drzwi zatrzasnęły się z głośnym hukiem.

Utylizator wziął rozpęd i staranował zamknięte drzwi. Znalazłszy się na zewnątrz, zawadził o szlauch ogrodowy, natychmiast odzyskał równowagę i ruszył ku otwartej przestrzeni.

Collins puścił się za nim. Gdyby tylko udało mu się zbliżyć jeszcze o kawałek...

Utylizator nagle wyskoczył w górę. Na moment zawisł w powietrzu, po czym opadł na ziemię. Collins rzucił się do guzika.

Utylizator przeturlał się na bok, podbiegł kawałek i znów podskoczył. Przez chwilę wisiał dwadzieścia stóp nad głową Collinsa, podciągnął się jeszcze o kilka stóp do góry, zamarł bez ruchu, obrócił się gwałtownie i spadł na ziemię.

Collins przeraził się, że za trzecim skokiem maszyna już nie opadnie. Kiedy Utylizator niechętnie wracał na ziemię, Collins był już przygotowany. Przyczaił się i przypadł do guzika. Utylizator zrobił unik, ale za późno.

— Kontrola Animacji! — ryknął triumfalnie Collins.

Nastąpił drobny wybuch i Utylizator potulnie osiadł w miejscu. Nie było w nim ani śladu życia.

Collins otarł czoło i przysiadł na maszynie. Tamci są coraz bliżej. Powinien teraz, póki jest okazja, wygłosić jakieś ważne życzenie.

Jednym tchem zażądał pięciu milionów dolarów, trzech czynnych szybów naftowych, studia filmowego, doskonałego stanu zdrowia, jeszcze dwudziestu pięciu tancerek, nieśmiertelności, samochodu sportowego i stada rodowodowego bydła.

Wydało mu się, że ktoś syknął z niesmakiem. Rozejrzył się wokoło. Nikogo nie było.

Kiedy się odwrócił, Utylizatora też nie było.

Collins tylko wytrzeszczył oczy. A po chwili nie było również i jego...

Kiedy otworzył oczy, okazało się, że stoi przed biurkiem. Po drugiej stronie biurka siedział potężny facet, czerwony na gębie, ten sam, który kiedyś próbował się wedrzeć do jego pokoju. Facet nie wyglądał na zagniewanego. Minę miał raczej zmartwioną, wręcz melancholijną.

Collins przez krótką chwilę stał w milczeniu. Żał mu było, że to już koniec. Właściciel i ci A jednak go w końcu dopadli. Ale dopóki trwało, było fantastycznie.

— No — odezwał się bez ogródek Collins. — Ma pan z powrotem swoją maszynkę. Czego jeszcze?

— Moją maszynkę? — powtórzył czerwony na gębie, z niedowierzaniem podnosząc wzrok. — To nie moja maszynka. Bynajmniej.

Collins wybałuszył oczy.

— Nie bujaj, szefie. Wy, A klasa, dobrze dbacie o ochronę swojego monopolu, co?

Czerwony na gębie odłożył papier na biurko.

— Panie Collins — oświadczył sztywno. — Moje nazwisko Flign. Jestem agentem Obywatelskiej Jednostki Ochronnej, organizacji bezdochodowej, której celem jest ochrona jednostek takich jak pan przed błędami w ocenie.

— Jak to, to pan nie jest A?

— Szanowny pan działa na podstawie fałszywych przesłanek — odparł Flign z cichą godnością. — Klasa A nie oznacza grupy społecznej, jak zdaje się pan sądzić. Jest to po prostu kategoria kredytowa.

— Co takiego? — Collins przeciągał sylaby.

— Kategoria kredytowa — Flign zerknął na zegarek. — Czasu mamy niewiele, więc będę się

streszczał. Żyjemy w epoce decentralizacji, panie Collins. Nasze przedsiębiorstwa, instytucje i usługi rozsiane są na znacznych obszarach przestrzeni i czasu. Korporacja utylizacyjna jest ogniwem niezbędnym. Zapewnia transfer dóbr i usług z jednego punktu czasoprzestrzeni do drugiego. Czy pan mnie rozumie?

Collins pokiwał głową.

— Kredyt jest, rzecz jasna, przywilejem automatycznym. Jednak w końcu za wszystko trzeba płacić.

Collinsowi nie spodobało się to ostatnie zdanie. Jak to — zapłacić? A więc nie był to świat aż tak cywilizowany, jak mu się zdawało. Nikt wcześniej nie wspominał o płaceniu. Dlaczego wyskakują z tym dopiero teraz?

— Dlaczego ktoś mnie nie powstrzymał? — zapytał zrozpaczony Collins. — Przecież musieli wiedzieć, że nie mam odpowiedniej kategorii.

Flign pokręcił głową.

— Kategorie kredytowe mają charakter sugestii, nie przepisów. W cywilizowanym świecie jednostka ma prawo do decydowania o sobie. Bardzo mi przykro, sir — znów zerknął na zegarek i wręczył Collinsowi papier, który uprzednio studiował. — Zechce pan rzucić okiem na ten rachunek i powiedzieć mi, czy wszystko się zgadza?

Collins wziął od niego kartkę i przeczytał:

Jeden pałac z wyposażeniem 45 000 000

Usługi Przenosicielskie, Maxima Olph 111 000

122 tancerki 122 000 000

Doskonały stan zdrowia 888 234 031

Szybko przeleciał wzrokiem resztę listy. Suma opiewała na nieco ponad osiemnaście miliardów kredytów.

— Jedną chwileczkę! — zaprotestował Collins. — Nie mogę za to wszystko odpowiadać! Ten cały Utylizator wpadł mi do pokoju przypadkiem!

— Jest to fakt, na który zamierzam zwrócić ich uwagę — odparł Flign. — Kto wie, może okażą zdrowy rozsądek. Nigdy nie zaszkodzi spróbować.

Collins poczuł, że pokój się kołysze. Twarz Fligna rozplywa się przed jego oczami.

— Czas minął — powiedział Flign. — Powodzenia.

Collins zamknął oczy.

Kiedy je znów otworzył, stał na ponurej równinie, a przed nim wznosił się łańcuch kołkowatych gór. Zimny wicher smagał po twarzy, niebo miało barwę stali.

Koło niego stał jakiś obdartus.

— Trzymaj — powiedział i wręczył Collinsowi kilof.

— Co to jest?

— To jest kilof — wyjaśnił cierpliwie obdartus. — A tam — o tam, są kamieniołomy, z których ty, i ja, i inni też, będziemy wydobywać marmur.

— Marmur?

— A jak! Zawsze się znajdzie jakiś drań, któremu się zamarzy marmurowy pałac. — Obdartus uśmiechnął się kwaśno. — Możesz mi mówić Jang. Spędzimy razem kawał czasu.

Collins, ogłupiały, zamrugnął oczami.

— Ile?

— Sam sobie oblicz — powiedział Jang. — Stawka jest piętnaście kredytów za miesiąc, do chwili całkowitego spłacenia długu.

Kilof wypadł z ręki Collinsa. Nie mogli mu zrobić czegoś takiego! Korporacja Utylizacyjna na pewno już dostrzegła swoją omyłkę?! To oni się pomylili, przez nich maszyna omsknęła się w przeszłość! Czyż tego nie rozumieją?

— To pomyłka! — powiedział Collins.

— Nie ma żadnej pomyłki — powiedział Jang. — Oni tu stale cierpią na brak rąk do pracy. Prowadzą rekrutację gdzie się da. Nie przejmuj się. Najgorsze pierwsze tysiąc lat, potem się przyzwyczaisz.

Collins ruszył za Jangiem w stronę kamieniołomów. Nagle zatrzymał się.

— Pierwsze tysiąc lat? Przecież człowiek tyle nie żyje!

— Niektórzy żyją — uspokoił go Jang. — Nie prosiłeś przypadkiem o nieśmiertelność?

Istotnie, prosił. Zażądał nieśmiertelności tuż przed tym jak cofnęli mu maszynę. A może cofnęli mu maszynę tuż po tym jak zażądał nieśmiertelności?

Collins coś sobie przypomniał. Dziwne, ale na rachunku, który przedstawił mu Flign, nieśmiertelność nie figurowała.

— Nie wiesz czasem, ile biorą za nieśmiertelność? — zapytał.

Jang popatrzył na niego i parsknął śmiechem.

— Nie bądź naiwny, synku. Powinieneś się już dawno połapać.

Podprowadził Collinsa pod kamieniołomy.

— Nieśmiertelność dostajesz za frajer, to chyba jasne.

przekład: Jolanta Kozak

Pilgrimage to Earth

Pielgrzymka na Ziemię

Alfred Simon urodził się na Kazandze IV, małej rolniczej planecie położonej blisko Arcturusa, i tam właśnie jeździł kombajnem po polach pszenicznych, a w długie, ciche wieczory słuchał nagrań pieśni miłosnych z Ziemi.

Życie na Kazandze wydawało się nie najgorsze, a dziewczyny, hoże, wesołe, bezpośrednio i przychylne, były dobrymi kompankami we wspólnych wypadach w góry czy nad rzekę, a nawet wiernymi towarzyszkami życia. Ale romantyzmu w nich za grosz! Owszem, można się było na Kazandze zabawić wesoło i beztrosko, ale nic poza tym.

Simon czuł, że tej spokojnej egzystencji czegoś brakuje. Pewnego dnia odkrył czego.

Na Kazandze zjawił się mianowicie w poobijanym, wyładowanym książkami statku kosmicznym, handlarz. Był wychudzony, siwy i troszkę szalony. Odbyła się nawet uroczystość na jego cześć, bo na światach pozaziemskich ceniono sobie nowinki.

Handlarz opowiedział im najnowsze plotki: o wojnie cen pomiędzy Detroit II a III i jak się na Alanie rozwija rybołówstwo, jak się ubiera prezydentowa z Moracii i jak dziwnie mówią ludzie z Doram V. Aż wreszcie ktoś zawołał:

— Opowiedz nam coś o Ziemi!

— O! — rzekł handlarz unosząc brwi. — Chcielibyście się czegoś dowiedzieć o planecie macierzystej. No cóż, przyjaciele, nie ma drugiego takiego miejsca jak nasza stara, poczciwa Ziemia. Nie ma. Na Ziemi, przyjaciele, wszystko jest możliwe, nic nie jest zabronione.

— Nic? — spytał Simon.

— Zabranianie jest prawnie zabronione — wyjaśnił handlarz z uśmiechem. — I nie słyszałem, żeby ktokolwiek to prawo złamał. Ziemia jest inna, przyjaciele. Wasza specjalność to, zdaje się, rolnictwo, tak? Otóż Ziemia specjalizuje się w takich niepraktycznych rzeczach jak szaleństwo, piękno, wojna, upojenie, czystość, groza i tym podobne i ludzie zjeżdżają tam z miejsc odległych o wiele lat świetlnych w pogoni za tymi towarami.

— A miłość? Co z miłością? — zapytała jakaś kobieta.

— Dziewczyno — odparł handlarz — Ziemia jest jedynym miejscem w całej galaktyce, gdzie jeszcze istnieje miłość. Detroit II i III próbowały miłości, ale uznały ją za zbyt kosztowną, rozumiesz, na Alanie doszli do wniosku, że wywołuje niepokój, a na Morację czy Doram V nie było nawet czasu jej sprowadzić. Ale, jak już mówiłem, Ziemia specjalizuje się w tym, co niepraktyczne, i jeszcze ciągnie z tego zyski.

— Zyski? — zapytał zwalisty farmer.

— Oczywiście! Ziemia jest stara, jej bogactwa mineralne są na wyczerpaniu, a gleba całkowicie wyczerpana. Kolonie ziemskie uzyskały niepodległość i są zaludnione przez trzeźwo myślących ludzi, takich jak wy, którzy za swoje towary domagają się zapłaty. Czym więc ta stara Ziemia może się jeszcze zajmować, jak nie sprawami błahymi, które nadają życiu jakiś sens?

— A czy byłeś kiedy zakochany na Ziemi?

— Owszem, byłem — odparł handlarz dość ponuro. Byłem zakochany, a teraz podróżuję. Przyjaciele, te książki...

Za nieprawdopodobną wprost cenę Simon kupił starożytny tomik poezji i czytając śnił o miłości pod szalonym księżycem, o świetle migocącym biało na spieczonych ustach kochanków, o ciałach splecionych na ciemnej plaży, opętanych namiętnością, ogłuszonych hukami fal.

A to wszystko było możliwe tylko na Ziemi! Ponieważ jak twierdził handlarz, jej rozproszone w Kosmosie dzieci zbyt ciężko walczyły o byt na obcych światach. Na Kazandze rosły pszenica i kukurydza, na Detroit II i III fabryki. Łowiska Alany była to sprawa południowego Pasa Gwiezdnego, Moracia roiła się od niebezpiecznych zwierząt, a Doran V stanowił jeszcze nie zdobytą pustynię. I to było w porządku, dokładnie tak, jak być powinno.

Ale nowe światy, surowe i starannie zaplanowane były sterylne w swojej perfekcji. Coś zostało zaprzepaszczone w najdalszych zakątkach przestrzeni i jeszcze tylko Ziemia знаła miłość.

Simon tyrał więc, oszczędzał i marzył. W dwudziestym dziewiątym roku życia sprzedał fermę, spakował czyste koszuły do solidnej torby, włożył najlepszy garnitur i parę solidnych butów i wsiadł na statek relacji Kazanga — Metropole.

Aż w końcu wylądował na Ziemi, gdzie marzenia muszą się spełniać, ponieważ jest to prawnie zagwarantowane.

Szybko przeszedł przez komorę celną na dworcu kosmicznym Nowy Jork i koleją podziemną dojechał na Times Square. Tam wyłonił się na światło dzienne mrugając i mocno ściskając torbę, ponieważ go ostrzegano przed wszelkiego rodzaju złodziejaskami i przed innymi szumowinami miasta.

Oniemiały z podziwu rozglądał się dokoła.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, był niekończący się szereg kin z dwu-, trój- i czterowymiarowymi atrakcjami zależnie od życzenia. I to z jakimi atrakcjami!

Na prawo agresywna markiza ogłaszała: **ŻĄDZA NA WENUS! FILM DOKUMENTALNY O PRAKTYKACH SEKSUALNYCH WŚRÓD MIESZKAŃCÓW ZIELONEGO PIEKŁA! SZOKUJĄCE! ODKRYWCZE!**

Miał ochotę tam wejść. Ale po drugiej stronie ulicy był film wojenny. Reklama głosiła:

SMIAŁKOWIE SŁONECZNI! BOHATEROM KOSMICZNYCH WOJSK DESANTOWYCH! A poniżej widniała scena zatytułowana: TARZAN W WALCE Z WAMPIRAMI SATURNA!

Tarzan, jak sobie Simon przypominał z lektur, był starożytnym pogańskim bohaterem z Ziemi.

Wszystko było takie wspaniałe, ale przecież było znacznie więcej. Simon zwrócił uwagę na małe otwarte sklepiki, gdzie można było kupić żywność ze wszystkich światów, a w szczególności takie typowo ziemskie potrawy jak pizza, hot dogi, spaghetti i farfelki. A były specjalne magazyny, w których sprzedawano odzież z demobilu z ziemskich flot kosmicznych i inne sklepy, z samymi napojami.

Simon nie wiedział, od czego zacząć. W pewnym momencie usłyszał za sobą staccata ognia karabinowego i obrócił się błyskawicznie.

Ale była to tylko strzelnica, długie, wąskie, jaskrawo pomalowane pomieszczenie z kontuarem sięgającym pasa. Właściciel, śniady, tusty facet z myszką na brodzie, siedział na wysokim stołku i uśmiechał się do Simona.

— Spróbuje pan szczęścia?

Simon wszedł i stwierdził, że cele stanowiły cztery skąpo odziane dziewczyny siedzące na końcu galeryjki na posiekanych kulami krzesłach. Miały na czołach i nad piersiami wymalowane maleńkie środki tarcz.

— Czy tu się strzela prawdziwymi nabojami? — zapytał Simon.

— Oczywiście! — odparł właściciel. — Ziemskie przepisy zabraniają fałszywych ogłoszeń. Prawdziwe naboje i prawdziwe dziewczyny! Wejdz i zastrzel sobie którąś. Jedna z dziewczyn zawołała:

— Chodź no, bracie, założę się, że nie trafisz?

Inna wrzasnęła:

— On by nawet nie wcelował w bok statku kosmicznego!

— Owszem, wcelowałyby! — krzyknęła jeszcze jedna. Chodź no tu, kochasiu.

Simon przetarł oczy i starał się nie robić wrażenia zdziwionego. Ostatecznie znajduje się na Ziemi, gdzie wszystko jest możliwe, jeśli się tylko opłaca.

— Czy macie i takie strzelnice, gdzie się strzela do mężczyzn?

— Oczywiście — odparł właściciel. — Ale mam nadzieję, że nie jesteś zboczony, co?

— Jasne, że nie!

— Czy jesteś niezemcem?

— Tak. A skąd wiesz?

— Ubranie. Zawsze poznaję po ubraniu. — Tłusciuch zamknął oczy i zaśpiewał: — Wejdz, wejdz i zabij dziewczynę! Zrzuć bagaż zahamowań! Naciśnij spust, a poczujesz, jak ulatuje z ciebie nagromadzona złość! To lepsze niż masaż! Lepsze niż się upić! Wejdz, wejdz i zabij sobie kobietę!

Simon zapytał jedną z dziewczyn:

— A jak cię zabiją, to zostaniesz zabita?

— Nie bądź głupi — odparła dziewczyna.

— Ale szok...

Wzruszyła ramionami.

— Mogłam trafić gorzej.

Simon miał właśnie spytać, w jaki sposób mogła trafić gorzej, kiedy właściciel wychylił się nad kontuarem mówiąc coś poufnym szeptem.

— Popatrz no, koleś. Popatrz, co ja tu mam.

Simon spojrział przez kontuar i zobaczył pistolet automatyczny.

— Za śmiesznie niską cenę — powiedział właściciel pozwolę ci się pobawić tym karabinem maszynowym. Możesz polecieć po całym tym pomieszczeniu, postrzelać meble, porozwalać ściany. Kaliber 45, a kopie jak muł. Jak sobie z tej spluwy postrzelasz, to przynajmniej poczujesz, że sobie postrzelałeś.

— Mnie to nie interesuje — odparł Simon stanowczo.

— Mam też parę granatów — zaproponował właściciel. Rozpryskowe oczywiście. Mógłbyś naprawdę...

— Nie!

— Za pewną cenę — powiedział właściciel — mógłbyś strzelić i do mnie, gdybyś miał takie upodobania, chociaż nie wyglądasz na to. No i co powiesz?

— Nie! Nigdy! To okropne!

Właściciel spojrział na niego bez wyrazu.

— Dziś nie w humorze? Okay. Jesteśmy otwarci dwadzieścia cztery godziny na dobę. Do

zobaczenia, bracie.

— Nigdy! — odparł Simon odchodząc.

— Czekam na ciebie, kochasiu! — zawołała za nim jedna z kobiet.

Podszedł do stoiska z napojami i zamówił małą szklaneczkę coca-coli. Stwierdził, że trzęsą mu się ręce. Uspokoił je z trudem i wypił zamówiony napój. Uświadomił sobie, że nie powinien oceniać Ziemi według własnych standardów. Jeżeli ludzie na Ziemi lubią się nawzajem zabijać, a ofiarom to nie przeszkadza, to co to kogo może obchodzić?

A może jednak powinno?

Rozwagał właśnie ten problem, kiedy usłyszał koło siebie:

— Hej, chłopcze!

— Simon obrócił się i zobaczył spoglądającego ukradkiem, zasuszonego człowieczka w za dużym płaszczu.

— Nietutejszy? — zagadnął człowieczek.

— Owszem — odparł Simon. — Skąd pan wie?

— Buty. Zawsze patrzę na buty. Jak ci się podoba nasz mały świeatek?

— Jest dziwny — powiedział Simon ostrożnie. — To znaczy nie przypuszczałem, że...

— Oczywiście — rzekł mały człowieczek. — Jesteś idealistą. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na twoją uczciwą twarz, przyjacielu. Przyjechałeś na Ziemię w określonym celu. Chyba się nie mylę, prawda?

Simon skinął głową. Mały człowieczek oświadczył:

— I nawet wiem, w jakim. Poszukujesz wojny, która uczyni świat bezpiecznym i trzeba powiedzieć, że dobrze trafiłeś. Mamy sześć poważnych wojen, toczących się jednocześnie non-stop. Zdobyć w którejś z nich jakiejś poważniejszej pozycji z reguły nie wymaga czekania.

— Przykro mi, ale...

— Właśnie w tej chwili — ciągnął nieustępliwie mężczyzna — wyzyskiwani robotnicy Peru podjęli rozpaczliwą walkę przeciwko skorumpowanej, upadającej monarchii. Jeden człowiek mógłby przesądzić o losach walki! Tym człowiekiem mógłbyś być ty, przyjacielu! Ty mógłbyś zapewnić zwycięstwo socjalistom.

Obserwując pilnie wyraz twarzy Simona mały człowieczek dodał szybko:

— Chociaż można wiele dobrego powiedzieć i na rzecz oświeconej arystokracji. Stary mądry monarcha Peru (król–filozof w najgłębszym, platońskim tego słowa znaczeniu) pilnie potrzebuje twojej pomocy. Jego skromny sztab, składający się z uczonych, humanistów, Gwardii Szwajcarskiej, szlachty i podległego chłopstwa znajduje się pod silnym naciskiem socjalistycznego spisku, popieranego przez zagranicę. Jest to moment, kiedy jednostka...

— To mnie nie interesuje — odparł Simon.

— W Chinach anarchiści...

— Nie.

— A może wolisz komunistów w Walii? Albo kapitalistów w Japonii? Chyba że są ci bliższe takie ruchy jak feministyczny, prohibicjonizm, monetaryzm i tym podobne, to moglibyśmy ci pewnie załatwić...

— Nie chcę żadnej wojny — powiedział Simon.

— Czy można ci się dziwić? — powiedział mały człowieczek gwałtownie skinąwszy głową. — Wojna to piekło. Wobec tego przyszedłeś na Ziemię po miłość.

— Skąd wiesz? — zapytał Simon.

Mały człowieczek uśmiechnął się skromnie.

— Miłość i wojna — odparł — to dwa główne artykuły Ziemi. Od zarania dziejów mamy w tej dziedzinie rekordowe zbiory.

— A czy o miłość jest bardzo trudno? — zapytał Simon.

— Wystarczy przejść dwie przecznice w stronę przedmieścia — wyjaśnił żwawo mały człowieczek — i nie sposób się na nią nie natknąć. Powiesz, że Joe cię przysyła.

— Ależ to niemożliwe! Nie można przecież tak po prostu sobie iść i...

— A co ty wiesz o miłości — rzekł Joe.

— Nic.

— No właśnie, a my jesteśmy ekspertami w tej dziedzinie.

— Wiem tyle, ile było w książce — powiedział Simon. Namiętność pod szalonym księżycem...

— Jasne, i ciała splecione na ciemnej plaży, opętane namiętnością i ogłuszone hukiem fal.

— Czytałeś te książkę?

— To standardowa broszura reklamowa. No, ale muszę już iść. Dwie przecznice. Z pewnością znajdziesz.

I z miłym skinieniem Joe wmieszał się w tłum.

Simon skończył coca-colę i ruszył wolno Broadwayem; myśl pobruździła mu czoło, ale był zdecydowany nie formułować przedwczesnych sądów.

Kiedy doszedł do ulicy czterdziestej czwartej, zobaczył płonący jasno, potężny neon, który głosił: MIŁOŚĆ, SPÓŁKA AKCYJNA. Mniejszy neon zawiadamiał: Czynne 24 godziny na dobę. A pod spodem: Na piętrze.

Simon spochmurniał — przyszło mu do głowy straszliwe podejrzenie. Mimo to wszedł po schodach i znalazł się w małej, urządzonej ze smakiem poczekalni. Stamtąd posłano go długim korytarzem do jednego z numerowanych pokojów. Na widok Simona zza okazałego biurka podniósł się przystojny, siwy mężczyzna i uściśnął mu dłoń pytając:

— Co tam słysząc na Kazandze?

— Skąd pan wie, że ja jestem z Kazangi?

— Koszula. Zawsze patrzę na koszule. Nazywam się Tate i jestem tu po to, żeby pana obsłużyć, jak potrafię najlepiej. Pana godność...

— Simon, Alfred Simon.

— Proszę siadać, panie Simon. Papierosa? A może drinka? Nie pożałuje pan, że pan do nas przyszedł. Jesteśmy najstarszą na rynku firmą zajmującą się dostarczaniem miłości, znacznie większą niż nasza główna konkurencja ŻĄDZA Z NIEOGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ. Co więcej, nasze ceny są znacznie przystępniejsze, a i towar lepszy. Czy można spytać, w jaki sposób pan się o nas dowiedział? Widział pan naszą całostronicową reklamę w „Timesie” czy może...

— Przesłał mnie Joe — odparł Simon.

— Ach, on jest rzeczywiście aktywny — powiedział pan Tate figlarnie potrząsając głową. — No to cóż, nie ma co zwlekać. Odbył pan długą drogę w poszukiwaniu miłości i dostanie ją pan.

Sięgnął do guzika na biurku, ale Simon go powstrzymał.

— Nie chciałbym być ordynarny ani nic w tym sensie powiedział — ale...

— Tak? — zapytał pan Tate z zachęcającym uśmiechem.

— Ja z tego nic nie rozumiem — wyrzucił z siebie Simon okrywając się głębokim rumieńcem, a na jego czole wystąpił perlisty pot. — Ja chyba trafiłem w niewłaściwe miejsce. Nie przyjechałem taki kawał drogi na Ziemię tylko po to, żeby... Mam na myśli, że chyba nie handlujecie miłością? Nie miłością. To przecież nie może być prawdziwa miłość!

— Ależ oczywiście, że może! — odparł pan Tate ze zdumienia unosząc się w fotelu. — Na tym właśnie cała rzecz polega. Seks może kupić każdy. Mój Boże, to najtańsza rzecz w całym wszechświecie, zaraz po ludzkim życiu. Ale miłość jest czymś rzadkim, czymś wyjątkowym, miłość można znaleźć tylko na Ziemi. Czytał pan naszą broszurę?

— Ciała na ciemnej plaży? — zapytał Simon.

— Tak, właśnie te. Jestem jej autorem. Przekazuje coś z tego uczucia, prawda? A nie da go panu każdy, panie Simon. Tylko ktoś, kto kocha, może pana wprowadzić w taki nastrój.

Simon powiedział z powątpiewaniem:

— Ale to chyba nie jest autentyczna miłość, prawda?

— Oczywiście, że autentyczna! Gdybyśmy sprzedawali miłość udawaną, jako taką byśmy ją reklamowali. Przepisy dotyczące reklamy są na Ziemi bardzo surowe, zapewniam pana. Można handlować dosłownie wszystkim, ale trzeba nazywać rzeczy po imieniu. To sprawa etyki, panie Simon! — Tate zaczerpnął tchu i podjął już spokojniej. — Nie, sir, nie pomylił się pan. Nasz towar nie jest żadną namiastką. To dokładnie to samo uczucie; o którym od tysięcy lat bredzą poeci i pisarze. Dzięki cudom nowoczesnej nauki możemy to uczucie dostarczyć na zawołanie każdemu, atrakcyjnie podane i po śmiesznie niskiej cenie.

Simon powiedział:

— Ja sobie wyobrażałem, że to będzie coś bardziej spontanicznego.

— Spontaniczność ma, owszem, swoje uroki — przyznał pan Tate. — Prowadzimy nawet w naszych laboratoriach tego typu badania. Niech mi pan wierzy, nie ma nic takiego, czego by nauka nie wyprodukowała, jeśli tylko istnieje zapotrzebowanie.

— Mnie się to wszystko nie podoba — powiedział Simon podnosząc się z krzesła. — Chyba pójdę na film.

— Chwileczkę! — wykrzyknął pan Tate. — Pan sobie pewnie wyobraża, że chcemy pana wyprowadzić w pole. Że zapoznamy pana z dziewczyną, która będzie się zachowywała tak, jakby pana kochała, ale która w rzeczywistości wcale nie będzie pana kochała. Czy mam racje?

— Chyba tak — przyznał Simon.

— Nic podobnego! Przede wszystkim byłoby to za kosztowne. A poza tym dziewczyny by się za szybko zużywały. Zresztą byłoby to dla nich niezdrowe z punktu widzenia psychologicznego — żyć w kłamstwie tak głębokim i na taką skalę.

— No więc jak to osiągniecie?

— Wykorzystujemy naukę i znajomość ludzkiej natury.

Dla Simona zabrzmiało to jak oszustwo. Ruszył w stronę drzwi.

— Niech pan mi powie jedną rzecz — rzekł pan Tate. — Wygląda pan na bystrego młodego człowieka. Czy pan by nie potrafił odróżnić prawdziwej miłości od fałszerstwa?

— Z pewnością bym potrafił.

— I to jest właśnie pańska gwarancja! Musi pan być zadowolony, w przeciwnym razie nie zapłaci pan nam ani centa.

— Zastanowię się — odparł Simon.

— Po co zwlekać? Najwybitniejsi psycholodzy twierdzą, że autentyczna miłość wzmacnia, robi dobrze na zdrowy rozsądek, stanowi balsam na chorą duszę, przywraca równowagę hormonalną, poprawia cerę. W miłości, której my dostarczamy, znajdzie pan wszystko: głębokie trwałe uczucie, niepohamowaną namiętność, względną wierność, niemal mistyczną fascynację zarówno wadami jak i zaletami partnera, wzruszające pragnienie zaspokojenia, a poza tym, dodatkowy plus, który może zapewnić jedynie MIŁOŚĆ, SPÓŁKA AKCYJNA: owa spontaniczna pierwsza iskra, ten oślepiający moment zakochania się od pierwszego wejrzenia!

Pan Tate nacisnął guzik. Simon skrzywił się, niezdecydowany. Otworzyły się drzwi, weszła dziewczyna i — Simon przestał myśleć.

Była wysoka i szczupła, włosy miała ciemne z rudawym połyskiem. Simon nie byłby w stanie powiedzieć nic na temat jej twarzy, poza tym, że wycisnęła mu łzy z oczu. A gdybyście go spytali o jej figurę, mógłby zabić.

— Panno Penny Bright — powiedział Tate — zechce pani poznać: pan Alfred Simon.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale nie mogła dobyć słów. Simona zatkało w równym stopniu. Spojrzał na nią i już wiedział. Przestało się cokolwiek liczyć. Do głębi serca wiedział, że jest prawdziwie i szczerze kochany.

Wyszli natychmiast trzymając się za ręce. Odrzutowiec zawiózł ich do małego, białego domku położonego w sosnowym zagajniku, z widokiem na morze, i tam rozmawiali i śmiali się, i kochali, i później Simon widział swoją ukochaną spowitą w płomień zachodzącego słońca jak boginię ognia. W błękicie przedświt patrzyła na niego oczyma wielkimi i ciemnymi, a jej znane już ciało było od nowa tajemnicze. Wszedł księżyc, jasny i szalony, zamieniając ich ciała w cienie, i dziewczyna płakała waląc małymi piąstkami w jego pierś, i on też płakał nie wiedząc dlaczego. Aż wreszcie nadszedł świt, słaby i niespokojny, migocąc na ich spieczonych ustach i splecionych ciałach, a fala hucząc ogłuszała ich, podniecała i przyprawiała o szaleństwo. W południe byli z powrotem w biurze firmy MIŁOŚĆ, SPÓŁKA AKCYJNA. Penny przez chwilę trzymała go za rękę, a potem zniknęła w otwartych drzwiach.

— Czy to była prawdziwa miłość? — spytał pan Tate.

— Tak!

— I wszystko jest tak, jak pan sobie wyobrażał?

— Tak! To była miłość, i to miłość autentyczna! Ale dlaczego ona koniecznie chciała tu wrócić?

— Sugestia posthipnotyczna — wyjaśnił pan Tate.

— Co takiego?

— A co pan myślał? Każdy chce miłości, ale mało kto ma ochotę za nią płacić. Oto pański rachunek.

Simon zapłacił, wściekły.

— To było zupełnie niepotrzebne — powiedział. — Przecież to jasne, że bym panu zapłacił za połączenie nas. Gdzie ona jest? Co pan z nią zrobił?

— Tylko spokojnie — powiedział pan Tate kojąco. Niech pan się postara uspokoić.

— Ja wcale nie chcę się uspokoić! — wykrzyknął Simon. — Ja chcę Penny!

— A, to jest niemożliwe — rzekł pan Tate, z ledwie uchwytną lodowatą nutą w głosie. — Niech pan łaskawie nie robi z siebie widowiska!

— Czy pan chce wyciągnąć ode mnie więcej pieniędzy?! — wrzasnął Simon. — W porządku, zapłacę. Ile będzie mnie kosztowało wydarcie jej z pańskich szponów? — Simon wyszarpnął portfel z kieszeni i walnął nim w biurko.

Pan Tate potrącił portfel sztywnym palcem.

— Proszę to schować. Jesteśmy starą firmą, która cieszy się dobrą opinią. Jeżeli jeszcze raz podniesie pan głos, będę zmuszony pana wyrzucić.

Simon z wysiłkiem nakazał sobie spokój, schował portfel do kieszeni i usiadł. Wziął głęboki oddech i bardzo spokojnie powiedział:

— Przepraszam.

— To już lepiej — pochwalił go pan Tate. — Nie lubię, jak ktoś na mnie krzyczy. Ale jak pan się będzie zachowywał grzecznie, to i ja będę grzeczny. No więc na czym polega problem?

— Problem? — Simon znów zaczął podnosić głos. Opanował się jednak i powiedział:

— Ona mnie kocha.

— Oczywiście.

— No to jak pan może nas rozdzielać?

— A co ma jedno z drugim wspólnego? — zapytał pan Tate. — Miłość jest cudownym przerywnikiem, relaksem, dobrym na umysł, na charakter, na równowagę hormonalną i na cerę. Ale przecież nikomu nie zależy na tym, żeby ta miłość trwała, zgodzi się pan chyba ze mną?

— Mnie zależy — odparł Simon. — Ta miłość była wyjątkowa, niepowtarzalna...

— Każda jest taka — rzekł pan Tate. — Ale jak pan wie, wszystkie powstają w ten sam sposób.

— Co takiego?

— Wie pan zapewne coś niecoś na temat techniki produkcji miłości.

— Nie — odpowiedział Simon. — Ja myślałem, że to uczucie... naturalne...

Pan Tate potrząsnął głową.

— Od doboru naturalnego odeszliśmy już całe wieki temu, wkrótce po Rewolucji Technicznej. Był zbyt powolny. I zupełnie nieopłacalny z handlowego punktu widzenia. Po co się w to bawić, skoro możemy wyprodukować dowolne uczucie w drodze odpowiedniego warunkowania i pobudzania odpowiednich ośrodków mózgowych? A rezultat? — zakochana w panu po uszy Penny! Pański pociąg do jej typu fizycznego, który uwzględniliśmy, dokonał reszty. Z reguły dodajemy jeszcze do tego ciemną plażę, szalony księżyc i blady świt...

— To znaczy, że ona mogłaby pokochać każdego... rzekł powoli Simon.

— Moglibyśmy spowodować, że pokochałaby każdego — skorygował pan Tate.

— O Boże, a w jaki sposób ona się dostała do tej straszliwej pracy? — zapytał Simon.

— Zgłosiła się i podpisała kontrakt na normalnych warunkach — wyjaśnił Tate. — To bardzo popłatne zajęcie. Po wygaśnięciu kontraktu zwracamy takiej dziewczynie własną osobowość — nietkniętą! Ale nie rozumiem, dlaczego pan nazywa tę pracę straszliwą. W miłości nie ma nic nagannego.

— To nie była miłość! — wykrzyknął Simon.

— Jak to nie była? Rzetelny towar! — Bezstronne placówki naukowe przeprowadzały testy jakościowe, porównując to, co my dajemy, z produktem naturalnym. W każdym przypadku nasza miłość wykazywała większą głębię, żarliwość i zasięg.

Simon zacisnął powieki, otworzył je i powiedział:

— Niech pan posłucha. Mnie nie interesują pańskie naukowe testy. Kocham ją i ona mnie kocha i tylko to się liczy. Pozwólcie mi z nią porozmawiać! Ja się chcę z nią ożenić!

Pan Tate z niesmakiem zmarszczył nos.

— Do licha, człowieku, przecież nie będzie się pan żenił z taką dziewczyną! Ale jeśli panu zależy na małżeństwie, to zajmujemy się i takimi sprawami. Mogę panu załatwić idylliczny i prawie spontaniczny związek z dziewicą z oficjalnym certyfikatem dziewictwa.

— Nie! Ja kocham Penny! Pozwólcie mi przynajmniej z nią porozmawiać!

— Ależ to jest niemożliwe — odparł pan Tate.

— Dlaczego?

Pan Tate nacisnął guzik.

— A jak pan myśli? Skasowaliśmy całkowicie poprzednie uwarunkowanie. Panny jest w tej chwili zakochana w kim innym.

I wreszcie Simon zrozumiał. Dotarło do niego, że właśnie w tej chwili Panny patrzy na kogoś innego z tą samą namiętnością, której on dopiero co zaznał, odczuwając dla innego mężczyzny tę całkowitą i bezbrzeżną miłość, której tak wielką przewagę nad niemodnym i handlowo nieopłacalnym dobozem naturalnym potwierdziły obiektywne placówki naukowe i że na tej samej ciemnej plaży, wspomnianej w broszurze reklamowej...

Rzucił się Tate'owi do gardła. Dwaj pracownicy, którzy chwilę wcześniej weszli do biura, złapali go i odprowadzili do drzwi.

— Niech pan pamięta, że to w żadnym stopniu nie umniejsza pańskich przeżyć — zawołał za nim pan Tate.

Ku swojej męce Simon wiedział, że Tate mówi prawdę.

Znalazł się na ulicy.

Początkowo chciał uciekać z Ziemi, gdzie niepraktyczne towary przekraczały możliwości normalnego człowieka. Szedł bardzo szybko, a obok jego Penny, z twarzą opromienioną miłością do niego, do niego, do ciebie, do ciebie.

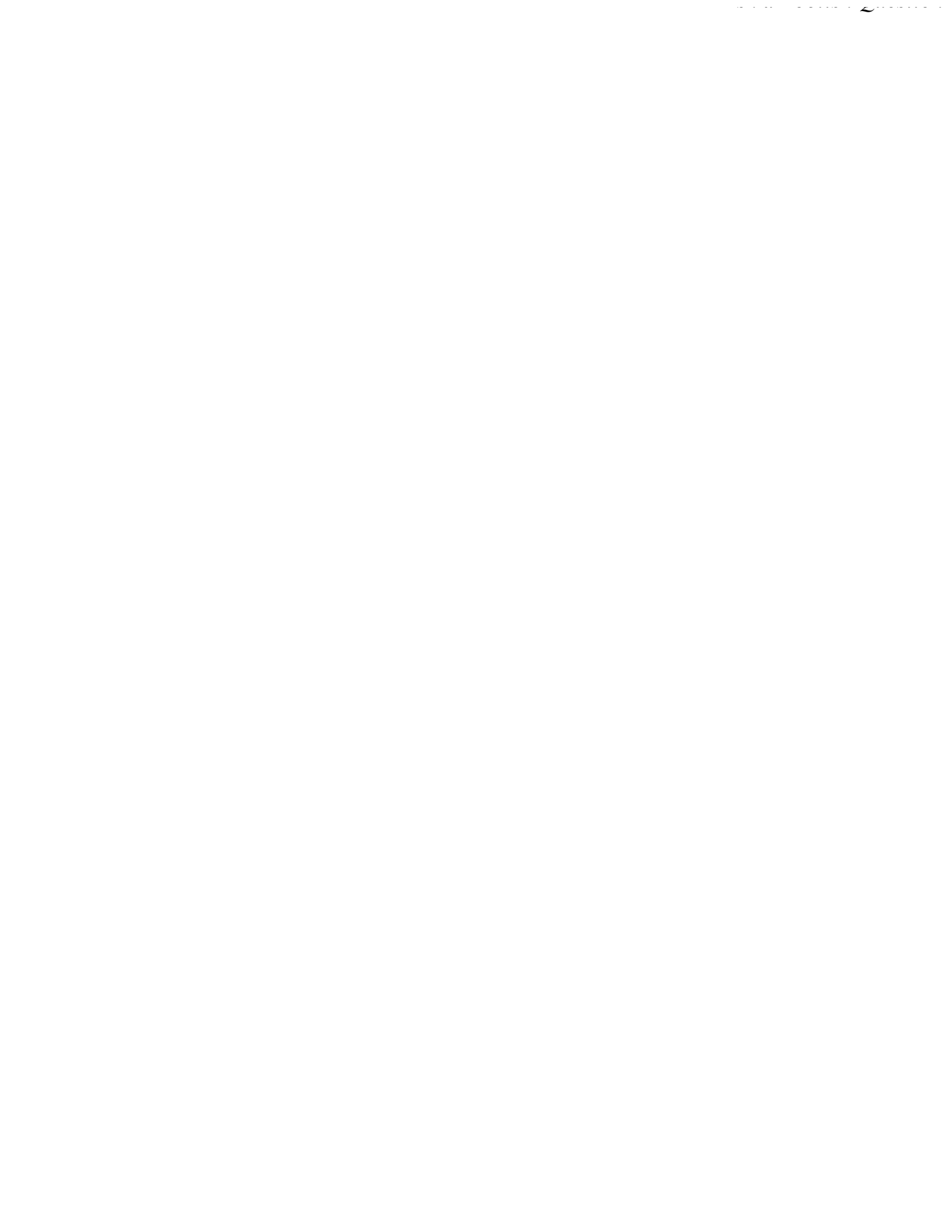
I oczywiście trafił do strzelnicy.

— Spróbuj pan szczęścia? — zapytał właściciel.

— Ustaw no mi je — odparł Alfred Simon.

przekład: Zofia Uhrynowska–Hanasz

Ask a Foolish Question



Wystarczy zadać pytanie

Odpowiadacz został zbudowany, aby trwać tak długo, jak trzeba — co dla jednych ras oznaczało dość długo, dla innych zaś — zupełnie krótko. Natomiast dla samego Odpowiadacza było to dokładnie tyle, ile trzeba.

Jeśli chodzi o rozmiar, Odpowiadacz był dla jednych wielki, dla innych mały. Niektórym wydawał się skomplikowany, inni uważali, że jest całkiem prosty.

Odpowiadacz wiedział, że był dokładnie tym, czym być powinien. Był przede wszystkim sobą — Odpowiadaczem. On wiedział.

Co do rasy, która go zbudowała, im mniej o niej powiemy, tym lepiej. Oni również wiedzieli, ale nigdy nie wyjawili, czy ta wiedza sprawiała im satysfakcję.

Zbudowali Odpowiadacz na użytek mniej uświadomionych ras, po czym zniknęli w tajemniczy sposób. Tylko Odpowiadacz wiedział, dokąd udali.

Ponieważ Odpowiadacz wiedział wszystko.

Rozsiadł się na swojej własnej planecie, okrążającej swoje własne słońce. Trwał, a czas mijał — długi dla jednych, krótki dla drugich. Ale niego w sam raz.

W jego wnętrzu znajdowały się Odpowiedzi. Znał naturę rzeczy, Odział, czym one są i dlaczego są właśnie takie, a nie inne, i co to wszystko znaczy.

I Mógł odpowiedzieć na każde pytanie pod warunkiem, że było to pytanie prawidłowe. I chciał odpowiadać! Bardzo chciał!

Czegóż innego mógłby chcieć Odpowiadacz?

Cóż innego mógłby robić Odpowiadacz?

Czekał więc, aż ktoś się zjawi i zada mu pytanie.

— Jak się pan czuje, sir? — zapytał Moran pod wpływem do starca człowieka.

— Lepiej — odparł Lingman próbując się uśmiechnąć. Nieważkość stanowiła dla niego olbrzymią ulgę. Moran zużył ogromną ilość paliwa żeby wyjść w przestrzeń pod minimalnym przeciążeniem, a mimo to słabe serce Lingmana zaprotestowało. Stało się dęba, załomotało wściekle o kruchą klatkę żeber, zawahało się i ruszyło z kopyta. Przez jakiś czas wydawało się, że serce Lingmana zatrzyma się z czystej przekory.

Jednakże nieważkość stanowiła olbrzymią ulgę i słabe serce znów zaczęło bić.

Moran nie miał takich problemów. Jego krzepkie ciało było wprost stworzone do znoszenia przeciążeń. Nie powinien ich zresztą doświadczyć podczas tej podróży, jeśli stary Lingman miał ją przeżyć.

— Będę żył — wymamrotał Lingman odpowiadając na milczące pytanie. — Będę żył dostatecznie długo, żeby go znaleźć. — Moran dotknął urządzeń kontrolnych i statek wśliznął się w podprzestrzeń jak ryba w wodę.

— Znajdziemy go — mruknął Moran. Pomógł starszemu mężczyźnie rozpiąć pasy. — Znajdziemy tego Odpowiadacza!

Lingman kiwnął głową zgadzając się ze swoim młodym partnerem. Od wielu lat podtrzymywali się wzajemnie na duchu w ten sposób. Sam projekt wyszedł od Lingmana. Moran przyłączył się do niego po ukończeniu politechniki. Razem tropili różne pogłoski po całym Układzie Słonecznym — legendy o starożytnej, humanoidalnej rasie, która znała odpowiedź na wszystko, rasie, która zbudowała Odpowiadacz i zniknęła.

— Pomyśleć tylko! — westchnął Moran. — Odpowiedź na wszystko! — Jako fizyk Moran miał wiele pytań, które chciał zadać Odpowiadaczowi. Rozszerzający się wszechświat, siły wiążące jądra atomów, nowe i supernowe, powstawanie planet, przesunięcie w stronę czerwieni, teoria względności i tysiące innych.

— Tak — przyznał Lingman. Podciągnął się do ekranu i wyjrzał na zewnątrz, w iluzoryczną, ponurą pustkę podprzestrzeni. Był biologiem i starym człowiekiem. Miał tylko dwa pytania.

Czym jest życie? Czym jest śmierć?

Zakończywszy wyjątkowo długie polowanie na purpurę Lek i jego przyjaciele zebrali się na naradę. W sąsiedztwie wielkich skupisk gwiazdnych zawsze brakowało purpury — nikt nie wiedział dlaczego — stanowe więc należało to omówić.

— Wiecie co — zaczął Lek. — Chyba poszukam tego Odpowiadana, — Mówił w języku ollgrat, służącym do wyrażania doniosłych

— Dlaczego? — zapytał go Ilm w żartobliwym języku hvest. — Dlatego chcesz wiedzieć? Czy nie wystarcza ci zbieranie purpury?

— Nie — oświadczył Lek, nadal posługując się językiem doniosłych decyzji — Nie wystarcza. — Głównym zajęciem Lęka i jego gatunku było zbieranie purpury. Znajdowali niewielkie ilości purpury osadzającej się w tkance przestrzeni. Powoli budowali z niej ogromny kopiec. Po co to robili — nie wiedział nikt.

— Przypuszczam, że zapytasz go, co to jest purpura? — upewnił się Ilm, odpychając na bok jakąś gwiazdę i kładąc się wygodnie.

— Oczywiście — potwierdził Lek. — Zbyt długo tkwimy w ignorancji. Musimy poznać wreszcie prawdziwą naturę purpury i jej miejsce w porządku rzeczy. Musimy się dowiedzieć, dlaczego to ona rządzi naszym życiem. — W tej przemowie Lek użył języka ilgret, języka podstawowej wiedzy.

Ilm i pozostali nie próbowali z nim dyskutować, nawet w języku dyskusji. Wiedzieli, że wiedza jest ważną rzeczą. Od zarania czasu Lek, Ilm i pozostali zbierali purpurę. Teraz nadszedł czas poznania ostatecznych odpowiedzi: co to jest purpura i po co budują z niej kopiec?

I oczywiście powie im to Odpowiadacz. Wszyscy słyszeli o Odpowiadaczu zbudowanym przez rasę dość podobną do nich, rasę, która zniknęła już dawno temu.

— Czy zapytasz go o coś jeszcze? — chciał wiedzieć Hm.

— Nie wiem — odparł Lek. — Może zapytam o gwiazdy. Chyba poza tym nie ma nic ważnego. — Jako że Lek i jego bracia istnieli od zarania czasu, nie interesowała ich śmierć. A jako że ich liczba nigdy się nie zmieniała, nie interesowała ich zagadka życia.

Ale purpura? I kopiec?

— Idę! — krzyknął Lek w obrazowym języku konkretnych decyzji.

— Powodzenia! — odkrzyknęli jego bracia w potocznie używanym przyjaźni.

Lek oddalił się skacząc z gwiazdy na gwiazdę.

Samotny na swojej małej planecie siedział Odpowiadacz, czekając na Pytających. Od czasu do czasu mamrotał sam do siebie odpowiedzi. To był jego przywilej. On wiedział.

Czekał, ani zbyt długo, ani zbyt krótko, czekał na jakąkolwiek istotę, która zechciałaby przyjść i zadać mu pytanie.

Było ich osiemnastu zebranych w jednym miejscu.

— Odwołuję się do reguły osiemnastu — krzyknął jeden z Pojawił się następny, którego przedtem nie było, zrodzony z reguły osiemnastu.

— Musimy iść do Odpowiadacza — krzyknął inny. — Naszym życiem rządzi reguła osiemnastu. Tam gdzie jest osiemnastu, zawsze pojawia się dziewiętnasty. Dlaczego tak jest?

Nikt nie znał odpowiedzi.

— Gdzie ja jestem? — zapytał nowo narodzony dziewiętnasty. Jeden z nich wziął go na stronę, żeby udzielić mu instrukcji.

Zostało więc siedemnastu. Liczba stała.

— I musimy się dowiedzieć — krzyknął następny — dlaczego wszystkie miejsca różnią się od siebie, chociaż nie ma odległości.

To rzeczywiście był problem. Ktoś jest tu. Potem ktoś jest tam. Tak po prostu, bez żadnego powodu. Najpierw ktoś jest w jednym miejscu, a potem — chociaż wcale się nie poruszał — znajduje się w innym miejscu.

— Gwiazdy są zimne! — krzyknął jeszcze inny.

— Dlaczego?

— Musimy iść do Odpowiadacza.

Słyszeli bowiem tę legendę, znali tę opowieść. „Była kiedyś taka rasa, bardzo do nas podobna, i oni wiedzieli — i powiedzieli Odpowiadaczowi. Potem odeszli tam, gdzie wcale nie ma miejsca, ale za to jest dużo odległości”.

— Jak się tam dostaniemy?! — krzyknął nowo narodzony dziewiętnasty, pełen nowo przyswojonej wiedzy.

— Pójdziemy. — I osiemnastu zniknęło. Jeden pozostał. Melancholijnie popatrzył na niezmierny ogrom lodowatej gwiazdy, a potem i on zniknął.

— Te stare legendy były prawdziwe — dyszał Moran. — Oto jest. Wyszli z podprzestrzeni w miejscu, o którym mówiła legenda; przed nimi jaśniała gwiazda niepodobna do żadnej innej gwiazdy. Moran wymyślił dla niej klasyfikację, ale to nie miało znaczenia. Ta gwiazda była wyjątkowa.

Wokół gwiazdy krążyła planeta, również niepodobna do żadnej innej planety. Moran wymyślił dla niej nazwę, ale to też nie miało znaczenia. Taka planeta była tylko jedna.

— Proszę zapiąć pasy, sir — powiedział Moran. — Postaram się wylądować jak najłagodniej.

Lek przybył do Odpowiadacza skacząc z gwiazdy na gwiazdę. Wziął Odpowiadacz do ręki i przyjrzał mu się.

— A więc to ty jesteś Odpowiadaczem — stwierdził.

— Zgadza się — przyznał Odpowiadacz.

— Powiedz mi zatem — ciągnął Lek sadowiąc się wygodnie w pustym pomiędzy gwiazdami — powiedz mi, czym ja jestem.

— Częstką całości — odparł Odpowiadacz. — Wskazówką.

— No nie — mruknął Lek urażony w swojej dumie. — Chyba stać cię na więcej. Posłuchaj. Celem mojego gatunku jest zbieranie purpury i budowanie z niej kopca. Czy możesz mi wyjawić prawdziwe znaczenie tego wszystkiego?

— Twoje pytanie nie ma sensu — odparł Odpowiadacz. Wiedział, czym naprawdę jest purpura i po co budowano kopiec. Ale odpowiedź na to zawierała się w większej odpowiedzi. Bez niej problem Leka nie dawał się wyjaśnić, a Lek nie potrafił zadać prawdziwego pytania.

Lek zadał następne pytanie, ale Odpowiadacz nie mógł na nie odpowiedzieć. Lek widział rzeczywistość swoimi wyspecjalizowanymi oczami, dostrzegał część prawdy i odrzucał resztę. W jaki sposób wyjaśnić ślepcowi pojęcie zieleni?

Odpowiadacz nawet nie zamierzał próbować. To do niego nie należało.

Na koniec Lek roześmiał się pogardliwie. Jakaś mała gwiazdka pod jego stopami rozbłysła jaśniej od tego dźwięku, a potem przygasła znowu.

Lek oddalił się, przeskakując szybko z gwiazdy na gwiazdę.

Odpowiadacz wiedział. Ale najpierw trzeba było zadać właściwe pytanie. Zastanawiał się nad tym ograniczeniem, wpatrując się w gwiazdy, które nie były ani za małe, ani za duże, ale dokładnie takie, jak trzeba.

Właściwe pytanie. Rasa, która zbudowała Odpowiadacz, powinna była wziąć to pod uwagę, myślał Odpowiadacz. Powinni byli zostawić mu więcej swobody, pozwolić na próby rozplątywania semantycznych nonsensów.

Odpowiadacz musiał się zadowolić mamrotaniem odpowiedzi do siebie.

Osiemnaście istot przybyło do Odpowiadacza; istoty te nie przyszły ni nie przyleciały, ale po prostu się pojawiły. Trzęsąc się w zimnym blasku gwiazd wpatrywały się w ogromną masę Odpowiadacza.

— Jeżeli nie ma odległości — zapytał jeden — to w jaki sposób rzeczy mogą być w różnych miejscach?

Odpowiadacz wiedział, czym jest odległość i czym są miejsca. Nie mógł jednak odpowiedzieć na to pytanie. Odległość istnieje, ale nie jest taka, jaką widzą ją te istoty. Miejsca również istnieją, ale w inny sposób niż sądzą te istoty.

— Proszę sformułować pytanie inaczej — zażądał Odpowiadacz pełen nadziei.

— Dlaczego jesteśmy krótcy tutaj, a dłudzy tam? — zapytał jeden. — Dlaczego jesteśmy wąscy

tutaj, a grubi tam? Dlaczego gwiazdy są zimne?

Odpowiedacz wiedział wszystko. Wiedział, dlaczego gwiazdy są zimne ale nie potrafił tego wyjaśnić posługując się pojęciem gwiazd lub pojęciem zimna.

— Dlaczego — zapytał inny — istnieje reguła osiemnastu? Dlaczego za każdym razem, kiedy zbierze się osiemnastu, powstaje jeszcze jeden?

Ale naturalnie odpowiedź była częścią innego, większego pytania, które nie zostało postawione.

Następny powstał zgodnie z regułą osiemnastu i dziewiętnaście istot zniknęło.

Odpowiedacz mamrotał sam do siebie prawidłowe pytania i sam sobie udzielał odpowiedzi.

— Udało się — oznajmił Moran. — W porządku. — Poklepał Lingmana po ramieniu, ostrożnie, żeby staruszek nie rozleciał się na kawałki.

Stary biolog był zmęczony. Twarz miał zapadniętą, żółtą, pobrużdżoną. Żółte wystające zęby, mały, płaski nos i wydatne kości policzkowe składały się na wizerunek trupiej czaszki. Spod ciała prześwitywał szkielet.

— Ruszajmy — powiedział Lingman. Nie chciał tracić ani chwili. Nic miał ani chwili do stracenia.

Założywszy hełmy weszli na wąską dróżkę.

— Nie tak szybko — wysapał Lingman.

— Dobrze — zgodził się Moran. Szli obok siebie wąską ścieżką po planecie różniącej się od wszystkich innych planet, która samotnie krążyła wokół słońca różniącego się od wszystkich innych słońc.

— Tutaj pod górę — ostrzegł Moran. Legenda była dokładna. Ścieżka prowadząca do kamiennych stopni. Kamienne stopnie prowadzące na dziedziniec. A tam — Odpowiedacz!

W ich oczach Odpowiedacz wyglądał jak biały ekran umieszczony w ścianie. Wydawał im się całkiem prosty.

Lingman splótł drżące dłonie. Oto był punkt kulminacyjny całego życia, wszystkich wysiłków, kłótni, pogoni za strzępkami legend, zdołania finansów — wszystko to miało się za chwilę zakończyć w tym miejscu.

— Pamiętaj — ostrzegł Morana — będziemy zaszokowani. Prawda z pewnością, okaże się

całkowicie odmienna od naszych wyobrażeń.

— Jestem gotowy — oświadczył Moran z uniesieniem na twarzy.

— A więc dobrze, Odpowiadaczu — powiedział Lingman swoim cienkim, słabym głosem — czym jest życie?

Głos przemówił w ich głowach:

— Pytanie nie ma sensu. Pytający wymienia cząstkowe zjawisko, które można wyjaśnić jedynie w odniesieniu do całości.

— Czego częścią jest życie? — spytał Lingman.

— To pytanie w swojej obecnej formie również nie ma odpowiedzi. Pytający nadal posługuje się pojęciem „życia” ze swojego subiektywnego, ograniczonego punktu widzenia.

— Więc wyjaśnij to własnymi słowami — zaproponował Moran.

— Odpowiadacz może tylko odpowiadać na pytania. — Odpowiadacz ponownie pomyślał z żalem o ograniczeniu narzuconym mu przez konstruktorów.

Milczenie.

— Czy wszechświat się rozszerza? — zapytał śmiało Moran.

— „Rozszerzanie” jest określeniem nieadekwatnym do sytuacji. Wszechświat w rozumieniu pytającego jest iluzorycznym pojęciem.

— A więc powiedz nam cokolwiek — poprosił Moran.

— Mogę tylko odpowiedzieć na każde uzasadnione pytanie dotyczące natury rzeczywistości.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

— Chyba wiem, o co mu chodzi — powiedział Lingman ze smutkiem. — Nasze podstawowe założenia są błędne. Wszystkie.

— To niemożliwe — zaprotestował Moran. — Fizyka, biologia...

— Częściowe prawdy — oświadczył Lingman zmęczonym głosem. — przynajmniej tyle się dowiedzieliśmy. Upewniliśmy się, że wnioski, które wyciągamy na podstawie obserwacji różnych zjawisk, są błędne.

— Ależ prawo najprostszej hipotezy...

— To tylko teoria — uciął Lingman.

— A życie? Z pewnością mógłby nam powiedzieć, czym jest życie!

— Popatrz na to z drugiej strony — zasugerował Lingman. — Przyjmy, że zapytasz: „Dlaczego urodziłem się pod znakiem Skorpiona w koniunkcji z Saturnem?” Nie mógłbym odpowiedzieć na to pytanie posługując się pojęciem znaków zodiaku, ponieważ znaki zodiaku nie mają tym nic wspólnego.

— Rozumiem — powoli powiedział Moran. — On nie może odpowiedzieć na pytania wynikające z naszych założeń.

— Tak mi się zdaje. I nie może zmienić naszych założeń. Może tylko odpowiadać na określone pytania — co wymaga wiedzy, której po prostu nie posiadamy.

— Nie potrafimy nawet zadać właściwego pytania?! — zawołał Moran. — Nie wierzę w to. Z pewnością znamy jakieś podstawowe pojęcia. — Odwrócił się do Odpowiadacza. — Czym jest śmierć?

— Nie mogę wyjaśniać antropomorfizmów.

— Śmierć jest antropomorfizmem? — zdziwił się Moran, a Lingman szybko się odwrócił. — No, nareszcie do czegoś dochodzimy!

— Czy antropomorfizmy są złudzeniem? — zapytał.

— Antropomorfizmy mogą być roboczo sklasyfikowane jako A: fałszywe prawdy lub B: niepełne prawdy odnoszące się do części zjawiska.

— Którą klasyfikację należy tu przyjąć?

— Obie.

To było wszystko, co osiągnęli. Moran nie zdołał wyciągnąć z Odpowiadacza nic więcej. Dwaj mężczyźni przez cztery godziny ponawiali wysiłki, ale prawda coraz bardziej wymykała im się z rąk.

— Wściec się można — stwierdził Moran po pewnym czasie. — Ta rzecz posiada całą wiedzę o wszechświecie, ale nie może nam nic powiedzieć, jeśli nie zadamy właściwego pytania. A skąd mamy znać właściwe pytanie?

Lingman usiadł na ziemi opierając się o kamienny mur i zamknął oczy.

— Dzikusy — oto, czym jesteśmy — oświadczył Moran, przechadzając się tam i z powrotem przed obliczem Odpowiadacza. — Niech pan sobie wyobrazi buszmena, który przychodzi do fizyka i pyta go, dlaczego nie może trafić w Słońce strzałą z łuku. Uczony mógłby to wyjaśnić jedynie operując pojęciami z zakresu jego wiedzy. I co się wtedy stanie?

— Uczony nawet nie będzie próbował — odparł Lingman zgaszonym głosem — ponieważ orientuje się w możliwościach pytającego.

— Wspaniale — zawołał Moran ze złością. — Jak wytłumaczyć dzikusowi, że Ziemia się obraca? Albo jeszcze lepiej: jak mu wytłumaczyć teorię względności, oczywiście przez cały czas zachowując naukową ścisłość?

Lingman nie odpowiedział.

— Jesteśmy dzikusami, tylko w tym przypadku przepaść jest jeszcze większa. Na przykład robak i nadczołwiek. Robak chce poznać naturę błota i zrozumieć, dlaczego jest go tak dużo... Och, dość tego. Wracamy?

Oczy Lingmana pozostały zamknięte. Szponiaste palce zacisnęły się w pięści, policzki zapadły się jeszcze bardziej. Widać było czaszkę. — Panie Lingman! Proszę pana! Odpowiadać? wiedział, że odpowiedzi nie będzie.

Odpowiadacz czeka, samotny na swojej planecie, która nie jest ani za duża, ani za mała, ale dokładnie w sam raz. Nie może pomóc ludziom, którzy do niego przychodzą, ponieważ nawet Odpowiadacz ma swoje ograniczenia.

Może odpowiedzieć tylko na istotne pytania.

Wszechświat? Życie? Śmierć? Purpura? Osiemnastu?

Półprawdy, niepełne prawdy, drobne cząstki wielkiego pytania.

Samotny Odpowiadacz mamrocze do siebie pytania, prawdziwe pytania, których nikt nie rozumie.

Jak więc mieliby zrozumieć prawdziwe odpowiedzi?

Pytania nigdy nie zostaną zadane; Odpowiadacz pamięta bowiem coś, o czym zapomnieli jego twórcy.

Po to, żeby zadać pytanie, trzeba znać chociaż część odpowiedzi.

Przełożyła Danuta Górską

Hands Off

Ręce przy sobie

Pokładowy detektor masy rozblysnął na różowo, potem na czerwono. Agee przysypiał już nad deską rozdzielczą, czekając, aż Victor upora się z obiadem. Teraz gwałtownie podniósł wzrok.

— Planeta się zbliża! — zawołał, przekrzykując syk uciekającego powietrza.

Kapitan Barnett kiwnął głową. Skończył właśnie modelować gorącą łąkę, którą z głośnym plaśnięciem przykleił do zniszczonego kadłuba „Niezlomnego”. Świst uchodzącego powietrza przycichł do poziomu cichego jęku, ale nie ustał całkowicie. Nigdy nie ustawał.

Kiedy Barnett podszedł do konsoli, planetę było już widać, ledwo ledwo, spoza krawędzi małego czerwonego słońca, jarzyła się zielono na tle czarnej nocy kosmosu i obu mężczyznom podsunęła tę samą myśl.

Barnett ujął ową myśl w słowa.

— Ciekawe, czy znalazłoby się tam coś do wzięcia — powiedział marszcząc czoło.

Agee, na znak nadziei, uniósł białą brew. Patrzyli na przyrządy, które właśnie zaczynały rejestrować.

Nigdy by nie wytropili tej planety, gdyby skierowali „Niezlomnego” na szlaki południowogalaktyczne. Ale na tamtej trasie namnożyło się Policji Konfederacyjnej, więc Barnett wolał ją omijać wielkim łukiem.

„Niezlomny” był zarejestrowany jako handlowiec, chociaż cały przewożony przez niego ładunek sprowadzał się do kilku butelek silnie żrącego kwasu, używanego do otwierania sejfów i trzech średniej wielkości bomb atomowych. Władze niechętnym okiem patrzyły na tego rodzaju dobra i stale usiłowały przymknąć załogę na podstawie jakiegoś przedawnionego oskarżenia — o morderstwo na Lunie, o kradzież na Omedze, o napad z włamaniem na Samii II. Były to wszystko stare, prawie zapomniane przestępstwa, które policja z maniackim uporem próbowała rozdmuchać na nowo.

Co gorsza, nowe policyjne krążowniki przewyższały „Niezlomnego” pod względem uzbrojenia. Dlatego wybrali trasę okrężną do Nowych Aten, gdzie właśnie rozpoczął się wielki strajk uranowy.

— Z wyglądu nic specjalnego — skomentował Agee, krytycznym okiem szacując wskaźniki.

— Tak czy owak, możemy się koło niej przejechać — powiedział Barnett.

Odczyty były mało ciekawe. Ukazywały planetę mniejszą niż Ziemia, nieobecną na mapach, i pozbawioną jakiegokolwiek wartości handlowej poza atmosferą tlenową.

Kiedy mijali planetę, czujniki metali ciężkich gwałtownie ożyły.

— Tam jest metal! — Agee błyskawicznie interpretował liczne odczyty. — Czysty. Bardzo czysty — i to na powierzchni!

Spojrzał na Barnetta, który skinął głową. Pojazd skręcił gwałtownie w stronę planety.

Z zaplecza statku nadszedł Victor, w malutkiej wełnianej czapeczce wciśniętej na wielką ogoloną głowę. Stał za Barnettem i patrzył mu przez ramię, jak Agee sprowadza pojazd w dół po torze ciasnej spirali. Z odległości pół mili od powierzchni planety dostrzegli swoje złoża ciężkiego metalu.

Był to statek kosmiczny, spoczywający na ogonie pośrodku naturalnej polany.

— A to ciekawe — zauważył Barnett. Gestem nakazał Agee'mu zejść niżej.

Agee z niebywałą zręcznością osadził pojazd na ziemi. Dawno już przekroczył wiek emerytalny dla pilotów dowodzących, co jednak wcale nie osłabiło jego koordynacji. Barnett, który znalazł go bez grosza i dachu nad głową, zatrudnił Agee'ego bez wahania. Kapitan zawsze chętnie pomagał bliźniemu, jeżeli było mu to na rękę i stwarzało szanse zysku. On i Agee mieli identyczny stosunek do własności prywatnej, chociaż czasami różnili się co do metod jej pozyskiwania. Agee wolał pewniaki. Barnett, przeciwnie, miał w sobie więcej odwagi niż to było wskazane u przedstawiciela stosunkowo delikatnego gatunku jakim był homo sapiens.

Zbliżywszy się do powierzchni planety, stwierdzili, że obcy statek jest większy niż „Niezlomny”, a do tego błyszczący, lśniący nowością. Kształt pokrywy był im nieznan, podobnie jak oznakowanie.

— Widziałeś kiedy coś podobnego? — spytał Barnett.

Agee skonsultował zasoby swojej przepastnej pamięci.

— Trochę przypomina robotę cephańską, tyle że ich statki nie są takie przysadziste. Solidnie zboczyliśmy z kursu. Ten statek może w ogóle nie być z Konfederacji.

Victor gapił się na statek z rozdziawioną gębą. Westchnął głośno.

— Przydałby nam się taki stateczek, co, kapitanie? — Nagły uśmiech Barnetta był jak pęknięcie w granicie.

— Victor! — powiedział Barnett. — W prostocie swojej dotknąłeś sedna sprawy. Istotnie, przyda nam się taki statek. Chodźmy tam i pogadajmy z jego szefem.

Przed dopięciem pasa, Victor upewnił się, że lodomiotacze mają pełny ładunek.

Już stojąc na ziemi, posłali w górę pomarańczowozieloną racę sygnalizacyjną, ale nie otrzymali

odpowiedzi z obcego statku. Atmosfera planety chyba nadawała się do oddychania, temperatura wynosiła 72 stopnie Fahrenheita. Po odczekaniu paru minut wymaszerowali z pojazdu, trzymając lodomiotacze w pogotowiu pod osłoną kurtek.

Wszyscy trzej przemierzali dzielącą statki odległość z wystudowanymi uśmiezkami na twarzach.

Z bliska statek był wspaniały. Jego połyskliwa srebrzystoszara powłoka była prawie nietknięta przez meteoryty. Wejście było otwarte, a po stłumionym mruczeniu poznali, że generatory właśnie się ładują.

— Jest tam kto?! — huknął Victor w czeluść włazu. Jego głos poniósł się głuchym echem po całym statku. Odpowiedzi nie było — tylko cichy szum generatorów i szelest traw na równinie.

— Gdzie oni się podzieli, jak myślicie? — zapytał Agee.

— Pewnie wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza — powiedział Barnett. — Na pewno nie spodziewali się gości.

Victor potulnie usiadł na ziemi. Barnett i Agee buszowali wokół podstawy statku, zachwycając się jego wspaniałymi dyszami.

— Dałbyś radę? Jak myślisz? — zapytał Barnett.

— Czemu nie — powiedział Agee. — Najważniejsze, że napęd jest konwencjonalny. Mechanizmy pomocnicze to drobiazg — istoty oddychające tlenem stosują podobne systemy kontroli napędu. Na pewno się połapię, to tylko kwestia czasu.

— Ktoś idzie! — zawołał Victor.

Rzucili się do włazu. O trzysta jardów od statku zaczynał się wystrzępiony las. Jakaś figura wyłoniła się spomiędzy drzew i zmierzała w ich stronę.

Agee i Victor równocześnie wydobyli miotacze. Lornetka Barnetta pozwoliła określić figurę jako równoległobok mierzący około dwóch stóp wysokości na jedną stopę szerokości. Grubość obcego nie sięgała dwóch cali. Głowy nie miał.

Barnett zmarszczył brwi. Nigdy jeszcze nie widział czworokąta płynącego w powietrzu nad wysoką trawę. Kiedy wyostrzał lornetkę, okazało się, że obcy ma w sobie coś z humanoida. Ściślej rzecz ujmując, miał cztery kończyny. Dwóch z nich, prawie niewidocznych przez trawę, używał do chodzenia, podczas gdy dwie pozostałe sterczały sztywno w przestrzeń. Pośrodku postaci Barnett z trudem wyróżnił maleńkie oczy i usta. Stworzenie nie miało na sobie żadnego ubrania ani kasku.

— Ciekawy typ urody — mruknął Agee, ustawiając aparaturę miotacza. — A może on jest sam?

— Miejmy nadzieję — powiedział Barnett, również wyciągając miotacz.

— Odległość około dwa tysiące jardów — Agee wycelował broń, po czym podniósł wzrok. — A

może pan kapitan życzył sobie najpierw z nim porozmawiać?

— Co tu gadać — uśmiechnął się leniwie Barnett. — Ale dajmy mu podejść bliżej. Szkoda by było spudłować. Agee pokiwał głową i poprowadził obcego w oku celownika.

Kalen zatrzymał się na tym opuszczonym małym świecie z nadzieją zdobycia, metodą wysadzenia w powietrze, kilku ton erolu — minerału wysoko cenionego przez Mabogian. Nie miał szczęścia. Niezużyta bomba tetnitowa nadal spoczywała w jego cielesnej sakiewce, w towarzystwie zabłąkanego orzecha kerla. Kalen pomyślał, że wróci na Mabog z balastem zamiast ładunku.

Trudno, mówił sobie wynurzając się z lasu, może następnym razem.

Widok chudego, upstrzonego łatami statku kosmicznego przy jego własnym przyprowadził Kalena o szok. Najmniej ze wszystkiego spodziewał się znaleźć na tym świecie inną żywą istotę.

Tubylcy w dodatku stali przed jego włazem! Kalen od razu dostrzegł, że jeżeli chodzi o kształt, są z grubsza mabogijni. W Unii Mabogijskiej istniała rasa bardzo do nich podobna, tyle że budująca zupełnie inne statki. Intuicja podszeptała mu, że mogą to być przedstawiciele tej wielkiej cywilizacji z peryferii Galaktyki, o której od dawna już chodziły plotki.

Dziwna rzecz: obcy się nie poruszali. Dlaczego nie wychodzą na powitanie? Wiedział, że go zauważyli, ponieważ wszyscy trzej wskazywali w jego kierunku.

Przyspieszył kroku, uświadamiając sobie, że nic nie wie o ich obyczajach. Miał tylko nadzieję, że nie są zwolennikami zbyt rozwlekłych ceremonii. Już po godzinie spędzonej na tym wrogim świecie czuł się zmęczony. Był głodny, rozpaczliwie potrzebował prysznic...

Coś intensywnie zimnego rzuciło nim do tyłu. Rozejrzał się czujnie: czyżby to była jakaś nieznana cecha planety?

Ponownie ruszył do przodu. Następny pocisk też trafił go celnie, zamrażając zewnętrzną warstwę jego powłoki.

Sprawa wyglądała poważnie. Mabogianie należeli do najsilniejszych form żywych w Galaktyce, ale nawet ich odporność miała swoje granice. Kalen rozejrzał się ponownie, szukając źródła kłopotów.

To ci obcy — strzelali do niego!

Przez chwilę jego ośrodki myślowe odmawiały przyjęcia dowodu zmysłów. Kalen wiedział, co to jest morderstwo. Oniemiały ze zgrozy, bywał świadkiem tej perwersji wśród niektórych niskich form zwierzęcych. Widywał też rejestry odchyłeń psychicznych, które dokumentowały każdy przypadek morderstwa z premedytacją, jaki miał miejsce od początku historii Mabogu.

Ale żeby coś takiego zdarzyło się jemu osobiście! Kalen nie był w stanie w to uwierzyć.

Trafił go kolejny ładunek. Kalen stał bez ruchu, próbując przekonać samego siebie, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. Nie mógł pojąć, że stworzenia obdarzone zmysłem współdziałania wystarczającym do prowadzenia statku kosmicznego, potrafią być jednocześnie zdolne do morderstwa.

Przecież oni go nawet nie znali!

Kiedy było już prawie za późno, Kalen zrobił w tył zwrot i pognął do lasu. Wszyscy trzej obcy strzelali za nim jednocześnie, toteż trawa wokół Kalena chrzęściła i bielą od szronu, a powierzchnia jego skóry zlodowaciała całkowicie. Zimno było tym czynnikiem, do którego organizm mabogiański nie był szczególnie przystosowany. Chłód zaczynał się wdzierać do organów wewnętrznych Kalena.

Mimo to, nadal nie mógł uwierzyć.

Dopał lasu, ale zanim skrył się za drzewo, dosięgnął go podwójny atak. Poczuł, jak cały jego system wewnętrzny rozpaczliwie stara się przywrócić organizmowi ciepło, a w chwilę potem ze szczerym żalem poddał się ciemności.

— Jakiś głupi ten obcy — zauważył Agee, chowając miotacz do kabury.

— Głupi i silny — dodał Barnett. — Ale żaden tlenowiec dużo tego nie wytrzyma — dumnie wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał srebrnoszary kadłub statku. Ochrzcimy go „Niezlomny II”.

— Hip hip hura na cześć kapitana! — krzyknął entuzjastycznie Victor.

— Oszczędzaj płuca — pouczył go Barnett. — Jeszcze ci się przydadzą. — Popatrzył w górę. — Mamy jeszcze ze cztery godziny światła. Victor, przynieś żywność, tlen i narzędzia z „Niezlomnego I” i rozładuj jego stopy. Kiedyś tu wrócimy i weźmiemy staruszka do domu. Ale na razie chcę odpalić przed zachodem słońca.

Victor oddalił się pospiesznie. Barnett i Agee weszli na pokład statku.

Tylną połowę „Niezlomnego II” wypełniały generatory, silniki, transformatory, urządzenia pomocnicze, zbiorniki paliwa i powietrza. Obok mieściła się wielka ładownia, zajmująca niemal resztę wnętrza. Pełno w niej było orzechów rozmaitych kształtów i kolorów, których średnica wahała się od dwóch cali do mniej więcej podwójnej średnicy głowy dorosłego mężczyzny. Pozostawały dwie kabinki w dziobie statku.

Pierwsza powinna była służyć za kabinę załogi — jako jedyny kawałek wolnego miejsca. Była jednak kompletnie pusta: ani kozetek deceleracyjnych, ani stołów czy krzeseł — tylko wypolerowana metalowa podłoga. W ścianach i w suficie widniał szereg otworów, których funkcja na pierwszy rzut oka nie była oczywista.

Z tym pomieszczeniem połączona była kabina pilota, bardzo mała, ledwo mieszcząca jedną osobę.

Deska rozdzielcza pod kopułą była szczelnie inkrustowana przyrządami.

— W twoje ręce perswaduję — powiedział Barnett do Agee'ego. — Zobaczymy, co potrafisz.

Agee kiwnął głową i rozejrzał się za stołkiem, po czym ukucnął przed konsolą i zaczął ją uważnie studiować. W ciągu paru godzin Victor przeniósł cały ich dobytek na „Niezlomnego II”. Agee do tego czasu niczego jeszcze nie dotknął. Po rozmiarach, kolorach, kształtach i usytuowaniu poszczególnych urządzeń próbował odgadnąć, co kontroluje co. Nie było to łatwe, nawet przy założeniu podobieństwa systemów nerwowych i wzorców rozumowania. Czy pomocniczy system nastawczy biegnie od lewej do prawej? Jeżeli nie, Agee musiałby oduczyć się dotychczasowych nawyków. Czy dla projektantów tego statku kolor czerwony oznaczał zagrożenie? Jeżeli tak, to duży przycisk mógłby służyć do obniżania poziomu paliwa. Ale kolor czerwony mógł z równym powodzeniem oznaczać gorące paliwo, w którym to przypadku przycisk kontrolowałby zapewne nadmierny przepływ energii.

W końcu Agee doszedł do wniosku, że zadaniem przycisku jest przeładować stopy w razie wrogiego ataku. Mając to na uwadze, Agee dalej badał przyrządy. Nie przejmował się zaledwie tym, czego nie rozumiał. Po pierwsze, statki kosmiczne były to twarde sztuki, na dobrą sprawę niezniszczalne od wewnątrz. Po drugie, miał wrażenie, że złapał system.

Barnett wetknął głowę do kabiny. Tuż za jego plecami stał Victor.

— Gotów?

Agee obrzucił spojrzeniem całą konsolę.

— Chyba tak — lekko dotknął jednego z pokręteł. — To powinno kontrolować śluzy.

Przekręcił gałkę. Victor i Barnett zamarli w oczekiwaniu, pocąc się obficie w chłodnym pomieszczeniu. Usłyszeli gładki świst naoliwionego metalu. Śluzy zatrzasnęły się.

Agee, rozpromieniony, dmuchnął w koniuszki palców — na szczęście.

— To by był system wymiany powietrza — oświadczył. Włączył przycisk.

Z sufitu zaczął się sączyć żółty dym.

— System zanieczyszczony — mamrotał Agee, kręcąc gałką.

Victor zaniósł się kaszlem.

— Wyłącz to — powiedział Barnett.

Dym walił gęstymi smugami, momentalnie wypełniając oba pomieszczenia.

— Wyłącz to!

— Kiedy nic nie widzę! — Agee po omacku nie trafił we właściwy przycisk i zamiast niego wcisnął guzik pod spodem. Generatory zaczęły z miejsca wściekle zawodzić. Błękitne ogniki przemknęły wzdłuż konsoly i wskoczyły na ścianę.

Agee, zataczając się, odstąpił od konsoly i padł na ziemię. Victor już był przy drzwiach ładowni, próbując je wywalić pięściami. Barnett zakrył dłonią usta i rzucił się do przyrządów. Na ślepo szukał wyłącznika, czując, jak cały statek wokół niego wiruje do utraty tchu.

Victor runął na ziemię, nie przestając bębnić w drzwi ładowni zwiotczalymi pięściami.

Barnett na oślep dźgnął konsolę.

Generatory umilkły w jednej chwili. Następnie Barnett poczuł na twarzy zimny powiew. Otarł łzawiące oczy i spojrzał w górę.

Przypadkowo trafiony przycisk zamknął ujście w suficie, przerywając dopływ żółtego gazu. Barnett przez przypadek otworzył śluzy i zimne nocne powietrze planety już wypierało gaz ze statku. Wkrótce można było oddychać.

Victor niepewnie gramolił się na nogi, ale Agee nie dawał znaku życia. Barnett zrobił staremu pilotowi sztuczne oddychanie, klnąc przy tym przez cały czas pod nosem. Wreszcie powieki Agee'ego zatrzepotały, a jego klatka piersiowa zaczęła wznosić się i opadać. W chwilę potem usiadł i tylko kręcił głową.

— Co to było za świństwo? — zapytał Victor.

— Obawiam się — powiedział Barnett — że nasz znajomek uważał to za świeże powietrze do oddychania.

Agee dalej kręcił głową.

— Niemożliwe, kapitanie. Przecież był w świecie otoczonym tlenem, chodził po nim bez kasku, bez...

— Upodobania dotyczące powietrza potrafią być bardzo różne — zauważył Barnett. — Spójrzmy prawdzie w oczy: pod względem fizycznym nasz przyjaciel nie przypominał nas ani trochę.

— To nie za dobrze — podsumował Agee.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia. W następnej chwili ciszy dobiegł ich niewyraźny, niepokojący odgłos.

— Co to było? — Victor skoczył na równe nogi, wyszarpując miotacz z kabury.

— Spokój! — wrzasnął Barnett.

Nasłuchiwali. Im dłużej Barnett próbował zidentyfikować odgłos, tym bardziej czuł, że każdy

włosek na karku staje mu dęba.

Odgłos dobiegał z daleka. Jakby metal uderzał w twardy obiekt niemetaliczny.

Trzej mężczyźni wyjrzeni przez luk. W pożegnalnym, blasku słońca zobaczyli, że główny właz „Niezlomnego I” jest otwarty. Odgłos dobiegał ze statku.

— Niemożliwe — powiedział Agee. — Lodomiotacze...

— Nie zabiły go — dokończył Barnett.

— To źle — wystękał Agee. — To bardzo źle.

Victor dalej dzierzył swój lodomiotacz w pogotowiu. — Kapitanie, a może ja bym się tam przespacerował...

Barnett pokręcił głową.

— Nie dopuści cię bliżej niż na dziesięć stóp do śluzy. Nie, daj pomyśleć. Było tam coś na pokładzie, czym mógł się posłużyć? Stosy?

— Ja mam łączą, kapitanie — powiedział Victor.

— Dobrze. Wobec tego nie ma tam nic, co...

— Kwas — wtrącił Agee. — Bardzo mocny. Ale nie przypuszczam, żeby mógł nim wiele zdziałać.

— Nic a nic — przytaknął Barnett. — Jesteśmy na tym statku i nie ruszymy się z niego. Na początek oderwijmy go od ziemi.

Agee patrzył na deskę rozdzielczą. Jeszcze pół godziny temu prawie ją rozumiał. Teraz wydawała mu się chytrą, śmiercionośną pułapką — potrzaskiem, którego niewidoczne druciki prowadzą nieuchronnie do zniszczenia.

Pułapka była niezamierzona. Ale statek kosmiczny był siłą rzeczy machiną przeznaczoną nie tylko do podróżowania, ale i do życia. Przyrządy musiały starać się odtwarzać naturalne środowisko obcego, zaspokajać jego potrzeby.

Dla nich trzech mogło się to okazać fatalne w skutkach.

— Szkoda, że nie wiemy z jakiego rodzaju planety gość pochodzi — odezwał się żałośnie Agee. Gdyby znali warunki naturalne obcego, potrafiliby przewidzieć zachowania jego statku.

Wiedzieli tylko tyle, że oddycha trującym żółtym gazem.

— Dobrze nam idzie — oświadczył bez przekonania Barnett. — Znajdź tylko przycisk napędu; a resztę zostawimy w spokoju.

Agee odwrócił się do konsoly.

Barnett ciekaw był, co zamierza obcy. Zapatrzył się w sylwetkę swojego dawnego statku, widoczną na tle wieczornego nieba i słuchał niesamowitego odgłosu uderzenia metalu o nie—metal.

Kalen zdziwił się bardzo, że jeszcze żyje. Ale popularne wśród ludu porzekadło głosiło, że „Mabogianin umiera natychmiast, albo wcale”. Na razie okazało się, że wcale.

Skołowany, usiadł i oparł się o drzewo. Pojedyncze czerwone słońce wisiało nisko nad horyzontem, a wokół Kalena wirowały poddmuchy trującego tlenu. Natychmiast skontrolował płuca i stwierdził, że nadal są bezpiecznie zablokowane. Życiodajne żółte powietrze, chociaż już w dużej mierze pozbawione wartości wskutek długiego używania, wciąż jeszcze trzymało go przy życiu.

Kalen nadal jednak nie bardzo wiedział, co się dzieje. O kilkaset jardów od niego stał sobie spokojnie jego statek. Coraz słabsza czerwona łuna ślizgała się po jego kadłubie i Kalen na chwilę uległ złudzeniu, że żadnych obcych nie było. Wymyślił sobie całą sytuację, a teraz wróci na statek...

Zobaczył, jak jeden z obcych, obładowany różnymi dobrami, wsiada do jego pojazdu. Po krótkiej chwili śluzy się zamknęły.

To była prawda, wszystko było prawdą. Kalen wykonał ostry zwrot myślowy w stronę niewesołej rzeczywistości.

Pilnie potrzebował jedzenia i powietrza. Jego skóra zewnętrzna była sucha i popękana; wymagała oczyszczenia i ożywienia. A żywność, powietrze i środki czyszczące zostały na statku. Przy sobie, w cielesnej sakiewce, Kalen miał tylko jeden czerwony orzech kerla i bombę tetnitową.

Gdyby udało mu się rozłupać i zjeść orzech, odzyskałby nieco sił. Ale jak go rozłupać?

Był przerażony tym, jak dalece uzależnił się od maszyn. I tym, że teraz będzie musiał znaleźć sposoby na wykonanie czynności najprostszych, zwyczajnych, codziennych — tych, które jego statek wykonywał automatycznie, a o których on sam nawet nie musiał myśleć.

Kalen zauważył, że obcy najwyraźniej porzucili swój statek. Dlaczego? To nie było ważne. Ważne było to, że jeżeli zostanie na równinie, umrze przed nastaniem dnia. Jedyne jego szansa na przeżycie leżała we wnętrzu obcego statku.

Wolno prześlizgiwał się wśród traw, przystając tylko w chwilach, gdy atakowały go zawroty głowy. Starał się nie tracić z oczu swojego pojazdu. Jeżeli obcy zaczną go teraz ścigać — wszystko stracone. Ale nic takiego nie nastąpiło. Podkradłszy się do statku, co trwało wiecznie, Kalen wszedł do środka.

Nadchodził wieczór. Ale nawet w półmroku dało się zauważyć, że statek jest stary. Ściany, od początku za cienkie, miały łatę na łacie. Wszystko świadczyło o długoletniej, intensywnej eksploatacji.

Teraz rozumiał, dlaczego tak im zależało na jego statku.

Zaatakowała go kolejna fala słabości. W ten sposób organizm Kalena domagał się natychmiastowej uwagi.

Problemem numer jeden wydawało się jedzenie. Kalen wyłuskał z sakwy orzech kerla. Orzech był okrągły, mierzył około czterech cali średnicy, przy czym grubość łupiny wynosiła dwa cale. Orzechy tego gatunku były podstawowym składnikiem diety mabogiańskiego kosmonauty. Stanowiły koncentrat energii i dawały się przechowywać praktycznie w nieskończoność — niełuskane, rzecz jasna.

Kalen położył orzech przy ścianie, znalazł stalowy pręt i z całej siły uderzył prętem w orzech. Przy zetknięciu z orzechem, pręt powodował głuchy odgłos, jak z wielkiego bębna. Orzech pozostał nietknięty.

Kalen ciekaw był, czy obcy usłyszeli odgłos. Musiał się liczyć z ryzykiem. Przymierzył się i ponownie zaatakował orzech. Po kwadransie, on sam padał z wyczerpania, a pręt zgięty był niemal wpół.

Orzech nie odniósł szwanku.

Kalen zrozumiał, że nie da rady rozłupać orzecha bez Zgniatacza — standardowego wyposażenia wszystkich mabogiańskich statków. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że można próbować innych metod łupania orzechów.

Był to przerażający dowód jego bezradności.

Uniósł łom do następnego uderzenia i stwierdził, że jego kończyny sztywnieją. Rzucił pręt i dokonał oględzin własnej osoby.

Zmrożona powłoka zewnętrzna hamowała ruchy. Skóra twardniała powoli w nieprzenikalną tkankę rogową. Z końcem procesu twardnienia, Kalen zostałby unieruchomiony. Zamrożony w jednej pozycji, siedziałby tak lub stał, dopóki nie udusiłby się na śmierć.

Kalen z trudem odegnał fale rozpacz i zmusił się do myślenia. Musiał bezzwłocznie zdjąć starą skórę. To było ważniejsze niż jedzenie. Na pokładzie własnego statku obmyłby ją i namoczył, zmiękczył i w końcu wykurował. Wątpił jednak, czy obcy wozili z sobą odpowiednie środki czyszczące.

Drugim wyjściem było zderzyć z siebie zewnętrzną powłokę. Kolejna warstwa skóry przez parę dni byłaby bardzo delikatna, ale przynajmniej nie krępowałaby ruchów.

Na sztywnych kończynach udał się w poszukiwaniu Rozbieraka. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że obcy na pewno nie będą mieli nawet tego podstawowego urządzenia. Znowu zdany był wyłącznie na siebie.

Podniósł stalowy łom, wygięty w hak, i jego czubek wetknął pod fałd skóry. Z całej siły szarpnął

w górę. Skóra nie poddawała się.

Kalen wcisnął się między generator a ścianę i inaczej zamocował hak. Zbyt krótkie ramiona nie pozwoliły mu jednak zastosować techniki dźwigni i twarda skóra uparcie trzymała się na ciele.

Wypróbował jeszcze z dziesięć innych pozycji — bez powodzenia. Pozbawiony pomocy mechanicznej, nie mógł utrzymać się dość mocno w jednym miejscu.

Zniechęcony, rzucił łom. Nic nie mógł zrobić, absolutnie nic. I nagle przypomniał sobie o bombie tetnitowej w cielesnej sakwie.

Prymitywna część jego umysłu, której istnienia nigdy przedtem nie podejrzewał, podszeptowała, że jest jedno proste wyjście z sytuacji. Kalen mógł podrzucić bombę pod własny statek, korzystając z nieuwagi obcych. Słaby ładunek nie wyrządziłby statkowi większej szkody, tylko wyrzuciłby go w górę na wysokość dwudziestu, może trzydziestu stóp.

Obcy jednak niewątpliwie ponieśliby śmierć.

Kalen poczuł grozę. Jak mógł o czymś takim pomyśleć? Etyka Mabogian, wszczepiona głęboko w samą tkankę jego istnienia, zabraniała odbierania życia istotie inteligentnej, bez względu na okoliczności. Bez względu na wszelkie okoliczności.

— Ale czy to nie będzie usprawiedliwione? — szeptała prymitywna część jego umysłu. — Ci obcy są chorzy. Oddałbyś przysługę wszechświatu pozbywając się ich, a przy okazji tylko pomógłbyś sam sobie. Nie myśl o tym jako o morderstwie. Uznaj to za eksterminację.

Kalen wyjął bombę z sakiewki i obejrzał ją, po czym pospiesznie schował z powrotem.

— Nie! — powiedział sam do siebie, bez wielkiego przekonania.

Nie chciał już więcej myśleć. Na zmęczonych, niemal całkiem sztywnych kończynach, zaczął przeszukiwać obcy statek, rozglądając się za czymś, co uratowałoby mu życie.

Agee siedział w kucki w kabinie pilota, ze znużeniem znacząc przyciski niezmywalnym ołówkiem. Czuł ból w płucach, pracował całą noc. Teraz na zewnątrz ponuro szarzał świt i chłodny wiatr smagał kadłub „Niezlomnego II”. Statek miał już oświetlenie, ale nie miał ogrzewania, ponieważ Agee bał się dotknąć regulatora temperatury.

Victor wszedł do pomieszczenia załogi, zataczając się pod ciężarem wielkiej skrzyni.

— A Barnett? — zawołał Agee.

— Idzie — odpowiedział Victor.

Kapitan kazał cały sprzęt składać na przedzie statku, gdzie byłby łatwo dostępny. Pomieszczenie

załogi było jednak nieduże i prawie w całości już zastawione.

Rozglądając się za kawałkiem wolnego miejsca pod skrzynię, Victor zauważył drzwi w jednej ścianie. Wcisnął widniejący w nich guzik — drzwi gładko podjechały w górę i schowały się w suficie, ukazując pokój wielkości szafy. Victor uznał, że będzie to świetny magazyn.

Nie zważając na okruchy czerwonych łupin walające się po podłodze, wepchnął skrzynie do środka.

Sufit pokoiku zaczął się momentalnie opuszczać. Victor ryknął, aż się poniosło po całym statku. Podskoczył — i wyrznął głową w sufit. Padł na twarz, oniemiały ze zdziwienia.

Agee wypadł z kabiny pilota, a i Barnett nadbiegł do nich sprintem. Barnett złapał Victora za nogę, chcąc go wyciągnąć ze schowka, ale Victor był ciężki, a kapitan ślizgał się po gładkim metalu posadzki.

Wykazując rzadką przytomność umysłu, Agee ustawił skrzynię na sztorc. Sufit zatrzymał się na niej.

Barnett i Agee zaczęli we dwóch szarpać Victora za nogi. Udało im się go wyciągnąć w samą porę: ciężka skrzynia rozpekła się na kawałki, a w następnej chwili zmiażdżona została w proch.

Sufit pokoiku, opuszczający się na lśniącym olejem potężnym sztyfcie, sprasował kufer do grubości sześciu cali. Dokonawszy tego, urządzenie mlasnęło dźwięcznie i bezszelestnie wróciło na miejsce.

Victor usiadł, masując głowę.

— Kapitanie — odezwał się błagalnym tonem. — Nie moglibyśmy wrócić na nasz statek?

Agee też miał swoje wątpliwości co do całego przedsięwzięcia. Ogarnął wzrokiem złowieszczy pokój, który na powrót przypominał szafę z okruchami czerwonych skorup na podłodze.

— Jak słowo daję, to jakaś pułapka — odezwał się strapiony. — Może Victor ma racje.

— Chcesz zostawić taki statek? — zdumiał się Barnett. Agee skrzywił się niewyraźnie i kiwnął głową.

— Najgorsze — powiedział, nie patrząc na Barnetta — jest to, że nie wiemy, z czym on za chwilę wyskoczy. Za duże ryzyko, kapitanie.

— Czy zdajesz sobie sprawę, z czego byś zrezygnował? — zbeształ go Barnett, — Sam kadłub wart jest majątek. Oglądałeś silniki? Nie ma siły po tej stronie Ziemi zdolnej powstrzymać tę maszynę. Potrafi przewiercić planetę na wylot i wyjść po drugiej stronie bez jednego draśnięcia na lakierze. A ty chcesz ją zostawić!

— Nie będzie tyle warta, jak nas pozabija — zauważył Agee.

Victor entuzjastycznie pokiwał głową. Barnett wytrzeszczył na nich oczy.

— Słuchajcie mnie uważnie — powiedział. — Nie zostawimy tego statku. To nie jest żadna pułapka. To pojazd obcych, wyposażony w obcą aparaturę. Wystarczy, żebyśmy nie ruszali czego nie trzeba do momentu lądowania. Zrozumiano?

Agee miał ochotę wypowiedzieć się na temat szaf, które zamieniają się w prasy hydrauliczne. Nie wydawało mu się to zbyt obiecującym sygnałem na przyszłość. Ale spojrzał na minę Barnetta i postanowił nie zabierać głosu.

— Poznaczyłeś wszystkie przyrządy?

— Jeszcze kilka mi zostało — powiedział Agee.

— W porządku. Skończ i tylko tych będziemy dotykać. Jeżeli resztę maszyny pozostawimy w spokoju, to i ona nas nie ruszy. Musimy tylko trzymać ręce przy sobie — i nie ma strachu.

Barnett otarł pot z twarzy, oparł się o ścianę i rozpiął kurtkę.

Natychmiast z otworów po obu jego stronach wysunęły się dwie metalowe wstęgi, które opasały Barnetta na wysokości talii i żołądka.

Barnett chwilę im się przyglądał, po czym z całej siły szarpnął się do przodu. Wstęgi nie puszczały. W ścianie rozległ się dziwny odgłos, jakby kłaskanie, a zaraz potem wysunął się stamtąd delikatny cienki drucik. Drucik z szacunkiem dotknął kurtki Barnetta, po czym schował się w głąb ściany.

Agee i Victor patrzyli na to wszystko bezradnie.

— Wyłącz to — wycedził Barnett przez zęby.

Agee skoczył do kabiny pilota. Victor dalej wytrzeszczał oczy. Ze ściany wyślizgnęła się metalowa łapa, zakończona połyskliwym trzycalowym ostrzem.

— Nie! — rozdarł się Barnett.

Victor ożył gwałtownie. Podbiegł do łapy, próbował ją wyrwać ze ściany, ale ramię wykonało tylko jeden zwrot i posłało Victora w przeciwny koniec pomieszczenia.

Z chirurgiczną precyzją ostrze przecięło kurtkę Barnetta równo pośrodku, nie dotykając koszuli pod spodem. Łapa znikła z pola widzenia.

Agee wciskał jeden przycisk po drugim: generatory wyły, stabilizatory drgały, mrgały światła. Na mechanizmie, który więził Barnetta nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

Wiotki drucik znów się pokazał. Dotknął koszuli Barnetta i zawahał się na moment. Mechanizm wewnętrzny zaświergotał ostrzegawczo. Drucik raz jeszcze dotknął koszuli Barnetta, jakby niepewny, co powinien w takim przypadku uczynić.

Agee darł się z pomieszczenia kontrolnego.

— Nie daje się wyłączyć! To chyba w pełni automatyczne!

Drucik schował się w ścianie, a w jego miejsce pojawiło się zakończone ostrzem ramię.

Victor zdążył tymczasem znaleźć ciężki klucz francuski. Podskoczył, zamachnął się i morderczym ciosem trafił w ramię, omijając o włos głowę Barnetta.

Łapa ani trochę na tym nie ucierpiała. Spokojnie rozplatała koszulę Barnetta od strony pleców, pozostawiając go nagim do pasa.

Barnettowi nic się nie stało, ale dziko przewrócił oczami, kiedy wiotki drucik wyłonił się ze ściany po raz trzeci. Victor wpakował pieść do ust i zaczął się cofać. Agee zacisnął powieki.

Drucik dotknął ciepłego, żywego ciała Barnetta i wyraźnie usatysfakcjonowany, cofnął się w głąb ściany. Wstęgi otworzyły się. Barnett padł na kolana.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Nie było o czym mówić. Barnett zagapił się w przestrzeń. Victor strzelał kostkami palców, aż Agee trącił go w bok.

Stary pilot zastanawiał się, dlaczego mechanizm porozcinał odzież Barnetta, ale zatrzymał się kiedy doszedł do żywego ciała. Czyżby obcy w ten sposób się rozbierał? Nie miało to sensu. Ale, z drugiej strony, szafa—prasa też nie miała sensu.

Agee nawet się trochę ucieszył z tego incydentu. Zdarzenie musiało dać Barnettowi nauczkę. Teraz już na pewno zostawią to zdraдлиwe monstrum i wymyślą sposób na odzyskanie własnego statku.

— Daj mi jakąś koszulę — powiedział Barnett. Victor pospiesznie znalazł coś dla niego. Barnett ubrał się w koszulę, stojąc jak najdalej od ściany.

— Jak szybko możesz uruchomić ten statek? — zapytał Barnett Agee'ego, jeszcze nieco roztrzęsiony.

— Co takiego?

— Słyszałeś chyba.

— Ty jeszcze nie masz dość? — Agee'ego zatkało.

— Nie mam. Jak szybko możemy odpalić?

— Za godzinę, coś koło tego — burknął niechętnie Agee. Co innego mógł powiedzieć? Kapitan był nie do wytrzymania. Agee poczłapał zmęczony do pomieszczenia kontrolnego.

Barnett założył sweter na koszulę, a na to jeszcze kurtkę. W pomieszczeniu było chłodno, a on dostał silnych dreszczy.

Kalen leżał bez ruchu na podłodze obcego statku. Jak głupi, zmarnował resztkę sił na próby zerwania sztywnej powłoki zewnętrznej. A im on był słabszy, tym szybciej skóra twardniała. Teraz już w ogóle nie opłacało się ruszać. Lepiej odprężyć się i czuć, jak ognie wewnętrzne wolno dogasają.

Wkrótce śnił już o zębatych wzgórzach Mabogu i o wielkim porcie Canthanope, do którego spływali w dół handlarze międzygwiazdni ze swoimi egzotycznymi towarami. Był tam teraz, zapadał zmierzch, a on patrzył ponad płaskimi dachami na dwa ogromne zachodzące słońca. Dlaczego jednak oba słońca zachodziły na południu? Fizyczna niemożliwość. Może ojciec zdoła to wyjaśnić. Noc zapadła szybko.

Otrząsnął się z fantazji i zobaczył ponure światło poranka. Nie tak powinien umierać kosmonauta z Mabogu. Jeszcze raz spróbuje.

Po pół godzinie żmudnych, bolesnych poszukiwań trafił na zapleczu statku na zaplombowaną metalową skrzynkę. Obcy najwyraźniej o niej zapomnieli. Zerwał wieko. Wewnątrz było kilka butelek, starannie zamocowanych i zabezpieczonych okładzinami przed rozbiciem. Kalen wyjął jedną i obejrzał ją uważnie.

Oznaczona była dużym białym symbolem. Nie było żadnego powodu, żeby Kalen miał znać ten symbol, a jednak wydał mu się on dziwnie znajomy. Kalen wysilił pamięć, starając się dociec, gdzie widział coś podobnego.

I przypomniał sobie, jak przez mgłę: było to przedstawienie czaszki humanoida. W Unii Mabogijskiej była jedna rasa humanoidalna, a kopie jej czaszek Kalen oglądał w muzeum.

Ale czemu ktoś miałby tym symbolem ozdabiać butelkę?

W Kalenie czaszka budziła uczucie szacunku. O to zapewne chodziło producentom. Otworzył butelkę i powąchał.

Woń była ciekawa. Przypominała zapach...

...roztworu do oczyszczania skóry!

Nie zwlekając, Kalen wylał na siebie całą zawartość butelki. Bał się żywić nadzieję, czekał tylko, co będzie. Gdyby udało mu się przywrócić skórę do porządku...

Tak jest, płyn zawarty w butelce z czaszką był łagodnym środkiem czyszczącym. A do tego miał przyjemny zapach.

Kalen wylał kolejną butelkę na swój pancerz i poczuł, jak zbawczy płyn wsącza się głębiej, jego ciało, spragnione odżywki, chciwie wołało o jeszcze. Opróżnił trzecią butelkę.

Przez dłuższy czas Kalen tylko leżał i czuł jak wsącza się w niego życiodajny płyn. Skóra

rozluźniła się i uelastyczyła. Czuł w sobie nowy zastrzyk energii, nową wolę życia.

Będzie żył!

Po kąpieli Kalen zbadał konsolę statku; miał nadzieję, że zdoła dolecieć starym pudłem na Mabog. Natychmiast wyłoniły się trudności. Z niewiadomej przyczyny, urządzenia kontrolne nie były zabezpieczone w oddzielnym pomieszczeniu. Zastanawiał się, dlaczego. Niemożliwe przecież, żeby te dziwne stworzenia cały swój statek uczyniły komorą deceleracyjną. Niemożliwe. Nie mieli nawet dość miejsca na pojemniki z płynem.

Było to niepokojące, ale niepokojące było jak dotąd wszystko, co dotyczyło obcych. Tę trudność Kalen był w stanie przezwyciężyć. Kiedy jednak poszedł obejrzeć silniki, stwierdził brak kluczowego ogniwa, które usunięto ze stosów. Mechanizm był bezużyteczny.

Pozostawało tylko jedno wyjście: musi odzyskać swój statek.

Ale jak?

Nerwowo przemierzał pokład. Etyka mabogiańska zabraniała zabijać inteligentne życie i nie było w tej kwestii żadnego „ale”. Pod żadnym pozorem — nawet w obronie własnego życia — nie wolno było zabić. Było to mądre prawo, które dobrze przysłużyło się Mabogianom. Dzięki ściślemu jego przestrzeganiu, Mabogianie przez trzy tysiące lat unikali wojen, za to osiągnęli wysoki poziom rozwoju cywilizacji — co byłoby niemożliwe, gdyby dopuścili wyjątki od reguły. Każde „ale” może zaszkodzić najzdrowszej nawet zasadzie.

Nie mógł złamać prawa.

Ale czy wobec tego ma tu umierać bez walki?

Kalen spojrzął pod nogi i stwierdził ze zdumieniem, że rozlany płyn czyszczący powyżerał dziury w pokładzie. Cóż za nietrwale urządzenie — byle płyn kosmetyczny potrafi je zniszczyć! Sami obcy wobec tego też muszą być słabi.

Wystarczyłaby jedna bomba tetnitowa.

Podszedł do okna. Chyba nikt nie stał na straży. Kalen pomyślał, że na pewno zajęci są przygotowaniem do startu. Nic prostszego jak przemknąć się wśród traw do samego statku...

A na Mabogu nikt by się nie musiał dowiedzieć prawdy.

Kalen, ku własnemu zdumieniu, stwierdził, że już bezwiednie pokonał połowę odległości między pojazdami. To ciekawe, ile potrafi zrobić ciało bez udziału umysłu.

Wyjął bombę i podczołgał się o następne dwadzieścia stóp bliżej.

W końcu przecież — w dalszej perspektywie — to zabójstwo niczego nie zmieniało.

— Jeszcze nie jesteś gotowy? — zapytał Barnett o dwunastej w południe.

— Chyba już jestem — odpowiedział Agee. — Bardziej gotowy już nie będę.

Barnett kiwnął głową.

— My z Victorem przytroczymy się pasami w kabinie załogi. Startuj z najmniejszym przyspieszeniem. — Barnett wrócił do pomieszczenia załogi. Agee podopinał pasy i nerwowo zatarł ręce. Zdawało mu się, że pozaznaczał wszystkie podstawowe urządzenia. Powinno się było udać. Miał nadzieję, że się uda.

Bo przecież była ta szafa, i łapa z nożem. Kto zgadnie, z czym jeszcze wyskoczy szalony pojazd?

— Gotowi! — zawołał Barnett z kabiny załogi. — Dobra. Jeszcze z dziesięć sekund.

Zamknął i zabezpieczył śluzy, jego własne drzwi zamknęły się automatycznie, odcinając pilota od reszty załogi. Z lekkim uczuciem klaustrofobii, Agee włączył stopy. Na razie wszystko szło doskonale.

Na podłogę wypełzła cienka strużka oleju. Agee uznał to za wyciek z obłuzowanego złącza i nie przejął się zbytnio. Powłoki kontrolne pracowały jak marzenie. Agee wcisnął kurs i ustawił przyrząd kontroli lotu.

I wtedy poczuł, że coś uderza o jego stopę. Spojrzał w dół i ze zdziwieniem odnotował prawie trzycalową warstwę gęstego, cuchnącego oleju na pokładzie. Solidny wyciek. Agee'emu nie mieściło się w głowie, żeby taki porządny statek mógł mieć taką wadę. Odpiął pasy i zaczął szukać źródła wycieku.

Znalazł je bez trudu. W pokładzie były cztery małe ujścia i każdym z nich gładko, równomiernie, bił strumień oleju.

Agee wcisnął guzik otwierający drzwi kabiny, ale drzwi ani drgnęły. Odrzucając panikę, Agee starannie obejrzał drzwi.

Powinny były się otworzyć. Nie otwierały się.

Olej już prawie sięgał jego kolan.

Agee uśmiechnął się idiotycznie. Co za głupiec z niego! Kabinę pilota zamykało się z konsoli. Zwolnił blokadę i wrócił do drzwi.

Nadal nie chciały się otworzyć.

Agee szarpał je z całych sił, ale drzwi były niewzruszone. Wrócił do deski rozdzielczej. Kiedy znaleźli statek, oleju nie było. Co znaczy, że gdzieś musi być odpływ.

Zanim znalazł odpływ, olej sięgał mu do pasa. Potem znikł prawie natychmiast. A kiedy tylko olej znikł, drzwi otworzyły się z łatwością.

— Co jest? — zapytał Barnett. Agee powiedział mu.

— A więc to tak wygląda jego sposób! — powiedział cicho Barnett. — Dobrze wiedzieć.

— Sposób na co? — spytał Agee, czując, że Barnett traktuje całą sprawę zbyt lekko.

— Sposób na to, żeby wytrzymać przyspieszenie przy starcie. To mnie dręczyło. Przecież na pokładzie nie ma nic na kształt łoża czy leżanki. Nawet krzesel nie ma — do czego tu się przypasać? Dlatego on pływa sobie w oleistej kąpeli, której kurki włączają się automatycznie z chwilą gotowości maszyny do lotu.

— Ale dlaczego drzwi nie dawały się otworzyć? — pytał dalej Agee.

— To przecież oczywiste — uśmiechnął się Barnett. — Nie chciał, żeby mu olej zalał cały statek. Albo żeby przypadkiem nie spłynął z pokładu.

— Nie możemy startować — zawyrokował Agee.

— A to dlaczego?

— Ponieważ nie jestem szczególnie mocny w oddychaniu olejem. Dopływ oleju włącza się automatycznie razem z mocą i nie ma siły, żeby go wyłączyć.

— Rusz głową — poradził mu Barnett. — Wystarczy, że zablokujesz otwarty odpływ: co się naleje, to natychmiast spłynie.

— Rzeczywiście, to mi nie przyszło do głowy — przyznał ze skruchą Agee.

— No to do roboty.

— Chciałbym się najpierw przebrać.

— Nie. Oderwij ten cholerny statek od ziemi.

— Ale, kapitanie...

— Ruszaj — rozkazał Barnett. — Zdaje mi się, że ten obcy coś kombinuje.

Agee wzruszył ramionami, wrócił do kabiny pilota i zapiął pasy.

— Gotowi?

— Tak, ruszaj wreszcie.

Agee zablokował odpływ i olej rozpoczął bezpieczną cyrkulację, nie wznosząc się ponad poziom

butów pilota. Bez dalszych komplikacji Agee uruchomił resztę przyrządów.

— Jazda.

Nastawił na minimalne przyspieszenie i dmuchnął w opuszki palców — na szczęście.

Wcisnął start.

Kalen z głębokim żalem patrzył na swój oddalający się statek. Bombę tetnitową nadal trzymał w ręku.

Zdażył dojść do statku, przez parę sekund nawet pod nim stał. Po czym odczołgał się z powrotem do wraku obcych. Nie zdobył się na podłożenie bomby. Parę godzin nie wystarczyło na pokonanie kilkusetletnich uwarunkowań.

Uwarunkowań — owszem, ale i czegoś jeszcze. Nieliczni przedstawiciele każdej rasy mordują dla przyjemności. Z drugiej strony, istnieje szereg powodów usprawiedliwiających zabójstwo, i to takich, które uznałby każdy filozof.

Jeżeli się je jednak raz zaakceptuje, takich powodów natychmiast rodzi się więcej, i coraz więcej. Morderstwo raz zaakceptowane staje się nie do powstrzymania. Nieuchronnie prowadzi do wojny, i dalej, do unicestwienia.

Kalen czuł, że to morderstwo wpłynęłoby w jakiś sposób na los jego rasy. Powstrzymanie się od zabójstwa wydało mu się nieomal kwestią jej przetrwania.

Mimo wszystko, nie poprawiło mu to samopoczucia. Patrzył; jak jego statek zmienia się w kropkę na niebie. Obcy oddalali się w śmiesznie powolnym tempie. Nie widział po temu żadnego usprawiedliwienia — chyba że chcieli mu dokuczyć.

Bez wątpienia mieli w sobie dość sadyzmu na coś takiego.

Kalen wrócił na statek. Wola życia była w nim silniejsza niż kiedykolwiek. Nie miał zamiaru się poddawać. Postanowił za wszelką cenę czepiać się życia, w nadziei jednej na milion — że kiedyś ktoś jeszcze odwiedzi planetę.

Rozejrzał się i uznał, że może sprokurować namiastkę powietrza ze środka czyszczącego oznakowanego czaszką. Wystarczy na dzień, może dwa. A gdyby jeszcze zdołał otworzyć orzech kerla...

Zdawało mu się, że słyszy coś na zewnątrz. Skoczył sprawdzić. Niebo było puste. Statek zniknął. Kalen był sam.

Znów wrócił na obcy statek i podjął zmusne zadanie utrzymania się przy życiu.

Odzyskawszy przytomność, Agee stwierdził, że tuż przed omdleniem zdołał zredukować przyspieszenie do połowy. Tylko to uratowało mu życie.

Nawet obecne przyspieszenie, oscylujące tuż nad punktem zero, było nieznośnie ciężkie! Agee odpięto drzwi i przeczołgał się do sąsiedniego pomieszczenia.

Barnetta i Victora przy starcie wystrzeliło z pasów. Victor właśnie odzyskiwał przytomność. Barnett podnosił się ze sterty pogniecionych skrzyń.

— Co ty sobie myślisz, że w cyrku jesteś? — zrzędził Barnett. — Mówiłem przecież: przyspieszenie minimum.

— Startowałem z przyspieszeniem minimum — poinformował go Agee. — Idź, sam sobie poczytaj zapis. Barnett pomaszerował do kabiny pilota. Zaraz wrócił.

— Kiepska sprawa. Nasz przyjaciel podróżuje tym statkiem z przyspieszeniem trzykrotnie wyższym od naszego.

— Na to wygląda.

— Nie pomyślałem o tym — zasepił się Barnett. — W takim razie on musi pochodzić z ciężkiej planety, z takiego miejsca, gdzie trzeba startować błyskawicznie, żeby się w ogóle odczepić od podłoża.

— Coś mnie uderzyło — poskarżył się Victor, rozcierając głowę.

W ścianie coś pstryknęło. Statek ożył na całego, urządzenia automatycznie wkraczały do akcji.

— Ciepło się robi, nie? — zagadnął Victor.

— Owszem, i gęstawo — dodał Agee. — Zwyżka ciśnienia.

Wrócił do kabiny pilota. Barnett i Victor stali w drzwiach i obserwowali go w napięciu.

— Nie mogę tego wyłączyć — oświadczył Agee, ocierając pot, który strumieniami zalewał mu twarz. — Temperatura i ciśnienie regulowane są automatycznie. Muszą wracać do „normy”, kiedy statek leci.

— Wyłącz to cholerstwo — polecił Barnett. — Usmażymy się tutaj jak zaraz nie wyłączysz.

— Nie ma jak.

— Przecież gdzieś musi być regulator ciepła.

— Owszem — tutaj — wskazał Agee. — Już skręcony do minimum.

— Myślisz, że jaką on ma normalną temperaturę? — zapytał Barnett.

— Wolę nie myśleć — powiedział Agee. — Ten statek jest zbudowany z wyjątkowo trudno topliwych stopów. Wytrzymałby ciśnienie dziesięciokrotnie wyższe niż statek ziemski. Uwzględniając oba te czynniki...

— To się musi dać wyłączyć! — Barnett zdarł z siebie kurtkę i sweter. Temperatura szybko wzrastała, pokład był już tak rozgrzany, że ledwo można było na nim ustać.

— Wyłącz to! — zawył Victor.

— Momencik — odpowiedział Agee. — Nie ja budowałem ten statek. Skąd mam wiedzieć...

— Dosyć! — Victor darł się, potrząsając Ageem jak szmacianą lalką. — Dość!

— Puszczaj! — Agee wyciągnął miotacz do połowy. I nagle, w przypływie natchnienia, wyłączył silniki statku. Pstrykanie w ścianach umilkło. Pomieszczenie zaczęło się ochładzać.

— Co jest? — zapytał Victor.

— Temperatura i ciśnienie spadają po wyłączeniu mocy — wyjaśnił Agee. — Nic nam nie grozi, dopóki znów nie włączymy silników.

— Kiedy możemy zawinąć do najbliższego portu? — spytał Barnett.

Agee liczył w myślach.

— Za jakieś trzy lata — ocenił. — Zapędziliśmy się dosyć daleko.

— Nie dałoby się powyrywać tych urządzeń? Odłączyć?

— Są wmontowane w bebechy statku — powiedział Agee. — Potrzebowalibyśmy całej narzędziowni i fachowej pomocy. A nawet wtedy nie byłoby to proste.

Barnett przez dłuższą chwilę nic nie mówił. W końcu odezwał się.

— No dobra.

— Co dobra?

— Daliśmy dupy. Trzeba wracać na tamtą planetę i brać stary statek.

Agee odetchnął z ulgą i wcisnął nowy kurs na zapisie statku.

— Myślisz, że obcy nam go odda? — zapytał Victor.

— Na pewno — powiedział Barnett. — Jeżeli w ogóle jeszcze żyje. Spodziewam się, że odzyskanie statku byłoby mu bardzo na rękę. Ale żeby wejść na swój statek, musi zejść z naszego.

— No tak, kiedy jednak już wsiądzie na ten swój...

— Pomajstrujemy koło przyrządów — zdecydował Barnett. — To go chwilę przytrzyma.

— Chwilę — zgodził się Agee. — Ale prędzej czy później wystartuje, z pianą na ustach. Nigdy mu nie uciekniemy.

— Wcale nie musimy — powiedział Barnett. — Jedyne co musimy, to znaleźć się w górze wcześniej niż on. Kadłub ma mocny, ale trzy bomby atomowe to chyba będzie aż nadto.

— O tym nie pomyślałem — uśmiechnął się niemrawo Agee.

— Jedyne logiczne wyjście — powiedział Barnett niezbyt pewnym siebie tonem. — Te stopy metali z kadłuba dalej będą sporo warte. A teraz spróbuj nas tam dowieźć z powrotem i nie usmażyć po drodze.

Agee włączył silniki. Wykonał ostry zwrot, ładując tyle atmosfer, ile tylko mogli wytrzymać. Urządzenia towarzyszące włączyły się pstrykając gęsto i temperatura momentalnie wzrosła. Wykonawszy manewr, Agee skierował „Niezlomnego II” we właściwy punkt i zgasił silniki.

Większość drogi pokonali bez pomocy silników. Dopiero kiedy zbliżali się do planety, Agee musiał ponownie włączyć moc, żeby wprowadzić statek w spiralę deceleracyjną i zejść do lądowania.

Ledwo wygramolili się ze statku, cali w pęcherzach, buty przepalone na wylot. Nie było czasu na figle z przyrządami obcego.

Schowali się w lesie i czekali.

— Może wykitował — odezwał się z nadzieją Agee. Zobaczyli małą figurkę wyłaniającą się z „Niezlomnego I”. Obcy poruszał się powoli, ale zdecydowanie mógł się poruszać.

Obserwowali go.

— A jeżeli on — odezwał się Victor — zbudował sobie broń? Jak nas zacznie gonić?

— A jakbyś ty się tak zamknął, co? — odpowiedział mu Barnett.

Obcy pomaszzerował wprost do swojego statku. Zniknął wewnątrz, zamknął wszystkie otwory.

— No dobra — Barnett wstał z miejsca. — Trzeba się spieszyć. Agee, ty się zajmiesz sterami. Ja połączę stopy. Victor zabezpieczy otwory. Tempo!

Puścili się biegiem przez równinę i w parę sekund dopadli otwartej śluzy „Niezlomnego I”.

Nawet gdyby Kalen chciał się pospieszyć, nie miał na razie dość sił na poprowadzenie statku. Ale wiedział, że wewnątrz pojazdu jest bezpieczny. Żaden obcy nie wedrze się przez zapieczętowane

otwory. Znalazł zapasowy kanister z powietrzem i otworzył go.

Wnętrze zapełniło się gęstym, życiodajnym żółtym gazem. Przez kilka długich minut Kalen tylko oddychał i oddychał.

Potem przeturlał do Zgniatacza trzy największe orzechy kerla. Zgniatacz je rozłupał.

Kiedy Kalen zjadł, poczuł się o wiele lepiej. Dał się rozebrać Rozbierakowi z zewnętrznej powłoki. Druga skóra też była martwa, więc i tę Rozbierak rozplątał na pół, ale trzeciej, żywej warstwy, już nie ruszył.

Kalen, jak nowy, wślizgnął się do kabiny pilota. Teraz już miał pewność, że obcy ulegli chwilowemu szaleństwu. Inaczej nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego wrócili i oddali mu statek.

A więc musi odszukać ich władze i podać im położenie planety. Niech znajdą swoich i wyleczą ich, raz na zawsze.

Kalen czuł się bardzo szczęśliwy. Nie odstąpił od zasad etyki mabogiańskiej, a to było najważniejsze. Jakże łatwo mógł im podrzucić na pokład bombę tetritową, z precyzyjnie ustawionym zegarem. Mógł zniszczyć ich silniki. I miał takie pokusy.

Ale nie uległ im. Nie zrobił nic złego.

Sporządził tylko kilka substancji niezbędnych do ratowania własnego życia.

Kalen ożywił przyrządy i stwierdził, że wszystkie funkcjonują bez zarzutu. Płyn akceleracyjny zaczął się wlewać do kabiny z chwilą włączenia stosów.

Victor pierwszy dopadł włazu i wskoczył do środka. Wyrzuciło go z powrotem.

— Co jest? — zapytał Barnett.

— Coś mnie uderzyło — powiedział Victor. Ostrożnie zajrzeli do środka.

Zobaczyli misternie wykonaną śmiertelną pułapkę: wejście zagradały połączone szeregowo przewody akumulatorów. Gdyby Victor oparł się o ścianę, zostałby momentalnie porażony prądem.

Przecięli obwód i weszli do środka.

Bałagan był nieopisany. Wszystko, co można było ruszyć z miejsca, zostało ruszone i rzucone byle gdzie. W kącie leżał zgięty łom. Silny kwas był porozlewany po podłodze, w kilku miejscach przeżarł ją na wylot. Stary kadłub „Niezlomnego I” świecił dziurami.

— Kto by pomyślał, że to on nas tak załatwi! — odezwał się Agee.

Sprawdzali dalej. W pobliżu ogona tkwiła druga pułapka: drzwi do ładowni zostały z ręcznie przymocowane do startera. Wystarczyło dotknąć, żeby z impetem odskoczyły na ścianę. Ktokolwiek by się tam znalazł, zostałby sprasowany na placek.

Znaleźli jeszcze szereg innych pułapek, o niejednoznacznym przeznaczeniu.

— Da się naprawić? — spytał Barnett. Agee wzruszył ramionami.

— Większość narzędzi została na „Niezlomnym II”. Może w rok da się jako tako połatać. Ale trudno przewidzieć, czy kadłub wytrzyma.

Wyszli na zewnątrz. Obcy statek właśnie odpalał.

— Co za monstrum! — powiedział Barnett, patrząc na poprzęieraną kwasem powłokę swojego statku.

— Z obcymi nigdy nic nie wiadomo — zgodził się Agee.

— Dobry obcy, to martwy obcy — podsumował Victor. „Niezlomny I” był teraz równie niezrozumiały i niebezpieczny jak „Niezlomny II”.

A „Niezlomnego II” nie było.

przekład: Jolanta Kozak

Hunting Problem

Instykt myśliwski

Była to ostatnia zbiórka przed Planetarnym Zlotem Harcerskim i stawiły się na nią wszystkie drużyny. Zastęp Szybujących Sokołów, objąwszy w posiadanie cienistą kotlinkę, zaprawiał się w posługiwaniu czułkami. Zastęp Mężnych Bizonów skupił się nad maleńkim strumyczkiem — Bizony ćwiczyły się w przyjmowaniu płynnego pokarmu i związane z tym komiczne uczucie raz po raz powodowało wybuchy niepohamowanego śmiechu.

A Zastęp Rozjuszonych Miraków czekał na harcerza Drog, który jak zawsze spóźniał się.

Drog opadł z wysokości dziesięciu tysięcy stóp, zmaterializował się i czym prędzej wsunął w krąg kolegów.

— Ojej, przepraszam — powiedział. — Nie miałem pojęcia, że już tak późno.

Zastępowy zmierzył go gniewnym spojrzeniem. — Drog, czy ty nie wiesz, że na zbiórkę trzeba się stawić w pełnym umundurowaniu?

— O, przepraszam — rzekł Drog i pośpiesznie wysunął czułek, o którym zapomniał.

Koledzy zachichotali. Drog oblał się ciemnym pąsem. Najchętniej zdematerializowałby się w tej chwili. Ale nie wypadało.

— Otwieram dzisiejszą zbiórkę — odezwał się zastępowy. — Jak zwykle przypomnę wam najpierw nasze harcerskie przyrzeczenie. — Odchrząknął. — My, młodzi harcerze planety Elbonai, ślubujemy pielęgnować cnoty i sprawności naszych przodków. W tym celu my, harcerze, przybieramy postać naszych praojców, którzy podbili dziewicze obszary tej planety. Ślubujemy...

Harcerz Drog przestroił swoje receptory słuchowe, ażeby lepiej słyszeć cichy głos zastępowego. Przyrzeczenie zawsze przenikało go dreszczem. Wprost nie do wiary wydawało mu się, że jego przodkowie mogli poruszać się tylko po ziemi. Dziś Elbonajczycy są eterycznymi istotami, które zachowały minimum cielesnej powłoki i żyją na wysokości dziesięciu tysięcy stóp, przyswajając sobie energię promieni kosmicznych i postrzegając bez pośrednictwa zmysłów; na powierzchnię planety opuszczają się tylko z pobudek uczuciowych lub sakralnych. Tak, daleką drogę przebyli od wieku kolonizacji. Historia nowoczesna rozpoczyna się od wieku kontroli podmolekularnej, po którym dopiero nastąpił obecny wiek kontroli bezpośredniej.

— Ślubujemy postępować uczciwie i po dżentelmeńsku — ciągnął zastępowy. — Zobowiązujemy się przyjmować pokarmy płynne i stałe, tak jak to czynili nasi przodkowie, i wciąż podnosić naszą sprawność w posługiwaniu się ich metodami i narzędziami...

Po części wstępnej, kiedy chłopcy rozeszli się w różne strony, zastępowy zbliżył się do Droga.

— To nasza ostatnia zbiórka przed zlotem — przypomniał.

— Wiem — odparł Drog.

— Wszyscy w Zastępie Rozjuszonych Miraków otrzymali już promocje albo przynajmniej tytuł młodszego kolonizatora. Ty jeden zostałeś nie promowany. Co sobie pomyślasz na zlocie o naszym zastępie?

Drog zakręcił się niepewnie.

— To niezupełnie moja wina powiedział. Wiem, zblądziłem się przy próbie pływania i robienia bomb. To rzeczywiście nie moja specjalność. Ale nie można przecież wymagać, żebym umiał wszystko. Nawet wśród kolonizatorów byli przecież specjaliści. I nikt nie wymagał, żeby każdy...

— No, dobrze — przerwał zastępowy. — Ale co ty właściwie umiesz?

— Umie tropić, polować — odrzekł skwapliwie Drog. — Wiem, jak się poruszać w terenie leśnym i górskim.

Zastępowy zmierzył go badawczo. Potem rzekł z namysłem:

— Słuchaj, Drog. Chcesz, żebym ci dał jeszcze jedną, ostatnią szansę uzyskania promocji, i to nawet z wyróżnieniem?

— Jestem gotów na wszystko — wykrzyknął Drog.

— No, dobrze — rzekł zastępowy. — Jak się nazywa nasz zastęp?

— Zastęp Rozjuszonych Miraków.

— A co to jest mirak?

— Zwierzę, duże drapieżne zwierze — odparł Drog bez namysłu. — Kiedyś miraki zamieszkiwały znaczną część Elbonai i nasi przodkowie musieli staczać z nimi krwawe walki. W końcu je wytępilli.

— Niezupełnie — rzekł zastępowy. — Jeden z harcerzy badał wczoraj lasy, pięćset mil stąd w kierunku północnym, współrzędne 233 południowa i 482 zachodnia, i natknął się na stadko trzech miraków. Wszystkie trzy samce, więc nie podlegają ochronie. Chcę, Drog, żebyś je wytropił i podszedł. Będziesz miał okazję wykazać swoje umiejętności myśliwskie. Masz wrócić ze skórą miraka. Tylko pamiętaj, wolno ci stosować wyłącznie broń i sposoby z epoki kolonizacji. Dasz radę?

— Pewnie, że dam!

— To się zbieraj — powiedział zastępowy. — Zatkniemy skórę na drzewce zamiast proporczyka. Na pewno nie minie nas wyróżnienie na zlocie.

— Rozkaz!

Drog pośpiesznie zebrał swój ekwipunek, napełnił manierkę wodą, zapakował rację stałego pokarmu — i ruszył w drogę.

Po paru minutach znalazł się ponad okolicą, gdzie powinny się przecinać współrzędne 233 południowa i 482 zachodnia. Była to dzika i romantyczna kraina skalnych grzebieni i karłowatych krzewów, gęstych zarośli w dolinach i wiecznego śniegu na szczytach.

Drog rozejrzał się niepewnie dookoła. To, co powiedział zastępowemu, nie było zupełnie zgodne z prawdą. Jeśli chodzi o ścisłość, wcale nie był tak bardzo obeznany ze sztuką myśliwską i wcale nie tak swobodnie czuł się w górskim i leśnym terenie. Właściwie jedyne, co lubił i potrafił, to godzinami oddawać się marzeniom, bujając na wysokości pięciu tysięcy stóp. A teraz miał zdobyć skórę miraka. Co będzie, jeśli w ogóle go nie odnajdzie? Albo jeśli to mirak odkryje go pierwszy?

Nie, to niemożliwe — pocieszył się. Przecież w razie czego zawsze może się zdematerializować. I tak nikt nie będzie wiedział.

W tej samej chwili poczuł woń miraka. I zaraz potem dostrzegł, że coś poruszyło się nieznacznie o jakie dwadzieścia jardów przed nim, w pobliżu dziwnej formacji skalnej, przypominającej fantazyjną literę T.

Czyżby naprawdę miało się to okazać aż tak łatwe? No, ładnie! Przybrał odpowiedni kamuflaż i ruszył ostrożnie przed siebie.

Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma, a słońce prażyło dotkliwie. Paxton był cały mokry od potu — niewiele pomagał nawet skafander z urządzeniami klimatyzacyjnymi. Miał już tej całej wyprawy powyżej czubka głowy.

— Kiedy ostatecznie wracamy? — zapytał.

Herrera poklepał go dobrodusznie po ramieniu.

— Wcale ci nie zależy, żeby zostać bogatym człowiekiem?

— Już jesteśmy bogaci — odparł Paxton.

— Ale niewystarczająco bogaci jak na mój gust — oświadczył Herrera i jego pociągłą, smagłą twarz wykrzywił radosny grymas.

Dysząc pod ciężarem aparatury badawczej, nadchodził Stellman. Ostrożnie postawił aparaty na ścieżce i usiadł.

— Może trochę odsapniemy, co? — zaproponował.

— Czemu nie? — rzekł Herrera. — Ja tam zawsze jestem gotów.

Usiadł pod skałą o kształcie fantazyjnej litery T.

Stellman zapalił fajkę, a Herrera odsunął zamek błyskawiczny i jął szukać cygara w kieszeni kombinezonu. Paxton przyglądał im się przez chwilę. W końcu zapytał:

— No, to kiedy wyruszamy z powrotem? Czy może zostaniemy już na zawsze na tej planecie?

Herrera tylko wyszczerzył zęby. Potarł zapałkę i zapalił cygaro.

— No, to jak będzie? — wrzasnął Paxton.

— Nie denerwuj się, jesteś przegłosowany — po wiedział Stellman. — Wszyscy trzej przystąpiliśmy do tej spółki na równych prawach.

— Tak, za moje pieniądze — odciął się Paxton.

— Jasne. Dlatego cię w ogóle wzięliśmy. Herrera ma praktyczne doświadczenie górnicze. Ja mam przygotowanie teoretyczne i dyplom pilota. Ty dałeś pieniądze.

— Ale przecież mamy już kupę wszystkiego w rakiecie — rzekł Paxton. — Ładownie są napełnione po brzegi. Śmiało moglibyśmy wrócić do jakiegoś cywilizowanego kraju i zabrać się do wydawania.

— Cóż, kiedy ani Herrera, ani ja nie mamy twojego arystokratycznego stosunku do dóbr doczesnych — powiedział Stellman z przesadnym spokojem. — Obu nas pożera dziecienna żądza, żeby zapełnić każdy najmniejszy kącik, każdy zakamarek rakiety skarbami. Zbiorniki po paliwie chcemy załadować grudkami złota, puszki po mące — szmaragdami, w kabinie chcemy brodzić po kostki w diamentach. A mamy po temu realne możliwości. Gdzie się obejrzeć, leżą drogocenne kamienie i same się proszą, żeby je podnieść. Będziemy bajecznie bogaci, Paxton, bogaci aż do obrzydliwości.

Ale Paxton nie słuchał. Nie spuszczał oka z drzewa rosnącego tuż przy śladach, które pozostawili za sobą. W końcu rzekł zniżonym głosem:

— To drzewo poruszyło się przed chwilą.

Herrera wybuchnął śmiechem.

— Duchy, co? — zadrwił.

— Nie wygłupiaj się — powiedział Stellman grobowym głosem. — Mój drogi — zwrócił się do Paxtona — sam wiesz, że nie jestem już człowiekiem pierwszej młodości, że cierpię na otyłość i że nie odznaczam się wcale zbytkiem odwagi. I czy ty uważasz, że chciałbym tutaj siedzieć za wszelką

cenę, gdybym przypuszczał, że może nam grozić choćby najmniejsze niebezpieczeństwo?

— O! Znowu się poruszyło!

— Przecież badaliśmy tę planetę przed trzema miesiącami — ciągnął Stellman. — I przekonaliśmy się, że nie ma na niej ani żadnych istot obdarzonych inteligencją, ani niebezpiecznych zwierząt, ani trujących roślin... Chyba pamiętasz? Nie znaleźliśmy nic prócz lasów, gór i złota, jezior i szmaragdów, rzek i diamentów. Gdyby czyhało tutaj na nas jakiekolwiek niebezpieczeństwo, czyż nie mielibyśmy z nim już dawno do czynienia?

— Mówię wam, widziałem, jak to drzewo się poruszyło — obstawał Paxton.

Herrera wstał.

— Które drzewo? To? — zapytał Paxtona.

— Tak. Przyjrzyjcie się, ono ma nawet inny wygląd. Jakaś odmienna konsystencja...

Jednym płynnym ruchem Herrera wydobył z kabury swój pistolet atomowy model II i wypalił trzy razy. W mgnieniu oka drzewo i otaczające je krzewy w promieniu dziesięciu jardów stanęły w płomieniach i zwęgliły się.

— No, już po nim — rzekł Herrera.

Paxton potarł szczękę.

— Słyszeliście, jak jęknęło, kiedy je trafiłeś?

— Jasne. Ale teraz już po nim — powtórzył Herrera uspokajająco. — Jak zobaczysz, że jeszcze coś się porusza, powiedz tylko, a już ja się rozprawię. No, a teraz możemy się rozejrzeć za jeszcze paroma gustownymi szmaragdzikami, co?

Paxton i Stellman wzięli manatki i ruszyli pod górę w ślad za Herrera. Stellman mruknął z rozbawieniem w głosie:

— Ten to się nie patyczkuje, co?

Drog odzyskiwał powoli przytomność. Ogniotwórcza broń miraka zaskoczyła go pod osłoną drzewnego kamuflażu, prawie zupełnie nieprzygotowanego. Ciągle jeszcze nie rozumiał, jak to się mogło stać. Napadu nie poprzedził przecież żaden znak ostrzegawczy. Nic a nic, ani żaden zapach, ani jakiś pomruk czy warkniecie. Mirak zaatakował go ze ślepą wściekłością, nawet nie zainteresowawszy się przedtem, czy ma do czynienia z istotą wrogą, czy przyjazną. Teraz dopiero Drog przekonywał się, jak dzika jest bestia, z którą się znalazł oko w oko.

Odczekał, aż tupot kopyt trzech miraków ucichł w oddali, po czym z wysiłkiem spróbował

wysunąć receptor wzrokowy. Ale nic nie nastąpiło. Na moment ogarnęła go panika. Jeżeli ma uszkodzony centralny system nerwowy, to już koniec.

Spróbował jeszcze raz. Tym razem zsunął się odłamek skalny, który go przygniatał, i Drog mógł się zreaktywizować. Czym prędzej dokonał wizji wewnętrznej i odetchnął. A mało brakowało. Instynktownie zdematerializował się w krytycznym momencie i to mu ocaliło życie.

Spróbował zastanowić się nad dalszym działaniem, ale wstrząs spowodowany nagłym i podstępny napadem wybił mu z głowy i tę odrobinę wiedzy myśliwskiej, jaką posiadał. Nie miał najmniejszej ochoty ponownie wchodzić w drogę krwiożerczym mirakom.

Może by więc wrócić bez tej całej głupiej skóry? Powie zastępowemu, że wszystkie trzy miraki okazały się samicami, a samice, jak wiadomo, podlegają ochronie. Słowo harcerza jest respektowane, więc nikomu nie przyjdzie na myśl kwestionować meldunku ani tym bardziej kontrolować jego prawdziwości. Ale nie, to nie wchodzi w rachubę. Jak mógł w ogóle dopuścić do siebie taką myśl?

— Tak — rzekł sobie posępnie — wobec tego pozostaje mi chyba tylko wystąpić z harcerstwa i raz na zawsze skończyć z tym całym wyglupem, z tymi wszystkimi ogniskami, chórami, podchodami, koleżeństwem...

Nie, i to nie wchodzi w rachubę — zdecydował biorąc się mocno w garść. Rozumuje zupełnie tak, jak gdyby miraki były równymi mu przeciwnikami, zdolnymi przedsięwziąć przeciw niemu jakąś planową akcję. A przecież miraki nie są nawet stworzeniami obdarzonymi inteligencją. Żadna istota nie posiadająca czułków nie wykazuje prawdziwej inteligencji. Wyraźnie precyzuje to prawo Etliba, którego nikt nigdy nie próbował nawet podawać w wątpliwość. A inteligencja zawsze bierze górę, gdy ma przeciwko sobie prymitywny instynkt. Musi być górą. Wystarczy się, więc zastanowić, jaką zastosować taktykę.

Kierując się powonieniem, Drog ruszył w ślad za mirakami. Jaką bronią z epoki kolonizacji najlepiej będzie się posłużyć? Może niewielką bombką atomową? Nie, więcej niż prawdopodobne, że uszkodziłaby ona skórę zwierzęcia.

Zatrzymał się nagle i wybuchnął śmiechem. Sprawa jest naprawdę dziecinnie prosta, wystarczyło trochę pomyśleć. Po co ma w ogóle wchodzić w niebezpieczny kontakt z mirakami? Czyż nie lepiej uciec się do pomocy mózgu? Od czego znajomość psychologii zwierzęcej i sztuka stosowania przynęt i pułapek? Oczywiście, zamiast tropić miraka, odszuka ich legowisko. I tam zastawi sidła.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy dotarli do jaskini, w której mieli czasowy obóz. Turnie i występy skalne rzucały ostre i wyraźne cienie. Rakieta pozostała o pięć mil niżej, na samym dnie doliny — jej metaliczna powłoka połyskiwała srebrzyście i czerwono. W chlebaku mieli koło tuzina szmaragdów, nie zbyt wielkich, ale pięknej wody.

O tej przedwieczornej porze Paxtonowi marzyło się małe miasteczko w stanie Ohio, dobrze znana

łodziarnia i dziewczyna o jasnych włosach. Herrera, z uśmiechem na wargach, delektował się myślą, w jaki sposób przepuści milion dolarów, nim w końcu zabierze się poważnie do farmerki. Stellman zaś formułował już w głowie pierwsze zdania swej tezy doktorskiej poświęconej pozaziemskim złożom minerałów.

Wszyscy trzej byli w dobrym i swobodnym nastroju. Paxton powrócił już zupełnie do równowagi po swym niedawnym załamaniu. Teraz niemal pragnął, ażeby pojawił się jakiś potwór, o ile możliwości zielony, w pogoni za ładną i nie za bardzo ubraną kobieta.

— No, to jesteśmy — powiedział Stellman kierując się w stronę jaskini. — Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zrobię wam dzisiaj zraziki wołowe. — Właśnie wypadał jego dyżur.

— Tylko musi być dużo cebulki — rzekł Paxton zbliżając się do jaskini. Odskoczył gwałtownie. — A to co znowu?

Przed samym wejściem widniał niewielki befsztyk, nad którym jeszcze unosiła się para, cztery duże diamenty oraz butelka whisky.

— To naprawdę dziwne — powiedział Stellman. — I trochę niepokojące.

Paxton pochylił się, żeby obejrzyć diamenty, ale Herrera pociągnął go z powrotem. — Uważaj, to może być pułapka!

— Nie widać żadnych przewodów powiedział Paxton.

Herrera nie spuszczał oka z befsztyka, diamentów i butelki. Minę miał bardzo nieszczęśliwą. Nie podoba mi się to — oświadczył.

— Może na tej planecie mieszkają jednak jakieś dzikusy — rzekł Stellman. — Widocznie muszą być bardzo lękliwi i w ten sposób chcą nam dać do zrozumienia, że nie mają wrogich zamiarów.

— A to wymyśliłeś — powiedział Herrera. — Posłał nawet specjalnie na ziemię po butelkę starej gwiazdówki.

— To co robimy? — zapytał Paxton.

— Odsuńcie się — rzekł Herrera. — Stójcie z daleka.

Odlamał z pobliskiego drzewa długą gałąź i jął ostrożnie poszturchiwać diamenty.

— Widzisz, nic — powiedział Paxton.

Długa trawa, na której stał Herrera, owinęła się ciasno dokoła jego kostek. Jednocześnie ziemia pod jego stopami wybrzuszyła się i po chwili powstała regularna tarcza o średnicy piętnastu stóp, która wyrywając korzenie powoli jąła unosić się w powietrze. Herrera szamotał się chcąc zeskoczyć, ale trawa trzymała go z siłą tysiąca zielonych macek.

— Trzymaj się! — wrzasnął idiotycznie Paxton i jednym skokiem chwycił krawędź unoszącego się do góry ziemnego talerza.

Tarcza przechyliła się stromo, ważyła przez chwilę w miejscu, po czym jęła wznosić się wyżej. Herrera wyciągnął nóż i próbował przeciąć trawę krępującą mu kostki. Jednocześnie i Stellman odzyskał przytomność umysłu. Widząc, że Paxton balansuje już powyżej jego głowy, złapał go za stopy, w ten sposób po raz wtóry powstrzymując unoszenie się tarczy.

Tymczasem Herrera zdołał oswobodzić jedną nogę i rzucił się całym ciężarem ciała przed siebie. Przez chwilę wisiał na drugiej nodze, potem krępująca go trawa puściła i poleciał na głowę. W ostatniej chwili zdążył ją podkurczyć i opadł na kark i ramiona. Również Paxton puścił teraz tarczę i wylądował na brzuchu Stellmana.

A tarcza, obciążona już tylko befsztykiem, butelką i diamentami, unosiła się coraz wyżej, aż zniknęła z oczu.

Przez ten czas słońce zapadło za szczyty. Bez jednego słowa trzech mężczyźni schronili się do jaskini, z pistoletami atomowymi w dłoni. Rozpalili buzujące ognisko u wejścia i wycofali się w głąb pieczary.

— Musimy na zmianę wartować przez całą noc — powiedział Herrera.

Paxton i Stellman kiwnęli głowami. Herrera ciągnął: — Miałeś rację, Paxton. Już dość długo tu siedzimy.

— Aż za długo — rzekł Paxton.

Herrera wzruszył ramionami.

— Jak tylko się rozwidni, wracamy do rakiety i odlatujemy.

— O ile — powiedział Stellman — uda nam się do niej dotrzeć.

Drog był zupełnie zniechęcony. Z rozpaczą w sercu śledził przedwczesne działanie pułapki, szamotanie się miraków, wreszcie ucieczkę złapanego zwierzęcia. A był to wspaniały okaz. Największy ze wszystkich trzech.

Teraz, poniewczasie, wiedział, jaki popełnił błąd. W swej nadgorliwości przesadził z tymi przynętami. Wystarczyłyby same minerały — wiadomo, miraki są z natury zwierzętami mineralotropicznymi. Ale nie, on musiał ulepszyć metody pierwszych kolonizatorów, musiał na dodatek zastosować jeszcze bodźce pokarmowe. Nic dziwnego, że obudził podejrzliwość miraków, tak silnie oddziałowując na ich zmysły.

Są teraz rozdrażnione, ostrożne i wyraźnie niebezpieczne. A mirak doprowadzony do wściekłości to najgroźniejszy stwór w całej Galaktyce.

Na zachodzie pojawiły się dwa bliźniacze księżycy planety Elbonai i Drog tym dotkliwiej odczuł brzemień samotności. Widział ognisko buzujące u wejścia do jaskini. Dzięki zdolności postrzegania pozazmysłowego. Mógł także dostrzec miraki przycupnięte w głębi pieczary, czujne, z bronią gotową do strzału.

Czy naprawdę skóra miraka warta jest tego całego zachodu? W każdym razie Drog stanowczo wolałby bujać na wysokości pięciu tysięcy stóp, oddając się marzeniom albo rzeźbiąc w chmurach. Wolałby również wchłaniać promienie kosmiczne, zamiast przyjmować ten obmierzły przedpotopowy stały pokarm. I w ogóle co za sens ma to całe tropienie i polowanie? Bezwartościowe sprawności, od dawna już na nic nikomu niezdatne.

Na chwilę niemal że w to uwierzył. Ale zaraz, w nagłym przebłysku zrozumienia, pojął, jaki to wszystko ma cel.

Tak, Elbonajczycy górują nad wszystkimi swoimi konkurentami, pod względem rozwoju nie mają rasy sobie równej. Ale wszechświat jest wielki i może kryć w sobie wiele niespodzianek. Któż jest w stanie przewidzieć, co przyniesie przyszłość i jakie nowe niebezpieczeństwa zgotuje Elbonajczykom. A jakże stawiają oni tym niebezpieczeństwom czoło, jeśli do reszty postradają swój instynkt myśliwski?

Tak, cnoty przodków trzeba pielęgnować, ażeby służyły za wzór; ażeby stanowiły memento, że pokojowa egzystencja istot inteligentnych we wrogim wszechświecie może być każdej chwili zagrożona. I dlatego on, Drog, albo zdobędzie tę skórę, albo zginie.

Teraz powróciła Drogowi do głowy cała posiadana wiedza myśliwska. Najważniejszą rzeczą było wywabić miraki z jaskini. Szybko, sprawnie zaczął kręcić róg myśliwski.

— Słyszałeś? — spytał Paxton.

— Coś jakby słyszałem — odparł Stellman i wszyscy trzej jęli nasłuchiwać w napięciu.

Po chwili ten sam dźwięk rozległ się znowu. Teraz wyraźnie można było rozróżnić wołanie:

— Ratunku! Na pomoc!

— Kobieta! — Paxton skoczył na równe nogi.

— Głos rzeczywiście kobiecej — powiedział Stellman.

— Ratunku! Na pomoc! — zawodziła kobieta. — Jest tam kto? Ratunku! Szybko, bo nie wytrzymam!

Krew uderzyła Paxtonowi do głowy. W nagłym błysku jasnowidzenia ujrzał ją filigranową, subtelną, jak stoi koło rozbitej rakiety sportowej (cóż to musiała być za szaleńcza wyprawa!), a ze wszystkich stron otaczają ją zielone oślizgłe potwory. A potem zjawia się tamten, odrażający

brutalny samiec.

Wyciągnął zapasowy pistolet.

— Idę — oznajmił chłodno.

— Siedz, kretynie! — krzyknął na niego Herrera.

— Słyszałeś chyba, nie?

— Czy ty nie rozumiesz, że to nie może być kobieta? — powiedział Herrera. — Skądby się nagle wzięła kobieta na takiej zakazanej planecie?

— Chcę się właśnie przekonać, skąd — odrzekł Paxton wymachując dwoma pistoletami atomowymi. — Może rozbiła się gdzieś w pobliżu rakieta komunikacyjna. Albo jakaś lekkomyślna dziewczyna wybrała się sama na przejażdżkę i zabłądziła...

— Siedz, jak ci mówię! — wrzasnął Herrera.

— On ma rację — spróbował argumentować Stelman. — Nawet gdyby to była naprawdę kobieta, w co wątpię to i tak nie możemy jej w niczym pomóc.

— Na pomoc! Ratunku! Gwałcą mnie! — lamentowała kobieta.

— Odsuń się — rzekł Paxton i w jego głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta.

— Naprawdę masz zamiar iść? — zapytał Herrera z niedowierzaniem.

— Naprawdę. A ty masz mnie zamiar zatrzymać?

— A idź, jak chcesz. — Herrera uczynił gest w stronę wylotu pieczary.

— Nie możemy mu na to pozwolić — wykrztusił Stelman.

— Czemu nie? Jak mu się śpieszy na własny pogrzeb? — cedził Herrera.

— Niech was już głowa o mnie nie boli — rzekł Paxton. — Będę za piętnaście minut z powrotem. Razem z nią!

Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia. Herrera pochylił się i z całą precyzją rąbnął go bierwionem za ucho. Stelman pochwycił padającego.

Ułożyli go w głębi jaskini, a sami czuwali nadal. Gwałcona dziewczyna zawodziła i lamentowała przez pięć godzin bez przerwy. W końcu i Paxton musiał przyznać, że trwa to nieco przydługo, nawet jak na kiczowaty film.

Posępny, dżdżysty świt zastał Droga wciąż obozującego w odległości stu jardów od jaskini. Śledził, jak miraki wychodzą zwartą grupką ze swego ukrycia, z bronią w pogotowiu, z oczyma bacznie wypatrującymi jakiegokolwiek podejrzanego ruchu.

Dlaczego zawiódł róg myśliwski? „Vademecum harcerza” wyraźnie powiadało przecież, że dźwięk rogi jest niezawodnym środkiem przywabiającym samce miraka. Może to nie okres rui?

Miraki kierowały się wyraźnie w stronę jajowatego metalicznego ciała, w którym Drog rozpoznał prymitywny statek przestrzenny. Był on nader pierwotny, ale z chwilą gdy miraki schronią się w nim, będą bezpieczne.

Drog mógłby je po prostu strawestować i to by położyło koniec całej sprawie. Ale nie byłoby to zbyt humanitarne. Starożytnych Elbonajczyków cechowała nade wszystko dobroduszość i miłosierdzie i młodemu harcerzowi wypadało iść w ich ślady. Zresztą trawestacja nie jest na dobrą sprawę metodą z epoki kolonizacji.

Pozostaje więc ilitrocja. Stanowi ona najstarszy ze sposobów, jakie podaje podręcznik, i wymaga, ażeby podejść tuż do zwierzęcia. Ale trudno, Drog nie ma nic do stracenia. Zresztą, na szczęście, warunki klimatyczne są wprost wymarzone.

Zaczęło się od rzadkiego oparu, który utworzył się tuż nad ziemią. Ale w miarę jak wodniste słońce wspinało się coraz wyżej po szarym niebie, jęła się formować mgła, która coraz bardziej gęstniała. Herrera zaklął wściekle.

— Trzymajcie się blisko siebie. Licho nie śpi!

Niedługo zmuszeni byli iść trzymając jeden drugiego za ramiona z pistoletami gotowymi do strzału, na próżno starając się przebić wzrokiem nieprzeniknioną mgłę.

— Herrera?

— No?

— Pewien jesteś, że dobrze idziemy?

— Jasne. Sprawdziłem kierunek na kompasie, jak tylko mgła zaczęła opadać.

— A co jak kompas jest zepsuty?

— Nie gadaj głupstw.

Stąpali ostrożnie, omijając leżące gęsto głazy.

— To nie rakieta? — zapytał Paxton.

— Nie, jeszcze za wcześnie — rzekł Herrera.

Stellman potknął się o jakiś kamień i upuścił pistolet. Podniósł go i jął macać przed sobą, ażeby odszukać ramie Herrery. Natrafił na nie i ruszył dalej.

— To już gdzieś tutaj — powiedział Herrera.

— No, nareszcie — rzekł Paxton. — Mam zupełnie dość tego.

— Pewnie czeka na ciebie koło rakiety ta twoja ślicznotka, co?

— Zamknij się, dobrze?

— Dobrze — ustąpił Herrera. — Słuchaj, Stellman. Lepiej weź mnie z powrotem za ramię. Jeszcze tylko tego brakuje, żebyśmy się pogubili.

— Przecież cię trzymam — odpowiedział Stellman.

— Jak to trzymasz?

— Mówię ci, że trzymam!

— Słuchaj, ja chyba jeszcze wiem, czy mnie kto trzyma za ramię, czy nie.

— To może ja ciebie trzymam, Paxton?

— Nie — odrzekł Paxton.

— To niedobrze — powiedział Stellman powoli. — To bardzo niedobrze.

— Dlaczego?

— Bo ja jednak trzymam kogoś za ramię.

— Schyl się! — wrzasnął Herrera. — Szybko, schyl się, żebyś mógł strzelać!

Ale już było za późno. W powietrzu rozszedł się jakiś słodkawokwaśny zapach. Stellman i Paxton wciągnęli go w płuca i zwalili się z nóg. Herrera na oślep rzucił się przed siebie, starając się powstrzymać oddech. Potknął się o jakiś kamień, upadł, chciał się podnieść... Ale świat pociemniał mu w oczach...

Teraz mgła rozstąpiła się nagle. Ukazała się samotna i postać Droga, z uśmiechem tryumfu na wargach. Wyciągnąwszy z pochwy nóż o długim ostrzu, Drog pochylił się nad najbliższym mirakiem.

Rakieta wystrzeliła w kierunku Ziemi z impetem, który groził natychmiastowym przepaleniem wszystkich urządzeń przyspieszających. Herrera, pochylony nad sterami, odzyskał po chwili

panowanie nad sobą i zmniejszył szybkość. Jego smagła twarz wciąż jeszcze była popielata, a dłonie drżały na sterach.

Z kabiny wyszedł Stellman i osunął się bezwładnie — na fotel drugiego pilota.

— Co z Paxtonem? — spytał Herrera.

— Uśpiłem go droną — powiedział Stellman. — Nic mu nie będzie.

— Mimo wszystko równy facet — rzekł Herrera.

— Myślę, że to tylko szok — uzupełnił Stellman. — Jak się obudzi, dam mu do liczenia diamenty. To go od razu powinno uzdrowić.

Herrera wyszczerzył zęby. Jego policzki zaczynały odzyskiwać normalną barwę.

— Teraz, jak to wszystko się dobrze skończyło, sam bym się chętnie zajął na jakiś czas liczeniem diamentów — powiedział. Jego pociągła twarz nagle przybrała poważny wyraz. — Powiedz sam, kto mógł się czegoś takiego spodziewać? Ja tam w dalszym ciągu nic nie kapuję!

Planetarny Zlot Harcerski był wspaniałą imprezą. Zastęp Szybujących Sokołów odegrał krótką pantomimę pokazującą, w jaki sposób w epoce kolonizacji karczowano powierzchnię planety. Mężne Bizony wystąpiły w pełnym rynsztunku kolonizatorów.

A na czele Zastępu Rozjuszonych Miraków kroczył Drog z naszywkami promowanego harcerza i połyskliwym krzyżem zasługi na piersi. Niósł proporzyczek zastępu — jeszcze jedno wyróżnienie — i na jego widok wybuchały owacje.

Bowiem na drzewcu powiewała dumnie charakterystyczna gruba skóra dorodnego miraka, błyskając wesoło w słońcu swoimi zasuwaczami, guzikami, rurkami, zegarami i kaburami.

Tłumaczył Krzysztof Zarzecki

The Prize of Peril

Cena ryzyka

Reader wysunął ostrożnie głowę ponad parapet okna. Ujrzał schody awaryjnego wyjścia pożarowego, a poniżej wąski zaułek. Stał tam zdewastowany wózek dziecienny i trzy pojemniki na śmieci. Gdy tak patrzył, zza ostatniego pojemnika uniosło się ramię w czarnym rękawie. W dłoni połyskiwał jakiś przedmiot. Reader momentalnie schylił głowę. Pocisk roztrzaskał szybę tuż nad nim i wbił się w sufit, obsypując go odpryskami tynku.

Już wiedział. Zaułek był pilnowany tak samo jak i drzwi.

Leżał, rozciągnięty jak długi na popękany linoleum, gapiąc się na otwór pocisku widniejący w suficie i nasłuchując odgłosów dochodzących zza drzwi. Był wysokim mężczyzną o przekrwionych oczach i dwudniowym zarostem. Brud i zmęczenie porwały mu twarz bruzdami. Strach wycisnął na miejscowe piętno, tu napinając mięsień, tam szarpiąc ją nerwowym skurczem. Efekt był wstrząsający. Twarz Readera, zniekształcona oczekiwaniem na śmierć, nabrała teraz wyrazu.

Zaułka pilnował jeden rewolwerowiec, dwóch czekało na schodach. Był w pułapce. Był martwy.

Pewnie, myślał Reader, porusza się jeszcze i oddycha; ale to tylko dzięki nieudolności śmierci. Śmierć zajmie się nim za kilka minut. Śmierć wybije dziury w jego twarzy i ciele, artystycznie ochlapie krwią jego ubranie, ułoży jego członki w jakąś groteskową figurę z cmentarnego baletu.

Reader wgrzył gwałtownie wargę. Chciał żyć. Musi być jakiś sposób. Przekręcił się na brzuch i rozejrzał się po obskurnym mieszkaniu, do którego zapędzili go mordercy. Przypominało świetną, małą, jednomiejscową trumnę. Miało drzwi, które były pilnowane i wyjście pożarowe, którego strzeżono. Miało też małą łazienkę bez okna.

Przeczołgał się do łazienki i wstał. Na suficie ział postrzępiony otwór, szeroki na prawie cztery cale. Gdyby tak udało się go powiększyć, przecisnąć przezeń do mieszkania znajdującego się powyżej...

Do jego uszu doszedł głuchy łomot. Mordercy byli niecierpliwi. Zaczynali wywierać drzwi.

Zbadał otwór w suficie. Nie ma co marzyć. Nigdy nie zdoła go powiększyć.

Rąbali w drzwi, stękając przy każdym ciosie. Za chwilę wyszarpią zamek, albo wyrwą zawiasy z nadgniętego drewna framugi. Drzwi upadną na podłogę i, otrzepując z pyłu marynarki, wtargną tu dwaj zamaskowani mężczyźni.

Ale ktoś mu na pewno pomoże! Wyciągnął z kieszeni małą odbiornik telewizyjny. Obraz był zamazany i nie mógł sobie poradzić z uregulowaniem go. Dźwięk był wyraźny i czysty.

Słuchał starannie wymodulowanego głosu Mika Terry'ego, który zwracał się do oglądającej go,

ogromnej rzeszy widzów zgromadzonej przed odbiornikami.

— Straszne położenie — mówił Mike Terry. — Tak, proszę państwa, Jim Reader znajduje się w prawdziwie okropnej sytuacji. Jak państwo zapewne pamiętają, ukrywał się pod przybranym nazwiskiem w trzypiętrowym hotelu na Broadwayu. Wydawało się, że to całkiem bezpieczna kryjówka, ale tak się tylko, proszę państwa, wydawało. Rozpoznał go goniec hotelowy i doniósł o tym gangowi Thompsona.

Drzwi trzeszczały pod spadającymi na nie ciosami. Reader ścisnął kurczowo telewizorek i słuchał dalej.

— Jim Reader zdołał zbiec z hotelu! Mając swych prześladowców na karku, wpadł do kamienicy przy West End Avenue 156. Zamierzał przedostać dalej dachami i to mogło się udać, proszę państwa, to mogło się udać. Ale drzwi prowadzące na dach były zamknięte. Zdawało się, że to już koniec... Ale Jim Reader zorientował się, że lokal numer 7 jest nie zamieszkały i nie zamknięty na klucz. Wszedł tam...

Terry przerwał, aby podkreślić grozę sytuacji i zaraz krzyknął: — ...i jest teraz, proszę państwa, osaczony, osaczony jak szczur w potrzasku. Gang Thompsona wyważa drzwi! Wyjście pożarowe jest pilnowane. Nasi kamerzyści, ulokowani w pobliskim budynku, przekazują teraz państwu zbliżenie. Proszę spojrzeć, proszę państwa, proszę tylko spojrzeć! Czy nie ma już żadnej nadziei dla Jima Readera?

— Czy nie ma już żadnej nadziei — powtórzył cicho Reader. Stał zły w ciemnej, przytłaczająco ciasnej łazience, nasłuchując nieustającego walenia w drzwi.

— Poczekaj! — krzyknął Mike Terry. — Nie wyłączaj się, Jimie Reader, jeszcze się nie wyłączaj. Mam pilną rozmowę telefoniczną z jednym z naszych widzów, rozmowę z aparatu Linii Dobrego Samarytanina. To ktoś, kto uważa, że może ci pomóc. Może jest jeszcze jakaś nadzieja, Jim. Czy mnie słyszysz, Jimie Reader?!

Reader czekał, słysząc chrupnięcie wyrywanych z przegniłej framugi zawiasów.

— Proszę mówić, sir — powiedział Mike Terry. — Pana nazwisko,

— Eee... — Felix Bartholomew.

— Niech się pan nie denerwuje, Mr. Bortholomew. Proszę mówić.

— No więc tak... O.K. Mr. Reader rozległ się roztrzęsiony, starczy głos. Mieszkałem kiedyś przy West End Avenue 156. W takim samym mieszkaniu, w jakim jest pan teraz, Mr. Reader — no tak, w takim samym! Niech pan słucha, Mr. Reader, łazienka ma okno. Jest zamalowane, ale ma...

Reader wepchnął telewizorek do kieszeni. Znalazł zarysy okna i kopnął w nie z całej siły. Szkło rozprysło się w drobne kawałki i łazienkę zalało światło dzienne. Zgarnął odpryski szkła z parapetu i wychylił się szybko przez okno.

Od wylanej betonem nawierzchni podwórza dzieliła go spora odległość. Zawiasy puściły. Słyszał jak drzwi otwierają się. Nie namyślając się dłużej, przelazł przez okno, zwiśł na chwilę na koniuszkach palców i skoczył.

Wstrząs oszołomił go. Wstał na chwiejnych nogach. W oknie łazienki pojawiła się jakaś twarz.

— Masz pecha — powiedział mężczyzna, wychylając się i mierząc spokojnie z trzydziestki ósemki ze spiłowaną lufą.

W tym momencie eksplodowała w łazience świeca dymna.

Kula mordercy poszła bokiem. Odwrócił się klnąc. Na podwórzu wybuchały następne świece, przysyłając dymem sylwetkę Readera.

Słyszał wydobywający się ze schowanego w kieszeni telewizorka, oszalały z podniecenia głos Mika Terry'ego.

— Biegnij! — wrzeszczał Terry — biegnij po swoje życie, Jimie Reader. Uciekaj, dopóki oczy morderców wypełnione są dymem. Dziękujemy Dobrej Samarytance, Sarze Winters z Bockton w stanie Massachusetts, Edgar Street 3412, za ufundowanie pięciu świec dymnych i wynajęcie człowieka, który je podrzucił!

— Ocaliła pani dzisiaj ludzkie życie, Mrs. Winters — już spokojniejszym głosem ciągnął Terry. Czy powie pani naszym telewidzom w jaki sposób...

Reader nie mógł słuchać dalej. Biegł przez wypełnione dymem podwórze, minął sznury na bieliznę — wypadł na ulicę.

Szedł Sześćdziesiątą Trzecią Ulicą, garbiąc się, aby ująć sobie wzrostu. Słaniał się lekko z wyczerpania, osłabiony brakiem jedzenia i snu.

— Hej, ty!

Reader odwrócił się. Na schodkach siedziała kobieta w średnim wieku, przyglądając mu się krzywo.

— Ty jesteś Reader, tak? Ten, którego próbują zabić?

Reader chciał odejść.

— Wejdź do środka, Reader — powiedziała kobieta.

Być może była to pułapka, ale Reader wiedział, że musi polegać na wielkoduszności i życzliwości ludzi. Był ich reprezentantem, przedłużeniem ich samych, przeciętnym facetem w tarapatkach. Bez nich był zgubiony. Z nimi nic nie mogło mu się stać.

Wierz w ludzi, powiedział mu Mike Terry. Oni cię nigdy nie opuszczą. Wszedł za kobietą do

salonu. Kazała mu usiąść — i wyszła z pokoju, aby wrócić prawie natychmiast z talerzem gulaszu. Stała, obserwując go jak jadtł, tak jak patrzy się na małpę w ZOO, opychając się orzeszkami.

Z kuchni wyszło dwoje dzieci i gapiło się na niego. Przez drzwi od łazienki weszli do pokoju trzej mężczyźni w kombinezonach i skierowali na posilającego się Readera kamerę telewizyjną. W salonie stał wielki odbiornik telewizyjny. Reader, połykając swój posiłek, patrzył na produkującego się na ekranie Mika Terry'ego i słuchał silnego, szczerze zmartwionego głosu komentatora.

— Oto jest, proszę państwa — mówił Terry. — Obserwujemy teraz na naszych ekranach Jima Readera, spożywającego swój pierwszy od dwóch dni, skromny posiłek. Nasi kamerzyści porządnie się napracowali, aby przekazać państwu ten obraz! Dziękuję, chłopcy... Proszę państwa, chwilowego schronienia udzieliła Jimowi Readerowi Mrs. Velma O'Dell z Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy 343. Dziękujemy, Dobra Samarytanko O'Dell! To naprawdę cudowne, jak ludzie ze wszystkich ścieżek życia otwierają swe serca przed Jimem Readerem!

— Pośpiesz się lepiej — powiedziała Mrs. O'Dell.

— Dobrze, proszę pani — wymamrotał Reader.

— Nie chcę strzelaniny w moim mieszkaniu.

— Już kończę, proszę pani.

— Nie zabijają go? — spytało jedno z dzieci.

— Zamknij buzię — skarciła je Mrs. O'Dell.

— Tak, Jim — zawołał śpiewnie Mike Terry — pośpiesz się lepiej. Twój prześladowcy nie są daleko. Oni nie są głupcami, Jim. Zdeprawowani, wypaczeni, szaleni — tak! Ale nie głupi. Idą po śladzie twojej krwi — krwi z twojej skaleczonej dłoni, Jim!

Dopiero teraz Reader zdał sobie sprawę, że rozciął dłoń na parapecie okiennym.

— Daj, zabandażuję to — powiedziała Mrs. O'Dell.

Reader wstał i pozwolił opatrzeć sobie dłoń. Patem Mrs. O'Dell dała mu brązową marynarkę i szary kapelusz z jedną połową runda wygiętą do dołu.

— To rzeczy mojego męża — powiedziała.

— Ma przebranie! — zawył z zachwytu Mike Terry: — To coś nowego, proszę państwa! Przebranie! Na siedem godzin przed ocaleniem!

— Teraz wyjdź stąd — powiedziała Mrs. O'Dell.

— Idę, proszę pani — zdecydował się Reader. — Dzięki.

— Myślę, że jesteś głupcem — dodała. — Myślę, że jesteś głupcem mieszając się w to.

— Tak, proszę pani. — Nie warto.

Reader podziękował i wyszedł. Dotarł pieszo do Broadwayu, wsiadł do pociągu metra w kierunku Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, a potem kolejką miejską dojechał do Osiemdziesiątej Szóstej. Tam kupił gazetę i przesiadł się do pierwszego składu metra zmierzającego w kierunku Manhasset.

Metro przemknęło z łoskotem pod Manhattanem. Reader drzemał. Skrył pod gazetą obandażowaną dłoń i nasunął głęboko na oczy kapelusz. Czy już go rozpoznano? Czy zgubił gang Thompsona? A może ktoś teraz do nich telefonuje?

Zastanawiał się sennie, czy naprawdę uszedł z życiem. A może był martwym, zręcznie animowanym trupem, poruszającym się tylko dzięki nieudolności śmierci? (Moja droga, śmierć jest teraz taka opieszła! Jim Reader, zanim można go było pochować jak należy, spacerował po swej śmierci kilka godzin i odpowiadał na pytania ludzi!)

Reader pod wpływem nagłego impulsu otworzył szeroko oczy. Śniło mu się coś... coś nieprzyjemnego. Nie mógł sobie przypomnieć co.

Zamknął ponownie oczy i przypomniał sobie, z pewnym zdziwieniem, czasy, kiedy żył sobie beztrudnie i nic mu nie groziło.

To było przed dwoma laty. Był wtedy wielkim, sympatycznym młodzieńcem i pracował jako pomocnik kierowcy ciężarówki. Był zbyt skromny, aby marzyć.

Marzył za niego niski kierowca ciężarówki o ściągniętej twarzy.

— Dlaczego nie spróbujesz w widowisku telewizyjnym, Jim? Ja bym spróbował, gdybym miał twoje warunki. Lubią tam takich przeciętnych, mało bystrych facetów. Jako uczestników. Każdy lubi takich facetów. Czemu by nie spróbować?

No i spróbował. Właściciel miejscowego sklepu radiowo–telewizyjnego udzielił mu bliższych wyjaśnień.

— Widzisz, Jim. Publiczność ma już powyżej uszu dobrze wytrenowanych siłaczy z ich zmanierowanymi odruchami i profesjonalną odwagą. Kto może się wczuć w takich facetów? Kto może się z nimi identyfikować? Ludzie chcą oglądać emocjonujące rzeczy, to prawda, ale nie, kiedy jakiś cwaniak robi sobie z tego rzemiosło i zbija pięćdziesiąt tysięcy rocznie. To dlatego tracą popularność wyreżyserowane widowiska. To dlatego właśnie prosperują widowiska grozy.

— Rozumiem — powiedział Reader. — Sześć lat temu, Jim, Kongres uchwalił Ustawę o Świadomym Samobójstwie. Paru starych senatorów gadało dużo o nieprzymuszonej woli i samookreśleniu jednostki, ale to wszystko gówno. Czy wiesz, co oznacza Ustawa o Świadomym Samobójstwie? Oznacza ona, że nie tylko zawodowcy, ale i amatorzy mogą ryzykować swoje życie za dużą forszę: Dawniej, jeśli chciałeś, żeby ci legalnie obtłukli mózg za pieniądze, musiałeś zostać zawodowym bokserem, futbolistą, albo graczem w hokeja. A teraz taka szansa stoi otworem dla

zwykłych ludzi, takich jak ty, Jim.

— Rozumiem — powiedział znowu Reader.

— To cudowna okazja. Skorzystaj z niej. Nie wyróżniasz się niczym, Jim. Wszystko, co potrafisz ty, potrafi każdy. Jesteś przeciętniak. Myślę, że widowiska grozy będą o ciebie zabiegać.

Reader pozwolił sobie na marzenia. Widowiska telewizyjne wydawały się prostą drogą do fortuny dla skromnego, młodego faceta bez żadnych szczególnych uzdolnień i wykształcenia. Napisał list do programu o nazwie „Hazard” i dołączył swoją fotografię.

„Hazard” zainteresował się nim. Sieć JBC zbadała jego dane i uznała, że był na tyle przeciętny, aby usatysfakcjonować najszerze kręgi widzów. Sprawdzone jego pochodzenie i przynależność organizacyjną. W końcu wezwano go do Nowego Jorku. Tam przeprowadził z nim rozmowę Mr. Moulian.

Moulian był ponury i uczuciowy. Mówiąc, żuł gumę.

— Wystąpisz — powiedział oschle ale nie w „Hazardzie”. Wystąpisz w „Eliminacjach”. To półgodzinny program dzienny na trzecim kanale.

— O rany! — ucieszył się Reader.

— Nie dziękuj mi. Jeśli wygrasz albo zajmiesz drugie miejsce, otrzymasz tysiąc dolarów, a jeśli przegrasz, dostaniesz nagrodę pocieszenia w wysokości stu dolarów. Ale nie to jest ważne.

— Nie, proszę pana.

— „Eliminacje” to skromny program. Jest on poligonem doświadczalnym dla sieci JBC. Zdobywcy pierwszego i drugiego miejsca przechodzą do „Stanu zagrożenia”. W „Stanie zagrożenia” nagrody są o wiele wyższe.

— Wiem, że są wyższe, proszę pana.

— I jeśli spieszysz się dobrze w „Stanie zagrożenia”, otworzy się przed tobą droga do widowisk grozy pierwszej klasy, takich jak „Hazard” i „Podwodne Niebezpieczeństwa”, transmitowanych na cały kraj i oferujących olbrzymie wygrane. I wtedy zaczyna się naprawdę wielka gra. Jak daleko dojdiesz, zależy od ciebie.

— Zrobię co będę mógł, proszę pana — zapewnił Reader.

Moulian przestał na chwilę żuć gumę i niemal z szacunkiem powiedział:

— Możesz tego dokonać, Jim. Pamiętaj tylko. Ty jesteś ludzie, a ludzie mogą wszystko.

Sposób, w który wypowiedział te słowa sprawił, że Readerowi zrobiło się przez chwilka żal Mr. Mouliana, który był ponury, miał kędzierzawe włosy, wylupiaste oczy i na pewno był „ludzie”.

Podali sobie ręce. Potem Reader podpisał dokument zwalniający się JBC od wszelkiej odpowiedzialności za utratę przez niego życia, członków, czy rozumu w trakcie konkursu. Podpisał również inny dokument, wyszczególniający prawa przysługujące mu na mocy Ustawy o Świadomym Samobójstwie. Wymagało tego prawo i była to czysta formalność.

Po trzech tygodniach wystąpił w „Eliminacjach”.

Program nawiązywał do klasycznej formy wyścigu samochodowego. Niewyszkoleni kierowcy wgramolili się do potężnych, amerykańskich i europejskich maszyn wyścigowych i ścigali się na morderczej, dwudziestomilowej trasie. Reader, trzęsąc się ze strachu, wrzucił zły bieg w swoim Maserati i wystartował.

Wyścig był przeraźliwym koszmarem spalonych opon. Reader trzymał się z tyłu stawki, pozwalając pierwszym liderom roztrzaskiwać się na okolonych bandami zakrętach wijącej się serpentyną drogi. Wysunął się na trzecie miejsce, gdy jadący przed nim Jaguar skręcił nagle w bok, wpadając na Alfa Romeo i obydwie maszyny z łoskotem wylądowały w zaoranym polu. Na drugie miejsce wysforował się Reader na ostatnich trzech milach, ale nie mógł znaleźć miejsca na wyprzedzenie prowadzącego wozu. Na zakręcie w kształcie litery S omal nie wyleciał z trasy, ale szybko wprowadził samochód na drogę i ciągle jeszcze był trzeci. Potem kierowca prowadzącego wozu złamał na ostatnich pięćdziesięciu jardach wał korbowy i Jim ukończył wyścig na drugiej pozycji.

Był teraz o tysiąc dolarów do przodu. Dostał cztery listy od kibiców, a pewna pani z Oshkosh przysłała mu parę ciepłych skarpetek. Został zaproszony do wystąpienia w „Stanie Zagrożenia”.

W odróżnieniu od innych widowisk, „Stan Zagrożenia” nie był programem typu turniejowego. Wymagał on wykazania się inicjatywą. Przed występem zaaplikowano Readerowi dawkę nieuzależniającego narkotyku. Ocknął się w kabinie małego samolotu lecącego na autopilocie na wysokości dziesięciu tysięcy stóp. Wskazanie paliwomierza sygnalizowało niemal puste zbiorniki. Spadochronu nie miał. Należało sprowadzić samolot do lądowania.

Naturalnie, nigdy przedtem nie latał. Ostrożnie eksperymentował z urządzeniami wypełniającymi tablicę przyrządów samolotu pamiętając, że w zeszłym tygodniu bohater odzyskał świadomość na pokładzie łodzi podwodnej, otworzył nie ten zawór co trzeba i utonął.

Tysiące widzów z zapartym tchem obserwowało, jak ten przeciętny człowiek, człowiek taki sam jak oni, borykał się z zaistniałą sytuacją tak, jak robiliby to oni. Jim Reader był nimi. Wszystko, co potrafił on, potrafili oni. Był reprezentantem ludzi.

Readerowi udało się sprowadzić samolot na dół w sposób, który zachowywał pozory lądowania. Przekoziółkował kilka razy, ale pas bezpieczeństwa spełnił swoją rolę, a silnik, wbrew oczekiwaniom nie buchnął płomieniami. Wszedł wtedy z tego ogłuszony, z trzema złamanymi żebrami, trzema tysiącami dolarów i szansą, że po wyzdrowieniu wystąpi w „Torrero”.

Nareszcie widowisko pierwszej klasy!. „Torrero” płaciło dziesięć tysięcy dolarów. Trzeba było tylko zakłuć szpadą czarnego byka z Miura, tak jak robili to zawodowi matadorzy.

Walka odbywała się w Madrycie, gdyż walki byków były w Stanach Zjednoczonych ciągle jeszcze nielegalne. Transmitowała ją telewizja.

Reader miał dobrą kwadrylię. Polubili wielkiego, ślamazarnego Amerykanina. Pikadorzy naprawdę przykładali się do swych lancy, aby osłabić mu byka, banderillerzy próbowali zwalić bestię z nóg, zanim wbili w nią swe banderille, a drugi matador, ponury człowiek z Algiceras, fantazyjnymi ruchami mulety niemal skręcił bykowi kark.

Ale kiedy już wszystko zostało powiedziane i zrobione, na placu boju, ściskając niezgrabnie w lewym ręku muletę, a w prawym szpadę, oko w oko z czarnym, ociekającym krwią, szerokorogim bykiem stał Jim Reader.

— W płuca go, *hombre*, w płuca — darł się ktoś. — Nie zgrywaj bohatera, dźgnij go w płuca.

Ale Jim Reader trzymał się tego, co powiedział mu w Nowym Jorku doradca techniczny: „Nastaw szpadę i wbij ją nad rogami”.

I tak zrobił. Szpada ześlizgnęła się po kości i byk wziął go na rogi, po czym przerzucił sobie nad grzbietem. Podniósł się, cudem nie rozpruty, pochwycił drugą szpadę i zamykając oczy, ponownie wbił ją nad rogami. Bóg sprawujący pieczę nad dziećmi i głupcami musiał się temu przyglądać, gdyż szpada weszła jak nóż w masło. Byk wyglądał na zaskoczonego i gapił się na Jima z niedowierzaniem, a potem upadł jak przekłuty balon.

Wyplacili mu dziesięć tysięcy dolarów, a złamany obojczyk zrósł się niemal natychmiast. Dostał dwadzieścia trzy listy od kibiców, a wśród nich namiętne zaproszenie od dziewczyny z Atlantic City, które zignorował. Spytano go, czy nie zechciałby wystąpić w następnym widowisku.

Pozbył się już trochę swej naiwności. Był teraz w pełni świadomy, że dał się niemal zabić za marne grosze. Wielka forsa była nadal przed nim. Teraz chciał być niemal zabijany za coś wartego zachodu.

Wystąpił więc w „Podwodnych Niebezpieczeństwach”, widowisku finansowanym przez firmę Mydło Fairlady. W masce na twarzy, z respiratorem, pasem obciążającym, płetwami i nożem, skoczył wraz z czterema rywalami w ciepłe wody Morza Karaibskiego. Za nimi, w ochronnej klatce zanurzyła się obsługa kamery telewizyjnej. Zadanie polegało na znalezieniu i wyłowieniu skarbu, który firma finansująca program ukryła na dnie.

Nurkowanie w masce nie jest specjalnie niebezpieczne, ale fundator, celem uatrakcyjnienia widowiska, zadbał o trochę fanaberii. W rejonie, w którym odbywały się zawody, roiło się od gigantycznych mięczaków, jadowitych moren, rekinów kilku gatunków, ogromnych ośmiornic, trujących koralowców i innych niebezpieczeństw, czyhających na śmiałków w głębinach.

Była to pasjonująca walka. Skarb znalazł w głębokiej rozpadlinie człowiek z Florydy, ale jego znalazła morena. Skarb porwał drugi nurek, a jego porwał rekin. Przezrzysta, niebieskozielona woda zmętniała od krwi, co dobrze wychodziło w kolorze na ekranach telewizorów. Skarb opadł na dno, a zanurkował za nim Reader, w trakcie czego trzasnęły mu bębniaki w uszach. Wyszarpał skarb z

korallowca, odrzucił pas obciążający i popłynął w kierunku powierzchni. Na trzydzieści stóp od celu musiał stoczyć walkę o skarb z czwartym nurkiem.

Wodzili się tam i z powrotem z nożami w dłoniach, wreszcie mężczyzna zaatakował i ciął Readera przez pierś. Ale Reader, z zimną krwią rutynowanego zawodnika, puścił swój nóż i wyrwał napastnikowi z ust respirator.

To pomogło. Reader wynurzył się i pokazał wyłowiony skarb komisji konkursowej oczekującej w łodzi. Okazało się, że była to paczka mydła firmy Mydło Fairlady — „Największy Skarb”.

Występ przyniósł mu na czysto dwadzieścia dwa tysiące dolarów w gotówce i papierach wartościowych, oraz trzysta osiem listów od kibiców i interesującą propozycję od dziewczyny z Macon. Odbił bezpłatne leczenie rany od noża, pękniętych bębenków i zatrucia jadem korallowca.

Ale, co najważniejsze, zaproszony został do wzięcia udziału w największym widowisku grozy — w „Cenie Ryzyka”. I wtedy się zaczęło...

Skład zatrzymał się, wrywając Readera z zadumy. Zsunął kapelusz z czoła i w przejściu między siedzeniami dostrzegł mężczyznę, gapiącego się nań i szepczącego coś do tęgiej kobiety. Czyżby go rozpoznali?

Gdy tylko otworzyły się drzwi wstał i zerknął na zegarek. Miał jeszcze przed sobą pięć godzin.

Na stacji Manhasset wsiadł do taksówki i kazał się wieźć do New Salem.

— New Salem? — spytał kierowca przyglądając mu się w lusterku wstecznym.

— Tak.

Kierowca włączył radio.

— Kurs do New Salem. Tak, zgadza się. New Salem.

Ruszyli. Reader zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy nie był to czasem sygnał. Zgłaszanie dyspozytorom kursu należało, oczywiście, do obowiązków taksówkarzy, ale coś w głosie tego człowieka...

— Niech mnie pan tutaj wysadzi — zażądał Reader.

Zapłacił kierowcy i ruszył pieszo wąską, polną drogą, wijącą się między rzadko rosnącymi drzewami. Drzewa były zbyt niskie i zbyt oddalone jedno od drugiego, aby mogły stanowić osłonę. Reader szedł dalej, szukając miejsca, gdzie mógłby się ukryć.

Od strony autostrady zbliżała się wielka ciężarówka. Reader, nie zatrzymując się, nasunął kapelusz głębiej na oczy. Nagle, gdy ciężarówka była już blisko, usłyszał, dobywający się z utrzymanego w

kieszoni telewizorka, krzyk: — Uważaj!

Rzucił się do rowu. Ciężarówka, przechylając się na jedną stronę, przejechała obok, niemal ocierając się o niego. Zapiszczały hamulce. Kierowca krzyczał

— Tam ucieka! Strzelaj, Harry, strzelaj!

Pociski strzygły liście wokół wpadającego między drzewa Readera.

— I znów do tego doszło! — mówił Mike Terry cienkim z podniecenia głosem. — Obawiam się, że czujność Jima Readera uspioła została złudnym poczuciem bezpieczeństwa. Tak nie można, Jim! Nie możesz tak postępować, gdy zagrożone jest twoje życie! Nie teraz, gdy tropią cię bandyci! Bądź ostrożny, Jim. Masz jeszcze ciągle cztery i pół godziny przed sobą.

— Claude, Harry — mówił kierowca — zawróćcie ciężarówkę. Otaczamy go.

— Otaczają cię, Jim — wrzeszczał Mike Terry — ale jeszcze cię nie dostali! Możesz podziękować Dobrej Samarytance, Susy Peters z South Orange w stanie New Jersey, Elm Street 12, za ostrzegający krzyk, który wydała w momencie, gdy ciężarówka wpadała na ciebie. Za chwilę ujrzymy małą Susy przed naszymi kamerami... Proszę spojrzeć, proszę państwa, przybył na miejsce nasz helikopter studyjny. Teraz możecie państwo obserwować uciekającego Jima Readera i morderców ścigających go, okrążających go...

Reader przebiegł sto jardów między drzewami i wypadł na betonową autostradę. Po drugiej stronie rósł rzadki las. Za nim, między drzewami, kłusował jeden ze ścigających go bandytów. Ciężarówka wyjechała już z bocznej drogi i było teraz o milę od miejsca, w którym stał, pędząc w jego stronę.

Z przeciwnego kierunku nadjeżdżał samochód. Reader, wymachując jak oszalały rękoma, wbiegł na autostradę. Samochód zatrzymał się.

— Szybko! — krzyknęła młoda blondynka siedząca za kierownicą.

Reader wskoczył do wozu. Dziewczyna zawróciła. Przednią szybę roztrzaskał pocisk. Wcisnęła pedał gazu, omal nie rozjeżdżając samotnego bandyty wybiegającego przed maskę samochodu.

Wóz wyrwał do przodu, zanim ciężarówka zbliżyła się na odległość strzału.

Reader opadł na oparcie fotela i mocno zacisnął powieki. Kobieta skoncentrowała się na prowadzeniu, obserwując w lusterku wstecznym ciężarówkę.

— I znów się udało! — darł się w ekstazie Mike Terry. — Jim Reader znowu został wyrwany z objęć śmierci, dzięki Dobrej Samarytance, Janice Morrow z New York City, Lexington Avenue 433. Czy oglądali państwo kiedyś coś podobnego? Ta brawura, z jaką panna Morrow gnała poprzez grad pocisków i wyrwała Jima Readera z paszczy zguby! Przeprowadzimy później wywiad z Miss Morrow i dowiemy się, co wtedy przeżywała. Teraz, kiedy Jim Reader odjeżdża z szaloną prędkością — może tam, gdzie będzie bezpieczny, może tam, gdzie czyhają na niego nowe

niebezpieczeństwa — nadamy krótkie ogłoszenie naszego fundatora. Nie wyłączajcie odbiorników! Jim Reader ma jeszcze przed sobą cztery godziny i dziesięć minut, wszystko może się zdarzyć!

— W porządku — odezwała się dziewczyna. — Zeszliśmy z anteny. Co się z tobą do diabła dzieje, Reader?

— Co takiego? — spytał zdziwiony. Dziewczyna miała dwadzieścia kilka lat. Wyglądała atrakcyjnie i robiła wrażenie nieprzystępnej. Reader zauważył, że ma ładne rysy twarzy i doskonałą figurę. Zauważył też, że była zła.

— Panienko — powiedział — nie wiem jak panience dziękować...

— Nie wysilaj się — przerwała mu Janice Morrow. — Nie jestem Dobrą Samarytanką. Pracuję w sieci JBC.

— A więc uratował mnie program!

— Sprytnie to wykombinowałaś — powiedziała.

Ale dlaczego?

— Słuchaj, Reader, to kosztowny program. Musimy zrobić z niego dobre przedstawienie. Jeśli krąg oglądających nas widzów zacznie się zawężać, to pójdziemy z torbami. A ty nie przyczyniasz się do podniesienia jego atrakcyjności.

— Bo jesteś okropny — stwierdziła cierpko dziewczyna. — Jesteś fajtłapa, niedołęga. Czy ty próbujesz popełnić samobójstwo? Nie nauczyłeś się jeszcze jak przetrwać?

— Robię co mogę.

— Thompsonowie mogli cię już dopaść z tuzin razy. To my poinstruowaliśmy ich, żeby się nie spieszyli, żeby odwlekali chwilę ostatecznego rozstrzygnięcia. Ale to przypomina strzelanie do glinianego kogucika wysokiego na sześć stóp. Thompsonowie stosują się do naszego zalecenia, ale jak dotąd mogą tylko fuszerować. Gdybym nie nadjechała, zabiliby cię — obojętne, czy transmisja by trwała, czy nie.

Reader gapił się wytrzeszczonymi oczyma nie mogąc uwierzyć, że taka ładna dziewczyna może wysławiać się w taki sposób. Rzuciła mu krótkie spojrzenie i przeniosła wzrok z powrotem na drogę.

— Co tak na mnie patrzysz? — powiedziała. — Zgodziłeś się za pieniądze ryzykować swoim życiem, chłopczyku. I to za duże pieniądze! Wiedziałaś, czego się od ciebie wymaga. Nie zachowuj się jak nędzny urzędnik, który stwierdza, że gonią go wstrętne chuligani. To inny scenariusz.

— Wiem dowiedział Reader.

— Jeśli nie potrafisz porządnie żyć, postaraj się przynajmniej umrzeć porządnie...

— Pani nie chciała tego powiedzieć — wpadł jej w słowa Reader.

— Nie bądź taki pewien... Masz do końca widowiska trzy godziny i czterdzieści minut, Jeśli potrafisz utrzymać się przy życiu, świetnie. Forsa jest twoja. Ale jeśli ci się nie uda, spróbuj przynajmniej pokazać coś ludziom. Zapłacili za to.

Reader skinął głową i wpatrywał się w dziewczynę tak, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć.

— Za chwilę wchodzimy znowu na antenę. Udam, że zepsuł się silnik i wysiądziesz. Thompsonowie postawią teraz wszystko na jedną kartę. Zabiją cię, kiedy tylko i jeśli tylko będą mogli. Rozumiesz?

— Tak — powiedział Reader. — A jeśli mi się uda to spotkamy się kiedyś?

— Próbujesz mnie nabierać? — zacięła ze złością usta.

— Nie. Chciałbym się jeszcze z panią zobaczyć. Mogę?

Popatrzyła na niego dziwnie.

— Nie wiem. Nie myśl o tym. Program zaraz się zaczyna. Najlepiej chyba będzie, jak schronisz się w tym lesie po prawej. Gotowy?

— Tak. Jak mogę się z panią skontaktować? Znaczą się potem.

— Och, Reader, nie uważasz. Idź przez las, aż znajdziesz wyżłobiony przez wodę wąwóz. To niewiele, ale będziesz miał przynajmniej jakąś osłonę.

— Jak mogę się z panią skontaktować? — spytał ponownie Reader.

— Mój numer jest w książce telefonicznej Manhattanu. — Zatrzymała samochód. — O. K., Reader, uciekaj.

Otworzył drzwiczki.

— Zaczekaj. — Pochyliła się i pocałowała go w usta. — Powodzenia, ty idioto. Zadzwoń do mnie, jak ci się uda.

Po chwili biegł już w stronę lasu.

*

Minął brzozowo-sosnowy lasek, przebiegł obok wielopoziomowego domu letniskowego

odprowadzany zdziwionymi spojrzeniami wyglądających przez wielkie, panoramiczne okno ludzi. Ktoś z mieszkańców tego domu musiał powiadomić gang, bo kiedy dotarł do wąwozu, o którym mówiła mu Janice Morrow, mordercy byli tuż za nim. Ci spokojni, kulturalni, przestrzegający prawa ludzie nie chcą, żeby uciekł, pomyślał ze smutkiem Reader. Chcą zobaczyć mord. A może pragną ujrzeć, jak ledwo uchodzi z życiem.

Na jedno właściwie wychodziło.

Wpadł do wąwozu, ukrył się w gęstych krzakach i leżał bez ruchu. Na obu skarpach pojawili się Thompsonowie. Szli powoli wypatrując jakiegokolwiek poruszenia. Gdy przechodzili obok miejsca, gdzie leżał, Reader wstrzymał oddech.

Usłyszał bliski huk wystrzału, ale bandyta strzelał tylko do wiewiórki. Wiła się przez chwilę z bólu, a potem znieruchomiała.

Leżąc tak w krzakach, Reader usłyszał warkot helikoptera studyjnego, unoszącego się nad wąwozem. Zastanawiał się, czy kamery były skierowane na niego. Było to możliwe. A jeśli ktoś widzi, jakiś Dobry Samarytanin, w jakiej znalazł się sytuacji, to może przyjdzie mu z pomocą.

Patrząc tak w niebo na helikopter, Reader nadał swej twarzy pełen czci wyraz, złożył ręce i zaczął się modlić. Modlił się po cichu, bo zebrane przed telewizorami audytorium nie lubiło religijnej ostentacji, ale jego usta poruszały się. To był przywilej każdego człowieka.

Miał na ustach prawdziwą modlitwę. Kiedyś, ktoś z telewidzów, potrafiący czytać z ust, wykrył, że uciekinier udaje odmawianie pacierza, a w rzeczywistości recytuje tabliczkę mnożenia. Dla tego człowieka nie było już ratunku!

Reader skończył się modlić. Zerkając na zegarek stwierdził, że pozostały mu jeszcze prawie dwie godziny.

A on nie chciał umierać! To nie było tego warte, obojętne ile mu wypłacą! Musiał być szalony, kompletnie szalony, żeby się na to zgodzić.

Wiedział jednak, że nie była to prawda. I przypomniał sobie, jaki był wtedy świadomy tego, co czyni,

*

Tydzień temu, mrużąc oczy w ostrych światłach reflektorów, stał w studio programu „Cena Ryzyka”, a Mike Terry ścisnął mu rękę.

— A więc, Mr. Reader — spytał uroczyście Terry — czy zna pan reguły gry, w której ma pan

uczestniczyć?

Reader skinął głowa.

— Jeśli je zaakceptujesz, Jimie Reader, będziesz przez tydzień człowiekiem ściganym. Będą cię tropić mordercy, zawodowi mordercy, ludzie ścigani przez prawo za inne zbrodnie, którym, na mocy Ustawy o Świadomym Samobójstwie, zagwarantowano bezkarność za to jedyne zabójstwo. Będą próbowali cię zabić, Jim. Rozumiesz?

— Rozumiem — odparł Reader. Rozumiał również to, że jeśli przez ten tydzień zdoła utrzymać się przy życiu, otrzyma dwieście tysięcy dolarów.

— Pytam po raz ostatni, Jimie Reader. Nie zmuszamy nikogo do gry, gdy stawką w niej jest śmierć. Czy chcesz grać?

— Chcę — powiedział Reader.

Mike Terry zwrócił się do widowni. — Panie i panowie, mam tutaj kopię wyczerpującego testu psychologicznego, który na naszą prośbę przeprowadził na Jimie Readerze bezstronny instytut badań psychologicznych. Kopie takie zostaną przesłane każdemu, kto ich zażąda, po uiszczeniu przez tą osobę opłaty w kwocie dwudziestu pięciu centów na pokrycie kosztów wysyłki. Test wykazuje, że Jim Reader jest w pełni władz umysłowych, zrównoważony i całkowicie odpowiedzialny pod jakimkolwiek względem. — Tu zwrócił się do Readera.

— Czy nadal chcesz stanąć do współzawodnictwa, Jim?

— Tak, chcę.

— Świetnie! — krzyknął Mike Terry. Jimie Reader, poznaj swoich przyszłych morderców!

Na scenę, witani gwiazdami publiczności, weszli ludzie z gangu Thompsona.

— Proszę na nich spojrzeć, proszę państwa — powiedział z nieukrywana pogardą Mike Terry. — Proszę tylko na nich spojrzeć! Antyspołeczni, z gruntu zdeprawowani, kompletnie amoralni. Ci ludzie nie mają innego kodeksu, poza spaczonym, kodeksem kryminalistów, żadnego honoru, poza tchórzliwym honorem mordercy do wynajęcia. Są ludźmi skazanymi, skazanymi przez nasze społeczeństwo, które nie na długo usankcjonuje ich działalność. Czeka ich przedwczesna i niechlubna śmierć.

Widownia przyjęła te słowa aplauzem.

— Co masz do powiedzenia, Claude Thompson? — spytał Mike Terry. Claude, rzecznik Thompsonów, podszedł do mikrofonu. Był szczupłym, gładko wygolonym, staromodnie ubranym mężczyzną.

— Uważam — powiedział ochryple — uważam, że nie jesteśmy gorsi od innych. Znaczy się, jesteśmy jak żołnierze na wojnie, oni też zabijają. A popatrzcie na łapownictwo w rządzie i w

związkach. Każdy dorabia sobie na boku.

Był to właśnie nie trzymający się kupy kodeks Thompsonów. Ale jakże szybko, z jaką precyzją Mike obalił argumentację mordercy! Pytania Terry'ego wrażały się prosto w plugawą duszę tego człowieka.

Pod koniec wywiadu, Claude Thompson wycierał spoconą twarz jedwabną chusteczką i rzucał swym ludziom gniewne spojrzenia.

Mike Terry położył dłoń na ramieniu Readera.

— Oto człowiek, który zgodził się zostać wasza ofiarą — jeśli potraficie go schwytać.

— Schwytamy go — powiedział Thompson. Wróciła mu już pewność siebie.

— Nie bądź taki pewny — upomniał go Terry. — Jim Reader walczył z dzikimi bykami — teraz ma za przeciwników szakale. Jest przeciętnym człowiekiem. On — to ludzie — a to oznacza ostateczną zgubę dla ciebie i osobników twojego pokroju.

— Dostaniemy go — chełpił się Thompson.

— I jeszcze jedno — dodał cicho Terry. — Jim Reader nie jest osamotniony. Stoją za nim ludzie z całej Ameryki. Dobrzy Samarytanie ze wszystkich zakątków naszego wielkiego kraju są gotowi pomagać mu. Nieuzbrojony, bezbronny Jim Reader może liczyć tylko na pomoc i serdeczność ludzi, których jest reprezentantem. Nie bądź więc taki pewien, Claude Thompson! Za Jimem Readerem stoją przeciętni ludzie — a ludzi przeciętnych jest mnóstwo!

Reader rozmyślał o tym, leżąc bez ruchu w krzakach. Tak, ludzie pomagali mu, ale pomagali także mordercom.

Wstrząsnął nim dreszcz. Sam tego chciał, pamiętał dobrze. Sam był sobie winien. Potwierdzał to test psychologiczny.

A mimo to, jakaś część winy spadała tu na psychologów, którzy przeprowadzali z nim ten test. Na ile winien był Mike Terry, oferując biednemu człowiekowi taką sumę pieniędzy? Społeczeństwo samo zrobiło tę pętlę i założyło mu ją na szyję, a on sam się na niej powiesił, nazywając to nieprzymuszoną wolą.

Czyja to wina?

— Aha! — krzyknął ktoś.

Reader spojrzał w górę i zobaczył stojącego nad nim, tęgiego mężczyznę. Mężczyzna ubrany był w tweedowa marynarkę w krzykliwa kratę. U szyi zwisała mu lornetka, a w ręku trzymał laskę.

— Proszę pana — wyszeptał Reader — niech pan nic nie mówi!

— Hej! — Krzyknął grubas, wskazując łaską na Readera. — Tutaj jest! Wariat, pomyślał Reader. Temu przekłętemu głupcowi musi się wydawać, że to zabawa w chowanego.

— O, tutaj! — wrzeszczał mężczyzna. Reader, klnąc, zerwał się na nogi i zaczął uciekać. Wybiegł z wąwozu i ujrzał w oddali biały budynek. Skręcił w tym kierunku. Za sobą słyszał ciągle okrzyki mężczyzny.

— Tamtędy, o tam. Patrzcie, głupcy, jeszcze go nie widzicie?

Bandyci znowu zaczęli strzelać. Reader biegł, potykając się o nierówności terenu. Minął troje dzieci bawiących się w szalasię.

— Tutaj jest! — rozwrzeszczały się dzieciaki. — Tutaj jest!

Reader jęknął i biegł dalej. Dopadł schodów budynku i zobaczył, że to kościół.

Gdy otwierał drzwi, pocisk trafił go w kolano.

Upadł i wczołgał się do środka. Telewizorek w jego kieszeni przemawiał głosem Mika Terry'ego:

— Co za zakończenie, proszę państwa, co za zakończenie! Reader został trafiony! Został trafiony, proszę państwa. Czołga się teraz, cierpi, ale nie rezygnuje! Nie Jim Reader!

Reader leżał w przejściu między ławkami, niedaleko ołtarza. Docierał do niego — ożywiony głos dziecka, które mówiło:

— Wszedł tutaj, Mr. Thompson. Jak się pan pospieszy, to jeszcze go pan złapie.

Czyż kościół nie był uważany za sanktuarium; zastanawiał się Reader, czyż nie gwarantował azylu?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Reader zdał sobie sprawę, że na ten obyczaj nikt tu nie zważa. Zebrał się w sobie i wpełzł za ołtarz, a stamtąd, przez tylne drzwi kościoła, wczołgał się na zewnątrz.

Znalazł się na starym cmentarzu. Pełzał między krzyżami i gwiazdami, mijał marmurowe i granitowe płyty, mijał groby z kamienia i proste, drewniane tablice pamiątkowe. O nagrobek, tuż przy jego głowie, roztrzaskał się pocisk, obsypując go gradem kamiennych odprysków. Doczołgał się nad krawędź świeżo wykopanej mogiły.

Oszukali go, myślał. Wszyscy ci mili, przeciętni normalni ludzie. Czy nie mówili, że jest ich reprezentantem? Czy nie przysięgali ochraniać siebie samych? Ale nie, oni go nienawidzili. Czemu tego nie dostrzegł? Ich bohaterem był zimny, zaślepiiony rewolwerowiec, Thompson, Capone, Billy Kid, Young Lochinvar, Cyd, Cuchulain, człowiek bez ludzkich pragnień i obaw. Czcił go, tego bezdusznego, nieprzejednanego robota rewolwerowca i pragnęli poczuć jego stopę na swej twarzy.

Reader spróbował się poruszyć i osunął się bezradnie do otwartego grobu. Leżał na plecach, patrząc w błękitne niebo. Niebawem, zamajaczyła nad nim czarna sylwetka, plamiąc swą obecnością

czysty błękit. Szczęknięt metal. Zjawą wolno brała go na cel.

I Reader na zawsze stracił wszelką nadzieję.

— STÓJ, THOMPSON! — zaryczał wzmocniony głos Mike Terryego. Rewolwer zadrżał.

— Jest sekunda po piątej! Tydzień minął! JIM READER WYGRAŁ!

Rozpętała się istna burza wiwatów wznoszonych przez publiczność zgromadzoną w studio.

Ludzie z gangu Thompsona w ponurych nastrojach zebrali się nad grobem.

— Wygrał, przyjaciele, wygrał! — krzyczał Mike Terry. — Spójrzcie państwo, spójrzcie na ekrany swoich telewizorów! Przybyła policja. Zabierają Thompsonów od ich ofiary — ofiary, której nie potrafili zabić. A wszystko dzięki wam, Dobrzy Samarytanie Ameryki. Spójrzcie państwo, opiekuńcze ręce podnoszą Jima Readera z otwartej mogiły, która stała się jego ostatnim azylem. Jest tam Dobra Samarytanka Janice Morrow. Czyżby to początek romansu? Zdaje się, że Jim zasłabł, proszę państwa. Podają mu środek pobudzający. Wygrał przecież dwieście tysięcy dolarów! Zamienimy teraz kilka słów z Jimem Readerem!

Zapadła chwila milczenia.

— To przykre — odezwał się Mike Terry. — Proszę państwa, przykro mi, ale nie możemy teraz usłyszeć Jima. Badają go lekarze. Jedną chwileczkę...

Ponownie zapadła cisza. Mike Terry otarł czoło z potu i uśmiechnął się.

— To zmęczenie, proszę państwa, straszliwe zmęczenie. Lekarz mówi mi... No tak, proszę państwa, Jim Reader chwilowo nie jest sobą. Ale to tylko chwilowo! Sieć JBC wynajmuje najlepszych psychiatrów i psychoanalityków w kraju. Zrobimy wszystko co w ludzkiej mocy dla tego dzielnego chłopca. Wszystko na nasz koszt.

Mike Terry zerknął na zegar wiszący w studio.

— No tak, proszę państwa, zbliża się pora zakończenia naszego programu. Proszę obejrzeć zapowiedź naszego następnego, wielkiego widowiska grozy. I proszę się nie martwić. Pewien jestem, że Jim Reader będzie niedługo z nami.

Mike Terry uśmiechnął się i mrugnął okiem w kierunku widowni.

— Na pewno wyzdrowieje, proszę państwa. Przecież wszyscy trzymamy za niego kciuki!

przekład: Jacek Manicki

Bitwa

Głównodowodzący, generał Fetterer, wkroczył do sali dowodzenia z krótkim „Spocznij!”. Trzej generałowie posłusznie stanęli na spocznij.

— Mamy niewiele czasu — powiedział Fetterer spoglądając na zegarek. — Powtórzmy sobie jeszcze raz plan bitwy.

Podszedł do ściany i rozwinął ogromną mapę Sahary.

Zgodnie z najbardziej wiarygodnymi informacjami teologicznymi, Szatan wystawi swoje siły na tych koordynatach. — Pokazał grubym palcem. W pierwszej linii staną diabły, demony, sukuby, inkuby i cała reszta. Bael będzie dowodził prawą flanką, Buer lewą. Jego diabelska wysokość będzie trzymał centrum.

— Dość średniowieczne — mruknął generał Dell.

Wszedł adiutant generała Fetterera z twarzą rozjaśnioną myślą o Powtórny Przyjściu.

— Panie generale — powiedział — przyszedł znów ten ksiądz.

— Bacność żołnierzu! — rzucił Fetterer surowo. — Musimy jeszcze stoczyć i wygrać tę bitwę.

— Tak jest, panie generale. — Adiutant wyprężył się i część radości odpłynęła z jego oblicza.

— Ksiądz, powiadasz? — Głównodowodzący w zamyśleniu zatarł dłonie. Od chwili Przyjścia, odkąd stało się jasne, że zbliża się Ostatnia Bitwa, pracownicy kultów religijnych całego świata stali się wyjątkowo natrętni. Zaprzestali starych sporów, co jest godne pochwały, ale teraz próbują się wtrącać do spraw wojskowych.

— Odeślijcie go — powiedział Fetterer. — Wie przecież, że przygotowujemy się do Armageddonu.

— Tak jest. — Adiutant dziarsko zsalutował, zrobił w tył zwrot i wyszedł.

— Kontynuujmy — powiedział generał Fetterer. — Za pierwszą linią obrony Szatana będą rozmieszczeni zmartwychwstali grzesznicy i różne elementarne siły diabelskie. Upadłe anioły będą działać jako lotnictwo bombardujące. Zajmą się nimi automatyczne myśliwce Della.

Generał Dell uśmiechnął się złowieszczo.

— Po nawiązaniu kontaktu, zrobotyzowane siły pancerne McFee uderzą w kierunku centrum — ciągnął Fetterer — przy wsparciu automatycznej piechoty generała Ongina. Dell przeprowadzi wodorowe bombardowanie odwodów nieprzyjaciela na pozycjach wyjściowych. Ja uderzę

kawalerią zmechanizowaną tutaj i tutaj.

Adiutant wrócił i stanął sztywno na baczność.

— Panie generale — powiedział — Ksiądz nie chce odejść. Twierdzi, że musi mówić z panem generałem.

Głównodowodzący zawahał się, zanim powiedział nie. Przypomniał sobie, że to jest Ostatnia Bitwa i że pracownicy kultów mają z tym pewien związek. Postanowił poświęcić temu człowiekowi pięć minut.

— Wprowadźcie — powiedział.

Ksiądz był w zwykłym garniturze dla podkreślenia, że nie reprezentuje żadnej określonej religii, jego twarz wyrażała zmęczenie, ale i determinację.

Panie generale — odezwał się — reprezentuję wszystkich duchownych całego świata: księży, rabinów, pastorów, mułłów i całą resztę. Prosimy pana, generale, żeby nam pan pozwolił wziąć udział w bitwie Naszego Pana.

Głównodowodzący nerwowo zabębnił palcami po pulpicie. Wolał utrzymać dobre stosunki z tymi ludźmi. Nawet on, Wódz Naczelny, może potrzebować słowa wstawiennictwa, kiedy przyjdzie co do czego...

— Chyba pan rozumie moją sytuację? — powiedział Fetterer ze skargą w głosie. — Jestem generałem i mam stoczyć bitwę.

— Ale to jest Ostatnia Bitwa — odparł ksiądz — i powinna to być bitwa ludzi.

— I tak jest — powiedział Fetterer. — żołnierze stoczą ją w ich imieniu.

Duchowny nie wyglądał na przekonanego.

— Nie chciałby pan chyba, żebyśmy przegrali tę bitwę, prawda? Żeby Szatan zwyciężył?

— Oczywiście że nie — mruknął ksiądz.

— Więc nie wolno nam ryzykować. Wszystkie rządy zgodziły się co do tego, prawda? Bardzo pięknie byłoby stoczyć Ostatnią Bitwę siłami ludzkimi. Symbolicznie, można by powiedzieć. Ale czy mielibyśmy pewność zwycięstwa?

Duchowny usiłował coś wtrącić, ale Fetterer nie dopuścił go do słowa.

— Skąd możemy znać siłę wojsk szatańskich? Musimy użyć wszystkiego, co mamy najlepsze z wojskowego punktu widzenia. A to oznacza armie automatów, zrobotyzowane samoloty i czołgi, bomby wodorowe.

Duchowny nie wyglądał na przekonanego.

— Ale tak być nie powinno — powiedział. — Chyba możecie znaleźć w swoich planach jakieś miejsce dla ludzi?

Fetterer zastanowił się, ale żądanie było nierealne. Plan bitwy był zapięty na ostatni guzik, piękny, nieodparty. Każde wprowadzenie niepewnego elementu ludzkiego spowodowałoby tylko zamieszanie. Żaden biologiczny organizm nie wytrzymałby hałasu tego mechanicznego ataku, potencjałów energii wypełniającej powietrze, przepotężnej siły ognia. Istota ludzka, która zbliżyłaby się na sto mil do pola bitwy, zginęłaby, zanim zobaczyłaby nieprzyjaciela.

— Niestety nie — powiedział Fetterer.

— Są tacy — stwierdził surowo duchowny — którzy uważają, że błędem było oddanie tego w ręce wojskowych.

— Trudno — powiedział Fetterer dziarsko. — To tylko defetystyczne gadanie. A teraz, jeżeli pan pozwoli... — wskazał drzwi. Duchowny wyszedł przygnębiony.

— Ci cywile — pokręcił głową Fetterer. — Do rzeczy, panowie. Czy wasze wojska są gotowe? .

— Jesteśmy gotowi walczyć za Niego — powiedział z entuzjazmem generał McFee. — Ręczę za każdy automat pod moją komendą. Metal lśni, przekładnie naoliwione, akumulatory naładowane. Czekają niecierpliwie na rozkaz do ataku!

Generał Ongin ocknął się z zamyślenia.

— Oddziały lądowe gotowe, panie generale.

— Wojska powietrzne gotowe — zameldował generał Dell.

— Znakomicie — podsumował generał Fetterer. — Wszystkie inne przygotowania też zostały zakończone. Cała ludność świata ma dostęp do transmisji telewizyjnych. Wszyscy, bogaci i biedni, będą mogli obejrzyć Ostatnią Bitwę.

— A po Bitwie... — zaczął generał Ongin i urwał. Spojrzał na Fetterera.

Fetterer zamyślił się. Nie wiedział, co ma się stać po Bitwie. Te sprawy znajdowały się zapewne w rękach organizacji religijnych.

— Myślę, że odbędzie się prezentacja, czy coś takiego — powiedział wymijająco.

— Czy to znaczy, że zobaczymy jego? — spytał generał Dell.

— Naprawdę nie wiem — powiedział Fetterer. — Ale myślę, że tak. Ostatecznie, no, wiecie, co mam na myśli.

— Ale jaki strój obowiązuje? — spytał McFee z paniką w głosie. Co się nosi na taką okazję?

— A jak są ubrani aniołowie? — spytał Fetterer Ongina.

— Nie mam pojęcia — odparł Ongin.

— Chyba w długie szaty? — podsunął generał Dell.

— Nie — zarządził Fetterer surowo. — Wystąpimy w mundurach galowych bez odznaczeń.

Generałowie skinęli głowami. To było dobre wyjście. A potem wybiła godzina.

Wspaniałe w swoim szyku bitewnym legiony Piekieł zstąpiły na pustynię. Zagrały piekielne dudy, zahuczały kotły i potężne zastępy ruszyły z miejsca.

W oślepiającej chmurze pyłu automatyczne czołgi generała McFee nuciły się na szatańskiego wroga. Natychmiast w górze zawyły automatyczne bombowce Della, zasypując bombami stłoczone hordy potępieńców. Fetterer śmiało uderzył swoją automatyczną kawalerią.

Ruszyła w dym bitwy automatyczna piechota Ongina i metal dawał z siebie wszystko, co metal potrafi.

Potępieńcy przerwali front, szarpiąc na sztuki czołgi i roboty. Automaty ginęły bohatersko, broniąc każdej piędzi piasku. Bombowce Della padały strącone z nieba przez upadłych aniołów pod komendą Markocjasa, którego nietoperze skrzydła wzniecały trąby powietrzne.

Cienka linia pokiereszowanych robotów stawiała czoła gigantycznym mocom, które je miażdżyły i roztrącały, siejąc przerażenie w sercach widzów, zgromadzonych przed ekranami na całym świecie. Roboty walczyły jak ludzie, jak bohaterowie, odpierając ataki sił ciemności.

Astaroth wrzasnęła i Behemoth ruszył do przodu. Beal, prowadząc ta sobą klin diabłów przypuścił atak na nadwątloną lewą flankę generała Fetterera. Rozległ się zgrzyt metalu i wycie elektronów.

Generał Fetterer spływał potem i drżał z napięcia tysięcy mil za linią frontu. Ale systematycznie i na zimno kierował naciskaniem guzików i dźwigni.

Jego wspaniała armia nie zawiodła. Śmiertelnie uszkodzone roboty podrywały się do walki. Miażdżone, tratowane, niszczone przez wyjące diabelstwo roboty utrzymywały swoje pozycje. Wtedy do kontrataku ruszył doborowy Piąty Korpus i front nieprzyjacielski został i przerwany.

Z odległości tysiąca mil generałowie kierowali operacją oczyszczania pola walki.

— Bitwa jest wygrana — szepnął generał Fetterer odwracając się od ekranów. — Gratuluję wam, panowie.

Zmęczone twarze generałów rozjaśnił uśmiech.

Potem spojrzeli na siebie i wydali okrzyk radości. Armageddon był wygrany, siły Szatana rozbite.

Ale na ekranach monitorów coś się działo.

— Czy to jest... czy to jest... — zająknął się generał McFee i słowa utknęły mu w gardle.

Bo na polu bitwy pojawił się On, idąc między stosami poskręcane, nadtopionego metalu.

Generałowie zamilkli.

Dotknął rozbitego automatu i na całej zasnutej dymem pustyni roboty zaczęły ożywać. Poskręcane, nadwęglone, stopione maszyny zaczęły się prostować.

Po chwili wszystkie roboty stały na nogach.

— McFee — szeptem powiedział głównodowodzący — wypróbuj zdalne sterowanie. Każ tym robotom uklęknąć albo coś takiego. Generał spróbował, ale sterowanie nie działało.

Tymczasem roboty zaczęły unosić się w powietrzu. Podtrzymywane przez Aniołów Pańskich automatyczne czołgi, żołnierze i bombowce wzlatywały coraz wyżej i wyżej.

— On je bierze do Nieba! — krzyknął histerycznie Ongin. — On zbawia roboty!

— Zaszła pomyłka! — powiedział Fetterer. — Szybko. Wyślijcie łącznika... Nie, polecimy osobiście!

Szybko podstawiono im samolot i natychmiast polecili na pobojuisko. Ale było już za późno, bo Armageddon się skończył, roboty znikły, a Pan ze swoimi zastępami wrócił do siebie.

przekład: Lech Jęczmyk

* Charles Atlas — kulturysta reklamujący się w podrzędnych pisemkach, że z cherlaka potrafi zrobić tęgiego chłopca (przyp. tłum.)

* Bądź pozdrowiony, klejnocie w kwiecie lotosu — buddyjska modlitwa.

* Peter Lorre — aktor grający w filmach grozy.

* John Keats „Oda do słowika”, tłum. Jerzy Pietrkiewicz (przyp. J.K.)